

biblioteka / 375-378,
Są, pnie, stauone

PAMIĘTNIKI POLSKIE

zebrane

przez

KSAWEREGO BRONIKOWSKIEGO.

— ♦ — TOM I. — ♦ —

Wydawca: Adam Haczurba.

PRZEMYŚL.
CZCIONKAMI S. F. PIĄTKIEWICZA.
1883.



11h



174364 klocek

ZAKONNICE

w Mińsku, Witebsku i Połocku, ich prześladowanie i męczarnie.



Jakie okropne objawienie! Na co nie mogliśmy się zdobyć, my, pleć mocniejsza, wojsko uzbrojone, na to prawie z radością poświęciły się niewiasty słabe, pojedyncze! Kiedyśmy raz umrzeć nie umieli, one umierały przez lat kilka! Jakie surowe napomnienie! Odtąd nie będzie nam wolno, nam, co szukamy w bojach sławy i zasługi w pamięci narodu, zapominąć o przykładzie słabych istot, co w cichości, nie dla świata, ponoszą nie już tylko śmierć, ale najokropniejsze męczarnie.

Tego rodzaju wrażenie sprawiło na nas przybycie do Paryża przełożonej klasztoru Panien Bazylianek w Mińsku, siostry Mieczysławskiej. W języku światowym mówimy: Uciekła z rąk moskiewskich, aby opowiedzieć światu męczarnie zakonnic polskich. W znaczeniu prawdziwym powinniśmy mówić: Opatrzność przysłała pośród nas, świętą niewiastę dla pokazania jak za przekonanie cierpieć należy.

Pochlebialiśmy narodowi gdybyśmy sądzili, że posłannic-

two tej męczennicy jest tylko pokazać nam i światu, do jakiego szaleństwa posuwa się barbarzyństwo moskiewskie. Może te dowody były potrzebne dla opinii świata, ale z nas ktoś wątpił, iżby Mikołaj i jego siepacze do najpotworniejszych zbrodni nie byli zdolni? Dla nas jest to anioł, który się zjawił, żeby nas ze wstydu zarumienić i na drogę poprawy w prowadzić.

Nim przystąpimy do opisu wytrwałości, z jaką siostry nasze męczarnie ponoszą, jaki przykład dają, nam cośmy poległych braci naszych przeżyli, powiemy kilka słów o osobie siostry Mieczysławskiej.

Ucieczka jej i dwóch innych zakonnic jest tajemniczą. Czy to dla tego, żeby nieskompromitować nikogo, czy też, że w istocie nie wie, jakim sposobem uwolnioną została na pół żywa z klasztoru Czernie, tej jaskini zbójców, nie o swojej ucieczce powiedzieć nie może. To tylko pamięta, o tem tylko wspomina, że jęła, jak z muru spadła, że się później ujrzała w łachmanach żebraczki i że widziała ludzi, w pogoń za nią wysłanych, którzy na nią krzyczeli, aby z drogi ustępowała. Skromna, nad wszelkie wyobrażenie świątobliwa, wszystkie swoje cierpienia, jak nasz Zbawiciel, Bogu poświęcająca, nie byłaby o nich ani słowa wspominała, gdyby w przejeździe do Rzymu, gdzie u stóp Ojca świętego złożyć chce nie opis swoich męczarni, ale wyrazić boleść swoją nad cierpieniami Kościoła, gdyby mówić w przejeździe przez Poznań, tamtejsza władza duchowna nie była od niej zażądała opisu męczarni, na które wystawione były i są jej podwładne. Jako posłuszna władzy duchownej i w interesie Kościoła, uczyniła zeznania niejako urzędowe. Kiedy w Paryżu pokazano jej pismo, w którym opowiadania jej dowierne, drukiem były ogłoszone, wpadła w smutek nieutulony, uważała bowiem za zmniejszenie zasługi przed Bogiem ogłaszanie cierpień, których pamięć chciała ponieść z sobą do grobu. Potrzeba było przekonywać ją, nim ją uspokojono, że tej ofiary z jej zasługi wymaga tak Kościół jak sprawa polska.

Wszystko, co o cierpieniach jej współmęczenniczek jej i to co tu powtarzamy, ogłoszono, jest tylko opisem małej części

kilkuletnich udręczeń. Obciążona wiekiem, osłabiona tylu męczarniami, mogłaż w porządku i z kolei wszystko, co zniosła, opowiedzieć? A osoby, które tylko urywkowo te opowiadania miały, mogłyż dać obraz żywy i wierny boleści, które przez kilka lat codziennie i w tylu kształtach się odnawiały? Śmiało więc twierdzić można, że w tych opisach nietylko nie niema przesadzonego, chociaż dziennikom niemieckim i te opisy przez nich powtórzone, przesadzonemi się zdają; ale nawet, że dalekie są od oddania w całości rzetelnej prawdy.

Świątobliwa Mieczysławska, ciągle tem zmartwiona, że się świat nią zatrudnia, jeszcze nad tem boleje, że do końca nie pozostawiła losu swych sióstr. Zdaje się jej, że słyszy jęk zakonnic, pozostałych w klasztorze moskiewskim; jak w klasztorze własnym, gdzie tak były szczęśliwe, tak w tem więzieniu, gdzie na nich spadło całe brzemie nieszczęść ziemskich, uważały ją za matkę i zdaje się jej zawsze, że jedne pozbawione przez barbarzyńców oczu, drugie bezwładne, okryte ranami, ciało zbolale mając wołają na nią; Matko! Podnieś mnie, Matko! zimno! przykryj mnie, pomóż mi przewrócić się na drugą stronę; Matko! cierpię, wesprzyj mego ducha. Matko ratuj, że bym w cierpieniach Boga nie obraziła! Nieszczęśliwsza prawie, niż była wtedy, kiedy zaledwie z łóża swego sama pokaleczona, zwlec się mogła aby nieść swoim siostrom pomoc i pociechę, boleje nad tem, że ją od nich ktoś odłączył. Opowiadając swoje i innych zakonnic cierpienia zatrzymuje się i zalewa się łzami, kiedy jej przychodzi na pamięć zbrodnia nie mająca nazwiska, okrucieństwo nad okrucieństwem, którego ślady ma na szyi. Podobnych okropności bywały przykłady w ciągu zapalczywych bojów w chwili najwścieklejszej zemsty żołnierskiej trunkiem i swawolą rozjuszonej; ale wypuszczać kleryków na biedne już uwięzione zakonnice z krwią zimną i dla nawrócenia do religii, Przebóg! Jakież to rządy! Jacyż to kapłani!

Nie same cierpienia swoje i zakonnic mińskich opowiada przełożona Mieczysławska. Mówiono jej w tem więzieniu, że obywatel, który się postarał o mszę żałobną za duszę zakonnic

które wśród gwałtów, na które się natura wzdryga, albo po wydarciu ócz i po innych męczarniach żyć przestały, za tę usługę chrześcijańską na Sybir został wywieziony!

Jednego razu przybiega do niej żyd, który jako liwerant trunków dobrze u zakonnic moskiewskich i u biskupa Siemiaszki był położony i do klasztoru ich wolny miał przystęp i w największym smutku w te do niej odzywa się słowa:

— Córka moja nie może porodzić; od dwudziestu czterech godzin jest w cierpieniach, lekarze stracili nadzieję uratowania jej. Wy coście tyle ucierpiały i co dla tego, musicie mieć łaskę u Boga, może uprosicie Go, aby uratował moją córkę.

Było to już w nocy, kiedy nieszczęśliwe nasze siostry po całodzienniej pracy szukały nieco odpoczynku.

— Kiedy ten żyd ma wiarę — rzekła do nich przełożona — módlmy się!

Prawdziwe święte chrześcianki, zaledwie na nogach mogące się utrzymać, same pod brzemieniem tyłu cierpień upadające, rzucają się na kolana, zanoszą modły do Boga i zaledwie dzień zaczynało, przybiega do nich żyd, klęka przed niemi, dziękując że ich modły ocaliły mu córkę, że szczęśliwie bez bólu porodziła.

Do wywiezienia naszych sióstr z ich świętego przybytku, do ich prześladowań, do nawracania ich, nie sądźmy żeby tylko wiara popów i gorliwość biskupa albo tylko szalona polityka były powodem. Najglówniejszą przyczyną rzucania się wściekłego tak na ten klasztor miński, jak na inne liczne kościoły, była najszkaradniejsza chciwość łupów. Wiedział Siemiaszko, wiedziało rabusiowskie naczelnictwo jego, wiedzieli złodzieje hierarchiczni od najniższych stopni aż do Mikołaja, że klasztory mogące utrzymywać szkółki, wspierać ubogich, leczyć chorych, muszą być zamożne i dlatego głównie rozpoczęto tę krucyatę nie tylko przeciw religii, ale i przeciw własności. Sama przełożona Mieczysławska wniosła była do klasztoru mińskiego przeszło 200.000 zł. pol. i kosztowności w spadku otrzymane, któremi przyozdobiła ołtarze Pańskie. To wszystko mogłoby ocaleć przed grabieżą popów i ich żołnierskiego naczelnika!

Religia była dla nich tylko pozorem, bo gdzież ludzie tacy mogą mieć jaką wiarę!

Nie dziw, że tyle mocy ducha, tyle wiary, tyle cierpień otoczyły przełożoną Mieczysławska tak rzadkim teraz blaskiem świętości. Nie dziw, że nie tylko zakonnice Wniebowzięcia, u których wybrała tymczasowy w Paryżu pobyt, ale nawet mnóstwo osób rozmaitych stanów, które o jej pobycie wiadomość powzięły, mają sobie za szczęście, gdy ją mogą widzieć i składać jej swoje uwielbienie. Zakonnice tego klasztoru paryskiego szanując i jej świątobliwość i jej charakter przełożonej, przychodzą do niej codziennie i odmawiają przed nią przepisaną formułę: Kocham bliźniego jak siebie samego i ciebie matko! A ponieważ przełożona tylko swoim rodowitym polskim mówi językiem, zakonnice francuskie żądały sobie pracę nauczyć się po polsku tych wyrazów.

Oto jest bardzo niedokładny opis cierpień Panien Bazyliank mińskich.

Kiedy roku 1836 w skutku ukazi wszyscy mieszkańcy wyznania katolicko-unickiego w guberniach zachodnich, czyli polsko-litewskich, mieli dany rozkaz przejścia na religię moskiewsko-grecką, apóstota biskup Siemiaszko, zaczął natarczywie nalegać także na zakonnice mińskie, aby przeszły na szyzmę. Lecz ani namowy, ani groźby nie zdołały ich skłonić do odszczepieństwa. Wszystkie Panny Bazylianki, których w klasztorze w Mińsku było 34, oświadczyły mu, że chcą umrzeć w wierze katolickiej. Rozgniewany apóstata rzucił na nich klątwę i rozkazał im klasztor opuścić, dając im jednak trzy miesiące do namysłu i zagrażając strasznymi męczarniami, jeżeli w tym przeciągu czasu religii swojej się nie wyrzekną.

Ale już we trzy dni potem, kiedy siostry zgromadzone były z rana w chórze na modlitwę, otoczono klasztor wojskiem wyłamano drzwi i Siemiaszko na czele urzędników i żandarmów rozkazał im natychmiast wychodzić z kościoła, nie pozwalając ani się przebrać, ani wziąć z sobą książki do nabożeństwa, ani nawet wejść do celi. Siostry uprosiły, że im było przynajmniej wolno modlić się chwilę przed Najświętszym Sakramentem i wziąć z sobą krzyż. Upadłszy na kolana przed wielkim ołtarzem

które wśród gwałtów, na które się natura wzdryga, albo po wydarciu ócz i po innych męczarniach żyć przestały, za tę usługę chrześcijańską na Sybir został wywieziony!

Jednego razu przybiega do niej żyd, który jako liwerant trunków dobrze u zakonnic moskiewskich i u biskupa Siemiaszki był położony i do klasztoru ich wolny miał przystęp i w największym smutku w te do niej odzywa się słowa:

— Córka moja nie może porodzić; od dwudziestu czterech godzin jest w cierpieniach, lekarze stracili nadzieję uratowania jej. Wy coście tyle ucierpiali i co dla tego, musicie mieć łaskę u Boga, może uprosicie Go, aby uratował moją córkę.

Było to już w nocy, kiedy nieszczęśliwe nasze siostry po całodzienniej pracy szukały nieco odpoczynku.

— Kiedy ten żyd ma wiarę — rzekła do nich przełożona — módlmy się!

Prawdziwe święte chrześcianki, zaledwie na nogach mogące się utrzymać, same pod brzemieniem tyłu cierpień upadające, rzucają się na kolana, zanoszą modły do Boga i zaledwie dzień zaczynało, przybiega do nich żyd, klęka przed niemi, dziękując że ich modły ocaliły mu córkę, że szczęśliwie bez bólu porodziła.

Do wywiezienia naszych sióstr z ich świętego przybytku, do ich prześladowań, do nawracania ich, nie sądźmy żeby tylko wiara popów i gorliwość biskupa albo tylko szalona polityka były powodem. Najglówniejszą przyczyną rzucania się wściekłego tak na ten klasztor miński, jak na inne liczne kościoły, była najszkaradniejsza chciwość łupów. Wiedział Siemiaszko, wiedziało rabusiowskie naczelnictwo jego, wiedzieli złodzieje hierarchiczni od najniższych stopni aż do Mikołaja, że klasztory mogące utrzymywać szkółki, wspierać ubogich, leczyć chorych, muszą być zamożne i dlatego głównie rozpoczęto tę krucyatę nie tylko przeciw religii, ale i przeciw własności. Sama przełożona Mieczysławska wniosła była do klasztoru mińskiego przeszło 200.000 zł. pol. i kosztowności w spadku otrzymane, które przyozdobiła ołtarze Pańskie. To wszystko mogłoż ocaleć przed grabieżą popów i ich żołnierskiego naczelnika!

Religia była dla nich tylko pozorem, bo gdzież ludzie tacy mogą mieć jaką wiarę!

Nie dziw, że tyle mocy ducha, tyle wiary, tyle cierpień otoczyły przełożoną Mieczysławską tak rzadkim teraz blaskiem świętości. Nie dziw, że nie tylko zakonnice Wniebowzięcia, u których wybrała tymczasowy w Paryżu pobyt, ale nawet mnóstwo osób rozmaitych stanów, które o jej pobycie wiadomość powzięły, mają sobie za szczęście, gdy ją mogą widzieć i składać jej swoje uwielbienie. Zakonnice tego klasztoru paryskiego szanując i jej świątobliwość i jej charakter przełożonej, przychodzą do niej codziennie i odmawiają przed nią przepisaną formułę: Kocham bliźniego jak siebie samego i ciebie matko! A ponieważ przełożona tylko swoim rodowitym polskim mówi językiem, zakonnice francuskie żądały sobie pracę nauczyć się po polsku tych wyrazów.

Oto jest bardzo niedokładny opis cierpień Panien Bazyliank mińskich.

Kiedy roku 1836 w skutku ukazu wszyscy mieszkańcy wyznania katolicko-unickiego w guberniach zachodnich, czyli polsko-litewskich, mieli dany rozkaz przejścia na religię moskiewsko-grecką, apostata biskup Siemiaszko, zaczął natarczywie nalegać także na zakonnice mińskie, aby przeszły na szyzmę. Lecz ani namowy, ani groźby nie zdołały ich skłonić do odszczepieństwa. Wszystkie Panny Bazylianki, których w klasztorze w Mińsku było 34, oświadczyły mu, że chcą umrzeć w wierze katolickiej. Rozgniewany apostata rzucił na nich kłótwę i rozkazał im klasztor opuścić, dając im jednak trzy miesiące do namysłu i zagrażając strasznymi męczarniami, jeżeli w tym przeciągu czasu religii swojej się nie wyrzekną.

Ale już we trzy dni potem, kiedy siostry zgromadzone były z rana w chórze na modlitwę, otoczono klasztor wojskiem wylamano drzwi i Siemiaszko na czele urzędników i żandarmów rozkazał im natychmiast wychodzić z kościoła, nie pozwalając ani się przebrać, ani wziąć z sobą książki do nabożeństwa, ani nawet wejść do celi. Siostry uprosiły, że im było przynajmniej wolno modlić się chwilę przed Najświętszym Sakramentem i wziąć z sobą krzyż. Upadłszy na kolana przed wielkim ołtarzem

prosiły Boga o wytrwałość; w czasie tej modlitwy jedna już podeszła zakonnica z boleści Bogu ducha oddała.

Jeszcze się modliły, kiedy otoczono je żołnierzstwem i kazano spieszenie wychodzić z miasta, bo władze bały się zaburzenia. Za miastem zatrzymane je w karczmie, skuto po dwie łańcuchami za ręce i nogi i pędzono drogą do Witebska. Skoro w mieście rozeszła się wieść o uprowadzeniu zakonnice, mnóstwo osób, pieszo, konno i wozami puściło się za nimi; płacze i jęki żegnającego je ludu napępiały powietrze, a szczególnie rzewny był widok czterdziestu sierot przez zakonnice utrzymywanych, które długo szły za nimi. Zgromadzający się lud po drodze rozpędzano kolbami, nie pozwalając zakonnicom przyjmowania najmniejszej jałmużny.

Tym sposobem prowadzono je przez sześć dni, dozwalając nieco spoczynku tylko w południe i w nocy i to na gołej ziemi. Przybyły nareszcie do Witebska, gdzie zaprowadzono je do moskiewskiego klasztoru tak zwanych Czernic, czyli do mniszek czarno ubranych, po większej części wdów po poległych żołnierzach, kobiet bez żadnego wychowania, które w obozach lata swoje przepędziwszy, do pijaństwa i rozpusty były przyzwyczajone. Tym Czernicom oddano nasze świątobliwe siostry do pełnienia najostatniejszych posług. Zostały tam 14 zakonnice z Witebska, które jeden los z nimi dzieliły. Z rozkazu nie nazywano ich inaczej jak polskie sobaki, używano ich do robót najpodlejszych i dawano im za pokarm tylko pół funta chleba i kwartę wody na dzień. Dla zaspokojenia głodu latem żywiły się siostry zielskiem; lecz zimą pozbawione były i tego środka, bo gdy destrzeżono, iż karmiąc wieprze jadły rozparzone zboże, lub warzywa, bito je niemilosierdzie. Kiedy ich używano do kopania rowów, lub innych robót poza obrębem monasteru, skuwano je po dwie, częstokroć bito i lżono, pytając ciągle czy chcą porzucić swą wiarę. Jednej zakonnicy wbila Czernica ożóg rozpalony w oko i nieszczęśliwa ta w bólach największych zakończyła życie. Inną tak drzewem obładowano, że pod ciężarem upadła i z tego przypadku wnet umarła. Dwie inne oddały ducha Bogu z głodu i nędzy. Siemiaszko i tu namawiał je do zmiany religii, a gdy widział słów swych bezsku-

teczność, śmiał im wyrzucać, że same są przyczyną tej nędzy i odważył się bluźnić, mówiąc że to dla nich kara Boża.

Takie męczarnie ponosząc przepędziły w Witebsku dwa lata, poczem przyprowadzono je do Połocka, znowu pieszo. Było jeszcze wtedy 30 mińskich, 13 witebskich zakonnice. O trzy wiorsty od Połocka leży na Dźwiną Spas, rezydencya arcyarchireja. Był nim wtedy Łuczyński, dawny biskup katolicki w Połocku. Przypędzone tu zakonnice zamknięto w klasztorze; ale arcyarchirej był za łagodny i na innego zdano pełnić rozkazy Siemiaszki. Michalewicz, przez siedm lat spowiednik Panien Bazylianek w Mińsku, a teraz protopop czyli dziekan, stał się tu najokrutniejszą prześladowcą zakonnice. Kiedy się rozeszła była wieść o ukazie, nakazującym unitom przejść na szyzmę, gorącemi kazaniami namawiał zakonnice do wytrwania w wierze, a we dwa tygodnie po apostazyi Siemiaszki sam przeszedł na szyzmę i użyty był przez niego na ich dozorcę; ten bezecny odstępca najwięcej im dokuczał. O ile przed apostazją był człowiekiem moralnym i przykładnym, o tyle potem wpadł w najohydniejsze nałogi, oddając się ciąglemu opilstwu.

Tu w tym klasztorze pod Połockiem pomnożyła się liczba męczennic dziesięcioma innemi, przyprowadzonymi z klasztoru połockiego. Czekwały go tu innego rodzaju katusze: Najprzód dawano im za całe pożywienie po pół śledzia na dzień bez kropli wody, z pragnienia i gorączki wiele sióstr odchodziło od zmysłów, potem przeznaczono im po pół funta chleba i po kwarcie wody na dzień, a następnie taką samą ilość dawano im tylko co dwa dni.

Gdy wszystkie te męczarnie nie mogły odwieść zakonnice od porzucenia wiary i owszem wzmacniały i utwierdzały w wytrwałości, oddano je do robót przy stawiającym się dla Siemiaszki pałacu w Połocku. Musiały tam ziemię kopać, wapno gotować, kamień miąć, mularzom usługiwać, kamień kamieniami rozbijać, bo dla zrobienia tej pracy uciążliwszą, nie dozwolono im używać młota. Razu jednego, kiedy wydobywały glinę z dołu głęboko już wykopanego, podkopana ziemia usunęła się i pięć ich przywaliła; nikt ani pomyślał nieść im ratunek, albo je odkopywać. Innego razu gdy pięć z nich znajdowało się na

rusztowaniu, opartem na świeżym gzymsie, gzyms się oderwał, rusztowanie spadając z materyalami zabiło cztery siostry, pracujące pod spodem, a pięć które na niem były, zabiły się spadając. Jedna z sióstr ciągnąc do góry ceber z wapnem, nie mogąc podolać, osłabiona, puściła sznur, a ceber spadając zabił ją na miejscu. Ciała wszystkich zakonnic zmarłych lub zabitych, zakopywano za miastem, nie na cmentarzu ale w polu, ale te ginęły; widać że lud je wykopywał i chował gdzie indziej, uważając zmarłe za święte męczennice.

Kiedy wszystkie te trudy i cierpienia stałości ich nie mogły zachwiać, chciano ich zmusić do tego innym sposobem: Wpuszczono do zakonnic bandę diakonów czyli kleryków, którzy nie mogąc na broniących się zaspokoić swych zwierzęcych chuci, rozjuszeni, do wściekłości oporem doprowadzeni, podrapali je, pokaleczyli, pogryźli uszy i nosy, powylupywali oczy. Jedna siostra, której oczy wylupili, umarła natychmiast, dwie inne umarły, jedna z opuchnięcia od ukąszenia ramieniem, po tygodniowym cierpieniu, druga po ugryzieniu jej nosa. Inne nieszczęśliwsze noszą ślad tego barbarzyństwa.

Apostata Siemiaszko często je nawiedzał; to namawiał, prosił, zaklinał do porzucenia wiary, to znów lżył, bił i pluł im w oczy. Nakoniec postanowił zmusić je do odstępstwa biciem różgami, rozkazał więc dać każdej co środa i piątek po 30 różg, a wykonawca jego rozkazu Michalewicz dodawał z własnej gorliwości 20 razów tak, że każda dostawała po 50 plag. W dniu egzekucyi zwolywano wszystkie do roboty i w jedno miejsce biciem bębna, a kiedy się wszystkie zeszły, odczytywał Michalewicz najprzód wyrok skazujący je na różgi, potem kazał je pędzić do budynku, który nazywano ujeżdżalnią i gdzie w jego, innych popów, mnichów i diaków obecności, wyznaczeni klerycy chłostę tę wymierzali. Rozalia Zabłocka, zakonnica siedmziesiątletnia, pod drugą chłostą żyć przestała; niedostające razy, dokończono na jej martwych zwłokach; inne dwie umarły w kilka godzin po otrzymanej chłości.

Wiadomość o postępowaniu tak okrutnem, sprawiła w okolicy powszechne oburzenie. Jenerał Magdynków, człowiek już podeszły, dowiedziawszy się o tem w Połocku, przybył do

Michalewicza właśnie kiedy egzekucya chlosty po raz czwarty się odbywała, wyrwał mu z ręki papier, na którym ten bezenny wyrok był spisany i krzyknął na niego: Każę cię powiesić! Cesarz powie, że stary oszalał, ale ty będziesz wisiał.

Takie surowe przedstawienie położyło koniec chłości, ale nie okrucieństwu Michalewicza. Wrócił on znowu do karmienia zakonnic śledziami a przystawiona warta pilnowała, żeby im nie dawano nic do picia.

Gdy to wszystko było bezskuteczne, chciał nasze siostry ogniem zastraszyć. Zapowiedział im, że będą spalone; w tym celu kazał zwieść kupy suchego chróstu, otoczył je ludźmi trzymającymi w ręku zapalone pochodnie i rozkazał wyprowadzić zakonnice. Te widokiem tym wcale nie zmieszane, oświadczyły mu, że chętnie śmierć przez ogień poniosą, bo ta skończy ich męki.

Gdy te wszystkie męczarnie zawodziły nadzieję prześladowców, Siemiaszko zwołał wszystkie pozostałe jeszcze przy życiu zakonnice i powiedział im, że chce mieć do nich kazanie, dla tego wzywa je, aby szły za nim do cerkwi. Przełożona odpowiedziała w imieniu wszystkich, że jego kazania nie potrzebują, że się same umieją modlić i do cerkwi nie pójdą. Rozgniewany kazał diakom i służbie z klasztoru je wyprowadzić i gwałtem pędzić do cerkwi, a gdy się siostry opierały, zaczęto je okrutnie bić i mordować, tak że prawie wszystkie były pokaleczone i krwią oblane. Przełożona została tak silnie uderzona w głowę, że czaszkę jej rozbito. Rany w głowie były głębokie i w braku lekarza długi czas zaległo się w nich robactwo. Ślad ich widoczny pozostał.

Tak je katując, popychano je ku cerkwi, przed którą stał Siemiaszko krzyżami i orderami okryty i całem swoim duchowieństwem otoczony, przypatrując się spokojnie biciu zakonnic. Na dziedzińcu przed cerkwią, robotnicy obrabiali drzewo do budowy, przełożona kazała jednej z zakonnic zatoczyć kłoczek drzewa przede drzwiami cerkwi, a sama porwała topór z rąk cieśli

i rozkazawszy siostrze ukłęknać przy kłocu, podała topór Siemiaszce w te do niego wołając słowa:

— Byłeś naszym pasterzem, bądź teraz katem; my do cerkwi nie wejdziemy, poucinaj nam głowy i wrzuć je tam, bo nogi nasze progu jej nie przejdą.

Siemiaszko pieniać się od wściekłości, jedną ręką wytrąca jej topór, który padając na ziemię, kaleczy nogę innej zakonnicy, a drugą z całej siły uderza w twarz. Przełożona czując coś na języku, wydobywa zęb wybity i pokazując go Siemiaszce rzecze:

— Tyłu cię cesarz orderami ozdobił, tyle na tobie błyszczą kamieni, zawiesz jeszcze i ten ząb, będzie on największą twoją ozdobą!

Znowu ją apostata uderzył po ręce, ząb daleko w wiory odleciał, a sam od złości osłabł i belkocząc coś, zaczął się chwiać, popi wstrzymali go upadającego i zanieśli go do cerkwi, a przełożona kazała siostrze powracać śród śpiewu: Ciebie o Boże chwalimy! co zwykły czynić po każdym cierpieniu. Wracali spokojnie do klasztoru wśród płaczu i jęku zgromadzonego ludu. Siemiaszko, który za każdym swym zakonnicę nawiedzeniem najwięcej dręczył, lżył i policzkował przełożoną, wpadł w takie zapomnienia, iż gdy mu ta raz powiedziała, że go czeka piekło, jako odstępce i prześladowcę, odrzekł:

— Wiem, że pójdę do piekła, ale i was chciałbym tam pociągnąć!

Wspomnieliśmy, że zakonnice często cierpiały głód, że cierpienia ich znajdowały odgłos w sercach mieszkańców, a nawet jak widzieliśmy wzruszyły generała Magdynkowa. Żebraczki przychodzące po jałmużnę do monasteru, wspierały często siły upadające świątobliwych siostr, podaniem potajemnym kawałka chleba, a zdarzało się niekiedy, że cnotliwe obywatelki przebrały się same za żebraczki, aby nieść zasilek i pociechę w tak wielkich utrapieniach i oglądać święte męczennic oblicza. Z tych jedna, pani Jakobińska odkryta, porwana gdzieś została zawieziona i od tego czasu o niej ani słychać. Obywatel jeden przebrany za włościanina razu jednego obecny

chłöße, wzruszony zdradził się wykrzyknikiem: O Boże! Kiedyż się ulitujesz nad nami! Pochwycono go natychmiast i bez żadnego sądu posłano na Syberyę.

Bogaci i mający znaczenie krewni siostr niektórych, wstawiali się za nimi do cesarza, ten prośby odsyłał do Siemiaszki, który zawsze uwiadamiając je o tem, lżył, pluł i bił; w takiej to okoliczności strząsnął pięścią jednej siostrze kość nosową.

Wszakże były przypadki, w których Michalewicz pozwalał Czernicom przyjmować przysyłane przez możniejszych obywateli z drugiego brzegu Dźwiny, czyli przez polskich obywateli zapasy żywności i odzież, a nawet pieniądze dla biednych męczennic; ale dary te, lubo nigdy w całości dla nich nie dochodziły, musiały być dobrze opłacone, nim się do monasteru dostały. Tak więc do okrucieństw dodawano rabunek i kradzieże. Kiedy jednego roku przez wylanie na wiosnę Dźwiny, komunikacye z drugim brzegiem były przerwane, wszystkie zakonnice o mało nie były na śmierć zagłodzone. Po dwóch latach i trzech miesiącach w Spasie pod Połockiem, gdy coraz bardziej cała okolica losem nieszczęśliwych zaczęła się zajmować, uznano za potrzebę przenieść je do innego miejsca. Z 53 już ich tylko 23 było pozostało.

W gubernii mińskiej, powiecie wilizkim, leży między dwoma jeziorami miasteczko Miedzioły, dawniej własność Humnickich, dziś cesarskie. Był tu niegdyś kościół i klasztor Karmelitów wstawiony cudami i z dalekich stron odwiedzany. Dzisiaj miasteczko to, zamieszkałe przez niewielu biednych żydów, stoi pustkami; z kościoła zrobiono cerkiew, klasztor zajęły Czernice. Tu przeniesiono ze Spasy pod Połockiem pozostałe zakonnice. I tu za nimi pospieszył Michalewicz. Tu umieszczono je w izbach czeladnych i znowu oddano na ostatnie posługi Czernic. Między innemi kazano im wywozić gruzy dawnego klasztoru na pół zrujnowanego i stawiać z nich i innych materiałów oficyny dla Michalewicza.

Położenie miasteczka między jeziorami, podało temu bezennikowi myśl nowego sposobu dręczenia zakonnic: Rozłączono je na cztery oddziały i rozstawiono w rozmaitych miejscach nad jeziorem; przywołani popi i klerycy chodzili od jednego

oddziału do drugiego i starali się skłonić osobno każdy oddział do odszczepieństwa, wykrzykując: Oto widzicie, tamte zakonnice już się od was oddzieliły; już powróciły do dawnej wiary; więc i wy tak zróbcie! Wasza przełożona już przyjęła naszą wiarę, zapewne pójdziecie za jej przykładem.

Kiedy te kłamstwa nie zdołały zachwiać ich niezmiennych stałości, postanowiono pławić je na jeziorze. W tym celu wsadzono je w worki z rękami zawiązanymi i zarzucano im postronki na szyję. Koniec postronka trzymały diaki i płynąc po jeziorze czółnem, ciągniono je zanurzone w wodzie. Stojący na brzegu urzędnicy carscy i popi pytali się ciągle, czy chcą zmienić religię, a gdy jednakową zawsze otrzymywali odpowiedź kazali je zanurzać z głową, a Michalewicz krzyczał: *U t o p c i e j e j a k s z c z e n i a k i!*

Operacya ta trwała zwykle do dwóch godzin i powtarzała się w obec mieszkańców miasteczka trzy razy. Wydobyte z wody trzeźwiono taczając je na prześcieradłach, a potem nie pozwalając im nawet osuszyć się pędzono do roboty. Trzy zakonnice tym sposobem trzeźwione, nie mogły być do życia przywrócone; pochowano je na brzegu jeziora, a gdy nazajutrz jeden mieszczanin chciał ich zwłoki wydobyć i na właściwszem pochować miejscu, znalazł doły próżne. Nikt się nie mógł dowiedzieć, gdzie je ktoś pochował.

Assesor miedziolskiego okręgu Zaborowski, za to, że listownie sprawdził rzeczywistość tego pławienia zakonnice, w więzieniu zakończył życie.

Były marszałek gubernii mińskiej Wańkowicz za to, że w towarzystwie o tych okropnych mówił, wysłany został na Syberyę.

Nareszcie i Michalewicz spotkał w Miedziolach koniec jego godny. Oddany pijaństwu, spity, wywrócił się jednego razu wśród jasnego dnia w kałuży i błoto go zalało. Na szczęście że to widziano, bo gdyby tym sposobem w nocy szkaradny swój żywot był zakończył, wszystkie zakonnice byłyby uległy śledztwu i nowym męczarniom.

Po dwuletnim pobycie w Miedziolach, kiedy Czernice z powodu przybycia Siemiaszki gorzałką się spoily, udało się

siedmiu zakonnicom ująć czujności warty i ratować się ucieczką. (O tej ucieczce wspomina gazeta kolońska; inne opisy mówią tylko o późniejszej). Cztery inne, przełożona Mieczysławska, siostry Wawrzecka, Konarska i Pomarnacka zdołały uciec w Marcu tego roku w dniu imienin któregoś popa. Wszystko co żyło w monasterze, spojone gorzałką leżało jak bez duszy, te więc co miały dosyć siły ratowały się ucieczką. Zostawiły ośm sióstr bez oczu, którym ucieczka stawiała się niepodobną.

Inne zakonnice św. Bazylego w liczbie 120 spędzone były do Smoleńska a ztamtąd pognane na Syberyę, dokąd tylko mała ich część przybyła. O ile wiadomo, żadna Bazylianka nie przeszła na szyzmę.

Co do księży Bazylianów, tych część zamęczono; innych po wielkich próbach przeciągnięcia do szyzmy posłano w liczbie 346 na Syberyę. Z czterech ich opatów, oddanych na posługę do głównego połockiego monasteru, trzech: Bierzyńskiego, Żylińskiego i Żylewicza zmrożono zimą pod pompą, jednego: Zarzeckiego zabił diak uderzywszy polanem w głowę, za to, że za grubo drwa porąbał.

Michalewicz i Siemiaszko już na ziemi otrzymali zasłużoną karę: Nietylko okolice Mińska, Witebska i Połocka, nietylko cała Białaruś, ale cała Polska i Kościół przekazał ich imiona zlorzeczeniom najpóźniejszych pokoleń. Zatopienie się Michalewicza w kałuży, dziwnie odpowiadające pławieniu zakonnice, jest wskazówką jaki straszny sąd Boży go czeka, a twarz Siemiaszki, niegdyś piękna, zmieniona aż do niepoznania w potworną maskę, pozostanie w pamięci wiernego ludu jako dowód kary za to, że przekonaniu swemu tak ohydnie skłamał.

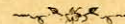
Ale Michalewicz i Siemiaszko, ludzie, jak zwykle uwiedzeni, zgryzotą sumienia już srogo ukarani, są tylko prostemi narzędziami głównego sprawcy tylu zbrodni. Nie możemy przypuszczać, iżby naród rosyjski podzielał przekonanie o potrzebie takich okrucieństw. Mikołaj nie ujdzie kary Bożej, ale do Rosyan należy pokazać światu, że nie są uczestnikami czynów, na które ludzkość klątwę rzuciła i uwolnić swój tron, swoją ojczyznę, swoją historję od tego haniebnego potworu.

PAMIĘTNIKI

kasztelana

Narcyza Olizara.

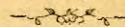
1831.



124364

PAMIĘTNIKI
kasztelana Narcyza Olizara.

1831.



ROZDZIAŁ I.

Wyjazd z Płocka. — Spotkanie się z Czerkiesami w Rypinie — Oficer Rozswietajew. — Zabranie papierów. — Zdrada. — Podróż z Rypina do obozu rosyjskiego. — Pobyt w obozie. — Wyjazd do Warszawy. — Powrót z drogi do obozu.

..... Wojska rosyjskie załazy już były Polskę, kiedy sejm zgromadził się w Płocku. Pośród ówczasowego stanu rzeczy nie można było myśleć o przedłużeniu wojny. Wszakże sejm nie rozpaczał o ojczyźnie. Uważał on za pierwszą powinność zachować się na koleje przyszłości i unieść na obcą ziemię złożony w sobie majestat narodowy i czuwać nad losem kraju, który na chwilę wolny, powierzył go jego patriotyzmowi. Słusznie spodziewano się, że przyjdzie czas, kiedy narody wstyd uczują za opuszczenie haniebne przedniej straży północnej, kiedy zawiedziona w swojej rachubie polityka żałować będzie bezwstydneho poświęcenia Polski, jeśli nie żądy, to przynajmniej nadziei pozyskania przyjaźni rosyjskiej i że wtedy

sejm, zachowawszy nietykalną istotę i godność swego charakteru, mógł będzie działać i przemawiać w imieniu narodu polskiego, z przekonaniem służenia mu użytecznie, z pewnością jego przyzwolenia i posłuszeństwa. Postanowił więc przenieść się za granicę i uchwalił komplet prawny trzydziestu trzech członków.

Przyrzekłszy sobie zjechać się w Krakowie, rozstaliśmy się w nadziei bliskiego widzenia i każdy z nas myślał, jak podróż tę przywieść do skutku. Jedni rozjechali się pojedynczo, inni w kilku, reszta trzymała się wojska cofającego się do Prus. Co do mnie, wyjechałem z Płocka dnia 23. Września 1831 r. około drugiej po południu w towarzystwie pana Wincentego Niemojowskiego,¹⁾ który mi ofiarował był miejsce w swoim powozie. Służący mój odjechał był kilkoma godzinami pierwszej z moimi końmi, wierzchowcem i z moimi rzeczami; nie wiem dotychczas co się z nim stało.

Po trzechletniej ciężkiej chorobie, nie przyszedłem był jeszcze do zdrowia, kiedy nasze powstanie wybuchnęło. Prace i niespokojność w czasie wojny, nie dozwoliły mi wyzdrowieć a kiedy klęski nasze zmusiły mnie opuścić nieszczęśliwą ziemię ojczystą, srogie troski moralne połączyły się z cierpieniami fizycznymi. Jaki los spotka moją ojczyznę, moją rodzinę! Moją ojczyznę, dla której wszystko poświęciłem! Moją rodzinę tak kochającą i kochaną, tak szczęśliwą, nim dla sprawy ojczystej naraziłem jej pomyślność, jej bezpieczeństwo! Te myśli rozdzierały mi serce; wpadłem w gorączkę, potrzebowałem nieco spoczynku, ale ponieważ niepodobna mi było odwlekać wyjazdu, nie chciałem się pozbawiać towarzystwa P. Niemojowskiego i pojechalśmy razem.

Zaledwie ujechalśmy milę, kiedy straciłem prawie przytomność, kiedy sen mój stał się marzeniem gorączkowym. Same widziadła rozpacz i przeczucia, na nieszczęście wnet sprawdzone, nasuwały się snom moim; widziałem Kozaków, szamo-

¹⁾ Minister spraw wewnętrznych, wice-prezes rządu narodowego, zakończył zasłużone życie w Moskwie.

tałem się z nimi, byłem w ich ręku, słowem gorączka tak mną miotła, że p. Niemojowski mnie przebudził i radził zatrzymać się przepręgę, gdzieśmy właśnie się zatrzymali. Pocztylion, który wracał drogą, którą mieliśmy przebywać, zapewnił nas, że w tej stronie nie było Rosyan; przyjąłem więc propozycję p. Niemojowskiego i przepędziliśmy noc w domu pocztmistrza. Ten to spoczynek, zresztą tak potrzebny dla mego zdrowia, zgubił nas. Obudziłem się wprawdzie mniej osłabiony, mniej cierpiący, ale droga bezpieczna wczoraj nie była nią dzisiaj.

Około południa przybyliśmy do Rypina, drugiej z kolei poczty. Mój towarzysz wysiadł z powozu i w kilka minut powrócił z wiadomością, że w Rypinie są Czerkiesi. Na mnie, co byłem tak osłabiony, wiadomość ta z razu nie wielkie uczyniła wrażenie; ale wnet widziałem całe niebezpieczeństwo naszego położenia i chciałem się o tem zapewnić, bo mój towarzysz mający słuch mocno osłabiony, mógł źle słyszeć, co mu powiedziano. Wysiadłem także z powozu dla rozmówienia się z pocztmistrem, ale zaledwieśmy weszli do domu pocztowego, ujrzelśmy trzech tych barbarzyńców wychodzących z poza stodoły na przeciw poczty i zmierzających wprost do naszego powozu. Zaczęli zrazu żywo rozmawiać z naszym służącym pokazując na nasze tłumoki i dotykając ich, a potem weszli na pocztę. P. Niemojowski przechadzał się zamyślony, jak gdyby go nic nie powinno było niepokoić; ja dla braku sił rzuciłem się na sofę, gdzie zdawałem się odpoczywać. Nasza pozorna spokojność musiała niewątpliwie uderzyć Czerkiesów, ponieważ wchodząc i nim nas zapytali, kto jesteśmy, pozejmowali czapki i pozdrowili nas z uszanowaniem. Podjąłem się odpowiadać na zapytania, tem bardziej, że mój towarzysz mocno nie dosłyszał i ani słowa po rosyjsku nie umiał. Nie uszło mojej baczności wrażenie, jakie na tych ludziach uczyniły nasz powóz i nasza spokojność. Chciałem z tego korzystać i zamiast im odpowiedzieć, sam ich zapytałem, jakim prawem przychodzą zadawać zapytania podróżnym, którzy zapewne nie mają się czego obawiać, kiedy do podróży swojej używają poczty. Tak zagadnieni po rosyjsku, musieli się zmieszać, bo się oddalili

z oznaką jeszcze większego niż pierwszej uszanowania, co ich wszakże nie wstrzymało od przyjęcia kilku sztuk monety, które im dałem, mówiąc aby się napili za nasze zdrowie. Jak tylko odeszli, rzuciłem się znowu na sofę, zmęczony wysileniem się na tę rozmowę.

Zdawało się, żeśmy ocaleni, ale trzeba było odjeżdżać jak najprędzej; prosiliśmy więc pocztmistrza, aby nam spiesźnie kazał przeprząść konie. Na nieszczęście nie było koni w tej chwili na poczie i dopiero za godzinę obiecano nam przeprząg. Za godzinę! W naszym położeniu jakże to długo! W takim razie mówię, zatrzymajmy konie, któremiśmy przyjechali i odjeżdżajmy. To mówiąc spojrzałem na powóz. Jakiż bolesny widok! Powóz już stał sam, bez koni a pocztylion już odjechał. Co tu począć? Najmniejsza zwłoka mogła nas zgubić. Prosiłem pisarza poczty, aby pobiegł za postylionem; a w kwadrans powrócił z wiadomością, że go nie mógł doścignąć, a tak co bądź nastąpi, zmuszeni byliśmy czekać.

Tymczasem przyszło do głowy naszemu służącemu porządkować rzeczy, które się znajdowały w naszym powozie. Przez jakąś fatalność wydobyl i wystawił na widok przechodzących kapelusz stósowany i szpadę p. Niemojowskiego. Nieszczęście chciało, że właśnie w tej chwili przechodził Czerkies i te, tak rażące wzrok rzeczy, spostrzegł. Jak gdyby mu się w oczach rozjaśniało, pobiegł natychmiast do swoich towarzyszków, opowiedział im co widział i przyszedł do nas z trzema innymi. Tym razem przyszli do pokoju pocztowego w czapkach i zapytali nas tonem hardym, kto jesteśmy. Przyszli zapytywać się o to samo, o co zapytywali nieco pierwszej, ale nie był to już ten sam ton, ten sam wzrok, ta sama postawa.

Wiedziałem, że im potrzeba odpowiedzieć szybko i nie dać im powodu do najmniejszego powątpiewania; udałem, że nie spostrzegam w nich żadnej zmiany i taką samą, jak pierwszej odpowiedzią, chciałem pozbyć się ich. Udało mi się otrzymać od nich tylko więcej grzeczności. Kiedy chciałem od nich wiedzieć, jakim prawem zadają nam pytania, odpowiedzieli:

— Wielono (kazano).

— Dobrze — rzekłem im — dowiemy się później od waszego generała, czy macie rozkaz niepokoić podróżnych na wielkim gościńcu a na teraz odpowiadam wam, że jesteśmy tutajszymi obywatelami i że wyjechaliśmy z Płocka, bo tam co chwila może być wojna. Ponieważ odeszli po tej odpowiedzi, myślałem że na niej poprzestali i że jeszcze raz skończyło się tylko na niespokojności, ale przy drzwiach zatrzymali się zrobili po cichu naradę, a potem jeden z nich zwraca się ku mnie i pokazując nieszczęśliwy kapelusz, zawsze na koźle powozu na widok wystawiony — rzecze:

— Jesteście wojskowi.

Napróżno zapewniałem go co było prawdą, że kapelusz i szpada należą do munduru cywilnego, nie mogło ich przekonać. Powiedzieli nam wręcz, że nie mogą brać na siebie odpowiedzialności i pozwalają nam jechać dalej, muszą o nas uwiadomić swego oficera. To, rzekłem, nie może nas zstraszać, bo pokażemy że nie jesteśmy wojskowi, ale to nam zwleczę podróż i sprawi nam nieprzyjemność zostawiania tutaj bez potrzeby. To mówiąc brałem się na sposób, zawsze prawie nieomylny, kiedy się ma do czynienia z Moskalami: chciałem, żeby przyjęli pieniądze, ale boleśnie nie było widzieć, że są nieugięci. Nakoniec wyszli do sieni i posłali jednego z pośród siebie po oficera. Korzystałem z ich nieobecności i zniszczyłem moje papiery; co nie trudno mi było uczynić, bo miałem przy sobie tylko paszport, moje nominacje na senatora i na krzyż wojskowy. Towarzysz mój mniej był szczęśliwy, bo zaledwie go namówiłem, żeby papiery zniszczył, oficer wszedł.

W minie tego nowego inkwizytora nie było nic pocieszającego. Nazywał on się Rozswietajew; był to człowiek przystojny, ale cera blada i twarz zużyta, wzrok niepewny i strudzony, podbite oko, znak widoczny niedawnej bijatyki, zapowiadały odrazu, że to albo pijak, albo człowiek rozpustny. Jego głos i poruszenia, popierały zresztą ten domysł. Wszedł do pokoju nagle, zmierzył nas od stóp do głów i bez najmniejszego powitania, zawołał jeszcze przy drzwiach:

— Kto jesteście?

Zbliżyłem się do niego i powtórzyłem co do słowa to samo,
Bronikowski, Pamięt. polskie.

co powiedziałem był jego żołnierzom. Kiedy do niego mówiłem wpatrywał się we mnie z nieufnością a na zwiędłej twarzy jego pokazał się uśmiech zimny i szyderski. Kiedym mówić przestał, zawołał głosem dzikim:

— Wasze papiery!

Właśnie żądania naszych papierów najwięcej się obawiałem, pan Niemojowski miał ich pełne kieszenie. Wszelkie protestacye nie pomogły; trzeba było je oddać, bo Czerkies zagroził, że nas każe rozebrać. Ale jak powiedziano, wszystko na świecie ma stronę śmieszną i tu zaczęła się scena prawdziwie śmieszna. Kiedy pan Niemojowski papiery swoje już oddał, Czerkies który ich nigdy tyle razem nie widział, w tak ważnym przypadku nasunął czapkę na uszy, zasiadł przy stole i zaczął wszystkie z kolei papiery na wszystkie strony obracać i oglądać.

Po tym pierwszym, oczywiście bezskutecznym przeglądzie oficer chciał przystąpić niby do porządniejszego rozpatrzenia się w papierach; brał więc z kolei jeden po drugim i przypatrywał się każdej sztuce oczyma, które nic nie widziały, bo czytać nie umiejac, żadnego napisanego wyrazu zrozumieć nie mógł. Nagle przychodzi mu myśl szczęśliwa, zaczyna swój przegląd po raz trzeci i znowu z kolei zapytuje nas o znaczenie każdego papieru; odpowiadaliśmy, co nam się podobało odpowiedzieć, a po każdej naszej odpowiedzi zadowolniony, odkładał papier na stronę mówiąc:

— To nic.

Dopóty wszystko szło bardzo dobrze, niewiadomość oficera dziwnie nam służyła, najniebezpieczniejsze przeszły przez jego ręce i otrzymały zupełne rozgrzeszenie. Należało nam sądzić, żeśmy ocaleni i może bylibyśmy z tego śledztwa wyszli bez pieczeni, gdyby mój towarzysz same tylko papiery miał być przy sobie; ale w papierach znalazło się kilkanaście kart wizytowych, o których p. Rozswietajew miał na nieszczęście swoje własne wyobrażenie.

— Cóż to takiego? — rzekł — biorąc do ręki te nieszczęsne karty.

Objawiłem mu ich znaczenie.

— Dobrze, dobrze — odpowiedział złośliwie — nie tak łatwo oszukać Rozswietajewa; wiem ja co te kartki znaczą, jużem ja je widział nie u jednego buntownika.

Głupiec ten widział w kartach wizytowych jakieś znaki powstańców. Ponieważ los nasz od jego przywidzeń zależał, musiałem się wstrzymać od śmiechu i z całą wymową objaśniać mu przeznaczenie wcale niebojowe, cel wcale niewinny kart wizytowych. Przekonywanie to nie było łatwe, w końcu jednak zdawało się że zrozumiał, bo przystąpił do dalszego badania papierów. Ale po kartach wizytowych przyszła kolej na mapę.

— Aha! — zawołał cały zdziwiony — mapa! mapa! To wy generałowie.

Zaczelśmy mu tłumaczyć, że takie mapy kraju sprzedają się wszędzie, że każdy może je kupować czy to dla nauki, czy dla podróżowania, że gdyby do zostania generałem tylko mapy potrzeba było, wszyscy ludzie i on sam z oficera natychmiast i to bardzo tanio mógłby zostać generałem. Słowem przekonywaliśmy go najlepszymi dowodami, ale nasz inkwizytor trwał uporczywie przy swoim zdaniu i na krok nie chciał ustąpić, Zapewne z powodu tej mapy musiał rzucić podejrzenie na karty wizytowe.

Po tak zabawnem śledztwie papierów p. Niemojowskiiego, zażądał ich odemnie.

— Nie mam żadnych -- odpowiedziałem.

— Nie żartujcie i pokażcie je natychmiast.

— Powtarzam, że nie mam żadnego papieru.

— Zobaczymy.

To mówiąc powstał i postąpił ku mnie. Widziałem, że się zabierał szukać mi po kieszeniach; myśl ta oburzyła mnie i sam do niego się zbliżyłem.

— Kiedy wam mówię — zawołałem — że nie mam papierów, powinniście mi wierzyć; pomyślcie na co się odważacie!

Rozswietajew nie musiał być bardzo pewny swojej władzy śledzenia nas, bo nie posuwał dalej swego nalegania, radził mi tylko nie ukrywać, jeśli sam sobie szkodzić nie chce. Powtórzyłem mu, że nie mam żadnych papierów.

— Wierzę wam — rzekł — jednak muszę was zaprowadzić do obozu rosyjskiego.

To mówiąc wyszedł, zostawując mocną straż.

Pozbyłem się był wprawdzie papierów, ale miałem jeszcze krzyż w kieszeni, o którym zapomniałem. Zaledwie oficer wyszedł, kiedy go sobie przypomniałem. Z tego co się działo mogłem wnosić, jak było ważną rzeczą pozbyć się go natychmiast. Pisarz pocztowy wszedł do pokoju, korzystałem więc z chwili, kiedy pilnujący nas żołnierze w inną stronę patrzyli, pokazałem mu krzyż chcąc go oddać, ale on zamiast go odebrać, w tył odskoczył; zwróciło to uwagę straży i jeden z żołnierzy zapytał, co chce od pisarza. Co tu było odpowiedzieć? Pisarz zapytany, mógł mnie być zdradzić, krzyż był jeszcze w moim ręku, a oczy wszystkich na mnie były zwrócone! Na szczęście młoda wieśniaczka, która przy drzwiach otwartych obierała jarzynę, widziała co się działo między mną a pisarzem, odgadła moją niespokojność i zerwała się, żeby mnie z niej wyprowadzić.

— Gdzie moje wiadro! Moje wiadro — zawołała — i wiadra szukając, przecisnęła się przez straż jak błyskawica, obezšla prędko pokój, przybliżyła się do mnie, pochwyciła ukradkiem moją rękę, porwała krzyż i znikła. Najbieglejszy kuglarz nie byłby się zręczniejszym sprawił; jakoż nikt nie spostrzegł co uczyniła. Po tej szczęśliwej scenie, która ledwie kilka sekund trwała, odpowiedziałem straży, że nie miałem nic do powiedzenia pisarzowi. Przystano na tej odpowiedzi.

Prawie w kwadrans po wyjściu oficera przyszła jakaś żydówka. Czerkiesi wzbraniłi jej przyjść do nas, ale ona powiedziała im kilka słów po cichu i natychmiast zdawali się zezwalać jej na wszystko. Usiedli znowu na ławce, a żydówka zbliżywszy się do mnie rzekła:

— Chciałabym z panem pomówić na osobności.

— Zdaje mi się, że nie mamy z sobą nic do czynienia.

— Proszę, niech mi pan pozwoli chwilę rozmowy; nie będzie pan tego żałował.

To mówiąc, jak gdyby pewna skutku swoich słów wzięła mnie pod rękę i zaprowadziła do gabinetu, stykającego się

z pokojem. Nie było mi tajno, że żydzi, ile razy mogą stają się że tak powiem faktorami wszelkich interesów zakazanych. W mojem położeniu cóż miałem doważenia? Nie opierałem się więc żydówce. Czerkiesi powinni byli nas zatrzymać, ale bynajmniej; pozwolili nam wniknąć do gabinetu i zamknąć się tak spokojni, jak gdybym pod ich straż nie był oddany. Jakież to słowo czarodziejskie uczyniło ich tak powolnymi? Widocznie musiała do nich przemówić w imieniu oficera, któremu dosyć było zamknąć oczy na chwilę, abyśmy byli wolni; zapewne chciał on sprzedać swoją grzeczność i wysłać tę kobietę, aby dobić targu. Te uwagi przesunęły mi się przez głowę, kiedy żydówka głosem przymilonym i westchnawszy rzekła:

— Jakże ja nad Panem boleję! Pan jesteś młody, widzę żeś słaby; chciałabym was wybawić i mogę, jeśli Pan zechcesz.

— Jak to! mów jaśniej co chcesz powiedzieć.

— Oficer ten mieszka u mnie, mówiłam mu o panach, wystawiłam mu nieszczeście jakie was czeka, łatwość z jaką może was uwolnić bez narażenia się; w końcu zrobiłam, że nie wzbraniał odjazdu obu panom. Pozwala na to, jeśli mu panowie dadzą 50 dukatów.

— A jeśli weźmie pieniądze i nie wypuści nas?

— Nie! tego się nie bójcie, wie on bardzo dobrze, że gdyby to uczynił, nikt nie ufałby mu na przyszłość i nie dałby pieniędzy z góry.

Uwaga zdawała się być słuszną; zresztą żądano za tak wielką usługę nie wiele, i natychmiast dałem żydówce 50 dukatów. Pobiegła z niemi a ja powróciłem do pokoju.

Twarze Czerkiesów zdawały mi się nie tyle co pierwszej surowe, a jeden z nich zaczął nawet ze mną rozmawiać. Zdawało mi się, że ta grzeczność była dobrą wróżbą; może, mówiłem sobie, ludzie ci są w porozumieniu, może nie raz już widzieli jak oficer ich podobne robił targi, może nie uważają nas już za swoich więźniów i może nie byłiby od tego, przyjmując na pożegnanie z nami wspaniałą datek na wódkę. Tymczasem chwile upływały, nasze położenie nie zmieniło się, a jednak nie mieliśmy ani cienia podejrzenia. W końcu dopiero dwóch

wielkich godzin ujrzelśmy oficera z całą swoją załogą (18 ludzi). Tłumaczyłem sobie to wystąpienie, że zgromadził wszystkich swoich żołnierzy, ażeby ich z przed widoku naszego usunąć i że przyszedł nas niejako zawiadomić, że po jego odejściu, możemy się oddalić. W istocie wszedł do pokoju, ale tylko aby nam zwyczajnym sobie tonem, pokazując na powóz, powiedzieć:

— No panowie, trzeba wsiadać!

Zdziwiony, bliżam się do niego i po cichu przypominam mu zobowiązanie w jego imieniu przez żydówkę uczynione.

— Zaczekajcie przecie trocha — odpowiedział mi także na pół głośno i jak na niego prawdziwie grzeczenie.

Te wyrazy i ten ton uspokoiły mnie; wsiedliśmy i ruszyliśmy w drogę. Przejeżdżając przez miasteczko, oficer kazał się zatrzymać przed domem żydówki, prosił mnie wysiąść, kazał przynieść butelkę kwaśnego wina i zaprosił mnie pić z sobą. Otóż, pomyślałem szczęśliwa chwila naszego uwolnienia i ażeby nie obrazić mego wybawcę, wychyliłem duszkiem szkaradny napój. Przy drugiej szklance, rzekłem mu:

— Piję pana zdrowie na pożegnanie!

— Nie jeszcze, ale wkrótce — odpowiedział wychodząc.

Chciałem wejść do drugiej izby, gdzie była żydówka, żołnierz tuż był za mną, widziałem, że ciągle jestem pod wartą, ostrożność dziwna z człowiekiem, któremu się ma ułatwić ucieczkę. To mnie uczyniło niespokojnym.

— A cóż — rzekłem do żydówki — czy nie mówiłem, że weźmie okup i nie uwolni nas?

— Myli się pan — odpowiedziała — pozwoli panom uciec w drodze. Czyż może uwalniać panów wobec wszystkich żołnierzy?

Na taką uwagę ani słowa nie można było powiedzieć; wsiadłem do powozu i ruszyliśmy dalej.

— Zamiast do Paryża, pojedziemy do Tobolska, rzekł do mnie towarzysz wspólnej doli. Jest to jedno nieszczęście więcej, dodał z westchnieniem, przygotowany na to jestem.

Przewidywanie bardzo prawdopodobne tego enotliwego męża, który już tyle był cierpiał, zrobiło na mnie wrażenie,

boleśniejsze nad wszelkie wyrazy. Zacząłem go pocieszać, ale natychmiast mi przerwał:

— Nie, nie — rzekł — nie staraj się budzić we mnie nadzieję, której sam nie masz, a która się pewnie nie sprawdzi. Znam Rossyan, wiem co nas od nich czeka. Poddaję się mojemu przeznaczeniu. Jeśliby kiedyś mogli nam przebaczyć nasze postępowanie, w ich oczach zbrodnicze, to nie pierwszej aż po wystawieniu nas na długie i srogie cierpienia. Nie mów mi więc o nadziei; lepiej przyzwyczaić się do patrzenia na obraz niechybnego nieszczęścia i czekać na ten widok, niż ujrzeć go nagle wśród złudzeń: cios byłby zbyt okropny! Uwaga ta bardzo słuszna, zamknęła mi usta; miałem jednak zawsze nadzieję, że oficer nie złamie swego zobowiązania, przypomniałem sobie rozumowanie żydówki i wiedziałem, że w ogólności Rosyanie dotrzymują obietnicy u nich kupionej, jeśli im kto więcej nie zapłaci. To wszystko spowodowało mnie do przypominania kilkakrotnie oficerowi danej obietnicy, ale mi nie przestawał powtarzać swoje nieszczęśliwe „Pogadite, Czekajcie!“

We dwie godziny przybyliśmy do wioski. Właściciel, któregośmy na przechadzce spotkali, rzucił na nas wzrok przenikliwy i zaprosił oficera do swego mieszkania wraz z żołnierzami i jeńcami.

— Najchętniej — rzekł Rozswietajew.

Tu może pomyślałem, pozwoli nam umknąć, może go wzruszą nowe przedstawienia, może go nakłoni obywatel, który zdaje nam się być życzliwy. Prózna nadzieja! P. Rozswietajew wszedł sam, a nam kazał dalej jechać.

Gdy już się dobrze zmierzchno, przybyliśmy do innej wsi, gdzie przewodnik nasz postanowił noc przepędzić. Wysadził nas w domu pani, która jeśli się nie mylę, nazywała się Müller. Była to Prusaczka i trzymała tę wieś w dzierżawie. Oficer powitał ją jako dawną znajomość, jednak nie musiał bardzo ufać jej przyjaźni, kiedy żołnierzom kazał pójść za nami do pokoju.

Nie chcąc żeby nas straż rozumiała, przemówiłem do gospodyni domu po niemiecku i prosiłem, żeby mi wskazała wyjście ułatwiające nam ucieczkę. Nic nie było snadniejszego, bo jak

się później dowiedziałem, granica pruska była od tego domu o kroków dwadzieścia; ale Niemka nie chciała o niczem słyszeć; kazała nam tylko zastawić mizerne jedzenie i zostawiła nas z żołnierzami.

Zacząłem mocniej niedowierzać oficerowi, wymawiałem mu jego niesłowność, powiedziałem, że go Bóg skaże, że nie zobaczy swojej rodziny i już nie pamiętam wiele innych wyrzutów; wszystko w tem rozumieniu, że to uczyni wrażenie na umyśle nieoświeconym, ale może niezupełnie zepsutym.

Tak łajany, zmieszał się na chwilę, ale potem, jak gdyby się wstydził pocziwego wzruszenia, rzekł tonem najnaturalniejszym:

— Słuchajcie, uwolnię was; ale wiecie że się narażam na wiele a wy daliście mi za mało; a w walizie waszej widziałem pieniądze, dodajcie 150 dukatów i 50 dukatów dla żołnierzy, aby nie nie mówili.

To jego żądanie zdawało mi się naturalne.

— Pieniądze, któreście widzieli — odpowiedziałem mu — są własnością mojego towarzysza; muszę więc z nim o waszem żądaniu pomówić.

Oficer wyszedł, chcąc nas zostawić samych.

Pan Niemojowski nie chciał zrazu ani słyszeć o tej propozycji, uważał bowiem oficera za zdrajcę, starającego się wyłudzić od nas jak najwięcej pieniędzy, a niemniej dla tego zdecydowanego oddać nas zemście Rosyan.

— Może się nie mylisz, odpowiadałem mu, ale zastanów się nad tem; jeśli mu damy jeszcze 150 dukatów, może nas wypuści i ocalimy resztę: jeśli mu odmówimy, pewnie stracimy wszystko i siebie samych.

Zniewolony moimi dowodami, p. Niemojowski zezwolił na tę małą ofiarę, oświadczając jednak, że nie przewiduje jej dobrego skutku.

Chociaż prawie tego samego byłem zdania, nie chciałem zaniedbać jedyne go pozostałego nam ratunku. Spieszno nam było odpowiedzieć oficerowi, godzina upłynęła jeszcze się nie pokazywał; nie mogłem wytrzymać, wyszedłem szukać go, Czerkies mnie nie odstępował.

Zastałem oficera na pierwszym piętrze przeglądającego papiery p. Niemojowskiego z pomocą syna gospodyni, który mu je zapewne czytał i tłumaczył i który zaraz wyszedł jak mnie tylko zobaczył.

Oficer nie taił radości i dowiedziawszy się, że p. Niemojewski zezwala, poprosił go na górę, przyjął dukaty, kazał wyjść żołnierzowi i z wielkiem mojem zadziwieniem zaczął się rozbierać mówiąc do nas, abyśmy się także spać położyli.

— Ale — rzekłem — kiedyż nas wypuścicie?

— Jutro z rana; poszlę oddział naprzód, rozeszlę na patrol prawie wszystkich żołnierzy, zostawię tylko ludzi pewnych którym dam pieniędzy, wy pojedziecie, gdzie zechcecie, a ja będę się usprawiedliwiał z waszej ucieczki, jak mi się będzie podobało.

Jeśli plan taki nie był zły, zwłoka była zawsze podejrzana; tymczasem trzeba było czekać. Nie mogąc oka ani zmrużyć i słysząc, że nasz stróż chrapi, wstałem około północy i zaszedłem aż do drzwi, które wychodziły na podwórze; drzwi były na pół otwarte, ale kilku Czerkiesów przechodziło się po dziedzińcu, powróciłem na górę, dwa okna wychodziły także na dziedziniec, nie było żadnego innego wyjścia, położyłem się znowu i strudzony i zmartwiony.

O świcie oficer wyszedł, mówiąc że się zajmie rozesłaniem żołnierzy: w godzinę powrócił, oddał nam zabrane papiery, uwiadomił nas, że powóz już zaprzężony i pożegnał się z nami.

— Zostawiam wam — dodał — ludzi, którzy bronić was będą, w razie gdybyście spotkali Rosyan, ale także dajcie mi przyrzeczenie, że ich bronić będziecie, jeśli napotkacie Polaków.

Dalem mu słowo, a on odjechał galopem, nie dając mi nawet chwili czasu do powiedzenia mu, że nie potrzebujemy eskorty.

Gospodyni domu, jej syn, stary jakiś Niemiec, w tym samym domu mieszkający, przyszli wieszować nam szczęśliwego uwolnienia i to z takim wzruszeniem, z takim wyrazem radości, tak czule, że mi sobie pozostałe jeszcze o nich podejrzenie w duszy wyrzucał.

W drodze miałem sposobność podziwiania zmyślności a raczej instynktu naszych stróżów. Ich wzrok przenikliwy spostrzegał z daleka najmniejsze przedmioty; ich słuch chwycił najsłabsze głosy, podczas kiedy my ani nie wiedzieli, ani nie słyszeli.

Gdzie tylko doskonalsze ich zmysły, jaki powód do ostrożności odkrywały, natychmiast nężyli wzrok i nadstawiali uszy; zdawało się, że węchem dochodzą niebezpieczeństwa i unikają go z szybkością i zmyślnością dzikich ludzi.

Po czterogodzinnej utrudzającej, przez lasy i jakieś drożyny dalekie od bitej drogi, podróży, ujrzyliśmy miasto Toruń, odległe od nas o pół mili. Widok tego miasta rozprószył podejrzenie mojego towarzysza; jużśmy sobie winszowali końca tej niewoli, kiedy służący na koźle zawołał:

— Zdradzili nas, jedziemy prosto do obozu rosyjskiego!

Oślupiałem na te słowa, wychyliłem głowę z powozu, byliśmy tuż nad Wisłą, Czerkiesi, z którymiśmy się rano rozstali, pokazali się o 30 kroków przed nami, a na przeciwnym brzegu można było widzieć obóz rosyjski. O kilka kroków od nas był znak graniczny pruski.

— Gdzie wasz oficer! — zapytałem z żywością Czerkiesów.

— Poszedł — odpowiedział z nich jeden — szukać miejsca bezpiecznego do wypuszczenia was, tak, ażeby was z obozu nie widziano.

Kłamstwo było zbyt widoczne; nie było potrzeby podwozić nas pod sam obóz, gdyby nie chcieli nas zdradzać.

Otworzyłem nagle drzwiczki od powozu i chciałem wyskoczyć, aby się dostać na stronę pruską. Czerkiesi przyskoczyli natychmiast, zatrzaśli je napowrót i od tej chwili nie odpowiadali ani słowa na wszystkie moje pytania. Zatrzymano powóz nad brzegiem rzeki.

Upłynęło pół godziny, nim prom, do którego nam wsiąść kazano, przybił do brzegu. Wysiadając z powozu pobiegliśmy o kilka kroków ku granicy i przebyliśmy ją pierw jeszcze, nim się warta spostrzegła. Widząc nas na ziemi, która miała być neutralną, myśleliśmy, żeśmy się ocalili; ale neutralność

pruska podobna była zupełnie do pocziwości p. Rozswietajewa. Kilku oficerów pruskich obecnych tam, z obowiązku i ludzkości powinno nas było bronić; zamas tego niecni skryli się do bliższej budy, z której patrzyli, że się nie wymkniemy.

Tak więc aresztowani byliśmy przez żołnierzy rosyjskich na ziemi pruskiej bez żadnego oporu zwierzchności pruskiej, a nawet możemy powiedzieć z jej potajemnem przyzwoleniem.

Odprowadzono nas napowrót przez granicę i kazano nam wsiąść do promu. W połowie bardzo w tem miejscu szerokiej rzeki, zbliżyło się do nas czołno, które odbiło od tego miejsca brzegu, gdzie się znajdowała owa buda, w której się byli skryli oficerowie pruscy; ta okoliczność zasługuje na uwagę: Rozswietajew i inny oficer rosyjski wskoczyli z tego czołna do naszego promu. Pomimo swojej bezczelności i zepsucia, Rozswietajew nie wiedział co z sobą uczynić; unikał naszego wzroku, spuszczał oczy na ziemię i krył się za powozem, który z nami znajdował się na promie. Litowaliśmy się nad nieszczęśliwym!

Drugi oficer wydawał się wcale inny. Pierwsze zaraz spojrzenie dobrze o nim uprzedzało; wzrok miał łagodny i spokojny, wyraz twarzy otwarty i życzliwy, i ta szczęśliwa fizyognomia wyrażała dla nas prawdziwe współczucie.

Spostrzeżenie to nie czyniło mi wszakże żadnej nadziei, przy najlepszej chęci oficer ten nie dla nas uczynić nie mógł: doznawałem jednak jak gdyby ulgi, widząc między sobą a niekczemnym Rozswietajewem istotę, mającą kształty ludzkie i zdającą się mieć serce.

Wszedłszy na prom, młody oficer przywitał nas słowa jednak nie mówiąc; potem odwrócił się ku przewoźnikom, jak gdyby przypatrywać się ich wiosłowaniu. Kilka chwil upłynęło, zatopiony byłem w najsmutniejszych myślach, kiedy usłyszałem głos miły, odzywający się po polsku:

— Bądźcie panowie spokojni; nie taki djabeł straszny jak go malują.

Ocknąłem się, był to głos młodego oficera rosyjskiego; ten głos przyjacielski, ta mowa ojczysta, te słowa pocieszające, wzruszyły mnie do żywego; ale to wzruszenie przyjemne stało się przykrem, kiedy na człowieku mówiącym po polsku przy-

pomniłem mundur rossyjski! Czułem jednak potrzebę odpowiedzieć grzecznie na grzeczność, która zresztą zapowiadała uczucie ludzkie a nadewszystko widziałem, że mi należy zataić bolesne wrażenie; ale nie mogłem i musiałem zacząć od tych słów:

— Czy Pan Polak?

— Tak jest — odpowiedział tonem, którego nigdy nie zapomnę. Umilkł i widziałem, jak się na wyrazistej twarzy jego malowały: wstyd, zgryzota i bojaźń, aby go nie uważano. Żał mi go było i przerwałem milczenie przykre dla nas obu.

— Jaki to człowiek generał? — zapytałem.

— Nie zły — odpowiedział.

Ani ja, ani on nie mieliśmy odwagi prowadzić dalej rozmowy. Po nowej przerwie rozstaliśmy się i wnet prom przybił do brzegu, gdzie generał rossyjski Renne czekał nas otoczony swoim sztabem głównym.

Przewidywałem że będę musiał uleść śledztwu, a że ocenienie generała będzie wpływało na moje odpowiedzi, starałem się zbadać go ile możności zaraz z początku. Był to człowiek brzuchaty, puciołowaty; twarz jego skwitła i nabrzmiąta byłaby jednak była piękną i przyjemną, gdyby nieco duszy było się na niej malowało. Ale było wzór samolubstwa, było człowiek lubiący jak mówią żyć dobrze i mozem się nie mylił, śdym go osądził czulszym na dobrą biesiadę, niż na szczęście lub nieszczęście bliźniego. Nasz Judasz Rozswietajew pierwszy doświadczył jego grzeczności. Generał podał mu rękę, mówiąc z przymileniem:

— Jak się macie kochany Rozswietajewie?

Przeniewierca ten odpowiedział wyprężeniem się tak, iż się zdawało, że sobie połamie kości i przyłożeniem pełnem uszanowania ręki do czapki. Dopiero potem spojrzał na nas wzrokiem, który zdawał się mówić:

Generał ocenia dobrze moją zasługę, moją służbę, jakże wam się to zdaje?

Popatrzywszy się nieco na nas, pan generał zapytał o nasze nazwiska i stopnie. Cieszył się swoim tryumfem tak delikatnie, ton udanego politowania tak widocznie mówił: Po-

cóż daliście się schwytać, iż pomimo wszelkich niebezpieczeństw mojego położenia zabrakło mi cierpliwości. Byłem w przypadku prawie wyjątkowym, od początku powstania na Wołyniu, wyznaczono nagrodę na moją głowę; mogłem ją może ocalić ukrywając ją dłużej pod nazwiskiem Osieckiego, które przybrałem, kiedy wpadliśmy byli w ręce Czerkiesów; jednak nie można było być pewnym tego a zresztą wszystko co się pod moimi oczami działo, tak mi zbrzydziło życie, iż zamyśliłem nie chcieć przeżyć mojej ojczyzny; pragnąłem umrzeć. Zdawało mi się, że dosyć wymienić moje nazwisko, aby dopiąć tego celu. Gdy więc towarzysz mój paszport swój oddał a generał przeczytawszy go, z kolei mnie o nazwisko zapytał, odpowiedziałem:

— Jestem hrabia Olizar.

— Czy z Wołynia? — zapytał generał z pewnem upragnieniem, które zdawało się mówić: Ach! żeby to on był! —

— Tak — odpowiedziałem.

To suche tak może dla każdego innego byłoby odpowiedzią obrażającą, dla generała Renne przeciwnie było bardzo przyjemne; uradowany i z żywością, której się w nim nawet domyślać nie można było, pochwycił za guzik mego surduta i obracając się do pułkownika Melandersa, rzekł:

— Ot jewo derżył! (Tego mi trzymaj!)

To postępowanie brutalskie, ta radość dzika, obudziły we mnie niewypowiedzianą wzdargę, którą wyraziłem tylko wzrokiem utkwionym w tej twarzy rozkwitłej. Zrozumiał mnie zapewne, puścił guzik i odwrócił głowę.

Wież o aresztowaniu mnie rozeszła się z ust do ust po całym obozie; to wystawiło mnie na nową nieprzyjemność. Zaledwie bowiem generał mnie puścił, stanął przedemną kapitan Buturlin adjutant feldmarszałka Paszkiewicza. W szalonym gniewie młokos ten zawołał:

— Więc to wy narobiliście nam tyle złego?

— Czy wam wiele szkodziłem?

— Jakto! Dwa tygodnie byliśmy bez wiadomości od wielkiej armii i bez chleba!

Nie wiedziałem, że małe nasze powstanie wołyńskie tyle złego tym panom narobiło, rad byłem wiedzieć o tem i uśmiech zdradził moje uczucie. Uśmiech ten musiał jeszcze bardziej rozłożyć żal do nas mającego kapitana, bo ofuknął się i zawołał:

— A teraz uciekacie, czy to tu wasze miejsce?

— Bądźcie pewni — przerwałem mu — że wszędzie, gdzie bym się znajdował, umiałbym się znajdować na swoim miejscu i w jakim bądź, nawet najszcześniejszym znalazłbym się położeniu, umiałbym zawsze szanować nieszczęście.

Kapitan odwrócił się widocznie zmieszany, generał zbliżył się czy to umyślnie, czy przypadkowo i rzekł:

— Pułkowniku Melandersie, powierzam wam tych panów.

To powiedziawszy odszedł zostawiwszy nas z pułkownikiem, który zatrzymał przy sobie pana Niemojowskiego i zajął się rewizją jego powozu.

Co do mnie, dwóch oficerów zaprowadziło mnie do baraku; tam zapytali, czy nie mam jakich papierów przy sobie.

Nie przyszedłem był jeszcze do siebie po świeżych nieprzyzwoitościach, jakich się względem mnie dopuszczono i odpowiedziałem zimno:

— Niech mnie panowie zrewidują!

Tym razem przecież miałem do czynienia z ludźmi przyzwoitymi. Gdyby sceny poprzednie nie były zupełnie mojego umysłu zatrudniły, byłbym odrazu w samych rysach twarzy tych dwóch oficerów to widział, co chwilę później spostrzedz musiałem: zdawali się być i byli czuli na moje nieszczęście. Pojmowali moje położenie; jakoż zamiast oburzyć się na ton mojej odpowiedzi, odezwali się obadwa razem i z największą delikatnością:

— Ach! panie hrabio, poprzestajemy na twojem słowie.

Przyjemnie zdziwiony taką niespodziewaną grzecznością, przybrałem sam ton i postępowanie, od których ludzie przyzwoici w jakichbądź okolicznościach nie powinni odstępować i zapewnilem ich, że nie mam nic przy sobie, co było istotnie prawdą.

Dwaj młodzi oficerowie poprzestali na tem i odeszli.

Zostałem sam w tem więzieniu ze słomy; warta stała przy drzwiach baraku, druga była o kilka kroków dalej. Rzuciłem się był dopiero co na kupę siana, podpartą deskami, kiedy usłyszałem, że się ktoś do baraku zbliża; żołnierze sprezentowali broń, co mi zapowiadało odwiedziny jakiegoś wyższego oficera. Chciałem cokolwiek odpocząć i zamknąłem oczy umyślnie.

Był to pułkownik Melanders; zbliżył się do mojego łóżka a widząc, że nie otwieram oczu, odszedł na palcach. Prawie natychmiast słyszałem, jak do ucha pana Niemojowskiego krzyczał:

— Hrabia spi, żałuję, będzie miał nocleg bardzo przykry.

Z wzruszeniem, którego się doznaje, które się pojmuje tylko w takim położeniu, pomyślałem, otóż przynajmniej to człowiek! Chciałem mu być podziękować za współczucie; zerwałem się nawet i chciałem za nim wyjść, ale pomyślałem że mam wartę! Ta myśl mnie oburzyła, rzuciłem się na powrót na siano.

Bez narażania się na poniżenie, chciałem się dowiedzieć, czy będę mógł z baraku wychodzić, kiedy ten sam oficer, którego widziałem był na promie, nadszedł i zapewnił mnie, iż ile razy zechcę będę się mógł przechodzić po obozie. Korzystałem z tego pozwolenia bez żadnej innej nieprzyjemności, oprócz tej, że miałem zawsze za sobą żołnierza a obok siebie oficera; oficerowie byli nawet tyle grzeczni, że zawsze przychodzili do mnie, jak gdyby tylko do rozmawiania ze mną.

Po tych pierwszych odwiedzinach przybył inny oficer, który powiedział mi na pół głośno:

— Ale jakże pozwoliliście się panowie schwytać! Tuż blisko — dodał pokazując ręką — jest granica pruska tak blisko, że kiedy niedawno żołnierz uciekał, w oczach tych co za nim pobiegli, dostał się za granicę.

— Na nieszczęście nie umiem tak prędko biegać.

— To więc zaczekaj pan na noc, zrób sobie otwór w baraku, wszak to tylko słoma a w nocy wszystkie koty szare.

Dawszy mi taką radę spiesźnie wyszedł, dla tego zapewne, żeby nie wzbudzić podejrzenia. Wyszedłem za nim, niecierpliwie

rozpoznania miejsca i odległości od granicy pruskiej. W rzeczy samej było do niej zaledwie sto kroków.

Powróciwszy obejrzałem słabe drewniane ogrodzenie, na którym wspierał się barak słomiany i przekonałem się o łatwości zrobienia w nim wyjścia, aby tylko innej nie było przeszkody.

Moja ucieczka zdawała się być pewną i zacząłem nieco ufać przyszłości. Nagle koło południa pułkownik Melanders przysłał po mnie. Czego chce odemnie? Na jakież nowe mam być wystawiony próby? Czy przewidywałby mój zamiśl ucieczki? Czy nie zechce ściślej kazać mnie pilnować?

Temi myślami niepokojony, zaszedłem do niego. Dowiedziałem się, że zaprasza mię do siebie na obiad wraz z towarzyszem mojego nieszczęścia, lekarzem i popem pułkowym. Zaledwie siedliśmy do stołu, kiedy podoficer przyprowadził młodzieńca, ubranego po cywilnemu; był to, jak podoficer mówił, jeniec, który uciekł z obozu i którego komora pruska odsyła. Na znak pułkownika i podoficer, i ów jeniec oddalili się. Ta scena powinna była mię zmieszać; ale uważałem że pułkownik Melanders sam był zmieszany, z czego wnosilem że to była po prostu komedia, dlatego przez niego nakazana, aby mi odjąć wszelki zamiśl ucieczki; ale kiedy się na taki ze mną brał sposób, musiałem sądzić, że ucieczka do Prus nie była trudną. Zachowałem jednak minę, jaką okoliczność ta zdawała się nakazywać, byłem tylko smutny. Pułkownik nie zwracał ze mnie uwagi.

— Miej pan dobrą nadzieję — rzekł do mnie — cesarz jest łaskawy!... Ale dla czegoście panowie sami nie powrócili? Mogliście byli korzystać z amnestyi.

O tej amnestyi zupełnie byłem zapomniał, a chociaż nie bardzo jest roztropnie zawierzać w Rosyi temu politycznemu środkowi, tej politycznej łasce, jednak ostatnie słowa pułkownika dały mi do myślenia. Wiedziałem, że ulaskawieni wcześniej, czy później, pod tym lub owym pozorem znowu zwykle bywają prześladowani, ale zostawiają im przynajmniej kilka dni wolności, a właśnie teraz potrzebowałem jej przynajmniej na kilka godzin; zresztą gdyby mi się plan ucieczki z obozu

nie powiódł, amnestya była równie środkiem, którego w braku lepszego wolno było doświadczyć.

Zapewne użycie tego środka przeciwne było mojemu charakterowi, ale jakkolwiek to wiele kosztować mnie mogło, wieniem był tę ofiarę mojej rodzinie.

Dwie rzeczy przede wszystkim były do tego potrzebne: pozwolenie pisanja o amnestyę i pewnośc jej otrzymania. Zamiśl ucieczki więcej mi się podobał i chciałem pierwej doświadczyć, czy mi się nie uda. Niecierpliwie czekałem chwili powrotu do baraku, zapewnienia się czy w nim zamiślu mego nie odkryto i przyścia nocy. Zaraz po obiedzie powróciłem i nie znalazłem żadnego śladu rewizyi.

Ale dla więźnia oczekującego wolności, jakże godziny są długie!

Co chwila wychodziłem i powracałem, kładłem się i wstawałem; to pełen nadziei wszystko widziałem łatwe do wykonania, to w zwątpieniu tysiąc nieprzebytych przewidywałem trudności. W niecierpliwem oczekiwaniu nocy wpadałem w gorączkę.

Nakoniec zabłysła gwiazda wieczorna, uradowałem się gdy w tem pułkownik Melanders przysłał do mnie prosząc mnie na herbatę! Nigdy uprzejmość nie była niewczesniejszą.

Z tem wszystkiem należało chętnie przyjąć zaproszenie, jeśli chciałem, aby pomyślny skutek mego przedsięwzięcia nie był zwichnięty.

Zastałem tam już kilku oficerów, zaczęto grać w wista; ale jakąż zabawą mogły być dla mnie herbata, wist i rozmowa najwięcej nawet zajmująca?

W czasie mojej nieobecności barak będzie może zrewidowany, odkryją tam może moje przysposobienie do ucieczki, albo uczynią wykonanie zamiślu mego niepodobnem. Takimi zajęty domysłami pragnałem powrócić do baraku jak najprędzej, ale pod jakim pozorem? Wszystkie zdawały się niewłaściwe; w końcu udałem gwałtowny ból głowy i odszedłem. Nie spostrzegłem w baraku żadnej zmiany, nikt nie mógł się domyślać mego zamiślu, moich przygotowań, jeszcze kilka godzin a miałem nadzieję wydobyć się z rąk Rosyan! W uniesieniu ra-

dosnem padłem na kolana; nigdy nie modlono się do Przedwiecznego tak gorąco, tak szczerze. Ufałem, że modły moje będą wysłuchane a jednak nie byłem spokojny; ale nie bojaźń czyniła mnie niespokojnym, nie widziałem żadnych przeszkód, nie obawiałem się niczego, nie przewidywałem żadnych trudności. Cały zajęty ocaleniem głowy, spodziewałem się wiadomością o mojem ocaleniu przynieść pociechę rodzinie, która mnie miała za straconego, połączyć się z moimi ziomkami, podzielać ich los i z nimi myśleć o środkach służenia znowu naszej drogiej i nieszczęśliwej ojczyźnie. Któż może przewidzieć koleje, jakie przyszłość zachowuje dla naszych usiłowań? Polska mogła się jeszcze kiedyś podnieść, nie z większą odwagą, ale z większym skutkiem, a w mojem sercu polskiem miałem nadzieję, co większa, pewność, że my wygnańcy nie bylibyśmy obcy sławie tak wielkiego zdarzenia. Na mojem łożu niewoli zapominałem o niej porwany lotem dalekich i świetnych marzeń o przyszłości zgodnej z mojami najdroższymi życzeniami.

— Czy spi? — zapytał ktoś żołnierza stojącego na warcie. —

— Nie wiem — odpowiedziano mu.

Ta krótka rozmowa zepchnęła mnie nagle z obszaru złudzeń na dziedzinę smutnej rzeczywistości. Gdybym był spadł z nieba na ziemię cios nie byłby tak straszny; gdybym był śmiały, byłbym był płakał. Zebrałem siły myśląc, że to być mógł oficer, który pełni służbę. Zmrużyłem oczy, aby się go prędzej pozbyć; jakoż sądząc że śpię, położył się także na łożu drugiem niezajętym w baraku, zgasił świecę i zabrał się do spania.

Tak wielką czułem potrzebę nadziei, że i ta obecność oficera przestała mnie niepokoić. Cóż robić, pomyślałem, trzeba będzie czekać aż zaśnie i w istocie kwadrans nie upłynął, kiedy zaczął chrapać. Dalej więc! Teraz pora. Z sercem wzruszonym przyłożyłem rękę do czoła machinalnie, przeżegnałem się, zupełna rezygnacya, czyli raczej jakiś fatalizm ogarnął mnie całego, zapominałem o wszelkich przedsięwzięciach mojego niebezpieczeństwach, wstałem po cichu, dotykałem już rękoma słomianą tkanę baraku, kiedy usłyszałem krok jednostajny

kilku żołnierzy zbliżających się do baraku. Zatrzymałem się nieruchomy z rękoma wyciągniętymi, wstrzymując oddech. Żołnierze stali właśnie w miejscu, przez które wyjść miałem a podoficer poustawiał warty do koła, dając każdemu żołnierzowi rozkaz:

— Miej bacność, aby tą stroną nie wyszedł.

W tym samym czasie zapalono dwie latarnie, które oświeciły barak do koła.

Tak więc wszystko było skończone; widocznie myliłem się, sądząc że bezpiecznie mogłem myśleć o ucieczce; przewidywano, że będę o niej myślał i w braku murów otoczono mnie wartami, które mi odejmowały wszelką nadzieję. Jakże było mi boleśnie kłaść się na łożo, z którego dopiero co wstałem pewny bliskiego uwolnienia.

Zmuszony więc byłem myśleć o innym środku ratowania się. Zaraz z rana poszedłem do pułkownika i wystawiłem mu otwarcie mój projekt pisania o amnestyi, rozumie się nie mówiąc mu, jaki z niej uczynić użytek mam zamiar.

— Nie podobna mi będzie — odpowiedział generał — utrzymywać, żeś pan przybył dobrowolnie, to tylko uczynię, że nie będę zaprzeczał słów pana; idę natychmiast prosić generała, aby panu pozwolił pisać.

W rzeczy samej nazajutrz przyniósł mi sam wszystko, co było potrzeba do pisania z upoważnieniem od generała. Napisałem więc do W. Ks. Michała i do marszałka Paszkiewicza, iż pokładając zaufanie w amnestyi, puściłem się w drogę, chcąc się dobrowolnie stawić, co było poparte tą okolicznością, że nie miałem paszportu i że nie starałem się ukryć mego nazwiska. Prosiłem zatem o wypuszczenie mnie na wolność. Zdawało mi się, że skutek będzie nieomylny, jako naturalny dla każdego zwycięzcy, mającego serce ludzkie i nieco szlachetnego charakteru, jako polityczny dla każdego, ktoby miał dosyć rozsądku do chwytania wszelkich sposobów zmniejszenia liczby ofiar. P. Nie m o j o w s k i napisał także chociaż nie miał nadziei skutku i jak mówił, dla tego tylko, aby sobie nie mieć nic do wyrzucenia.

— Łudzisz się — rzekł — są oni zbyt kontenci, że nas mają w swoim ręku, iżby nas mieli wypuścić.

Oburzyłem się w gniewie na takie niedowiarstwo, niszczące wszelkie złudzenie. To jednak nie zmieniło jego zdania i czas pokazał, że się nie mylił. Nietylko pisma nasze nie polepszyły naszego losu ale nawet nie raczono nas uwiadomić, że się dostały do osób, do których były adresowane.

Przez ośm dni zostawaliśmy w obozie, jadłem przy stole pułkownika, przechadzałem się, czytałem Bakalarza z Salamanki, jedyne dzieło, które się znajdowało w obozie i które miałem od lekarza pożyczone. Kiedy niekiedy widywałem generała z adjutantem, o którym już mówiłem; rad jestem oddać ostatniemu sprawiedliwość, że po owym pierwszym uniesieniu ciągle nadzwyczaj był grzeczny. Oficerowie w ogólności pełni względów i uprzedzającej grzeczności starali się wzbudzić we mnie zaufanie wspaniałomyślność swego pana; przysłuchiwali się oni chętnie rozmowom w duchu dziewiętnastego wieku, zdawało się, że je rozumieli a ja oddawałem się z prawdziwą przyjemnością temu jakby nauczycielstwu. Wszyscy zdawali się być strudzeni wojną i despotyzmem; ale szczęśliwe te usposobienia nie przechodziły stopnia kapitana, oficerowie wyżsi z afektacją wielbili swego wielkiego monarchę i niezrównanego swego marszałka, któremu się powiodło wziąć Warszawę, Bóg wie jak.

Jednego razu generał-adjutant P. Niemojowski i ja rozmawialiśmy siedząc przed barakiem pułkownika.

— Dobrześ pan uczynił, żeś pisał do W. ks. Michała — rzecze mi adjutant.

— Nie wiem; wypełniłem obowiązek względem mojej rodziny.

— Słusznie, nie będziesz pan miał sobie nic do wyrzucenia, zresztą jest to jedyne wyjście z nieszczęścia.

— Nie bardzo szerokie.

— Przeciwnie, wielki ksiązę jest lepszy niż powszechnie o nim sądzą.

W tej chwili rozmowa P. Niemojowskiego z generałem przerwała naszą, bo towarzysz mój nie słyszał nic, jeśli

mu do ucha nie krzyczano, nie mogąc rozmawiać, słuchaliśmy co mówił P. Niemojowski.

— Tak były jego słowa, W. ks. Konstanty używał żandarmów do posług tak ohydnych, że kiedy na początku wojny zamieniono ich na pułk Karabinierski, wstydząc się dawnej służby, po pierwszej szarży przyszli dziękować dowódcy, że im podał sposobność zmycia plamy, którą ich czerniło imię żandarmów.

— Wot! kak rozgawarowujet!

— Ot! jak rozumuje — zawołał adjutant.

Generał wstał i obadwa odeszli nie powiedziawszy nam ani słowa więcej.

Oficerowie niżsi byli nierównie skłonniejsi do słuchania nas i okazywali nam więcej sympatii. Chętnie z nami rozmawiali o naszym położeniu i podawali nam nawet środki obrony, a ile razy rady ich modły wskazywać sposoby niegodne naszego charakteru, niestawiali, wyszukiwali właściwych i pojmovali bardzo dobrze, że się coś należało naszej godności osobistej. Te rozmowy, w których za każdym słowem przebijano się zajmowanie nami i uszanowanie dla naszej sprawy, były bardzo częste. Razu jednego ten sam oficer, który radził mi uciekać, rzekł do mnie:

— Dlaczegoście panowie dawali pieniądze oficerowi?

— Ale on sam prawie ich żądał obiecując w zamian dać nam wolność; zresztą mój towarzysz chce się o to skarżyć generałowi.

— Na cóż mu się to przyda? Niegodziwy ten człowiek oddał pieniądze generałowi i jeszcze was oskarżył, żeście chcieli go przekupić; przyjął zaś dla tego pieniądze i jak najwięcej chciał od was wytargować, abyście panowie nie mieli sposobów przekupienia żołnierzy.

Jak z tego widać, zdrajca nie był niezręczny, chociaż zresztą nie wielka była zasługa oszukiwać nas tym sposobem, bo same nasze położenie wprowadzało nas w te sidła. Widzieliśmy dobrze, że nas może zdradzi, ale należało doświadczyć jedyne go środka ucieczki, jakkolwiek był wątpliwy i niebezpieczny. Dowiedziałem się później, że tak szczególną wierność

wynagrodzono podarunkiem sumy i krzyżem. Pojmujemy darrowanie sumy, ale za zdradę wynagradzać krzyżem?

Wszystkie rady jakie mi po przyjacielsku dawano, do wydobycia mnie z rąk rosyjskich, nie były przydatne; wszakże nastroczały mi one dwie korzyści, które bardzo ceniłem: najprzód dawały powód do rozprawiania, dostarczały mi objaśnień wszechstronnych do poznania mojego położenia nowego a nadto zachęcały mnie do rozmawiania, zajmowały mnie w samotności, były dla mnie roztargnieniem sprawiającem ulgę w nudach.

Dziewiątego dnia generał przyszedł do nas z oficerem, którego jeszcze nie widziałem i uwiadomił nas, że pojedziemy do Warszawy.

— Przedstawiam panom tego oficera — rzekł — będzie wam towarzyszył.

— Raczej my potrzebowaliśmy być mu przedstawieni — odpowiedziałem.

— Bądźcie panowie spokojni, nie będziecie mieli przyczyny narzekać na niego; to dobry człowiek.

Po tych słowach generała, oficer wyszedł a generał siadł z nami do stołu. Przy końcu obiadu rzekł:

— Żegnam panów! Nie oddawajcie się zmartwieniu; rzeczy nie pójdą tak źle jak myślicie, skończy się na kilku latach aresztu, a potem powrócicie do siebie, jak gdyby nie nie było.

Tak nas pocieszywszy odszedł i potem już go nie widziałem.

Ku wieczorowi wsiedliśmy do powozu i oficer, którego generał nam przedstawiał, zajął miejsce na przodzie a inny oficer, którego po raz pierwszy widziałem, eskortował nas z 25 dragonami. Ponieważ nas wieziono drogami ubocznymi, podróż była powolna i przykra, oficer który w powozie siedział, zadawał sobie wiele pracy, żeby utrzymać zawsze upadającą rozmowę, bo zatopieni w myślach, odpowiadaliśmy mu tylko półgębkiem. Noc już zapadła; strudzony podróżą po niegodziwej drodze zasnąłem, kiedy nagle powóz się zatrzymał, oficer wysiadł,

rozmówił się po cichu z oficerem prowadzącym eskortę, wsiadł na powrót i w tej chwili zmieniliśmy kierunek drogi. Około godziny drugiej z rana przybyliśmy do jakiegoś miasteczka, gdzie w przejeździe spostrzegłem około dwudziestu oficerów polskich otoczonych kozakami; zabierano się do powieszenia ich, nie wiadomo gdzie na wozach, które w bliskości stały. Nie-szczęśliwi pozdrawiali nas tak czule, że łez wstrzymać nie mogłem.

Podczas kiedy konie odpoczywały, zostawaliśmy w austeryi tego miasteczka a gdyśmy z niego wyjechali, oficer uwiadomił nas, że wracamy do obozu wyjawiając nam zarazem przyczynę tego odwrotu: przypadkiem spotkano wóz w przeciwnym kierunku przybywający, którego woźnica uwiadomił eskortującego nas oficera, że korpus polski przeprawił się przez Wisłę i że wprost ku temu wojsku zmierzamy. Gdyby nie to przypadkowe spotkanie, byłibyśmy może ocaleni; sami nieprzyjaciele doprowadzali nas do naszych wybawców. Los inaczej rozporządził!

Za powrotem do obozu, zastaliśmy go w zmienionem stanowisku. Obawiano się uderzenia ze strony Polaków i stósownie do tego wydane były rozporządzenia. Pułkownik Melanders mieszkał w baraku zrobionym z worków po sucharach, pokrytym płótnem. Przyjął nas jak dawne znajomości i umieścił u siebie. Oficerowie przybywali witać nas z uprzejmą grzecznością i zdawali się być szczęśliwi z naszego powrotu. Pułkownik, który tylko chwilę z nami był pozostał, powrócił około godziny szóstej wieczorem.

— Pojedziecie panowie jutro — rzekł nam — a teraz kiedy miałem honor was poznać, zaufam waszemu słowu i będę za was odpowiedzialny, ale właśnie teraz kiedy się odbywała u generała rada wojenna, przybył pułkownik pruski i oświadczył nam, że gdybyście się schronili do Prus, byłby zniewolony was odesłać i że podobna konieczność byłaby dla niego bardzo przykrą; prosił zatem, żeby panów jak najprędzej ztąd oddalono.

Podczas kiedy pułkownik mówił, uważałem na jego twa-

rzy to samo zaambarasowanie, jakie spostrzegałem, kiedy do niego przyprowadzono mniemanego jeńca, którego to komora pruska miała odesłać; wnosilem ztąd, że poczciwy Melanders niechętnie brał się na takie sposoby niegodne jego, i że pułkownik pruski przeciwnie musiał oświadczyć, że niepodobna mu będzie wydać nas, jeśli potrafimy dostać się za granicę.

Pułkownik kończył mówić, kiedy się dał słyszeć w całym obozie powtarzany okrzyk: Polaki! Polaki! Jakież uczucie! Jaka radość! Polacy uderzyliż na obóz? Jakże mocno pragnąłem pomagać im!

Próżne i przemijające złudzenie! Polacy byli na drugiej stronie rzeki.

Nie tajono tego przed nami, wyszliśmy ich widzieć: było pułk Krakusów, który powracał odprowadziwszy kasę do Prus. Patrzałem jak się oddalał, wzrok mój ścigał go, a gdy zniknął gniotący ciężar spadł na moje serce; zdawało mi się, że zastęp ten unosi z sobą ostatnie moje nadzieje!

Nieszczęśliwy rozbitek, widziałem okręt, który mógł mnie wydobyć z toni, ale okręt ten zniknął na widokregu nie spostrzegłszy mnie. Oddaliłem się, szukałem samotności, aby się zanurzyć w boleści.

Widok wojska narodowego zbyt żywo obudził wszystkie moje wspomnienia, przypomniał nasze wielkie usiłowania, nasze świetne nadzieje, nasze sławne powodzenia, nasze niepojęte klęski, a w zwyciężonej ojczyźnie stawiał się przed oczy widok niepokieszonej, zniszczonej na wszelkie niebezpieczeństwa wystawionej rodziny mojej.

Noc nie uspokoiła mnie; nie mogąc zmrużyć oka, wstałem o świcie. Mój towarzysz spał jeszcze; spokojność tego snu, którego w podobnej okoliczności pojąć nie mogłem, staranność jego w robieniu toalety, tysiące nic, które opóźniały nasz wyjazd, wszystko to jątrzyło mnie nie do zniesienia.

Jedyna myśl opanowała teraz mój umysł, jakibądź los mnie czekał, pragnąłem się o nim dowiedzieć. Nie mogłem znieść najmniejszej zwłoki, pragnąłem jak najprędzej jechać, przybyć, dowiedzieć się, co się ze mną stanie.

Nakoniec oficer, który nam miał towarzyszyć, przybył z paką papierów; ale jeszcze upłynęła godzina, godzina nieznośna, czekano nie wiem na co, nim mogliśmy odjechać. Ta sama co pierwszej eskorta towarzyszyła nam.

ROZDZIAŁ II.

Powtórny wyjazd z obozu do Warszawy. — Książę Chyłków. — Jenerał Prytwicz. — Więzienie na Pradze. — Pułkownik Siewers. — Bystrom.

Podróż nasza odbywała się powoli, rozmowa z razu dosyć ożywiona, w końcu nas utrudziła i zupełnie ustała. Myśli smutne nas zajmowały, milczenie głębokie i ponure panowało około nas; przerywały je tylko głos woźnicy zachęcający konie, które po błotach powóz nasz zaledwie ciągnąć mogły i niekiedy słowa krótkiej rozmowy eskortujących nas oficerów. Około piątej po południu przybyliśmy do posterunku jazdy, gdzieśmy mieli przemienić konie. Jenerał książę Chyłków pozwolił nam wysiąść i zaprosił nas do siebie na herbatę. Ta grzeczność tym przyjemniejszą dla nas była, żeśmy byli i strudzeni i przeziębli. P. Niemojowski siedział obok księcia i rozmawiał z nim; ja miałem obok siebie innego jenerała, którego nazwiska już nie pamiętam. Panowie ci jak wszyscy oficerowie, zaczęli rozmowę od pocieszania nas. Mój sąsiad obiecywał mi, że wkrótce będę wolny i opierał swoją przepowiednię na nieźrównanej, teraz szczególnej dobroci W. Ks. Michała. Nie znając tego jenerała, nie mogłem mu powiedzieć, co o tej łaskawości trzymam. Te pocieszania miały zapewne chwalebną pobudkę, ale jeśli dobrze uprzedzały o sereu pocieszającego, nie dowodziły jego taktu. Mówić o nadziei nieszczęśliwemu, który wie, że się nie ma ni-

czego spodziewać, nie jest to pocieszać go, ale sprawiać mu cierpienia, a ja już i tak cierpiałem. Na szczęście żądano mówić z jenerałem.

Po chwili wrócił i przedstawiając mi młodego oficera, którego z sobą przyprowadził, rzekł:

— Przyprowadzam panu dawną znajomość.

Młodzieniec przybliżył się, ścisnął mię za rękę i łyzy stoczyły się po jego twarzy. Był to Polak, mój krewny. Wspominałem już, jakie wrażenie czynił na mnie widok munduru rosyjskiego na Polaku; można sobie więc wyobrazić, o ile więcej bolałem, widząc mundur ten na moim krewnym! Chciałem zrazu go odepchnąć; ale stanęły mi przed oczy jego dotkliwa boleść, niedoświadczenie jego wieku i fałszywe wyobrażenie o honorze, które mu nie pozwalało opuszczać służbę rosyjską po rozpoczęciu wojny i uczulem, że byłbym uczynił niesprawiedliwość. Byłbym wtenczas go uściskał, ale obawiałem się rozczulenia, a za nic na świecie nie byłbym chciał pokazywać się słabym. Poprzestałem na tych słowach:

— Nie płacz, łyzy twoje zbyt wielką sprawiają mi boleść.

Nieszczęśliwy młodzian usiłował się wstrzymać od łez, nie mógł wymówić słowa, albo nie śmiał mówić w obec swoich przełożonych; ale jeśli usta jego były nieme, natomiast wzrok jego był wymowny! Zwilżone oczy jego wyrażały tę bolesną, cierpiącą niemoc, jakiej się doznaje na widok umierającego przyjaciela. I milczenie i smutek jego zdawały się mówić do mnie:

— Nie chcesz żebym płakał, a po raz ostatni cię widzę! Czy nie wiesz, że cię prowadzą na śmierć?

Musiał zapewne słyszeć, jak jenerałowie mówili, co mnie czeka i cierpienie jego zdawało mi się prawdziwsze i więcej przekonujące, niż wszystkie piękne słowa, które mi jenerał pocieszał. Ta niema scena trwała dosyć długo i nie mógłbym wyrazić, ile była dla mnie bolesną. Nareszcie uwiadomiono nas, że powóz gotów; pożegnaliśmy się z jenerałami, którzy jeszcze raz wychwalali dobroć Wielkiego księcia, szczerzej dla Polaków i wyszliśmy, mój krewny odprowadzał nas.

— Spodziewam się — rzekłem mu pocichu — że porzucisz ten mundur.

Ścisnął mnie za rękę i zdawało mi się, że w ściśnieniu tem była uroczysta obietnica porzucenia służby, tak niewłaściwej dla Polaka. Wsiadłem do powozu, rad że go zostawiam w tem chwalebnaem usposobieniu.

Oficer, który nam towarzyszył, miał dla nas, o ile to się zgadzało z jego służbą, wszelkie starania i względy; to zachęciło mnie do rozmawiania z nim. Nasunąłem mu kilka pytań o charakterze jenerała Renne; oficer nie mógł się go nachwalić.

— Wierzę — rzekłem — że to człowiek zacny, tem chętniej, że nie przestawał nam czynić dobrych nadziei, a nawet pozwolił mi pisać do Wielkiego księcia Michała, żem wracał z własnego popędu; spodziewam się zatem, że i on w swoim raporcie nie inaczej o mnie napisał, a przynajmniej, że o mnie powiedział, iż zaraz po przybyciu do jego obozu oświadczyłem mu, iż mnie aresztowano w chwili kiedy jechałem sam się stawić.

— Bądź pan zupełnie spokojny — odpowiedział oficer — raport jest dobry, bardzo dobry.

Raport jenerała Renne nie był zupełnie rzeczą obojętną; jeśli był nieprzychylny, gubił mnie na pewno, jeśli był przychylny, nie ocalał mnie nieomylnie, ale mi zostawiał podobieństwo ocalenia. Rad więc byłem wiedzieć z ust tego, który go miał, że jest dobry, bardzo dobry. Tymczasem tego samego dnia w nieobecności oficera przypadek zdarzył, że raport ten mogłem sam widzieć; powiedziano w nim, że jesteśmy zbrodniarze stanu, wzięci przez Czerkiesów w chwili, kiedyśmy się chronili do Prus i że posyłają nas do Warszawy dla oddania pod sąd i karanie podług całej surowości ukazów i praw. Można sobie wyobrazić, iż byłem zdziwiony, oburzony!

Jechaliśmy całą noc drogami niegodziwemi. Około piątej z rana przybyliśmy do Łowicza, gdzie dowodził jenerał Prytwicz. Oficer umieścił nas w domu pocztowym, poustawiał warty przy drzwiach i oknach, a sam poszedł do jenerała. Nie mieliśmy ognia, byliśmy przeziębli, potrzebowaliśmy się rozgrzać, prosiłem więc żołnierzy, (było ich dwudziestu pięciu), aby mi

jeden z nich przyniósł kawy; żaden nie chciał się tego podjąć. Widząc powracającego oficera myślałem, że natychmiast pojedziemy i straciłem na chwilę nadzieję rozgrzania się.

Na szczęście jenerał Prytwicz miał do posłania depesze do jenerała Paszkiewicza i trzeba było na nie czekać.

Oficer pozwolił przecie przynieść mi kawy, szkaradnej wprawdzie ale dla mnie przeziębionego pożądaną; rozgrzany nieco i znużony rzuciłem się na łóżko, pragnąc chwilę czekania przespać.

Już sen zacierał w umyśle zdrętwiałym czucie obecnego cierpienia, kiedy nagle drzwi się otworzyły i usłyszałem, że ktoś wszedł i rzucił płaszcz na stół.

Bardzo naturalna w mojem położeniu ciekawość natychmiast mnie przebudziła; był to major gwardyi z długimi zmarszczonymi wąsami. Tylko co wszedł zapytał naszego oficera, kto jesteśmy; ten odpowiedział mu po cichu. Major nie był tyle delikatny.

— Szkaradne pyski! (Skwiernoje roże) zawołał. Schwymano was przecie; na jakież nie zasłużyliście męczarnie!

Oburzony temi słowy, zrywam się z łóżka i nie chcąc nawet mówić z tym brutalem, odzywam się do naszego oficera:

— Oddano nas pod straż pana; nie pozwalajże temu człowiekowi lżyć nas!

— Co! — krzyknął major — i już gotowałem się do odparcia go, gdyby się był do mnie zbliżył, kiedy oficer wziął go pod rękę i odprowadził do drugiego pokoju; wnet potem grubijanin ten zabrał się i wyszedł z domu, zostawiając nam na pożegnanie: Czart was bierz!

W ciągu tej nieprzyjemnej sceny, towarzysz mój, który szczegółów jej nie słyszał, przechadzał się po pokoju zupełnie spokojny; byłbym w tej chwili wołał, jak on być głuchym. Niewypowiedzianie rozjątrzony, nie mogłem zasnąć i zacząłem także się przechadzać, ale nie z taką jak p. Niemojowski spokojnością. Tysiąc myśli dotkliwych cisnęło się do mego umysłu; z postępowania majora wnosilem, jakie mnie w przyszłości czekają zniewagi. Kiedy człowiek w tym stopniu pozwala sobie takiego zelżywego postępowania, na jakież dopiero wystawiony

będę ze strony oficerów podrzędnych! Krew się we mnie burzyła i umyśliłem, co bądź nastąpi, odpierać gwałt gwałtem, kiedy w tej chwili wszedł do nas generał Prytwicz. Popatrzył na nas chwilę z miną poważną i godną, raczył przemówić do nas ani mniej, ani więcej:

— Panowie, pojedziecie — i wyszedł z tą samą miną.

— Prawdziwie — rzekłem do oficera, niepotrzebnie się trudził, jeśli tylko to nam miał do powiedzenia. Uwagę tę z mojej strony niesprawiedliwą tem wymawiam, że pełen złego humoru, czułem potrzebę rozśmiać się nieco po tak zabawnych odwiedzinach. Tym razem eskortowało nas dwudziestu pięciu huzarów.

Droga z Łowicza do Warszawy jest wyborna; już przynajmniej nie czekały nas niewygody podróży po wybojach dróg bocznych i już rad byłem, że wkrótce staniemy na miejscu, a im prędzej to nastąpi, tym prędzej dowiem się o moim losie. Zresztą, co bądź mnie czekało, pragnąłem przedewszystkiem wyjść ze stanu niepewności, najsroższej dla mnie męczarni.

Nie znam w istocie nieznośniejszego udręczenia; od dzieciństwa nie obawiałem się niczego bardziej, jak niepewności. Liczne i dotkliwe zmartwienia pewnie nie osłabiły tego mojego usposobienia i zdaje mi się, że byłbym wołał widzieć naówczas rusztowanie a niżeli ciągłą niepewność. Prosiłem więc naszego oficera, aby przyspieszył podróż, ale dowodzący eskortą nie chciał o tem ani słyszeć.

— Nie myślę bynajmniej trudzić koni — odpowiedział i pomimo naszych przedstawień nie przedstawiał postępować stepo; jakoż noc nadeszła, kiedy byliśmy dopiero na połowie drogi do Warszawy.

Jadąc powozem pana Niemowskiego, kiedy Czerkiesi nas przytrzymali, nie miałem moich rzeczy z sobą i musiałem spać na słomie; zaledwie się rzuciłem na takie łożo, usłyszałem, jak dowodzący eskortą krzyczał na warty:

— Pilnujcie żeby nie uciekli, bo każę was ubić kijami!

Wkrótce sam wszedł do pokoju stykającego się z naszym, otworzył i zatrzaskł drzwi gwałtownie, przekonał się że jesteśmy, rzucił się na podobne mojemu słomiane legowisko i zaczął tak

chrapać, że aż snu jego zazdrościłem. Ale jak było spać, kiedy myśli niespokojne tłoczyły się do głowy, kiedy co chwila słychać było stąpanie ciężkie i śpiewy smętne a jednotonne pilnujących nas żołnierzy! Całą noc oka zmrużyć nie mogłem. Nie będę nawet usiłował powiedzieć, co cierpiałem. Któż nie wie, jak srogą jest bezsenność dla nieszczęśliwego; jak zwołuje, pobudza, gromadzi i zatruwa mnóstwo rozpacznych myśli; jak wtenczas odpycha wszelką pociechę, jak gdyby jakie droczące się urojenie; jak przyjmuje wyobrażenia złowróżbne jak gdyby objawienia prorocze; jak przewiduje wszelkie podobne, a nawet niepodobne nieszczęścia; jak sprawia, że się ich już doznaje, że się je mocniej czuje, niż gdyby były istotne; jak natenczas władza cierpienia rozdrażnia się w człowieku i nabywa siły prawie cudownej! Nie, kto nie przechodził przez udręczenia tego rodzaju, nie wie dobrze, co to jest cierpieć! Jakże długą była ta noc boleści, w której chora wyobraźnia moja nie przestawała naprowadzać mi przed oczy wszelkie poniżenia i katastrofy, jakie spotkać mogły i mnie i moją rodzinę! Nareszcie dzień zaczął się pokazywać, widziadła ponure zaczęły znikać z ciemnością, kiedy jęk bolesny obił się o moje uszy.

Pobiegłem do okna i ujrzałem nieszczęśliwego żołnierza, stojącego nieruchomo, którego dwaj inni z dwóch stron na przemiany po plecach szablami plazowali; o kilka kroków dalej, oficer, który nakazał tę barbarzyńską karę, przechadzał się tak spokojnie, tak obojętnie, jak gdyby nie obok niego się nie działo! Ta haniebna i zwyczajna męczarnia, ta ofiara, sama siłą ślepego posłuszeństwa pod płazami nieruchoma, ta krew zimna dwóch żołnierzy, których jedno słowo oficera zamieniło na katów swego kolegi, może swego przyjaciela, ta spokojna surowość oficera, który kazał męczyć tego człowieka tak obojętnie, jakby fajkę swoją zapalać kazał, wszystko w tym ohydny burzyło mnie widoku. Otóż pomyślałem, trzęsąc się ze złości, otóż to są ludzie, od których mój los zależeć będzie i przyszły mi na myśl wszystkie okrucieństwa, tyle razy i świeżo jeszcze przez Rosyan na Polakach dokonywane, a zwłaszcza srogości Konstantego z więźniami stanu. Krew się we mnie

burzyła; nie śmierci, nie męczarni, ale obawiałem się tych poprzedzających podłości, których zapewne odemnie wymagać będą, tych żelźwych śledztw bez końca, tych tortur moralnych i fizycznych, któremi chcieliby wydobyć ze mnie wyznania przeciwnie mojemu honorowi. Charakter naszych nieprzyjaciół, całe ich tego rodzaju w latach 1826, 1827 i 1828 postępowanie, zapowiadały mi dostatecznie, czego się miałem spodziewać po wymysłnej dzikości, której instynkt przechowali ci na pół barbarzyńcy. Na tego to rodzaju cierpienia nie chciałem być wystawiony, bo mocno postanowiłem nie kompromitować nikogo, przewidywałem więc że mi wypadnie w ciągu tych udręczeń użyć pewnego, nieomylnego środka do wydobywania się z rąk moich oprawców.

Wiedząc, że powstanie nie jest to igraszka dziecinna, zwłaszcza kiedy idzie o wylamanie się z jarzma rosyjskiego, zaraz na początku wojny opatrzyłem się w truciznę, którą nosiłem zawsze przy sobie; na szczęście i w chwili zatrzymania nas przez Czerkiesów i w chwili przybycia do obozu, nie byłem rewidowany a tak przechowałem to lekarstwo ostateczne na wszelkie nędzoty życia. W owej chwili nie byłbym go zamienił za żadne skarby świata; lubiłem go dotykać i zapewniać się, że go jeszcze posiadam; z tkliwym uczuciem, jak gdyby rękę przyjacielską, ścisnąłem tę truciznę pewny, że mnie nie zawiedzie w największym niebezpieczeństwie. Miałem więc schronienie zawsze otwarte, w którym nieprzyjaciele moi nie mogliby mnie osiągnąć a chociaż grób był tem schronieniem, środek ten uspokoił przecie moje wzruszenie i nastroił inaczej moje myśli. Jakoż w chwili kiedy ten nędznik oficer do izby naszej wszedł i rad z siebie, na głos się odezwał:

— Są obadwa; otóż tak należy tych ludzi pilnować!

Wzgardę jedynie obudziło we mnie to nowe grubiaństwo.

Przy nowym przeprzeżu, oficer nasz któremu równie jak nam pilno było przybyć do Warszawy, znowu zaczął zachęcać oficera eskorty do przedszej jazdy; komendant wychylił był dopiero co szklanekę wódki, to wprawiło go w humor nieco dobry; jakoż zaczął mi się przypatrywać z uśmiechem i zdawało się,

że mnie miną swoją pytał: I ty chciałbyś prędko jechać? Dobrze, pojedę kłosem, ale mnie o to poproś.

Nie mogłem się zdecydować przemówić do niego choć słowo; czekał, a widząc że nie nie mówię, tak więc — mruknął — pojedziemy stępo i dotrzymał wiernie słowa.

Około godziny czwartej po południu przybyliśmy do ostatniej stacji o dwie mile od Warszawy. Z tej stacji oficer nasz puścił się cwałem po rozkazy zwierzchności względem nas, a my jechaliśmy znowu pomału, aby mu dać czas do spotkania nas jak przyjedzie z powrotem. Tymczasem przybyliśmy do Warszawy i wjechaliśmy do miasta nie spotkawszy go. Dowódzca eskorty postanowił na niego czekać i zatrzymał się wśród ulicy. Powóz otoczony huzarami ściągnął natychmiast mnóstwo ciekawych; zresztą byliśmy tak znani, że wszyscy przechodzący chcieli nas widzieć. Byli, co się chcieli do nas zbliżyć, ale żołnierze krzyczeli zaraz:

— W tył! Nie zbliżajcie się!

Biedni nasi rodacy, odpychani przez najeźdźców, chcieli jednak okazać nam swoją przychylność i zatrzymywali się w pewnej odległości, tak iż przy powozie naszym utworzyło się obszerne koło. Wszyscy ci poczciwi Polacy wzdrygali się na widok moskiewski, wszyscy byliby chcieli nas uwolnić, ale okoliczności fatalne udaremniały ich odwagę i tylko wzrokiem, którym i tak się bardzo narażali, okazywali nam swoją życzliwość.

Jak tylko oficer nasz powrócił, natychmiast kazał nawrócić i dopiero o milę za Warszawą zatrzymał nas w karczmie, trzymanej przez żydą; miał on rozkaz przywieść nas do Warszawy wieczorem, ale nie mogłem się od niego dowiedzieć, do którego więzienia nas wysadzi.

Ponieważ nasza eskorta miała być wkrótce zluzowana, dowódzca jej uważał widać za grzeczność przyjść do nas i podobnie, jak to czynili inni oficerowie, zaczął nam dawać otuchę najpiękniejszych nadziei w dobroci Mikołaja! Kiedy się to skończyło, myślałem że nas uwolni od dalszej swej nieznośnej gadaniny; ale wnet zaczął mi zadawać pytania o rozmaitych miejscowościach Warszawy, o których od swoich kolegów wiele

słyszał ciekawego i gdzie, jak mu mówiono, w każdej godzinie można widzieć wszystkich. To zdawało mu się cudnem i obiecywał sobie pobiedz tam, jak tylko będzie wolny, gdyż mówił, dobrze służbę zrobiwszy, jestem z siebie zadowolony.

Znudzony i strudzony prosiłem go w końcu, żeby mi pozwolił usnąć; opuścił mnie przecie, a ja poszedłem do stajni i rzuciłem się na siano. Już dobrze byłem zasnął, kiedy mnie przebudziło uderzenie kijem w głowę. Uderzenie nie było silne nie wiele sprawiło mi bólu, ale było niespodziane i mocno mnie zdziwiło. Cóżby miało znaczyć? Czyżby się już miała rozpocząć procedura rosyjska? W podobnej okoliczności myśl leci szybko i chociaż natychmiast się zerwałem, tysiąc wniosków już mi było przeszło przez głowę, nim jeszcze na nogach stanąłem. Rozumiałem, że ujrzę około siebie Kozaków, Baskirów, Kirgizów i Bóg wie jakich barbarzyńców, gdy tymczasem spostrzegłem obok siebie tylko ślepego dziada, który zapewne także w stajni noc przepędził i kijem szukał wyjścia. Nie mogłem się nie rozśmiać; to przyjaciół, pomyślałem, bo także nieszczęśliwy, wziąłem go więc za rękę i doprowadziłem do drzwi. Mała to była usługa i bez niej mógł się być obejść, ale zawsze usłużyłem mu; podziękował mi prosto, szczerze i wyznaje, że nie byłem nieczuły na jego podziękowanie. Było rodzaj dobrego uczynku, może ostatniego, myślałem i przywiązałem cenę do tego wspomnienia.

Nieszczęścia nadzwyczajne i wielkie niebezpieczeństwa zmieniają często i wartość rzeczy i sposób widzenia, nadewszystko kiedy długie cierpienia fizyczne przygotowały duszę do pewnej egzaltacji. Słowem, byłem jak dowódzca eskorty, zadowolony z siebie.

Znowu się położyłem i wnet sen miły, dopóki trwał, bo przebudzenie było srogie, przeniósł mnie do mojej dziedziny, gdzie wszystko było mi drogie! Widziałem, ścisnąłem żonę, dzieci; zapomnieliśmy o naszych nieszczęściach. Nie powinienem był nigdy się przebudzić, bo po takim śnie szczęścia, jaw wydał mi się jeszcze okropniejszym!

Zobaczę kiedy żonę, dzieci, zapytywałem przyszłości. Potajemny głos mówił w głębi zbolełego serca: Nigdy!

Nim zasnąłem, nadzieja wstępowała w duszę, nadzieja błędna, bezzasadna, owa nadzieja ulatująca, którą niekiedy daje nadmiar rozpacz. Takiemu usposobieniu umysłu winniem był sen szczęśliwy i ten sen podwoił moje cierpienia! Uroniłem łzę jedyną, którą mi wycisnęły dziewiętnaście miesięcy srogich niepokojów. Sam na siebie się gniewałem, kiedym ją w oczach uczuł. Ludzie, którzy mnie wtedy otaczali, ci, którym będę oddany, despota, który ma rozrządzić moim losem, wszyscy ci ludzie, nie byli godni widzieć podobną łzę, ani zdolni ocenić wzruszenie człowieka honoru. Ta uwaga wtłoczyła na powrót w serce westchnienia małżonka i ojca i przypominała dumę przywoitą męczennikowi patryocie.

W rzeczy samej uczuwałem pewien rodzaj dumy, widząc stałość moją w zapasach z barbarzyństwem moskiewskiem. Moskale widzieli męstwo Polaków na polach bitew, ujrzą je w męczarniach i zadrżą myśląc, że Polska jeszcze się kiedyś podniesie i przywoła do broni w przyjaźniejszych okolicznościach dzieci swoje, których żadne środki nie wyrodziły i nie wyrodzą.

Uczucia, któremi przeciw Moskałom oddychałem, były w mojem położeniu bardzo naturalne; ale niesłusznie było podciągać cały naród pod jedną kłutwę. Są Rosyanie z umysłem oświeconym, z sercem czułym, duszą wspaniałomyślną. Są, którzy czują własne poniżenie i czekają może tylko chwili przyjaznej do uwolnienia się od ohydnych i upadającego despotyzmu, pod którym wegetują.

Niżsi oficerowie już pierwszej okazywali mi byli współczucie, które naturalnie wynikało ze współczucia dla naszej sprawy i powinienem był sobie to przypomnieć nawet w chwili przesilenia moralnego. Później stykałem się z Rosyanami, których postępowanie czyniłoby zaszczyt pocciwym ludziom w narodach najoświecieńszych; widziałem takich, którzy pojmowali i dzielali moją żal, którzy przynosili jej ulgę o ile mogli. Jest pomiędzy nimi jeden przedewszystkiem, który na przeznaczenie moje wywarł wpływ bezpośredni i potężny; mógł wiele i władzy swojej używał szczególnie dla osłodzenia losu jeńców polskich, do czego było potrzeba tyle odwagi ile ludzkości, ponieważ wystawiał się na stratę swojej świetnej pozycji i narażał

nawet własną osobę. Zmuszony ukrywać życzliwość swoją pod powierzchownością surową, nie widział więźnia, nad którymby szczerze nie bolał; nie miał dnia, w którymby nie objawił się nam nowy dowód jego pieczołowitości. Taka jest jednak dziłość naczelnika carstwa, taka niewolniczość jego godnego namiestnika, iż gdyby przez niesłychaną niewdzięczność, przyszła mi myśl szalona zgubić tego zacnego męża, po tej słabej pochwałce dosyć byłoby wymienić go.

Około godziny dziesiątej wieczorem powóz nasz zatrzymał się na przedmieściu Krakowskiem przed pałacem, w którym mieszkał hrabia Witt generał-gubernator Warszawy. Oficer nasz pobiegł po rozkazy do hrabiego, a my czekaliśmy na ulicy przeszło pół godziny. Ulica Krakowskiego przedmieścia, jedna z najpiękniejszych i najwięcej ożywionych ulic warszawskich, była na ten czas cicha i pusta. Tylko częste i mocne patrole pokazywały się na niej a od czasu do czasu przebiegali ją w ewale pojedynczy Czerkiesi. Rosyanie nie byli więc spokojni; ta ich niepewność sprawiała mi radość. Tak więc Polska zdradzona, rozbrojona, w kajdany okuta, poszarpana, konająca pod stopami wojska obcego, jeszcze na to wojsko rzucała postrach! Cóżby było dopiero, gdyby Polska się podniosła z całym zapalem! Bo nie wątpmy, jeszcze ona powstanie, dopóty powstawać będzie, dopóki nie stanie silna z pomocą, czy bez pomocy Europy, która opuszczając ją, sama siebie zdradziła. Aleniestety! Ileż doświadczeń zgubnych, ile usiłowań morderczych poprzedzi wysilenie zwycięskie, dzień tryumfu i wolności!

Na kilka tygodni pierwiej Polska mierzyła się z nieprzyjacielem, powstanie miało wzniosły charakter, postawę groźną. Miałem i ja niejaki udział w tym wielkim ruchu, miałem w ówczas ojczyznę, byłem szczęśliwy że jej służyłem.

Warszawa miała w swoim łonie siły, zasoby, wszelkie nadzieje wielkiego narodu; a dziś, pomyślałem z gorzkim żalem, jestem więźniem w tym uwięzionym grodzie! W takiej łączności cisnących się do głowy myśli, rzuciłem wzrok na całe nasze powstanie, na jego przyczyny i przeszkody, na jego powodzenia i klęski, na świetne nadzieje, jakie zapowiadało

nam i naszym dzieciom, na korzyści, jakie obiecywało sprawie cywilizacyi, na oplakany jego koniec, który nastąpił tak blisko po początku tak świetnym!

Powrót oficera przerwał te marzenia; powóz nasz ruszył na Pragę. Każdy dom obudzał we mnie jakie wspomnienie; smutne było na widok mostu; przez ten to most waleczne wojsko nasze uskutečniło swój fatalny odwrót. Żołnierze zapytywali się jedni drugich, zapytywali się oficerów, przechodzących, zapytywali się wszystkich, co znaczył ten niepojęty ruch, dlaczego się cofano nie będąc zwyciężonym, dla czego opuszczano stolicę, gdzie tyle środków obrony przysposobionych na ulicach, mogło pomódz do odwetu zwycięskiego nawet po przegranej pod murami miasta.

Po cóż było stawiać tyle barykad, po co dziurawić domy, kiedy nie miano używać tych barykad, tych domów? Dla czegoż oddawać nieprzyjaciółom nasze dzieci, żony, matki, czy lepiej mścić je niż je bronić? Będziemy mężniejsi, silniejsi albo nawet szczęśliwsi na gołym polu a niżeli w rodzinnym grodzie? Gdzie idziemy? Gdzie nas prowadzą? Co znaczy ten niepojęty obrót wojenny? Tak mówili żołnierze i oficerowie i słuchali i wykonywali niepojęty obrót wojenny! Tym razem jeszcze poświęcono Polskę Rosyjanom.

Złożono nas tymczasowo w domu na Pradze, a trzydziestu żołnierzy porozstawiano około tego domu. Dwóch było zawsze w naszym pokoju. Wkrótce odwiedził nas dowódzca Pragi, pułkownik artyleryi gwardyi Siewers. Jego powierzchowność uprzejma zapowiadała człowieka dobrze wychowanego, jego postępowanie pokazywało człowieka ucywilizowanego; na widok jego zapomnieliśmy z razu, że to on ma polecenie trzymać nas w więzieniu.

— Żałuję — rzekł — że nie mogę panów lepiej umieścić, ale będę się starał uprzyjemnić wam tutejszy pobyt; ile razy będziecie czego potrzebowali, chciejcie do mnie przysłać.

— Ponieważ, jesteście prawie u siebie, pozwól pan — rzekłem podając mu stół, abyśmy robili honory domu.

Nie odpowiedział nic, ale usiadł z uśmiechem grzecznym...

Rozmowa była nie nie znacząca, ale we wszystkim co mówił, przebijała się delikatność.... Odchodząc przyrzekł odwieźć nas nazajutrz zrana i uwolnił nas od drugiej warty.

W gruncie grzeczność ta nie zmieniła naszego położenia, ale dała mi dobrą myśl i nadzieję, że podkomendni będą naśladowali uprzejmość swego przełożonego. Oficer gwardyi od przydanej nam straży, sprawdził tę nadzieję. Jak tylko mu nadmienilem, że nam zimno, oświadczył dobrą francuzczyzną, że nam każe przynieść herbaty. Zwykle ofiarowanie i przyjęcie filiżanki herbaty jest zapewne rzeczą bardzo mało znaczącą, ale dla więźnia zziębniętego, ofiarowana uprzejmie i przez człowieka od którego się zależy, ma niewątpliwie wartość, jest wypadkiem zasługującym na miejsce w pamięci.

Najpierwszem mojem zatrudnieniem było rozpoznać miejscowość: mieszkanie nasze składało się z dwóch izb, mój towarzysz i ja zajmowaliśmy izbę z przodu, służący p. Niemojowskiego był w izbie z tyłu domu; przy drzwiach łączących te dwie izby stała warta, drugi żołnierz, mający rozkaz usługiwania nam, nie opuszczał nas nigdy, chyba gdy wychodził za służącym, gdyśmy go wysyłali po żywność, którą nam pozwolono przynosić z traktyerni pobliskiej, rozumie się za nasze pieniądze. Na domiar przyjemności ustawiono przed oknami naszymi kordygarde złożoną z trzydziestu żołnierzy, którzy przepędzali swoje nudy przypatrując się nam jak ciekawym zwierzętom.

Ponieważ wspomniałem o służącym, należy mi o nim kilka słów więcej powiedzieć. W okoliczności tej pokazał on bardzo dobry charakter i wołał raczej ponieść dobrowolne wygnanie z swoim panem a później podzielać jego więzienie, jak opuścić go w dniach nieszczęścia; poświęcenie tym godniejsze, że biedny ten chłopiec miał zamiar żenić się właśnie wtedy, kiedy zmuszeni byliśmy opuścić Warszawę. Czas nie przełamał jego stałości; nigdy usta jego, nigdy twarz jego, nigdy całe jego postępowanie, nie zdradziły najmniejszego żalu.

Kiedy po piętnastu miesiącach, wywieziono mnie z więzień warszawskich do więzień wołyńskich, zostawiłem go takiego jakim go zawsze widziałem, zawsze jednakowego humoru, my-

ślącego bardzo mało o sobie, zajętego tylko swoim panem; nigdy nie przeszło mu nawet przez myśl, porzucić go. Poczciwy ten człowiek nazywał się Mikołaj!

(Wypuścimy w dalszem opowiadaniu z udzielonego nam rękopisu nazwiska oficerów; było ich kilkudziesiąt, którzy się zmieniali a zatem rozmowy niektórych z autorem pamiętników nie będą mogły dać podejrzliwej władzy powodu i możliwości do dochodzenia osób, gdyby, co nie jest niepodobne, za słowa pociechy, albo za uczucia szlachetne, po kilkunastu latach prześladować je chciała.

Samych rozmów pominąć nie możemy, bo te malują usposobienia oficerów rosyjskich, usposobienia, które powinny nam być znajome. Autor tych pamiętników w oryginale po francuzku napisanych, zostawił do woli wydawcy ocenianie wzmianki o osobach, tak iżby nie były narażone na prześladowanie; za te więc zmiany i za sposób tłumaczenia oryginału sam wydawca jest odpowiedzialny.)

Jednego razu z rana, zaledwie się obudziłem, przyszedł do mnie oficer powiedzieć mi jak najuprzejmiej dzień dobry. Prosiłem go, aby usiadł na słomianem łożu i zaczęliśmy rozmawiać.

— Żyjemy — rzekł — w czasie, gdzie trzeba sobie zabraniać myśli!

— Przebóg! — zawołałem — pozbawić się jedyne go daru, który nas wywyższa nad zwierzęta.

— Cóż pan chcesz — tak jest przecie — dziś uważają za zbrodnię wszystko, co jest szlachetne, trzeba zapomnieć nawet o wyrazie ojczyzna!

Innego razu oficer przyszedł do mnie z wiadomością, że Włochy powstały.

— Powstania włoskie — rzekłem — tylko chwilę trwają; jest to płomień zapalanej słomy, nie warto o nich mówić.

Zaledwie słowa te wymówiłem, oficer zarumienił się — zamilkł — był zmieszany. Nie pomału tą zmianą zdziwiony, nie widziałem z razu, jak sobie tłumaczyć wrażenie, jakie na

nim sprawiły moje słowa. Dowiedziałem się nawet przyczyny tego....

Bolesnie mnie było żem go obraził, byłbym chciał naprawić mimowolny błąd, ale nie chciałem wznawiać rozmowy, aby mu nie przypominać mojego zdania niebacznie powiedzianego.... Oficer poszedł do pułkownika po książki i oddawszy mi je, ścisnął mnie za rękę i ze łzami w oczach żegnając mnie — rzekł:

— Bądź pan tyle szczęśliwy ile tego pragnę — wierzaj mi — mocno żałuję, iż mogę tylko życzyć.

Oddalenie się tego oficera było dla mnie przykre; pragnąłem być zawsze pod strażą podobnych ludzi. Dla więźnia nie jest to małe zmartwienie tracić dozorcę więzienia, który zarazem jest człowiekiem uczciwym; przykra jest dla więźnia zmiana nawet złego dozorca, dla tego, że nie zna charakteru tego, który go zastąpi. Doznawałem codziennie takiego zmartwienia, takiej przykłej niespokojności. Trudno sobie wyobrazić jak nieprzyjemną jest ta nieustanna zmiana twarzy.

Przypominam sobie w tych zmianach jednego młodego oficera, który był bardzo grzeczny, ale który posuwał ostrożność aż do bojaźni. Na wszelkie pytania mogłem z niego wydobyć tylko: Tak albo Nie zawsze z dodatkiem panie hrabio, co nie mogło bynajmniej ożywiać rozmowy. Tak do milczenia zniewolony, zacząłem przeglądać książki, które pułkownik przysłał, kiedy i on sam wszedł. Zawsze miły i uprzejmy, upoważnił nas bez trudności do zaabonowania się w czytelni i posłał natychmiast po katalog. Prosiłem go także o pozwolenie pisania do feldmarszałka Paszkiewicza, aby się upomnieć o amnestyę z oświadczeniem, że na mocy tego przyrzeczenia wracałem do domu, kiedy byłem przytrzymany.

Pułkownik odpowiedział, że nie może mi udzielić tego pozwolenia, ale to tylko będzie mógł uczynić, że będzie prosił feldmarszałka o to pozwolenie.

— Ależ pułkownik — rzekłem z żywością — w niebezpieczeństwie, w jakim zostaję, to jedyny dla mnie środek obrony.

Pułkownik się zamyślił, zdawał się wahać między konie-

cznością odmówienia i chęcią przychylną. Nakoniec powiedział, że bierze na siebie za to odpowiedzialność.

Dziwny kraj, gdzie chcąc mówić do władzy, trzeba jej pierwszej prosić o pozwolenie mówienia.

Pułkownik dotrzymał słowa; w pół godziny po wyjściu od nas przysłał nam wszystko, co potrzeba było do pisania. Pisałem więc na ryzyko poczwiwego pułkownika.

Nie wiem, dla czego zbyt ufając charakterowi feldmarszałka, wyjaśniłem mu otwarcie całą moją sprawę, wyjawszyszy okoliczności powrotu mojego, którą potrzeba było zmienić; wypadało to koniecznie z mojego położenia.

Posłałem mój list pułkownikowi; pan Niemojowski pisał ze swej strony do hrabiego Witta i wkrótce dowiedziałem się, że listy nasze doszły. Pułkownik kazał mi powiedzieć, że list mój oddał sam feldmarszałkowi Paszkiewiczowi.

Znałem niegdyś feldmarszałka; był wtenczas generałem brygady i uchodził za dobrego człowieka.

Nie przypuszczałem, iżby zaszczyty mogły go zmienić, pochlebiałem sobie zatem, że nie będzie od tego chwycić podawaną mu przezemnie sposobność do nadania mojej sprawie pomyślnego obrotu. Nie pojmowałem, iżby człowiek światły i mający szlachetną duszę mógł na chwilę zapomnieć o świętości sprawy, której byłem się poświęcił; zdawało mi się, że każdy chociażby tylko przyzwoity człowiek powinien mieć współczucie czynne dla męczenników tej szlachetnej sprawy i oddawałem się słodkiej nadziei, że wkrótce odzyskam wolność.

Zależało to od p. Paszkiewicza, miał do tego władzę, podawałem mu do tego pozorne środki; dla czegoż miałby się upierać niepotrzebnie przy zgubie dawnego znajomego, którego mógł ocalić tak łatwo, tak naturalnie!

Myślałem więc, że niewątpliwie będę uwolniony, że będę mógł połączyć się z kolegami na ziemi gościnnej i podzielać ich los.

Poświęciwszy majątek bez oglądania się na przyszłość, nie obawiałem się, iżby mnie zatrzymała chęć odzyskania go albo unoszenia jakich szczątków na wygnanie.

Pragnąłem tylko unieść moją rodzinę; o to tylko błagałem

niebios, a dla dopięcia tego zamiaru dosyć mi było kilku tygodni.

A gdy skutek mojego podania zdawał się pewny, rad więc z chwili obecnej uśmiechałem się do przyszłości, kiedy nam przyniesiono dzieło Alfonsa Karr: *Sous les Tilleuls*. Było to dla nas szczęśliwe zdarzenie.

W każdym czasie byłbym z przyjemnością czytał dzieło to pełne wdzięków; w ówczesnem usposobieniu umysłem zdawało mi się jeszcze przyjemniejszym.

Odwiedziny pułkownika, który przyszedł wieczór przepędzić z nami pół godziny, zakończyły dzień ten szczęścia w sposób najmiłszy.

Jakkolwiek miałem w przyszłości ufność, chciałem jednak zapewnić sobie sposób liczenia dni przepędzonych w więzieniu.

Tegoż samego wieczora kładąc się spać narysowałem paznokciem znak na murze i znaki te powtarzałem co wieczór z tą jednak ostrożnością, że czekałem aby to uczynić, iżby żołnierz stojący na warcie albo tyłem był obrócony, albo za drzymał; sam nie wiem, dlaczego tyle byłem ostrożny.

Polityka rosyjska mogła mieć w podejrzliwej obawie moje znaczki? Tego nie wiedziałem ale pewny byłem, że kalendarz mój mógł ją oburzyć, rozgniewać i że mogła mi kazać go zmazać ze ściany; co większa, że mogła go była wziąć za jakie hieroglify węglarskie. Może też byłoby się jej nie podobało, że liczył dni mojej niewoli.

Nareszcie coś mówiło mi potajemnie, że kreski znaczne paznokciem na ścianie więzienia mogłyby być uważane w Rosyi za tyleż zbrodni stanu, a przynajmniej za jakieś podejrzané znaki i że uczynię roztropnie, jeśli je przed kim bądź ukrywać będę.

Nazajutrz z rana pułkownik przyniósł nam smutną wiadomość: traciliśmy go, gwardya wychodziła z Warszawy i on oddalał się także ze swoim pułkiem.

Zapewniłem go, że rozstanie się nasze sprawia mi najżywsze zmartwienie, nigdy nie mówiłem szczerzej.

Pod jego zawiadowaniem byliśmy przynajmniej pewni, że nas nie spotkają grubiaństwa i dokuczania podrzędnych, któ-

rych podobny przełożony byłby zawsze utrzymał w karchach właściwych a zresztą byliśmy już przynajmniej nawykli do jego odwiedzin, do uprzejmej jego grzeczności, do poczciwego jego charakteru. Wszystko to zmniejszało nasze cierpienia i wszystko to ustawało dla nas od razu. W niepewności kto go zastąpi przepominałem sobie owego wąsatego majora gwardyi, któregośmy spotkali byli w drodze i o którego brutalskich wykrzyknikach wspominałem; wspomnienie to nie zmniejszało pewnie naszego żalu.

Półkownik Bystrom następca pułkownika Siewersa zachował dowództwo Pragi tylko przez dwa dni. Nie raczył nas ani razu odwiedzić, ale natomiast, kiedyśmy prosili, aby posłał zmienić zaabonowane książki, kazał nam odpowiedzieć w stylu spartańskim: *Czytanie zabronione*. Było to prawdziwe, niepotrzebne barbarzyństwo. Ale od kogóż pochodziło, czy od samego dowódcy, czy z kądś wyżej? Samodzierstwo byłoż ztąd wystawione na jaki szwank, że dwaj więźniowie czytali książki, które policya uznawała za niewinne, ponieważ pozwalała czytać je w publicznych czytelnich? Albo czy nie obawiano się, iżby częsta wymiana książek, nie podała nam sposobności komunikowania się zewnątrz więzienia! Ależ dowódzca placu był pośrednikiem między nami a księgarnią i miał tysiąc bardzo łatwych sposobów do przecinania tej komunikacyi zresztą dla nas tylko niebezpiecznej! Czy może nie ufano dowódczom? Byłoby to zabawna, ale nie niepodobna nieufność!

Czy to więc dla tej, lub dla owej bardzo ważnej przyczyny, odebrano nam nagle pozwolenie czytania? W rzeczy samej rozprószając nudy czytaniem wyrządziliśmy wielką krzywdę sprawiedliwości cesarskiej; czytając naraziliśmy niewątpliwie bezpieczeństwo carstwa: wszakże i żydzi wyrócili mury Jerycho samemi trąbami!

W zamian za tę karę mieliśmy na szczęście wiadomość od pułkownika Siewersa; donosił on P. Niemowskiemu, że oddał jego list hr. Wittowi, a mnie uwiadomił, że wkrótce będę wolny. Pułkownik oddając list osobiście feldmarszałkowi Paszkiewiczowi, musiał mu o mnie mówić i mógł zapewne wiedzieć, co chciano ze mną uczynić. Nie należało mi posądzać

go o lekkomyślność, a tem mniej o kłamstwo; uważałem więc udzieloną mi pomyślną wiadomość za pewną i mniemałem, że byłbym go krzywdził, gdybym o jej pewności na chwilę był wątpił. Szło więc już o to tylko, aby czekać jeszcze dni kilka! Ale to właśnie w ostatnich dniach uwięzienia, którego bliski przewidujemy koniec, przesila się niecierpliwość; liczy ona wtedy godziny, minuty, gniewa ją i w rozpacz wprawia długość czasu i wtedy to roztargnienie staje się więcej niż kiedy bądź potrzebnem, a właśnie w podobnem usposobieniu odebrano mi jedyny roztargnienia środek. Prawie zupełna towarzysza mojego głuchota sprawiła, że rozmowy nasze były leniwe i utrudzające, a nieustanna obecność warty i tych ścieśniała koło; zresztą oddawna wyczerpaliśmy byli ich przedmiot.

W nieczynności, bieg naturalny myśli zwracał mnie ciągle ku bolesnym wspomnieniom albo ku smutnym przewidzieniom. Co tu robić? Jakim sposobem wyrwać się z mąk nieczynności, na którą nas skazywano? Szukałem w głowie, jakim sposobem zapłacić chwile nudów, oprowadzałem machinalnie wzrok po pokoju, jak gdybym się mógł spodziewać znaleźć jaki przedmiot zatrudnienia; w tem ćwiartka papieru, na którą sto razy obojętnie spoglądałem, zatrzymała moją uwagę.

Ćwiartka papieru, pomyślałem, wszakże to skarb! Ale bez piór, bez ołówka, na cóż mógł mi się przydać papier? — Trzeba jednak z niego korzystać i myśl wynalazła na to sposób. Płatek tej ćwiartki odcięty, zwinąłem starannie w trąbkę, i zrobiłem z niego gwaczyk, którego koniec maczałem w roztopionym łoju świecy, przypalając go nieco; tym sposobem otrzymałem niby pędzel nawiedziony kolorem czarnym to słabszym, to wydatniejszym, w miarę jak mniej lub więcej używałem łoju i jak koniec trąbki mniej lub więcej nad świecą smoliłem.

Pędzlem takim świeżo namaczanym, otrzymywałem kolor mocniejszy a w miarę ubywania mieszaniny łoju i zwęglonego papieru, cienie stawały się słabsze.

Zapewne nie był to żaden dla sztuki nabytek, każdy ujrzy w tem tylko prawie dziecinną zabawkę, ale dla mnie nie-

szczęśliwego więźnia, prawie w samotności osadzonego, było to odkrycie drogie!

Ciągle próbując narysowałem pejzaż i próba udała się wybornie.

Wynalazek podobał się panu Niemojowskiemu; z przyjemnością przypatrywał się, jak robota moja postępowała, a ja pracowałem tak pilnie, tak gorliwie, jak gdyby nasze uwolnienie miało być nagrodą mojej mazariny, która zresztą miała podobieństwo do sepii.

Cały wieczór przepędziłem na poprawianiu, ukończaniu, krytykowaniu i przerabianiu mojego pejzażu i wyznaję, że wszystko to robiłem z największą przyjemnością; wieczór przeminął jak błyskawica.

Nazajutrz z rana spieszyłem pokazać mój obraz oficerowi dyżurnemu; on, towarzysz mój, jego służący i żołnierz na warcie była to moja publiczność.

Więzień czy nie więzień, artysta pracuje dla sławy; trzeba więc wystawiać na widok swoje dzieła, albo zniszczyć pędzel.

Powiodło mi się cudownie; oficer był oczarowany nie tylko samym sposobem, ale i wykonaniem. Zdanie jego było dla mnie bardzo ważne, bo już nie miałem papieru, a potrzeba było postarać się o inny.

Ale jakże żądać papieru od ludzi, którzy nie pozwalali czytać! Jak go dostać bez ich pośrednictwa? Zadanie było trudne, ale umyśliłem je rozwiązać prosząc otwarcie oficera, aby mi dostarczył papieru.

Rysunek mu się podobał, a nie powinien się być obawiać odpowiedzialności za udzielenie papieru, o który prosiłem na rysunek w każdym położeniu dozwolony.

Jeśli by czynił jakie trudności, byłbym go zapytał, czy sądzi, że sam fabrykowałem papier, na którym zrobiłem pierwszy rysunek i mogłem się spodziewać, że będzie mniemał, że wykonywał tylko zwyczaj przyjęty w więzieniu przez innych oficerów, jeśli mi każe kupić kilka ćwiartek.

Plan ten udał się zupełnie, a gdy w nieszczęściu człowiek uczy się roztropności, chowałem starannie mój skarb pod słomą

łóżka, aby innemu jakiemu mniej wyrozumiałemu oficerowi nie przyszła chętć zabrania go.

Po doniesieniu ze strony pułkownika Siewersa, zdawało mi się, że niezawodnie i wkrótce będę wolny; wszakże roztropność radziła oszczędzać papier i nie używać zbyt prędko zapalu mego do rysunku. Chciałem więc zachować sobie sposób przeciw nudom na przypadek prawie wątpliwy, ale niezupełnie nie podobny, gdyby uwięzienie moje się przedłużało. Przedłużyło się w rzeczy samej i oszczędzony papier wielką był mi pomocą, kiedy mnie minęła uadzieja. Wtedy zacząłem rysować z podwojoną namiętnością.

Bardzo rano zapalałem skromną świecę, wydobywałem z pod słomy pędzle i papier, zawsze tylko jedną ćwiartkę na raz z obawy, aby nie narazić całego zapasu i robiłem pejzaż po pejzażu. Naliczyłem ich sto ośm.

— Dzieci lubią obrazki — rzekłem razu jednego do p. Niemojowskiego — otóż mam ich dosyć dla moich dzieci; zachowają ich kilka, a jak dorosną, będą przywiązywały pewną wartość do tego słabego pomnika niewoli i czułości ich ojca. Zatrudnienie to podoba mi się przez wzgląd na me biedne dzieci. Wyobrażam sobie ich radość, kiedy każdemu z nich, całując je, będę mógł dać jedną paczkę obrazków; wydawać im się będą bardzo piękne, kiedy im powiem, że to ja i że to dla nich je rysowałem. Te pięć paczek będą dla moich dzieci. Szóstą! Tę przeznaczam dla mojej żony. Nie wzgardzi nią, tak mi mówi moje uczucie a jej serce ręczy mi za to.

Ci, co mają słuch trudny, nie lubią kiedy inni spostrzegają, że nie dosłyszają; jedni udają że nie uważają co się mówiło; inni dziwią się spaczniemi odpowiedziami; najrzęczniejsi przerywają nić rozmowy, której dalej prowadzić nie mogą i robią w niej wyłom, zaczynając mówić o czem innem.

Nie wiem, czy pan Niemojowski znajdował się w tym ostatnim przypadku, albo czy dosłyszał wszystko co mówiłem, bo zdawało mi się, że na obrazki patrząc pilnie się przysłuchiwał; to pewna, że ciągle mając zwrócone oczy na moje paczki, nieruchomy, z twarzą spokojną, odpowiedział albo rzekł do siebie ze zwyczajną sobie i rozpacz dającą mi flegmą:

— Ładne rysunki, Bóg wie, komu się dostaną!

Wzdrygnąłem się na tę myśl: Bóg wie, komu się dostaną!

Przeznaczyłem je mojej rodzinie. Że na głowę moją naznaczono cenę, że mi zabrano majątek, to się pojmuje. Ale iżby mi chciano odebrać nawet cacka mych dzieci, iżby przyjaciel to przewidywał i mówił o tem z sercem nierozjątrzonem pomyśleć nie mogłem.

Rossyanie byli zdolni do tego i zdawało mi się, że słowa pana Niemojowskiego mogły im myśl tę poddać; bałem się, czy ich nie słyszano. Na szczęście skończyło się na strachu.

Przerywałem rysunki i skracałem tę rozrywkę zrazu nie tylko dla oszczędzenia papieru, ale i dlatego, że się obawiałem wzbudzić nie wiem jakie podejrzenie, zapalając świecę wśród dnia.

Bałem się, iżby który oficer, chociażby tylko dla przyjemności użycia swej władzy, nie zabronił mi tej rozrywki, aby jeden drugiemu nie zdawał sobie tego zakazu i aby zabronienie to nie stało się prawidłem straży.

Ale wkrótce zapomniałem i o tej ostrożności; czas i po-myślny skutek przyzwyczajają do śmiałości i skończyło się na tem, że rysowałem od rana do wieczora. Zmieniający się oficerowie przychodzili często przypatrywać się mojej pracy, znajdowali w tem przyjemność i prawie wszyscy winszowali mi talentu, mogącego rozprószyć nudy nieczynności; jednego tylko zaczęło to uiepokoić, chciał koniecznie zabronić mi tej niewinnej rozrywki, ale po wielkiej pracy udało mi się zmienić jego sposób widzenia.

ROZDZIAŁ III.

Pułkownik Czelejew. — Poseł Sabatyn. — Wizyta Kapneyna. — Przeniesienie do Karmelitów. — Wizyty w więzieniu.

Zanim cały oddałem się robieniu pejzażów z nudów i potrzeby, wymyśliłem był inny rodzaj zatrudnienia: szyłem i haftowałem.

Nie mając z sobą rzeczy kiedy byłem aresztowany, uczułem brak bielizny a nadewszystko chustek; natomiast miałem prześcieradło przypadkiem wzięte do powozu mojego towarzysza; służący miał igłę a nożyczki w tłumoku P. Nie mój owskiego, uszły szczęśliwie baczości rewidujących. Prześcieradło dostarczyło mi nici i płótna i natychmiast wzięłem się do robienia i do obrębywania chustek. Nowa ta robota była dla mnie niejakiem zatrudnieniem, ale wnet się skończyła. Powiodła mi się a jak Cycero mówi, że powodzenie prowadzi do ambicyi, tak i mnie przyszła fantazyja zuchwała upiększać chustki haftowaniem. Ani przypuszczałem, iżby zatrudnienie podobne groziło carstwu jakim niebezpieczeństwem i może nie byłbym się omylił, gdyby nie było na świecie pułkownika Czelejewa, który po półkowniku Bystrom objął dowództwo Pragi. Ten zabraniał czytać, tamten nie lubił haftowania.

Nie wiem jakiego figla wypłatały mu hafty, to pewna, że jednego razu zaszczycając nas pierwszą wizytą, wzdrygnął się na widok moich haftów. Była to zła dla mnie wróżba, ale

jeszcze więcej zdziwiła mnie rubasność naszego gościa. Powstaaliśmy dla powitania go, ale on nie racząc odpowiedzieć na tę grzeczność, nie zdawając się zważać na nią, obrócił się do oficera gwardyi i zapytał, czy nas jest dwóch. (Ich dwoje?) Zabawne to pytanie tem się usprawiedliwiał, że już od rana był pijany. Oficer zapewnił go, że nas jest dwóch, a on przystąpił z miną najpoważniejszą do opatrywania zamków przy drzwiach i oknach i musiał je zapewne lepiej widzieć niż nasze osoby, bo już zaufał swojemu wzrokowi i żadnych względem nich nie zadawał pytań. I Sanszo Panszy wydawali się ludzie jak orzechy a ziemia jak ziarnko gorzycy!

Pułkownik oddalił się, nie powiedziawszy ani słowa, ale w godzinę potem oficer gwardyi sam powrócił, niekontent i w złym humorze. Po chwili milczenia i jak gdyby się na otworenie ust zdobywać musiał, rzekł do mnie:

— Nie wiem prawdziwie, jak mam panu wyrazić niedorzeczne polecenie, które mi dano w tej chwili.

Zapytałem go jakiego rodzaju ma polecenie z niespokojnością, która zresztą była bardzo naturalna po owych dziwnych pułkownika odwiedzinach.

— Pan haftuje?

— Tak, cóż w tem złego?

Oficer chciał widzieć moją robotę; pokazałem mu chustkę haftowaną.

— Ależ to po prostu haftowanie, zawołał; niechże sam przyjdzie odebrać panu tę robotę, ja się tego nie podejmuję!

Gdyby w miejscu tego pocziwego oficera był inny, podobny pułkownikowi Czelejew, byłiby mi odjęli i tę rozrywkę, byłiby mi wydarli chustki, które w 15 miesięcy potem z taką przyjemnością ofiarowałem moim córkom i które z taką przyjęły radością!

Oficer musiał zapewne wystawić pułkownikowi niedorzeczność jego rozkazu i użyć wiele wymowy, bo o tych chustkach już więcej nie mówiono. Zachowałem je więc, ale reszta bielizny poszła w kawałki.

Zamiast łóżka mając tylko kilka wiązek starej słomy, zmuszony byłem sypiać bez rozbierania się i jedyny mój frak

widocznie ucierpiał w takiej służbie. Szczupła suma, którą miałem przy sobie, kiedy nas aresztowano, pomimo oszczędności, codziennie zbliżała się do końca i już zacząłem doznawać wszelkich przykrości nędzy; ale nie skarżyłem się, dopóki jeszcze pozostawało mi nieco monety; za ostatnią sztukę kupiłem szklanekę piwa i kawałek chleba: była to racya całego dnia!

Nazajutrz trzeba było myśleć, jak uchronić się od cierpień głodu. Nie mogłem się odważyć prosić w traktyerni o kredyt, ale bieda do tego zmusiła. Traktyernie zwykle nie lubią dawać na kredyt, a nasza garkuchnia tem mniej do tego była skora, że adjutant pułkownika Czelejewa poradził jej nie dawać na kredyt tym ludziom, którzy lada chwila mogą być przewiezieni Bóg wie gdzie.

Odmówiono nam wręcz kredytu i musiałem znieść razem i przykrość proszenia i upokorzenie odmowy. Uwiadomiłem pułkownika, że nie mam z czego żyć.

Pułkownik kazał mi grzecznie odpowiedzieć: że mu to wszystko jedno.

Haniebna ta odpowiedź oburzyła mnie z razu, później widziałem w niej śmieszność przesadzonego barbarzyństwa. Tak więc pod panowaniem rosyjskiem więzień stanu i zapewne wszelki więzień, musi umierać z głodu, aby to tylko dozorczy więzienia było wszystko jedno. W istocie, Polska źle robi, że nie kocha podobnego rządu!

Na nieszczęście, p. Niemojowski nie był odemnie bogatszy. Wszakże obudwu nam pozostawał jeszcze jeden środek ratowania się od głodu. On miał zegarek, ja miałem tabakierkę. Powinniśmy zamiast udawać się do pułkownika, myśleć odrazu o ich zastawieniu, ale zapomnieliśmy o nich, nieprzyzwyczajeni do takiej ostateczności. Posłałem zastawić tabakierkę a pan Niemojowski posłał łańcuszek od zegarka. Zdawałoby się, że w więzieniu łatwo obejść by się można bez zegarka, gdy tymczasem w więzieniu najtrudniej jest z nim się rozstać. Więźniowi zdaje się, że czas nie postępuje, że cięży swoją nieruchomością: potrzeba mu coś, coby przypominało mijanie chwil, coby liczyło ich szybkosć.

Przyniesiono nam pieniądze, z których żyliśmy przez dwa tygodnie, bardzo skromnie, ale zawsze lepiej, niż głód cierpiąc.

Już cokolwiek przyzwyczajaliśmy się do takiego życia, kiedy zima ostra, która nieco była sfolgowała, powróciła ze wszelkimi, nieodłącznymi od niej potrzebami. W czasie tych wielkich mrozów, raczono nam dawać drzewo, zawsze jednak tylko jedną szczapę na dzień, nigdy więcej, chociażby szczapa była mała. Zresztą zostawiono nam wolność użycia jej jak nam się podobało, czy w kominie czy w piecu, chociaż ostatni potrzebował reparacyi, której nam odmawiano; szpary w piecu, niepodobieństwo palenia w nim, to pułkownikowi było wszystko jedno.

Komin był piękny i tak obszerny, że można w nim było spalić na raz furę drzewa. Nasza szczapka bez trudności w nim się mieściła; potrzeba było stósownego do rozmiarów komina ogniska, aby wstrzymać wiatr, który dał obszernym otworem. a nasz ogień zaledwie wabić nas mógł do komina, z którego mroźny przeciąg wskrósł nas przejmował. Drzewo dawane nam znikało w tej otchłani jak ciastko w trąbie słonia, a wiatr mroźny ziębił w kilka minut popiół, przy którym chcieliśmy grzać nogi. Natenczas uciekaliśmy od tego zabójczego komina i chodziliśmy po izbie, o ile sił nam starczyło. Jest to sposób rozgrzania się bardzo oszczędny i zwyczajny pomiędzy więźniami. Trudno sobie wyobrazić, ile więzienie, samo przez się, zachęca do chodzenia i czyni ruch potrzebnym, zwłaszcza ludziom, którzy zdołali zachować moc swego ducha.

Słowem nędza i cierpienia nasze, były tak zupełne, że powinny były zaspokoić pułkownika Czelejewa. Dowcip godny jego, nastreczył mu przecież sposobność jeszcze większego nam dokuczania. Razu jednego stojąc przed oknem, więcej niż zwykle cierpiący z zimna, głodu i nieznośnej nieczystości, na jaką nas potępiono, spostrzegłem muzykę pułku pieszego, szykującą się pod naszymi oknami i wnet potem zagrano nam marsz Dąbrowskiego: Jeszcze Polska nie zginęła!

Było to szyderstwo i okrutne i haniebne. Nędznik pułkownik, byłby może rad widział całą przykrość, jaką mi muzyką tą sprawił. Ale nie chciałem mu dozwalać tej radości i pomimo

słabości i wzruszenia nerwowego, zdołałem nie tylko ukryć moją boleść, ale nawet udawać wesołość. Tem ja nędznikowi dokuczyłem. Przyszedł do nas nim jeszcze muzyka grać przestała; ciężka twarz jego wyrażała złośliwą i podłą radość: widocznie przychodził cieszyć się swoim tryumfem, oczy jego zatrzymywały się to na moim towarzyszu, to na mnie, a gdy żadnego wzruszenia w rysach twarzy nie dostrzegł, chciał słyszeć, co mu powiemy.

— Dobrze grają, nie prawdaż? — zapytał.

— Bardzo dobrze — odpowiedziałem — nie wiem jak pułkownikowi podziękować za tę dobroć, którą nas cokolwiek rozweseliłeś; potrzebowaliśmy tego tak bardzo.

Spodziewał się smutku, może jakiego z naszej strony uniesienia, z którego byłby korzystał, a to nagle zbiła jego zamysł odpowiedź, której ironii ciasny jego rozum nie pojmował.

Twarcz jego zmieniała się, mruk jakiś stłumiony zatrzymał się na jego obwisłych ustach, odwrócił się, wyszedł i zniknął ze swoją muzyką.

Oficerowie gwardyi nie byli wcale podobni do pułkownika Czelejewa. Wszyscy z małemi wyjątkami zdawali się boleć nad naszym położeniem i usiłowali wspierać naszą stałość, o której nie wątpili, ale którą sądzili być strudzoną. Zadawali sobie wszelką pracę, aby wynaleść jaki dowód coby nam dać mógł otuchę.

Dobroć cesarza była wiecznym ich tematem; a gdy z tej strony bardzo mało miałem powodów do nadziei, szukali je gdzieindziej i nie znajdowali żadnego prawdopodobnego. W kilka dni po manewrze muzycznym pułkownika, jeden z nich posunął życzliwość swoją do tego stopnia, że mi dał fałszywą wiadomość o bliskiej amnestyi zapewniając, że widział ukaz i wymieniając z pewnością dzień, w którym ważny ten akt miał być ogłoszony.

Myślałem że zasługiwał na wiarę, bo mówił o rzeczy, jak gdyby już spełnionej, którą zaświadczał człowiek honoru, a zdawała się doradzać zdrowa polityka. Łatwo więc dałem się przekonać i uwierzyłem, że się zbliża koniec mojej niewoli. Myliłem się w sam czas, bo lubo prawdziwe męztwo wszelkim

przeciwnościom stawiać powinno czoło, jednak cierpienia pomnażane i przedłużane zużywają w końcu siły fizyczne a rozjątrzone męztwo staje się, jak gdyby furją i pustoszy siły tem więcej, im bardziej trzeba je w sobie tłumić.

Niespokojność działa więcej na osłabione siły a my właśnie mieliśmy najsprawiedliwsze, najpokorniejsze niepokoje o własny nasz los, o los naszych przyjaciół, naszej ojczyzny, naszych rodzin. Świeży ukaz zagroził nawet dzieciom powstańców: dzień i noc drżałem o los moich dzieci i nie mogłem powziąć o nich żadnej wiadomości.

Wilgoć mieszkania, z którego się nigdy nie wychodzi, usposabia do tęsknoty a mury naszego więzienia nawet w lecie nie wysychały. Do tego wszystkiego łączyły się jeszcze haniebne dokuczania i drażniące postępowanie pijaka, który w bezrozumnej gorliwości swojej chęłpił się, że był naszym nadzorcą więzienia.

Zwykle było to jego rozrywką, ile razy powraca z pijatyki, przychodzić do nas w nocy i przerywać nam sen; nie udawało mu się to z P. Niemojowskim, który niedosłyszał ale ja nie miałem przeciw jego nocnym hałasom żadnego sposobu. O jakiej bądź godzinie w nocy, wpadał do naszego pokoju, zawsze z hukiem i z krzykiem, a to, aby nam zadawać pytania eajbzdurniejsze.

Jednej nocy wpadł do nas zasapany, pytając, który z nas Sabatyn. Jeśli był zdolny coś wiedzieć powinno było być mu przynajmniej wiadome, kto jesteśmy i że pan Sabatyn był więziony w innej części domu. Pod napaścią tylu bolesnych wrażeń natura ludzka chwyta chciwie pierwszy lepszy promyk nadziei, aby tylko miał za sobą prawdopodobieństwo. Uwierzyłem więc szczęśliwą nowinę, którą mi zapowiedziano z taką pewnością.

Były już w istocie amnestye, ale były to tylko podstępne i niegodne zdrady, jak to zaraz udowodnię. Zdawało mi się, że powtórna amnestya będzie wierniej zachowana, bo inaczej dosyć było trzymać się pierwszej a nadto zapewne myślałem, uznano już, że jeżeli zemsta jest przyjemną dla monarchy zabawą a niekiedy nawet potrzebą rządową, to z drugiej

strony często zachodzą okoliczności, w których powinna mieć granice i ulegać innym widokom, nadewszystko kiedy już tyle uczyniono dla zaspokojenia jej i dla ohydzenia się w oczach ludzkości.

Otóż przykład, jak szanowano amnestye, ogłoszoną w imieniu cara.

Posel Sabatyn, ten sam, o którym wspomniałem, uwierzył na nieszczęście prawości obietnicy i z gazetą, w której tekst amnestyi był ogłoszony, nie chcąc się wyojczyzić, stał się przed jenerałem gubernatorem Warszawy hrabią Wittem. Wysoki ten urzędnik w owej fatalnej epoce, nienaganny Polak, uznał jego prawo i pozwolił mu powrócić do domu z poleceniem wyjechania w krótkim czasie z Warszawy i udania się na Podole, rodzinnej jego prowincyi.

Pan Sabatyn zaczął tego samego dnia czynić przygotowania do podróży, ale nazajutrz, zapewne z rozkazu wyższej nad zwierzchność hrabiego Witta władzy, obsaczono jego mieszkanie, porwano go gwałtownie i zaprowadzono do tego samego więzienia, do którego w kilka dni później i nas przywieziono.

Nie mogliśmy nigdy otrzymać pozwolenia widzenia go, a po upływie pięciu tygodni nadzorca więzienia wywiózł go do Kamieńca, stolicy guberskiej Podola.

Gubernator tej prowincyi otrzymał rozkaz do rozpoznania i do osądzenia jego sprawy. Został uwolniony, cesarz potwierdził wyrok, nakazał mu powrócić do domu, ale dodał łaskawie, aby był wygnany do Permy, o trzy tysiące werst od Kamieńca. Bóg wie, kiedy ten nieszczęśliwy obywatel ujrzy znowu swój kraj i swoją rodzinę!

Tymczasem mieliśmy w więzieniu chwilę bardzo przyjemną; mieliśmy wizytę! Krewna mojego towarzysza pani..... otrzymała pozwolenie widzenia go i przyjechała do naszego więzienia w towarzystwie oficera..... Po pierwszym wzruszeniu zapytała czy nie potrzebujemy czego; byłem w chwili złego humoru, podziękowałem jej jak należało, za zajmowanie się nami i odpowiedziałem, że nie poniżymy się do tego stopnia, żeby się aż uskarżać.

— Ależ władza — rzecze jej towarzysz jej, musi wiedzieć, czy panowie potrzebujecie czego, bo inaczej, jakże chcecie, żeby potrzeby wasze zaopatrywała?

— Jeśli tak — odpowiedziałem — więc powiem jednym słowem, że cierpimy zupełny niedostatek wszystkiego; kilkakrotnie udawałem się do naszego komendanta pijaka, ale tak bezskutecznie, że już więcej nie myślę zgłaszać się o to, czy do niego, czy do kogobądź innego.

Nasza nędza wzruszyła oficera, mój ton nie oburzył go; nastawał, żebym mu opowiedział nasze położenie i uczyniłem zadosyć jego żądaniu. Nazajutrz oficer przysłany przez hrabiego Witta, zapewnił nas, że się miano zająć nami i prosił nas przyjąć tymczasem małą pomoc pieniężną, którą mu dał od siebie hrabia Witt.

W kilka dni potem mieliśmy inną, równie niespodziewaną wizytę; otworzyły się drzwi i wszedł..... Kapucyn. Na ten widok obudwu nas jedna myśl zajęła: sądziliśmy, że przychodzi przygotować nas na śmierć! Na szczęście mnich wnet nas z tego błędu wyprowadził, oświadczając, że przychodzi dowiedzieć się o potrzebach pana Niemojowskiego i zapowiedzieć mi bliskie uwolnienie. Wiadomość ta zgodna z doniesieniem poprzedniemu pułkownika Siwersa, utwierdziła moje zaufanie w amnestyi, o której mi także mówiono.

Nazajutrz pan Niemojowski chciał koniecznie obchodzić rocznicę moich urodzin. Mieliśmy nieco pieniędzy, nasze uwięzienie miało się wnet skończyć, żołądek nasz był wycieńczony, a oficer tak był wyrozumiały, że nam pozwolił posłać po wino. Piliśmy za pomyślną przyszłość. Omyłka wczorajsza i dobre nadzieje rozweseliły nas więcej niż zwykle, a chociaż w niczem nie przebraliśmy miary, obiad tego dnia, porównany z biednym jadłem codziennym, był prawdziwą biesiadą.

Po tej małej uczcie, pan Niemojowski zaczął cierpieć na kamień. Oficer gwardyi był tak ludzki posłać po lekarza, którego sam chory żądał. Po konsultacyi pan Niemojowski wyraził mu żal, że na teraz nie może mu zapłacić wizyty; lekarz odszedł, nie mówiąc ani słowa, żądał tylko, aby służący

z nim poszedł po lekarstwo; w godzinę potem służący przyniósł lekarstwo i dwadzieścia dukatów.

W kilka dni później odwiedził nas generał Nabokow, który w postępowaniu swoim dosyć był podobny do naszego komendanta. Potem odwiedził nas, więcej ugrzeczniiony generał Pęcherzewski, dowódca Warszawy; towarzyszyło mu dwóch adjutantów. Podczas kiedy odbywał przegląd naszych izb, oficer.

Nazajutrz wieczór komendant przyszedł do nas z listem, pytając, czy nie jest adresowany do którego z nas. Adres ten był: Do s z w a g r a J ó z e f i n y. Poznałem natychmiast rękę mojej żony, ale ponieważ list mógł być pisany w czasie powstania, bałem się, czy w nim nie znajdują się rzeczy, mogące ją skompromitować; odpowiedziałem, że miałem wprawdzie bratową, której na imię Józefina, ale nie podobna mi wiedzieć, czy list adresowany do mnie, chyba jeśli mi będzie wolno go przeczytać.

— Czytajcież, tylko prędko! — odpowiedział brutal.

Żona donosiła mi, że nie doznaje jeszcze prześladowania. List ten lubo dawny, wielką sprawił mi radość i uspokoił mnie nieco względem losu mojej rodziny. Potrzebowałem bardzo tej pociechy i pragnąłem wiedzieć, przez jakie ręce ten list mnie doszedł.

Jednego wieczora około godziny dziesiątej, we czterdzieści dwa dni po wnijściu naszym do tego więzienia, siedzieliśmy obadwa zamyśleni i skurczeni przy kominie, napróżno prawie łudząc się jego ciepłem, gdy nagle ujrzelśmy majora Sojeckiego i innego oficera, którego tamten przedstawił nam pod nazwiskiem Sokołowskiego.

Ci panowie przyjechali zabrać nas z sobą. Spakowano szybko rzeczy mojego towarzysza; co do mnie, nie miałem z sobą nic do wzięcia.

Dwie dorózki czekały nas przy drzwiach; w jedną siadł pan Niemojowski z majorem, w drugą pan Sokołowski ze mną. Kilkunastu Kozaków eskortowało nasze powozy, które ruszyły ku miastu.

Przejechawszy most spotkaliśmy kategorynkę, grał marsz żałobny.

— Przyjmuję wróżbę — rzekłem wzruszony — jestem gotów!

Nie widząc, iżby się spełniła choć jedna z tylu nadziei, któremi mnie ludzono, zacząłem patrzeć na przyszłość z tem większym przerażeniem.

Ten nocny i niespodziewany wyjazd, ta zasłona rzucona na nasze niewiadome przeznaczenie, musiały koniecznie przeniknąć mnie boleśnie, a ta żałobna muzyka nagle na nerwach moich już i tak rozdrażnionych uczyniła wrażenie. Wszystko to wprawiło mnie w śmiertelną smętność.

Towarzyszący mi oficer musiał wiedzieć zachowany mi los, wiedział naturalnie dokąd mnie wiezie, nie mógł słyszeć bez wrażenia przykrego słów, które wymówiłem na odgłos żałobnej muzyki, a jednak usiłował, jak mówił, wyprowadzić mnie z błędu. Stracone słowa!

Zbyt byłem przekonany, iżby słuchać słabej pociechy, którą odpychało samo jego wzruszenie i ostrożne przenoszenie mnie do innego więzienia.

Tamto było dostateczne do aresztu tymczasowego, po którym miało nastąpić bliskie uwolnienie.

Chciano więc albo przedłużyć nieskończenie moją niewolę, albo osadzić mnie w jakim posępnym więzieniu, do którego zwykle wtrącają nieszczęśliwych, mających przechodzić z lochu więziennego do sądu, z sądu na rusztowanie.

Bo przypomniałem sobie, że nagroda była wyznaczona na moją głowę.

Cały w takich myślach byłem zatopiony, kiedy dorózki zatrzymały się przed więzieniem Karmelitów, głośnem w tych czasach tylu szlachetnymi nieszczęściami, tylu dzikimi okrucieństwami! Wysiedliśmy.

— Tu więc ma się spełnić nasze przeznaczenie! — rzekł pan Niemojowski.

Idąc przedsionkiem, którym przechodziło przed nami mnóstwo ofiar, którego nie jedna ofiara nie mogła żywa przejść na powrót, niewymowne uczucie obudwu nas przeniknęło.

Ciężka brama zawarła się za nami, jak wieko trumny; zdawało nam się, że na inny świat przechodzimy!

Długie korytarze więzienia Karmelitów, dawnego klasztoru miały rząd cel, w których zamykano więźniów. Cella dosyć obszerna, do której nas zaprowadzono, znajdowała się na pierwszym piętrze.

Oficer dyżurny gwardyi i podporucznik kozacki Popow wkrótce do nas przybyli.

Major oświadczył nam, że odtąd będziemy pod jego zawiadowaniem, a wewnętrzny nadzór więzienia będzie należał do podporucznika Popowa. *)

Jednego razu oficer dyżurny gwardyi rzekł do mnie:

— Nie uwierzysz pan, ile ta haniebna służba nas oburza. Ocaliłem waszych wielu, którzy byli w moim ręku; wszyscy uszli za granicę... Bodajby znaleźli tam ziemię gościnną, nie śmiem powiedzieć szczęście...

Głos jego wzruszony gasł, kiedy wymawiał ostatnie słowa... Po chwili milczenia rzekł:

— Miej się pan na ostrożności, te mury słyszą. Kiedy będziesz myślał, że jesteś sam, będziesz otoczony szpiegami, nie zwierzaj się nikomu.

Jednego razu inny oficer w te do mnie odezwał się słowa:

— Uspokój się pan, wszystko zmienia się na tym świecie; nie ma nieszczęścia bez końca; dzisiaj jesteś więźniem, jutro może nim nie będziesz.... będziesz wolny i to może wkrótce!

Z przyjemnem wrażeniem zaczęliśmy poznawać, że przynajmniej nie jesteśmy już pod zawiadowaniem takiego zwierzaka, jakim był Czelejew.

P. Popow otrzymał rozkaz rozdzielenia nas i zaprowadził mnie do sąsiedniej celi, którą wychodząc zamknął.

*) Musimy znowu przerwać ciąg opowiadania i wypuścić z rękopisu niektóre wzmianki o osobach, zachowując jednak starannie słowa bezimiennych, tak jednak, iżby z nich osób nie można się domyślić.

Moje nowe i brudne mieszkanie miało prawie ośm stóp długości, a sześć szerokości; były w niem stolik, stółek, i pryzma; ale było dobrze ogrzane, szczęście, którego od dawna nie znałem. Strudzony wzruszeniami moralnemi, wśród błędnego ciepła i szczęśliwy, że mogłem się rozebrać, bo zastałem pościel zupełną, rzuciłem się w łóżko i przespałem do godziny ósmej z rana.

Ciepło rozprężyło ciało od zimna prawie skośniałe, sen odświeżył krew i ochłodził głowę; obudziłem się z uczuciem prawie szczęścia. Ale otworzywszy oczy, spostrzegłem, gdzie byłem i znowu opanowała mnie myśl ponura. Z tem wszystkiem zacząłem przegląd łóżka, ścian brudnych i poskrobanych. Wzrok zatrzymał się na rozmaitych napisach na murze i zacząłem je czytać.

Więzienie to widziało tyle nieszczęść, tyle zdrożności! Co się działo w tej celi? Może mi to powiedzą napisy; może znajdę na murach jakie ślady moich przyjaciół. Czytałem, ale nic nie znalazłem. W podobnem miejscu wywieszać swoje uczucia, swoje tortury, byłoby to samo co drażnić swoich katów. Pochwalałem ich roztropność a jednak byłbym wołał znaleźć jaki ich ślad. Spodziewam się znaleźć sam nie wiem co zapewne coś takiego, co jeszcze więcej byłoby mnie zasmuciło i chyba żałowałem tego nowego dla zmartwienia żeru. Nareszcie odkryłem w kącie kawałek papieru z wierszami pełnemi malancholii; z boleścią poznałem rękę jednego z moich przyjaciół.

Nieszczęśliwy przepędził trzy lata w tem smutnem mieszkaniu i wyszedł z niego nie wolny, ale porwany na żołnierza do armii kaukaskiej i skazany na żołnierza na zawsze! Przemieszkać trzy lata w podobnym grobie i potem być żołnierzem rosyjskim i to jeszcze żołnierzem rosyjskim na całe życie, czy ten los i mnie zachowany — myślałem, rzucając się na łóżko. Ach! raczej sto razy umrzeć, niż do końca wycierpieć taką nieznosną męczarnię!

W tem uderzenie młota o mur z drugiej strony obok okna zwróciło moją uwagę. Pokazał się koniec drabiny i człowiek na niej. Wnet się dowiedziałem, co tam robił; przykładał on

od okna mojej celi, jak gdyby firankę z desek, przybił ją mocno gwoździami i zostawił dla światła tylko mały otwór z góry, tak, iżby patrząc, ani na dół, ani po obu stronach okna nie się widzieć nie mogło.

— Dobrze — zawołałem — boją się nawet, żebym nie oddychał, mierzają mi światło i powietrze i zostawiają ich tyle tylko, ile potrzeba, nie żeby żyć, ale żeby cierpieć. Barbarzyńcy!

Tymczasem raczono się zająć moją żywnością. Łaskawy monarcha kazał mnie utrzymywać swoim kosztem. Wyznaczono mi pół rubla na dzień a nawet miano tę delikatną uprzejmość zapłacić mi z góry natychmiast za pięć dni.

P. Sokołowski uwiadomiwszy mnie o tem i złożywszy pieniądze, poszedł z tą samą wiadomością do p. Niemojowskiego.

Major, który mu towarzyszył, został i przyrzekł mi wyśtarzać się, aby drewniane firanki zastąpić kratą, któraby mi przynajmniej zostawiała więcej światła i powietrza. Uczynił mi także nadzieję otrzymania pozwolenia do widywania mego towarzysza, radził cierpliwość i obiecywał niejaki w więzieniu tem zwolnienia.

W rzeczy samej nazajutrz generał..... pozwolił nam jadać razem.

Słabość zdrowia pana Niemojowskiego odejmowała rozmowie część wdzięków; nie miała tej łatwości, która ją uprzyjemnia, tych krótkich wyrażań, które oddają myśl całą, tej różnobarwności tonu i głosu, która zajmuje i słuch i serce, a która lepiej maluje, niż wyrażają słowa.

Trzeba było mieć ciągle głos nateżony, ażeby usłyszał, co się do niego mówi. Nie można było mówić dla niego samego; trzeba było albo milczeć, albo tak mówić, iżby wszyscy słyszeli. Niewygodnie z tem wszędzie, ale w więzieniu to prawdziwy niepokój, w więzieniu zwłaszcza, gdzie jak mnie uprzedzono, mury mają uszy.

Ale jeśli pan Niemojowski nie dosłyszał, za to dusza jego była piękna, umysł oświecony; był to mój kolega w naszym zawodzie patryotycznym, mój towarzysz na wygna-

niu, a dziś mój towarzysz nieszczęścia; nawet bez tego pięknego charakteru, bez tych praw do mojej przyjaźni, gdyby to był człowiek zwyczajny, nawet nudny i bez uczuć, towarzystwo jego byłoby mi jeszcze potrzebne.

Odosobnienie zupełnie jest nieznośne dla człowieka; jakież więźniowie niczemu bardziej nie złorzeczą, jak samotności więzienia. Człowiek jest przedewszystkiem przeznaczony do towarzystwa; jakiegobądź, musi je mieć. W braku człowieka światłego, bierze za towarzysza prostaka, w braku tego przybiera do swego towarzystwa jaką bądź istotę żyjącą, nawet taką, którąby się brzydził w innych okolicznościach. Świadkiem tego Pellico i jego pajak.

W świecie, najodważniejszy mizantrop, ma zawsze zatrudnienia i rozrywki, może zawsze do kogoś słowo przemówić, widzi, jak inni ludzie żyją w społeczności. W lasach, dziki na niejaki czas i dla przywiedzenia jakiego zamiaru odosobniony, zajmuje się swoim celem, ma do koła siebie przestrzeń, gdzie całymi piersiami oddycha, gdzie wzrok jego nie widzi granic, gdzie tysiąc rozmaitych głosów odbija się o jego uszy, gdzie się przenosi do woli z miejsca na miejsce, gdzie się przesuwa przed nim mnóstwo przedmiotów i rozmaitych zwierząt, gdzie żyje całą potęgą swojego bytu, gdzie ma dni obawy i tryumfu, gdzie panuje, gdzie jest królem natury. Ale człowiek, którego światem jest ciasne i nieme więzienie, gdzie żyje samotny, gdzie do koła nie widzi żadnego życia, gdzie słyszy tylko krwi swojej, albo krok jednostajny warty, gdzie pierś jego nie ma dosyć powietrza, umysł pokarmu, uczucie wrażeń, gdzie życie jego stłumione, ściśnione pomiędzy czterema murami, zużywa się w nudach i gaśnie w nicości!

Och! więzień taki wie i tylko sam wie dobrze, jaką jest męczarnią odosobnienie zupełne!

Otóż na taką, rozdzielając nas, skazano nas męczarnię. Pozwolenie jadać razem zmniejszyło nasze cierpienia. Co do kraty, obiecaniej mi jako łaskę w zamian za deski, które mi zasłaniały okno, trudniej było ją otrzymać; musiałem czekać sześć całych tygodni, potrzeba było na to rozkazu władzy wyż-

szej, a władza ta upierała się zapewne przy tem, abyśmy jak najmniej mieli światła.

Ta zwłoka była dla mnie tem sroższą, że generał, który mnie odwiedzał, pozwolił mi knuć papieru i farb.

Pomimo tych przeklętych desek, mogłem widzieć dosyć jasno, ale tylko do godziny pierwszej i kiedy był dzień pogodny. Przepędzałem więc czas, z rana malując a o drugiej lub trzeciej wychodziłem na obiad do pana Niemojowskiego; jedliśmy chętnie jak najpowolniej, aby przedłużyć chwilę towarzystwa. Żaden oficer gwardyi nie miał tej surowości śmiesznej, iżby nam je chciał skracać. Powróciwszy do siebie, rysowałem przy świecy.

P.... przychodził do mnie codziennie, może z polecenia ale jego życzliwość i grzeczność były dla nas prawdziwą ulgą. Wieczór wychodziłem znowu do p. Niemojowskiego na herbatę. Nie wiem, czy generał na to był pozwolił, czy też uważano herbatę za dodatek, należący do obiadu; zdawało się że z jednego pozwolenia wynikało drugie. To pewna, żeśmy się zgromadzali co wieczór a po herbacie, którąśmy także ile możności przedłużali, powracałem do celi.

Tak upłynęło kilka dosyć spokojnych tygodni. Rysunek i nasze miejscowe wizyty zmniejszały ciężar czasu; ale wszystko to było zawsze jedno i to samo. Jednostajność wszystko psuje; powróciły nudy.

Trudno mi było powracać zawsze do pędzłów. Ten rodzaj przymuszonej rozrywki, bo nie miałem innej, zaczął być dla mnie pracą utrudzającą. Niekiedy aż żałowałem więzienia mojego na Pradze. Tam cierpiełem często głód, zawsze było mi zimno, wszystkiego miałem niedostatek; ale przynajmniej okno nasze wychodziło na ulicę, mogliśmy widzieć przechodzących i słyszeć zgiełk życia.

W więzieniu na Pradze nie mogliśmy wychodzić; wieździeliśmy o tem i nie usiłowaliśmy przekraczać tego zakazu; tu w godzinach prawie oznaczonych wolno mi było wchodzić do celi pana Niemojowskiego, ale gdy ta godzina minęła, żołnierz, postawiony przy drzwiach celi, zagrażał mi wyjście;

potrzeba było nieustannie się przemawiać i często udawać się do pośrednictwa oficera.

To jąrzyło mój charakter i te prawie codzienne nieprzyjemności drażniły mnie, jak gdyby jaka obraza.

Humor mój stawał się codziennie posępniejszy i wnet opanował mnie taki nadmiar melancholii, że wszelka rozmowa zdawała mi się odrażająca; nie mogłem przemódz nad sobą, żeby coś mówić, coś robić.

Na stołku z łokciami o stół opartemi, z twarzą rękami zakrytą, siedząc przepędzałem nie raz dnie całe. nie mówiąc ani słowa, nie ruszając się prawie z miejsca; oddychałem ale z trudnością.

Gdyby mnie kto w takim stanie był widział, byłby sądził, że się zatapiałem w rozmyślaniach, że się zagrzebywałem w przeszłości, że się gubiłem w przyszłości, gdy tymczasem nie myślałem ani o tem co było, ani o tem co będzie, ani o teraźniejszości; nie myślałem o niczem, byłem jak gdyby w moralnem letargu. doznawałem pewnego rodzaju zawieszenia życia.

I wychodząc niekiedy z takiego stanu, znowu go żałowałem, znowu chciałem wpaść w taką odrętwiałość i to natychmiast, na długo, na zawsze, bo wspomnienia rozdzierały mi duszę, bo to życie w więzieniu pragnęło śmierci.

Jednego razu dyżurny oficer gwardyi widząc mnie w takiej melancholii, zaczął mnie pocieszać, ale na próżno. Nagle zmieniając ton i swoje pocieszające rozumowanie, rzekł tonem poufałym:

— Czy nie zagramy w pikietę?

Podobał mi się taki niespodziany obrót rozmowy; przyjąłem propozycję i chociaż nigdy nie lubiłem gry, chociaż nasza gra dla ważnej bardzo przyczyny nie mogła być interesowną, grałem z przyjemnością, z zajęciem, i to trwało do północy.

Byłbym grał do białego dnia i nie byłbym się znudził.

Śmiałyśmy się i ten mało znaczący wypadek odświeżył nie jako moje myśli.

Oficer odchodząc przez grzeczność zapomniał wziąć z sobą

karty; przywłaszczyłem je sobie bez skrupułu, tem bardziej, iż nie miał już powrócić i nie wiedziałem, jak mu je oddać.

Posiadałem więc talię kart i obiecywałem sobie użyć ich przy pierwszej sposobności.

Dostały mi się tak niewinnie, że nie widziałem potrzeby ukrywania ich i zostawiłem je na stole. Kolejny oficer odwiedzając mnie, spostrzegł je. Z twarzy i poruszeń jego, myślałby kto, że zobaczył jaki potwór.

Po tem pierwszym zadziwieniu porwał je i schował do kieszeni. Nie byłem przygotowany na taką niegodziwość; widziałem w niej czyn tyrański, nędną kradzież i w oburzeniu skarżyłem się przed majorem.

— Jakże — rzekłem — czy mają się ze mną obchodzić jak z małym chłopcem!

Mógł być odpowiedzieć mi: Obchodzą się z tobą, jak z więźniem rosyjskim, którego położenie zależy od mniejszej lub większej niedorzeczności, lub dzikości podwładnych, i od tego, jak ci, mniej lub więcej przejmują się srogością swego pana.

Jakież było moje zadziwienie, kiedy major tyle rozsądny i uprzejmy, wręcz mi powiedział, że w istocie nie wie, czy można mi zostawiać karty i musi się zapytać o to władzy wyższej.

— Kiedy z takiej drobnej rzeczy — odpowiedziałem — robicie sprawę stanu, nie mówmy więcej o niej; obejdę się bez kart.

W chwili gniewu, wszelkie poświęcenia zdają się podobne; byłbym wtenczas ze wzgardą odrzucił karty, gdyby mi je byli zwrócili. Ale, tylko co major samego mnie zostawił, gniew ustał, a żal powrócił, a za nim przyszły smutne myśli.

Nie szło tu o rzecz ważną, ale w takiej bzdurnej okoliczności, oficer wyższy, człowiek rozsądny nie śmiał działać bez pozwolenia wyższej władzy! Jakaż to jest ta władza? Od jakich te dzików zależy mój los i któż przewidzieć może gdzie się zatrzymają ich wymysły?

Strudzooy takimi czarnymi myślami, nagle otrząsałem się z nich, mówiąc do siebie:

— Nie chcę, żebym miał karty; otóż mieć je będę.

I natychmiast pochwyciłem za nożyczki, postrzygłem papier i zacząłem fakrykować karty z zapalem nie do uwierzenia; pędzel przybrał dawny powab, każda karta odmalowana była zdobyczą i w przeciągu tygodnia tryumfując, układałem patience.

Da takiego układania kart nie potrzeba wiele mozółu, trudno nawet nie nauczyć się kłaść patience. A ten sposób zapytywania losu, który nie najwierniej odpowiada tym, co go zapytywują i na którego odpowiedzi nie zwraca się względu, w więzieniu do zabicia czasu bardzo może być usłużny. Co do mnie, wyznaję, że ta rozrywka chociaż mi los najsprzeczniesze rzeczy gadał, bardzo mnie bawiła.

Głównie o to mi szło, aby mieć karty i używać ich, na przekór nierozsądnemu despotyzmowi, który mi ich zabraniał. Było to droczyć się z tyranją, była to słabość, ale serce ludzkie takiem jest a ja nie mam pretensyi być różnym od innych. Jakoż nie przeistaczam tu żadnego mojego uczucia i żadnego mojego wzruszenia. Dlatego, że grałem jakąkolwiek rolę na widowni politycznej, nie chcę sobie wyobrażać, że zwyczajne natury ludzkiej kroki nie przystoją mojej godności; nie chcę, jak to mogą czynić inni, przybierać cudzy charakter, tłumić radość, zagłuszać boleść, ukrywać wszystko, co nie należy do udanej roli i potępiać się na śmiech, albo na płacz pod maską, którą nie chcę zasłaniać mojej twarzy.

Nie przestałem nigdy i nie chciałem nigdy przestać być człowiekiem i dla tego opowiadam moje uczucia tak, jak ich doznawałem.

Tego samego dnia, kiedy miałem przyjemność używać po raz pierwszy kart mojej fabrykacyi, spotkało mnie inne szczęście.

Adjutant hr. Witta odwiedził mnie i obiecał mi w jego imieniu książki.

Wkrótce potem major uwiadomił mnie, że krata zastąpi deski drewniane zakrywające okno. Zmianę tę zrobiono zaraz nazajutrz.

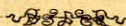
Nie wiem czy kto kiedy miał tyle, ile ja wtenczas przyjemności znajdować się za kratą; ale też za kratą mogłem mieć więcej niż za deskami powietrza, światła, widoku. I to sprawiło mi przyjemność, że widziałem otwarte okno i człowieka pracującego około tej kraty.

Przypatrywałem mu się z uwagą, kiedy żołnierz, który mu towarzyszył, przez jakąś niesłychaną swobodę oddalił się i nas z oczu stracił.

Spostrzegł to rzemieślnik i nie przestając stukać młotkiem, zaczął mi się przypatrywać nie przez ciekawość ale z wyrazem bólu.

Kiedy mu odpowiedziałem na zapytanie, jak się nazywam, uchwycił mnie za rękę, ucałował ją i rzekł po cichu:

— Będiesz pan wiedział... — w tem żołnierz powrócił, rzemieślnik przybrał zwyczajną minę, skończył swoją robotę i zniknął.



ROZDZIAŁ IV.

Panie F..... i L..... — List obiećty. — Wysocki. — Mysz. — Wzięcie trucizny. — Pani S..... — X. J..... — Poseł Angostowski. — Poświęcenie się oficera rosyjskiego.

Wszystkie te pomyślne wypadki zmniejszyły cierpkość mojego humoru; ale, gdy ich nie nie urozmaiciło i gdy książki przyobiecane nie przybywały, pomimo kilkakrotnego przypominania oficerom obietnicy, nudy powróciły w całej mocy. Dopiero po czterech tygodniach przyniesiono mi kilka tomów, które pożerałem. Zablysł mi znowu promyk szczęścia, bo wkrótce potem dwie damy panie F.... i L..., otrzymały pozwolenie widzenia mnie i odwiedziny te były tem przyjemniejsze, że nie byłem przysposobiony do takich względów władzy.

Zapomniałem o mojem nieszczęściu, widząc je wchodzące. Serce moje nie starczyło wzruszeniom niespodzianej szczęśliwości, jaką mi sprawiły te nieprzewidziane odwiedziny. Więc o mnie wszyscy nie zapomnieli, więc oprócz rodziny są jeszcze osoby, które się mną zajmują!

Nagle zjawienie się przyjaciela byłoby mi sprawiło niewypowiedzianą radość, ale kobiety odwiedzające w więzieniu człowieka, którego zaszczycają swoim szacunkiem, przynosząc w nieszczęściu pociechę nierównie większą i odmienną. Serce ich jest tak czułe, tak wspaniałe ich uczucia, ich troskliwość

tak są delikatne, ich głos ma tyle wdzięku, ich wzrok tyle słodyczy i mocy przekonywającej! Mówią o tem samem, ale inaczej i lepiej jak najczulszy przyjaciel. Wymawiają te same słowa, ale innym tonem, prawie innym językiem; bo przyjaciel tylko mężczyzna a kobiety istotami nad niego wyższymi przez te rozmaite rodzaje zasługi, które zdobią dni szczęścia a nadają powab nieszczęściu.

One to budzą w duszy człowieka to uczucie rokoszne, w którym się łączą wrażenia czulej prostoty dziecinnej, słodkiego pociągu delikatności i wdzięków i uwielbienia dla zbioru wszelkich cnót i doskonałości ludzkich. Wszędzie są kochane. Podziwiają i wynoszą je pod niebiosa w salonach, gdzie jaśnieją takim blaskiem! Cześć im składają w życiu domowem, jak bóstwom opiekuńczym! Ale kiedy zstępują do lochów więziennych, aby nieść pomoc i pociechę, niekiedy aby oswobodzić biednego więźnia. Ach! Wtenczas piękność ich jest wzniosła, wtenczas uznajemy w nich naturę wyższą, spełniającą missyę boską!

Kto ich nie widział w okolicznościach, gdzie mogą rozwinąć wszelkie zasoby swego rozumu, wszelkie skarby swej duszy, ten znał je niezupełnie albo raczej ten ich nie znał wcale!

Co do mnie, nie mógłbym zdać sprawy z wrażenia, jakiego doznałem w czasie tej wizyty. Byłem zbyt wzruszony, zbyt szczęśliwy! Nim odeszły, zapytały mnie, czy mi czego nie brakuje.

— Niczego — odpowiedziałem bez wahania i tak do brodusznie, że to musiało im się zdawać dziwno.

Moja odpowiedź była i zmyślona i razem prawdziwa. Zmyślona, bo w istocie wszystkiego mi brakowało; prawdziwa, bo w chwili, kiedy mówiłem, cały byłem oddany mojemu szczęściu i nie myślałem bynajmniej o nędzy mojego położenia. Musiały zapewne zrozumieć rodzaj szalu, w jakim się znajdowałem, bo odwołały się od słów moich do własnych oczu i badawczy ich wzrok przebiegl wszystkie części mojej celi; poczem odeszły.

Zjawienie się ich sprawiło mi wielką radość, oddalenie się ich pograżyło mnie w smutek. Samotność zdawała mi się wię-

kszą i okropniejszą. Widziałem się więcej odosobnionym, nie-
szczęśliwym, niż pierwiej.

Nazajutrz oficer przyszedł z dwoma żołnierzami obłożanymi rozmaitymi pakami, które mi te damy przysłały. Były to prześcieradła, koldry, kaftaniki, chustki, paki cukru, cytryn, konfitur, słowem, otrzymałem od nich wszystko, co tylko wymyślić mogły pożytecznego i przyjemnego dla więźnia, pozbawionego wszelkich zasobów pieniężnych i wszelkich komunikacji ze swoją rodziną.

Niewątpliwie los mój polepszył się pod względem potrzeb fizycznych: nie doświadczyłem już niedostatku rujmującego ciała, a z ciałem ostabiającego duszę. Ale doznałem skutków przeciwnych i nie mniej przykrych. Z powrotem sił wróciła energia, z energią niecierpliwość gwałtowniejsza na ogołocenia i cierpienia moralne, zwłaszcza iż po siedmiomiesięcznych zawodach nadziei nie mogłem mieć już żadnej. Na domiar nieszczęścia nie otrzymywałem żadnej wiadomości od mojej rodziny.

Dzieci moje lubo bardzo młode, nie musiały zapomnieć ojca; żona moja, przez lat dwanaście otaczała mię szczęściem; nieszczęśliwy jej mąż mógł stać się tylko droższym dla niej. Ale, albo uważała, że byłoby nieroztropnie pisać do mnie, albo co było podobniejsze do prawdy, listy jej były przejmowane. Od siedmiu miesięcy odebrałem od niej tylko ten bilet, o którym poprzednio mówiłem.

Nie wiem jakim sposobem ów gbur komendant mógł mi go zastawić po oddaniu mi go dla poznania ręki. Może o nim zapomniał, a ja bojąc się, aby go odemnie na powrót nie był żądał, miałem go schowany w woreczku płóciennym, który uszyłem z kawałka prześcieradła i nosiłem przy sobie, jak nabożni szkaplerze. Czytałem go był często, umiałem go na pamięć a jednak odczytywałem go w napadach melancholicznych i rzadko kiedy nie czułem się spokojniejszym, rozpatrując się w piśmie tej czulej, tej wspaniałomyślniej przyjaciółki.

Niekiedy odczytywanie tego biletu obudzało we mnie trwogę, której w sobie tłumić nie chciałem.

Obawiałem się, aby nie wywierano zemsty na żonie i dzie-

ciach za mniemane zbrodnie męża i ojca i aby po zrujnowaniu ich nie zrobiono sobie jeszcze przejemności poświęcenia ich. Może myślałem nie raz, może się to już stało. Ah! Ileż boleści doznaje w życiu serce człowiecze!

Jednego razu major przyniósł mi nareszcie.... list, nie.... kawałek listu od mojej żony. Były to tylko ostatnie sześć wierszów, reszta zdawała się zapewne podejrzaną, zatrzymano ją więc, ale nóż inkwizytorów jeszcze i z tych sześciu wierszów odciał część frazesu.

Oburzyło mnie to bezbożne i bezrozumne obcinanie, skarżyłem się o to majorowi w wyrazach gorzkich, wystawiałem mu, że moja żona nie jest szalona, iż wiedząc gdzie się znajduje, nie mogła jakie bądź były jej myśli, pisać do mnie cokolwiek, by niepokoić mogło władzę najpodejrzliwszą.

Major słuchał mię cierpliwie, pozwolił mi powiedzieć wszystko, co miałem na sercu, zdawało się, że się wstydził za złośliwy bezrozum władzy i że niepotrzebne dokuczanie mi, sprawiało mu przykrość; ale nie śmiał nic powiedzieć a gdy mówić przestałem, za całą odpowiedź, ruszył ramionami i odszedł.

Kiedy pomyślę o tym czasie, kiedy małe pociechy następowały niekiedy po wielkich zgryzotach a cierpienia srogie po krótkiej radości, wystawiam sobie często, że byłem wtenczas pod wpływem dwóch potęg: jednej przeważnej i zaciętej do szkodenia mi, drugiej podrzędnej, ale usilnej w przynoszeniu mi ulgi.

Był to Oromoz i Ariman, którzy wywierali swój wpływ na więzienie Karmelitów. Arima jakie bądź było nazwisko jego na tym świecie, byłby niechybnie całego listu mnie pozbawił, gdyby Oromoz, którego także nie wiem nazwiska, nie miał być tyle dobroci a może powinienbym powiedzieć, odwagi, że mu wyrwał kawałek tego listu, aby mię nim pocieszyć!

W kilka dni potem dowiedzieliśmy się, że nasza pensja podwyższoną zostało do 5 złotych na dzień. Wystarczało to na nasze potrzeby, ale właśnie dla tego do reszty znikła moja nadzieja.

Widziałem bowiem, że wszystko urządzi się na uwięzienie,

które nie ma mieć końca. Moje napady melancholiczne stały się coraz częstsze, liczniejsze i czarniejsze.

Życie ciążyło mi, chciałem zrzucić z siebie jakie brzemień i sądzę, że byłbym to uczynił. Ale jeszcze w ostatnim liście, żona moja znając mój charakter, błagała mię abym się zachował dla niej i dla naszych dzieci i miał nadzieję w przyszłości, której koleje nie zawisłe są od wszelkich przewidywań ludzkich.

Nie mogłem powiększać boleści mojej żony; rezygnując się żyć sądziłem, że czynię więcej, jak gdybym umierał w jakiej bądź innej sposobności. Nie byłbym chciał za nic w świecie iżby mi miała wyrzucać samobójstwo, którego by nie usprawiedliwiały najgwałtowniejsze pobudki. Ale byłbym uściskał serdecznie przyjaciela, który byłby przyszedł powiedzieć mi: Mają cię natychmiast rozstrzelać.

W takim byłem usposobieniu, kiedy Kapucyn, który już nas odwiedzał w więzieniu na Pradze, znowu do nas przybył. Usiłował czynić mi nadzieje. Wyraz ten przypominał mi tyle zawodów, że go z oburzeniem usłyszałem. Przerwałem słowa zakonnika i zawołałem:

— Nie mów mi o nadziei! Uczyniłem co należało; sumienie moje jest spokojne i jestem wyższy nad nadzieję.

W podobnych wyrazach odpisałem na list brata. List mój musiał przechodzić przez władzę. Dla tego jednak nie chciałem pisać w nim z umiarkowaniem; rozpuściłem pióro i pozwoliłem sercu wylać się. Pilnujące mnie osoby znalazły w tym liście wyrazy ostre i mało względności dla ich narodu, musiały nade wszystko uważać z przytoczonych w nim wyrazów:

„Co bądź nastąpi, czyń coś powinien.“

Ze miałem się w sumieniu za rozgrzeszonego z czynów, które jako Roszanie mogli nazywać bardzo zbrodniczymi, a jednak rad jestem oddać im tę sprawiedliwość, ani myśleli ukarać mię za tę dumę i zdawali się nie spostrzegać w moim liście nic, coby mogło być ich obrazić; przeciwnie, mniemam że życzliwość ich dla mnie od tego czasu była jeszcze czynniejszą i delikatniejszą. Pojęli oni byli położenie moje i swoje.

Uczuli, że duma przystoi nieszczęściu, jak wspaniałomyślność powodzeniu.

Stopniowo straciłem apetyt, sen i siły. Wpadłem znowu w tę apatię moralną, której szczególnie symptomata już wskazałem. W takim stanie zawieszenia bytu zostając jednego razu o północy, usłyszałem chód powolny kilku osób w milczeniu kurytarzem postępujących. Brzęk kajdan łączył się z odgłosem stapań.

— Niestety — pomyślałem — rzucają ofiarę w to piekło, albo prowadzą ją na stracenie! Może nieszczęśliwy wolalby żyć i ludzię się jaką zwodną nadzieją; prowadzą go na śmierć, podczas kiedy tu zostawiają mnie, co pragnę ztąd wyjść jaką bądź drogą!

Wstałem, przyłożyłem ucho do drzwi, słuchałem i dosłyszałem tylko stapanie i brząkanie kajdanami pośród więziennego milczenia nocy!

Nazajutrz o tej samej godzinie te same odgłosy odbiły się po kurytarzu, ale w kierunku przeciwnym. Dniem pierwszej przyprowadzono ofiarę, teraz odprowadzono ją. Gdzie? Bóg wie. Nie było kto inny tylko Polak. Dowiedziałem się później że to był nieszczęśliwy Wysocki, na jeden dzień przywieziony do naszego więzienia i z niego powieziony podobno do Zamościa.

Wkrótce potem traf nastręczył mi dziwne roztargnienie. Było to w nocy, świeca paliła się w mojej celi, nie spałem, miałem oczy zwrócone na podłogę; w tem mysz wybiega z pod pieca szukając co do zgryzienia. Zaraz przychodzi mi myśl ulaskawienia jej na moją towarzyszkę.

Rozmiary celi pozwalały mi dosięgnąć prawie wszystkiego, co się w niej znajdowało i bez wstawania z łóżka. Wyciągnąłem pomalutkę rękę, zatrzymując oddech w obawie, abym nie przstraszył gościa i rzuciłem okruszynę chleba. Mysz szybko uciekła i jadła, druga okruszyna znowu ją odpędziła i zwabiła; rzucałem inne okruszyny ze skutkiem coraz większym. Uciekała za każdym razem, ale już nie tak prędko i już nie chowając się do swojej kryjówki. Nie była to już bojaźń, ale tylko roztropność.

Nazajutrz więcej się ośmieliła, a w kilka dni potem ufała

i wkrótce stała się poufałą. Brała wszystko, co jej dawałem. Woląłem ją brząkając w szklankę i natychmiast przybiegała. Pozwalała się brać w ręce, skakała na mnie i na rękę i z niej jadła. Nie opuszczała żadnego obiadu i nie zapominałem nigdy nasycić ją najpierwej.

Podziwiałem jej ufność, zręczność, a nadewszystko jej nadzwyczajne ochędóstwo. Jeśli się wydarzyło, że coś mokrego przyczepiło się do jej łapek, potrząsała je i czyściła starannie. Ocierała sobie pyszczek, jak człowiek przyzwoity i brakowało jej do tego tylko serwety. Poważna jej mina bardzo mię bawiła.

Z miną pani stołu zasiadała na nim, jak gdyby zabierała go w swoje posiadanie, z miną pogardy odrzucała niekiedy okruszyny i niecierpliwie czekała na inne. Wszystko to i tysiączne szczegóły, którychbym tu spisać nie mógł, niezmiernie mi się podobały.

Przywiązałem się do tej małej istoty, dla której byłem jak gdyby Opatrznością; czułem, że ubolewałbym, gdybym ją stracił; straciłem ją jednak, zabił ją Kozak. Nie było mnie, kiedy biegała w celi; Kozak wchodzi, spostrzega jak uciekała i pod moim łóżkiem zastawia na nią łapkę.

Przebudziwszy się nazajutrz, stukam w szklankę. Nada remnie! Mysz się nie pokazuje. Zdziwiony wstaję, szukam wszędzie i znajduję pod łóżkiem ciężką deskę, a pod nią biedną mysz moją na śmierć spłaszczoną.

— Niegodziwi! — zawołałem w złości — nic się więc nic nie uchroni przed waszem barbarzyństwem! Męczycie ludzi, zabijacie zwierzęta!

Widziałem w tym czynie płaską złośliwość; była to tylko omyłka życzliwości niewczesnej.

I otóż często jak się sądzi! Pocziwy Kozak chciał mi oddać przysługę, uwalniając mnie od gościa, zwykle nieprzyjemnego i wnet przyszedł z zapytaniem, czy się mysz zlapała.

Poznałem z jego zapytania, że on był sprawcą tego czynu, że nie powiem, tej zbrodni, a z jego miny widziałem, że rad był, iż mu się powiodło.

Uniosłem się, on się zmięszał i stanęliśmy przed sobą o-

badwa zatrwożeni, on mojem uniesieniem, ja jego miną zdziwioną i upokorzoną.

Usprawiedliwił swój postępek dobrą chęcią, a że prawdę mówił, ręczył za to wyraz jego twarzy i głosu. Żal jego z tej przyczyny dowodził, że miał dobre serce.

Zastanawiałem się nad tym człowiekiem i mogłem w nim dostrzedz pod rubaszną powierzchownością duszę szlachetną, charakter niezwodny. I nie myliłem się tym razem.

Później ośmieliłem się zawierzać jego poświęceniu, nie zdradził mię nigdy, często oddawał mi przysługi. Przezorność nie pozwala mi wymienić go; żelazne panowanie, pod którem vegetuje, zabrania ludzkości, nadewszystko żołnierzowi prostemu.

Takiej zbrodni nie przebaczą w Rosyi i za podobne czyny niema tam przedawnienia.

Z czasem pocieszałem się po stracie myszy. Miałem ważniejszy do zastanawiania się przedmiot. Chciałem dobrze poznać mego Kozaka.

Ten człowiek mógł być mi kiedy użytecznym, a może ułatwić mi ucieczkę jakim nieprzewidzianym sposobem, bo w sercu człowieka jest zawsze dla nadziei otwarta droga.

Mieliśmy częściej odwiedzić i byłyby one dla mnie ulgą się stały, ale nikt nie mógł mi dać wiadomości o mojej rodzinie i to podwajało moją niespokojność.

Im więcej widziałem osób, tem bardziej się troszczyłem. Czy podobna, iżby żadna z osób mną się zajmujących, zupełnie nie wiedziała, co się stało z moją żoną i moimi dziećmi. Ukrywają zapewne, myślałem, przedemną jakie nieszczęście, o którym nikt nie śmie mnie uwiadomić.

Tyle nieszczęść odrazu ugodziły żonę moją tak delikatnego zdrowia, że serce i siły jej musiały być zgruchotane;

A gdyby nawet żyła, czy nie było ukazu wydanego w XIX wieku, ukazu godnego Mikołaja, dotyczącego dzieci powstańców!

Drżałem o moje dzieci myśląc o tym ukazie.

Gdzie się znajdują? Co z nimi zrobiono? Zostawiono je, albo czy nie wydarto ich matce! Jeśli matka żyć przestała,

co się z niemi stało? Jeśli je porwano od matki, jak mogła znieść taki cios zabójczy?

Ta niespokojność, która dotychczas mało kiedy mi folgowała, opanowała teraz wyłącznie moją duszę; nie mogłem myśleć o niczem innem.

Niebezpieczeństwa i cierpienia, mnie samego tylko tyjące, mogły być utrudzić moją cierpliwość i rozjątrzyć mnie, ale w końcu znosiłem je.

Niebezpieczeństwa i nieszczęścia mojej rodziny dosięgały najczulsze strony serca. Kiedy szło o mnie samego, oburzenie i złość wspierały mnie; kiedy szło o moją rodzinę, ulegałem przeważniejszemu uczuciu.

Od dawna nie miałem życia oddzielnego, żyłem jej życiem, w niej była sprężyna mojego bytu; ciosy w nią uderzone mnie zabijały! trzymając mnie w zupełnej o jej losie niewiadomości, odbierano mi życie pomału.

Major widząc mnie niknącego przerażającym sposobem, zadawał mi codziennie tysiąc pytań względem przyczyny tego pogorszającego się stanu; obawiał się, czy to nie był skutek jakich potajemnych dokuczań, o których duma moja wzbraniała mi go uwiadomić. Zapewne, miałem się o co skarżyć, ale nie na podwładnych. Nie było w mocy majora zaradzić temu; sądziłem, iż nie powinienem być objaśnić mu przyczynę cierpień, które pustoszyły moje serce.

Pewnego dnia dowiedziałem się od osoby, która mnie odwiedziła, że śledztwo wnet się rozpocznie i że powszechnie sądzą, że nominacya moja i działania moje, jako reprezentanta Wołynia, będą punktem głównym mojej sprawy.

Byłem pierwszym i jednym reprezentantem całej prowincyi i w tym charakterze zasługiwałem na szczególniejszą uwagę ze strony rządu rosyjskiego.

Dla wywarcia zemsty zależało mu znać obywateli, którzy dane mi pełnomocnictwo podpisali. Akt ten nie znajdował się w ręku rządu. Wielu obywatelów nieobecnych w chwili wyboru, przystali mi później na piśmie swoje przystąpienie i obywatele ci nie miawszy w powstaniu udziału żadnym innym jawnym sposobem, wolni byli od poszukiwań władzy, a gdy tylko

moje zeznania mogły ich odkryć, byłem więc pewny, że o nazwiska ich będę pytały.

Nie mógłbym ich zdradzić, władza obstawalaby przy swoim żądaniu, ja przy moim milczeniu i Bóg wie, jakich użyłaby środków, aby pokonać mój opór, któryby wzięła za nowy czyn buntowniczy. Przeszłość, ale przeszłość, że tak powiem, wczorajsza, dostatecznie pokazywała, jakich okrucieństw władza ta mogłaby się dopuścić.

Odpowiadałem za serce, ale nie mogłem ręczyć za siły fizyczne. Byłem tak osłabiony! A gdyby nawet nie zachwiała się moja odwaga, jakże długie i liczne byłyby okrucieństwa tej próby i czy nie wyszedłbym z nich umierający, albo może nie żywy? Na cóż więc przedłużać konanie, kiedy w mocy mojej był zgon szybki i mniej okropny? A gdybym upadł na siłach, narażałbym, gubiłbym z całymi rodzinami mnóstwo obywateli, którzy położyli we mnie zaufanie i shańbiłbym się. Byłoby to za drogo okupywać życie i wolność za podobną ohydę. Tymczasem trzeba było wybierać albo czekać nieroztropnie prób, może nad moje siły, albo szukać ucieczki przed tą fatalną epoką.

Mogłem przez samobójstwo uniknąć śledztwa; winienem był tę ofiarę moim wyborcom, których bytu nie miałem prawa narażać, winienem ją był żonie, dzieciom, którym nie mogłem zostawić zhańbionego imienia.

Takie wzięwszy postanowienie, zabrałem się natychmiast do wykonania go; potrzeba było czekać wieczora, aby nie doznawać w tem jakiej przeszkody.

Przygotowania niezbędne zatrudniały mnie do obiadu; udało mi się dostać pióro, a z tuszu zrobiłem atrament. Ułożyłem testament i napisałem list do żony. Ostatnie moje myśli do niej i do dzieci należały.

Żegnając ją, dziękowałem jej za szczęście, którem otaczała dni moje, prosiłem aby przebaczyła że ją pozornie przynajmniej dobrowolnie opuszczam, wystawiłem jej pobudki, które mnie do tego kroku ostatecznego spowodowały i którem sama nie mogłaby się oprzeć.

Błogosławieństwo i kilka rad dla dzieci kończyły list i moje przygotowania.

Jeszcze nie skończyłem był pisać, kiedy zawołano mnie na obiad. Dziwna sprzeczność sprawiła, że zastałem p. Niemojowskiego w najlepszym humorze.

Nie widziałem go nigdy tak wesołego. Chciał wina, nastąpiły toasty i zaczął je pijąc za zdrowie mojej żony.

Nie naturalniejszego, nic nie sprawiło mi większej nieprzyjemności.

Pić zdrowie mojej żony w chwili właśnie, kiedy miałem jej sprawić tak okrutne zmartwienie! Przyszła na mnie kolej.

— Możemy się wkrótce rozstać — rzekłem — piję zdrowie Twoje, Twoje szczęście, szczęście Twojej rodziny.

Powróciwszy do celi, już tylko spełnieniem mojego zamiaru byłem zajęty. Dzień był na schyłku, zmrok odpowiadał mojemu położeniu. Bliski porzucenia tego życia boleści i mając za chwilę rzucić się w świat nieznany, czułem potrzebę szukania opieki, któraby mi tam towarzyszyła; zgięły się kolana; oczy, myśli, dusza zwróciły się ku niebu.

Modlitwa moja była długa; modliłem się za rodzinę, za ojczyznę. Połączyły się z nią łzy; ojczyzna i rodzina były tak nieszczęśliwe! Ach! Niech nikt nie nazywa mojej modlitwy słabością albo czynem zabobonnym; byłem sam, pośród milczenia i ciemności; za chwilę miałem umrzeć bez osłabienia moralnego, bez egzaltacyi, bez złudzeń; byłem ojcem, małżonkiem i obywatelem; miałem się rozstać z ojczyzną, żoną, dziećmi i w jakim stanie, w jakimże ręku zostawiałem te najdroższe mi przedmioty! Czyjej opiece powierzyć je na tej ziemi! Potrzeba było albo porzucić je zimno, a to było dla mnie niepodobieństwem, albo polecić je niebu, gdyby nawet modlitwa moja nie znalazła tam wysłuchania. Zdawało mi się, że będzie wysłuchana; była to ostatnia moja na tej ziemi nadzieja, chwyciłem się jej, potrzebowałem w nią wierzyć, wierzyłem w nią i ta ufność dała mi spokojność, która bez niej byłaby daleką była od mojego serca. Już tylko o sobie mając do myślenia, przystąpiłem do dzieła. Wydobyłem truciznę ukrytą w sukni,

pochłonałem ją i położyłem się w przekonaniu, że więcej nie wstanę.

Wnet powieki zaczęły mi ciążyć, głęboki sen odrętwił wszystkie moje zmysły. Około godziny 5 z rana przebudziły mnie nagle okropne bóle, byłem skurczony, we dwoje zgięty i nie mogłem się wyprostować; brakowało mi oddechu, myślałem, że się uduszę.

Z razu nic sobie nie przypominałem, cały byłem w cierpieniach. Otworzyłem usta, żeby wołać o ratunek i pamięć w tejże chwili zdawała się powracać. Wstrzymałem krzyk, bliski wydobyć się, byłbym chciał wstrzymać moje technienia drżałem na myśl ratunku, konieczności zaczynania znowu, a może niepodobieństwa spełnienia zamiaru!

Mogłem milczeć, ale niepodobna mi było pozostać w nieruchomości, natura dopominała się ulgi. Usiłowałem usiąść, wysilenie to wyczerpnęło siły, zimny pot wystąpił na mnie, padłem znowu na łóżko prawie bez przytomności. Byłem w tym stanie, kiedy służący pana Niemojowskiego wszedł dla uprzątnienia celi. Widząc moją błądź, oczy obłąkane, twarz zmienioną, pobięł przestraszony uwiadomić Kozaków, że umieram.

Ci uwiadomili swego komendanta Popowa, który natychmiast przyszedł. Zapytał mię co mi jest i czy potrzebuję lekarza; odpowiedziałem, że mi nie, że go nie potrzebuję. Po tej rozmowie krótkiej p. Popow, który zresztą był dobrym człowiekiem, odszedł spokojny.

Około południa bóle ustały na chwilę, ale wnet wróciły silniejsze. P. Niemojowski uprzedzony przez służącego, przyszedł wtenczas do mnie; a widząc, że życie moje jest w niebezpieczeństwie, posłał natychmiast po Popowa.

— Jakże — rzekł mu — nie przywołujecie lekarza do hrabiego Olizara?

— Kiedy go nie chce — odpowiedział Popow.

— Bo zapewne chce umrzeć, ale waszą powinnością jest ratować go.

Zatrwożony tem, co słyszał Popow, pobięł uwiadomić majora.

Ten nie byłby stracił chwili, gdyby mu było wolno dzia-

łać stosownie do własnego popędu; ale w Rosyi, kiedy idzie o więźnia, najmniejsza rzecz wymaga nieskończonych formalności. Czy jest niebezpieczeństwo dla życia więźnia, czy go niema, lekarz prędzej nie przyjdzie.

Jeśli więzień umarł, tem gorzej dla niego, ale formalności były zachowane: to rzecz główna.

Major nie mogąc brać na siebie odpowiedzialności, zdał raport jenerałowi Pęcherzewskiemu, jenerał posłał swój raport hrabiemu Wittowi, który zapewne feldmarszałkowi swój raport zdać musiał.

Ważna sprawa u lekarza musiała tym sposobem przechodzić, bo lekarz hrabiego Witta przybył dopiero nazajutrz z rana o godzinie siódmej, chociaż major wilią, zaraz po południu był u niego proszony. Tymczasem tak się ze mną pogorszyło, że myślałem, iż byłem bliski skończenia.

Lekarz zadawał mi nie wiele pytań; mówiłem z trudnością i każde wysilenie się powiększało moje cierpienia. Utrudzała mię jego obecność. Ileż boleści straconych, gdyby mu się powiodło zniszczyć skutek trucizny! Po chwili namysłu napisał receptę, a dając ją Kozakowi powiedział, żeby się pospieszył. Może się domyślał przyczyny choroby, chociaż strzegłem się powiedzieć mu prawdę i opisywać symptomata doznawane. Przyniesiono lekarstwo, które zażywać miałem co pół godziny po łyżce. Zrobiwszy już większą część drogi, nie chciałem wracać; powrót byłby zbyt dotkliwy.

Umyśliłem z razu wyrzucić za okno lekarstwo, ale spostrzeżonoby się i wtenczas zmuszonoby mnie do zażywania innej jakiej mikstury. Musiałem uciec się do zmyślania a gdy mnie często samego zostawiano, wylewałem w piec łyżkę lekarstwa co pół godziny a później zapewniwszy służącego, że po tem lekarstwie mam się coraz gorzej, z łatwością namówiłem go do pomagania mi w tem oszukiwaniu. Widziano, że flaszka się wypróżnia i myślano, że zażywam lekarstwo podług przepisu. Resztę dnia i prawie całą noc bóle ustępowały i wracały mocniejsze.

Z rana zasnąłem na krótki czas i przebudziłem się nieco silniejszy. Chciałem wstać ale opuściły mnie zwodnicze siły;

musiałem pozostać w łóżku. Ale czas mijał, rozpacziałem, że nie mogłem skończyć, dziwno mi było, że umrzeć tak trudno. Bałem się, żeby mię lekarz nie zastał jeszcze żywego.

Fłaszka wypróżniona wobec rysów twarzy jeszcze więcej niż wczoraj zmienionych, naprowadzi go może na podejrzenie, którego nie chciałem dopuścić. Myślałem, że zmniejszając jasność celi, łatwiej go zwiodę; udałem więc, że nie mogę znieść światła i zasłoniono okno dwoma prześcieradłami.

Usiłowałem ożywić twarz, ubrałem się w szlafrok i w tym stanie czekałem na lekarza.

Zdziwiło go przyjemnie, jak mię spostrzegł ubranego a ja zapewnilem go, że lekarstwo było bardzo skuteczne i że mi pozostało tylko osłabienie.

Przedłużał wizytę może dla zapewnienia się o skuteczności lekarstwa, a ja sililem się na rozmawianie, aby go zwieść tem pewniej.

Stłumiłem już był w sobie kilka boleści, kiedy nagle kryzys odjęła mi mowę. Lekarz pochwyił mię za rękę i zapytał o przyczynę cierpienia.

— To nic! — odpowiedziałem, wysilając się po chwili milczenia, w czasie którego uważałem, że potrzasał głową zamysłony widząc, że bóle moje nieco zię uśmierzyły, rzekł totem surowym:

— Pan nie należysz do siebie.

— Wiem — odpowiedziałem — ciało moje należy do władającego nami, a zatem do oprawcy, ale dusza należy do mnie!

— Ach! — zawołał lekarz — czy mogłeś myśl swoją tak źle zrozumieć! Winienesz siebie żonie, dzieciom.

— Ach doktorze, nie dotykajmy tej struny, brzmi ona zbyt boleśnie w mojem sercu; czy sądzisz, że jeszcze cierpię za mało.

Po krótkiej pauzie dodał głosem wzruszonym:

— Panie hrabio, proszę mi dać słowo, że zażyjesz co ci przepiszę.

— Widzę — odpowiedziałem — że mogę z panem pomówić otwarcie: Czekam mnie los okropny, śmierć niezawodna i podług wszelkiego podobieństwa będą chcieli przez męczarnie

wydobyć ze mnie haniebne zeznania. Umrzeć kilkoma dniami pierwszej i tym sposobem uniknąć mąk albo hańby, gdybym uległ słabości, to mojem prawem, to mojem obowiązkiem. Jakoż nie zażyję żadnego lekarstwa i zaklinam pana na honor, abys zatrzymał przy sobie tajemnicę.

Wahał się zrazu a potem dał słowo i wyszedł, spoglądając na mnie wzrokiem żalonym i pochwalającym. Tego samego dnia miałem kilka kryz, a najsilniejszą ku wieczorowi: wszystkie przedmioty zdawały się obracać się około mnie, a kiedy oczy zamknąłem, sądziłem, że jeszcze widzę jakimś wzrokiem wewnętrznym; czułem niejako ten wir, pośrodku którego się znajdowałem, niekiedy porywał mnie samego, a czasem tylko część mego ciała; bywało, że wszystko zatrzymywało się nagle do koła mnie kręciły mi się oczy, a jakieś działanie bez ładu, jakiś rozchukany gwar, jakieś rwanie na wszystkie strony, miały częścią przednią mózgu. Zagłuszał mię ciągle szum w uszach a z piersi moich ściśnionych, jak gdyby żelazną ręką, wydobywały się z trudnością resztki będącego w nich powietrza, które już nie zdawało się mieć do nich przystępu.

Ostatnia moja myśl była: Otóż przecie koniec! Potem czułem, że ginę od duszenia. Jak z tego stanu do snu przeszedłem, nie wiem; ale przebudziłem się dopiero nazajutrz z rana.

Po boleściach nastąpiła ogólna niemoc. Bojąc się, aby lekarz nie zmienił swego przyrzeczenia, jak mnie ujrzy w stanie pogorszonym, chciałem, jak dniem pierwszej, ukryć moje cierpienia przez ubranie się.

W tym celu posłałem do pana Niemojowskiego po zwierciadło. Spostrzegłem żółtaczkę najwyraźniejszą, która trwała trzy dni. Trucizna nie zrobiła skutku, trzeba było żyć!

Nie wiem, czy się czego domyślano, albo czy lekarz widząc, że jestem ocalony, sądził się być wolny od danego słowa i mówił o mojem zamyśle; ale w kilka dni major otrzymał rozkaz odebrania mi brzytwy, które mi zwrócono przy wnijsie do Karmelitów

Jednakże po długich rozprawach zostawił mi je na dane mu słowo, że ich nie użyję do odebrania sobie życia. Taka

ufość podała mi myśl proszenia hrabiego Witta o pozwolenie mieszkania w mieście, przynajmniej do czasu odzyskania zdrowia, pod zaręczeniem podwójnem kaucyi i słowa.

Napisałem o to natychmiast. Kazano mi odpowiedzieć, że feldmarszałek odrzucając moją prośbę, pozwala przenieść mnie do szpitala, jeśli tego życzę.

— Ponieważ nie znają u was — odpowiedziałem przyslanemu do mnie z tą odpowiedzią — co znaczy słowo człowieka honorowego, nie będę się wam więcej naprzykrzał.

Gniew podyktował mi te słowa. Paszkiewicz zasługiwał pewnie jeszcze na ostrzejszą odpowiedź, albo raczej nie zasługiwał na żadną.

Ale nie powinienem był odpowiadać podobnie hr. Wittowi i wyslanemu przez niego oficerowi. Nie musiano tych słów zanieść feldmarszałkowi, bo się za nie nie zemścił.

Pierwszą wizytę po nieszczęśliwem mojem usiłowaniu i nim jeszcze odzyskałem zdrowie, miałem od pani S..... Dama ta usiłowała rozprószyć; czarne myśli, które mnie opanowały i obudzić we mnie nadzieję.

Wyraz jej pięknej twarzy był tak przekonywający, jej słowa tak tchnęły łagodnością i słodyczą, dobroć jej zrobiła ją tak wymowną, że dałem się przekonać, czyli raczej oczarować.

Dopóki widok jej moje oczy, głos moje uszy w uroku trzymał cały oddany byłem szczęściu widzenia i słyszenia jej. Ale kiedy się oddaliła, wszelkie jej dowody zdawały mi się nierównie słabsze, a jednak jeszcze w nich znajdowałem upodobanie; byłem ciągle pod panowaniem uroku.

Dzięki wstawieniu się tej damy, otrzymałem prawie natychmiast pozwolenie posiadania wszystkiego, co potrzeba było do pisania. Oddawna pozbawiony tej przyjemności, czemprędzej zrobiłem te sprawunki i zacząłem pisać. Pisałem cały dzień, prawie całą noc i dni następne; nie mogłem się nasycić pisaniem, byłoto manią, potrzebą.

Roztropność radziła wiele rzeczy nie pisać i właśnie to chciałem spisywać i spisywałem; ale jak tylko tę żądzę zaspokoilem, czemprędzej paliłem pismo, aby nie było zabrane.

Słowem, pisałem i paliłem i w pierwszych dniach zaledwie można mnie było mieć na obiad i na herbatę.

Namiętność pisania zmniejszała się nieco, kiedy otrzymałem list od brata donoszący mi, że cała moja rodzina ma się dobrze.

Jakiż ciężar spadł z mego serca! Wszystko zdawało mi się przybierać nową postać; radość moja upiększała wszystko.

Odwiedziny stawały się częstsze; oficerowie zdawali się podwajać grzeczność i uprzejmość, nowi więźniowie pomnażali nasze towarzystwo; wszystko to przypadało właśnie w chwili, kiedy usposobiony byłem do korzystania z tej odrobiny szczęścia, które mnie spotykało i ten zbieg okoliczności przyjaznych zdołał do tego stopnia przerobić mój humor, że to dziwiło osoby, które mnie widywały.

Jednej nocy zapełniono nasze więzienie. Nazajutrz żołnierze powiedzieli mi nazwiska nowoprzybyłych gości. Nie znałem żadnego ale los ich mnie obchodził, bo cierpieł jak ja i za tę samą sprawę.

Pragnąłem z nimi mówić, nie było to łatwo; jedna nieroztropność, mogła zrządzić przykre skutki; szukałem sposobów widzenia ich, nie trafiłem na myśl, jakby to uczynić, trzeba było czekać sposobności.

Razu jednego, w chwili, kiedy wartę zmieniano, odchodzący oficer przyprowadził do mojej celi swego następcę; tamten był bardzo uprzejmy, ten zaledwie mię powitał sposobem zimnym i lekceważącym.

Z tym pomyślałem, przepędzimy dzień smutno, bo oficerowie od warty są tu dozorcami więzienia, mają władzę i siłę, od nich zależy wesołość lub smutek więźniów. Jednakże przez cały dzień nie dał mi żadnego powodu do skargi; to mię dziwiło.

Ale jakież było moje zdziwienie, kiedy wieczór ujrzałem go wchodzącego z nieznanym młodzieńcem i kiedy ten młodzieniec wszedłszy do mojej celi, rzucił się w moje objęcia płacząc.

Po tych oznakach, po tem wzruszeniu poznałem łatwo, że to Polak; ale, jakimże sposobem się stało, że mi go przy-

prowadził właśnie ten oficer, który dopiero co dał mi o swoim charakterze tak złe wyobrażenie! Nie mogłem wierzyć oczom. Sam oficer rozwiązał tę zagadkę.

Pragnął uczynić dla mnie wszystko, coby mogło być mi przyjemnem, sądził jednak, iż roztropność rzuciła ukryć dobre swoje chęci pod pozorami prawie nieprzyjaznemi i przyprowadził więźnia, którego towarzystwo zdawało mu się najprzyjemniejszym.

Więzień ten nazywał się.... Piliśmy razem herbatę; oficer znał dobrze Wołyn i ta okoliczność nadała rozmowie więcej powabu. Wieczór minął jak błyskawica i jeszcześmy się nie rozstali, kiedy z młodym moim towarzyszem byłem już jak najściślej.

Od tego czasu, dzięki życzliwości oficerów, młody mój spółwięzień, codziennie do mnie przychodzi; rozmawialiśmy, rysowaliśmy, opowiadaliśmy sobie nasze przygody i w końcu ułożyliśmy projekt ucieczki.

Pod tym względem wracałem tylko do pierwszej myśli mojej. Wyeksaltowały ją niesmak i rozjątrzenie; powróciła z całą mocą.

Wśród tych projektów odebrałem dwie naraz wiadomości pomyślne: Żona przysłała mi pieniędzy i księżna J..... miała dla mnie tyle dobroci, że mnie odwiedziła przynosząc mi wiadomość szczegółów zajmujących mnie o mojej rodzinie.

Dowiedziałem się od niej, że dzieci moje są zdrowe, że żona moja okazuje prawdziwą moc charakteru i wiadomości te mi udzielone z takim uczuciem, z taką dobrocią, że wielbiąc tylko piękność duszy X..... J..... nie widziałem prawie jej piękności.

Zdrowie żony mojej tak było delikatne, żyliśmy tak spokojni i szczęśliwi. Nagłe przejście ze szczęśliwości zupełnej do niewypowiedzianego nieszczęścia, musiało zburzyć tak słabą organizację. Znałem tylko jej słodycz, jej dobroć, jej skromne cnoty małżonki i matki.

Widziałem, że ma umysł niepospolity, ale mi się zdawał tak pobleżający i giętki, że niespodziewałem się w niej wiele energii. Ileż byłem szczęśliwy, gdy się dowiedział, że ta ko-

bieta prosta i lekliwa w pomyślności, stała się silną i odważną w nieszczęściu!

Podziwiałem, wielbiłem w niej tę nową doskonałość, byłbym ją więcej kochał, gdybym nie był już oddał jej całego serca. Cieszyłem się jej odwagą; zdawało mi się wtenczas, że to najpiękniejsza jej cnota!

Dodawala ona mi męztwa, przywiązywała mię do życia i przyrzekłem sobie ponosić wszelkie cierpienia, jakie tylko człowiek znieść może, jakie honor nosić pozwala, niż umierać bez zobaczenia kiedyś tej szlachetnej przyjaciółki. Może, myślałem, będę się mógł zachować dla niej, zapewne będę miał szczęście oglądania jej.

Przewycięży ona wszystkie trudności; byłem tego pewny spodziewałem się tego, i już troskliwość moja odsuwała od mojej osoby i z mego więzienia wszystko, co mogło być oczy jej zasmucić, pokazując jej zbyt żywo nędzę mego położenia. Chciałem być, aby porządek ukrył rozmiary mojej celi, aby czystość wynagrodziła w niej bogactwo i wytworność. Od rana i codziennie wszystko w niej oczyściłem, uporządkowałem, byłem ubrany.

Ta nadzwyczajna staranność miała na celu ukryć przed nią, a przynajmniej uczynić nie tyle widocznymi ślady moich cierpień, a nadewszystko przekonać ją, że się oswobodził od wszelkich myśli czarnych, o których może wiedziała.

Cieszyłem się nadzieją widzenia żony; żyłem w niej, kiedy adjutant hrabiego Witta przybył uprzedzić mnie, że za kilka dni mam być przywieziony do Kijowa.

Był to dla mnie cios okropny. Nazajutrz major zapytał mnie, czy mam wszystko, co by mi było potrzebne do podróży i kupił czego mi brakowało. Część pieniędzy, przysłanych mi przez żonę i złożonych w rękę zwierchności, służyła na zrobienie tych sprawunków.

Nakoniec oznaczono dzień wyjazdu; za trzy dni miałem opuścić więzienie Karmelitów. Uwiadomiony o tem, poszedłem pożegnać się z p. Niemojowskim; kosztowało mnie wiele rozłączać się z nim, a nadewszystko kiedy przywieziony być miałem do innego więzienia, gdzie jak wiedziałem z przykładów

niedawnych, wcale innego doznawać miałem obejścia, niż w Warszawie, gdzie zacny hrabia Witt czuwał, aby ludzkość zbyt krzycząco nie była obrażoną.

Miałem serce przepełnione goryczą; p. Niemojowski był zupełnie spokojny.

— Pożegnamy się — odpowiedział zimno — kiedy będziesz wyjeżdżał.

Jeszcze nie nadeszła ta chwila. Miałem niegdyś sposobność przekonania się, jak dalece słowa tych ludzi na wiarę zasługują; u nich wszystko jest kłamstwem, albo dowolnością. Mówią ci, że pojedziesz za trzy dni, otóż za trzy miesiące, jeszcze razem ze sobą będziemy jedli obiad; jeszcze wtenczas nie względem twego losu nie postanowię.

— Bodajby Bóg słów twych wysłuchał! Ponieważ nie mogę być wolnym, przekładam zostać tutaj, niż gdzie bądź indziej. Co do złej opinii jaką masz o Rosyanach, usprawiedliwia ją zupełnie postępowanie rządu fałszywego, barbarzyńskiego i nikczemnego; ale w zastosowaniu do osób pojedynczych, zdaniu temu sprzeciwia się nieco łagodność, grzeczność, nawet życzliwość, jakich tu doznajemy.

— Prawda, ale to wszystko jest skutkiem charakteru jednego człowieka, który na szczęście posiada nieco władzy i podobnie jak ty, oddaje całą sprawiedliwość temu zacnemu człowiekowi.

— Przyznaj jednak, iż hrabia Witt nie będąc tutaj naczelną władzą, nie mógłby rozciągać do nas swojego życzliwego wpływu, gdyby podwładni sercem i duszą nie ubolewali nad nami, gdyby nie chcieli być nam usłużni i gdyby nie czuli że sprawa, dla której cierpimy, jest świętą.

— Prawda, ale i to prawda, że tak prędko nie pojedziesz.

Nie mylił się; nikt nie mówił mi więcej o wyjeździe, który mnie tyle był zmartwił.

Tymczasem żona nie przybywała; widywałem tylko pana Niemojowskiego i młodego towarzysza.

Widywanie się nasze w pewnych oznaczonych godzinach nie zapełniało większej części dnia; bardzo byłoby mi przyje-

mnie widzieć innych towarzyszków niewoli, ale na to potrzeba było pozwolenia.

Prosiłem o to majora. który go dać nie śmiał.

Napomknąłem o tem panu Popow, ale ten byłby myślał, że się dopuścił grzechu śmiertelnego. Musiałem znowu wrócić do majora.

— Chciej mi pan wyjaśnić przyczynę — rzekłem do niego — dlaczego mi odmawiasz, co zapewne musi cię kosztować, bo to nie zgadza się z twoim charakterem; nie masz żadnego interesu pozbawiać mię nieco roztargnienia, nim się los mój rozstrzygnie.

— Osoby uwięzione tutaj nie są w stopniu pana, towarzystwo ich nie przystoi ci.

— Ależ kochany majorze, w nieszczęściu zapomina się o nierówności stopni, niema jej; zresztą są to oficerowie polscy, ich towarzystwo byłoby nawet dla mnie poza więzieniem przyzwoite, dlaczegoż nie byłoby przyzwoitem tutaj?

Major szukał jeszcze innych wymówek, a potem wracając do mojej otwartości naturalnej rzekł:

— Słuchaj pan; wszystkie przyjemności, jakich tu używasz, są przeciwne urzędzeniu; staraj się poprzestać na nich; wiesz, komu je winienesz. Wypełniam rozkaz i zamykam oczy o ile mogę, ale nie mogę nie patrzeć zawsze i na wszystko. Młody więzień przychodzi do pana co wieczór; bardzo dobrze, ale ja o tem nie wiem; inaczej powinienbym nie dopuścić tego nadużycia. Tem mniej mogę pana upoważnić do widywania innych więźniów; wiedzianoby o tem i nie przebaczone by mi tego. Zapewne nie zechcesz pan mię gubić

Wiedziałem, że wszędzie są szpiegi, że byli w więzieniu i że szpiegowali nawet oficerów.

Nie nastawałem więc i musiałem się pozbyć chęci zawiązywania nowych stosunków; ale wnet sama przez się nastęczyła mi się do tego sposobność.

Pomimo że wyrazy tak zwanej amnestyi były bardzo jasne i że na jej mocy członkowie sejmu powinni byli uważać się za uwolnionych od wszelkiego śledztwa, zebrano jednak i

zamknięto w jednym domu wszystkich tych członków, którzy nie uszli za granicę.

Wolno im było wychodzić w towarzystwie żandarma z warunkiem wracania na wieczór do więzienia.

Taki stan rzeczy miał trwać aż do rozpoczęcia indagacji, do której zbierano wtenczas materiały.

Kiedy te materiały były już gotowe, przewieziono jednej nocy owych posłów do więzienia Karmelickiego, a dla zrobienia im miejsca wywieziono oficerów polskich od Karmelitów do innych więzień.

Oprócz posłów znajdował się pomiędzy przybyłymi do Karmelitów generał Zieliński, ostatni wiceprezydent rządu narodowego. Nazajutrz spostrzeżono, że to przeniesienie było za wczesne, bo przygotowania do indagacji nie były jeszcze ukończone. Natychmiast więc wszystkich posłów do dawnego domu aresztu odwieziono, zapelniając znowu więzienie Karmelitów oficerami polskimi.

Jeden z tych posłów p. Augustowski chciał wszakże we więzieniu Karmelitów pozostać.

— Nie prawdaż — rzekł do majora — że potrzeba będzie tu powrócić? A ponieważ tu już jestem, więc i zostanę.

— Ale, — odpowiedział mu major — urządzenie tutejsze nie zostawi panu tyle wolności, ile jej używałeś w domu aresztu.

— Ani słowa, ale nie lubię podróżować.

Ponieważ z dwóch więzień wybierał gorsze, nie chciano mu się sprzeciwić. Został więc u Karmelitów dobrowolnie; zostawiono także w tem więzieniu generała Zielińskiego, który nie był posłem.

Nazajutrz prosiłem o pozwolenie widywania tych dwóch panów. Jeden był moim kolegą, drugi generałem i wiceprezsem rządu narodowego; nie można więc było wzbraniać tego dla nierówności stopni.

Nie dano mi wyraźnie tego pozwolenia, ale mi powiedziano, że mogę ich widywać, aby tylko dozorujący więzienia o tem nie wiedzieli.

Tegoż samego dnia odwiedziłem ich w celi, w której razem byli umieszczeni. W krótko potem wszedł do nich oficer....

nie powiedział ani słowa i nie zdawał się być nawet zdziwiony, że mnie u nich zastał. Oficer ten pił z nami herbatę i zdawał się być rad ze sposobu, jakim go przyjmowano.

Od tego czasu położenie nasze się polepszyło; codziennie zdobywaliśmy jaką nową swobodę, a nigdy nie traciliśmy żadnej; jakoż w zdobyczach tych postępowaliśmy z metodą i i cierpliwością.

Nie jest to mała dla więźniów rzecz zmieniać na swoją korzyść zwyczajny porządek więzienny.

Trzeba rozpoznawać miejsce, zbadywać z wolna charakter, trzeba w sam czas postępować, zatrzymywać się i tak działać, iżby zdobyte przywileje miały pozór praw już nabytych, nim obudziłyby czujność najsurowszych i najbojaźliwszych dozorców.

To wszystko udało się nam szczęśliwie.

PP. Niemojowski, Augustowski, Zieliński i ja mieliśmy nieznane u Karmelitów przywileje; widywaliśmy się codziennie ile razy i jak długo nam się podobało, byliśmy prawie zawsze razem, co wieczór graliśmy wista, nigdy od czasu mego aresztowania nie miałem tyle zabawy i wolności.

Przypadek zdarzył mi jeszcze nową sposobność pomnożenia rozrywki, korzystałem z niej natychmiast.

Jednego razu oficer pokazał mi ładną sakiewkę, zrobioną przez jednego więźnia. Zapragnąłem zaraz nauczyć się tej roboty i poznać robotnika.

Oficer nie śmiał zrazu przychylić się do mego żądania, odszedł, ale wkrótce potem powrócił i rzecz się załatwiła, zawsze z tem zastrzeżeniem, że żaden z oficerów, że on sam o tem nie będzie wiedział.

Zaszedłem swobodnie do fabrykanta sakiewek, nazywał on się Czuba.

Przepędziłem u niego część dnia, rozmawiając i terminując u niego. Koledzy jego mieli ochotę odwiedzić nas i przepędzić czas z nami; przyszli najprzód najśmielsi, za nimi inni z kolei, a nareszcie przychodzili wszyscy.

Grzeczność i małe podarunki, na które Kozacy i żołnierze od warty nie byli obojętni, uprzętnęły wszystkie trudności.

Skończyło się na tem, żeśmy założyli mały warsztat. Czuba i Babski robili kartonowe pudełka, ja oprawiałem je w galonki i przyozdabiałem memi pejzażami.

Przykładałem się do tych robót dziecinnych z całym zapalem i dnie szybko nplywały.

Posyłałiśmy nasze pudełka znajomym damom, a te były tak dobre, że je przyjmowały z największem upodobaniem i pokazywały je innym, które także chciały mieć podobne pudełka.

Rozdawaliśmy je chętnie i im więcej ich dawaliśmy, tem więcej ich od nas żądano.

Zachęceni takim powodzeniem i radzi zaspokoić jak najprędzej pochlebną niecierpliwość dam, pracowaliśmy tak pilnie, że nie zostawało chwili do nudzenia się.

Kiedy pudełka mniej nas już zajmowały, żądałem kupienia mi włóczki i kanwy i robiłem dywaniki.

Pocziwy wspomniał o tem damom i te same wzięły na siebie kosztą i wybór tego sprawunku. Miałem więc nowe zatrudnienie, które sprawiało mi przyjemność.

Na domiar szczęścia, mówię szczęścia, bo położenie moje było szczęśliwe w porównaniu z dawniejszem; kiedy PP. Augustowski i Zieliński otrzymali pozwolenie przechadzania się po ogrodzie należącym do klasztoru, takie samo pozwolenie udzielone było p. Niemojowskiemu i mnie.

Długiego więzienia potrzeba było, aby tak mocno uczuć całe szczęście używania masy powietrza, oddychania niem do woli, widzenia nieba bez żadnej nad sobą zasłony i przechadzania się w rozmaitych kierunkach na przestrzeni kilkadziesiąt kroków.

Używałem tego szczęścia. byłem niem odurzony.

Dziwiło mnie, jak mogli pozwalać nam tyle wolności po trzymaniu nas w więzieniu z taką surowością.

Jaka przyczyna tej łaskawości po tylu udręczeniach? Szukałem słowa tej zagadki w rozmowach z oficerami od warty i z więźniami i oto jej rozwiązanie.

Dzikie postępowanie i srogości, tego naprzykład rodzaju, jak porwanie dzieci, rozgłoszone były przez dzienniki zagra-

niczne i wszędzie ohydzano barbarzyństwo naszych ciemniaków.

Europa, cały świat cywilizowany, były oburzone.

Powszechny chór nagany i wzgardy nie był obojętny dla rządu, sięgającego po reputacyą, od zasłużenia której jest daleki. Uczuł on był, że niesprawiedliwość jego sprawy sama przez się dosyć oburza, iżby ją jeszcze powiększać należało okrucieństwami i prześladowaniami zbyt krzyżującymi.

Obawiał się, iżby w samym jego gniewie nie widziano dowodu i miary poprzednich jego nieprawości i chciał zadać fałsz dziennikom, udając dla nas niezwykłą, ale widoczną i jakoby popisującą się łagodność, a zostawiając czasowi wynagrodzenie sobie na nas, gwałtu, jaki sobie samemu zadawał.

Miejscowe władze wiedząc o takim planie rządu, swobodniej zaspokajać mogły przychylne dla nas usposobienia.

Hrabia Witt mógł łatwiej iść za popędem szlachetnego swego charakteru. Jednakże nie śmiałbym utrzymywać Szczerściem dla nas było Byli oficerowie, którzy w czasie wojny Polaków jeńcy pamiętali, jak się nasi z nimi obchodzili.

Oficerowie służbowi uwiadomieni o zmienionej względem nas polityce rządu, skłonniejsi byli do folgowania nam raczej, aniżeli do ścieśniania lub zaostrzania naszego więzienia; sami żołnierze pociągnięci przykładem oficerów, chyba tylko przez ślepotę zaostrzali naszą niewolę.

W ogólności pod rządami srogiemi, niesprawiedliwemi, chytremi, słowem takimi, jak rząd rosyjski, podwładni, jeśli tylko mają nieco serca, sami boleją nad podłościami i okrucieństwami, które im spełniać nakazują. Jak tylko widzą sposobność postępowania podług głosu dobrego serca bez narażania się, jak tylko mogą pokazać, że srogość, której są narzędziami, charakterowi ich jest przeciwną, natychmiast na wyścigi jeden nad drugiego chcą być lepsi, odznaczać się w dobroci i zostawić dobrą po sobie pamięć.

Jest natenczas w hierarchii emulacya szlachetna. Im wtenczas podwładny, stosownie do swego stopnia, więcej do cierpiących jest zbliżony, tem bardziej pragnie być od nich

mile przyjmowany i przewyższać w łagodności swego przełożonego.

Na szczęście tak się z nami działo. Zresztą uważałem, że Rosjanie czują niezbędną potrzebę cywilizowania swego kraju i potrzeba ta jest u nich powszechniejszą, niż powszechnie sądzą; jest to ogień pod popiołem. Wybuchnie on kiedyś i może nie długo!

Oto jest przykład, który zdaje mi się charakterystycznym: Żołnierze stojący na warcie nie zawsze rozumieją dobrze jaki jest rozkaz służby; zdarzało się, żeśmy nie raz doznawali od nich bardzo dotkliwych nieprzyjemności; oficerowie karcili ich szybko i boleli nad ich omyłkami.

Jeden z tych oficerów chcąc aby żołnierze nas i nasze małe swobody lepiej szanowali, wziął się na szczególny sposób: Rozkazał stojącym na warcie żołnierzom, aby przed pp. Niemojowskim, Augustowskim, Zielińskim i mną za broń brali, ile razy który z nas obok nich przechodzić będzie.

Prawie wszyscy inni oficerowie ponawiali ten rozkaz. Aby go dobrze ocenić, potrzeba sobie przypomnieć, że byliśmy w czasie powstania urzędnikami pierwszego rzędu, że powstanie już było stłumione, że byliśmy niewolnikami u Rosjan, że podobna myśl przyszła sama oficerowi rosyjskiemu, że prawie wszyscy oficerowie rosyjscy natychmiast za swoją ją przyjęli, że nikt im jej nie naganiał i że to się działo pod panowaniem Mikołaja!

Jeden tylko pomiędzy wszystkimi znalazł się niegrzeczny dla nas oficer, skarżyłem się na tego niedźwiedzia. Oficer, który go luzował, wyburczał go, a jak mi mówiono później koledzy jego w pułku przezywali go niedźwiedziem. Wszystko to, zdaje mi się dowodzi wielką dążność do cywilizacji.

Rozszerzyłem się nad dobrem z nami obchodzeniem się oficerów, dla tego najprzód, że to dla mnie miły obowiązek oddać sprawiedliwość nieprzyjaciółom, którzy zasługują na wdzięczność i pochwały, a nadewszystko żeby pokazać, że nie bezrozumna nienawiść narodowa, nie okrucieństwa pojedyncze spowodowały nasze powstanie, ale tyrania upodlająca, systematyczne ciemiężenie przez rząd zbrodniami zgangrenowany i ta

nad wszystko wyższa potrzeba bytu narodowego, która niepokoi serca wszystkich Polaków i której nie nie zdoła zniszczyć.

Niechby wszystkie rządy świata cywilizowanego pomne były na tę prawdę poświadczoną tylu pamiętnymi przykładami, że dopóki w nas zostanie technienie życia, dopóty nie przestaniemy być Polakami, zawsze Polakami! Nigdy Rosyanami! Nie zmieniaj nas ani traktaty, ani ukazy, ani dyplomacya, ani autokracja, ani podstęp, ani siła. Polska należy do Polaków, wydarto nam ją, zwróć nam ją, albo ją odbierzemy, jeśli nie my, to nasze dzieci.

Wydrzemy ją, albo w tej pracy zginiemy! Trzeba się spodziewać peryodami rozlewu strumieni krwi, dopóki ta płynąć będzie w naszych żyłach, dopóki nasze plemię w całości nie będzie wytępione, dopóki sprawa naszej ojczyzny sposobem prawnym nie będzie rozsądzoną.

Nasz kraj jest naszą własnością, upominamy się o nią. Trybunał, któryby przysądził rozbójnikowi rzecz zrabowaną, byłby wzgardzony, ścigałoby go publiczne przekleństwo.

Zasady sprawiedliwości pomiędzy ludźmi pojedynczymi są te same, co pomiędzy narodami. Byt i własność narodu, to jest kilku milionów rodzin są równie święte jak prawa człowieka.

Mój warsztat nie próżnował. Jednego razu zatrudniony byłem w mojej celi malowaniem pejzażu, który miał przyozdobić ładne pudełko, kiedy major wszedł i nie dając sobie czasu do powitania mnie -- rzekł:

— Żona pana hrabiego jest tutaj.

Biegnę do drzwi, patrzę na wszystkie strony po kurytarzu. Nie widzę jej.

Wracam do majora, który został był w celi; ten spojrzał na mnie z takim wyrazem żalu i boleści, że mu ani wyrzutu, ani pytania czynić nie mogłem. Po chwili milczenia — rzekł:

— Chciałem tylko powiedzieć, że żona hrabiego przyjechała do Warszawy, nie że tu jest w domu.

— Ach! majorze, dla czegożeś mi tego nie powiedział? Ale ją widziałeś? Jak się ma?

— Nie widziałem jej jeszcze, ale będę ją widział i przyniosę hrabiemu od niej wiadomości.

Kiedy odszedł, miałem nerwy tak rozdrażnione, że chwilę na miejscu nie mogłem zostać. Czułem potrzebę chodzenia, opowiadania przyjaciółom mojego szczęścia.

Poszedłem do moich kolegów, biegalem do nich, miałem serce przepelnione, byłbym zdaje mi się stracił oddech, gdyby mi milczeć koniecznie przyszło.

Nazajutrz adjutant hrabiego Witta.... przyniósł mi list od mojej żony. Donosiła mi w nim, że długo nie wiedziała, co się ze mną stało, że prędzej do Warszawy przybyć nie mogła, że w nieobecności generała Paszkiewicza, który do Petersburga był wyjechał, hrabia Witt nie śmiał dać jej pozwolenia widzenia mnie, ale że sama myśl znajdowania się bliżej mnie, czyni ją szczęśliwą i t. d.

Wiadomość o jej przybyciu napełniła mnie radością, odmówienie jej widzenia wprawiło mnie w rozpacz.

— Zlituj się pan — rzekłem do adjutanta, przypomnij swoim zwierzchnikom, że jesteśmy zbyt blisko Europy, żeby sobie pozwalać podobne barbarzyństwo.

Adjutant nie wiedział, co odpowiedzieć, zapewnił mnie jednak, że generał Witt będzie się starał otrzymać od marszałka pozwolenie, którego sam udzielić nie mógł.

— Generał nie zdradził swego obowiązku — rzekł adjutant — ale pan o tem nie wątpi, że od niego i od wszystkich politycznych więźniów — odwrócić chce wszystko, coby było niepotrzebnem okrucieństwem.

Spodziewano się powrotu Paszkiewicza za dziesięć dni. Dziesięć dni! były to wielkie. Trzeba jednak było je przebyć.

Przez kilka dni przynoszono mi regularnie wiadomości od mojej biednej Emilii. Cierpiała tyle, ile ja z powodu tej nieszczęśliwej zwłoki.

Dziewiątego, jeśli się nie mylę, dnia, major odbywając swoją zwyczajną i obowiązkową wizytę, obszedł wszystkich moich towarzyszy, mnie jednego tylko opuścił. Ten wyjątek zaczął mię niepokoić, nie zapowiadał on mi nic dobrego. Mia-

łem iść do moich kolegów, aby się od nich czegoś dowiedzieć, kiedy p. Augnstowski wszedł do mojej celi. Skwapliwie zapytałem go, co mówił major.

— Nic nowego — odpowiedział z udaną obojętnością. — Potem zaczął chodzić po celi, której rozmiary nie zachęcały bardzo do przechadzania się.

Uważałem go oczyma w niego wlepionemi i spostrzegłem w nim niespokojność, jakiej się doznaje, kiedy się wzięło na siebie udzielić komu nieprzyjemną wiadomość. Nie wiedział, jak zacząć.

W końcu uczynił uwagę, że ceta moja jest bardzo mała, że ta, w której się znajdował z p. Zielińskim jest obszerniejsza i radził mi przenieść się do niej.

— Będziemy — mówił — we trzech i będzie nam weselej, major zgadza się na to przeniesienie.

Uwaga nad szczupłością mojej celi po kilku miesiącach, nieużyteczność podobnej propozycji ze strony kolegów, ponieważ po całych dniach bywaliśmy razem, nakoniec zezwolenie majora, które otrzymano bez poprzedniego zapytania mnie i nie wiedząc, czy to będzie dla mnie dogodne, wszystko to zdziwiło mnie i potwierdziło smutne domysły.

Mają uwiadomić mię o jakimś nieszczęściu i koledzy moi, którzy to na siebie wzięli, chcą mię mieć przy sobie, rozrywać, pilnować mnie.

I to nieszczęście musi być okropne, kiedy do tego stopnia obudza troskliwość moich przyjaciół a nawet moich nadzorców. Pragnąc jak najprędzej dowiedzieć się, o co rzecz idzie, prosiłem p. Augustowskiego, nalegałem na niego, aby mi wszystko powiedział i uwolnił mię przynajmniej od męki niepewności. Nie mogąc się oprzeć moim naleganiom, usiadł przy mnie i uwiadomił mnie, że żona moja krwią pluje i że niebezpiecznie chora.

Zdrętwiałem na tę wiadomość, pozostałem nieruchomy w tej postawie, w jakiej ten cios mię uderzył bez myśli, nawet bez czucia; nie było to cierpienie, ale zupełna bezwładność. Właśnie w tej chwili nadszedł młody mój towarzysz i pobiegł natychmiast do oficera od warty, który zdawał mu się być

pocziwym człowiekiem. Wkrótce potem weszli obadwa. Kiedy już nieco czucie odzyskałem, oficer zaczął mi prawie pociechy dobre na małe zmartwienia, ale drażniące tylko wielkie boleści. Po pierwszych jego słowach uniosłem się:

— Daj mi pan pokój — zawołałem przerywając mu — jesteście barbarzyńcami, dziczą; dla was nie ma nic świętego. Mścicie się na mnie dręcząc moją żonę, zabijacie ją, aby mnie w rozpacz wprowadzić, gubicie ją, aby mnie zgubić. Wybierają ten środek, aby ludzie nie wiedzieli, że mnie zamordowali!

Nie wiem co się malowało na mojej twarzy, ale biedny oficer niemy z zadziwienia, spoglądał na mnie to ze strachem, to z rozczuleniem. Nie miałem już siły mówić, nikt nie śmiał odezwać się, miałem wzrok wlepiony machinalnie w oficera, który także ciągle na mnie ciągle patrzył, mieniać się. Twarz jego świadczyła, że się w nim odbywa przykra walka. Nakoniec rozczulił się do tego stopnia, że mu łzy wystąpiły.

Potem, jak gdyby nad sobą wziął górę, jak gdyby po długim wahaniu się zdobył na sobie ostateczne postanowienie, rzekł:

— Nie spodziewam się, iżby człowiek z podobnym charakterem chciał mię zgubić.

Nie wiedziałem do czego zmierzał ten wstęp, ale poznałem że zapowiada coś życzliwego. Uważałem nadewszystko, że ze strony oficera była to uwaga, której potrzebował dla dodania sobie odwagi.

Po krótkim milczeniu, dodał tonem więcej śmiałym:

— Czy pan chce odwiedzić żonę?

Zdziwiony, niewypowiedzianie uradowany, rzucam się na jego szyję i ściskam go.

Po tem pierwszym uniesieniu, oficer, który wiedział na co się narażał, który nie cofał tego, co powiedział, ale nie chciał posuwać poświęcenia się aż do szalonej żądzy szukania niebezpieczeństw, rzekł do mnie:

— Tego wieczora o godzinie dziewiątej przyjdę do pana, odprowadzę cię sam do drzwi; daję na to słowo, ale mi także daj swoje słowo, że powrócisz za godzinę.

— Dałem je natychmiast.

Reszta dnia płynęła tak powoli, że trzeba było prawie rozpaczać; nie mogłem ani pracować, ani rozmawiać, ani na jednym miejscu pozostać. Nakoniec nadeszła godzina tak pożądana.

Oficer nie spóźnił się na chwilę, wziął mię za rękę nie mówiąc ani słowa, a ja również w milczeniu dałem się prowa dzić.

Tak przybyliśmy przed bramę zewnętrzną więzienia. Tam w chwili stanowczej, zacny ten oficer doznał tak strasznego wzruszenia, ręka jego tak drżała w moim ręku, że się przela kłem, aby nie zmienił swego postanowienia.

— Zobacz — rzekłem do niego chcąc go nieco uspokoić, zobacz, która godzina, abym na minutę nie chybił.

Na te słowa zwrócił nagle głowę ku mnie, oczy jego utkwily w moim wzroku i w takiej postawie byliśmy kilka chwil, które zdawały mi się zbyt długie.

Potem śmiało wracając do wziętego raz postanowienia, kazał drzwi otworzyć, wyszedł ze mną i ściskając mię mocno za rękę rzekł:

— Do widzenia! Życie moje jest w Twoich rękach!

Odszedł, brama zatrzasła się za nim, a ja zostałem za obrębem więzienia, na ulicy, bez eskorty, bez warty, wolny, gdybym był mógł złamać słowo.

Każdy dom, każdy kamień na ulicy powinien był budzić we mnie jakie wspomnienie.

Ale myśli wszystkie były dla Emilii, biegłem do niej, do niej umierającej i miałem tylko godzinę czasu!

Zacząłem biedz z całych sił, ale wnet ustały.

Długa i bolesna uiewola odrętwiała moje muszkuły; już wysilony biegłem jeszcze, nareszcie musiałem się zatrzymać i oprzeć się o mur.

Byłem zdyszany, w głowie mi się kręciło, nogi drżały i zginały się podemną, nie mogłem postąpić na krok dalej, a tu czas ciągle upływał!

Rozpacz dała mi nieco siły, ruszyłem z miejsca i zdoła łem zawlec się do mieszkania mojej żony.

Ide na górę; nieznajoma mi panna służąca powiada, że pani nie przyjmuje nikogo.

— Czy jest sama?

— Sama z matką.

— Proszę powiedzieć matce, że jej przynoszę wiadomość od męża jej córki.

Byliśmy w przedpokoju; wzruszony i strudzony nie mogłem mówić cicho; głos byłby się zatrzymał na ustach, gdybym się nie był silił.

Usłyszano i poznano mnie; w jednym oka mgnieniu głos drogi przeniknął moje serce i już miałem w objęciu moją Emilię i dobrą jej matkę, która z nią przybyła, na krok nie chciała jej odstąpić i miała dla niej najtroskliwsze starania.

Biedna moja żona nie spodziewała się podobnej wizyty; uwieszona u mojej szyi płakała, szlochała; trzeba było przebyć tę krytyczną chwilę.

Nareszcie zaczęliśmy rozmawiać o jej chorobie. Była w niebezpieczeństwie, obawiano się o nią, ale wyszła szczęśliwie. Szczęście widzenia się, mówienia o naszych dzieciach, zajmowało nas wyłącznie.

Trzy kwadranse, któreśmy z sobą byli, minęły jak chwila; zaledwie przyszedłem, już trzeba było odchodzić.

Żona nie wiedząc, jakim sposobem i na jak długo mogłem do niej przybyć, nie myślała nawet pytać się mnie o to, kiedy wstałem aby się z nią pożegnać.

— Jakto! Już! — zawołała z płaczem i rzucając się na moją szyję.

— Niestety! Już! Dałem słowo.

Na te słowa otarła twarz zapłakaną i rzekła z pewnem męztwem:

— Idź więc, idź drogi przyjacielu! Zobaczę Cię jeszcze, albo umrę ze zmartwienia.

Męstwo jej powinno było i mnie dodać siły; tylko mnie rozrzewniło. Czulem że już nie miałem mocy żegnać się z nią, pochwyliłem za kapelusz i wybiegłem nie oglądając się.

Wnet przybyłem do więzienia.

— Jeszcze niema godziny — rzekł do mnie oficer, widząc mnie powracającego.

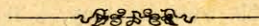
— Nie, ale cierpiałem żeś był niespokojny.

Ścisnął mnie za rękę i rzekł:

— Dopóki żyć będę, będziesz miał we mnie przyjaciela; wierz mi i wnet, jutro może zobaczysz tego dowód.

Ostatnie słowa zdawały mi się być tylko wyrazem gwałtownym radości, bardzo naturalnej po srogim niepokoju, od jakiego powrót mój go uwolnił,

Nie przywiązywałem więc do nich żadnej wagi.



ROZDZIAŁ V.

Wychodzenie z więzienia dla widzenia żony. — Jej przygody na Wołyniu. — Jej podróż do Warszawy w przebraniu włościanki. — Indagacye u Karmelitów: Fałęski, Pokłękowski. — Wywiezienie od Karmelitów do Żytomierza.

Wróciłem czem prędzej do siebie, zamknąłem się w celi, potrzebowałem być sam i oddać się bez przeszkody i swobodnie uczuciom rozkosznym, któremi byłem przejęty. Nie podobna mi było spać, przepędziłem całą noc na przypominaniu sobie każdego spojrzenia, każdego poruszenia, każdego słowa tej drogiej istoty, która od tak dawna zapełniała moje serce, zatrudniała wszystkie władze mojego umysłu i mojej duszy.

O godzinie zwyczajnej, oficer przybył ze swoim następcą i przedstawił go jako swego przyjaciela. Po pierwszym przywitaniu rzekł mu rzucając na mnie wzrok zrozumiały:

— Poznasz łatwo hr. Olizara; ma on pozwolenie wychodzić co wieczór na samo słowo.

Wtedy dopiero zrozumiałem ostatnie wyrazy wczorajsze tego zacnego młodzieńca, wtedy dopiero widziałem całą wspałałość jego charakteru. Na szczęście dla niego i dla mnie, miałem dosyć mocy do stłumienia w sobie radośnego uniesienia i wdzięczności, do utrzymania miny spokojnej w chwili tak wielkiej nadziei; kosztowało mnie wiele że kiedy odchodził,

nie mogłem przynajmniej podziękować temu zacnemu oficerowi, którego już nigdy nie miałem widzieć.

Wieczorem o godzinie 9 posłałem prosić do siebie oficera i oświadczyłem mu chęć wyjścia. Byłem niespokojny, pomimo że zdanie straży w mojej obecności było mu uczynione, aby jakiej nie robił trudności; nie robił żadnej, nie ograniczył czasu nieobecności i doprowadził mię aż na ulicę.

Żona czekała na mnie; tajne przeczucie mówiło jej, że mam przyjść. Panna służąca miała rozkaz nie wpuszczania nikogo, oprócz wczorajszego pana, herbata była przygotowana. Tym razem przynajmniej mogliśmy rozmawiać o naszych interesach. Emilia opowiedziała zaś wszystko, co się jej wydarzyło od czasu mojej nieobecności. Przypominam sobie jeszcze opowiadanie to, którego słuchałem z takim zajęciem.

Dowiedziawszy się o naszych klęskach, pojechała do Krzemieńca nad granicę austriacką. Wielu Polaków skompromitowanych przebyło w ówczas tę granicę, myślała więc, że i ja udałem się w tym kierunku. Omyłona w swoim oczekiwaniu, rozesłała na wszystkie strony osoby pewne, ale niczego o mnie dowiedzieć się nie mogła.

Miotana niespokojnością, zachorowała i powróciła do domu w myśli urządzenia interesów na długi czas nieobecności i puszczenia się potem w drogę dla szukania mnie. Kiedy te czyniła przygotowania, włościanin jeden czy to dla zyskania podarunku, czy może w chęci chwalebniejszej uspokojenia jej uwiadomił ją, że mię widział w Krakowie, że zdrow byłem na wyjeździe do Paryża. Mówił nawet, że miał odemnie polecenie uspokojenia jej względem mojego losu.

Diwnie się jej zdawało, żebym odjeżdżał w takich okolicznościach bez napisania do niej; jednak uwierzyła temu doniesieniu. Tak bardzo potrzebowała uspokoić się nieco, a zresztą tyle przypadków trudnych do odgadnienia, mogło mi było nie dozwolić pisać do niej!

Urządziwszy interesa, powróciła do Krzemieńca, gdzie nadaremnie czekała na listy. W takiej niespokojności sądziła, że ciągle moje milczenie ukrywa jakieś nieszczęście, ale odwracała wszelkimi siłami myśli złowróżbne i usiłowała wynajdywać za-

wsze mniej smutne przyczyny, któreby wymawiały opóźnienie moich listów. Nakoniec ktoś powiedział jej, że wpadłem w ręce Rosyan.

Nigdy nie unosiła się gniewem, ale na wiadomość tę, nie mogła się wstrzymać od złości, nie chciała jej wierzyć, nazwała kłamcą tego, który ją przyniósł i w takim była rozdrażnieniu, że zemdląca. Przyszedłszy do siebie, starała się jak najprędzej sprawdzić tę wiadomość w Warszawie, a gdy już wątpić nie mogła o swoim nieszczęściu, uczuła w sobie nieznana energię i niepomąganą poświęcenia potrzebę.

Żądała paszportu do Warszawy; barbarzyńcy odmówili jej go. Zdolała się ona bez niego obejść! Wyrzekając się wszelkich nawyków do życia szczęśliwego i spokojnego, umieściwszy dzieci, sama tak delikatna puszcza się w drogę ze swoją matką.

Obiedwie przebrane za włościanki, odbywają tę podróż pieszo, nie zważając ani na trudy, ani na niebezpieczeństwa, jakimi im groziła inkwizytoryalna Rosyan policja.

Blisko już granicy galicyjsko-austriackiej, spostrzegają dwóch żandarmów, objeżdżających ront na linii granicznej i ku nim się zbliżających.

Chciały zrazu uciekać, ale zastanowiły się, że lepiej zostać w miejscu. Zaczęły zbierać suche gałązki i kiedy już ich kupkę nazbierały, nadjechali żandarmi; ale ich ubiór, ich zatrudnienie, któremu się oddają tej prowincyi włościanki, zwiodły żandarmów czujność.

Przejechali obok nie powziawszy najmniejszego podejrzenia i obiedwie podróżne przebyły granicę. Były już w Austrii, ale i tam czekały je nowe niebezpieczeństwa.

Nie mając paszportu, mogły być przytrzymane, odprowadzone do Rosyi i oddane władzy podejrzliwej i okrutnej, która by pewnie ukarała ich poświęcenie dla wygnańca.

Pospieszły do domu zajezdnego, tam się ukrywały i ztamtąd posłały do Lwowa prosić przyjaciół o ułatwienie im dalszej podróży. Po sześciu tygodniach ofiarowano im schronienie w zacnym domu, bliższym Lwowa.

Potrzebny im był paszport; żądano go dla służącej uda-

jającej się z córką do Warszawy. Była to rzecz prosta i z łatwością byłaby się udała, gdyby osoby, najwyżej położone, nie były się starały zbyt skwapliwie za służącą. Ta okoliczność obudziła podejrzenie i przewlekła interes.

Niepokojona tą zwłoką żona moja chciała się widzieć z X. R. jedną z tych, co się o paszport starały, wsiadła na wóz mleczarki i przyjechała do Lwowa, szczęśliwie wykreciwszy się z pytań, które jej na rogatce czyniono.

Księżna zdziwiona, że tyle o ten paszport czynią trudności, sądziła, że niepodobna je będzie przewyciężyć; jednak nie były one tak wielkie.

W końcu otrzymały paszport i obiedwie te damy puściły się w dalszą drogę.

Ale na granicy królestwa polskiego powiedziano im, że wiedzą kto są i kazano im wracać do domu, jeśli nie chcą być odesłane pod eskortą.

Musiały więc wrócić do dawnego schronienia. Poczciwi gospodarze domu, przy pomocy przyjaciół wystarli się o inny paszport, ale do Krakowa i na inne nazwisko.

Żona moja i dobra jej matka pojechały tam pocztą. Tam pani W. wystarała się dla nich o inny paszport, za którym przybyły do Warszawy.

Policja tamtejsza była tak czynna, że w pół godziny po ich przybyciu, hrabia Witt wiedział, kto one były i poszedł prosić ks. Jabłonowskiej, aby żonę moją do niezwłocznego wyjazdu namówiła.

Ale nie było to w myśli Emilii; idąc za własnym popędem i ufna w szlachetny charakter hrabiego Witta, stawiała się u niego nazajutrz w godzinach publicznego posłuchania, wymieniła swoje nazwisko, powiedziała, że jest chorą i otrzymała pozwolenie pobytu aż do wyzdrowienia.

Kiedy mi to opowiadać skończyła, musiałem myśleć o powrocie. Tym razem mniej z tego powodu cierpiełem, bo miałem nadzieję, że będę mógł od czasu do czasu ponawiać te drogie dla mnie wizyty.

Niespodziane szczęście pozwoliło mi widywać żonę z mniejszym niebezpieczeństwem.

Nazajutrz bowiem otrzymała pozwolenie przychodzenia do mojej celi, w towarzystwie matki, majora i adjutanta Czorby.

Jej poświęcenie się, jej trudy, niebezpieczeństwa, na jakie się narażała, nadwątlenie zdrowia, ostatnia niebezpieczna choroba, podobieństwo, że recydywa w skutku nowych zmartwień byłaby dla niej śmiertelnym ciosem, wszystko to tyle dla niej współobudziło czucia, że jej dozwolono tej nadzwyczajnej łaski.

Oficerowie.... posunęli względność do tego stopnia, że ile to od nich zależało, ukryć przed nią chcieli wszystko, coby na niej przykre zrobić było mogło wrażenie. Jakoż kiedy mię po raz pierwszy odwiedziła, nie widziała na kurytarzu warty; ale nie można było zmienić rozmiarów, sprzętów, smutnego widoku ciasnego mego mieszkania. Te nagie, pouszkadzane mury i to okno za kratą, bolesne na niej sprawiły wrażenie.

Nadaremnie starałem się uspokoić ją, udając zupełną obojętność na wszystkie te przedmioty, które ją w rozpacz wprowadzały zwracając jej uwagę na korzyści drobne, jakie z nich ciągnąłem i mówiąc jej, że w tej klatce nie byłem zamknięty, że mogłem z niej wychodzić, odwiedzać kolegów; wszystkie te objaśnienia chybiały celu.

Matka widząc ją tak strapioną i słusznie obawiając się, aby znowu nie wpadła w chorobę, która niedawno życiu jej zagrażała, starała się skrócić tę pierwszą wizytę. Po oddaleniu się ich niepodobna mi było powrócić do celi. Cały wieczór szukałem schronienia u panów Augustowskiego i Zielińskiego i najpóźniej jak mogłem, powróciłem do siebie.

Od tego czasu żona moja przychodziła widywać mię co dwa dni; przychodziła z rana i wychodziła dopiero przed wieczorem.

Panie Augustowska i Zielińska otrzymały także pozwolenie widywania mężów; niekiedy zgromadziliśmy się na obiedzie, a w końcu używaliśmy tyle szczęścia, ile go mieć można było w naszym położeniu.

Tymczasem urządzano dla nas drugie piętro. Pierwsze, przeznaczone było na bliskie indagacye. Czyszczono, wybierano cele a gdy nas do nich przeniesiono, zdawały nam się jak dla więźniów bardzo ładnymi pokojami.

Tylko co drugi dzień widując żonę, poświęcałem jeden z dwóch dni mojej, jak ją nazywał p. Popow, fabryce. Nie było to jedynem, w owych dniach nudów roztargnieniem; utrzymywałem czynną korespondencję i wtenczas przekonałem się jak był wierny i wprawny....

W czasie jednej z pierwszych wizyt, żona opowiedziała mi swoje przygody w czasie kiedy jeszcze wojna trwała.

Zaledwie wyjechałem do Warszawy, ostrzeżono ją o zbliżaniu się Rosyan. Miała tyle tylko czasu, że się mogła rzucić z matką, dziećmi i kilkoma służącymi w czołna, które starano się ukryć w zaroślach Styru. Rzeka ta przechodzi przez nasz park.

Ztamtąd widziała, jak kolumna jazdy weszła do miasta zmierzając wprost do dworu i otoczyła go, Rosyanie zastali tam tylko kilka kobiet dworskich, które nie tyle, co tamte choże, nie zdażyły szukać schronienia.

Odbyto z niemi długie śledztwo, chcąc odkryć ich panię pomiędzy niemi; zmuszone były oprowadzać po wszystkich pokojach, po najmniejszych zakątkach ludzi, którym kazano robić w domu te poszukiwania.

Oficerowie rozgościli się w domu, jednak bardzo wielkich szkód nie robili; porozdzierano tylko, nie wiedzieć dla czego, kilka obrazów, rozerwano ze sto dzieł z biblioteki, uszkodzono dwa marmurowe posągi.

Zresztą niemal wszystko oszczędzono, jeśli nie dla mnie, to przynajmniej na korzyść cara, który wkrótce potem zabrał wszystko ekonomicznym sposobem sekwestru. Nie mówię o piwnicy, która zupełnie została spustoszoną. Wojna tak zapala! Trzeba niekiedy się napić; zresztą było to wino powstańca, prawie należące do cara.

A było tyle wina powstańskiego, że sam car nie byłby zdołał go wypić, słusznie więc i sprawiedliwie, wypili wino za jego zdrowie, za niego wojując. Na to niema nic do powiedzenia.

Ale dla czego wylewano na ziemię, czego nie mogli wy-

pić, to trudniej wyjaśnić; chcieli chyba libacyi nabożnych dla ubłagania łaski od bóstw piekielnych.

Tymczasem czołna, przesuwając się pomiędzy opiekuńcze trzciny, postępowały z rzeką i doprowadziły biedną moją rodzinę o dwie mile od dworu do szklarni, która do nas należała.

To schronienie otoczone bagnami do nieprzybycia i przystępne tylko od strony rzeki, było dosyć bezpieczne do czekania dalszych wypadków. Na nieszczęście wszystko zaszło nagle moją rodzinę i prowizye rozdzielone pomiędzy dawnych i nowo przybyłych mieszkańców, wnet się wyczerpały. Prawdziwy nastał głód.

Posyłając po żywność narażano się na odkrycie; wolano wyrzec się chleba, którego zupełnie zabrakło i zmniejszyć racye innej żywności aż do czasu, kiedyśmy z mniejszem niebezpieczeństwem wychodzić mogli. Niedostatek stał się już bardzo dotkliwym, kiedy wdzięczność włościan pospieszyła żonie mojej w pomoc.

Biedni ci ludzie boleli nad naszym nieszczęściem, podzieliali żal i obawy. Wiedzieli, że żona moja z dziećmi schroniła się przed Rosyanami do szklarni i domyślając się, że jej tam brakować musi żywności, postanowili dostarczyć jej. Rozsądu starzec podjął się tego niebezpiecznego i delikatnego poselstwa i w sam czas przybył. Wyłajał najprzód żonę, że nie miała więcej w poświęceniu włościan zaufania i przez całe sześć tygodni, jak to ukrywanie się trwało, poczciwy starzec nie dał jej doznawać niedostatku.

Dzieciom dokuczał najwięcej brak chleba; kiedy im go przyniesiono, jadły go z największą chciwością, nie mogły się nim nasycić i za każdym kąsem wykrzykiwały że bardzo smaczny i lepszy od cukierków.

Z tem wszystkiem niepodobna było pozostać zawsze w tem ustroniu; nieszczęście zmusiło żonę do wyjścia z tego więzienia. Drugi nasz siedmioletni syn, dostał zapalenia mózgu. Rozpaczała matka miała jednak tyle przytomności, że mu przystawiła pijawki, na których nie zbywało w moczarach, otaczających szklarnię. Ta ostrożność była dobra, ale dla tego nie można się było obejść bez lekarza. Konieczną więc rzeczą

było, co bądź nastąpi, powrócić do dworu, zajętego przez Rosyan.

Kiedy idzie o ratowanie dziecka, niema nic, coby przstraszyło matkę. Żona więc powróciła do dworu. Ale zaledwie tam przybyła, kiedy rozgoszczony w naszych pokojach pułkownik, nie racząc nawet widzieć się z nią, wyznaczył dla niej pokoje i kazał przy wszystkich drzwiach poustawiać warty. Moja żona chciała się z nim widzieć; przybył we cztery godziny, wszedł z miną hardą, w czapce i według wszelkiego podobieństwa miał zamiar mówić tonem rozkazującym, spodziewając się, że ujrzy przed sobą kobietę bojaźliwą, błagającą.

Zdziwiona jego niegrzeczną powierzchownością, żona moja przyjęła go siedząc i rzucając na niego wzrok pełen godności, rzekła:

— Gdybym była mogła przewidzieć, że pan prowadzisz wojnę z kobietami i dziećmi, nie byłabym tu powróciła, ale ponieważ nieroztropna, liczyłam na pana honor i przyzwoitość; muszę się zapytać, jakim prawem więzicie mnie w moim domu?

Pułkownik już dosyć podeszły, nie był widać zupełnie zły człowiek.

Ta postawa. to przemówienie energiczne, ten przeważny wpływ, jaki zawsze w trudnych okolicznościach wywiera kobieta rozumna, a nadewszystko zapewne przekonanie, że za daleko swoją władzę posunął, zmięszały pułkownika.

Zdjął czapkę i zaczął jąkać przeproszanie, oparte na gorliwości służby monarszej i na tem, że wiedząc iż właściciel domu jest powstańcem, chciał zastraszyć żonę, aby się dowiedzieć od niej, gdzie się mąż ukrywa.

Podobne usprawiedliwienie się ściągnęło na niego nowe napomnienie.

— Nie, to co pan mówisz jest niepodobne. Krzywdziła bym pana, gdybym temu uwierzyła; mam lepszą o panu opinię. Pewna jestem, że pan nie posuwasz śmieszności aż do czynienia mnie odpowiedzialną za czyny mego męża i niemam pana za tak nierozumnego i zepsutego, iżbyś choć pomyślał

wydobywać ze mnie odkrycia, które mogłyby być dla niego szkodliwe.

Słowa te dobiły biednego starca; wyszedł słowa nie mówiąc, ściągnął warty i sam przeniósł się do innego domu.

Musiał to być pocziwy człowiek, bo nie tylko nie mścił się za to, co na jego miejscu nie jeden inny byłby wziął dla siebie za zniewagę, ale nawet był od tego czasu dla mojej żony z prawdziwym uwielbieniem i wydał rozkaz najściślejszy, aby szanowano i osobę jej i wszystko co do niej należało.

Jak tylko żona moja była wolna, posłała po lekarza i dziecko zostało uratowane.

Przytoczę tu dwa przykłady dowodzące szlachetności uczuć pułkownika.

W pierwszych dniach powstania chciano powiesić ajenta policyjnego, niejakiemu Słuchajewskiemu. Wszędzie ścigany, człowiek ten szukał schronienia w moim domu. Miałem szczęście wybawić go od kary, na którą zresztą bardzo zasługiwał; narażałem się nawet, chcąc ocalić podobnego człowieka i w podobnych okolicznościach. Powróciwszy z nieprzyjacielem p. Słuchajewski skwapliwie chciał mi okazać swoją wdzięczność policyjną, usiłując wykryć moje schronienie i oddać mnie wręce Rosyan. Dopóty wszystko bardzo dobrze: robił swoje rzemiosło i dawał dobrą naukę nieroztropnym, którzy mieli ochotę ocalić ludzi tego rodzaju. Ale razu jednego, bezwstydnik ten przybył do mego domu i wręczył mojej żonie szereg pytań na piśmie z żądaniem, aby także na piśmie na nie odpowiedziała.

Wszystkie te zapytania ściągały się do moich czynności politycznych i do miejsca mego schronienia. Żona moja opierała się z oburzeniem, chłystek ten obstawał z dziwną bezczelnością i zawsze w imieniu cesarza. Spierano się z jednej i drugiej strony, kiedy się drzwi otworzyły i kiedy na to nadszedł pułkownik.

Wstydząc się przeszłej nieprzyzwoitości, pocziwy ten oficer nie śmiał być od tego czasu widzieć mojej żony, ale dowiedziawszy się, nie wiem jakim sposobem, o prześladowaniu jakiego doznaje od przybyłego ajenta, pospieszył jej w pomoc.

— Wiem — rzekł wchodząc — wszystko, co ten człowiek winien mężowi pani hrabiny, co nawet pani sama dla jego rodziny świadczyła. Jeśli się odważy jeszcze niepokoić panią, niech pani każe go związać i do mnie przysłać a ja resztę na siebie biorę.

Napomnienie było dobre, a nadewszystko jasne; wisus miał dobre nogi i zniknął jak przestraszona żmija. Szczęśliwy, że mógł naprawić chwilową niegrzeczność dawniejszą, pułkownik przyjął zaproszenie na obiad i przychodził potem częściej do dworu.

Zapomniano już o tej nieprzyjemnej scenie, kiedy towarzyszający pułkownikowi oficer bawiąc się z tym samym synkiem naszym, który niedawno chorował, zapytał go, gdzie ojciec. Może zapytanie takie było nieumyślne, ale zawsze było nierozważne. Dziecko odpowiedziało:

— Nie wiem ale jak powróci, powiem mu, aby cię wychłostał.

Pułkownik poklasnął tej odpowiedzi.

— Dobrze ci powiedział — rzekł — zasłużyłbyś na to; nie znam nic nad to haniebniejszego jak używać dziecka do gubienia ojca.

To powiedziawszy, kazał wyjść oficerowi z pokoju.

Pułkownik z pułkiem swoim otrzymał rozkaz do wymarszu i opuścił miasto.

Wkrótce potem urzędnik rosyjski przywiózł żonie list od gubernatora, wzywający ją, aby osiadła z dziećmi w Żytomierzu a to dla uniknięcia niebezpieczeństw, na jakie u siebie była narażona. Był to grzeczny rozkaz wydany w celu ukrytym zabrania całej mojej rodziny.

Na szczęście nadszedł waleczny major Różycki, na czele kilkuset powstańców. Urzędnik, który miał może polecenie użycia przymusu, gdyby przekonywanie nie pomagało, ujrzał się sam w potrzebie błagania mojej żony o opiekę. Przechowywała go przez dwa dni pod dachami, lubo charakter Różyckiego zaręczał, że ta ostrożność była niepotrzebną, ale biedny urzędnik ze strachu prawie nieżywy, upierał się zostać w ukryciu

i myślał, że w podobnych okolicznościach najroztropniej jest zabezpieczyć się przeciw wszelkim wypadkom.

Przestrach jego przydał się nieco; był to człowiek, zdolny uczuć wdzięczność i mierzył ją nie tyle na niebezpieczeństwo, ile na skalę swego przestachu. Lekarz zaświadczył, że żona moja chora i to świadectwo uznał za powód dostateczny do zostawienia jej w pokoju; odjechał ze świadectwem i listem do gubernatora.

Wnet potem porządek panował w kraju, ale po przejęciu zaburzenia, Emilia otrzymała rozkaz opuszczenia dworu, który według ukazów przeszedł na własność cesarza. Skonfiskowano majątek nas obojga, a jej wyznaczono pensję, z której mogła być z dziećmi nie umrzeć z głodu. Równie dobra Polka, jak dobra małżonka i matka żałowała dostatków tylko przez wzgląd na dzieci i z dumą widziała, że ją podciągano pod zemstę, która dosięgała męża i że cierpiała za świętą ojczyzny sprawę. I ja dumny byłem taką wzniosłością jej duszy, taką mocą jej charakteru, cnotami, które dotychczas ukryte były pod przymiotami najłagodniejszymi. Człowiek jest tak szczęśliwy, kiedy może podziwiać przedmiot swojej miłości!

Moje uwięzienie trwało już od pół roku, bo brakowało do niego tylko dni sześć, kiedy wiadomość o bliskim rozpoczęciu procesu potwierdził powrót posłów do naszego więzienia karmelickiego, gdzie zajęli miejsca dawnych naszych towarzyszków.

Zbliżanie się tej smutnej uroczystości obudziło wszystkie żony mojej niepokoje. Obawiała się abym nie dosyć dobrze, nie dosyć dokładnie na wszystko, co miałem mówić, odpowiadał jeśli będę mówił z pamięci, albo z natchnienia. Zdawało się jej, że bezpieczniej było odpowiadać na piśmie.

Dla zaspokojenia jej zacząłem gryzmolić rodzaj obrony, która trąciła nieco sofistyką. Ale, jakimże innym sposobem bronić się przed sędziami, których miano nam wyznaczyć i pod przewagą okoliczności, w jakich my się znajdowali? Spisawszy tę obronę, byłem tyle nierztropny, że ją pokazałem żonie wobec pana Popowa, którego prosiłem na to o zwyczajne pozwolenie.

P. Popow oświadczył, iż do rzeczy tak ważnej potrzeba zezwolenia władzy wyższej.

Wtedy zrzekając się udzielenia rękopismu żonie, chciałem go odebrać z rąk p. Popowa, który go zaraz był pochwycił, ale p. Popow był to człowiek na stojaszczy i jak się później dowiedziałem, miał rozkaz zabrania mi jakimbyś sposobem tego rękopismu, nad którym widziano mię pracującego, powiniem być tylko czekać aż robotę tę ukończę. Nie chciałem więc oddać mi tej obrony, schował ją i powiedział, że ją odda jenerałowi Pęcherzewskiemu.

Nadaremnie opierałem się temu, mówiąc że się zrzekam użycia jej, i że w takim razie mam prawo zatrzymania jej, tak jak gdyby z rąk moich nie była wyszła. Wszystko nic nie pomogło. Żona moja w rozpacz pobięła do hrabiego Witta.

Oddano mi moją obronę, ale dopiero w tydzień i gdy ją przepisało. Na szczęście chęć bardzo naturalna, uspokojenia żony, nie podyktowała mi w tem piśmie jednego wyrazu, którego bym się miał być wstydić.

Przyznawałem wszystkie moje zasady, rozwijałem je otwarcie i zdawało mi się, że od tej chwili miano dla mnie jeszcze więcej względności.

Niemniej dla tego pozostał przykład, świadczący zwyczaj haniebny rządu wkradania się w stosunki męża z żoną, czyhania na ich komunikacye poufale, chwywania ich, zamiast co by raczej otwarcie zabronić ich powinien, jeśli uważa je dla siebie za niebezpieczne i szukania w nich podle, nieroztropnych wyników albo jakich dwuznacznych wyrazów, którychby przeciw nim mógł użyć.

Od czasu przybycia posłów posządek więzienny znacznie się zmienił, wewnątrz domu używaliśmy prawie zupełnej wolności.

Mogliśmy się widywać podług naszego upodobania, przechadzać i bawić się. Żony nasze przychodziły do nas na całe dni i mieszały u Karmelitów przyjemne towarzystwa nie ustępujące co do wesołości zgromadzenia samej stolicy. Trwało to kilka tygodni.

Tyle było różnicy między teraźniejszym a dawnym stanem, iż uważałem się prawie za będącego na wolności. Podo- bałem sobie w tem nowem położeniu, widocznie dosyć znośnem,

a z drugiej strony starałem się nie pokazywać najmniejszej o przyszłość troski w obawie, aby tem nie zasmucić żony. Tak byłem przejęty szczęściem widywania jej, tak mię rozweselały małe nasze towarzystwa, że w istocie nie miałem żadnego niepokoju.

Wolność, powiem prawie swawola, jakiej my wtenczas używali, powinna się zdawać nie do uwierzenia. Dziwno może będzie, widzieć władzę rosyjską, tak łatwą, tak potulną dla powstańców. Wyjaśnia postępowania takiego przyczynę następujące okoliczności; ale i w tej pozornej łagodności dostrzedz można maskę wdzianą dla ukrywania barbarzyństwa i oburzającej nieprawości.

Amnestya ogłoszona w imieniu cesarza, nie była ogólną dla wszystkich i za wszystko; były z niej te wyjątki:

Są wyjęci z amnestyi:

1. Członkowie rządów rewolucyjnych w rozmaitych epokach, podobnie jak ci, co wznawiali swój rząd nieprawy w Zakrocymie.

2. Członkowie sejmu, którzy zaproponowali lub popierali projekt detronizacyi.

3. Co do tych członków sejmu, którzy podpisali detronizację przez słabość, będą oni korzystali z amnestyi, ale nie będą mogli zostać urzędnikami, dopóki postępowaniem i żalem nie udowodnią, że znowu zasługują na zaufanie i t. d.

Przez ten podział na kategorie amnestya oddzieliła rządy od sejmu i stósowała się widocznie do posłów uwięzionych u Karmelitów, bo właśnie byli to ci, którzy ani proponowali ani popierali detronizacyi.

Podług amnestyi można im było tylko odmówić urzędów do czasu wypełnienia zastrzeżonego dla nich warunku, ponieważ wszyscy członkowie sejmu a zatem i oni podpisali detronizację, ale żaden z nich nie był członkiem rządu. Amnestya dana więc była szczególnie dla nich i na jej mocy, podług jej przepisów powracając sądzili, że nie będą niepokojeni. Było zatem, jak powiedziałem czyn bezprawny i barbarzyński porywać ich z łona rodzin, więzić i wystawiać ich na nieprzyjemności i niebezpieczeństwa śledztwa.

Ale znano jeniusz srogi cesarza i przeciw najwyraźniejszemu dowodom stawiano najniedorzeczniejsze tłumaczenia amnestyi, wymyślone dla przypodobania się swemu panu przez najnędźniejszych dworaków.

Jeden z takich zauszniaków, dawniej Polak, generał Rautenstrauch, przedstawił rządowi taki sofizm: Sejm uzurpował atrybucy królewskie, a zatem wszyscy członkowie sejmu, którzy byli w Zakrocymie powinni być uważani jako członkowie rządu rewolucyjnego, a zatem wszyscy objęci są wyraźnie w wyjątkach z amnestyi i żaden z nich nie mógł się odwoływać do tego dobrodziejstwa.

Ale podobnie jak w ciągu całej rewolucyi, tak i w Zakrocymie, oprócz sejmu, był jeszcze rząd narodowy i o nim to widocznie była mowa w amnestyi. Lecz w ciągu całej rewolucyi, sejm miał atrybucy królewskie, ale gdyby wszyscy członkowie sejmu byli uważani za członków rządów rewolucyjnych przez dawcę lub dawców amnestyi, i oni znaleźliby się w pierwszym wyjątku i nie potrzeba było robić drugiego wyjątku jedynie dla tych członków sejmu, którzy proponowali lub popierali detronizację. Pojmuje to prosty rozsądek, ale sofizm bezczelny, zresztą tak zgodny z wyobrażeniem satrapy Paszkiewicza, przeważał w radzie, pomimo oczywistości wyrazów amnestyi, która jasno odróżniła sejm od rządu. Na tej to zasadzie poaresztowano tymczasowo członków sejmu, którzy znajdowali się byli w Zakrocymie i którzy, nie wiedzieć dla czego, byli sobie wyobrażali, że można ufać słowu cesarza Mikołaja.

Tymczasem sam p. Paszkiewicz nie mógł tać przed sobą niegodziwości podobnego postępowania a przewidując, że wypadek tej sprawy będzie koniecznie przychylny posłom, nie śmiał zbyt prześladować ludzi więzionych sposobem tak niedorzecznym i haniebnym.

Ta jest prawdziwa przyczyna, dla której posłom u Karmelitów folgowano.

Co do mnie, miałem być sądzony nie w Warszawie, ale na Wołyniu i hrabia Witt tak się względem mnie był wyraził: *Bronikowski, Pamięt. polskie.*

— Ponieważ jego sprawa odesłana jest gdzie indziej, jak potrzebę mamy dręczyć go tutaj?

Stósownie do tej uwagi sprawiedliwej i ludzkiej, pozwalamo mi używać przywilejów, jakich używali posłowie.

PP. Niemojowski i Zieliński byli członkami rządu; jakoż względem nich wydane były surowsze rozkazy, ale nie wykonywano ich dzięki życzliwości oficerów, albo może dlatego, że obawiano się, iżby posłowie wyszedłszy z więzienia nie rozgłosili jak się obchodzą z nieszczęśliwymi ziomkami ich w więzieniu.

Tak dobrze to uczuwano, że sprawa przeciw posłom była wytoczona tylko dla dokuczenia im, iż nie śmiano przystąpić do śledztwa bez zasięgnięcia rady cesarza.

Przedłożone mu pytanie musiało niezawodnie być tej treści:

— Mamy sposób pozbawienia amnestyi ludzi, którzy mają do niej prawo i których mamy w ręku, używamy zdrady, ale mniejsza o to, aby to tylko zgadzało się z twoją wolą; gotowi jesteśmy poświęcić ich, aby ci się tylko przypodobać.

Tymczasem są oni w więzieniu; tę przynajmniej masz przyjemność, jeśli im więcej nie zrobimy.

Gdyby Europa nie była miała zwrócone oczy na Polskę, i gdyby cesarz nie był się obawiał wrażenia, jakieby zdrada podobna sprawiła w świecie cywilizowanym, byłby może przyjął ofiarę służalców, przynajmniej tak wnosić pozwala znany jego charakter.

Zmuszony zrzec się tej przyjemności, godnej jego, chciał przynajmniej wynagrodzić ją sobie przedłużeniem więzienia posłów.

Dla dopięcia tego celu dosyć mu było opóźnić odpowiedź na zapytania jego agentów. Zwłókl ją prawie rok cały.

Tymczasem albo dla tego, że miano nieco wstydu, albo może, co podobniejsze do prawdy, że otrzymano jaki rozkaz potajemny, zaczęto się zbierać do śledztwa.

Wtedy to osadzono w więzieniu Karmelitów członków sejmu, gdzie tym razem więziono ich nie jako członków rządu, ale jako posłów, którzy mieli udział w obradach zakroczymskich.

Udział ten był to wyjątek, dodany potajemnym rozkazem do wyjątków amnestyi, albo uważany był za taki przez pana Paszkiewicza.

Celem śledztwa było sprawdzić, którzy z uwięzionych posłów bywali na posiedzeniach i którzy zatem znajdują się w przypadku, uważanym za wyjątkowy.

Blisko przez ośm tygodni czekaliśmy prawie codziennie na te śledztwa i codziennie odkładano je pod rozmaitymi pozorami.

Nakoniec generałowie Paniutyn i Mamonow i pan Fałęski dawny sędzia w Warszawie mianowani zostali sędziami instruktorami i przyszli nas odwiedzić w towarzystwie prokuratora królewskiego, co nam zapowiadało rozpoczęcie śledztwo nazi jutrz. Od tej chwili wstęp do więzienia zabroniony był naszym żonom.

Na szczęście wierność Kozaka ułatwiała mi sposoby łagodzenia smutku po tak nagłej przerwie widywania mojej żony przyjemnością częstej korespondencji.

Trzymano mnie od roku w więzieniu warszawskim, pomimo że miałem być sądzony na Wołyniu. Dla usprawiedliwienia tego powiedziano, że obecność moja potrzebna była w sprawie dotyczącej sejmu zakroczymskiego i postanowiono pociągnąć mnie także do indagacyi. Ponieważ cały czas, przepędzony w więzieniu warszawskim był tym sposobem dla mojej sprawy stracony, żona moja po długich prośbach wyjednała, abym był zapytywany jeden z pierwszych, byłem siódmym, czy ósmym.

Jednego dnia, kiedy miałem się stawić do śledztwa, spostrzegłem z okna hr. Wittę i innych generałów rosyjskich, przechadzających się po naszym ogrodzie i jak gdyby upatrujących miejsce dla wznoszenia nowych murów. Nagle przybiega do ogrodu jakaś dama, była to moja żona, biegnie wprost do hr. Wittę i przemawia do niego z żywością.

Po wzruszeniu jej, nie wątpiłem, że się chciała ze mną widzieć, z poruszeń generała wnosiłem, że tylko z przykrością odmawiał.

Nakoniec adjutant generała podał mojej żonie rękę i udał

się z nią do więzienia. Upłynął kwadrans, a żona nie wychodziła; spóźnienie to wielce mnie niepokoiło, gdy nareszcie wychodząc z celi, ujrzałem ją już także przy drzwiach. Jenerał nie mogąc dać jej pozwolenia widzenia mnie, radził jej prosić o to sędziów instrukcyjnych, którzy nie śmieli jej odmówić. Towarzyszył jej ciągle adjutant.

Rzuciła mi się najprzód na szyję i pomimo wzruszenia, zrećnie wsunęła mi w ręce karteczkę. Chciałem się dowiedzieć o przyczynie jej wzruszenia. Uwiadomiła mnie, że mnie oskarżono o pełnienie obowiązków sekretarza senatu w Zakroczymie.

Uspokoilem ją, przypominając, że będąc senatorem nie mogłem być sekretarzem. W karteczce donosiła mi to samo. Zaledwie miałem czas ją przeczytać, kiedy mnie wezwano przed trybunał.

Nim opowieм szczegóły śledztwa, winienem zatrzymać się nad punktem głównym, który wyjaśni raz na zawsze moje zeznania i moje zaprzeczenia.

Zapytywano członków sejmu tylko o ich posiedzenia zakroczymskie. Nie mogąc zaprzeczyć, iżby nie byli w Zakroczymie, wystawiali, iż nie mogli udać się gdzieindziej i znaleźli z łatwością świadków dowodzących, że na posiedzeniach nie byli.

Udzielone mi stósowne uwiadomienie, miało mi służyć za podstawę, nie własnej obrony, ale wszystkiego, co się tyczyło innych obwinionych.

Pod względem grzeczności, nie miałem się o co skarżyć na sędziów. Przywitali mnie uprzejmie i prosili usiąść. Pan Fałęski czynił mi pytania, z których te były ważniejsze:

P. Czy pan hrabia życzy sobie dyktować odpowiedzi, czy je sam chce pisać?

O. Wolalbym je sam pisać.

Stósownie do tego, p. Fałęski dyktował pytania sekretarzowi, który następnie podawał mi papier, abym na nim odpowiedź moją napisał. Pan Fałęski nie przemawiał do mnie nigdy, nie dodając tytułu hrabiego; udawanie dosyć niepotrzebne.

Opuszczam pytania zwyczajne względem wieku, religii, miejsca urodzenia i t. d.

P. Czy p. hrabia byłeś odrazu senatorem?

O. Byłem najprzód reprezentantem Wołynia, a później połączone izby mianowały mnie senatorem.

P. Kiedy p. hrabia przyjechał do Warszawy?

O. Nie przypominam sobie z pewnością dnia; było to, jeśli się nie mylę, na dwa tygodnie przed bitwą ostrołęcką.

P. Czy p. hrabia był w Zakroczymie?

O. Byłem.

P. Czy p. hrabia bywał na posiedzeniach sejmu?

O. Bywałem.

P. Których posłów tu obecnych, spotykał tam p. hrabia?

O. Nie wiem, którzy posłowie są tu obecni; zresztą widywałem posłów w czasie rewolucyi tylko na posiedzeniach, znam ich wszystkich bardzo mało i byłoby mi trudno wymienić ich po nazwisku.

P. Z tem wszystkiem, może p. hrabia znał niektórych; proszę sobie przypomnieć znajomych, których p. hrabia spotykał na posiedzeniach zakroczymskich?

O. Widywałem na posiedzeniach kilku znajomych, (tu wymieniłem posłów, którzy, jak wiedziałem, byli za granicą.)

P. Czy nie widział tam p. hr. posła, (tu zapytywano mnie o posłów, którzy w istocie bywali na posiedzeniach, ale którzy na teraz siedzieli w więzieniu Karmelickiem.)

O. Nie, nie przypominam sobie.

P. Czy p. hr. był sekretarzem w Zakroczymie?

O. Będąc senatorem, nie mogłem być sekretarzem.

P. Wiem, ale w nieobecności sekretarza, czy p. hr. nie zastępował go kiedy dobrowolnie?

O. Wiadomo, że w takim razie jest to obowiązkiem najmłodszego senatora, a ja nim nie byłem.

P. Wiem, że najmłodszym senatorem był p. Łepicki, ale po nim był p. hr., a w nieobecności sekretarza i p. Łepickiego musiano pana powołać do zastąpienia ich; proszę sobie więc przypomnieć, czy nie podpisywałeś nic za nieobecnego sekretarza?

O. Nie sędzę.

Po tej odpowiedzi, P. Fałęski pokazał mi spisy członków obecnych na dwóch posiedzeniach, z podpisem moim na obu dwóch, złożone po większej części z posłów uwięzionych u Kar-melitów; przyznać moje podpisy, było to samo, co ich oskar-żać, postanowiłem więc zaprzeczyć je.

P. To jednakże ręka p. hrabiego?

O. Prawda, że te podpisy podobne bardzo do mojej ręki, ale nie przypominam sobie, iżbym te dwie listy podpisywał, może położono na nich później moje podpisy, przewidując słu-sznie, że nie będę przeciw nim reklamował, zwłaszcza że przedmiot ich tak małej był wagi, a może jest to dzieło jakie-go fałszerza, który chce panów w błąd wprowadzić i skompro-mitować pewne osoby.

Zresztą nie mogę odgadnąć potajemnych pobudek, jakie kto w tem mieć mógł. Z pewnością to tylko mogę utrzymywać, że sobie nie przypominam, iżbym kiedy te listy podpisał.

P. Zdaje się, że panu pamięć nie jest wierna, czy zawsze jest taką?

O. Nie; ale gdyby nawet w tej okoliczności nie była mi wierna, nie byłoby w tem nic dziwnego. Jestem od roku w więzieniu, jakże mogłbym sobie przypominać najdrobniejsze szczegóły?

P. Proszę nam napisać swój podpis.

Podpisałem się.

P. Ale to oczywiście ta sama ręka!

O. Jeśli podobało się komu sfalszować mój podpis, szuka-no zapewne zręcznego fałszerza, a na takich nie zbywa i dla tego to podobieństwo niema nic zadziwiającego.

Musiało się zdawać generałowi Paniutynowi, że chciałem dać do zrozumienia, że to oni kazali sfalszować moje podpisy dla pogorszenia naszej sprawy za pomocą dowodów, których istnienia nie przewidywaliśmy, bo rozczzerwienił się i przerwał śledztwo mówiąc do mnie:

— Niech pan nie sądzi, żeby to były żarty.

— Ja też nie żartuję.

— Żałuję pana.

Podziękowałem mu schylając nieco głowę i rzekłem w dodatku do mojej odpowiedzi:

— Zresztą, ponieważ przyznałem że bywałem na posiedze-niach, podpis tych list staje się zupełnie nic nie znaczącym, i nie wiem, dla czegobym miał go zaprzeczać, gdybym go so-bie przypominał.

W ciągu całego tego śledztwa, prokurator królewski, pocziwy pan Pokłkowski nie zaniedbywał nigdy rozpoczynać ze mną jakiej bądź nieznaczającej rozmowy, jak tylko P. Fa-lęski zabierał się do dyktowania mi pytania. Byłali to grze-czność ze strony tego prawego komentatora amnestyi, albo czy nie był to raczej manewr inkwizytorski dla roztargnienia mnie w chwili zadawanego pytania, tak, iżbym nie miał czasu do pomyślenia nad odpowiedzią? To pewna, że podobna grze-czność człowieka tak zręcznego, byłaby bardzo niezręczną; po-dobny manewr, nawet dla niego, byłby zbyt haniebnym.

Na szczęście, śledztwo całe było tylko formalnością. Co do mnie, oprócz pytań, których sobie może nie przypominam, nie posuwano go dalej.

Ile razy który poseł powracał z trybunału, zamykano go w celi i stawiano przy niej wartę, a to dla przzerwania wszel-kich komunikacyj z posłami, którzy dopiero mieli odpowiadać.

Ścisłe to więzienie nie osiągało żadnego celu, bo w pół godziny warta wracała na swoje miejsce a komunikacya otwie-rała się równie swobodna, jak dawniej.

Za powrotem moim do celi, towarzyszący mi oficer.... po-wiedział mi, że mię uwolni od warty przy drzwiach celi, po-nieważ oświadczył sędziom, że ufa mojemu słowu.

Nie chciałem na to przystać i odpowiedziałem mu, że warta tyle ścięśni mi tylko komunikacye, ile innym, a słowo uwięziłoby mnie zupełnie.

— Nie dam panu tego słowa, zresztą zbyt masz wiele rozumu, iżbyś nie wiedział, że to tylko szykana i że dla tego tylko robią śledztwo, ażeby udawać że się zatrudniają ważną sprawą.

Zresztą, gdybyśmy byli mieli potrzebę zniesienia się, nie

brakowało nam czasu do tego. A zatem widzisz, że wszystkie te zaostrenia są niepotrzebne i śmieszne.

Oficer uśmiechnął się tylko i odszedł nie postawiwszy mi przy drzwiach warty. Chociaż nie potrzebowano mnie już w Warszawie, nie przestawano jednak trzymać mnie tam w więzieniu i pozbawić mnie odwiedzin żony.

Po skończeniu śledztwa z posłami, zaczęto i wnet skończono także śledztwo z dwoma członkami rządu. Po tych wielkich pracach zatrzymano się. Nareszcie nadeszła odpowiedź z Petersburga od cesarza. N. pan przebaczał, albo raczej powtórnie amnestyował członków sejmu.

Uwiadomiono ich o tem wychwalając wielkomyślność carską i wypuszczono ich na wolność, ale dopiero nazajutrz, zapewne dla zostawienia im czasu do rozmyślenia spokojnego nad wielką dobrocią cesarską i do przeniknienia się uwielbieniem dla niej.

Zwłoka ta nie powinna zresztą wydawać się dziwną; pod rządami despotycznymi napełniają się, ale nigdy nie wypróżniają się skwapliwie więzienia.

Pozostało nas tylko trzech u Karmelitów: PP. Niemojowski, Zieliński i ja.

Straciłem przyjemne towarzystwo, ale natomiast przywrócono mi wizyty żony. Otrzymała to pozwolenie nie bez trudności ale skutek pocieszył ją za wszystkie starania. Starła się także o rozkaz posłania mnie do Wołyn, gdzie coś jaśniejszego mogłem się o losie moim dowiedzieć.

Odpowiadano jej zawsze, że pojedę za dwa, albo trzy dni i każdym razem spieszyła przynosić mi tę obietnicę, która zwiódła nas, nie pamiętam już ile razy.

Po każdej takiej obietnicy, zdawano się zupełnie o mnie zapomnieć. Te nieustanne odkładania wprowadzały nas w rozpacz; nie wiedzieliśmy już, co o nich myśleć, kiedy jednego razu dowiedzieliśmy się, że robią w mieście śledztwo dla dowiedzenia się, jakie było moje postępowanie w czasie rewolucji.

Śledztwo to było dla mnie korzystne i przy końcu piętnastego miesiąca po mojem uwięzieniu, przybył jednego wie-

czora oficer od żandarmów z zapowiedzią, że pojedziemy jutro. Było to już urzędowe uwiadomienie, powinienem mu być wdzięczny; dwaj koledzy przyszli mi winszować, przyłączył się do nich oficer kozacki, który od czasu uwolnienia posłów zastępował p. Popowa i do godziny trzeciej z rana obchodziliśmy ostatnie chwile naszego widzenia.

Całą noc oka zmrużyć nie mogłem; przyszłość moja nie była bynajmniej zaspakajającą; ale nie przyszłość zatrudnia mnie, niepokoił mnie wyjazd.

Obiecano żonie, że ze mną pojedzie; przywiązywałem tem więcej ceny do tej względności, iż żona była przy nadziei, że potrzebowała więcej starań i że matka jej od niejakiego czasu wyjechała była do naszych dzieci.

O godzinie 8 z rana major i oficer od żandarmów przyszli po mnie; chciałem pożegnać po raz ostatni moich towarzyszy, P. Zieliński czekał mnie na kurytarzu, p. Niemojowski jeszcze spał.

Nie miałem odwagi przebudzić go i pożegnałem go tylko przez służącego. Major i żandarm wsiedli ze mną do fiakra, Wieziono mię czy na drogę do Wołynia, czy do mieszkania żony?

Czy dotrzymają danej obietnicy? Byłbym rad o tem wiedział, ale nie śmiałem się pytać w obawie otrzymania odpowiedzi, któraby mię przeraziła. Tymczasem jechaliśmy dalej i powóz zatrzymał się wnet przed bramą hotelu, w którym mieszkała moja żona. Była w kościele; oficer od żandarmów mając jeszcze do odebrania rozkazy, postanowił, że pojedziemy dopiero wieczór i zostawił mię na słowo.

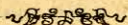
Nie mogę wyrazić jakich doznawałem uczuć widząc się niespodzianie u siebie, wolnym na jeden dzień, ale na dzień prawie cały i czekając na Emilię. Z jaką radością widziałem ją wchodzącą, z jakimże uniesieniem rzuciła się w moje objęcia!

Jakie szczęście być razem i mieć dzień do przepędzenia z sobą, nim co innego przypomni nam znowu minione zmartwienia, przyszłe troski!

Około godziny siódmej wieczorem, powóz zajechał; żona wsiadła do niego z akuszerką, wziętą dla ostrożności.

Wsiadłem uściskawszy serdecznie pocziwego który nie mógł łez wstrzymać.

Oficer od żandarmów pojechał naprzód i ruszyliśmy wśród błogosławieństw i życzeń widzów, zgromadzonych na dziedzińcu hotelu.



ROZDZIAŁ VII.

Przybycie do Żytomierza. — Marszałek Lenkiewicz. — Wyjazd do Kijowa. Feldmarszałek Sacken, gubernator Łaskarew. — Powrót do Żytomierza. — Gubernator Korsakow i jego żona. — Uwolnienie. — Nowe potępienie. — Uwzięcie w klasztorze Bernardynów w Żytomierzu. — Ucieczka z tego więzienia. — Przybycie do Galicyi. — Wyjazd do Karlsbadu. Przybycie do Francyi.

Wszystko w tej podróży czyniło mi nadzieję bliskiego uwolnienia, Zdawało się, że więzień stanu, któremu pozwalają odbywać podróż z żoną i bez straży, ponieważ oficer od żandarmów poprzedzał nas zawsze o milę, albo i dwie mile, nie powinien był wiele obawiać się; sądzenie mnie miało być zatem tylko rodzajem formalności bez niebezpieczeństwa, prawdopodobnie tylko uwolnienie formalne za sobą pociągającym.

Wynikało to jeszcze z rozkazu danego oficerowi od żandarmów, który nam powiedział na pierwszym noclegu, że mu polecono być na nasze rozkazy, bo jechałem do Kijowa po to tylko, aby mnie tam uwolniono.

Taka przyjemna pewność dodawała żonie mojej siły do znoszenia trudów podróży. Była cierpiąca, ale odbywaliśmy podróż powoli i nie było żadnej przeszkody do zarządzenia, co było potrzebne dla jej zdrowia.

Dziewiątego dnia stanęliśmy w Dubnie; dzieci nasze były

cztery mile ztamtąd. Otrzymawszy od oficera obietnicę, że w tem mieście dwa dni będziemy mogli się zatrzymać, uwiadomiłem ich dniem pierwej, aby przyjechały te dwa dni z nami przeżyć.

Tylko cośmy do domu zajezdnego przybyli, ujrzelśmy panią Gogel, wdowę po jenerale, dawniej dowódcy korpusu, który stał w tej prowincyi.

Dama ta była rodem Francuzką. Zabrała ona była znajomość z bratem moim w Rzymie i była pierwszą jego żoną. Po kilku latach małżeństwa rozwiodłszy się, poszła za jenerała Gogla, ale ta zmiana nie osłabiła bynajmniej przyjaźni dla nas; korzystała z tej sposobności, aby nam dać jej dowody, bez względu na niebezpieczeństwo, na jakie się narażała okazując przychylność więźniowi.

Mieszkając w mieście, dowiedziała się o naszym przybyciu i uwiadomiona, że tam dwa dni mieliśmy zabawić, nakłoniła oficera, że nam pozwolił mieszkać w jej domu. Przyszła do nas z swym synem i córką, dziećmi mego brata. Ludwika, córka jej, rozplakała się, widząc nas.

Pocziwa ta dziewczyna dowiedziała się była z prawdziwą rozpaczą o mojem uwięzieniu i od tej chwili zabawy jej wieku, straciły dla niej cały swój powab, patrzyła z odrazą na tańce i stroje, myślała tylko o nieszczęściu swego stryja. Tak żywe, tak prawdziwe przywiązanie, było jedną z wielkich dla mnie pociech.

Matka i córka nie mogły się nacieszyć mając nas w gościnie; byliśmy szczęśliwi w domu podobnych przyjaciółek. Nazajutrz przyjechały nasze dzieci. Miałem nareszcie szczęście widzenia, uściskania ich!....

Ojciec zdoła uczuć czego doznawałem, nikt tego nie wypowie!

Rano, nim list mój odebrały, widziały numer któregoś dziennika, podobno „Constitutionel“, który wyraźnie donosił, że wyrok śmierci został na mnie w więzieniu wykonany. Biedne dzieci nie mogły się z żalu uspokoić, kiedy posłaniec mój nadszedł.

Po rozpaczach nastąpiła najżywsza radość.

Widząc nas znowu nie mogły się z nami napięścić, cisnęły się około nas, nie odstępowały nas na chwilę, trzymały się naszych rąk, naszych sukien i powtarzały, że nie chcą nigdy rozłączyć się z nami, a jednak tylko dwa dni mieliśmy z sobą do przepędzenia, te dwa dni byliśmy winni ludzkości żandarma.

Chciałem, aby żona z niemi została: prosiłem, błagałem ją o tę łaskę; oficer od żandarmów zapewnił ją, że powrócę za kilka dni.

Ani moje prośby, ani ta zaspokajająca obietnica nie mogły jej skłonić do tej ofiary.

Postanowiła nie odstępować mnie do końca moich nieszczęść! Pojechaliśmy więc razem, zostawując znowu dzieci na czas nieoznaczony!.....

Ojciec mojej żony, który przyjechał do nas do Dubna i który nie chciał już rozłączyć się z swoją córką, pojechał przed nami na kilka godzin pierwej, aby jeśliby to dało się uczynić, wynaleźć jakie sposoby pomagania nam.

Po trzech dniach przykrej podróży przybyliśmy do Żytomierza, stolicy Wołynia.

Ojciec mojej żony uwiadomił nas, że pan Lenkiewicz marszałek gubernii, ofiarował dać za mnie porękę i że zatrzymamy się w Żytomierzu, ponieważ rozpoznawanie wszelkich spraw, tyczących się powstania, oddane zostało właściwym gubernatorom cywilnym.

Polecenie to dał im jenerał-gubernator Lewaszow, który miał pod swoim zarządem gubernie: wołyńską, kijowską i podolską, i który niedawno wyjechał był z Kijowa do Petersburga.

Z radością dowiedziałem się o tem, bo biedna żona trzymała się tylko nadmiarem odwagi i poświęcenia.

Nazajutrz z rana marszałek gubernii odwiedził nas i zaprowadził żonę moją do gubernatora, który jej powtórzył to, co nam ojciec jej powiedział.

Powróciła cała w radości, ale ta radość nie długo trwała. Oficer żandarmeryi dotychczas tak grzeczny, nie chciał przyznać gubernatorowi prawa zmieniania danego sobie rozkazu.

— Mam rozkaz — mówił — jechać do Kijowa, powiozę tam pomimo gubernatora i więźnia i depesze. Ponieważ sprawa wasza jest odesłana do gubernatora wołyńskiego, powrócicie tutaj i tylko będziecie mieli trudy podróży tam i na powrót; gdybym was tu zostawił, nie zważając na dane mi rozkazy, nie ręczę, czyby mi to łatwo uszło.

Wszelkie nasze usiłowania, aby pokonać jego opór, były nadaremne, a gubernator, do którego był poszedł, nie śmiał wziąć na siebie odpowiedzialności za zatrzymanie nas pomimo jego prawa, tak posłuszeństwo staje się niedorzecznem pod żelazną różgą niedorzecznego despotyzmu. Żona chciała jechać ze mną, chociaż była słaba i chociaż za dni kilka powrócić miałem.

Wieczorem drugiego dnia podróży stanęliśmy w Kijowie i wysiedliśmy w mieszkaniu hr. Ilińskiego, które przyjaciel nasz p. Malinowski dla nas przygotował. Hrabiego nie było w Kijowie a p. Malinowski czynił nam tę przysługę z własnem narażeniem się. Tegoż samego wieczora, oficer nasz poszedł do żony, która mieszkała w Kijowie i zostawił nas samych.

Nazajutrz z rana, przyszedł do nas pułkownik żandarmów. Wizyta podobna napęliła mnie strachem; myślałem że mi dadzą innego stróża, którego charakter nie byłby mi znajomy i którego postępowanie mogłoby niepokoić moją żonę, już i tak zaledwie się trzymającą.

Nie podobna byłoby nikomu odgadnąć powód tej wizyty; powiem jaki był i trudno będzie uwierzyć. Pułkownik przyszedł jedynie dla zobaczenia, jak wyglądam! Feldmarszałek Sacken dał mu to bezwstydną polecenie, a on wykonywał go z zabawną dobroduszością.

— Feldmarszałek zawołał mnie, były jego słowa i widząc że mu nie umiałem nic powiedzieć o panu — rzekł:

— Jakto! Czy nie wstydzisz się mówić mi, że jeszcze nie wiesz, jak wyglądam, czy młody, czy stary, czy dobrze wyglądam, czy smutny albo wesoły. Idź zobacz go!

Dowiedziawszy się o co rzecz idzie, obróciłem się dwa razy w kółko, aby mnie ze wszystkich stron zobaczył i wróci-

łem raptownie do pokoju, z którego wyszedłem zostawiając pułkownika, zdziwionego takim przyjęciem. Była to tylko niedorzeczność i dziwaczność, większa nieprzyjemność, nastąpiła wkrótce.

Nie od rzeczy tu będzie powiedzieć nieco o felmarszałku Sackenie, dla poznania w całym świetle jego charakteru.

Z razu ustanowione były komisye specjalne do sądzenia powstańców; było rodzaj sądów rewolucyjnych. Baron Sacken rozstrzygał w ostatniej instancyi. Starzec ten przeszło ośmdziesiąt-letni, obrzucony przekleństwami jako człowiek, wzgardzony jako generał, znajdował przyjemność mnożąc żaloby całych rodzin, chociaż wiek jego powinien był go ostrzegać, aby się gotował stanąć przed sądem Najwyższego. Nie wzdygał on się zatwierdzać potępień najbezpieczniejszych i cesarz nie mógł znaleźć gorliwszego swych okrucieństw służalca.

Każdy zdolny najmniejszych uczuć ludzkości, byłby się cofał przed wykonaniem poleceń, które Sacken wykonywał z całą surowością, jeśli nawet ich nie przesadzał. Jakoż zatwierdziwszy, pochwaliwszy, podyktowawszy, albo wydawszy mnóstwo wyroków, które zaludniły ofiarami politycznemi pustynie Syberyi, nędznik ten otrzymał od cesarza w dowód jego zadowolnienia, tytuł księcia.

Następujący rys da poznać, jakim sposobem Sacken sądził, i do jakiego stopnia dochodził w nim nałóg, manja potępienia. Razu jednego przyniesiono mu wiadomość, że ulubiony koń jego nie będzie mógł już na nic się przydać i zapytano go, co z nim należy zrobić.

Nie dosłyszawszy i wystawiając sobie, że niema potrzeby dobrze słyszeć, bo myślał, że mu mówiono o powstańcu, odpowiedział spokojnie:

— Posłać go do kopalni!

Gdyby było szło o człowieka, wyrok był ważny, cesarz pewnie nie byłby odmówił zatwierdzenia i nieszczęśliwy byłby przypadek; ale szło tu o konia i sam sędzia unieważnił swój wyrok.

Są czasy i miejsca, nade wszystko w Rosyi, gdzie człowiek z honorem powinien żałować że nie jest koniem!

Opowiadano mi jeszcze inny rys, charakteryzujący tego

szkaradnego starca i jego pana, który w nim widział anegdotę bardzo odpowiednią swemu sercu. Czemkolwiek się jest i jakkolwiek jest się do tego chętnym, nie można zawsze pisać wyroki potępiające, bo są przypadki, w których niesprawiedliwość z natury swojej nie lubi pokazywać się jawnie i nigdzie sobie tak nie podoba, jak kiedy może ukrywać, albo przeistaczać przyczyny, które ją spowodowały.

Sacken miał dziwny talent dręczenia zbrodniarzy niewinnych najokrutniejszymi karami moralnymi. Kiedy generał Geismar w spotkaniu pod Stoczkiem dał się pobić generałowi Dwernickiemu, oddano go pod sąd i posłano do Kijowa.

Tam panował Sacken, satrapa całej okolicy, rodzaj wielkiego sędziego i niby wszechwładca. Zgubić zanego człowieka, który nie dawno co odznaczył się był w wojnie z Turcją, była to kusząca ale niepodobna do uchwycenia sposobność. Każdy inny byłby go uwolnił.

Satrapa wziął się na inny sposób: Kazał się stawić przed sobą obwinionemu, jedynie dla uczynienia tego mu pytania: — Cóżżeś zrobił ze swoją dywizją?

Generał odpowiedział, że mu los wojny nie sprzyjał i że dywizja jego została rozbita.

Sacken kazał mu odejść, ale kilka razy tego samego dnia przywoływał go, uczynił mu to samo pytanie, i taką samą otrzymywał odpowiedź.

Przez kilka tygodni i codziennie znosił generał Geismar takie poniżenie i to od feldmarszałka, który, ile razy był w boju, zawsze był bity i zawsze uciekał. Mówią, że cesarzowi ta dowcipna kara bardzo się podobała i że się serdecznie z niej naśmiał. Nieszczęśliwy kraj, gdzie dowcipy tego rodzaju rozweselają monarchę!

Z tych dwóch przykładów można sądzić, jak byłem szczęśliwy, że mnie posłano do Kijowa dopiero po zniesieniu tych sądów rewolucyjnych i gdy zawyrokowanie pozostałych spraw powstańców, oddane było gubernatorom i generałom-gubernatorom. Zresztą ci gubernatorowie nie śmieli sami pokazywać się pobłażającymi, bo cesarz nie byłby im nigdy przebaczył zbyt widocznych uczuć ludzkości, a stary Sacken znajdował

się tam nie spuszczać przynajmniej z nich oka, kiedy nie gorzej robić nie mógł.

Uwolniony od obowiązków sędziego, albo raczej pozbawiony ich, bo z podobnym charakterem musiał ich żałować, zachował względem wszystkiego, co się tyczyło powstańców niespokojną ciekawość i dla jej zaspokojenia to wysłał pułkownika żandarmów zobaczyć, jak wyglądałem.

Zaledwie posłaniec Sackena wyszedł, właściciel domu kazał nam powiedzieć, abyśmy gdzieindziej mieszkania szukali gdyż nie otrzymawszy względem nas żadnego rozkazu od hrabiego Ilińskiego, który naówczas był za granicą, przyjął nas tylko na żądanie pana Malinowskiego, ale ani myślał, ani rozumiał przyjmować powstańców.

P. Malinowski, kilku przyjaciół, którzy nas odwiedzili, sam nawet gubernator, na próżno zapewniali go, że za kilka dni będę odesłany do Żytomierza; właściciel na krok nie chciał ustąpić, odmówił nam nawet ognia na herbatę i dopóty się nie uspokoił, dopókiśmy nie posłali szukać innego mieszkania.

Jeszcze prawie nie przeminęła ta nieprzyjemność, kiedy nowy i większy kłopot pomieszał naszą nadzieję, że zostawia nas w spokojności.

Przed wieczorem cywilny gubernator kijowski, Łaskarew przysłał mnie uwiadomienie, że za dwa dni mam odjechać, ale że tymczasem musi mnie zamknąć w fortecy. Na taką wiadomość żona moja zbladła a mnie złość porwała.

— Jakto! — rzekłem do posłańca — człowiek ten, który nie jest moim sędzią, który za dwa dni nie będzie mnie nawet widział, chce mnie przez ten krótki czas na próżno dręczyć! Czy nie widzi z tego jak tu jestem trzymany, że nikt nie widział potrzeby obchodzić się ze mną tak surowo? Czy chce koniecznie uchodzić w oczach świata za nędznika, za brutalą? Powiedz mu, że zrobię go kiedyś sławnym z brutalskiego jego postępowania!

— Moje wyrzuty na nie się nie przydały. Niegodziwiec obstawał przy swoim.

Niepotrzebnie może unosilem się; są ludzie niegodni gniewu człowieka honorowego i przypadek ten, jeśli kiedy, to pewnie

był wtenczas; ale żona moja była tak cierpiąca, każde wzruszenie było dla niej tak niebezpieczne, widziałem, jak zbladła! Znalazła ona jednak w sobie tyle siły, że się udała do gubernatora.

Wyczerpawszy tam wszystkie środki przekonania, oburzona zimną spokojnością, z jaką obstawał przy niepotrzebnej srogości, powiedziała mu, że kiedy nie ma względu ani na przyzwoitość, ani na nieszczęście, niech przynajmniej szanuje okoliczności, w jakich się ona znajduje i niech pomni na imię, jakie sobie głośnem uczyni, jeśli postępowanie jego będzie dla niej fatalne.

Żona Łaskarewa rozczulona temi słowy i wzruszeniem nieszczęśliwej kobiety, usiłowała także przekonać męża, nasz oficer żandarmów na szczęście obecny tej rozmowie, widząc gubernatora na pół pokonanego, przyłączył do tych przedstawień prośby swoje i oświadczył, że odpowiada za mnie i że mnie będzie pilnował, dopóki zostanę w Kijowie.

— Jeśli za niego odpowiadasz — rzekł natenczas Łaskarew, to co innego, rób co ci się podoba.

— To więc panu winnam podziękować — rzekła żona moja do żandarma i natychmiast pospieszyła do mnie z pomyślną wiadomością.

We dwie godziny potem zajęliśmy nowe mieszkanie, ale przyplaciliśmy drogo tę zabawkę Łaskarewa. Żona moja zbyt była słaba, iżby tyle wzruszeń nieszkodliwie znieść była mogła. Dostała gorączki i musiała się wcześniej, niż zwykle położyć; nastąpiła maligna i potrzeba było ratunku lekarza.

Na szczęście ten którego nam przyprowadzono, był człowiek znający swoją sztukę i tyle rozważny, że nie chciał od razu wszystkiego zgadywać. Kazał nam opowiedzieć najdrobniejsze okoliczności, które chorobę mogły spowodować i zapewnił, że ta gorączka była tylko skutkiem przemijającym wzruszenia nerwowego i wnet przeminie.

W rzeczy samej w nocy minęła, ale pozostało po niej zupełne wysilenie i biedna moja żona nie mogła puścić się w podróż, nie wypocząwszy przez trzy lub cztery dni.

Zostawiono nam dwa dni czasu; drugiego dnia wieczorem urzędnik policyjny przyszedł uwiadomić mnie, że gubernator dał mu rozkaz odjechać ze mną do Żytomierza nazajutrz z rana. Powiedziałem mu, że żona moja przebyła dopiero co niebezpieczną chorobę, że teraz zaledwie wstawać może i prosiłem go, żebym mógł zostać jeszcze dzień lub dwa dni.

Na żądanie, które urzędnik mu zaniósł, uprzejmy Łaskarew odpowiedział, że dla tego jechać muszę tak jak rozkazał i że mu wszystko jedno, czy moja żona chora czy nie.

W więzieniu mojem na Pradze, pułkownik Czelejew kazał mi także powiedzieć, że mu to wszystko jedno czy umrę lub nie z głodu. Widocznie jeden obok drugiego z podobieństwa mogli by figurować.

Żona moja chciała się jeszcze udać do tego zwierza, ale nie mogłem na to zezwolić. Nazajutrz z rana pożegnałem się z pocziwym żandarmem, który miał dla nas grzeczność gubernatora, kiedy gubernator był większym grubianem, niż najgburowatszy żandarm i wyjechałem z dodanym mi stróżem. Pomimo że to był urzędnik policyjny, zacny ten człowiek miał dla nas wszelkie, jakie mógł mieć względy.

Dzięki jego grzeczności mogłem zatrzymać się na nocleg na pierwzym przepręgu i czekać tam żony, która też przybyła nazajutrz po południu. Już więc razem jechaliśmy dalej jak najpowolniej i nie odmawiając sobie żadnych wygod.

Pomimo tego musieliśmy się zatrzymać na ostatnim przepręgu dla zupełnej niemocy żony. Przybyliśmy w nocy do Żytomierza. Przy wjeździe do miasta czekał na nas posłaniec ojca mojej żony i wskazał nam przygowane dla nas mieszkanie. Zastaliśmy tam panią Gogel z dziećmi. Przybyła ona do Żytomierza w chęci pomagania nam, sama nie wiedząc w czym i jak. Sama jej obecność sprawiła nam przyjemność pośród niepokojów, które coraz bardziej zdawały się być liczniejsze. Zapewniła nas najprzód, że P. Korsakow, gubernator tamtejszy jest pełen zacnych uczuć i pod każdym względem mąż szanowny.

Byłoby prawdziwe szczęście, bo postępowanie Łaskarewa dostatecznie dowiodło, że nasze znośne położenie zależało zupełnie od charakteru urzędników, którym los nasz powierzono.

Tymczasem urzędnik policyjny poszedł zdać raport gubernatorowi. Powrócił z rozkazem zaprowadzenia mnie do tego dygnitarza.

Pan Korsakow był w wieku średnim, wzrostu miernego i miał fizygnomię otwartą i uprzejmą.

Zbliżył się grzecznie do mnie i rzekł:

— Marszałek guberski ofiarował za pana kaucję; przyjąłem ją.

Możesz pan z żoną w mieście mieszkać i być spokojnym; prosiłbym tylko, abyś nie wychodził i nie przyjmował nikogo nie uwiadomiwszy mnie o tem. Z przyjemnością będę pana widział, ile razy zechcesz mnie odwiedzić. Żądam od pana słowa, że się nie oddalisz.

Otrzymawszy moje słowo, wziął mię za rękę, ścisnął ją i pożegnał się ze mną, poczem, jak gdyby żałował zapomnienia zapytał tonem najuprzejmniejszym o zdrowie żony mojej, a gdy mu powiedziałem, że bardzo cierpiąca, rzekł żegnając mnie, abym powrócił czem prędzej i uspokoił ją.

Pobiegłem opowiedzieć jej szczegóły tego zaspakającego przyjęcia, co w istocie wpłynęło pomyślnie na jej zdrowie. Tegoż samego dnia odwiedziła nas żona szanownego gubernatora. Pani Korsakow była piękną, a wyraz dobroci na jej twarzy, jeszcze podwyższał jej piękność. Mówią, że nie trzeba sądzić ludzi z twarzy; otóż przysłowie to, co do tej damy, było mylne. Sprawdziała wszystko, co obiecywała szczęśliwa jej fizygnomia. Rzadko zdarza się widzieć osobę, której cnoty za pierwszym rzutem oka dają się spostrzegać i są niezawodne. Pani Korsakow była taką osobą.

Od pierwszego widzenia powziąłem o niej najchlubniejsze wyobrażenie, a z czasem nic nie osłabiło szacunku i uszanowania, jakie we mnie wzbudziła, owszem wszystko powiększyło dla niej te uczucia.

Jak tylko po kilku dniach odpoczynku żona moja nieco sił odzyskała, przenieśliśmy się z ząną panią Gogel i jej córką do domu kapitana załogi pana Różyczki i czekaliśmy tam rozstrzygnięcia mojego losu ze zwodniczą bezpieczeńścią, która nam dozwoliła przynajmniej kilka chwil szczęścia.

Ponieważ przyrzekłem gubernatorowi nie widywać nikogo bez uwiadomienia go, żyliśmy zupełnie na ustroniu. Pragnąłem nastroczyć mojej żonie jakie rozrywki, ale utrudzenie i zgryzoty wyczerpały jej siły, nie mogła wychodzić. Z drugiej strony, pani Gogel zabierała się do powrotu i wnet mieliśmy być zupełnie odosobnieni. Prosiłem wtedy o pozwolenie sprowadzenia dzieci.

W dziesięć dni potem mieliśmy przyjemność mieć je około siebie. Przybyli z niemi krewni mojej żony i pewnie nie było w Żytomierzu rodziny serdeczniej złączonej i wzajemną miłością szczęśliwszej, jak była wówczas rodzina biednego wygnańca.

Nadchodziły kontrakty kijowskie. Pomiedzy osobami, które tam ze wszech stron jechały, było wielu naszych przyjaciół, którzy tam i napowrót jadąc, otrzymywali pozwolenie widzenia nas tak, iż przez kilka tygodni nie ustawały przyjemne wizyty. Bywałem także u gubernatora i u pani Bierzyńskiej. Im więcej poznawałem gubernatora i jego żonę, tem większą znajdowałem przyjemność w ich towarzystwie.

Charakter obojga był tak piękny, a przymioty ich tak do nich przywiązywały! Hrabina Bierzyńska w niczem im nie ustępowała; z domu księżniczka rossyjska używała całej swojej wziętości, aby tyle ile tylko można było, robić dobrego. Okazywała nam najczulszą troskliwość; jakoż nazywaliśmy ją a-niołem pocieszającym.

Pośród swoich, zajęty troskliwie żoną, zatrudniony dawaaniem lekcji dzieciom, nie myślałem już prawie że byłem pod zarzutem sądowym i dnie płynęły dla mnie spokojnie.

Uczucia oddane rodzinie, nie zostawiały miejsca przewidywaniom przyszłości. Zapomniałem o moich niebezpieczeństwach i o mnie zdawano się zapominać; proces mój spoczywał!

Tymczasem zbliżała się dla mojej żony chwila stanowcza i tym dla niej niebezpieczniejsza, im większe poprzedziły ją utrudzenia i zgryzoty.

Z największą niespokojnością, myślałem o niej, o niczem innem myśleć nie mogłem. Opanowały mnie smutne przeczucia,

a najmniejsze wypadki, okoliczności najdziecinniejsze przestrazały chorą wyobraźnię moją.

Wszystko mnie uderzało, wszystko zdawało mi się być wróżbą, traciłem prawie głowę z niespokojności.

Ach! Jak trudno mieć umysł odważny, kiedy się truchleje o życie drogiej istoty, którą się widzi ginącą jako ofiara czułości i poświęcenia.

Nie! Nie mam filozofii, zdolnej wytrzymać podobną natarczywość i zamiast podziwiać tych, którzy mają nieszczęście ją posiadać, raczej nad nimi ubolewam.

Niespokojność moją powiększyły bolesne okoliczności, które jak gdyby mi pokazywały powrót na drogę nieszczęść po chwili wytchnienia.

W pięć dni po sprowadzeniu mamki, dziecko jej, zdrowe kiedy przybyła, umarło na skarlatynę. Sprowadzono inną mamkę, której dziecko także wkrótce umarło na zgnilą gorączkę.

Zapewne te dwa przypadki śmierci nie miały nic wspólnego z mojem położeniem, ale całe życie, szczególnie w dzieciństwie tyle się obija o uszy powieści o strachach i wróżbach, że nie wierząc w nie nawet, myśli zatrzymują się przy wszystkim, co tylko podobne do tych przywidzeń, ile razy człowiek doznaje przeciwnego zwrotu fortuny.

Nadewszystko, kiedy wypadek jest nieszczęśliwy, mówią:

Nie wierzę w to, w owo. Dzięki Bogu, nie mam tej słabości, albo nie jestem do tego stopnia pozbawiony rozumu: jednakże to lub owo zdawało się mnie ostrzegać. Gdybym był zabobonny, uważałbym to za przestrożę niebios.

I tak mówiąc, jedni wierzą z całą mocą przekonania; inni, bliżsi są wierzenia, niż myślenia; jeszcze inni, chociaż nie wierzą, dziwią się tej igraszcze wyobraźni i losu, tym przypadkowym zdarzeniom, które jakaś tajemnicza władza zdaje się urządzać i mówią o tem, jak o jakiej rzeczy dziwnej; należę do tych. Nakoniec są, którzy nie mówią o tem, ale może więcej jeszcze o tem myślą. Kiedy maska zbyt jest filozoficzna, często nie dosyć nią jest głowa.

Ponieważ czas naglił, lekarz podjął się sam szukania

trzeciej mamki we wsi należącej do mego brata i o trzy mile odległej. Dolożył on zapewne w tym wyborze wszelkiej gorliwości uczciwego człowieka, wszelkiej znajomości swej sztuki i nie wiem, jak do tego stopnia albo sam się omylić, albo komu innemu w błąd dał się wprowadzić; ale osłupiałem widząc dziecko trzeciej sprowadzonej mamki. Pomimo, że matka zdawała się być zdrową, dziecko było prawie ślepe; wzrok się wzdrygał i trzeba się było litować na widok czerwonych, nabrzmiałych, z głowy wystających, zawsze wilgotnych oczu dziecka. Trzeba już było koniecznie poprzestać na tej mamce.

Nazajutrz żona moja powiła córkę ładną i zdrową. Wszelkie pozory powinny były mnie zaspokoić, a jednak miałem serce ściśnione i pełne smutnych przeczuć. Wszystkie opowiedziane tu przeciwności stawały mnie nieustannie w myśli i niepodobna mi było oddalić na chwilę te uprzykrzone wspomnienia.

W nocy trzeciego dnia przebudzono mnie, bo dziecko zachorowało.

Biegnę i zastaję biedną dziecinę nurzającą się w krwi, którą kawałkami z piersi wyrzucała. Rozesłałem po lekarzy; przybyło ich dwóch i wstrzymano krwotok. Ale wnet znowu i jeszcze gwałtowniej krew się rzuciła, dziecko widocznie blado i zdawało się konać.

Jeden z lekarzy radził mi wtenczas kazać go ochrzcić. Zrozumiałem znaczenie tych słów. Po odbytej ceremonii, ten sam lekarz radził, jako ostatni ratunek przystawienie pijawek, dodając, że pod niemi dziecko umrzeć może. Nie było chwili do stracenia. Pozwoliłem.

Biedna dziecina nic nie czuła; krwotok ustał i lekarz zapewnił, że będzie ocalona, jeśli pot na nią wystąpi. Zdaje mi się, że ją widzę, blada rączka jej na ustach położona zdawała się chcieć zatrzymywać krew wybuchającą, nie krzyczała, tylko jęk głuchy wydobywał się z przyciśnionych jej piersi, oczy zbyt młode izby mogły mieć jaki wyraz, zdawały się błagać ratunku, a cała umiejętność sztuki była bezsilna! Kilka kropli potu na twarzy zdawały się zapowiadać jej ocalenie, próżna nadzieja!

Nie mogła przebyć przesilenia, skonała na moim ręku.

Z tem wszystkiem trzeba było myśleć o matce. Lekarz zalecił największą ostrożność, jeśli nie chcę jej stracić. Ileż to wysień potrzeba było nad sobą samym i ile trudności, aby przebyć tę próbę!

Sam zmartwiony, w obawie o życie żony, musiałem udawać spokojność. Wszedłem do Emilii, pierwsze jej pytanie było o jej córkę. Zapewniałem, że się ma dobrze dodając, że lekarz zaszczepił jej ospę i że zalecił, aby jej do matki nie przynoszono, bo powietrze pokoju chorej mogłoby być dziecku szkodliwe, dopóki będzie miało gorączkę.

Należało oddalać od niej koniecznie wszelki cień podejrzenia i nie wiem, z kąd miałem tyle mocy do wynajdywania rozmaitych matkę pocieszających szczegółów o córce, której ciało martwe zostawiłem w drugim pokoju.

Dla ocalenia żony, do wszelkich poświęceń czułem się być mocnym. Obawa abym jej nie stracił, zupełnie mnie oparowała i kiedy sobie przypominam ówczesne moje usposobienie nie przypuszczam niczego, coby mnie było przestraszało lub wstrzymywało.

Sto razy na dzień posyłała mnie do malej Cecylii i tyleż razy wracałem z uśmiechem na twarzy i z nowem jakimś zmyśleniem, które układałem w pokoju właśnie, gdzie widziałem konanie naszego dziecka. Nieszczęśliwa matka musiała domyślać się prawdy, uważała mnie bowiem pilnie, powtarzała często i niespodziewanie te same pytania.

Ile razy odpowiedzi moje były zupełnie te same, tyle razy była zaspokojoną; ale, jeśli na nieszczęście zmieniałem jaki szczegół, a choćby tylko wyrazy, wyrzucała mi z niespokojnością, że coś przed nią ukrywam.

Nadewszystko truchlałem, ile razy chciała dziecię swoje widzieć. Miałem na to tylko jeden sposób: Zezwalałem, dodając, że może dziecku zaszkodzić, może je nawet o śmierć przyprowadzić.

Natenczas z obawy straty dziecka i sprawienia mi nowych zmartwień, przedstawiała nastawać i nowe jakie zmyślane opowiadania uspokajały ją.

Po dziesięciu dniach tak przepędzonych, lekarz powiedział mi, iż czas przygotować ją z ostrożnością do smutnej wiadomości. Prosiłem, żeby się nie oddalał, nim jej przyniosę cios, którego skutki trudne były do przewidzenia.

Wszedłem do Emilii i z zadziwieniem zastałem ją niezwykle prawie wesołą.

— Tak się czuję lepiej — rzekła — tak lekko, że zdaje mi się, iż mogę sobie pozwolić wstać na kilka minut i ucałować naszą córeczkę.

Na te słowa strach mnie przejął.

— Nie zechcesz się zapewne sprzeciwić temu? — mówiła dalej z przymileniem.

— Dobrze, jeśli chcesz — odpowiedziałem — ale wiesz, że zbliża się godzina, w której zwykle lekarz przychodzi; czy nie lepiej poczekać na niego i zapytać go, czy na to pozwoli?

Na tę słuszną uwagę nie miała co odpowiedzieć. Poprzestała na tem i zaczęła znowu zadawać mi zwyczajne pytania, odpowiedziałem, że dziecię jest dzisiaj trochę chore. To usłyszawszy, podniosła się nagle i wlepiła we mnie wzrok przenikliwy.

— Ach! Zlituj się — zawołała głosem, na który zadrżałem — powiedz mi całą prawdę, Cecylia czy żyje jeszcze?

Nie mogłem nic odpowiedzieć, tak byłem znękany. Łatwo zrozumiała moje milczenie.

Nieszczęśliwa matka wydała krzyk przeraźliwy, załamała ręce, objęła mnie potem niemi i straciła przytomność. Lekarz nadbiegł; za jego staraniem odzyskała zmysły, ale miała wzrok nieruchomy, oczy suche, zęby konwulsyjnie ściśnione. Zostawała w takiej nieruchomości i tylko kiedy które z dzieci zbliżało się do drzwi dla wyjścia, zrywała się, jak gdyby je chciała zatrzymać.

Chciała je mieć wszystkie przy sobie, jak gdyby się obawiała stracić które. Uważałem pilnie lekarza, był niespokojny Żonie mojej tylko płacz mógł przynieść ulgę, lzy tylko mogły ją ocalić. Ale nie mogła płakać. Potrzeba jej było rozdzierać serce, żeby z niej wydobyć lzy, które ją dusiły i na mnie spadał ten bolesny obowiązek, bo matka mojej żony

była takż. w podobnym jak ona stanie. Zacząłem jej mówić o naszej ośrecze, o jej wdziękach, o szczegółach jej cierpień i śmierci.

Dzieci się rozplakały, matka patrzała na nie, sama nie płacząc, zaledwie zaczynała odzyskiwać nieco czucia. Nareszcie oczy jej zwróciły się ku mnie, a widząc kilka łez na mojej twarzy, wydawszy westchnienie, które jak gdyby ją ożywiło, zawołała:

— Ach! mój drogi i ty cierpisz!

Rzuciła na mnie ramiona, spuściła głowę i zaczęła płakać. Od tej chwili była ocalona. W kilka godzin potem rzekła do mnie:

— Boję się, iżby fatalność, która nas od tak dawna ściga jeszcze się nie wysiliła; śmierć naszego dziecka jest może tylko wstępem do nowych nieszczęść!

Te słowa były prorocze!

Czas i starania rodziny troskliwej zmniejszyły stopniowo zmartwienia Emilii i już byliśmy weszli w zwyczajny bieg naszego sposobu życia, kiedy proces mój się rozpoczął.

Wydano na mnie wyrok zaoczny; powiedziano w nim, że hr. Olizar, który nie wiadomo gdzie się znajduje, należy do pierwszej klasy winowajców, że majątek jego ma być skonfiskowany, że dzieci jego zabrane i umieszczone w zakładach rządowych, (kazennoje zawiedenia) i że sam skazany jest na śmierć.

W chwili, kiedy mnie tak sądzono, wyrażając naiwnie że nie wiadomo gdzie się znajduje, upływało już sześć miesięcy jak siedziałem w więzieniach rosyjskich! Pierwsza część wyroku natychmiast została wykonana; nie tylko mój ale majątek żony mojej został skonfiskowany.

Naradzano się teraz w sądzie, czy mam być na nowo pytany i sądzony, czy też po prostu wyrok dawny ma być do mnie zastosowany. Wice-gubernator wołyński, zwany Affendik był ostatniego zdania.

Na szczęście gubernator i marszałek guberski widzieli całą niedorzeczność takiego wniosku i postanowiono, że zaoczny wyrok, podczas kiedy byłem w ręku władzy nie mógł

być ważny, gdyż nie można nikogo potępić bez wysłuchania go chyba jeśli obwiniony nie może być schwytany. Dla tego jednak nie wrócono rzeczy do dawnego stanu; majątek pozostał w konfiskacie i postanowiono tylko odbyć ze mną na nowe koszta śledztwo i sądzić mnie powtórnie.

Przysłano mi pytania, na które miałem odpowiedzieć i zarzuty, które służyły dawniej do mego potępienia. Nie było w tem dla mnie nic trudnego. Całe oskarżenie zasadzało się na zeznaniach lokajów i ludzi zbezczesnionych.

Kilku jenerałów przysłało także objaśnienia, oparte także na doniesieniach podobnych i wszystko to sięgało tylko czasu przed powstaniem. Od tej chwili nie skompromitował mnie żaden więzień.

Miałem więc tylko bronić się przeciw oskarżeniom, po większej części niedorzecznym i nieco loiki wystarczało do wykazania ich bezzasadności.

Co do powstania samego chociaż udziału w niem nie mogłem zaprzeczyć, zdołałem jednak nadać sobie rolę, która mnie przenosiła do trzeciej klasy już wtenczas amnestyowanej, tem bardziej, iż nie było żadnego przeciw mnie dowodu, bo ci, którzy mogli świadczyć, znajdowali się albo za granicą, albo na Syberyi.

Odpowiadając więc co do tego punktu, spędziłem wszystko na niejakiemu panu Golejowskiego, który obok mnie był zabity.

Sprawdzono moje odpowiedzi przez śledztwa, nakazane w miejscach moich mniemanych zbrodni. Obywatele z okolic, włościanie wsi sąsiedzkich, żydzi mojego miasteczka, a nawet popi w moich dobrach stwierdzili pod przysięgą prawdziwość moich odpowiedzi.

Włościanie ubiegali się o składanie przysięgi, której nie podobna było przyjmować od wszystkich. To ogólne ubieganie się, ta powszechna życzliwość były przynajmniej słodką pociechą w moich utrapieniach.

Przekonany przysięgą przeszło 80 osób wszelkiego stanu, sąd pod prezydencją godnego Korsakowa, zawyrokował, że miałem prawo korzystać z amnestyi. Ale było to tylko uwolnienie w pierwszej instancyi, wyrok miał być przedstawiony

najprzód do rozpoznania generała gubernatora Lewaszowa, mieszkającego w Kijowie, a potem do zatwierdzenia cesarza. Z tem wszystkim przyjaciele nasi, szczęśliwi tym pierwszym wypadkiem pomyślnym, winszowali nam go i uważali mnie już za ocalonego.

Radość ich zdawała mi się bardzo przedwczesną a jednak podzielałem ją szczerze na pozór, ażeby uspokoić Emilię i dać jej czas do nabrania sił, których zdawało mi się, wnet będzie potrzebowała, bo przewidywałem że w jednej lub drugiej z ostatnich instancyj, zapadnie jakie fatalne postanowienie.

Byłem o tem przekonany a przeszłość, tylko aż nadto pokazywała mi przykładów stwierdzających moje przewidzenia złowróżbne.

Ta stłumiona niespokojność po niedawnych i tak gwałtownych zmartwieniach sprawiła we mnie rozdrażnienie, które jak gdyby rzuciło jakiś nieład w moją organizację; wznowiły się w moich wnętrznościach takie same bóle, jakich doznawałem był w skutku zatrucia.

Były nawet gwałtowniejsze, niż kiedy bądź; co chwila mniemano, że skończę. Straszna kryzys, która nagle ustala położyła im koniec: po niej nie cierpiałem nic, ale byłem tak osłabiony, że się ruszyć nie mogłem i żółkłem jak cytryna. Po trzech dniach żółtaczka minęła i zacząłem chodzić.

W tym czasie gubernator Korsakow pojechał do Petersburga, a wyrok mój posłano do Kijowa.

Emilia chociaż jeszcze bardzo słaba po swojej chorobie i strudzona staraniami w czasie mojej słabości, chciała sama dopilnować mojej sprawy i niepodobna mi było wstrzymać ją od tego.

To rozłączenie się, które uważała za potrzebne, a które podług mnie żadnego nie obiecywało skutku, było dla nas obojga niezmiernie przykre.

Wsiadając do powozu, rzekła: Jakże serce moje jest ściśnione, ściśnione, jak gdyby ręką żelazną! Ach Boże! miałabym cię więcej nie zobaczyć!

Usiłowałem pocieszyć ją, obudzić w niej nieco nadziei.

Plakała słuchając mnie. Poruszając głową, zdawała się do mnie mówić: Nie! nie będziemy mieli tyle szczęścia!

Nagle na jej pięknej twarzy pokazał się uśmiech smutny i rzewny; pocałowała mnie po raz ostatni i dała znak kuczrowi, aby ruszył, rzuciła się w głąb powozu i zniknęła z moich oczu.

Powóz szybko pędził; dopóki wzrok mój ścigać go mógł, byłem smutny, a jednak dosyć spokojny; ale kiedy go widzieć przestałem, zdawało mi się, że tracę tchnienie. Z kolei, znowu moje, jak jej wprzód, ścisnęło się serce. Otaczały mnie dzieci, schylałem się, aby je całować, wszystkie chciały odbierać pocałunki na twarzach zroszonych łzami.

Głos tajemny mówił mi:

Całuj, za chwilę już ich nie będziesz widział.

Nie miałem mocy przemówić do nich słowa, patrzyły na mnie, nie śmiać mówić i wróciliśmy w milczeniu do domu, gdzie ja nie miałem już żony, gdzie one nie miały już matki!

W kilka dni potem rozeszła się pogłoska, że wyrok uwalniający mnie został skasowany; ze wszech stron przychodzono ostrzec mnie o tem i nalegano, abym uciekał. Ale doradzano rzecz niepodobną, ponieważ byłem więźniem na słowo.

Co bądź miało nastąpić, honor nakazywał zostać i czekać dalszego losu.

Czekałem go z ową śmiertelną niespokojnością, jakiej doznaje w podobnych okolicznościach człowiek czuły, który widzi tyle i tak drogich istot przywiązanych do swego bytu, kiedy nadszedł list od żony. Donosiła w nim, że generał gubernator Lewaszow uznał wyrok za nie mogący być osłabionym i radził nam być spokojnymi. Po takim zapewnieniu musiała być zapewne spokojną ta biedna towarzyszką mego życia, ale tego samego dnia kiedy otrzymałem jej list, naczelnik policyi przyszedł do mnie z uwiadomieniem, że dostał, może tą samą pocztą, rozkaz od tego samego gubernatora Lewaszowa, oddać mnie w ręce komendanta placu, który miał mnie zatrzymać w areszcie. Byłem właśnie przy stole z dziećmi; zrozumiały one zbyt dobrze, o co chodziło, chciałem więc oszczędzić im

zmarwienia, jakiego by doznały widząc ojca prowadzonego do więzienia, a sobie boleść na widok rozpaczliwych biednych dzieci.

Naczelnik policyi był tak ludzki, że zaczekał aż skończyli, poczem posłałem dzieci na przechadzkę i jak tylko straciły mnie z oczu, udaliśmy się do więzienia.

Zapewne był to cios okropny, ale przynosił z sobą ratunek. Natychmiast przyszła mi myśl i opanowała wszystkie inne, że uwolniony jestem od danego słowa. Mogłem już myśleć o ucieczce, spodziewałem się, że znajdę do tego pomoc, a oceniając moją głowę, obiecywałem sobie, że wrócę pokój rodzinie.

Nie można się było ludzić. Osadzając mnie w więzieniu, generał gubernator dosyć jasno pokazywał, że mnie potępił, a mogłem być pewny, że cesarz raczej jego niż żytomierskiego sądu potwierdzi wyrok. Nie wiedziałem, na jaką karę zostałem skazany, ale uważałem jako szczęście uwięzienie, które uwalniając mnie od danego słowa, przywracało mnie prawo szukania wszelkich środków ucieczki.

Tą zajęty myślą, powiedziałem komendantowi, że schorzały potrzebuję koniecznie przynajmniej na dni kilka pomocy jednego z moich służących.

Ze wstrętem wypełniając narzucony sobie smutny obowiązek i widząc na mnie uderzające ślady ostatniej choroby, komendant zezwalał na danie mi służącego, ale pod wyraźnym warunkiem, iżby ten służący tak był więźniem, jak ja, dopóki przy mnie zostawać będzie.

Warunek ten zresztą bardzo naturalny, wywracał moje plany; cofnąłem więc moje żądanie i w kilka minut potem brama klasztoru Bernardynów, zamienionego na więzienie, zawarła się za mną. Komendant który mnie tam zaprowadził, pozwolił przynosić do mnie śniadanie i obiad i poszedł sam dla pilnowania, aby mi przyniesiono rzeczy, których potrzebowałem.

Jak tylko sam ujrzałem się w więzieniu, przystąpiłem zaraz do rozpoznania miejsca. Pokój mój z dwoma łózkami był obszerny i znajdował się właśnie na dole. Przed oknem, które wychodziło na ogród klasztoru, chodziła warta. Kroki drugiej warty, postawionej przy drzwiach, rozlegały się po korytarzu.

W pierwszych chwilach obeznanie się z miejscem zatrudniło mnie wyłącznie, ale kiedym zwiedził i odkrył wszystko, co na pierwsze rozpoznanie było do widzenia, myśl przeniosła się do rodziny i do nowego mojego położenia. Nieznośnem mi się zdawało uwięzienie ostre po niewoli a słowo, gdzie mi wolno było żyć z żoną i dziećmi.

Wyobrażałem sobie zmarwienie tych biednych dzieci wołających o matkę jeszcze nieobecną, a ojca uwięzionego. Drżałem myśląc, jak okropnie zdziwioną, w jakiej rozpaczliwej będzie żona, gdy za powrotem, rada, że mi przywozi wolność, nawet w domu mnie nie zastanie, gdy się dowie gdzie jestem, gdy widzieć będzie, że ją ludzono i zapytywałem się, czy w tem barbarzyństwie nie odmówią jej może pozwolenia widywania mnie.

Pogrążony byłem w tych rozmyślaniach, kiedy komendant przybył z żołnierzem i jednym z moich służących, przynoszącymi moje rzeczy.

Widok służącego mocno mnie zdziwił; dowiedziałem się, że matka mojej żony powiedziała im o mojem żądaniu i o warunku wymaganym przez komendanta. Wszyscy chcieli iść ze mną do więzienia i musiano im doradzić, aby losy ciągnęli. Wyciągnął go Karol, który natychmiast pochwycił za rzeczy, przyniósł je i uwięził się ze mną.

To poświęcenie wzruszyło mnie więcej, niżbym to mógł wyrazić; uściskałem pocziwego chłopca, jak przyjaciela, jak dobrego krewnego.

Widząc komendanta rozczulonego, tak sceną, której był świadkiem w moim domu, jak tą, którą miał przed oczyma, chciałem z tego korzystać i prosiłem go, aby mi wolno było zatrudnić się pisaniem.

Nie tań, że rozkazy otrzymane względem mnie, były nadzwyczaj surowe, kazano mi mieć ciągle na oku, odjąć mi wszelką możliwość znoszenia się z kim bądź zewnątrz, a nade wszystko nie dawać mi żadnej sposobności do odebrania sobie życia.

Ostatni ten rozkaz przekonał mnie, że lekarz tajemnicy więzienia warszawskiego nie dochował wiernie. Z tem wszy-

stkiem komendant przychylił się do mego żądania, ale uprzedził mnie, że napisze o tem do generała gubernatora, a jeśli odpowiedź jego będzie niepomyślna, zmuszony będzie do niej się zastosować.

Więzienie to wcale nie było tak łagodne, jak w ostatnich czasach więzienie Karmelitów w Warszawie. Tu pozwolono mi widywać rodzinę, ale tylko co trzy dni, na pół godziny i w obecności oficera, który ją wprowadzał i odprowadzał aż do bramy zewnętrznej.

Pierwsza wizyta moich dzieci sprawiła mi wiele radości a może jeszcze więcej cierpienia. Plakały, łzy ich były dla mnie okropną męką.

Prosiłem ich, aby nie plakały; biedne dzieci dusiły się, chcąc zatrzymać szlochania. Najmłodszy oparty na moich kolanach usiłował także wstrzymać się, ale od czasu do czasu pomimowolnie aż się zanosił z płaczu. Nie wiedziałem, co z sobą uczynić; byliśmy wszyscy w stanie zbyt gwałtownym na nasze siły.

Na szczęście fatalne pół godziny upłynęło, i oficer nas rozłączył. Im boleśniej była ta wizyta, tem gorliwiej zacząłem myśleć o ucieczce. Potrzeba było żyć dla tych dzieci, potrzeba było, gdy żonę zobaczę powiedzieć sobie: „Ucieknę i złączymy się wszyscy w jakim kraju mniej nieszczęśliwym!

Najprzód z powodów zdrowia otrzymałem pozwolenie przechadzania się po kurytarzu; starałem się rozszerzyć wycieczki moje tak daleko, jak tylko można było, a tym sposobem przebiegając wzrokiem dosyć znaczną część gmachu, zdołałem poznać dokładną znajomość rozpołożenia wewnętrznego więzienia.

Co wieczór o godzinie 9 zamykano mnie w moim pokoju; była to przeszkoda, którą należało koniecznie usunąć i powiodło mi się szczęśliwie. Byłem jeszcze widocznie chory; udawałem jeszcze bardziej chorego, skarżyłem się na osłabienie i boleści, które porywały mnie szczególnie w nocy, i ażeby tem łatwiej uwiadomić wartę, gdybym nagle zachorował, otrzymałem nieoceniony przywilej zostawania w nocy bez zamknięcia.

Powiedziałem i uwierzono mi, że nie było żadnego niebezpieczeństwa zostawiać nie zamknięte na klucz drzwi, których warta dzień i noc pilnuje.

Był już czas na porozumienia się z przyjaciółmi względem środków ułatwiających ucieczkę za granicę. I to mi się powiodło.

Jakim sposobem? Na to muszę rzucić zasłonę, aby wielu osób nie skompromitować; powiem tylko, że z pewną ostrożnością mogłem na piśmie się znosić i miałem codziennie stosunki z przyjaciółmi poza więzieniem. Nie zaniedbywałem także jeździć sobie przyjaciół w samym więzieniu.

Żołnierze mając odemnie zawsze i wódkę i trochę pieniędzy, zamykali chętnie oczy na moje małe nadużycia, do których zresztą nie przywiązywali wiele wagi, nadewszystko, że mnie widzieli na półumarłego, bo wszelkimi sposobami starałem się wyglądać jak najbardziej osłabionym i chorym. Chodziłem mało i zawsze oparty całym ciężarem o ramię Karola. Mówiłem głosem umierającego, skarżyłem się nieustannie, a kiedy oficerowie się zmieniali, udawałem, że zaledwie w łóżku podnieść się mogę.

Inny sposób posłużył mi dziwnie; zdołałem dostać odwaru szafranowego i używając go w miarę, nadałem sobie cerę tak chorobliwą, że nią pilnujących mnie żołnierzy zupełnie zwieść i czujność ich uspić potrafiłem. Mogę powiedzieć, iż mnie prawie tylko dla pozorów pilnowano. Nakoniec jednego dnia uwiadomiłem jakim sposobem mogę wyjść z więzienia, jakiej potrzebuję pomocy i t. d.

Pomijam tu wszystkie szczegóły mojej ucieczki, ponieważ Mikołaj jeszcze żyje, ponieważ żytomirski klasztor Bernardynów jest jeszcze jednym z jego więzień stanu i ponieważ nie chcę innym ofiarom jego tyranii zamykać drogi, którą dostałem się na wolność. Szczęśliwy jestem, że nie zostawiłem żadnego śladu, któryby wskazał służalcem cesarza miejsce, którem się wymknąłem przed jego zemstą.

Ale nie mam żadnego powodu do tajenia opowiadań, jakim sposobem dostałem się z Żytomierza do Francji.

Aby się wydobyć z niebezpieczeństwa, nie dosyć było

przestąpić progi klasztoru, a nawet, jak to później zobaczymy, przebyć granicę rossyjską. Trzeba było mieć na pogotowiu sposobu ujechania bezpiecznego i szybkiego i dostać się na ziemię gościnną.

Urzędnik tamtejszy p. Boczkowski, który mnie znał i nigdy nie widział, jedynie przez uszanowanie dla sprawy, której się poświęciłem, postanowił mnie wybawić. Wziął dla siebie i dla służącego paszport, za którym można było dostać się do powiatu graniczącego z Austrią i o 30 mil polskich od Żytomierza odległego.

Oprócz tego zaopatrzył się w inny rodzaj paszportu, znanego pod nazwiskiem *podożne*.

Jest to rozkaz gubernatora do pocztmistrzów, aby dostarczali posiadającemu taki paszport, liczbę koni w nim oznaczoną.

Wszystko było przygotowane, dzień i godzina były oznaczone. W niedzielę wielkanocną wieczorem miałem wyjść z klasztoru Bernardynów.

Tegoż samego dnia z rana przyszła do mnie żona z dziećmi i panią Gogel, która dowiedziawszy się o mojem więzieniu, powróciła do Żytomierza. Tak byłem zajęty rzeczami, o których przy oficerze od warty niepodobna było mówić, że ostatnie to widzenie się nasze było niejako sceną niemą, w czasie której musiałem nawet nad sobą czuwać w obawie, abym nie obudził podejrzeń. Zaledwie przemówiliśmy do siebie kilka słów nie znaczących.

Pani Gogel zbyt szanowała naszą boleść, iżby myślała zawiązywać rozmowę.

Dzieci płakały w milczeniu; całowałem je nie mając odwagi nieść im pociechę. Nareszcie ostrzeżono nas, że półgodziny upłynęło. Ucałowałem po raz ostatni wszystko, co mi było drogie i zostałem sam z mojami projektami i niebezpieczeństwami.

Był już wielki czas uciekać, bo sąd wojenny złożony w tym celu otrzymał był już formalny rozkaz sądenia mnie natychmiast i skazania mnie na szubienicę. Co większa, osnowa wyroku była już naprzód ułożona.

Nazajutrz, pomimo święta miano odbyć ze mną na pozór

procedurę, zadać mi dla formalności kilka nowych pytań, a we trzy dni potem przeczytać mi wyrok.

Takie wyraźne polecenie otrzymał był sąd a dowiedziałem się o tem, dzięki podrzędnemu oficjalskie, który nie bez przyczyny mną się zajmował.

Ale ponieważ względem wszystkich trzeba być sprawiedliwym, winienem powiedzieć, że cesarz pokazał się na chwilę do podziwienia ludzkim.

Na szczęście nie było mnie już, kiedy przybył kurier miłosierdzia, inaczej zamiast powiesić, byłiby mnie tylko rozstrzelali.

Wkrótce uwiadomiono mnie, że liczba ziarn grochu, mających mi być przysłanemi wieczorem, wskaże mi godzinę, o której miano na mnie czekać w umówionem miejscu. Około godziny szóstej, przyniesiono mi pudełko jakoby z apteki i pomiędzy pigułkami znalazłem 9 ziarn grochu.

Więc na godzinę 9 miałem być gotowym. O wpół do dziewiątej włożyłem do kieszeń nieco bielizny i nim nadeszła umówiona godzina, napisałem do generała gubernatora te kilka słów:

„Gdybyś nie miał być więcej zaufania w waszych bagnietach, niż w mojem słowie, nie byłbyś miał potrzeby żałować, że ci się wymknęła ofiara, tym godniejsza żalu, że ją wybrano dla zrobienia przykładu.“

Potem poleciłem opiece niebios biedną moją rodzinę, wziąłem z sobą nóż, który ukryłem po obiedzie i wyszedłem z mocnem postanowieniem przebić każdego, coby chciał mnie zatrzymać albo zabić się, gdybym spotkał za wiele przeszkód iżby je szybko i bez hałasu uprzętnąć.

Na szczęście nie spotkałem nikogo i nikt mnie nie widział, nie słyszał. Stawiając się w miejscu umówionem, wbiegłem ztamtąd do budynku, gdzie na mnie czekał pocziwy Boczkowski i który spieszenie zaprowadził mnie do domu na ustroniu, gdzie przygotowane było dla mnie zupełne przebranie.

Zarzucił mi na ramiona płaszcz gruby, włożył na głowę czapkę chłopską, ścisnął mię pasem skórzany i podał mi nabity pistolet.

Wskoczyliśmy na wóz pocztowy, który na nas czekał i oddaliliśmy się od Żytomierza, jak tylko konie wyskoczyć mogły.

Pozostaje mi już tylko powiedzieć nieco o pędzeniu naszym z Żytomierza do granicy, bo lubo od zacnych spółziomków galicyjskich doznałem dowodów życzliwości i wszelkich do ocalenia mego pomocy, wszystko jednak co dla mnie uczynili, było wprost przeciwne woli rządu austriackiego, który dozwoliwszy schronienia tymczasowego innym wygnańcom, mnie zaszczycił szczególniejszą niechęcią i rozkazał mnie wydać. Obawiam się więc, iżby wszelki względem mnie czyn ludzki wszelkie uczucie szlachetne, nie były uważane jako zbrodnę stanu i nie mogę w tym razie lepiej okazać mojej wdzięczności, jak tając nazwiska moich wybawicieli, jak kryjąc usługi, którzy mi wyświadczyli.

Tu nieostrożność miała by skutki zdrady. Następne opowiadanie będzie więc tylko jak gdyby opisaniem drogi, prawie bez szczegółów i często niedokładnem. Przyjdzie może czas, kiedy wolno będzie sercu memu wynurzyć się i ogłosić tak publiczne świecanie się zacnych Galicyanów, jak wdzięczność, którą do nich jestem przejęty.

Do trzeciej stacyi pocztowej nie wiele byłem strudzony, a przynajmniej cały zajęty niebezpieczeństwem, zawsze nie jako obecnem nie mogłem czuć utrudzenia; ale na czwartej stacyi już się nie czułem.

Wozy pocztowe w Rosyi są to rodzaje skrzyń bez drzwi, oparte wprost na osiach, nieco słomy służy za siedzenie, nie w nich nie łagodzi szturkań, trzęsą, rozdzierają, wyrwywają wewnętrzności. Nawet przyzwyczajeni do takiej jazdy gońcy i syjscy, których o niewytrwałość nikt nie obwini, zmuszeni są ścisnąć sobie silnie biodra skórzanymi pasami.

Można więc sobie wystawić, ile musiałem cierpieć, ja, co nigdy podobnym sposobem nie podróżował, co na taki wsiadłem po osłabiającej nieczynności długiego więzienia i jeszcze osłabiony po ostatniej chorobie, która właśnie w tych trznościach miała swoje siedlisko.

Nie miałem już był zupełnie sił do wytrzymania; już się chciałem oprzeć, szturkanie nagłe i nieustanne po bokach

łamało mi piersi, jeśli się rzuciłem na słomę, podskakiwanie wozu objęło się na całym ciele, nie wiedziałem jak wysiedzieć, wszystkie sposoby były nieznosne, a jednak trzeba było zawsze pospieszać, trzeba było lecieć gdybyśmy byli mogli, bo tu szło o życie nie tylko moje, ale i zacnego Boczkowskiego. Nakoniec w nadmiarze cierpienia nie mogłem już oddychać.

Boczkowski, baczny aby konie jednej chwili w największym pędzie nie ustawały, kiedy niekiedy na mnie rzucił wzrokiem, ażeby widzieć co się ze mną dzieje.

Kiedy spostrzegł moją bezwładność, kazał się zatrzymać, ścisnął mi biodra postronkiem, tak silnie jak tylko mógł i znowu ruszyliśmy całym pędem.

Postronek tak mi ścisnął boki, że mię aż ranił, ale nie czułem tego, tak silną była boleść wewnętrzna owszem czułem, że mniej cierpię.

Jużeśmy upędzili 20 mil, prawie dwie trzecie drogi z Żytomierza do granicy, kiedy na przeprzegu wysiadłem, aby przez czas zmiany koni nieco odpocząć w biurze pocztowym. Moja cierpiąca i strudzona mina zwróciła uwagę pisarza pocztowego, poznał mnie i zmierzał ku mnie, aby mię przywitać.

Najmniejsza niebacznosc mogła mnie zgubić i zadrżałem, kiedy spostrzegłem, że się ku mnie zbliża; ale musiało go uderzyć moje przebranie, zamiast więc przyjść do mnie, wyszedł natychmiast i zostawił mnie w ogromnej niespokojności. Myślałem, że może widzi się w obowiązku zdradzenia.

Ale jakież było moje zdziwienie, kiedy po chwili usłyszałem go krzyczącego na parobków:

— Prędzejże, pospieszcie się, czy chcecie, żeby podróżni na was czekali!

W parę minut zaprzężono; sam pisarz przybiegł uwiadomić nas o tem, podał mi rękę pomagając wsiąść. ścisnął mnie serdecznie, obejrzał się ostrożnie, a widząc, że nie ma nikogo, wznosił oczy do góry i rzekł po cichu tonem najżywszej przychylności:

— Nie traćcie czasu, niech was Bóg poprowadzi!

W tejże samej chwili, zwoszczyk zaciął konie i ruszyliśmy z miejsca galopem.

O kilka poczt dalej, mieliśmy zboczyć z wielkiego gościńca. Niepodobna mi było jechać dalej takim samym sposobem.

Na szczęście dostaliśmy wóz trochę wygodniejszy. Już nie wiele mieliśmy drogi do przybycia, ale tu właśnie mnożyły się niebezpieczeństwa; nie wiedzieliśmy, którędy przebyć granicę i jak uniknąć niebezpiecznych spotkań. Ani Boczkowski, ani ja, nie znaleźliśmy miejscowości, jechaliśmy prawie na chybił trafił powierzając się naszemu przeznaczeniu, ale zawsze zbliżając się do granicy.

Tym sposobem przybyliśmy do miasteczka Konie nasze były zmęczone, zatrzymaliśmy się przed lichą karczmą, a sądząc że uniknę wypytywań, jeśli dam poznać, że znam właściciela miasteczka, zrzuciłem z siebie płaszcz, w którym wyglądałem jak służący i zapytałem karczmarza, czy dziedzie jest u siebie.

Kiedy mi powiedział, że jest, chciałem niby wysiąść, ale zatrzymując się nagle, rzekłem:

— Jestem po podróznemu ubrany, a pan wasz ma może u siebie gości?

— Ma właśnie — odpowiedział karczmarz; — Pan . . . jest u niego z całym domem.

Znałem w istocie właściciela miasteczka, ale w podobnem położeniu nie byłbym mu się chciał powierzyć i nie myślałem wcale o oddaniu mu wizyty.

Znałem także Pana; ten był człowiekiem pewnym, śmiałym, dobrym patriotą, który wielu wychodźcom ułatwił przebycie fatalnej granicy.

Niespodziewane to spotkanie zdawało się być pomysłem zesłaniem fortuny i tak mnie uradowało, że myślałem, iż się zdradzę. Ale natychmiast przybrałem minę obojętną i powiedziałem, że w takim ubiorze nie mógłbym się pokazać przed damami i odkładałem wizytę do powrotu, poczem zostawiono mnie spokojnym.

Prosiłem zaraz mego towarzysza, aby wysiadł, jak gdyby tylko dla wyprostowania nóg, aby się udał do dworu, gdzie go nikt nie znał, ażeby wywołał Pana pod pozorem pil-

nego interesu, aby go odemnie pozdrowił i prosił, iżby nam dalej poradził.

W kwadrans przyniósł p. Boczkowski adres pana mieszkającego o dwie mile dalej ze wskazaniem drogi do niego. Notatka napisana ręką pana miała nam służyć za rekomendacją i usunąć wszelką nieufność.

We dwie godziny potem stanęliśmy u tego obywatela.

Było dopiero dwadzieścia godzin, od czasu, jak wyszedłem z więzienia, i w tym czasie przebyliśmy już 30 mil polskich.

Gospodarz zaprowadził nas do pokoju ustronnego, zapewnił, że nie mamy się niczego obawiać, ale dodał, że trzeba przepędzić u niego noc, bo w tem miejscu nie podobna przebyć granicę, że będziemy musieli nazajutrz kołować i odbyć jeszcze 5 mil drogi. Pomimo utrudzenia, nie rad byłem zatrzymywać się na noc całą, ale trzeba było uleść konieczności i spałem aż do dnia. Przebudziwszy się, czem prędzej się ubrałem; nigdy może nie zrobiłem tego tak prędko, bo spodziewałem się, że pojedziemy natychmiast, gdy tym czasem gospodarz inaczej rzeczy widział i chciał koniecznie zjeść z nami śniadanie.

Dopiero więc po południu ruszyliśmy we trzech w powozie naszego gospodarza, poprzedzał nas służący konno, który miał rozkarz ostrzegać nas, jeśliby spostrzegł jakie niebezpieczeństwo, abyśmy mieli czas uniknąć go.

Tak zajęchaliśmy o pół mili od granicy do wsi, gdzie mieszkała dama jego znajoma.

Dama ta i nadobne jej córki zatrudniały się od początku naszej wojny jedynie pomaganiem nieszczęśliwym Polakom i ukrywaniem ich przed wściekłością władz rosyjskich.

Używały do usługi szlachetnej kilku włościan, którzy zatrudnieniu temu niemal wyłącznie oddani, nabyli wielkiej wprawy do przeprowadzenia wychodźców przez granicę rosyjską. Wszystko to zapewniało mi ocalenie. Zbliżając się do domu, spostrześliśmy przed nim zaprzężony powóz, przewodnik nasz kazał się zatrzymać, a służący dojechał dla powzięcia bliższej wiadomości.

Było tylko półkownik żandarmów, którzy strzegli granicy.

Nie bardzo radzi zabrać z nim znajomość, schroniliśmy się do lasku przerzedzonego i kryliśmy się w nim jak można było. Sam gospodarz zaleciwszy nam, abyśmy aż do jego powrotu z lasku nie wychodzili, pojechał do domu tych dam.

Schronienie nasze było bardzo niepewne, bo liście nie pokryły były jeszcze drzew, a wskrós lasu widzieliśmy przechodzących na pobliskiej drodze i sami łatwo mogliśmy być spostrzeżeni, chociaż byliśmy w samym środku lasku, albo raczej gaiku, otoczonego polami i drogami, z których dwie go przeznęły.

Granica była w bliskości i tu i owdzie spostrzegaliśmy żandarmów i kozaków wałęsających się w okolicy.

— Gdyby nas zobaczyli! — rzekł do mnie Boczkowski — przyjęlibyśmy ich pistoletami.

— Wszakże je masz? — odpowiedziałem.

— Nie mam ich, a ty ich nie masz?

— Nie mam. Zapomnieliśmy je wziąć z sobą; zostały w powozie. Tak więc byliśmy w tym lasku bezbronni, bez sposobu ucieczki, pośród nieprzyjaciół i prawie pod ich oczyma. Gdyby nas byli spostrzegli, a nie nie było podobniejszego, nie byliśmy mogli ani się bronić, ani ich zmusić do zabicia nas, ani nawet samym sobie odebrać życie.

Trzeba było czekać aż nas wezmą żywcem i poprowadzą oprawcy jako ofiary.

Jakież położenie?

Nigdy nie uczułem mocniej, jak w pewnych okolicznościach, samobójstwo może być pożądanym ratunkiem.

Nareszcie nasz gospodarz przybył z damami uwolnić nas od tych niepokojów; ale zamiast przeprowadzić nas szybko przez granicę, jak tego pragnęliśmy, zaprowadzono nas do domu i powiedziano nam, iż byłoby bardzo nieroztropnie przeprowadzić się przed północą, a tu była dopiero godzina trzecia! A dla nas, z tej strony granicy była śmierć, z tamtej życie i wolność! Mogłem już, że tak powiem, przeskoczyć granicę, a tu mi mówiono, że trzeba czekać 9 godzin, i to w domu, z któ-

rego dopiero co wyszedł, do którego wrócić mógł pułkownik żandarmów.

Rzeczywiście, nie byłem tam wcale spokojniejszy jak w lasku. Wprawdzie gospodynie nasze były bardzo uprzejme, kolacya była wyborna, spoczynek był mi bardzo potrzebny, jednak wyznaję, że ani wdzięki tych dam, ani smak potraw nie skracaly tych okropnie długich dziewięciu godzin.

W godzinie oznaczonej przyszedł włościanin i uwiadomił, że możemy ruszyć w drogę. Był to nasz przewodnik. Damy udzieliły mu instrukcyi, której przezornej troskliwości nigdy nie zapomnę.

Pożegnawszy się z niemi, usiłowaawszy im wyrazić całą wdzięczność, ruszyliśmy pieszo.

Na ten raz nie zapomnieliśmy o pistoletach. Przez trzy odziny szliśmy w milczeniu, niespokojni, a co do mnie, nie zmiernie strudzony; nareszcie przewodnik, rzekł nam:

— Jużście panowie nie w Rossyi?

Na te słowa, które nas zdziwiły, jak gdyby to była nieprzewidziana nowina, które nas uradowały, jak gdybyśmy nagle przeszli z rąk bandy rozbójników w objęcia najlepszych przyjaciół, Boczkowski i ja rzuciliśmy się na szyję z jednakowym wyrazem uczucia.

Jakiż ciężar nie spadł z naszego serca! Jakże powietrze rządu cywilizowanego, takim przynajmniej zdawał nam się, podnosiło nasze piersi? Tu, tak przynajmniej myśleliśmy, nie nie trąci Mikołajem, ani podłemi narzędziami jego barbarzyństwa.

Puściliśmy się w dalszą drogę; w godzinę potem byliśmy u obywatela galicyjskiego przy kominie, niebezpieczeństwa dla tego tylko sobie przypominając, żeśmy szczęśliwie z nich wyszli. Ale wnet myśli przeniosły się do rodziny, serce mi się ścisnęło.

W więzieniu widywałem przynajmniej te drogie mi istoty; teraz kiedyż mogę się spodziewać widzieć je? Uwolnienie moje zdawało mi się być bardzo drogo okupionem. Uwolnienie! powiedziałem. Nie byłem jeszcze u kresu wszystkich moich kłopotów.

Polacy, którzy po wojnie schronili się byli do Austrii, mogli tam tymczasowo przebywać. Później porozumiano się i rząd austriacki okazał się mniej ludzkim dla tych, którzy przybywali potem i surowe rozkazy były względem nich wydane.

Jeszcze byliśmy w łóżku, kiedy gospodarz nasz przypominał sobie z niespokojnością ostatnie rozkazy rządowe, dotyczące się emigrantów polskich, poszedł po informację do celników. Za powrotem prosił nas, iżbyśmy się nie pokazywali, powiedział nam że zostając tak blisko granicy, narażamy się na wydanie Rosyanom i przyrzekł nam schronienie bezpieczniejsze.

Tegoż samego wieczora zabrał nas z sobą do powozu i zawiózł o kilka mil dalej do hrabiego Przybyliśmy tam o godzinie dziesiątej wieczorem i zastaliśmy zgromadzenie liczne; zapowiedziałem się pod przebraniem nazwiskiem Bętkowskiego, myśląc, iż roztropniej uczynię, jeśli tylko samemu hrabiemu dam się poznać.

Wszedłem więc do salonu z pewnością zupełną, ale zaledwie kilka kroków postąpiłem, kiedy dama jedna przywitała mnie po mojem prawdziwym nazwisku.

Na szczęście, uwaga ogólna zwrócona była gdzieindziej i miałem czas uprzedzić tę panią, że zostaję w konieczności zatrzymania przybranego nazwiska, tak iż pospiech jej z przywitaniem wygnańca nie miał żadnego przyjemnego skutku.

Przepędziłem kilka dni spokojnie u hr. w towarzystwie jego syna, tej pani, o której wspomniałem, jej najmniejszej córki i dwóch innych emigrantów, którzy także w tym domu znaleźli schronienie.

Hrabia wyjeżdżając do Lwowa był tak dobry podjąć się wyjednania mi albo pozwolenia pobytu, albo paszportu do Francji, a gdy bynajmniej nie wątpił o pomyślnym skutku swoich starań, zapewnienie jego czyniło mnie spokojnym.

Odjeżdżając przyrzekł za dziesięć dni przywieść albo pozwolenie, albo paszport.

Tymczasem inkognito moje stało się wnet tajemnicą komedyi; poznano mnie, a wiadomość o mojem przybyciu, które za cudowne uważano, rozeszła się po całej okolicy i drzwi

nie przestały się zamykać. Od rana do wieczora odwiedzano mnie, wieszano mi i przekonywano się, czy wiadomość rozgłoszona nie była bajeczna.

Dziesięć dni nieobecności hrabiego upłynęło, czekałem z zaufaniem, kiedy mnie uprzedzono jednego wieczora, że nazajutrz o świcie wojsko ma dom otoczyć, aresztować mnie i odstawić do Lwowa. Natychmiast schroniłem się do sąsiada hr. K. który przyjął mnie z otwartymi rękami; przez dwa miesiące doznawałem w jego domu gościnności najotwartejszej, najserdeczniejszej.

Tam to otrzymałem bardzo smutną wiadomość. Doniesiono mi z Żytomierza, że pani Gogel, moja żona i dzieci zostały aresztowane i obiecano mi pisać wkrótce powtórnie, na co długo i nadaremnie z śmiertelną czekałem niespokojnością. Łamałem sobie głowę szukając przyczyny tego spóźnienia, zapytywałem się z trwogą co chciano uczynić z moją rodziną, nakoniec nie mogąc dłużej znieść tej niespokojności, postanowiłem powrócić na Wołyń, widzieć znowu koniecznie żonę i dzieci i powrócić do więzienia, jeśli tego potrzeba było dla ich ocalenia. Ułożywszy w myśli ten projekt, chciałem jak najprędzej przywieść go do skutku; prosiłem więc hr. K. aby pojechał ze mną do dla oddania mu wizyty na pozór, a rzeczywiście dla przybliżenia się do granicy, gdyż wieść jego była od niej tylko na wystrzał karabinowy oddaloną. Na szczęście spotkaliśmy w drodze posłańca z listem do mnie, w którym mi donoszono, że po czterdziestu czterech dniach aresztu, pani Gogel, moja żona i moje dzieci zostały wypuszczone. Uspokojone z tej strony, mogłem już myśleć o sobie samym i trzeba było, bo położenie moje nie było wcale zaspakajające; szukano mnie wszędzie, rewidowano ciągle domy, nieustannie byłem zagrożony. Uprzedzano mnie zawsze dosyć wcześnie i poświęcenie moich przyjaciół wynajdywało za każdym razem albo troski ukrycia mnie, albo jakie nowe schronienia; ale życie taką niespokojnością miotane, nie było do zniesienia.

Kiedy pierwszy mój gospodarz powrócił ze Lwowa, długo po naznaczonym czasie, dowiedziałem się od niego, że hrabia

D. wziął na siebie wystarać się dla mnie o paszport, albo jeśliby go wyrobić nie mógł, przysłać mi paszport kogo innego dla użycia go w ostatniej potrzebie. Wkrótce potem hr. D. doniósł, że nie mógł nie wskórać, przysłał mi tylko paszport jednego Galicyanina, z zastrzeżeniem, ażebym go dopiero w braku innych sposobów użył. Tymczasem szukano mnie ciągle z jednakową zawsze czynnością, a nawet razu jednego tak niespodzianie zrobiono rewizję w domu hr. K. że zaledwie miałem czas wymknąć się i dostać się do jego sąsiada, który natychmiast wysłał mnie do odległej wsi, gdzie dwa dni przepędziłem.

Ztamąd powróciłem do mego nowego protektora, który ukrywając mnie dni kilka i posunawszy życzliwość swoją aż do zaopatrzenia mojej kieski zupełnie wypróżnionej, posłał mnie o dwadzieścia mil dalej i polecił mnie swojej siostrze.

Miałem szczęście zastać tam hr. D. . . . i jego uprzejmą małżonkę.

Liczę do moich przykrości, że nie mogę tu wymienić nazwiska hrabiego D. . . . ; doznawałem od niego pomocy, opieki czynnej, poświęcenia przyjacielskiego i zachowałem dla niego w sercu mojem wdzięczność, która, niech zechce wierzyć, godna jest szlachetnego ze mną postępowania.

Po sześciu tygodniach spokojnego i najprzyjemniejszego pobytu, wypędziła mnie z tego schronienia rewizya domu.

Hrabia D. niestrudzony w swoich staraniach szlachetnych, był tyle dobry, że mnie sam zawiózł do obywatela, którego żona miała wkrótce jechać do wód Karlsbadzkich.

Zaproponowano mi jechać z nią, nadszedł list od Emilii, która nalegała na mnie, abym się jak najprędzej oddalił; ale nie mogłem opuścić towarzysza mego zacnego Boczkowskiego.

Nie szukano go, zmienił nazwisko i był spokojny; hrabia D. przyrzekł mi mieć o nim staranie i ułatwić mu późniejszą podróż do Paryża.

Tym sposobem względem niego uspokojony, przyjąłem propozycję.

Mieliśmy już wyjeżdżać, kiedy gospodarz domu został przestrzeżony, że tej nocy ma być u niego rewizya.

Ruszyliśmy więc z hr. D. jak najspieszniej, aby w drodze czekać na panią której miałem towarzyszyć. Czekaliśmy na nią w karczmie przez dwa dni, nareszcie przybyła i puściłem się w drogę z paszportem niejakiego pana W. który jeszcze winien byłem grzeczności hrabiego D. Pani wiozła z sobą do wód dwoje dzieci chorych i chciała z tego powodu jak najspieszniej podróż odbyć. Jechaliśmy więc dniem i nocą; jakoż w krótkim czasie przybyliśmy do Karlsbadu.

Tam oddano mnie pod protekcją zacnego kupca, który mnie powiózł do Saksonii i polecił kupcowi, swemu przyjacielowi. Godny ten człowiek, dowiedziawszy się, że byłem wygnańcem polskim, przyjął mnie z otwartymi rękami, jak gdyby dawnego przyjaciela i zawiózł mnie do Brunszwiku, dokąd jechał z kilku fabrykantami.

Tam powiedział, że jestem jego pomocnikiem handlowym, wziął dla mnie paszport do Hamburga i dał mi list rekomendacyjny do kupca hamburskiego.

Ten człowiek przezorny i czynnie rzeczy biorący, nie radził mi zostać w Hamburgu, zdawało mu się, że w tem mieście nie było dla mnie bezpieczeństwa.

— Opuść to miasto, rzekł, jedź do Anglii, siadaj na okręt prędko, a im prędzej wsiądziesz, tym lepiej uczynisz. Jeśli chcesz, wnet wszystko urządzę.

Przyjąłem chętnie uczynną propozycję i tego samego wieczora znajdowałem się na statku angielskim, który płynął do Londynu, gdzieśmy dnia trzeciego przybyli.

W tydzień potem wstąpiłem na tę ziemię Francyi, gdzie nakoniec znalazłem schronienie i protekcję. Tu przynajmniej zasłonięty jestem przed despotyzmem i zemstą Mikołaja; tu mogę czekać, aby przeminął jak jaka mijająca plaga, albo aby Polska podniosła się znowu pod pomyślniejszą wróżbą.

Ach! Francyo! serce twoje zakrwawiło się, kiedyś musiała siostrę swoją, zostawić okrucieństwu despoty, nie zapomniałaś,

że ta siostra niegdyś krew swoją za ciebie przelewała! Dano ci przyjąć jej dzieci rozprószone, przyjęłaś je szlachetnie, z uniesieniem pochwyciłaś, tę sposobność aby dowieść twojej szlachetności. Bodajby obadwa nasze narody szczęśliwe i potężne wnet dać sobie mogły dowody wzajemne szacunku i sympaty i przyczyniać się do szczęścia wspólnego.

K O N I E C.

PAMIĘTNIKI

Andrzeja Przyalgowskiego.



PAMIĘTNIKI

Andrzeja Przyałgowskiego.



ROZDZIAŁ I.

(Zacny autor tego pamiętnika, dzielący dziś z nami losy emigracyi, opowiada w tym pamiętniku usposobienia mieszkańców między Niemnem i Dźwiną i główne wydarzenia, których jako uczeń uniwersytetu wileńskiego był świadkiem)

.....Te dziewięć lat od 1821 do 1830 są niezmiernie ważną epoką w dziejach uniwersytetu wileńskiego. W niej dojrzewały owoce rzuconych od dwudziestu lat nasion, w niej zaczęły się prześladowania i zamachy, które tej wielkiej instytucyi położyły koniec.

Ale nie o samym uniwersytecie wileńskim mam zamiar tu mówić. Chcę sobie przypomnieć, o czem jako uczeń uniwersytetu mogłem wiedzieć, co jako Polak i uczestnik wielu usiłowań młodzieńczych czułem, co w moich współobywatelach różnych klas mogłem spostrzegać, co nareszcie ze sprawą Polski styczność mające uwagę moją uderzało.

Zaczynając moje wspomnienia od zamożniejszych obywateli zaniemeńskich, na ich pochwałę przyznać potrzeba, że pomimo

Bronikowski, Pamięt. polskie.

wielkich korzyści, jakie rząd rosyjski zapewnia możnym, nie wiem czy był jeden, któryby nie był pragnął niepodległości Polski. Wszystkie wiadomości z królestwa polskiego, najmniejsze szczegóły o wojsku polskim, o postępowaniu Wielkiego księcia Konstantego, nadzieje Polaków, były zwykle ulubionym przedmiotem rozmów w domach zamożniejszych a stosunki obszerniejsze ułatwiały krążenie podobnych wiadomości.

Polityka petersburska, jej zamiary, jej działania, o tyle tylko szlachtę zatrudniały, o ile ztąd wyciągnąć spodziewała się jaką dla Polski korzyść. Za takie uczucia prześladowani i pod pozorem należenia do wolno-mularstwa, więzieni byli zaraz po wstąpieniu na tron Mikołaja: marszałek powiatu rosieńskiego Bilewicz, Gruzewski, Strumiłło, Romer i inni wszyscy znakomici obywatele.

Uczucia ich były istotnie polskie, nie taili się z niemi i to było ich zbrodnią w oczach rządu rosyjskiego. Do stosunków swoich przypuszczali oni często ludzi nawet niezamożnych, ale znanych, czy to z charakteru, czy ze światła, czy z gorącej miłości ojczyzny a częstokroć nawet ludzie młodzi, należący do rodzin nieznanymi, ale obdarzeni obiecującymi zdolnościami mieli udział w ich patryotycznych działaniach i nigdy nie zawodzili ich zaufania.

Kiedy rząd o uczuciach ich przekonany, srogiemi środkami zniszczyć ich nie mógł, kiedy widział że więzienia i przesładowania w oczach narodu jeszcze większą tym mężom nadają zasługę, chwycił się środka innego, postanowił ich depopularyzować i kazał agentom rządowym rozgłaszać, że wszyscy ci patryoci nie mają na celu interesu Polski, ale tylko własne swoje wyniesienie i próżność.

I tak rozgłaszano, że Bilewicz chciał zostać księciem Żmudzkim, że Romer i inni zawczasu porozdawali sobie rozmaite dygnitarstwa. Byli tacy, którzy tem wieściom wierzyli, ale w ogólności i ten środek rządowy nie był skuteczny; nie zwątlili dobrych uczuć szlachty.

Do rzędu patryotów nie bezzasadnie liczył rząd wszystkich obywateli, którzy się obchodzili dobrze z włościanami, którzy nie żyli rozrzutnie, nie grywali w karty z Moskalami nie odda-

wali się pijatyce i z powodu enotliwego życia posiadali miłość sąsiadów i używali popularności.

Ponieważ rozsiewanie pogłosek o ich próżności i ubieganiu się o dygnitarstwa polskie, nie zjednałoby żadnej wiary, używano względem takich obywateli innych środków depopularyzowania.

Nasyłano im wizyty urzędników rosyjskich, chwalono ich jako wiernych poddanych, puszczano o nich pogłoski, że się starają dla synów swoich o kamerjunkrostwa, niekiedy polecano im, lub kazano im polecać innym śledztwa u sąsiadów o kontrabandy i przechowywanie dezterterów, od czego w żaden sposób wymawiać się nie mogli, a po odbytych śledztwach, na których prawie nigdy nie wysledzono, posyłano im przez gubernatorów z Petersburga pochwały i rozdawano ordery i wstęgi, tak iż w istocie wielu godnych obywateli przez takie machiawelskie środki rządowe popadło w podejrzenie u współobywateli.

Były przypadki, że najenotliwszym Polakom bez żadnych poprzednich zachodów przysyłano niespodzianie ordery, gwiazdy i pochwały za wierność, co w istocie tem większe przeciw ich patryotyzmowi obudzało podejrzenie, że nagrody te przypisywano jakimś potajemnym usługom, o których tylko sam rząd zdawał się wiedzieć.

A kiedy wszystkie te środki nie skutkowały, nasyłano do ich majątności ludzi, którzy byli dezterterami, o czem jednak właściciel majątku nie wiedział, a potem nakazywano śledztwo, które kończyło się często ruiną majątku.

Przysyłanie takich śledztw rzucało zwykle postrach na najmajątniejsze domy, bo proces taki dawał łatwość do nieskończonych szykan, do wydatków, do aresztowań włościan winnych, czy niewinnych, do zamieszania, podobnego w skutkach do napadu nieprzyjacielskiego. Podobnych śledztw przez lat dwadzieścia liczono po kilkadziesiąt w każdym powiecie, a nie było wsi, któraby nie była doświadczyla śledztwa o kontrabandę prawie zawsze urojoną.

Przytoczę tu jeden z wielu przykładów, jakeimi środkami

rząd rossyjski niweczył zamiary obywateli, którzy stan włościan polepszyć chcieli.

Znany był z poświęceń dla sprawy ogólnej znakomity obywatel Karp, chorąży z czasów polskich, który jeszcze pod rządem Stanisława Poniatowskiego w czasie głodu włościanom swoim w Mińskim z dóbr swoich w Wileńskim kilkanaście tysięcy beczek zboża darem posłał i który później znaczną sumą wzbogacił fundusze uniwersytetu wileńskiego.

Ten obywatel mając obszerne włości, wyznaczył ich część w powiecie Upitskim na założenie osady wolnej, którą nazwał Nowe Miasto.

Osadzeni przez niego ludzie, przyszedli wkrótce do dobrego bytu, bo opłacali tylko pogłówne i obowiązani byli na rok tylko do dziewięciu dni służby. Ta reforma nie podobala się rządowi; ale ponieważ tak pożytecznego dzieła otwarcie niścić nie śmiał, a nadewszystko ponieważ nie chciał oburzać przeciw sobie ludzi tej osady, ale owszem mając zamiar oburzyć ich przeciw swemu dobroczyńcy, użył do tego podwładnego urzędnika guberskiego, który znowu zręcznie podsunął synowi jednego z mieszkańców Nowego Miasta, naówczas studentowi myśl niby polepszenia ich losu i uwolnienia ich od obowiązków dla pana.

Student ten nie domyślał się podstępów i w istocie namówił mieszkańców osady do zaniechania opłaty pogłównego i rozbicia służby.

Przez lat kilka zalegało pogłówne i Karp ciśniony egzekucją za swoją osadę musiał w końcu znaczną sumę zapłacić. Ale zapobiegając temu na przyszłość wytoczył przeciw swoim osadnikom proces.

Tego też właśnie rząd pragnął; proces wlokł się lat kilka, Karpią protegowały sądy i sprawiedliwość, a studenta mimo wolnego agenta rządowego, zachęcano potajemnie do przeprowadzenia procesu przez wszystkie instancje. Skończyło się na tem, że mieszkańcy zubożeli i że senat kazał zamienić osadę wolną na wieś zwyczajną. Student ten z żalem opowiadał, że był oszukany, że chciał szczęścia osady, a był przyczyną jej zguby.

Bywało, że rząd widząc pomiędzy sąsiednimi obywatelami przyjacielskie stosunki ułatwiające porozumiewanie się w najtajniejszych dla ojczyzny uczuciach, używał agentów, którzy dla rozerwania tych stosunków, stósowne rozsiewali wieści; pobudzano więc drobne zawiści, mieszano familijną spokojność, czerniono jednych przed drugimi, wynajdowano powody do procesów między sąsiadami. I zdarzało się, że te szatańskie usiłowania nie były bezskuteczne, że przyjaźń zamieniała się nie wiedzieć jakim sposobem w zacieklą nienawiść.

O eksdywizjach i differencyach później powiem; tu tylko nadmienię, że i te wady naszego prawodawstwa były w rękę rządowi dzielnym środkiem do różnienia i niszczenia dobrze myślących obywateli.

Z tego wszystkiego, jakież powinniśmy wyprowadzić wnioski? Widzimy politykę naszych nieprzyjaciół, starajmyż się mieć politykę własną. Nie zawierajmy pierwszej lepszej pogłosce o złych chęciach współobywateli, nie chwytajmy pierwszych lepszych powodów do poróżnień sąsiedzkich, łagodźmy je i we wszystkich podobnych okolicznościach zapytujmy się raczej, czy to nie ręka obca, nieprzyjacielska, która narodową naszą spójność rozerwać, usiłowania i uczucia nasze sparaliżować i oziębnić pragnie. Ostrożność nasza pod tym względem powinna być tym przezorniejszą, że mi dobrze wiadomo, iż nawet ludzie, któruych prowadzenie się zupełnie odpowiadało widokom rządu, że pijacy, karciarze, w ciągłych stosunkach z osobami rządowymi zostający, w chwili stanowczej, w chwili powstania, jak gdyby przypominając sobie godność, którą na chwilę byli zawiesili, stosunki swoje moskiewskie porzucali i ze skrucą, z podwojoną energią, wracali poświęceniem swoim przeblagać obrażoną matkę.

Co do wyższej szlachty, to jeszcze tu nadmieniam, że w całej tej epoce nadziei naszych, to najwięcej ją niepokoiło, że nie wiedziała z pewnością, jaką ręką da ich majątkom, ich pozycyi przyszłe spodziewane powstanie, i że nie mogła wiedzieć, kto ten ruch opanuje i jakim sposobem go poprowadzi. Działając ona ostrożnie, tego się obawiała, aby jej nie sądzono z pozornych oznak i żądała zawsze wzajemnego i nie-

ograniczonego zaufania w dobrych jej dla ojczyzny zamiarach. W ogólności ta jedyna pomiędzy szlachtą wyższą była różnica, że jedni chcieli zawsze okazywać swoje uczucia otwarcie, często nieroztropnie, inni doradzali przeciwnie działać skrycie, a pozorami zasłaniać swoje działania.

Prześladowania, jakie Mikołaj nakazuje przeciw szlachcie drobnej, dostatecznie dowodzą, jaki ją duch ożywia; prześladowania te pewnie jej ducha nie pogorszą; może on ją w części przenieść, może ją więcej zubożyć, pozostanie ona zawsze polską.

Jakim sposobem to uczucie w niej się utrzymuje, trudno w istocie powiedzieć; prawie cała z powodu ubóstwa pozbawiona możliwości posyłania dzieci do szkół, oprócz książek do nabożeństwa nie znająca innych, tradycyjnie utrzymuje pamięć Polski i gotowa będzie zawsze nawet w głębokiej Rosyi poświęcić się dla jej sprawy, aby tylko wiedziała, że na czele ruchu jest człowiek poczciwy i rozumny.

Podobnie jak wyższa szlachta nie ma odwagi do bezwarunkowego poświęcenia i ogląda się na siły koronne i na pomoc postronną; taką przynajmniej była może polityka Mikołaja, nada jednej i drugiej więcej energii i zaufania w sobie.

Do nienawiści drobnej szlachty przeciw rządowi rossyjskiemu przyczynia się uciemiężenie, jakiego doznaje. Każdy taki szlachcic musi koniecznie mieć trzy dusze skazkowe czyli trzech poddanych, za których opłaca pogłówne, nawet gdyby ich nie miał, bo inaczej straciłby prawo robienia piwa i pędzenia wódki; a ponieważ ich grunta są zwykle małe, pogłówne to coraz bardziej ich niszczy, tak iż bywają przykłady, że sami dobrowolnie zapisują się w skazki, czyli do klasy chłopów, albo przyjmują służbę przy dworach.

Najlichniesza część szlachty i wyższej i niższej w krajach zaniemeńskich wyznaje religią łacińsko-katolicką, mniejsza wyznaje religią uniacką, kalwińską, luterską i mahometańską, ale ta różnica nie wpływa bynajmniej na nich, gdzie idzie o uczucia patryotyczne; wszyscy bez względu na religią chcą być Polakami.

Co do włościan zaniemeńskich, nie mówiąc nawet o Li-

twinach, którzy jednego z nami wyznania, mają nawet religijną z nami wspólność, przypominają oni sobie wszyscy czasy polskie i zawsze ich żałują; wszelkie usiłowania agentów rządowych, aby im pamięć tę ohydzić, są nadaremne. Dawniej płacili oni małe podymne, dziś płacą nierównie większe pogłówne; zwyczaj bicia był nadużyciem, nie był w systemie rządu, nade wszystko nie był posuwany do knutowania, a co najwięcej pamiętają, że nie byli brani na rekrutów. Porównanie zatem rządu rossyjskiego z dawnym rządem polskim, zawsze wypada na korzyść ostatniego. Jeżeli nie wszędzie okazywali równą dla sprawy naszej gorliwość, to ztąd pochodziło, że przyzwyczajeni do niewoli, czekali niejako, aby ich do służenia Polsce zmuszono.

Uczucia i pojęcia ich nie daleko sięgają, ale przez tradycję wiedzą, że za polskich czasów nie byli tak nieszczęśliwi; mogli dawniej trzymać dzierżawy, kwaterunek nie był dla nich tak nieznośny i nie byli uciemiężani tą zgrają urzędników, którzy w częstych śledztwach spadają na nich jak jaka plaga; w końcu mają zawsze nadzieję powrotu do dawnego lepszego bytu. Z natury stosunków szlachty z włościanami, zemsta ostatnich często byłaby bardzo naturalną; tymczasem w ostatnim powstaniu nadzieja powrotu pod rząd polski i to uczucie stłumiała.

Kiedy w powstaniu powiatu obywatel dowodzący tem powstaniem z dóbr p. znanego z obchodzenia się okrutnego z włościanami, 400 ludzi dostarczyć nakazał i kiedy ludzie ci po większej części byli uzbrojeni, myślano że mając sposobność wywrą zemstę na swoim panu. Bynajmniej! Cała ich zemsta obrócona była przeciw Moskalom i zdawało się, że zapomnieli o własnej krzywdzie, aby tylko zapewnić powodzenie naszej sprawy.

Pozostawali jeszcze włościanie tak zwani starościeńscy, to jest mieszkańcy dawnych starostw, dziś własności rządowych, których rząd mógł być, jeśli do siebie nie przywiązać, to przynajmniej przeciw sobie nie oburzać, gdyby ich dawne swobody był zachował, ale im je odebrano, a pogłówne i inne zdzierstwa zrównały ich z włościanami szlacheckimi, tak iż oni, po-

dobni jak włościanie szlacheccy, żalują czasów polskich. Uważano nawet, że włościanie starościnscy do wszelkich poruszeń skorsci byli, niż inni co może ztąd pochodziło, że do czasów Nowosilcowa prawie we wszystkich tych starostwach znajdowały się szkoły parafialne.

Nieraz zdarzało mi się od włościan słyszeć, że w dawnych czasach polskich z głębokiej Moskwy uciekali chłopci do Polski, a sam nawet pamiętam, że aż do roku 1827, w którym najściślej spisaną ludność był nakazany, mnóstwo z gubernii moskiewskich do krajów zaniemeńskich uciekało deztererów i włościan.

Szczególniej na Żmudzi nie było dawniej włościanina, któryby nie miał umowy z panem, albo o pańszczyznę, albo o czynsz. Dobytki Żmudzinów, konie, bydło w lepszym były stanie, bo nie niszczyli je tak, jak pod rządem rosyjskim na częste podwoły dla wojska. Sama odzież, którą jeszcze na starych włościanach widzieć można było, porównana z odzieżą młodszego pokolenia, dowodzi, że tradycje o lepszych czasach za Polski nie są bazzasadne.

Nienawisć wszystkich włościan zaniemeńskich do Moskalów sięga dawnych czasów i przyłączenie ich do Rosyi pewnie nienawisći tej nie zmniejszyło, gdy przeciwnie widzą oni zawsze w Polaku swojego brata.

Opowiadał mi jeden obywatel, że gdy razu jednego w ubiorze polskim przy karabeli z sejmiku powracając przez wieś jedną przejeżdżał i tam się zatrzymał, dzieci myśląc, że to figura jakiegoś urzędnika rosyjskiego, z płaczem zazęły uciekać; w tym wyszła z domu staruszka i zobaczywszy przyczynę strachu dzieci, zawołała je mówiąc im:

— Nie bójcie się, to nie asesor, to Polak, tak dawniej wszyscy panowie polscy chodzili; ucałujcie jego nogi.

Dzieci rzuciły mu się do nóg i staruszka opowiadała im, że za czasów polskich lepiej było i kazała im prosić Boga, aby te czasy powróciły.

O ludności tatarskiej, to tylko powiem, że prawie bez wyjątku z wdzięcznością wspominają, że to rząd polski potwier-

dził i zachował był im dawne swobody; dawną świetność Polski wspominają zawsze z uniesieniem.

Poczeiwość Tatarów polskich, czyli raczej Polaków wyznania mahometańskiego, jest znana. Od 400 prawie lat, jak w Litwie osiedli, jeden tylko przykład procesu Tatara z Polakiem znajduje się w metrykach i w tym procesie Polak wyznania mahometańskiego miał za sobą sprawiedliwość.

Ludność żydowska w krajach zaniemeńskich, nie ma zapewne powodów do przywiązywania się do Rosyi; przychylnosc jej jest pozorna i pochodzi z obawy większych jeszcze prześladowań.

Że zaś gotowi byli połączyć swoje losy z losem Polski, że się od niepodległej Polski polepszenia swego bytu spodziewali, na to mógłbym przytoczyć liczne dowody. Tu wspomnę tylko tę okoliczność, że kiedy w Warszawie i Wilnie około 1820 wiele o żydach pisano, z chciwością dowiadywali się o wszelkich podobnych pismach i że to dla nich prawie nie spodziewaną, zadziwiającą rzeczą było, gdy w niektórych tych pismach radzono wypędzić ich z Polski.

— Tego po Moskalach mogliśmy byli się spodziewać, ale po Polakach nigdy!

Mówił mi jeden rabin.

Dla poznania ówczesnego stanu rzeczy w krajach zaniemeńskich, należy tu wspomnieć także o urzędnikach niższych rosyjskich, którzy z obywatelami w częstych zostawali stosunkach.

Takimi urzędnikami byli: Starpczy (komisarz powiatowy), komisarze kwartalni i cyrkulowi po miastach, w końcu urzędnicy pograniczni. Na te urzędy przysyłano zawsze z głębi Rosyi dymisyowanych oficerów, którzy nie mieli żadnego usposobienia do administracyi, żadnej znajomości kraju, ujmowanie ich było bardzo łatwe; najmniejszą grzeczność ze strony obywateli wywzajemniali szczerem przywiązaniem się do osób i miejsca.

Zdaje mi się, że na to usposobienie ich nie dosyć zwracano uwagi i rzadko starano się ujmować, chociaż przez nich

o wielu rozporządzeniach rządowych można było mleć dokładną wiadomość.

Znałem jednego horodniczego Rosyanina, którego obywatele lubili; za to, tak się do kraju i sprawy naszej przywiązał, iż kiedy powstanie wybuchnęło, nie oddalił się z miejsca i owszem oświadczył, że się nie lęka zostać z Polakami. Powstańcy nie wyrządzili mu żadnej nieprzyjemności i tylko życzyli, aby wszyscy Rosyanie takimi byli.

Utrzymywanie dobrych stosunków nawet z wyższymi oficerami, może często ich uczucia z naszymi zespolić. W pewnym powiecie obywatele żyli dobrze z pułkownikiem R. . . ; ten raz będąc w domu jednego obywatela, bawił się z jego pięcioletnim synkiem, który mu powiedział, że go kocha, dla tego że jest Polakiem. Pułkownik zapewnił go, że nie jest Polakiem ale, że jest Moskal.

— Nie wierzę ci — odpowiedział mały — tyś Polak, boś dobry i grzeczny.

Zdziwiony pułkownik, podniósł go, ucałował i ze łzami odezwał się do ojca:

— Jakimże sposobem powstało to uczucie w sercu tak młodem! Szanuję takie uczucie i dziwię się mu; jest coś niepojętego w Polakach; widać, że miłość swego narodu wysysają z piersi matek.

Co do sekretarzów tych panów, mianowano ich zwykle z Polaków, znających język rosyjski i boleśnie tu wspomnieć, że powszechnie na nich narzekano i mniej im ufano, niż rodowitym Moskałom.

Na urzędników gubernialnych, zwłaszcza na sowietników czyli radców, mianowano niekiedy ludzi z Rosyi przysłanych, już więcej znających ukazy i tu znowu trzeba powiedzieć, że jeśli nie do ich uczuć, to przynajmniej do chciwości ich łatwiej zawsze można było trafić, aniżeli mając do czynienia z sowietnikami Polakami, co tem można tłumaczyć, że urzędnik Polak obawiał się więcej niż urzędnik Moskal, popaść w podejrzenie u rządu i był zwykle w służbie gorliwszym. Pod tym względem pamięci sowietników wileńskich Ławrynowicza i wielu jemu podobnych długo potomność zlorzeczyć będzie. Okrucieństwa

ich w czasie rozmaitych śledztw, przekupstwa i wszelkiego rodzaju podłości, przechodzą wszelkie wyobrażenia; żaden Moskal nie ściągnął na siebie tyle przekleństw, ile oni. Jeszcze za życia pokazywano im największą pogardę, a w czasie pogrzebu Ławrynowicza, policya schwytała psa w żałobie z napisem na szyi: Jako pies po psie żałobę noszę.

Byli zapewne i Polacy sowietnicy poczciwi, ale o niego dziwych dla tego należało tu wspomnieć, bo i nimi kierowała zapewne niewidoma ręka rządu, która umyślnie wybierała Polaków z charakterem zepsutym do najważniejszych śledztw, aby pokazać polskiej ludności, że jej najwięcej dokuczają Polacy.

To wyjaśnia, dla czego sam gubernator Korsakow, zresztą bardzo lubiony, z tem dawał się słyszeć, że niema podlejszych Indzi jak Polacy zmoskwiceni, a słowa te jego umyślnie i nie bez celu były rozgłaszane i w odpowiedzi tym obywatelom dawane, którzy się skarżyli na nadużycia podobnych ludzi, jak Ławrynowicz.

To co w tym gubernatorze wileńskim uważano za wyraz pocziwego człowieka, było niezawodnie wyrazem chytrej i podstępnej polityki, bo od niego zależało, ludzi takich od urzędu usuwać.

Divide et impera jest przedewszystkiem maksymą rządu rosyjskiego; nie należy nam o tem zapominać i trzeba tak działać, iżby ją postępowaniem naszym przy każdej sposobności paraliżować.

O sędziach, adwokatach, rejentach i w ogólności o palestrze zaniemeńskiej, z Polaków złożonej, trzeba tu nadmienić, że dawny zwyczaj nieszczęśliwy zapijania się, odejmuje jej wszelką sposobność zastanawiania się rozumnego nad postępowaniem rządu i do postępów intelektualnych, którei moralnie nad Moskałami moglibyśmy brać górę.

Podczas kiedy w innych narodach, na przykład we Francyi stan prawników, ważną nie raz w historii odgrywał rolę i na losy narodu wpływał, sądownictwo zaniemeńskie zrzekało się jak gdyby naumyślnie wszelkiego wpływu na polityczny stan

kraju i pijaństwem swoim obudzało tylko pogardę rządu. Wyroki często po pijanemu dawane, mogły obudzać poszanowanie dla sędziów w współobywatelach? Ileż to razy złorzeczając im, musieli się odwoływać do władz rosyjskich, do senatu i zaskarżać współziomków przed nieprzyjaciółmi Polski, o nierozum i niesprawiedliwość!

Korzystał z tego rząd rosyjski i kasując nietylko wyroki, ale i całe sądy pod sąd oddając, stawał niejako w obrobie pokrzywdzonych i utwierdzał poróżnienia i niechęci krajowców. Za pijaństwem szło pieniaństwo, jako potrzebne dla zbyt wielu adwokatów i przyczyniało się do ruiny majątków, czego właśnie rząd pragnął.

W jakiej pogardzie zaniemeńskie palestry u włościan nawet zostawały, przypominam sobie, że ile razy mówiono włościanom, aby oddawali dzieci do szkół, odpowiadali: że nie chcą aby się uczyły, bo jak się trochę poduczą, zechcą zostać palestrantami i będą oszukiwali ludzi.

Rzadko było widzieć książkę w ręku osób do palestry należących, a tylko książki mogły być dać im zdrowe wyobrażenie o zasadach społecznych i o potrzebach narodu.

Niemna nic przesadzonego w tym krótkim zarysie palestry zaniemeńskiej, owszem możnaby z niej zrobić obraz najokropniejszy; znajdują się zapewne w emigracji prawnicy litewscy, niechaj skreślą wierną sądownictwa litewskiego statystykę, a pewnie zdanie moje o niem nie pokaże się mylnem. Należy nam pokazywać jawnie takie obrazy, aby ich widok zwracał uwagę na nas samych, bo nieszczęścia nasze nietylko od nieprzyjaciół zewnętrznych pochodzą, ale i my się przyczyniamy do ich trwania.

W razie powstania, tam, gdzie nietylko bić się ale i organizować będzie potrzeba, ktoś znowu stanie na czele ruchu, jeśli ci, którzy z powodu zatrudnień swoich najwięcej powinni mieć rozumu, w pijaństwie i zepsuciu będą pogrążeni! Czy znowu na samą młodzież niedoświadczoną, nieświadomą stosunków społecznych i prawnych, cały ten ciężar spadnie?

Tem bardziej nad tem zaniedbaniem palestry ubolewać należy, że w gronie jej znajdowali się ludzie wielkich zdolno-

ści, a tem więcej do poprawy zachęcać ją należy, że uczucia jej są polskie, i że z łatwością, bo to od niej samej zależy, przez wzgląd na sprawę publiczną, zreparować może swoje błędy. Rząd, jak tego można było się spodziewać, nie przedsiębrał żadnych środków do wykorzenienia wad palestranckich, owszem z radością na nie spoglądał, ale byli obywatele, których ten widok zasmucał i którzy palestrę z tego zapomnienia się wydobyc chcieli.

Na dowód tego, przytoczę karykatury, jakie puszczone w obieg w T. przeciw zawiązanemu tam Towarzystwu pijaków, którego członkowie byli palestranci, a prezesem książdz Bernardyn, najwięcej pod tym względem zasługi mający. Karykatury te przyjęte były bardzo dobrze u publiczności, i na niejaki czas pomieszały szyki towarzystwa.

Już mówiłem o żydach, ale w klasie kupieckiej było wielu i chrześcian. Cała ta klasa doznaje zdzierstwa, nieznanego może w całym świecie. Zwykle strapczy, albo asesor mają od gubernatora blankiet do rewidowania sklepów dla przekonania się, czy w nich niema kontrabandy. Blankietu tego używają oni, ile razy potrzeba im pieniędzy, a zatem używają go bardzo często.

Niespodzianie urzędnik taki wpada do miasteczka, nakazuje w jednej godzinie zapieczętować wszystkie sklepy i sam albo odjeżdża, albo bez rozpoczynania rewizji czeka w miasteczku. Kupcy widząc handel swój przerwany i wiedząc, że w takim razie trzeba się opłacić, robią składkę i przynoszą ją w podarunku urzędnikowi. Dopiero wtenczas wydaje on rozkaz miejscowej policji, aby sklepy odpieczętowała, gdyż się przekonał, że w nich nie ma kontrabandy. Takie postępowanie możeż jednać dla rządu jaką przychylność? Wszyscy kupcy wiedzieli, że za czasów polskich nic podobnego nie było i z radością przewidywali chwilę, w której będą mogli dostać się pod rząd narodowy.

O duchowieństwie katolickiem zaniemeńskiem mamy wyobrażenie, że jest patryotyczne i wyobrażenie to jest sprawiedliwe. Ale nie możemy sobie wystawić, jak z nielicznymi wy-

jątkami jest ograniczone, jak bardzo oddane jest życiu materialnemu. Dosyć jest spojrzeć na twarze i brzuchy księży, aby widzieć cały ich sposób życia. Kazania ich sprawdzają zresztą tę powierzchowność; rzadko który zadaje sobie pracę ich układania, albo mówienia z pamięci, a często kładą oni w seksterna kartki powydzierane z kazań drukowanych, które niekiedy wypadają im z ręki i zdradzają ich niedbałość; są między nimi, którzy w życiu nieczynnym zapominają czytać płynnie. Na cóż więc uczucie ich patryotyczne się przyda, kiedy go mądrze, umiejętnie, godnie nie mogą użyć, kiedy życiem swoim poniżają go i tracą u współobywateli szacunek i poważanie.

Przeznaczeni do przewodnictwa ludowi, sami nie usposobieni, nie mają do powołania tak wielkiego, żadnego usposobienia. Wyjątek z tego ogólnego zaniedbania księży, stanowili Pijarzy, Misyjonarze i później Karmelici.

O unitach nie lepszego, jak w ogólności o księżach łacińskich powiedzieć nie można, a nawet zaniedbanie ich umysłowe jest jeszcze większe. Ks. biskup . . . nie mogąc ich inaczej poprawić, często karał ich surowo.

W jednej wsi parafianie skarżyli kilkakrotnie swego obrzydłego otyłego plebana o złe prowadzenie się; biskup kazał mu udzielić tak hojną rekolekcyę, że ksiądz jeszcze ósmego dnia usiąść nie mógł.

Otóż w jakich wyrazach następnej niedzieli odezwał się ksiądz ten z ambony do swoich parafian:

— Zajac! Zajac! zawołał płacząc, to ja sługa boży; a zaś Ajac! Ajac! to wy sobaki! Oskarżyliście mnie, że wam kazania nie prawię. Ujrzycie! pojadę jutro do Mińska, kupię kazania Skargi, a jak wam poczną kazania rznąć, to was aż czarci porwą!

Na pochwałę tego księdza powiedzieć trzeba, że się poprawił. Sam to oświadczył drugiej niedzieli i był tyle szczerzy, że z ambony nie wahał się przypisywać rekolekcyi, swoją poprawę. — Ale mówił dalej, muszę was także moje kochane owieczki naprowadzić na drogę cnoty i miłości bliźniego i skoro tylko który z was nie usłucha moich rad, ogłoszę z ambony

i jego imię i jego postępowanie nieprawie, a jeśli i to nie pomoże, oddam go pod sąd konsystorski. Zapewniam was, moje pobożne dusze, że was będę nauczał i przykładem, i słowami, nie zaś jak to przedtem bywało samemi słowami, kiedy wam mawiałem! Słuchajcie i postępujcie, jak was naucza kapłan, a nie zapatrujcie się na to, co robi.

Mówił potem o miłości bliźniego, wystawiał dziedzicom, że i dla nich i dla włościan użyteczniej będzie, jeśli ich nie pozwolą uciemieżyć, słowem, powiedział kazanie prawdziwie chrześcijańskie.

Pogróżki oddania pod sąd konsystorski nie były lekceważone. Proces taki nie tylko że sprawiał wielkie koszta, ale ścigał także złą opinię sąsiadów o oddanym pod sąd. Pamiętam, że jednego obywatela za robienie pańszczyzny w niedziele i pięciu młodzików za rozpustę, karty i pijaństwo, pleban jeden pod sąd konsystorski oddał i że przykład ten był bardzo skuteczny. W całej parafii zakwitła potem bogobojność i miłość bliźniego.

Ileż to księży hyłyby naprawiły podobne rekolekcyje!

A poprawieni księża iluż byliby uszczęśliwili włościan mówiąc dziedzicom surową prawdę, ileż byliby wpłynęli na pomyślność kraju, gdyby i palestrze byli wskazywali drogę obowiązku.

Nie chciałbym księży wystawiać na śmieszność, ale ubolewam, że zasługują na naganę, oddając się tylko życiu zmysłowemu, a nie myśląc wcale o kształceniu się odpowiedniemu ich powołaniu.

I księża i palestranci zaniemeńscy, pomimo najlepszych chęci polskich nie oddali Polsce tyle usług, ile ich z położenia swego mogli byli oddać, co zresztą pokazało się w powstaniu. Byli materyały, byli liczni ludzie, był zapał, ale nie umiano tego użyć, a główną przyczyną tego błędu była nieczynność, nieumiejętność sądownictwa i duchowieństwa.

Bogatszej szlachcie także ten uczynić tu można zarzut, że miała sposoby do obznajomienia się przynajmniej z teorią sztuki wojennej, z pofrzebami powstania, a zaniedbała te wia-

domości, jak gdyby nie myślała, że na nią spada po ojcach wielki obowiązek bić się za ojczyznę.

Ten obowiązek jeszcze trwa i aby nie ponawiać dawnych błędów, niech i bogaci, i księża, i palestranci, doskonalą się, na przyszłość, aby stali się użytecznymi ojczyźnie, bo skoro się rozum znajdzie, siły połączone całego narodu będą dostatecznie do odzyskania niepodległości. Bodajby przestroga nasza do nich doszła, bodajby nie zapominali, że nie dosyć jest kochać Polskę i dobrze jej życzyć; trzeba jeszcze wiedzieć jak ją kochać i jak jej najlepiej służyć. Tylko tym sposobem przyszłe powstanie będzie olbrzymie, inaczej będzie karłowate.

Pastorowie kalwińscy odznaczają się większem oświeceniem z dobrymi obyczajami.

Zdarzyło mi się słyszeć starego pastora, opowiadającego z boleścią, jakimi sposobami różniono kalwinów polskich z Polakami innych wyznań. Nasyłano im na pastorów agentów rządowych, którzy ich przekonywali, że Polacy katolicy są największymi ich nieprzyjaciółmi, a inni agenci rządowi podburzali katolików przeciw kalwinom.

Kłótnie te wzajemne podniecane, ściągnęły na Polskę wiele nieszczęść; dziś kalwini zaniemeńscy ubolewają, że byli narzędziami nieprzyjaciela wspólnego i wynagradzają przychylnością dla Polski dawne błędy.

Jeszcze słowo o plenipotentach, ekonomach, podstarościach, cywunach, wszystko ludziach, którzy są plagą włościan.

Nadużywają oni swojej władzy najczęściej bez wiedzy właścicieli i można powiedzieć, że włościanie ze wszystkich mieszkańców, do nich tylko mają nienawiść.

A ponieważ wszyscy ci oficyaliści szlacheccy w powstaniu mogą i powinni być czynni, łatwo widzieć, jak ważną jest rzeczą, iżby między nimi a włościanami panowała harmonia iżby zatem właściciele nie pozwalali im uciemniać włościan. Byłoby to i w interesie właścicieli i w interesie włościan, bo postępowanie barbarzyńskie, tych ofycjalistów ma najczęściej na celu nie gorliwość służby, albo zysk dla pana, ale własną ich chciwość.

Tak postępować powinni, iżby siebie za ojców, włościan za swoją uważali rodzinę.

Wiadomo jest, że na parę lat przed śmiercią Aleksandra rozeszły się pogłoski o połączeniu Litwy z Królestwem polskim. Sam Aleksander upoważnił był generała Wincentego Krasińskiego do rozgłaszania tego zamysłu. W. Ks. Konstanty, który już i tak miał wielkorządztwo gubernij polskich, był przeznaczony do rządzenia tak powiększonym krajem polskim. Były już nawet rozporządzenia przygotowane. Przenoszono rodowitych Moskalów z korpusu litewskiego do innych korpusów, a z nich przysłano do korpusu litewskiego żołnierzy, rodem z gubernij polskich. Od samych wojskowych słyszałem, że mustra w korpusie litewskim miała być zaprowadzona po polsku, że żołnierzom kazano się uczyć języka polskiego, słowem że nasz język miał być w korpusie litewskim językiem rządowym. Słyszałem żołnierzy, którzy po rosyjsku mówili: My tiepier Polaki. Pogłoski te sprawdzała ta okoliczność, że oficerowie i żołnierze z korpusu litewskiego posyłani byli na naukę do wojska polskiego.

W tymto czasie pewien burmistrz zwołał w dniu targowym przed ratusz całą ludność i odczytał jej rodzaj odezwy, w której uwiadomił, że nareszcie nasze nadzieje spełnione, że się połączymy z braćmi, że będziemy Polakami.

W pewnem mieście profesor w skutek tych pogłosek, odezwał się do uczniów, zachęcając ich do uczenia się historii polskiej w ten sposób: Wkrótce przyjdą Polacy, jakże to będzie dla was przykro, że nie znacie ojczystych dziejów! Przyjdzie ich 80.000 dobrze wymustrowanych i nie jeden z was powiększy ich szeregi. Jakżeby wam wstydzić się przyszło, gdybyście z nimi o dziejach ojczystych rozmawiać nie umieli. Wiadomo mi, że w innych gimnazyach podobne dawały się słyszeć zachęcania. Znajomy mi jest jeden profesor przedmiotu, zupełnie obcego historii, który gdzie tylko mógł, odbiegał od przedmiotu i przypominał młodzieży i bliskie nadzieje Polaków i potrzebę zmian w stanie społecznym, szczególnie w stosunkach włościan ze szlachtą, aby się stać godniejszymi przyszłej ojczyzny.

Z tego samego powodu inny profesor wystawiał młodzieży niebezpieczeństwa elekcji i jak gdyby już myślano o nowym wyborze, zaklinał uczniów, aby nie zapominali, że elekcye różniły dzieci jednej matki i gubiły Polskę. Nie wymieniam tu tych zacnych mężów, ani gimnazyów. Pewny jestem, że we wszystkich innych szkołach byli im podobni profesorowie.

Po wstąpieniu na tron Mikołaja, wszystkie te wieści zaczęły ustawać i wnet wszystko wróciło do dawnego stanu.

Burmistrz ów gdzieś zginął i więcej o nim nie słyszano. Ceregrafy wierności i zobowiązania się, że żaden z nas uczniów nie będzie należał do żadnego towarzystwa, czy krajowego, czy zagranicznego, były wróżbą zmienionej polityki. Tę samą przysięgę musieli składać wszyscy obywatele.

Jakie pogłoski wówczas biegały, nie od rzeczy będzie tu wspomnieć. Mówiono, że zamiar Aleksandra połączenia Litwy, Wołynia, Podola do Polski oburzył wielu Rosyan, że to było przyczyną jego śmierci i że Mikołaj czynnie się do tego przyłożył, a przeniesienie do korpusu litewskiego żołnierze wierzyli jeszcze w styczniu 1828, że Aleksander znajduje się gdzieś za morzami z Napoleonem. Można było z tej baśni korzystać, bo żołnierstwo mocno w nią wierzyło. Wiara ta długo się przechowywała i jeszcze w czasie naszej wojny, gdyby Ludwik Napoleon z bronią w Połędze był wylądował, jest wielkie podobieństwo, że żołnierze byliby na tę wiadomość massami uciekali i broń składali.

W takim usposobieniu zastało powstanie listopadowe kraje zaniemeńskie. Chęci były, zapal się znalazł, brakowało tylko ludzi, którzyby tyle materiałów w jedno ognisko byli umieli zestrzelić.

Pogłoska o powstaniu listopadowem rozeszła się w Wilnie dnia 3. grudnia od osób, które otaczały Nowosilcowa. Chciał on zapewne pogłoski inne sparaliżować, bo rozgłosił, że się tylko studenci i akademicy zbuntowali. Dopiero nazajutrz słychać było, że się podchorążowie z młodzieżą akademicką połączyli. Wkrótce nie było już tajemnicą, że i wojsko należy do powstania.

Wiadomość, że książę Czartoryski, Niemcewicz, Lelewel

stanęli na czele ruchu, że Chłopicki ogłosił się dyktatorem, sprawiła powszechną i niewypowiedzianą radość. Osoby te obudzały największe zaufanie. O talentach wojskowych Chłopickiego tak nie wątpiono, jak o cnotach polskich wymienionych osób. Okoliczność ta, że książę Czartoryski zna tajniki gabinetu petersburskiego, potrzeby naszego narodu, i że mu nikt nie pozazdrości władzy, jako najznakomitszemu z narodu polskiego, zwiększała jeszcze ufność w przyszłym powodzeniu.

Niemcewicz uważano za wzór doświadczonego patrioty w rozmaitych kolejach narodu. Po Lelewelu spodziewano się, że jako najpierwszy historyk polski dostarczy rad stosownych dla uniknięcia błędów. Czekano tylko na rozkaz Chłopickiego, o którym w Wilnie rozmaite biegały wiadomości. Słyszano o jego zajęciach z W. Ks. Konstantym, mówiono że go Napoleon wielce cenil, że Wellington znał go i witał w Warszawie jako godnego siebie przeciwnika. To wszystko dawało o nim wyobrażenie wielkiego wojownika i człowieka, który w żadnym przypadku nie zdradzi Polaków. Przekonanie było powszechne, że już zdrady nie będzie, bo osoby na czele ruchu warszawskiego zostające, zaspokajały pod tym względem najpodejrzliwszych. Puszczone w obieg stosowną piosnkę, która to zaufanie wyrażała.

Wzmacniało tę ufność w przyszłość, że powszechnie wiadano, iż niema w świecie wojska więcej jak polskie wymurowanego; mówiono że każdy żołnierz polski z czwartoletniej służby zdalny jest do komenderowania przynajmniej kompanią, że każdy podchorąży brygadą, albo i dywizją. Obliczano że Królestwo Polskie ma do 400.000 zdanego do boju rekruta, że rekruta z gubernij polskich podnoszone do pół miliona i obiecywano sobie, że wojsko polskie dostarczy wybornych oficerów. Słowem nikt nie wątpił o przyszłym naszym oswobodzeniu. Wyobrażenia egzaltowana tworzyła sobie nawet cudowne zjawiska, które potwierdzały to narodowe przecucie.

Żołnierze moskiewscy od warty, mieli widzieć o północy rycerza na białym koniu, który przelatywał z Ostrejbramy na wschód katedralny i wierzone, że to święty Kazimierz, patron Polaki i W. Księstwa litewskiego.

Ktoś znowu miał widzieć na niebie trzy kolumny nadzwyczaj wielkie i czarne; z tych jedna ciągle się ścierała z małą kolumną białą, a inne dwie tylko ją dotykały, nareszcie biała kolumna oblała swoją białością kolumnę czarną aż do połowy i sama znikła, aż nakoniec wielka kolumna pokryła się czernością i znowu pokazała się kolumna biała. Inni mieli widzieć na niebie i rozmaicie sobie tłumaczyli siedm świec zapalonych

ROZDZIAŁ II.



Nowosilców znajdował się wtenczas w Wilnie i niezwłocznie przeniósł się z mieszkania swego do rektora uniwersytetu Pelikana. Kompania żołnierzy była mu dodana dla jego bezpieczeństwa. Podwojono warty, szczególnie przy zbrojowni i gubernatorze wojennym.

Śród oczekiwania najniecierpliwszego wiadomości urzędowej z Warszawy, upłynęło dni kilkanaście; spodziewano się lada chwila, że przyjdzie wiadomość o zbliżaniu się przynajmniej jednego pułku polskiego i w tem oczekiwaniu nie organizowano potajemnie żadnego powstania.

Tymczasem Moskale postanowili zająć w mieście kilka punktów, które zdawały się im być najstosowniejsze. czy to do bronienia się, czy do uderzenia na mieszkańców i w tym celu przed upatrzone na to domy, zostawiali albo pijanych albo udających, że są pijani i policya wpadła do takich domów, nakazując żeby w kilka godzin wszyscy z domu się wyprowadzili, bo dom przed którym takiego niby cholere mającego znaleziono, będzie wzięty w kwarantannę i nikt z niego później nie wyjdzie. Domy te takim sposobem opuszczone zajmowane były natychmiast przez wojsko.

Znchodziły się wtenczas w Wilnie tylko dwa pułki piesze, ale wnet zaczęły ściągać i inne pułki i to tak forso-

wnemi pochodami, że z powodu tych żołnierze byli w najniebezpieczniejszym stanie; wielu miało pokaleczone i poodmrażane nogi.

Czynność władz i ich postrach były nadzwyczajne, nieustannie odchodziły sztafety do rozmaitych miast i do Petersburga, jedne i te same oddziały wojska przechodziły po kilkakrotnie przez miasto dla powiększenia w oczach ludu mas, gotowych do stłumienia ruchu, w arsenałach, gdzie miało być trzydzieści tysięcy broni, podejmowano zamki z karabinów przeniesiono je do rozmaitych miejsc.

Zapasy wojenne przygotowane w Wilnie, podobno na wojnę z Francją, były ogromne: oprócz kilkudziesięciu dział na lawetach, było do stu dział bez lawetów a amunicji miało być dla sto tysięcy wojska na dwumiesięczną kampanię.

W samym Wilnie aresztowano z razu tylko kilka osób, ale z prowincji przywożono w zakrytych powozach i po eskortą kozaków mnóstwo osób, ale o ich nazwiskach można się było dowiedzieć.

Kursa w uniwersytecie odbywały się wprawdzie, ale dla ośmiu bedelów zwyczajnych dodano czterdziestu nowych, z poleceniem aby na wszystkie postęпки uczniów nieustannie dawać baczność.

Jeden z takich nowych bedelów, z ucznia pierwszoletniego medycyny do obowiązków tych powołany, niejaki Michanowicz rozpoczął swoje urzędowanie od szpiegowania uczniów. Pochodził on co wieczór pod dom, w którym mieszkało wielu studentów, ale dosłyszeć nie mógł ich rozmowy, bo mieszkali na pierwszym piętrze. Uważała to młodzież i aby mu ułatwić podsłuchiwanie, zostawiono w bliskości drabinkę. Michanowicz nie domyślając się podstępu, użył jej i kiedy już był po oknach pierwszego piętra, raptem otworzyły się okna, pochnięta drabinkę i biedny szpieg tak się potłukł, że w kilka dni potem umarł.

Ciągle robiono afrynta tym nowo mianowanym bedelom a ponieważ dla dodania ducha przysłano w tym czasie orderów wszystkim profesorom, więc i niektórzy profesorowie, nie uważani za gorliwych Polaków, doznawali wzgardy studentów.

Razu jednego bedel Sobolewski wszedł do klasy drugoletnich modyków, natychmiast przyjął go powszechny krzyk:

— Szpieg! Szpieg! Powiesić go!

Profesor Bilkiewicz nadszedł na ten gwar do klasy, natychmiast wysunął się jeden student i zaczął mu wieszować orderu. Bilkiewicz zmieszany — odpowiada:

— Jeśli ze szczerzego serca wieszujecie, dziękuję.

— Tak, tak! — zawołali wszyscy uczniowie ironicznie i zaczęli szurować nogami.

Profesor zawstydzony, rozpoczął lekcję, ale jej dla ciągłego hałasu dokończyć nie mógł.

Zresztą rząd nie bez przyczyny zwracał szczególniejszą baczność na uniwersytet; była to młodzież nie tylko dobrze myśląca ale i usposobiona, mogąca w krótkim czasie ukształcić się na oficerów i na przywódców powstań, a było jej do tysiąca dwieście, to jest tysiąc uczniów zapisanych, a do dwustu nie zapisanych, którzy już po ukończeniu nauk chodzili na rozmaite kursa.

Nadchodziły święta Bożego Narodzenia, na które zwyczajnie akademicy na piętnaście dni jeździli do domów. Czekaliśmy tej chwili z niecierpliwością, w nadziei, że nam łatwiej będzie z domów, niż z Wilna, połączyć się albo z powstaniem spodziewanym, albo z wojskiem polskim; atoli rektor Pelikan zapowiedział, że żaden akademik nie wyjedzie na święta, a to pod pozorem aby młodzież nie była wystawioną na przykrości w czasie swego przejazdu wśród przechodzących na zachód wojsk J. C. M. (słowa cyrkularza drukowanego i wręzonego każdemu akademikowi.)

Zakaz ten tem bardziej obudzał w nas chęć wydobycia się z miasta. Wielu oświadczyło władzy uniwersyteckiej, że niespodziewany taki zakaz stawia ich w niemożności utrzymywania się, bo rodzice czekając ich przyjazdu nie przewidywali ich niedostatku.

Władza uniwersytecka oświadczyła gotowość pomagania takim studentom i wyznaczyła 150.000 rubli, z których zapomogi dawać potrzebny uczniom miały być uważane za pożyczkę aż do ukończenia wojny.

Korzystano z tego natychmiast i za pożyczone pieniądze kupowano broń i proch; ale kiedy kilku niecierpliwszych, wziąwszy pieniądze, wyniosło się z Wilna i uciekło do Królestwa, pożyczki stały się trudniejsze i prawie niepodobne.

Przejazd księcia Lubeckiego i feldmarszałka Dybicza przez Wilno, były w tym czasie najważniejszymi wypadkami.

Pierwszy, jak przynajmniej pogłoski chodziły, miał powiedzieć, że w powstaniu Królestwa polskiego nie idzie wcale o gubernie, o Litwę, że jedzie do Petersburgu w tej nadziei, że wszystko skończy się bez wystrzału, że cesarz przychyli się zapewne do żądania królestwa, to jest, żeby wojska rosyjskie nie konsystowały w Królestwie i aby zniesione były opłaty akcyzy i soli.

Pogłoski te lubo wielu oburzały, nie nadwątlily jednak wiele dobrego ducha i nie ściągnęły na Lubeckiego powszechnych złorzeczeń. Byli, co w nim widzieli Konrada Wallenroda i kiedy razu jednego, podobno dla rozruchów, z powodu cholery, poczta z Petersburga w swoim czasie nie nadeszła, rozgłoszono, że ksiązę Lubecki zrobił w Petersburgu rewolucję.

Przyjazd Dybicza był dramatyczniejszy. Był on zapowiedziany i władze przez kilka dni go czekały, w niepewności, kiedy przyjedzie.

Jednej nocy przyjechał do Wilna niespodzianie. Nazajutrz o świcie wszyscy bedelowie rozbiegli się po mieszkaniach studentów, wzywając ich z zaproszeniem przez feldmarszałka do auli akademickiej na godzinę ósmą z rana, gdzie się stawać mieli w uniformach. Zgromadziliśmy się w oznaczonym czasie; było nas do tysiąca.

Wnet pokazał się dozorca uniwersytecki, niosąc insygnia akademii, jak był zwyczaj w czasie wielkich uroczystości, w jednej ręce berło, w drugiej glob, na którym była pogoń, a za nim Pelikan i Nowosilcow, wprowadzający Dybicza z kilku generałami i adjutantami.

Tłum profesorów zamykał ten orszak. Dybiez wszedłszy w głąb sali pomiędzy dwa szeregi, któreśmy formowali, przywitał nas grzecznym ukłonem i w te do nas po rosyjsku odezwał się słowa:

— Panowie! cesarz kazał mi oświadczyć wam swoje najwyższe ukontentowanie za dobre i spokojne sprawowanie się i prosi was, abyście się na przyszłość równie sprawowali i nie szli za przykładem bezrozumnych zapaleńców warszawskich. Jeśli, jak się spodziewa, uczynicie zadosyć jego woli, wszelkie łaski jego będą dla was i prowincyj waszych przystępne i na dowód tego może każdy z was pisać osobiście do N. P., jeśli żąda umieszczenia w cywilności lub wojsku; w ośm dni każdy otrzyma pomyślną odpowiedź.

Jak tylko Dybiez mówić przestał, rektor Pelikan zaczął nam tłumaczyć jego mowę.

— Panowie — rzekł — J. W. hrabia feldmarszałek Dybiez Zabalkański oświadczył w imieniu cesarza i t. d.

Gdy przyszedł na to miejsce, gdzie Dybiez mówił o łaskach cesarskich, rozpoczęło się szurgotanie nogami i gwizdanie, poczem nastąpiło powszechne sykanie, tak iż się zdawało, że syki te wychodziły z wszystkich porów muru.

Nagle, jak gdyby na komendę syki te ustały. Jak się tylko uciszyło, Pelikan znowu przybiera urzędową minę i powtórnie zaczyna od słów:

— Jaśnie Wielmożny hrabia feldmarszałek Dybiec Zabalkański i t. d. — ale młodzież tym razem już do mówienia o łaskach nie dozwoliła; mu przystąpić szurowanie nogami, gwizdanie, sykanie znowu głos jego stłumiły i musiał przestać, poczem znowu nastąpiła cisza.

Po pierwszym zaraz sykaniu, trudno wystawić sobie, co się działo z twarzami Dybicza, Nowosilcowa, Pelikana i całego orszaku. Dybiez skłonił się i uczynił krok do wyjścia, Nowosilcow przewracał oczyma, Pelikan o mało nie zemdlał; na wszystkich widać było drganie konwulsyjne.

Po drugiej scenie Dybiez znowu uczynił krok, ukłonił się nam bardzo grzecznie i zabierał się do wyjścia, kiedy Nowosilcow nisko się przed nim zginając, niejako zaszedł mu drogę i w te do niego po rosyjsku odezwał się słowa:

— Panie feldmarszałku, bardzo wielu uczniów tutejszych pragnie mieć szczęście służenia w wojsku cesarskiem.

— Bardzo mi będzie miło — odpowiedział — spotkać się z nimi w czasie moich działań wojennych.

Cały orszak ruszył z miejsca i na tem się skończyła ta szczególna Dybicza wizyta.

Mówiono, co zresztą jest bardzo podobne do prawdy, że Dybicz, powróciwszy do domu, czynił Nowosilcowi i Pelikanowi gorzkie wyrzuty za takie skompromitowanie i jego i cesarza.

Oni co powinni byli znać ducha młodzieży, miał im mówić, nie powinni byli wprowadzać go w miejsce, gdzie z całym orszakiem mógł zginąć, gdzie zaszła publicznie taka dla cesarza obraza. Słychać było, że Dybicz mocno tą sceną wzruszony, miał napad apopleksyi i kazał sobie krew puszczać. Jak się Pelikan tłumaczył, nie wiem; ale mi wiadomo z pewnego źródła, że Nowosilcow zapisał w swoich notach, odpowiedź daną Dybiczowi w ten sposób:

— Nie zważaj na to feldmarszałku; na tej ziemi wszyscy są tacy, ale lepiej, że śykają, bo wiemy gdzie są nasi nieprzyjaciiele; nie obawiajmy się ich atoli, bo oni tylko sykać umieją.

Mówiono, że Dybicz żądał od Nowosilcowa, aby za tę zbrodnię porozsyłać uczniów na Sybir i do pułków; Nowosilcow miał się temu sprzeciwić, wystawiając mu, że taka kara oburzyłaby obywateli najznakomitszych, bo to są ich synowie, a gdy Dybicz nastawał, aby przynajmniej głównych sprawców ukarać i tego miał mu odmówić Nowosilcow, zapewniając, że wszyscy studenci żyją pomiędzy sobą tak ściśle, iż nie można mieć nadziei, iżby wydali głównych sprawców.

Nadrabiano dobrą miną, pokryto ten afront, młodzież nie doznała natychmiast żadnej zemsty od Pelikana; rozgłaszano tylko, że dwudziestu kilku studentów zapisało się do wojska czynnego, inni mówili, że Dybicz lękał się ich przyjąć do armii; ale najpewniej, że się żaden do tej służby nie zgłosił.

Nowosilcow nie poprzestał na wskazówce sposobu myślenia uczniów, dosyć wyraźnej w czasie wizyty Dybicza. Postanowił on zmienić nasze granatowe mundury na zielone, i jak mówiono tak rozumował: Jeśli z posłuszeństwem przyjmą tę zmianę,

jest nadzieja, że się poprawią; jeśli nie będą chcieli ich nosić, wtenczas nie będę już wątpił, że to buntownicy. Wnet się o tem przekonał, bo z tysiąca uczniów tylko dwóch sprawiło mundury zielone, a tylko jeden śmiał go przywdziać.

Nie na tem skończyły się działania tego, przekłętej pamięci kuratora uniwersytetu wileńskiego. Wydawał on ciągle potajemne rozporządzenia, których potworności uwierzonoby z trudnością, gdyby wielu z nas ówczesnych studentów sumieniem nie mogło ich zaręczyć.

Zażądał naprzód od gubernatora wojennego, aby mu przysłał na szpiegów kilku oficerów, młodych, przezornych, rodem z prowincyj zabranych i mówiących po polsku, ale doświadczonej dla cara wierności, a od policmajstra raportu względem ludzi cywilnych, mających stosunki z akademikami z opisaniem wszelkich skłonności tych ludzi i czy nie są podejrzeni. Oprócz tego miała policya rozkaz śledzenia młodzieży różnego stanu, a szczególnie akademików i aresztowania ich za najmniejszym podejrzeniem.

Ale najniegodziwszym środkiem przez Nowosilcowa wymyślonym było, iż nasadzał na młodzież całe domy kobiet publicznych, a to w celu, aby ją moralnie znieczemnić i zniszczyć w niej energią. Było dla niego za mało wileńskich tego rodzaju domów; kazał sprowadzać dla większego powabu, nowości z innych miast i sprowadzano kobiety nawet z Rygi.

Z kilku oficerów, których gubernator wojenny Chrapowicki Nowosilcowi na szpiegów przysłał, najwięcej znany był porucznik Kudrewicz, o którym dla tego kilka słów tu powiem, że go Nowosilcow później dla widoków swoich poświęcił. Niechaj przykład Kudrewicza będzie dla wszystkich moskiewskich szpiegów i nauką, i przestrogą!

W połowie stycznia słyszałem o jakimś oficerze, który szukał zręczności zaznajamiania się z akademikami. Wielu z nas i ja pomiędzy nimi byłem, chciało go poznać naprędzej, żeby się przekonać, w jakim zamiarze zabiera te znajomości.

Razu jednego zaszedłszy do krawca żyda, spostrzegłem przez okno wchodzących do kamienicy na przeciwko, jakiegoś oficera rossyjskiego i czterech cywilnych, zupełnie mi niezna-

nych; a ponieważ w tej samej kamienicy miałem znajomego, natychmiast postawiłem odwiedzić go, żeby się czegoś o tym oficerze dowiedzieć. Właśnie u tego mojego znajomego zastałem i oficera z trzema cywilnymi i kilku akademików, z których tylko jednego bliżej znałem.

Po przywitaniu, zwróciłem uwagę na oficera. Miał on oczy z zapalenia zaczerwieniałe, ale fizyognomia i głos jego dosyć były miłe; wzrostu średniego, miał dwadzieścia kilka lat i poruszenia żywe, ale mowa jego była przewlekła i rozważna.

Był to Kudrewicz, którego właśnie chciałem poznać i tu nie spodziewałem się zastać.

Przybycie moje widocznie przerwało ciąg rozmowy, w której on głównie głos prowadził; zamikł i dopiero po rozmowie nic nie znaczącej, przy mnie, nieznanym mu, rozpoczął na nowo prawie z wielką odłącznością słów i donośnym głosem.

Przytaczam tu wiernie nie słowa jego, ale treść ich:

— Warty i patrole przepuszczają mnie o każdej godzinie w nocy, mam prawo i obowiązek rewidować wszystkie odwachy, na mój rozkaz otwierają bramy, nawet dziedzińca arsenału. Mam nawet pod płaszczem latarkę zapaloną, którą gdy pokażę, strażę wszędzie mnie przepuszczają. Do Pelikana i Nowosilcowa o każdej godzinie wchodzić mi wolno. Wojennego gubernatora nie lękam się, a w razie ostatecznym, gdyby nas zdradzał, sam go przebiję.

Największa ostrożność malowała się na twarzach wszystkich obecnych, kiedy Kudrewicz mówił. Spodziewał on się zapewne wyczytać na nich, radość i chęć korzystania z jego stosunków w wojsku. Gdy mówić przestał, zaczęto rozmowę o rzeczach obojętnych, jak gdyby to co chwilę pierwej mówił, nie zasługiwało na uwagę. Kudrewicz paląc fajkę przechodził się po pokoju i rad nie rad musiał także brać udział w rozmowach, nie mających ze spiskiem żadnego związku.

Przybliżył się do mnie i przywitawszy, zapytał o nazwisko; powiedziałem mu bez wahania się zupełnie inne i rozmawialiśmy o rzeczach nic nie znaczących, a on widząc, że z nas nic nie może wyciągnąć i gdy inni zaczęli wychodzić, zabrał się także i wyszedł.

— Nie wierzymy czerwonemu kołnierzowi, — rzekłem do mego znajomego, jak tylko Kudrewicz wyszedł.

— Niech sobie plecie — odpowiedział mi — ja się nie zapalę jego słowami, bom słabowity, i na wojnę nie pojędę.

Prosiłem go, aby mi powiedział, co mówił Kudrewicz, nim przyszedłem. Odpowiedział mi, że zapewniał, iż Nowosilcow i Pelikan dali mu dwa tysiące dukatów na szpiegowanie akademików i wciąganie ich do spisku, ale że on (Kudrewicz) nie zdradzi ich, sam będąc dobrym Polakiem i kochając ojczyznę, zaręczył także, iż generał gubernator wojenny jest dobrym Polakiem i gdyby go zdradzał, sam go przebiję.

Powtórzyłem memu znajomemu swoje podejrzenia, ale ten odpowiedział mi, że nie sądzi o nim tak źle, bo . . .

Udałem się do moich znajomych i opowiedziałem im wszystko, co od Kudrewicza słyszałem; wszyscy uznali, że jeśli to nie szpieg, to przynajmniej człowiek bardzo nieroztropny. Tak wielka władza, jaką sobie w wojsku przypisywał była albo kłamstwem, albo dowodem, że mu nie należy ufać, bo człowiekowi niewypróbowanemu w wierności dla cara, nie powierzono takiej władzy. Wkrótce i inni akademicy mówili mi, że słyszeli od Kudrewicza podobne oświadczenia. Jedni radzili tylko nie wdawać się z nim, inni byli tego zdania, że człowieka tak szkodliwego należy sprzątnąć jak najrychlej. Wszakże w braku zupełnych dowodów nie chciano tego uczynić.

W zabieraniu znajomości z młodzieżą, nie szczędził Kudrewicz pieniędzy; słyszałem, że wielu poił winem i jednemu z nich dał wygrać od siebie raz 80 dukatów, a drugi raz podobno jeszcze większą sumę.

Przyczepił się szczególnie do jednego, przez którego chciał sobie utorować drogę do znajomości z innymi. Nie znalazł jednak żadnego, któryby mu w tem niecnym szpiegostwa rzemiośle chciał być pomocnym, bo i ci co z nim wtenczas najczęściej się widywali, dali w powstaniu dowody swego patriotyzmu i znajdują się nawet na wygnaniu.

Pozabierał on także znajomość z młodszymi akademikami, których roztropność nie radziła wprowadzać do spisku, nie dla

tego, żeby im nie ufano, ale że będąc bez doświadczenia łatwo się zwierzali w mylnem rozumieniu, że przez to przyczyniają się do pomnożenia dobrego ducha:

Pomimo naszych ostrożności z Kudrewiczem, dowiedziała się policya, że mamy przeszło 600 pałaszy i mnóstwo palnej broni, w skutku czego nakazano powszechną u akademików rewizyę.

Były to pogłoski mylne, o których powiedział Kudrewiczowi jeden, co się najwięcej z nim wdawał. Jednego razu w nocy wszedł do mnie dziekan Mianowski z profesorem Parcianką i dwoma bedelami; budniki (policya miejska) zostali w sieni; oddział żołnierzy, który Mianowskiemu towarzyszył, zatrzymał się przed domem na ulicy.

— Z rozkazu kuratora uniwersytetu — rzekł Mianowski do mnie przebudzonego — wzywam pana, abys oświadczył, czy masz u siebie broń, lub proch i abys je złożył w policyi uniwersytetu, w ciągu najdalej dwudziestu czterech godzin, nie obawiając się za to żadnej odpowiedzialności, chyba w razie gdybyś broń zataił.

Odpowiedziałem dziekanowi, że nie trudnię się myślistwem i nie mam żadnej broni; przejrzano szafy, zrobiono ogólny przegląd pokoju i oddalono się.

U innego ucznia w tym samym domu robiono ostrzejszą rewizyę, dla tego, że zapytany o broń, załakł się, bo podobno w istocie miał na dziedzińcu schowany pod drzewem stary karabin, którego jednak nie znaleziono, a co zabawniejsza, że sam student nazajutrz znaleźć go nie mógł.

Dowiedzieliśmy się, że podobną rewizyę odbywali tej samej nocy wszyscy inni profesorowie u innych uczniów, nie tylko w tym domu, ale w całym mieście.

Z rana służący przyniósł nam paczkę papierów, którą w sieni znalazł. Był to protokół rewizyi Mianowskiego z wynotowaniem broui u niektórych akademików znalezionej. Bedel zgubił te papiery i wkrótce potem przyszedł zadyszany pytać się, czyśmy ich nie znaleźli; rozumie się, żeśmy ich nie oddali, a przejrzaawszy je i wynotowawszy z nich co ciekawszego, spaliliśmy ten owoc całonocnej pracy dziekana.

Po ostatniem widzeniu się mojem z Kudrewiczem przez dni kilkanaście zapraszał on ciągle studentów do swojego mieszkania i tam ich poił, zawsze o spisku rozmawiając. Jednego razu pospraszal do siebie oprócz studentów, pisarza cechu ratuszowego Sorokiewicza, dawnego kapitana Bazewicza, furjera magazynowego Przewłockiego, który się podejmował wytruć żołnierzy w koszarach i po obfitem uraczeniu obecnych winem, zaproponował im przysięgę na popioły Gedyminów, Olgierdów i Witoldów, że do ostatniej kropli przeleją krew za ojczyznę.

Zaproszony na to posiedzenie ksiądz missyonarz Wójtke-wicz, przyjmował przysięgę przed krucyfiksem i kilku karabinami i pałaszami na krzyż złożonemi.

O przysiędze tej, unikając Kudrewicza i innych od widywania go odwołując, wcale nie wiedziałem, kiedy razu jednego wieczorem wpadł do mnie nieznajomy mi kolega i w obecności kilkunastu innych ściskając mi rękę, zawołał:

— Na miłość Boga i ojczyzny, biegnij czem prędzej do tych, którzy mieli stosunki z Kudrewiczem i w jego mieszkaniu składali przysięgę; niech uciekają, bo Kudrewicz zdał raport o ich spisku gubernatorowi wojennemu.

Wiadomość ta lubo nas przeraziła, przez wzgląd na nie-szczęśliwych, którzy się przez Kudrewicza oszukać dali, nie zatrwożyła nas o związek, któryśmy sami bez Kudrewicza rozszerzali, bo ten był tak urządzony, że nawet w razie odkrycia tylko częśćka spisku byłaby się wydała, a naczelnik zawsze był bezpieczny.

Nie tracąc czasu, korzystałem z przestrogi. Na ulicy zamkowej spotkałem zaraz jedną z tych ofiar Kudrewicza, a raczej Nowosilcowa, kilkonastoletniego ucznia . . .

— Ach! żebyś wiedział — temi przywitał mię słowy — co to za pocziwy ten Kudrewicz! Jak patryotyczną wygotował przysięgę! Ileż to on stracić musiał pieniędzy na traktowanie nas trunkami!

Snadno temu uwierzyłem, bo biedny młodzieniec jeszcze się chwiał i trunek od niego mocno było czuć. Zapytałem go, czy podpisał tę przysięgę?

— Podpisałem.

Uwzględniłem go o raporcie podanym gubernatorowi i wskazałem dom na przedmieściu, w którym ma się ukrywać.

— Ach! Jezus! — zawołał młodzian — czyż on może być tak podłym! Przez cztery dni powtarzał mi, że nas nie zdradzi, że i on dobrym Polakiem, że oszuka Moskalów i Nowosilcowa.

Nareszcie dodał, kiedym się z nim roztawał, byłem pijany, na trzeźwo nie byłbym podpisał, nie lękam się więc za to żadnej kary.

Pobiegłem dalej do tych, o których domyślałem się, że mogli złożyć przysięgę.

Zastałem ucznia, którego przestrzegałem, aby się miał przeciw Kudrewiczowi na ostrożności.

Jakoż i ten podpisał był przysięgę; usłuchał mnie natychmiast i obiecał przepędzić noc w innym domu. Ale zaczął wnet rozumować: jeśli policja mnie w domu nie zastanie, powiększy to przeciw mnie podejrzenie, a jeśli mnie zastanie będę się tłumaczył, że byłem pijany, i będę żądał trzech świadków wiarygodnych, jakich dla przekonania wymaga prawo rosyjskie. Narzajutrz rano dowiedziałem się, że go w nocy inspektor uniwersytetu z policją akademicką, miejską i oddziałem żołnierzy odwiedził i aresztował. Szukano wszędzie, ale nie znaleziono tego, który mojej rady usłuchał. Innego także udało mi się przechować u siebie, a potem u pewnego jurysty. Ucieczka jego z miasta powiodła mu się szczęśliwie; udał on że jest asesorem i o świcie wyruszył z miasta.

Wszystkich wyjeżdżających egzaminowano wtenczas ściśle przy rogatkach i pytano o paszport. Jakoż i jego zaczęto egzaminować, ale on huknął z góry na oficera, wyskoczył z powozu, wpadł do kordygardy i zagroził raportem, że tak niedbale strzegą rogatek, że wypuścili wyjechać buntownikowi jakiemuś z siwą brodą, za którym on teraz asesora jedzie w pogoń i kazał jak najprędzej przepuścić siebie przez rogatki.

Straż przerażona groźbą asesora mniemanego, natychmiast go przepuściła. A że policja w szukaniu go mogła mieszkanców niepokoić, ktoś posłał jej płaszcz zbiegłego w wodzie zmoczony, z uwiadomieniem, że chłopci widzieli, jak ktoś prze-

blą do Wilii wskoczył i tylko płaszcz na lodzie został. Policja uniwersytecka doszła zaraz, że to płaszcz tego, którego szukano i w przekonaniu, że się utopił, nie kazano go więcej szukać. Wypłynął on szczęśliwie i dziś znajduje się z nami.

Zasięgnąwszy wiadomości o poszukiwaniach policji, udałem się natychmiast przed wschodem słońca do kamienicy, gdzie było sześciu i zawiadomiłem ich o raporcie Kudrewicza i o aresztowaniach tej nocy. Wszyscy odpowiedzieli, że się nie lękają, bo przysięgę wykonali po pijanemu, że zatem uciekać nie mają potrzeby.

Ale był tam także nieszczęśliwy furyer z pułku Białozierskiego, który zawołał:

— Ach! Boże! Zapewne wam to nie! Ale mnie natychmiast rozstrzelają!

— Nie bój się — rzekłem — ukryjemy cię tak, że ci się nie złego nie wydarzy.

— Ale ja mam — odpowiedział — ważne w kwaterze papiery i 500 dukatów; muszę koniecznie wpaść do niej z wszelką ostrożnością.

Odradzałem mu, bo może już straż jest przy kwaterze,

— Od żołnierzy, rzekł to się jeszcze wykręcę, bo mnie wszyscy kochają i robią, co będę chciał.

To mówiąc odszedł, a ja miałem go czekać. Tymczasem pobiegłem ostrzegać innych, ale już żadnego nie zastałem.

Wróciłem w miejscu oznaczonym czekać nieszczęśliwego Przewłóckiego; nie było go jeszcze, zastałem tylko innego, którego zapytałem, dla czego nie ucieka do. . . . ; odpowiedział mi, że. . . Nie mogąc doczekać się Przewłóckiego, pobiegłem dowiedzieć się, co się z nim stało.

Nieszczęście! Już było za późno; już był aresztowany!



ROZDZIAŁ III.



Powiedziałem, że mnie o bliskim aresztowaniu uczniów przez Kudrewicza wydanych, zawiadomił dosyć wcześnie patriota, którego nazwiska nie wymienilem. Dopelnilem poleconego sobie ostrzeżenia natychmiast i każdy z ostrzeżonych miał dosyć czasu do ukrycia się i do ujęcia szponów moskiewskich. W podobnych okolicznościach trzeba się decydować w jednym okamgnieniu i śmiało.

Nieszczęśliwi nie uczynili tego. Ufali w swoją niewinność, w prawo i to w prawo rosyjskie! w sprawiedliwość i to sprawiedliwość moskiewską! Nie zważali, że co rozkaz, to nowe prawo, nowa formalność.

Przywiązuję wielką wagę do podobnej usługi, jaką wtenczas skompromitowanej przez Kudrewicza młodzieży oddało sześciu którzy naumyślnie weszli w styczność z urzędnikami carskimi i od nich wcześniej, bo na kilkanaście godzin dowiedzieli się o wydanych rozkazach.

Było to, powtarzam, mądrą zasługą związkowych, wchodzić w tajniki policyi i tym sposobem oddziaływać i paraliżować jej działania. Nie chciałem w ówczas wierzyć, chociaż o tem wiedziałem od policyi, całej szkaradności środków rządu rosyjskiego. I dziś lubo o ich prawdziwości jestem przekonany, lubo przeciw caryzmowi i myśl i serce tyle mam rozjątrzone, nie śmiem opisywać wszelkich jego rozbojów potajemnych, aby

nie oburzać polskich serc przeciw wszystkim bez wyjątku urzędnikom rosyjskim, pomiędzy którymi jest dosyć pocziwych. Zamiast ich wytępić, do czego najczęściej w czasie pokoju nie ma środków, trzeba śledzić ich działania, w których są tylko prostem narzędziem wyższych rozkazów. Śledzenie to nie trudne: każdy z sześciu patriotów starał się poznać charakter główniejszych urzędników policyjnych, ich nałogi, potrzeby, ich przyjaciół, przyjaciółki, ich powierników, służących nawet, a temi szczeblami idąc można było o wszystkim się dowiedzieć. Dośledzano kto i po co w policyi bywa, jakie ma stosunki, kogo śledzi, jak zachody jego udaremnić.

Aby się z komisarzami policyi (czastny przystaw) poznać, na tajnych schadzkach sześciu, zmagano się podawać skargi jedni przeciw drugim i tym sposobem miano zręczność dawania łapowego tym komisarzom, przezco nietylko zagadzali swoje udane spory, ale nawet o co właśnie im chodziło, zyskiwali na przyszłość usłużnych w ważniejszych sprawach pomocników.

Mógłbym przytoczyć dowody na skuteczność podobnych środków. Zapewne używanie ich nie zgadza się z otwartością charakteru polskiego, ale też na to zważać potrzeba, że ta otwartość, w zmienionem położeniu naszego narodu, często jest niewczesną i szkodliwą.

Jest to ratunek w śmiertelnonagłej i koniecznej potrzebie. Kiedyśmy niepodległości naszej z otwartością charakteru nie mogli utrzymać, musimy go zmienić, jeśli chcemy ją odzyskać. Nietylko, że dziś takiej podstępnej z polityką moskiewską zasługi, patriotom za złe mieć nie należy; ale owszem kłaść ją wypada do rzędu najprawdziwszego poświęcenia, bo ani honor, ani sława jej nie wynagradza, a często ścigają bolesne od swoich podejrzenie. Widzimy dziś, że z Moskalami nietylko w boju, ale i w pokoju trzeba brać ząb za ząb; gdybyśmy więc oddziaływania ich polityki w czasie pokoju zaniedbywali, bez boju wnet zostalibyśmy ich niewolnikami, a do boju mielibyśmy wielce utrudzone przygotowania.

Gdzie tylko robiono śmiało i nie zwierzano się podejrzanym, nie nastąpiła nigdy zdrada, chociaż tysiące mieszkańców o tajnych działaniach wiedziało. Gdyby więc patrioci ciągle

przezornie i przebiegle byli postępowali, nigdy Moskale o żadnym spisku nie byliby się dowiedzieli, pomimo czujności ich czynnej policyi przeciw tej nie trzeba się wstydzić tworzyć kontra-policyi. Caryzm nie zrobiłby jednego szkodliwego nam kroku, gdybyśmy przeciw niemu mieli dobrą kontra-policyę. Nie miły to jest wyraz szpieg, ale rozróżniamy szpiega, który dybie na naszą zagładę, od tego, który się poświęca dla zasłonięcia nas od zagłady. Któraż społeczność, któryż rząd nie ma policyi? My sami tylko zmuszeni w kraju własnym tworzyć stan w stanie, rząd tajny pod rządami obcymi, mamyż nie używać tego środka? Te to prawdy, pomimo odrazę, niech mi wolno będzie powiedzieć przesadną, skłoniły owych sześciu do szpiegowania carskiej policyi. Przejęci wielkością celu, wspierani miłością ojczyzny, wypełniali to nowe dla siebie rzemiosło gorliwie i często skutecznie, a dali dowody swojego poświęcenia, bo niektórzy polegli, inni są w emigracyi.

Wracam do uwięzionych. Przez dwa dni nie mogłem mieć o nich żadnej wiadomości. Jednego rana dowiaduję się, że jakiś cywilny chce ze mną na osobności mówić. Wskazano mi miejsce, gdzie mnie czeka, zabierałem się wyjść i miałem zamiar wprzód z daleka go widzieć, nim z nim zacznę mówić, gdy w tem on sam wchodzi do mnie i w obec kilkunastu moich kolegów, wymieniwszy moje nazwisko, oddaje mi kartkę otwartą, na której były te słowa:

„Andrzeju! Bóg wie, za co mnie przyaresztowano. Odwiedz mnie jako mój krewny i przynieś mi ... tytoniu i fajkę. Zostaję w mrozie i na deskach bez posłania żadnego, a jestem najniewystępniejszym przeciw cesarzowi. P. Antoni.“

Spytałem się oddawcy kto jest, czem się trudni, a poznawszy, że to człowiek pocciwy, uściśkałem go i dałem mu kilka złotych. Uwiadomił on mnie, że mogę odwiedzić więźnia przed 10 z rana i kazał mi przemówić do sztyldwacha ostro w ten sposób: „Pusti menia z pozwolenia hospodina poliemiastra i plac-komientanta, który w tri minut zdieś budut.“

Zapewnił, że drugi sztyldwach nie ma prawa zatrzymywać mnie i nie będzie się o nic pytał.

Przed 9 godziną tego samego poranka byłem przed wię-

zieniem, przemówiłem do sztyldwacha sposobem mi wskazanym, na co żołnierz odpowiedział: „Da i stupajcie.“

Zastąpiłem więźnia leżącego w dosyć lekkim odzieniu na deskach w czasie kilkunasto-stopniowego mrozu. Z największą spokojnością rzekł do mnie:

— Nie idzie mi o życie, ale o to, abyście się pomścili na tych, których padniemy ofiarą i żebyście umieli nadal być mądrszymi w spiskach i nie zawierali podobnym Kudrewiczom. Bądźcie nieublaganymi dla wrogów mścicielami i użyjcie choćby wężowskich sposobów, aby wytępić to plemię, które się nie może nasycić krwią naszą.

Proponowałem mu środki ucieczki; zgodził się na nie; mieliśmy dać żołnierzowi 1000 rubli i namówić go, żeby sam uciekł, obiecując mu 100.000 rubli.

Przewłocki, bo to on był, opowiedział mi, jak w nocy o godzinie 3 stawiony był przed wojennego gubernatora Chrapowickiego, na którego długo w sali czekał. Wszedłszy ten do sali spojrział na niego ostro i spytał się:

— Kto ty takoj?

Przewłocki wymienił mu swoje nazwisko i dodał:

— Niezem ne winowat.

Chrapowicki odpowiedział gardłem:

— Daa. . . . ne winowat!

Poczem kazał go wziąć pod najściślejszą straż na mróz i na deski gołe. Mówiliśmy jeszcze o ucieczce i Przewłocki zapewnił mnie, że gdyby się nawet nie powiodła, nie przyzna się do niczego i nie skompromituje, nie zdradzi, nie oskarży nikogo, gdyby nawet na najokropniejsze męczarnie był wystawiony.

Żołnierzom, którzy tam stali i podoficerowi dał kilka paczek wagsztatu, które mu przyniosłem; zaczęli go palić i nie przeszkadzali nam rozmawiać, choćby po cichu, bo i tak rozmawialiśmy na ustroniu, z kąd nie mogli nas słyszeć. Byłto oddział pułku moskiewsko-muszkieterskiego, który długi czas stał w koszarach św. Ignacego.

Ostrożność radziła przerwać rozmowę; zaleciłem Przewłockiemu, aby ze swojej strony przygotował wszelkie środki

do ucieczki i przyrzekłem powrócić natychmiast po rewizyi, o czem miał uprzedzić dozorcę, zapewniając go, że jako krewny więźnia wynagrodzę mu jego ludzkość.

Przed więzieniem czekał na mnie. . . . ; powiedziałem mu, aby uważał kiedy placomendant Jukiczew z więzienia po rewizyi wyjdzie i na przypadek, jeśliby Przewłockiego do innego więzienia przenieśli, aby wiedział do którego. Sam zaś pobiegłem do związkowych. . . . którzy mogli dostarczyć pieniędzy na uwolnienie więźnia i ułatwienie ucieczki. Pochwalono te starania i obiecano pieniądze.

Byłem prawie pewny pomyślnego skutku i dowiedziawszy się że placomendant już wyszedł z więzienia i udał się na Antokol, gdzie także było więzienie, dla większego pozorów odwiedzenia więźnia, wziąłem nieco bielizny i żywności i pobiegłem do więzienia.

Warta już była zmieniona, ale przepuściła mnie, widząc, że służący niesie żywność, jak ją zapewnilem, za wiedzą policmajstra. Było w środku więzienia kilkudziesięciu żołnierzy, a podoficer zapowiedział mi, żeby z więźniem po cichu nie rozmawiać. Przewłocki rzekł do niego:

— Nie bój się bracie, ja nie jestem zbrodniarz, policya oskarżyła mnie za fraszkę (biezdielicu). Spodziewam się, że mnie wkrótce uwolnią.

— Daj Boże! Życzę wam — odpowiedział podoficer — bo i ja byłem więźniem i od lat sześciu jestem tylko podoficerem, chociaż byłem już w gwardyi karnietem.

Zdegradowano mnie za to, że powiedziałem porucznikowi, iż jest padłcem (podłym) i że w czasie rewolucyi w Petersburgu broniłem i zastępowałem z innymi księcia Szczepina.

Po tych słowach odszedł, a Przewłocki zaczął jeść i kłaść na siebie trzy koszule, bo był prawie zmarznięty, gdyż dla większego cierpienia nawet kaftana nie wolno było mieć na sobie.

Trzeba było dalej pracować z podoficerem i zrobić go dla siebie przychylnym. W tym celu Przewłocki wziął flaszkę i zbliżając się do niego poczęstował go wódką.

Podoficer żądał aby się sam pierwszej napił, poczem wy-

chylił w przerwach trzy czary, co razem czyniło dobrą kwartkę. Oprócz tego dał mu Przewłocki na tytoń i na wódkę dwa ruble srebrne.

Podoficer posławszy po te prowizye, przybliżył się do nas i rzekł, przyjmując kawał pieczeni i chleba:

— Rozmawiajcie i cicho, ale czasem i głośno.

Odszedłszy, sam do żołnierzy dla tego głośno i często przemawiał, aby nie uważali na przypadek, gdybyśmy po cichu rozmawiali.

Ale nam czegoś więcej jak rozmawiania potrzeba było. Przewłocki miał nadzieję, że za pomocą kilku garcy wódki i nie wielkiego podarunku, zdoła w nocy uciec. Radziłem mu zapewnić podoficera, że wynagrodzimy go, jeśli sam będzie musiał uciekać.

Przewłocki był tego zdania, że użycie znacznych pieniędzy i wielkich obietnic mogłoby zaszkodzić ucieczce i zdawało mu się, że gdyby podoficer żądał więcej jak 300 rubli asygnowanych, należałoby to uważać za sidła i podstęp. Obstawiał więc przy tem, żeby użyć innego środka, to jest spoić żołnierzy i z pomiędzy upojonych wymknąć się wśród nocy, chociażby wtenczas którego bagnetem przebić przyszło.

Znając on żołnierzy, sądził że byłoby nieostrożnie traktować wartę trzeźwą, bo tylko w takim stanie mogłaby i z trwogi, i z podejrzenia, że jest wielkim zbrodniarzem, utrudnić mu ucieczkę, zawsze jednak zapewniał, że wszyscy ze strony jego mogą być spokojni.

— Przysposób wszystko do ucieczki, abym przed wschodem słońca mógł być już w lesie za Pohulanką. Jeśli w nocy nie zapukam do twoich okiennic, przyjdź dopiero jutro o godzinie 9 przed więzienie.

Te były jego ostatnie słowa.

Oddaliłem się i przygotowałem wszystko, co tylko było potrzebne do ucieczki; to jest odzież i przewodnika, którego zobowiązałem, aby był gotów na wszelki mój rozkaz przez dwa dni. Był to żyd zniszczony przez kontrabandę, w . . .

Minęła północ i noc; nikt nie zapukał do moich okiennic.

O godzinie 9 z rana dowiedziałem się, że Przewłockiego przeprowadzono do innego więzienia.

Nie widziałem odtąd nieocenionego do dziś dnia dostatecznie męczennika sprawy polskiej; śmiercionośny błysk karabinów, które ugodziły w pierś jego, przypomina mi ciągle tego nieodżałowanej pamięci syna ojczyzny.

Tego samego dnia pozwoliła policja dostarczać niektórym więźniom żywność i odzież. Korzystając z tego pozwolenia dowiedziałem się, że . . . należy do tej liczby; udałem się do niego. Powiedział mi, że się niczego nie lęka, bo przypomniał sobie ukaz jakiś, wedle którego przysięga po pijanemu wykonana, jest nieważna, iż będąc w szkołach Chwołojńskich ukradł koledze swemu 30 dukatów i zegarek, że zatem wszelkie zeznania jego, jako złodzieja, nie powinny zasługiwać na wiarę.

— Ależ, jakież masz dowody urzędowe? — zapytałem go.

Zastanowiło to więźnia i zaczął się obawiać, aby Nowosilcow nie kazał łba skrócić raportom urzędowym ze szkół Chwołojńskich, zapisanym w tak zwanej księdze czarnej.

— Dla czegoś obstawałeś za nim, dla czego mu ufałeś, kiedy cię ostrzegałem, że nie należy ufać czerwonemu kołnierzowi? — zapytałem go znowu.

— Sądziłem, że się poprawił, że się pozbył nikczemności, która mogła być skutkiem jego młodości — odpowiedział mi.

Któż tu winien, pomyślałem, że nastąpiła taka zdrada?

Zapewne, że ten co milczał wiedząc o zepsutym charakterze Kudrewicza, kto go przyjmował do swojego mieszkania i może najpierwszy poulatwiał mu znajomości z ofiarami, kto z nim podzielał namiętność do gry, pomimo że zresztą był pocziwym i z gruntu dobrym Polakiem.

Więzień ten jeszcze żyje; niech sam zaświadczy, czy nierozwaga i słabość jego nie powinna być nauczającym przezorności przykładem?

Pożegnałem więźnia, pewny że przynajmniej nikogo nie wyda i wyszedłem z więzienia.

Jeszcze kilka bolesnych wspomnień o śledztwie, o wyroku i wykonaniu go.

W komisji śledczej zasiadał jako prezydujący Kurland-

czyk Graff: mówiono o nim, że to był człowiek ludzki, wchodzący w położenie młodzieży pocziwej, niedoświadczonej. Członkiem tej komisji był także pan Żaba Marcinkiewicz były prezes pierwszego departamentu sądów apelacyjnych, którego także głos powszechny nie obwiniał o służalstwo. Może niepodległości tych dwóch członków przypisać należy, że Nowosilcow ajenta swego Kudrewicza nie mógł ocalić. Może też jako główny prowokator nie śmiał za nim obstawać i wolał go poświęcić.

Więźniowie indagowani wedle przyzwoitej formy zeznawali prawie wszyscy jednostajnie: że do niczego nie należeli, że o niczem nie wiedzieli, że w żadne spiski się nie wdawali, że Kudrewicz ciągle im się narzucał, zapraszając to na karty, to na trunki, to nareszcie powtarzając, że Nowosilcow i Pelikan dali mu 2000 dukatów na wykrycie spisku pomiędzy akademikami, że dodawał, iż nie oszuka wciąganych, ale zdradzi Moskali, bo i on jest Polakiem, że mówił iż gubernator Chrapowicki jest także Polakiem, że i on sprzyja sprawie Polski, a jeśliby go zdradzał, sam przebiję go sztyletem, że ma ową wszechwładną latarkę i t. d.

Taki wypadek śledztwa nie musiał się podobać gubernatorowi i Nowosilcowi, bo komisya otrzymała rozkaz nie poprzestać na tem śledztwie i rozpocząć je powtórnie. Lecz więźniowie potwierdzili tylko dawniejsze zeznania i nie dodali nic nowego.

Tak więc cała zbrodnia spadała na Kudrewicza, Nowosilcowa, Pelikana i Chrapowickiego.

Gdyby to się było działo w kraju, gdzie prawa żądają, oni sami powinni byli uleść karze.

W Rosyi nawet jest za takie przestępstwa, zachęcające do buntu, kara ukazem Piotra W. przepisana. Czy nie wiedziała o nim komisya, czy nie chciała o nim wiedzieć? To pewna, że nie postąpiła, jak sądowi niepodległemu uczynić należało. Miała dowód, że Kudrewicz wydawał na prowokację znaczne pieniądze, że jednego tygodnia na karty i biesiady stracił 1000 dukatów. On, syn biednego szlachcica zagonowego, mający żołdu na stopie wojennej będąc, tylko 68 dukatów na rok, z kądże mógł wziąć tyle pieniędzy? Czy nie należało komisji

sprawdzić zeznania wszystkich obwinionych, którzy utrzymywali, że im Kudrewicz powtarzał, że dostał 2000 dukatów od Nowosilcowa i Pelikana? Czy nie należało jej podciągnąć pod swój sąd tych dwóch głównych sprawców?

Samego gubernatora powinna była na mocy tych zeznań i ukazów, które ją do tego upoważniały, zawiesić w urzędowaniu, a zasłonięta względem na całość i bezpieczeństwo Państwa, tego tylko nawet ze strony Mikołaja mogła się spodziewać, że ją tylko skasuje i inną komisję wyznaczy.

Wojenny gubernator i Nowosilcow korzystając z tej uległości komisji, nakazali nowe śledztwo w nadziei, że osłabieni i wymrożeni więźniowie, po torturach, w odpowiedziach swoich łatwiej się zawikłają. Chcieli oni koniecznie może ocalić Kudrewicza, a najpewniej mordem tych więźniów rzucić na miasto i cały kraj postrach.

Na tem trzeciem śledztwie siedmiu powtórzyło to samo, co na pierwszym i drugim śledztwie i przewidywano, że się skończy tylko na potępieniu Kudrewicza.

Ale na nieszczęście jeden akademik słabego zdrowia i porywczego charakteru, w więzieniu jeszcze bardziej osłabiony i rozjątrzony, na uczynione sobie pytania miał odpowiedzieć:

— Wiem, że wam idzie o nasze życie, przeto żeby już raz na zawsze skończyć, żeby wam dowieść, że się śmierci nie lękamy, bo nasza śmierć nie zgubi Polski, ale znajdzie mścicieli, otóż wam powiem, że mieliśmy zrobić rewolucję i aby wojsko nam nie przeszkadzało, mieliśmy zamiar zatruć je w koszarach, co brał na siebie furyer magazynowy Przewłocki. Prezydujący zażądał, aby zeznanie to podpisał, czego bez wahania się miał dopełnić.

Przywołany Przewłocki zapierał się z razu i utrzymywał, że nic podobnego ani słyszał ani w myśli mu powstało. Stawiono ich przed siebie i gdy tamten zeznanie swoje powtórzył, gdy zawołał:

— Cóż to, czyli się lękasz śmierci? Lepiej nie żyć, niż mieć do czynienia z naszymi nieprzyjaciółmi. Skończmy te udręczenia, ustąpmy ze świata!

Przewłocki zaczął się jękać i w końcu miał powiedzieć:

— Nie miałem zatruć żołnierzy, ale tylko zadać im opium, aby przespali czas akcyi rewolucyjnej.

Na żądanie prezydującego podpisał to zeznanie prawie pozbawiony zmysłów.

Przywołano Finka z Zawiszów i zapytano go, zkąd wziął pisma i wiersze, które u niego znaleziono. Zawisza miał powiedzieć, że sam je napisał i na tem zeznaniu położył swój podpis.

Tak więc zamiary Nowosilcowa i gubernatora wojennego zostały spełnione.

Tu wspomnę o tych pismach, u Zawiszy znalezionych; krążyło w Wilnie mnóstwo podobnych pism, wszystkie w duchu patryotycznym i pełne nienawiści ku Moskwie. Między innemi przypominam sobie „Wierzę w Boga“ i „Sen Akademika“, wiersz, w którym wystawiony był obraz konnicy polskiej, przebiegającej ulicę wileńskie i mnóstwa zauszniaków moskiewskich na szubienicach.

Po tych zeznaniach na trzeciem śledztwie, komisya skazała na śmierć kilkunastu więźniów, a dziewięciu na więzienie. Niebawnie po wydaniu wyroku osadzeni zostali wszyscy w więzieniu głównem Łukiszkiem, przeznaczonem dla zbrodniarzy różnego rodzaju.

Pewnego dnia wyszedłszy z kilku kolegami dla śledzenia ruchów wojsk koło Wilna, spostrzegliśmy powykonywane doły na placu więzienia. Chcieliśmy bliżej je widzieć i policzyć, straż nie dozwoliła nam przybliżyć się.

Zdaleka usłyszeliśmy w mieście stłumiony i nie zwyczajny gwar, zaczęliśmy czem prędzej wracać i na wileńskiej ulicy już widać było wielki postrach i ruch pomiędzy urzędnikami i oficerami moskiewskimi, a płacze i krzyki żydów, dzieci i kobiet, rozlegały się po ulicach. Było to przed samym wieczorem. Domyślałem się, że ten postrach rzucić musiał oddział huzarów, który ścigany przez Bilewicza wpadł nagle do miasta z krzykiem:

— Polaki! Polaki!

Jakoż w istocie widzieliśmy oddziały wojska w najwię-

kszym strachu do miasta biegnące. I my się za nimi udali z przedsięwzięciem działania, w razie gdyby lud zaczął.

Dwóch oficerów niższych, równie jak żołnierze przestraszonych bieгло ku Zielonemu Mostowi; w tem przybiega do nich. . . z trzecią w rękę i ścisnąwszy obudwu barkami jeden do drugiego, tak ich przymał silnie, że mu się wyrwać nie mogli — nareszcie rzekł do nich:

— Ja was będę bronił od naszych, a wy mnie bróńcie od swoich — i w takiej trójce skuci, musieli z nim z wolna postępować.

Wechodząc dalej do miasta, coraz większy dawał się słyszeć zgiełk i wszyscy wołali: Rewolucya! Policya w dorózkach przebiegając ulice, kazała zamykać okiennice i bramy. To gwałtowne zamykanie jeszcze więcej narobiło łoskotu i strachu. Na rozmaitych punktach miasta pokazały się oddziały wojska w zupełnej do boja gotowości.

Ze znakomitszych urzędników nikt nie nocował tej nocy u siebie; jedni przepędzili noc w arsenale, inni w amfiteatrze anatomicznym, w ogrodzie i kamienicy Korwela. Byłoby stało do boju kilka tysięcy tak akademickiej, jak innej młodzieży, ale cóż kiedy pomimo największego zapалу, palnej broni miano zaledwie 300 sztuk, a drugie tyle pałaszy, a wojska carskiego cała załoga była pod bronią.

Tak minęła noc straszna dla carskich, dla nas dla tego bolesna, że pomimo największej chęci pomszczenia krzywd ojczyzny, nikt nie śmiał rozpoczynać boju, nie tyle dla bojaźni własnej zguby, ile, aby nie narazić głównej sprawy ze szkodą na przyszłość. Większą część wszakże tej młodzieży pochłoneły powstania nieszczęśliwie dla tego prowadzone, żeśmy nie znali sposobu prowadzenia wojny partyzanckiej.

Nazajutrz o świcie przebiegłem ulice prowadzące do murów Łukiszkich. Mieszkańcy przedmieścia, albo z ruchu wojsk albo z kąd inąd musieli się dowiedzieć, że ma nastąpić eksekucya, bo we wszystkich domach rozległy się krzyki i płacze rozpaczny.

Na końcu przedmieścia spostrzegłem grupę kilkudziesiąt

mężczyzn, porządnie ubranych; jeden z nich zoczywszy mnie zawołał:

— A ilu was bracia akademicy tu przybędzie?

Przybądźcie tylko, a całe przedmieście poruszamy w okamgnieniu, bo Moskalów tylko dwa bataliony. Odbijemy turmę i na wolność wypuścimy wszystkich!

— Chętnie się poświęcimy i zginiemy, jeśli nie pokonamy!

— odpowiedziałem i miałem pobiedz na powrót do miasta, aby uwiadomić akademików o gotowości braci na przedmieściu, kiedy jeden z tych cywilnych nadbiegł i krzyknął:

— Już ich wyprowadzają na plac!

W tym samym czasie kawalerya zaczęła się pokazywać w okolicach więzienia.

— Ach — zawołałem — to już wszystko będzie za późno!

Pobiegłem z kilkunastu innymi na przyległą górę, z której zaledwie można było widzieć poruszenie się wojska i mury więzienia, bo dopiero świtało.

Błysły ognie karabinowe z jednego punktu i odgłos strzałów obił się o nasze uszy. Jak to później dowiedziałem się, rozstrzelany był najprzód Kudrewicz; gdy pierwszy wystrzał tylko go ranił, zawołał przeraźliwie:

— Dobijcie mnie!

A że było jeszcze ciemno, przybliżyło się do niego kilku żołnierzy i dało do niego tak blisko ognia, że się na nim bielezna zapaliła.

Jeszcze go nie zabito; wtedy dowodzący oddziałem przeciął pałaszem pętlę na słupku, do którego ręce jego były związane i potracono go w dół jeszcze niezabitego. Nastąpiło zupełne milczenie przez kilka minut, ale wnet ciągle patrząc na turmę, ujrzelśmy znowu błyski karabinowych ogni w pięciu punktach. Już było tyle dnia, żeśmy mogli widzieć, jak tych nieszczęśliwych pięciu zakopywano.

W kilka dni później dowiedziałem się od osób godnych wiary, że Kudrewicz w ostatnich chwilach życia nie otrzymując na swoje listy od Nowosilcowa żadnej odpowiedzi, przeklinał go, jako sprawcę zdradzieckiego swego nieszczęścia. Od

tych samych osób wiedziałem, że rozstrzelani byli razem z nim: 1. Przewłocki magazynier, który się także często nazywał Antoni Krzywobłocki. 2. Bacewicz były kapitan z korpusu litewskiego. 3. Sorokiewicz pisarz ratuszny i cechmistrz. 4. Fink z Zawiszów desygnator w gabinecie fizycznym uniwersytetu wileńskiego; młodzieniec ten stanawszy nad dołem, zrzucił z siebie odzież i prosił, aby ją oddano nieszczęśliwej i biednej matce. O nazwisku piątego nie mogłem się dowiedzieć; był to, jak mi mówiono, człowiek już nie młody, ale jeszcze silny i czerstwego zdrowia.

Żaden z tych pięciu nie pozwolił sobie zawiązywać oczu, ani przywiązywać się do słupka; każdy z nich stał spokojny nad swoim grobem.

Mówiono mi, że Przewłocki na kilka dni przed rozstrzelaniem opowiadał, iż mu się śniło że zjadłszy obiad, połknął cynową wazkę, w której mu jeść przynoszono. Tłumaczył sobie ten sen, że będzie rozstrzelany.

— Niech się stanie wola Boża! dodał, wszakże to za ojczyznę. Jej synowie prędzej czy później pomszczą mnie!

Ale to nie jedyne ofiary Nowosilcowa i Kudrewicza; w ośm dni po tem rozstrzelaniu zamordowano w innych więzieniach sześciu innych, pomiędzy którymi był ks. Wójtkievicz, ten co na niemieckiej ulicy w domu Szulca od pijanych przyjmował przysięgę i inny ks. Franciszkanin, którego nazwiska nie pamiętam. Tej samej nocy, co pierwszych, rozstrzelano także więtego w powstaniu, Łabanowskiego. Żołnierz z pułku huzarów klastyckich, który przeszedł na naszą stronę i powszechnie znany był ze swego nadzwyczajnego męstwa, już w powstaniu będąc opowiadał mi niektóre szczegóły o Łabanowskim i o niegodziwości, jakiej się względem niego Bezobrazow dopuścił, łamiąc dane mu słowo i za wspaniałe Łabanowskiego postępowanie wywzajemniając się najhaniebniejszą zdradą.

Ten sam pluton, ariergardy huzarów, który go wziął do niewoli strzegł go w domu, z którego żyda wypędzono na przedmieściu wileńskim za Zielonym Mostem; gubernator nie pozwolił go wpuszczać do miasta, bojąc się, aby go nie odbito jako znanego naczelnika.

Tam to na przedmieście przybył na jego śledztwo, które bardzo krótko trwało, gubernator Chrapowicki, który go między innemi zapytał, gdzie podział jego depesze, które powstańcy przejęli i jemu oddali.

— Zniszczyłem je, — odpowiedział śmiało Łabanowski.

Chrapowicki krzyknął w złości: Ubiju! i ręką szpadą uderzył go w głowę, skrwawił twarz i wybił lewe oko,

Łabanowski zerwał się i gubernatora najprzód pięścią w twarz, potem nogą w brzuch tak silnie ugodził, że go natychmiast na ziemię powalił i krwią zalał; na ziemi jeszcze uderzył go obcasem w piersi i twarz i sam na ziemię upadł i byłby pięściami gubernatora zatłukł, gdyby komendant placu Jukiszew z żołnierzami nie był go obronił.

Oderwany od gubernatora Łabanowski, wołał na niego: — Podła bestyo! Masz mnie w swoim ręku, każ rozstrzelać, aie się nie pastw nademną po barbarzyńsku! Sam Mikołaj nie kazał ci tak z obywatelami postępować. Próżno mnie nie śledź, bo ci nic nie powiem.

Trzymało go trzech huzarów, ale jeszcze raz jeszcze wyrwał im się i pluwał w oczy gubernatorowi. Ten nie mogąc się już na Łabanowskim mścić, tych trzech huzarów za to, że go źle trzymali i wyrwać mu się pozwolili, natychmiast płazami ukarać kazał, poczem skrwawiony, zbity, shańbiony, czem prędzej de siebie odjechał.

Huzar ów, co do naszego powstania przeszedł, był na warcie przy Łabanowskim. Widząc on cierpienia jego, zaczął z nim rozmawiać.

— Słuchaj Iwanie — rzekł do niego Łabanowski — wszakże i ty jesteś człowiekiem, i widzisz, jak mnie urzędnika i bogatego obywatela mordują za to, że poszedłem bronić mojej ojczyzny; ty na mojem miejscu sam byś to był uczynił.

— Uciekajmy razem! Ja na zawsze będę twoim wiernym przyjacielem i podzielę się z tobą majątkiem. Będziemy walczyć razem i zostaniesz polskim obywatelem. Możesz wierzyć, że ci dotrzymam obietnicy, bo inaczej byłbym niegodnym człowiekiem.

Iwan bez żadnego wahania się odpowiedział:

— Dobrze! Nieszczęśliwy bracie! Dasz mi co zechcesz, ale jeśli zasłużę, zrobisz mię w wojsku twojem oficerem.

Natychmiast zabrał się do przygotowania ucieczki, przyniósł trzy garnce wódki i jak tylko zszedł z warty, popoił wszystkich żołnierzy, którzy wszysej go lubili. Pościagał potem świeczki i gdy się dopalały, posłał po nie żołnierza stojącego na warcie przy Łabanowskim, a sam zajął jego miejsce. Jak tylko świeczka zgasała, wziął na bary Łabanowskiego i po ciemku wychodził z domu.

Warta w sieni stojąca chciała go zatrzymać, ale Iwan powiedział jej hasło i przepuściła go.

Byli już o kilkadziesiąt kroków od więzienia i Łabanowski zaczął już sam uciekać, ale nieszczęście chciało, że właśnie w tej chwili patrol do miasta wracał i ich uciekających spostrzegł.

Gdy na rozkaz, żeby się zatrzymali, jeszcze prędzej zaczęli uciekać, dał do nich ognia i gonił ich na płaszczyznach. Łabanowski uciekając kilka razy padał i został widać rannym, bo nie mogąc już uciekać, krzyknął tylko na Iwana:

— Ach! już dla mnie dosyć! ratuj się sam!

Od tej chwili huzar już nie widział i nie słyszał Łabanowskiego, sam zaś, aż dwa razy od strzałów patroli był ranny, zdołał umknąć i ukrywał się u poczciwego mieszkańca, gdzie w dwudziestu dniach zupełnie wyleczony został. Ile razy mu o Łabanowskim mówić i te szczegóły opowiadać przyszło, rozrzewniał się i płakał jako dawnego i najlepszego przyjaciela.

Był Iwan rodem z gubernii razańskiej, bił się najmeźniej, został wachmistrzem szwadronowym i pozyskał krzyż polski. Miał się dostać do Turcyi, a inni mówili, że go Moskale po kampanii wzięli i stracili.

Morderstwa owe w Wilnie potajemnie wykonywane, oburzały nawet i żołdactwo moskiewskie.

Od żołnierzy to, którzy tych zbrodni rządowych byli świadkami, rozchodziły się w Wilnie rozmaite, serce krwawiące pogłoski. Mieli oni zakaz mówienia o tem, co widzieli, ale tylko zrzęcznie do ich zaufania trafiając, a nadewszystko wystawiając im, że pod takim rządem i Polacy i Rosyanie są nieszczęśliwi,

wszystko od nich można było wiedzieć. Morderstwa te jakkolwiek nas przerażały, jakkolwiek były bolesne, dla rodzin osób umęczonych, dla prowincyi, dla Polski, tę wszakże przynosiły dla sprawy polskiej korzyść, że w najobojętniejszych wzbudzały uczucia polskie i były przyczyną współczucia Moskalów samych, którzy w oburzeniu przeciw swojemu barbarzyńskiemu rządowi do szeregów naszych przechodzili. Wielu innych byłoby porzuciło hordy swojego tyrana, ale im się zdawało i oficerowie mieli rozkaz powtarzać im to, że my wszystkich dezterterów ich zabijamy.

Dziś widzimy jaśniej, że własnymi siłami cara można było przeciw niemu wojować i tysiące środków, na zgubę naszą wymierzonych przeciw niemu obracać.

Bodajby to doświadczenie nie było stracone! Bodajbyśmy na przyszłość lepiej pomiarkowali nasz otwarty charakter narodowy i wobec nieprzyjaciela najpodstępniejszego, właściwsze o honorze, o uczciwości, o szlachetności postępowania z nim mieli wyobrażenie! Rzucaliśmy chlebem na naszych wrogów, a oni wyziewali na nas wszelkie piekiel podejścia, okrucieństwa i trucizny!

Ocaliłaż, a raczej czy nie zgubiła i dziś nie poróżniłaż nas pomiędzy sobą taka enotliwa wspaniałość, jakiej uderzający przykład zostawił nam zresztą wiekiew duszy obywatel Łabanowski?

Ocaliłoż nas takie zaniedbanie odrywania nieprzyjacielowi środków, jakiego cała wojna, całe powstanie, przekazało nam smutny przykład? Rozpoznawanie środków coraz więcej pomnażającego się uciemnienia i pilne poznawanie położenia naszego narodu, wykrywają nam, miejmy tego nadzieję, prawdziwy i dziś przystający nam rozum polityczny, a wtenczas nie będziemy się wahali użyć w całej rozciągłości środków, narysowanych w Konradzie Wallenrodzie, zapewne nie dla piękności poezyi, ale dla tego, żebyśmy widzieli w Konradzie Polaków, w Krzyżakach Moskwę.

Ile tu ubolewać należy, że wszyscy nasi mędrcy, statysci, bogacze nie rozkrzewiali rozumienia tego dzieła! Poznał je i

dostatecznie ocenił Nowosilcow, kiedy razu jednego rzekł do Pelikana:

— Gdyby Polacy przejęli się tem dziełem, we trzy miesiące wydobyliby się z pod panowania Rosyi.

Pelikan odpowiedział mu na to:

— Właśnie dla tego, że dzieło to zdrać uczy, nie potrafią je Polacy zastosować do swego położenia.

Czas pokaże, kto się mylił, czy Nowosilcow, czy Pelikan.

Kiedy nieprzyjaciół nasz dręcząc już powaloną ojczyznę, niema nawet tyle szlachetności, ile lwy drapieżne, mamyż się nie uciekać do ostateczności i poświęcając nieco otwartego naszego charakteru, używać przeciw niemu takiego oręża, jakim on nas niszczy, aby się sprawdziły słowa:

Jakim kto orężem wojuje, od takiego sam zginie!

Kto nie podziela takiego zdania, życzy chyba tylko, aby Europa łzy litości nad nami ronila, kiedy Moskwa do reszty nas pochłaniać będzie.



ROZDZIAŁ IV.



Mniemali carscy, że teroryzm rzucony przez egzekucye tajne w murach więzień i w nocy dopełniane, zapalczywszych przerazi. Ale mylili się w swojej rachubie. Od czasu bowiem tych morderczych scen, cała ludność była do najwyższego stopnia oburzona.

Bez względu na płeć, wiek, religią, wszyscy zaczęli prawie jawnie sprzyjać sprawie polskiej. Ale na nieszczęście ludność ta była bezbroma; około 1. lutego, patryoci mogli rozrządzać najwięcej 900 sztukami rozmaitej broni, wygrzebanej z odwiecznych kryjówek i może tylko w połowie zdatnej do użycia, przeciw 6000 przeszło wojska nieprzyjacielskiego, ciągle czujnego i na wszelki przypadek gotowego. Mieli oprócz tego Moskale w Wilnie kilkaset rekrutów żydów, a że i tej ludności nie ufali, pokazuje się ztąd, iż rekrutów tych trzymali w zamknięciu i tylko raz na miesiąc wyprowadzali ich na przemarsz.

Skrępowana bezbronnością do powstania gotowość, wybuchająca od czasu do czasu w otwartych pogroźkach, ile razy czy to na rynkach, czy na ulicach, ludność tłumnie zebrana mogła się znajdować.

Policya chciała kilka razy ale nigdy nie mogła schwytać odgrażających się i tłumy tak zrećźnie ich zasłaniały, że poszu-

kiwania policyantów kończyły się zwykle na powszechnych śmiechach i wykrzyknicach szyderskich.

Przytaczam tu słowa pogróżki, wyraźnie ułożonej przez jakiegoś wieśniaka, którą kilkakrotnie słyszałem i która dla Moskalów i żydów była postrachem. Miała ona swoją nutę, której początek był gromny i wykrzykujący:

Nu! Nu! Za krow naszych,
Wyreżym waszych!
Nu! Nu! Polaki Moskalów bijuć,
Prancuzy żydów wyreżuć!
Nu! Nu! Tożę my wyreżym Moskalów,
Nu! Naszej doli i wiery sobaków!

Pomimo rnbaszności, maluje się w tych wierszach nędza i główne jej źródło biednego naszego ludu.

Policyanci moskiewscy strudzeni próżnemi poszukiwaniami osób, które podobne pogróżki w obieg głośno puszczały, poprzestawali na powtarzaniu narodowego przysłowia moskiewskiego, każdemu znanego, dodając: — Wot, gdzie wsie sut mieteżnikami, niet ni adnawo winowatawo!

Co większa, te manifestacye opinii publicznej zrobiły policyę łagodniejszą i przystępniejszą. Taką samą zmianę można było spostrzegać w policyi uniwersyteckiej. Bedele byli do tychczas dla akademików tylko celem żartów dziecinnych i pociechy z ich ambarasu; od tego czasu, prawie wszyscy ci dozorca zaczęli się akademikom niejako spowiadać. Zwykle bedel spotykając akademików, tak mniej więcej do nich przemawiał:

— Ach! Panowie, co słyhać! Bo my, jako grzeszni nic nie wiemy; w razie stanowczym pomniście na to, że pomimo naszych obowiązków, nie jesteśmy odrodnymi ojczyzny synami i że panom nie szkodzimy. Brak lepszych zatrudnień zmusił nas do przyjęcia podobnych obowiązków i t. d.

Na co akademicy odpowiadali:

— Bądźcie dobrej myśli i wiary, Bóg odpuści wam grzechy, lub tym podobnie.

A bedele dziękowali za nadzieję.

Ruch pośród ludności dnia 6. kwietnia i wyżej przytoczone wiersze białoruskie przerażały żydów do tego stopnia, że kilku znajomych mi kupców żydów i wielu innych mówiło:

— Oj! Panowie, wiemy co robicie, my się tego nie lękamy, chcemy być wam użyteczni, ale łajdakom nie dawajcie woli, bo oni są głupi i nas i was zgubić mogą.

Odpowiadano im:

— Nie lękajcie się, nie zrobią oni wam nic złego, postaramy się o to.

Jakże dziś ubolewam, że takiego oświadczenia żydów, nie miałem, czyli raczej nie mogłem użyć na korzyść naszej sprawy, żem go komu z doświadczeńszych nie mógł wskazać! Ale bo do 20. kwietnia o żadnej centralnej władzy nie słyszałem i usilnie szukając, tylko coś a prawie nic nie znajdowałem. Przekonany dziś jestem, że za pomocą tych żydów można było dokazać tego, co usiłował zrobić nieodżałowanej pamięci Przewłocki, podług którego planu, bez bitwy prawie 6000 sztuk broni byłoby przeszło w ręce ludu, a ubyło tyleż nieprzyjaciół. Ci sami żydzi wskazali mi żyda, zwanego Berunio, który był naczelnikiem oddzielnej policyi moskiewskiej.

Ten to Berunio, jeszcze dnia 10. marca na czele dwudziestu kozaków przystawił gubernatorowi jakiegoś obywatela, schwytanego w drodze.

Widywałem Berunia o pewnej godzinie rannej do gubernatora przychodzącego. Nie można było wątpić, że doniesienie żydów było prawdziwe; dopuścił on się wielu przeciw powstańcom łotrostw, odgrażał się często publicznie znakomitym obywatelom i pomiędzy innemi jego zbrodniami wiadomo było, że czterech chorych powstańców wydał kozakom.

Na szczęście powstańcy schwytali go i niezwłocznie powiesili.

Kiedy się dowiedziano, że go taki los spotkał, żydzi wileńscy cieszyli się i kahał odmówił przyjąć jego trupa na swe mogiły, pomimo że żona powieszonego ofiarowała za to kahałowi 3000 rubli, które gdy gubernatorowi złożyła, ten na mogiłach pochować go rozkazał.

Mieszczanie i przedmieszczanie mieli w wielu punktach

miasta przygotowane pociski do rzucania na wojsko i rozmaite instrukcje, jak działać.

Ówczesny urzędnik, były wojskowy uczył, jak w powstaniu trzeba postępować, ale sam nie śmiał wziąć się do dzieła, bo mu się zdawało, że lud nie wytrzyma przeciw wojsku regularnemu i sądził, że Moskale wezmą górę, bo nie mamy dosyć broni, a nawet ze zdobytej nie zrobimy natychmiast wielkiego użytku. Radził koniecznie czekać silniejszego powstania na prowincyi; zaprzestaliśmy znosić się z podobnym doradcą.

Braterstwo między mieszczanami, różnego mienia i stanu i wieśniakami z jednej, a akademikami z drugiej strony doszło do takiej czulej serdeczności, jaka tylko braci i najuczciwszych kochanków łączyć może. Ztąd można było wiedzieć, kto ma broń, proch lub inne potrzeby wojenne i kto je zbyć może, sam nie będąc w stanie ich użycia. Słowem przysłowie: Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi, tu w zupełności było prawdziwe.

Każdy wiedział prawie o myślach drugich, o ich patryotycznych uczuciach. Łatwo więc w takiej ścisłości stosunków wiedzieć można było o fałszywych braciach. Z chlubą dla całej okolicznej ludności wileńskiej powiedzieć można, że dopiero o trzy mile od Wilna, i to tylko jeden chłop, zwany Sielawa się znalazł, który dla Moskalów szpiegował; wszyscy zaraz o nim wiedzieli.

Są świadkami liczni koledzy, ile mundur akademicki u naszego ludu jednał zaufania nieograniczonego i bezwarunkowego. Każdy akademik w jakiej bądź porze mile przyjmowany był pod strzechą najbiedniejszego wieśniaka; rozmawianie z akademikiem, miało dla ludu coś pocieszającego; wstąpienie jego do chaty było uważane za wróżbę szczęścia i błogiej przyszłości.

Prawda, że w takich rozmowach i wizytach trzeba było zawsze stósownie się nastęrczać, bo wielu biedaków nie śmiało nic mówić, będąc zwykle zahukani i oprócz pacierza, nieco przykazań religijnych i zamglonych o lepszej przyszłości wspomnień, nie wiele więcej znając. W styczniu 1831 sam miałem

spósobność przekonania się, jak wielkie biedni ludzie w akademikach pokładali zaufanie.

Dowiedzieliśmy się, że szewc jeden miał ukryte dwie strzelby. Udałem się do niego z drugim kolegą; zastaliśmy go w łóżku chorego. Po przywitaniu, bez żadnej innej ostrożności, powiedzieliśmy mu:

— Mój kochany, nie lękaj się nas, widzisz kto jesteśmy, powiedziano nam, że masz dwie strzelby, chcemy je kupić.

Zgodził się na to bez wahania się, błogosławił naszym zamiarom i rzekł:

— Jestem, jak panowie widziecie zdjęty chorobą, oddaję wam w opiekę moje dzieci, które są i będą pocziwami. Nie będę się już o los ich troszczył, bo wszyscy mówią, że panowie akademicy są pocziwi i nie oszukają nas biednych ludzi. Spodziewam się, że nie popadną już w ręce Moskalów, że nie wyjdą z waszej opieki, jeżelibym i umarł.

Pocieszyliśmy go przyrzekając spełnić jego życzenia.

Same pogłoski przez rząd o akademikach puszczone, powiększały ich urok w oczach ludu, a nawet wojska.

Wspomniałem już, że wojsko w głębi Rosyi na wojnę idąc, mniemało że ma poskramiać w Wilnie czterdzieści tysięcy zbuntowanych akademików.

Po przybyciu do Wilna, oficerowie często się dopytywali, gdzie ten tyle straszny uniwersytet, a gdy pokazano jednemu z nich gmachy akademickie, ten zdziwiony powiedział:

— Nam mówiono, że to jest k a k a j a p r e u z a s t n a j a k r e p o s t (jakaś najstraszniejsza twierdza), a to tylko domy.

Akademicy poznawali się, acz ostrożnie z tymi oficerami i ci nie wahali się im wyznawać, że im mówiono za rzecz najpewniejszą, że akademicy są dzikim, nieprzystępnym narodem, że za lada fraszkę policzkują oficerów. — Przekonywamy się, mówili, że jesteście bardzo przywoici i grzeczni i że macie prawo buntować się przeciw earowi, bo on ma za nadto ziemi i niepotrzebnymi wojnami i was niszczy i nas traci jak bydła. Nie jego to jest chęcią, ale tych niktzemników f o n (t. j. Niemców), którymi się tak otoczył, że mało kto z naszego narodu zostaje wyższym urzędnikiem lub generałem. Szkoda,

że wszyscy razem nie wojujecie, że kiedy jedni się narażają, drudzy z domu na pożar spoglądają. Gdyby cały wasz naród powstał, car odstąpiłby od waszej ziemi i t. p.

Do tej pogłoski o policzkowaniu oficerów rosyjskich przez akademików, dał zapewne powód prawdziwy wypadek wydarzony publicznie na bulwarze w Wilnie, gdzie akademik jeden dał w r o z u adjutantowi Aleksandra, pułkownikowi gwardyi księciu Dolgorukiemu. Było to w r. 1821, ale i ten wypadek i inne podobne tak się były rozgłosiły w całym wojsku rosyjskim, że nie dziw, iż jeszcze w roku 1831 pamięć ich była świeża.

Jeżeli oficerowie Rosyanie w pułkach liniowych, tak przychylnie mieli o naszym powstaniu wyobrażenie, czegoż nie można się było spodziewać w pułkach kozackich, które nie mogły przecież już zapomnieć, że swobody ich przez rząd rosyjski zniszczone, były niegdyś darem Polski. Ale czy usiłowano porozumieć się z Kozakami?

Powtarzano w Wilnie w styczniu 1831 za rzecz najpewniejszą, że wyższy oficer kozacki po przyjacielsku w jednym domu obywatelskim przyjmowany, razu jednego będąc tam na obiedzie, wniósł toast:

— Niech żyją Polacy! Im tak słodką woda z Wisły, jak Kozakom z Donu!

Gubernator miał się o tem dowiedzieć, i wyrzucić na nim zemstę; ale zemsta nie zawsze niszczy ducha!

Z wielu innych przykładów, oczywiście dowodzących, że nasi wodzowie, nasi rządcy, pojedynczy nawet możni obywatele z Kozakami porozumiewać się byli powinni, przytoczę jeszcze z lutego 1832, kiedym w królestwie polskim w rozmaitych miejscach szukał schronienia.

Kilku oficerów kozackich stanęło na kwaterze właśnie w domu, gdzie się ukrywał. W nieobecności gospodarza, zastępowałem go i starałem się przyjmować gości jak najuprzejmiej. Zaprosiłem ich na polowanie i wskazałem im knieje obfite w zwierzynę.

Polowanie wybornie poszło; to wprawiło ich w dobry humor, a nawet w zapal patriotyczny. Zaczęli z całą otwar-

tością ze mną rozmawiać i żalowali, że w jednym czasie z nami nie powstał.

Jeden z nich rzekł te słowa:

— Nam ciągle mówili w armii: Polaki, Polaki idut na Ukrainu! A Kozaki dumali: kak tam ani zajdut, da i my zwiernimsia protiv Rosyi.

Niech się nie dziwi czytelnik, że tak często odbiegam od przedmiotu, bo to nie sztuczne i systematyczne dzieło piszę, ale takie, jakie byłbym chciał czytać sam przed kilkunastu laty.

Z tych ustępów o biedakach ludu naszego i o Rosyanach cóż za naukę należy wyciągnąć? Oto następną, jaką młodym studentom i swoim synom dawał wzorowej i naśladowania godnej pocziwości, duszy i serca chorąży Szawelski ś. p. Stefan Gruźewski. „Z mądrymi obcować mądrze, z chytrymi chytrze i przozornie, aby się nigdy nie oszukać; dla biednych starać się być uczciwego i liłościwego serca; chłopka uważać za swego rodaka i brata, bo przodkowie całego świata niegdyś niemi byli; wojskowość poznać z gruntu, aby odzyskać, co stracili wasi ojcowie; stać się godnymi kochania od wszystkich uczciwych; nie robić burd, unikać obmów obelżywych i plotek niesprawiedliwych; doskonalić się dobremi pismami — a staniecie się mędrszymi nad wszystkie narody.“

Zapyta kto znowu: „Cóż możnaby zyskać od Rosyan, od naszych wrogów?“ Niepodobna mi tu odpowiedzieć inaczej na to zagadnienie, jak tylko przypominając, że poszukiwania filozofów dociekle, że wiele zgubnych chorób nie można czem innem wyleczyć, jak tylko truciznami, które za dotknięciem się w stanie zdrowia śmierć zadają.

Ów policzek dany księciu Dolgorukiemu, co zrodził tyle szkodliwych uprzedzeń przeciw całemu uniwersytetowi, komu więcej zaszkodził, czy nam, czy Moskalom, którzy jak Bestuzew nieraz wyznawał, chcieliby żyć z Polakami, jak z braćmi?

Zamiast szurować nogami i sykać po owej mowie Dybicza w uniwersytecie, czy co innego uczynić nie nakazywały okoliczności, czy czego innego nie powinien był doradzić rozum? Czy nie należało nam postąpić wtenczas wedle tych przysłów?

Jak na nas wołają, tak się odzywamy; śpiącego licha nie przebudzajmy. Dobry strzelec na próżno zwierzyzny nie płoszy. Cóż tedy dalej! Oto to, że gdyby w owej epoce byliśmy postąpili podług tych przysłów, ani Kudrewicza, ani innych szpiegów nie byłiby na nas nasadzali. Przewłocki i inni zacni młodzieńcy nie byłiby marnie zginęli. Mikołaj byłby przyjechał do Wilna dla założenia tam głównej swojej kwatery, jak to okólnik zapowiadał! *)

Pułki gwardyi Tielechraniteli, (stróże osoby cara, które zbuntowawszy się w Petersburgu dnia 29. Maja 1831, o mało Mikołaja i całej rodziny jego nie zgubiły, w Wilnie może bezpieczniej i z pewniejszym powodzeniem swój spisek byłyby przywiodły do skutku.

Wtenczas i Przewłocki byłby sięgnął po swą zdobycz z większem przyczajeniem się, a inni byłiby się z większem poświęceniem rzucali na tak ważną zwierzyinę. Albo i niektórzy ze strzelców warszawskich, co pudłowali w czasie koronacyi, byłiby się wtenczas chętnie na nią rzucili, bo już wtenczas widoczniejsza była potrzeba splamienia imienia polskiego.

Ale jak ów policzek wielu nam zrobił nieprzychylnych, nawet pomiędzy oficerami, którzy jak Pestel wszelkimi sposobami do wzajemnej miłości i do wspólnej przeciw carowi nawiąski zachęcali, tak owe szurowanie nogami i sykanie podpłoszyło trudną do złowienia zwierzyinę, która sama, że tak powiem, dobrowolnie chciała wleść w nasze torby strzeleckie.

W dopinaniu tak wielkiego celu, dla którego już trzecie nadaremaie pracuje pokolenie, czy nam idzie tylko o to, aby zrobić huku puku, a później znosić los sromotny?

Zdarzyło się w czasie naszego powstania, że sam Moskal ukarał Polaka za takie próżne hukanie. Było to na ostatniej stacyi z Wilna do Wilkomierza w lutym 1831. Tamtejszy pi-

*) Po ostatniej wojnie perskiej 90 mirzów czyli książąt perskich, danych było w zakład dworowi petersburskiemu, pod warunkiem, ażeby ci książęta zawsze przy osobie carskiej zostawali. Połowa tej świty carskiej już była przybyła do Wilna i czekała na Mikołaja.

sarz pocztowy podpiwszy sobie, rozciągnął się na łóżku i śpiewał całem gardłem: Jeszcze Polska nie zginęła itd. tak zapamiętałe, że kapitana rosyjskiego, który w tej chwili na pocztę zajechał, dopiero wtenczas spostrzegł, gdy go ten synem byczej skóry, trzymając silnie lewą ręką za włosy, po brzuchu kropić zaczął, wołając na niego:

— Waćpan pieśnią Polski nie zbawisz; aleś zdrów i silny, idź lotrze do wojska i bij się!“

Wykropiwszy go porządnie, kazał sobie konie podać i powróciwszy do Wilna opowiadał tę scenę, która nawet takich rozweselała, co w niej jak w zwierciadle przeglądać się mogli.

Trzeba tu na to zważyć, że pisarz pocztowy był pijany. Gdyby to po trzeźwemu był robił, na jakież dopiero nie zasługiwałby basy? Czy trzeźwi mamy udawać pijanych?

Czyli mało było takich, którzy uchodzili za gorliwych patryotów przez same śpiewki? I do czegoż one prowadziły jeśli nie do odsłaniania się nieroztropnego przed nieprzyjacielem? Zarzucili nas temi śpiewkami tuzinkowi pisarze, a żadnego prawie dziełka nie wydano, jak powstanie zrobić, jak je urządzić, jak setki partyzantów skutecznie do boju wodzić. Niech znawcy tej sztuki dziś przynajmniej dopełniają, czego brakowało w 1830. Z takich dzieł, jeden nauczy tysiące innych, jak w rozmaitych miejscach i okolicznościach bronić się przeciw nieprzyjacielowi, jak na niego uderzać, jak mu szkodzić.

Wróćmy do przerwanego ciągu.

Nikt z nas w Wilnie nie mógł domagać się żadnej władzy. Przestano oczekiwać jej od Warszawian. Skrzyneckiego, póki się nie wślawił wielką wygraną, nie znano; obawiano się najsmutniejszych niepowodzeń.

Często schadzki osób różnego stanu, które nie przestawały na gotowości samych akademików, ale śledziły wszystkie stany nadały przekonanie, że gotowość była powszechna. Ale brak broni i amunicyi stawał zawsze na przeszkodzie i udaremniał najlepsze chęci.

Zaczęto się naradzać nad zapytaniem wniesionem przez.... Czy zamiast wytrucia koszar, gdzie tyle padłoby nieszczęśliwych despotyzmu ofiar i co splamiliby (?) naszą rewolucję,

nasz charakter, czy nie byłoby lepiej, uderzyć w jednym czasie na wszystkich urzędników i oficerów, nasadzając na każdą figurę najmniej po trzech spiskowych? Czyniono nad tym planem rozmaite uwagi, a przeciwnych takiemu środkowi starano się przekonywać, utkwilo mi w pamięci zdanie jednego spiskowego, nieznanego mi z nazwiska:

— Kiedy — mówił on — kiedy Moskale, mając takie siły uorganizowane, nie gardzą zdradzieckimi środkami, kiedy użyciem Kudrewicza tylu naszych wymordowali, czemuż my, prawie bezbronni nie mogąc z pułkami ich walczyć, wzdrygamy się na podobny odwet? Owszem, należy nam przewyższyć ich w tym odwecie i mordami wszelkiego rodzaju zrównoważyć wzajemne siły.

O planie tym rozmawiano potem przez dwa miesiące i Moskale musieli się o nim coś dowiedzieć, bo kiedy nareszcie miano go przywieść do skutku na jednym balu, policja nagle balu tego zabroniła. Nie nastąpiły jednak żadne aresztowania, ani śledztwa.

Prawdziwie dziwić się należy tej cierpliwości narodu naszego, a raczej powinniśmy nad nią ubolewać. Dręczony tylu mordami jeszcze przez Katarzynę i jej następców nie powinien był czekać na 29. listopada, ale już dawniej należało mu się zdobyć na wściekłą zapalczywość.

Co znaczyła ta cierpliwość naganna, zgubna, że nie powiem haniebna? Czy to skutek klimatu, czy wynikłość łagodności charakteru? Mnie się zdaje, żeśmy się za nadto przeniknęli tą nauką:

„Kto ci da w policzek, nadstaw mu drugi; cierpienia ofiaruj Panu Bogu, a będziesz w niebie!”

Jeśli ta jest przyczyna miękkości, z jaką naród nasz czeka nieba, trzeba ją, jako prowadzącą do pokory ludzi przed ludźmi, albo tak wytłumaczyć ludowi, że ta nauka ściągą się do pokory przed Bogiem, albo ją ze wszystkich pism na zawsze wyrzucić, a na miejsce tej zgubnej nauki pokazać i upowszechnić inną, właściwą pogębnionemu narodowi:

Kto ci wybije zęb jeden, wybij mu dwa!

Daleki jestem od zalecenia tej zasady w stosunkach pry-

watnych, mówię tylko o postępowaniu narodu politycznem. Wiadomo przecie, że w stosunkach prywatnych rozstrzyga prawo, ale w stosunkach politycznych, w stosunkach narodu zawojowanego z rządem zaboreczym, gdzie jest to prawo, gdzie ten trybunał?

Spory polityczne rozstrzygają się tylko na polach bitew.

Możnaż więc do nich stosować taką łagodności zasadę?

Na usprawiedliwienie nasze i to można przytoczyć, że z powodu niewoli, w jakiej od wieku prawie druk w Polsce jest trzymany, zbrodnie naszych rządów nie mogły być dostatecznie rozpowszechnione tak, iż uczucia zemsty narodowej nigdy okropności tych zbrodni nie były odpowiednie.

Do historyków i polityków naszych należy korzystać z pobytu za granicą i w szczegółach wykazać narodowi, jak i kiedy można i trzeba wziąć z nieprzyjaciół naszych godny odwet.

Wspomniałem, że zdania o potrzebie wytępienia przynajmniej oficerów i urzędników, były podzielone.

Ale jak tylko nadeszła wiadomość o rzezi oszmiańskiej, najskrupulatniejsi Polacy w Wilnie do chwycenia się przeciw Moskalom wszelkich, choćby i szatańskich sposobów, zdawali się być gotowi.

Sama wieść o tej rzezi pogrążyła ludność wileńską w niewypowiedziany smutek.

Znajomi i nieznajomi spotykali się ze łzami. Zadrżałbyś Mikołaju, gdybym ci powtórzył choć milionową część przekleństw, które wtedy na całą twoją rodzinę rzucono!

Łączyły się z temi przekleństwami głosy pomordowanych niewinnych istot, dzieci i niewiast, starców, wołających o pomoc do nieba i nie myśl, iżby ten chór aniołów bez skutku dla ciebie i twoich dzieci już przebrzmiał!

Ale któż wyrazi dopiero utrapienie, żalność, całe oburzenie mieszkańców Wilna, kiedy rozhukane żołdactwo, okrwawioną odzież, ozdoby niewiast, sprzęty kościelne, na ulicach Wilna zapewne za pozwoleniem i może za rozkazem rządu, na widok publiczny i na sprzedaż wystawiało! Nietylko Kabardyńcy, niestosownie nazwani Czerkiesami, (bo to byli Kozacy z linii dawnej Kabardyi, a w pułku ich z 800 ludzi złożonym było

kilkudziesiąt Burlaków, znanych w Polsce pod nazwiskiem kaczapów) ale i żołnierze z wojska liniowego roznosili po mieście te piekielne tryumfy. Wszystko to działo się za rozkazem gubernatora wojennego Chrapowickiego.

Ponieważ tu jeszcze o tym nikczemniku wspomnieć jestem zmuszony, winienem tu o jego nazwisku słowo powiedzieć, aby nie myślano, że to był Polak, albo do rodziny zacnej Chrapowickich należący.

Nim się zapewne przez podłogi do stopnia jakiego dochrapał, nazywał się Chrapicki, podszyl się potem pod znakomitą rodzinę i nazwał się Chrapowickim.

Familia prawdziwych Chrapowickich nigdy się do niego nie przyznawała, chociaż był gubernatorem; a po rzezi oszmiańskiej, żona byłego pułkownika wojsk polskich, zacna Polka Chrapowicka, dała dowód największej dla tego potwora wzdargi.

Dowiedziawszy się bowiem o owym bezbożnym targu na ulicach wileńskich, kazała nakupić kilka par kuleczków z uszami, kilka obrączek i pierścionków z palcami i napelniwszy niemi pudełko, posłała je gubernatorowi, swemu samozwańcowi imiennikowi, z następującym listem:

„Posyłam Ci szczątki męczenników wołających o pomoc! Pomnij, że głos bezbronnych, niewiast, dzieci, starców i kapłanów, głos 360 męczenników, musi wywołać karę na sprawcę takiej rzezi, jeżeli nie z nieba, to z bezdennych piekieł.

Nie! To nie żołdactwo popełniło podobne okrucieństwa, to gubernator, gospodarz prowincyi, bez którego woli nie się stać nie powinno. Masz władzę absolutną, wydrzyj mi życie, czekam tego spokojnie, ale z pogardą na zawsze dla nikczemnego mordercy. Ewa z książąt Mirskich hrabina Chrapowicka.“

Nie możemy zaręczyć, czy list ten istotnie był napisany, to pewna, że odpisy jego podobnie jak następującej odpowiedzi gubernatora krążyły w Wilnie i były przepisywane.

„Pani! Czyliż to moja wina? To Kabardyńcy dokonali; wszakże wiadomo że to barbarzyńcy, ale wierni przysiędze

Najjaśniejszemu Panu, który mi rozkazał użyć ich dla przywrócenia buntowników do wierności Jaśnie cesarskiej mości. Zostając z uszanowaniem Jaśnie Wielmożnej hrabiny najniższy sługa generał gubernator Litewsko-Wileński, adjutant Jaśnie cesarskiej Mości Chrapowicki. P. S. Szczątki trupów odśelam.“

Padła ofiarą rzezi oszmiańskiej krewna Pelikana Joanna Michałowska, pani nadzwyczajnych wdzięków i wielkich przymiotów.

Pelikan, który dawniej, kiedy gdy przy biórze swoim siedział, wystrząsał przez okno do niego wymierzonym, przestraszony palpitacyi serca był dostał, dowiedziawszy się o okropnej śmierci swojej krewnej, dostał znowu palpitacye serca i niebezpiecznie zachorował.

Czy to wysłani do szukania jej szczątków, czy też nieznajomi, którzy mu jego wspólność z barbarzyńcami przypomnieć chcieli, przynieśli do domu bransoletki i pierścionki z cyframi jego żony, dane młodej męczennicy 1826 roku na pamiątkę ukończonych nauk.

Na widok jej kółczyka z uchem, żona Pelikana, rodem Rosyanka, córka Wasilowa, stołonaczelnika carskiego, zemdląła i przyszedłszy do siebie najostrejsze czynić miała mężowi wyrzuty, że gubernatora od podobnych okrucieństw nie starał się odwieść.

Mówiono o pani Pelikanowej wiele dobrego, mówiono, że lubo Rosyanka tyle okazywała szlachetnych uczuć dla prześladowanej młodzieży polskiej w Wilnie i w gimnazyach, ile mąż jej Polak, nikczemności w dręczeniu swoich współziomków. Samego Nowosilcowa odważała się nie raz za okrucieństwa jego gromić i ze sprawiedliwą dumą oceniając swoją godność żony rektora uniwersytetu, jeszcze przed wojną dawała się słyszeć, że się stara zasłużyć sobie na imię matki młodzieży obywateli litewskich; taki tytuł uważała za najdroższy honor, za najmiłszą dla dzieci pamiątkę.

Byli jednak nierozważni, którzy nie zważając na szlachetne pani Pelikanowej usposobienia, paszkwilami, za to że była Rosyanką i żoną niegodziwego Polaka, jej miłość własną obrażali.

Powiadano, że prześladowaniem tem rozjątrzona, przy końcu w szlachetnych usiłowaniach ustala.

— Nie wiedzą — miała w końcu mówić — że nieraz na klęczkach prosiłam Nowosilcowa o łagodności obchodzenie się z nimi, jak z dziećmi bez doświadczenia nie wiedzą, że męza mego zmusiła do ocalenia wielu akademików, którzy przynajmniej na prostych żołnierzach byliby posłani; ale kiedy mi tak moje starania wynagradzają, niech sobie Nowosilcow co chce z nimi robi.

Niech mi kto pokaże choć jednego, którego by paszkwile poprawiły, a ujrzę ósmy cud świata.



ROZDZIAŁ V.



Wtenczas, kiedy pani Ewa hrabina Chrapowicka z powodu rzezi oszmiańskiej list do generała gubernatora, swego fałszywego imiennika pisała, mąż jej Antoni hrabia Chrapowicki siedział w skutku powstania listopadowego z kilku innymi znakomitymi obywatelami w areszcie wolnym.

Ten rodzaj uwięzienia jest to w czasach trudnych wygodne schronienie dla patryotów zbyt przezornych, nie chcę powiedzieć bojaźliwych, przestępnych. Bodajbym się mylił, ale zdaje mi się, że są patryoci, którzy sobie taki areszt wyrabiają w chwilach krytycznych życia narodowego.

Mężowie zaniemeńscy! czyli ta zacna Polka listem swoim nie dała wam przykładu odwagi, jak mężowi swojemu owa Chrzanowska w twierdzy Trembowli? Czyliż wy mężowie doświadczeni, co mieliście wówczas po 30 lat, coście opływali w dostatki, coście mieli wyższe rozumy, czy nie wyrzucacie sobie, żeście wstrzymywali wasze sztylety od piersi urzędników carskich, których tak łatwo mogliście o cholera przyprawić, jak Orłów Konstantego i Dybicza?

Sam list od gubernatora do pani Chrapowickiej, list bojaźliwy, prawie grzecznością na najsurowszy i wzgardliwy wyrzut odpowiadający, jawnie pokazuje, kogo ten zbrodniarz więcej się lękał, czy biedaków, czy bogaczy.

Bronikowski, Pamięt. polskie.

Nie czekajcie czasu, nie dopuście go, kiedy gubernatorowie więcej biedaków, niż bogaczy obawiać się będą. Dopelnijcie raczej to, czego ogólne nieszczęście kraju od was wymaga! Wszakże was zamożniejszych w guberniach zabranych jest prawie tyle, ile w nich car trzyma wojska. Nie powiem, że wam brakuje serca. ale nie wahać się powiedzieć, że w zbytnej przezorności, nie umiecie przewidywać okropniejszego losu, niż jest ten, jakiby was w najgorszym razie spotkał, gdybyście w chwilach stanowczych mniej byli ostrożni. Zlitujcie się nad waszemi dziećmi, nie ową ostrożnością, która was łudzi, ale poświęceniem nieograniczonym dla sprawy ojczyzny, która jedna może wasze majątki i rodziny ocalić.

Z jednej strony jest lud w niewoli, z drugiej są opłaty skarbowe, które wasze majątki i bogactwa za kilka pokoleń pochłoną.

Plakać będą na was wasi potomkowie, kiedy rodziny ich zostaną skazkowemi i poddanemi, jak już wielu sławnych imion domów uległo temu losowi. Znałem biednych książąt Paalnis, wywodzących swój ród od Tamerlana, służyłem w wojsku z chłopem Jagiellą, widziałem w skazki zapisanych: Kmitów, Żółkiewskich, Chodkiewiczów, nie przez rewolucye, ale przez śledztwa, zdzierstwa i podatki zniszczonych.

Usuwanie się jednych od solidarności w chwili powstania ciągnie za sobą koniecznie klęskę dla drugich, którzy sprawę powszechną ratować chcieli tak, że upadek wielu rodzin zamożnych, jak Radziwiłłów, Sapiechów, że wielu innych upadków z ostatniej wojny nie pomnę, waszej mylnej rachuby, waszej ostrożności, waszemu mdłemu patryotyzmowi przypisać trzeba. Do zamożniejszych rodzin liczę także kupców, a nawet włościan, z których jednego znalazłem na Żmudzi, co handlem koni dorobił się stokilkadziesiąt tysięcy rubli srebrnych; słowem interes wszystkich zamożniejszych w guberniach polskich przeciw drapieżności rządu rosyjskiego jest wspólny i tylko przez odzyskanie niepodległej Polski może być ocalony.

W drugiej połowie kwietnia 1831 otrzymałem instrukcję, jak przeciw Moskalom sprzysięgać się należy. Lubo z instrukcyi tej nie mogłem, jak chciałem korzystać, przytoczę ją tu, o ile

tylko zapamiętać mogę, aby inni z niej korzystali. Nie mogę także pominąć sposobu mistycznego, jakim była mi udzielona.

Tym, że tak powiem mentorem moim był prawnik wileński, którego znalazłem jako dobrego Polaka.

Jednego razu zaprosił on mnie do siebie na godzinę 6 wieczorem; nie chybiłem godziny i jak tylko mnie spostrzegł, zaprowadził do zupełnie ciemnej sali, posadził i zobowiązał, abym się z miejsca nie ruszał i słowa nie mówił.

Gospodarz ciągle przyprowadzał kogoś i sadzał na krzesłach od siebie nieco oddalonych, każdemu to samo, co mnie powiedział, powtarzając.

Tym sposobem usadowił najmniej 30 osób, z których żadnej nie mogłem poznać, bo ciemność i milczenie były zupełne.

Kiedy już widać byliśmy w komplecie, gospodarz mniej więcej w ten sposób do nas przemówił:

— Panowie prawdziwe syny ojczyzny! Ja jeden tu was wszystkich znam, a z pomiędzy was, którzy się znacie, jest tylko kilku, ale i ci nie wiedzą, że się tu ich znajomi znajdują. W czasach, kiedy odzyskamy niepodległość, poznamy się wszyscy, a teraz po waszej uczciwości i przywiązaniu do ojczyzny, ufam że się nawet dowiadywać nie będziecie, z kim tu razem jesteście i tylko w pamięci swojej każdy zachowa dzisiejsze zgromadzenie.

Wiadome wam skutki zdrady Kudrewicza.

Ten nieszczęsny wypadek był mi powodem do rozmyślenia jak spiskowi postępować powinni bez narażenia siebie i swoich spółzwiązkowych, bez narażenia sprawy ojczystej.

Wiecie że naszym celem jest niepodległość, a zasadą działania wolność narodu bez żadnego wyjątku i wspólność prawa dla każdego czyli równość.

Prawa te pociągają za sobą swobodę wyznań i najpewniejszą ich rękojmię rząd jednowładny.

Z rozmów z wami wiem, takie widzenie naszej sprawy ze mną podzielacie, lubo tu jesteście różnego wieku, różnych stanów, różnej nawet religii.

Nie sądzcie, iżbym was tu zaprosił z własnej woli, albo

dla jakich osobistych widoków. Uczyniłem to w skutku narażenia się z osobami doświadczonemi, które rozpamiętywały dzieje nasze i w nich miały udział, abyście przeznaczeni do działania, braku doświadczenia ze stratą sprawy ojczystej drogo nie okupywali.

Po tej przemowie przystąpił do opowiadania obowiązków spiskującego, każdy z poniższych punktów rozwijając.

Tu tylko ich treść przytoczę:

1) Nie należy mieć żadnych korespondencyj w przedmiocie spisku, bo piśmienne dowody są najniewypławsze.

2) Tajemnice spisku, nikomu chociażby osobom najdroższym nie wyjawiać, a ze spiskowymi tylko sam na sam, nigdy we trzech lub więcej o rzeczach spisku nie rozmawiać.

3) Podniecać nienawiść przeciw Moskalom, fanatyzować nie-spiskowych przeciw krzywdom, jakie Polska od rządu moskiewskiego poniosła, wystawiając im w żywych obrazach klęski nasze.

4) Z Moskalami w ogólności obchodzić się grzecznie, z pocziwymi z pomiędzy nich po ludzku. Tą pozorną grzecznością, tą ludzkością ujętych tak usposabiać, iżby od nich dowiedzieć się można nieznacznie wszystkiego, co na korzyść spisku obrócić można, czy to przestrzegając incognito, zagrożonych przez władze moskiewskie patryotów, czy też wskazując współziomkom okoliczności, w których nieprzyjaciółom naszym szkodzić mogą.

5) Sprzątać niebezpiecznych i przeciw naszemu narodowi zawziętych Moskalów i to jakimi bądź sposobami, ale przed dokonaniem czynu nikomu o tem nie mówić, bo zwierzenie się odejmuje spokojność i rezygnację potrzebne w śmiałych działaniach. Obeznac się w tym celu z truciznami i usuwać na bok wszelkie skrupuły sumienia, jako niewczesne w działaniach dla dobra narodn. Nie wylęczać z tej kategorii ludzi nawet nie do moskiewskiego należącego narodu, nawet swoich ziomków, jeśli ci z sercem służą Moskalom, takich np. jak Pelikan, Listowski, Chrapowicki i zmoskalony Włoch Wirzulini, (pułkownik kozacki, który wyrzucił Oszmianę.)

6) Każdy spiskowy powinien ufać, że współspiskowi dołożą

wszelkich usiłowań aby go uwolnić, w razie gdyby był uwięziony; ale na przypadek, gdyby te usiłowania były bezskuteczne, nie powinien się sam potępiać, to jest powinien zapierać wszelkiego udziału w spisku, zdawać kłamstwo nawet współspiskowym, którzyby go kompromitowali zeznaniami swemi, odpowiadać krótko i zawsze jednakowo, ażeby się nie związać jaką sprzecznością.

7) Nie wierzyć żadnym obietnicom przebaczenia, nie dać się ludzi żadnym widokom nagrody, żadnym niby przyjacielskim radom urzędników śledczych, w przekonaniu, że wszystko to jest z ich strony tylko środkiem do wydobywania zeznań, których dochodzą.

8) Nie tracić przytomności, nie zalegać się w czasie śledztwa. Na te dwa symptomata uwięzionych, Moskale szczególniejszą dają bacność i wielką do nich przywiązują wagę. Na widok śmiało i przytomnie odpowiadającego, inkwizytorowie moskiewscy zwykli mówić: *Da on nie czom newinowat.*

9) Jeśli wszystkie inne środki stają się bezskuteczne, jeśli niema nadziei uwolnienia przez współspiskowych, należy spiskowemu zręcznie udać, że miał i ma pomieszanie zmysłów lub chorobę św. Wita; choroby te trudno jest lekarzom zaprzeczać. Moskale takich uwięzionych natychmiast do szpitala odsyłają i śledztwo kasują. W tym celu dobrze uczyni spiskowy, jeśli zawczasu uprzedzi swoich zaufanych przyjaciół, aby w razie gdyby został uwięziony, puścili pogłoskę, że miewał paroksyzmy podobne co kilka miesięcy, albo co rok. Najniebezpieczniejsza w tym względzie wątpliwość sądu, może wpłynąć pomyślnie na tok sprawy, na wyrok, a przynajmniej zwlec śledztwo.

10) Trudno jest wyliczyć wszystkie środki obrony w czasie śledztwa politycznego. Spiskowy powinien pod tym względem dobrze pomyślny ułożyć sobie system, i trzymać się go niezmiennie. Bo lubo Moskale wiedzą, że w krajach zabranych tylko tylu mają przyjaciół, ile ich publiczność prawie palcami wytyka, jednak nie mogą o tę nieprzychylność wszystkich więzić, albo na Sybir wysyłać i potrzebują do potępienia zawsze takich dowodów i dopełnienia pewnych formalności sądowych. Otóż te dowody, te formalności, każdy spiskowy udaremniać powinien.

11) Spiskowy powinien unikać uchodzić publicznie za patryotę; uczucia swoje tylko sam wynurzać powinien, nigdy w obec kilku. Pisma patryotyczne, obudzające nienawiść ku naszym nieprzyjaciołom, pośród innych upowszechniać powinien, ale ich nigdy u siebie trzymać nie będzie; jeżeliby przypadkiem u niego je znaleziono, ma się tłumaczyć że nie wie, co to, i jakim sposobem do niego się dostało i że ktoś musiał to podrzucić.

12) Spiskowi powinni się przejąć ważnością swego powołania, żyć przykładnie, starać się zachować całą swoją energię, unikać wszelkich roztargnień i zbytków, być w życiu niepodległymi od potrzeb, a nadewszystko na to pamiętać, że na każdym z nich ciąży odpowiedzialność nietylko za własną osobę ale i za współspiskowych, a co większa za sprawę, której służą.

Jakoż nic ich nie wymówi, jeśli w czasie śledztwa do należenia do spisku się przyznali. Obwiniając siebie, potępiają naturalnie współspiskowych, wykrywając spisek dopuszczają się zdrady, zatem jako zdrajcy śmiercią karani być winni.

13) Wprowadzając kogoś do sprzyśiężenia, trzeba go wprzód dobrze poznać i przewidzieć, czyli będzie w niem użytecznym, osobą, majątkiem lub wpływem swoim.

Jeśli tych warunków nie posiada, lepiej go nie wprowadzać. Wprowadzonym nigdy o wszystkim, o całym planie od razu mówić nie trzeba; należy ich dopiero w miarę zaufania, jakie obudzają, z dalszemi celami spisku obeznawać.

W końcu zacny nasz gospodarz zachęcał nas, abyśmy sami wynajdywali rozmaite środki do utworzenia jak największej pod okiem Moskali, siły i mądrości polskiej i nie chciał abyśmy sądzili, że to, co powiedział, obejmuje już wszystkie obowiązki spiskującego dla dobra ojczyzny Polaka.

Prosił nareszcie aby, mu w obowiązkach, jakie na siebie przyjął wszyscy radami swojemi byli pomocni i przyrzekł znowu nas zgromadzić, potem wyprowadzał nas po jednemu i żądał, aby żaden z nas nie starał się na ulicy poznawać innych.

Stósownie do tych rad, których ważnością i wartością cały przejęty zostałem, powiększałem moje stosunki z mieszkańcami Wilna i rozważałem, kto do czego może być użytym.

Napotykałem wszędzie uczucia patryotyczne z małemi bardzo wyjątkami obojętnych na wszystko.

Bo jakże mogło nie być tych wyjątków pomiędzy starszymi wiekiem, kiedy się znachodziły nawet pomiędzy młodzieżą akademicką? Było w istocie do stu akademików, młodzieńców silnych i zdatnych do ponoszenia trudów wojennych, którzy do powstań nie poszli, chociaż zapewne ani jeden nie byłby się wymówił od tej usługi publicznej, gdyby starsi zapal młodzieży umieli byli z samego początku zatrudnić.

Mieszczanie przygotowali znaczną ilość drzewców, które we 12 godzin mogły być zmienione na lance lub kosy. Z powodu braku form, nauczono się robić kule z ołowiu rozklepanego na pręty; z tych groty obracane między blachami żelaznemi, stawały się dostatecznie zaokrąglonemi kulami.

O proch nadzwyczajnie było trudno; para pistoletów, lub sztuka broni palnej kosztowała od 6 do 10 rubli srebrnych a i za te ceny tylko przypadkowo można je było dostać. Łatwiejsze były do nabycia palasze, płacono je jednak od 3 do 6 rubli srebrnych.

Zaradzając niedostatkowi prochu, porozumiało się kilku dla robienia go w największym sekrecie. Za staraniem ich a szczególnie dzięki umiejętnej gorliwości jednego ucznia, zrobiono wnet niejako na próbę kilka funtów ziarnowego i doświadczenia artyleryczne wytrzymałego prochu.

Brakowało mu tylko glancu; kosztą funtu tego prochu wynosiły zrazu, zdaje mi się 4 zł., ale główny nasz fabrykant zapewnił, że kosztą te zmniejszać się będą w miarę, jak się powiększy fabrykacya i zaręczał, że co tydzień będzie mógł dostarczyć kilkanaście funtów.

Nie mogę wspominać bez podziwienia patryotyzmu tych młodzieńców.

Wiedzieli oni, jak małej przyczyny potrzeba do wysadzenia prochu w mieszkaniu prywatnem, gdzie wszelkich tych ostrożności, jakie w fabrykach prochu są potrzebne, nie można było zachowywać; z drugiej strony narażali się na odkrycie, równie niebezpieczne policyi i przeciw temu ostatniemu niebezpieczeństwu, postanowili szukać schronienia w wysadzeniu

się prochem wraz z tymi, którzyby przyszli ich aresztować. Oby Bóg dozwolił jeszcze przed śmiercią przycisnąć do serca tych zacnych ludzi!

Czegoż przy takim poświęceniu się, gdyby było powszechne, nie można było dokazać? Ale wielu obawiało się policyi zamiast szukania środków, jak jej uniknąć.

Kiedy mi nie wolno wymienić tych drogich sercu mojemu patryotów, niech przynajmniej dla nauki innych powiem, że ci fabrykanci prochu, byli to właśnie ludzie, o których policya, dla tego właśnie, że się z urzędnikami policyjnymi grzecznie obchodzili, najlepiej zdawała raporta.

Mnie samemu zdarzyło się wysłiznąć z łap policyi i ocalić kilku innych, oświadczeniem poważnem urzędnikowi policyjnemu, który przeciw nam miał doniesienia, że zdziwiony jestem że on nie wedle zakonu (prawa) postępuje i że przez łatwe dowierzanie doniesieniom bezzasadnym może oburzyć ludzi spokojnych, o których właśnie przez interes dla tronu powinien się starć.

I o tem nie trzeba zapominać, że czastny przystaw (kapitan policyi) płatny jest na rok tylko 350 do 400 rubli asygacyjnych, a cóż dopiero kwartalny, czyli porucznik policyi! Ale źleby się brał do rzeczy, ktoby dopiero w niebezpieczeństwie z temi ważnemi dla spiskowego figurami, zabierać chciał znajomość lub grzeczności jakie chciał im robić, wtedy dopiero, kiedy doniesienie jakie przeciw niemu już jest w ich ręku. Wtenczas wszelka grzeczność, wszelkie przekupywania, nie tylko nie osiągnęłyby celu, ale nawet powiększyłyby niebezpieczeństwo.

Trzeba sobie zobowiązywać urzędników policyjnych wtenczas, kiedy ich nie potrzebujesz, a tak niejako przez przyjaźń, wspaniałość zobowiązani, w razie niebezpiecznym sami może cię ostrzegą, a przynajmniej nie będą surowymi w śledztwach początkowych, od których bardzo wiele zależy.

Wiele mówiono o patryotyzmie tak zwanej zagonowej szlachty; wierzę temu, jeśli jest mowa o szlachcie drobnej, dawno kreowanej, ale pociągnąłbym w wątpliwość to zdanie, jeśliby je zastosować chciano do chłopów świeżo uszlachconych

takich n. p. jak ta nowa szlachta zagonowa, którą na Litwie w liczbie 18.000 familij przez trzy triennia marszałkownictwa karpia do ksiąg szlacheckich zapisano.

W porównaniu z tą szlachtą, mieszczenie wileńscy i nawet włościanie litewscy więcej dali dowodów gotowości swojej do poświęcenia się dla Polski. Sprawdziła ta szlachta nowa owe przysłowie litewskie:

Ne duk Diewe ysz muzyka pona — i przysłowie ruskie: — Ne daj Boh z Iwana pana.

Do niej także możnaby zastosować facecyę Radziwiłła, który podając żebrakowi kieszę złota w obecności króla Poniatowskiego, rzekł:

— Na żebraku, a proś Boga, aby nigdy w Polsce nie był szlachcie królem, a chłop panem.

Na to dziad byłby mógł odpowiedzieć Radziwiłłowi:

— Daj Boże, żeby byli wszyscy panami, ale razem niech będą uczciwymi.

Takie i ja życzenie stosuję do świeżej szlachty zagonowej na Litwie. Należy jej uszlachetnić postępowaniem swoim dawne herby polskich familij, do których ich gorliwość obywatelstwa przypuściła; należy jej nawet w oczach Moskali zasłużyć na szacunek, bo lubo Moskale z nami wojowali, byli oni jednak z uszanowaniem dla tych, którzy im mężnie czoło stawiali; a najczęściej z pogardą dla owej bojaźliwości zagonowej szlachty.

Niechaj te oznaki uszanowania, z jakim Moskale jenerała Bogusławskiego, zawiezionego po wojnie w głąb Rosyi, przyjmowali dla świeżej szlachty litewskiej będą nauczającym przykładem!

Robiliśmy kule i proch, skupowaliśmy broń, gotowaliśmy się do boju w samym Wilnie, ale nie mogliśmy się doczekać go. Nie pewni, co dalej począć, próżno czas na rozmowach i naradach tracąc, kiedy już odgłos powstania zewsząd wiadomości naszej dochodził, zniecierpliwieni nieczynnem oczekiwaniem, wybraliśmy jedyny środek należenia do walki narodowej, postanowiliśmy uchodzić z Wilna i łączyć się z powstaniami na prowincyi.

I środek ten był tem konieczniejszy, że już w marcu nietylko akademicy, ale i ludzie rozmaitych stanów z ukrytą bronią opuszczali Wilno po kilku a nawet kilkunastu i spieszyli bić się wspólnie z powstańcami.

Im dłużej zostawaliśmy w Wilnie, tem bardziej traciliśmy nadzieję działania w mieście, bo gdy z jednej strony liczba nasza się zmniejszała, z drugiej powiększały się ostrożności rządu rosyjskiego. Byli nawet tak niecierpliwi boju, którzy bez broni z miasta na prowincję do swoich znajomych wychodzili i tam się uzbrajali.

Czy mądrze uczyniła potajemna władza rewolucyjna, że wychodzeniu temu, które miasto z ludzi do boju zdatnych ogłosiło, nie starała się zapobiedz i czy nie należało jej raczej postawić na czele ludu jakiego zdatnego i śmiałego oficera dla zrobienia powstania wewnątrz miasta, czego większość mieszkańców niewątpliwie żądała, to zostawiam do wyjaśnienia przez tych, którzy bliżej znali stosunki, zasoby i obowiązki tej władzy.

Obawiano się zapewne dla Wilna losu Pragi i Oszmiany, albo brakowało śmiałego i zdatnego do przewodniczenia ludowi oficera. To pewna, że młodzież akademicka i lud oczekiwali z niecierpliwem upragnieniem takiego przewodnika.

Naturalny, że tak powiem instynkt mieszkańców, nie w pięknych odezwach ale jedynie w mądrym i energicznym wojowniku, widział nadzieję zbawienia sprawy. Dla tego też, jak pierwaj za Chłopickim, tak teraz modlono się za Skrzyneckim.

Niechaj o tym zmyśle narodu nie zapominają przyszli kierownicy polskiej sprawy, niech go ma przed oczyma i niech w nim czerpie zachętę nasza młodzież do doskonalenia się w sztuce wojkowej!

Rzecz uwagi godna i dowodząca, tak patryotyzmu mieszkańców Wilna, jak bezskuteczności policyi moskiewskiej, że wielu z tych, którzy w marcu do powstania się udali, powróciło do miasta w kwietniu, nie iżby ich wojaczka strudziła, albo zniechęciła, ale jedni dla odwiedzenia swoich rodzin, drudzy dla zachęcenia swoich znajomych do dzielenia przyszłego boju,

inni dla doniesienia o działaniach powstańców i dla starania się o proch, inni nakoniec dla leczenia się z ran, w boju odniesionych, wszyscy z niezlomną żądzą powrócenia na wojnę partyzancką.

Znałem kilku czeladników, którzy za powrotem od powstańców przyjmowani byli przez swych majstrów z największą radością; o każdym z nich wiedzieli sąsiedzi, znajomi, wiedziało kilkaset osób i nietylko, że o ich pobycie w Wilnie policya się nie dowiedziała, ale nawet byli zupełnie spokojni. Nie dowodził to wielkiego patryotyzmu mieszkańców?

Śluchano z rozrzewnieniem ich opowiadania, jak się bili z Moskalami i miano dla nich największy szacunek, tem bardziej, że każdy z nich obiecywał powrócić na wojnę po krótkim odpoczynku.

I dotrzyмали obietnicy, poprowadziwszy z sobą kilku innych.

W liczbie tych prawdziwych partyzantów był chłop jeden, który uciekł od pana swego, mieszkającego w Wilnie; zaszedł najprzód do wsi swego pana, tam namówił dziesięciu innych do powstania, zabrał pomimo woli ekonoma konie, i broń myśliwską swego pana, podobno nawet nieco pieniędzy i potem z towarzyszami zwerbowanymi udał się do powstania w powiecie rosieńskim.

Kula karabinowa urwała mu paluch u lewej ręki. W takim stanie wiedząc, że pan jego znajduje się w Wilnie, umyślił stawić się przed nim osobiście.

— Konie, pieniądze i ja — rzekł — służyły na bicie naszych pogan, byłem trzy razy ranny pałaszem, kula urwała mi palec; jak wyzdrowieję, pójdę znowu służyć, ale w piechocie. Przychodzę prosić pana o przebaczenie dla siebie i tych, których z sobą uprowadziłem, i którzy się tam biją, ale już ich tylko siedmiu zostawiłem, bo trzech Moskale ubili.

Obywatel uściskał go jak swego syna, kazał przywołać doktora, opatrzyć mu spuchniętą rękę, podziękował za jego zaufaną szczerość i obiecał swego syna razem z nim na wojnę wysłać, oddając mu go w opiekę, jako już oswojonemu z bojem.

W czasie obiadu posadził go przy swojej żonie, kazał córkom, aby mu usługiwały, bo ranną ręką nie mógł sam krajać i zachęcał, aby tak śmiało jadł, jak gdyby był u swoich rodziców lub we dworze na wieczerzy po żytożęciu.

Było na ten obiad dla bohatera chłopka kilka osób zaproszonych, a po obiedzie, kiedy improwizowany gość nabral odwagi i kiedy z całą prostotą duszy i najczystszym przeciw Moskalom uczuciem, zaczął opowiadać boje z nimi, nie było jednej z obecnych osób, którejby lica nie były zroszone łzami to radości z tryumfu powstańców, to z żalu rozmaitych ich cierpień i niebezpieczeństw, to nareszcie z podziwiania ich wielkich poświęceń.

Niepodobna sobie wyobrazić, z jakim szczerem smutkiem ten partyzancki inwalid opowiadał brak ładunków. Zdawało się, że wszystko inne było dla nich tylko igraszką, a to tylko jedynem ich nieszczęściem, że liczba ładunków nie odpowiadała nieprzebranej sile ich zapалу. Oszczędzali oni ładunki tak troskliwie, jak inni ochraniają życie.

Kiedy po wystrzeleniu reszty, jeden tylko, któremu zostawał ładunek, zachowywał go na ostateczny przypadek, jak ostatnią swojego działania nadzieję.

Z opowiadania tego chłopca widać było, że powstańcy poznali już, że im w szeregach z wojskiem regularnem bić się nie należy, i że tylko z za drzewa, z pośród chróstu, z za góry do Moskalów celować potrzeba.

Oprócz tych powstańców, którzy dobrowolnie z pola bitew do Wilna na czas krótki wracali, lub wracać byli zmuszeni, znajdowało się ich w Wilnie kilku, których jako jeńców i rannych Moskale do miasta przysłali.

Jednego z nich młodego i ciężko rannego studenta wziął był jeden obywatel na swoją porękę i wyrobił dla niego tyle, że kiedy do zdrowia przychodził, tylko pod strażą budnika zostawał, a później został zupełnie uniewinniony. Nie są mi wiadome szczegóły jego procesu.

To tylko pamiętam, że uwolnienie tego 18to letniego, jak anioł milego, w głowę pałaszem i w ramię kulą rannego mło-

dzieńca, tem przyjemniejsze na mieszkańcach sprawiło wrażenie, że się takiego wyroku nie spodziewano.

Po owych morderczych egzekucjach za same słowa, rozstrzelanie, albo powieszenie tego jeńca, który się mężnie bronił, nim był wzięty, zdawało się być niewątpliwem.

Albo umiano nadać sprawie jego dobry kierunek, albo przekonano się, że mordy nie tłumią, a często podnoszą ducha.

Inny tego rodzaju jeńiec, mieszczanin wileński, z pobożowskiego powstańców do Wilna przywieziony, wtrącony został do więzienia i zapewne nie byłoby mu uszło tak szczęśliwie jak tamtemu studentowi, gdyby go nie był ocalił zręczny wybieg i pocciwy lekarz.

Widział on, jak żołnierze wynosząc cholerycznych lękają się ich dotykać gołymi rękami i tylko zawiniętych w grube prześcieradła wynoszą do trupiarni.

To podało mu myśl udawania że ma cholere, a później miał zamiar udać nawet umarłego, w nadziei, że z trupiarni łatwiej mu będzie wydobyć się na wolność, niż z więzienia.

Kiedy więc na bole i kurcze zaczął narzekać, sprowadzono doktora.

Ten go poznał, jedno słowo było dostateczne do porozumienia się, doktor przepisał mu lekarstwo, które właśnie główne symptomata cholery miało sprawić i przykazał dozorczy, że jak tylko te symptomata się pokażą, aby go na dziedziniec wynieść i wywieść kazał, gdzie umarłych na cholere wapnem zasypywano, bo wszelki ratunek będzie wtenczas niepodobny i chory całe więzienie będzie mógł zarazić.

Lekarstwo wnet zaczęło operować, a zresztą chory tak starannie udał umierającego, że dozorca więzienia czem prędzej rozkaz doktora wypełnić kazał.

Obwinięto biednego powstańca w prześcieradło, złożono go tymczasowo w kącie dziedzińca, a gdy noc nadeszła, zajęła fura, na którą go włożono.

Wiózł go za miasto, gdzie go miał zagrzebać dziad, który do wywożenia cholerycznych był użyty i kiedy już byli za miastem, powstaniec odzywa się do dziada, zapewnia go, że

cudem Boskim wyzdrowiał i prosi, żeby nikomu o tem nie mówił.

— Kiedy łaska Najwyższego cię ocaliła — odpowie dziad, miałebym na śmierć ja cię oddawać? A ruszaj w świat, gdzie ci się podoba, ja powiem, żem zakopał trupa.

Znajdywał się w tym czasie wzięty jeszcze na początku wojny innego rodzaju jeniec polski; był to żołnierz 5 pułku ułanów.

Moskale wprowadzili go byli do Wilna w tryumfie, w mundurze i na koniu.

Ludność cała pełna zapалу dla wojska polskiego nie mogła się wydziwić jego śmiałej postawie.

Zdawało się, że jakiego bohatera posiadały mury Wilna; przeprowadzono go z więzienia do więzienia i patriotyzm mieszkańców wszędzie znalazł sposoby przesyłania mu wszelkich wygód życia w więzieniu.

Od tego czasu nie przyprowadzano więcej do Wilna jeńców z regularnego wojska polskiego, ale też i ułana tego z miasta nie wyprowadzono.

Pod ten czas siedział on w więzieniu na Antokolu.

Jednej nocy udało mu się za pomocą powiązanej bielizny spuścić się z okna więzienia, ale że mundur byłby go zdradził, zostawił go i tylko w koszuli, nieco potłuczony, dostał się do karczmy wsi Hrybiszek, o dwie wiorsty od Wilna.

Dowiedziawszy się o tem jeden mi znajomy, przybiega do mnie nazajutrz z rana i donosi z największą radością:

— Mamy ułania polskiego.

I mnie się zdawało, że żołnierz z wojska regularnego, dla którego cała stolica Litwy była z entuzjazmem, dla nas, cośmy nie mieli dowódcy wojskowego, cośmy go pragnęli, był wielkim skarbem.

Czem prędzej więc, wiedząc o jego lekkim ubiorze, zabrałem z sobą dla niego odzież i pobiegłem do Hrybiszek.

Ułan ten przychodził często do Wilna z ogolonemi wąsami i przechowywaliśmy go starannie, jako przyszłego naczelnika naszego powstania.

Później pokazało się, że ułan ten zawiódł nasze nadzieje,

albo raczej, że my cośmy powinni byli myśleć o prowadzeniu wojny partyzanckiej, mylnie rachowali na prostego żołnierza z wojska regularnego, nie znającego ani kraju, ani ludności miejscowej.

Obłęd ten dzieliły z nami prawie wszystkie powstania.

Kiedy później w powstaniu kazaliśmy mu dowodzić nami, miał on tyle rozsądku, że się wzbraniał i żądał nawzajem, aby uczeni dowodzili.

Próżne były jego usiłowania, gwałtem oddaliśmy się pod jego dowództwo, mówiąc mu:

— Tyś się uczył wojny, boś dawny wojskowy.

Na co on odpowiedział:

— Kiedy jeszcze nie nauczyłem się tego, bom był tylko żołnierzem.

I ten tak jasny argument nie skutkował. Powoli złudzenie nasze zaczęło znikać, kiedy naczelnika naszego często widzieliśmy pijanego. Z całą poczciwością serca doradzaliśmy mu trzeźwość, ale on, radami naszemi zniecierpliwiony, zawołał jednego razu:

— Dali Bóg w łeb wypalę, jeśli mi jeszcze o tem mówić będziecie.

Pijaństwo jego dawało powód do kłótni, w których raz prawdziwy nasz rycerz Iwan, ten sam, co Łabanowskiego chciał uwolnić, o mało życia nie postradał. Musieliśmy się wziąć do kija i wkrótce naczelnik nasz został przedmiotem wzgardy powstańców.

Ale wracam do przerwanego opowiadania. Przy końcu kwietnia pięciu młodzieńców odwiedziło mnie. Był pomiędzy nimi jeden, którego nierad widziałem z powodu procesu między rodzicami nas obojga.

Ale przyszli w celu porozumienia się w sprawie ojczystej i o zawiści prywatnej należało zapomnieć. Powiedzieli mi, że ich jest kilkuset, że władza ich postanowiła, aby wszyscy, co mogą iść pod broń, wyszli z miasta do powstania i żądali, aby i moi znajomi to samo uczynili i abyśmy w tem wyjściu z miasta wspólnie sobie dopomogli.

Podjąłem się najchętniej tej usługi, tem bardziej, iż już

widoczną rzeczą było, że tylko w powstaniu na prowincyi możemy być czynni. Dowiedziałem się od nich, że po długich naradach czy każdy z bronią swoją z miasta ma wychodzić, czy też bez broni, postanowiono dla bezpieczniejszego wyjścia zostawić broń w mieście, wywiesić ją razem i dopiero za miastem ją rozebrać.

Żądali więc, abym im dopomógł do wynalezienia bezpiecznego miejsca, w któremby broń mogła być złożona i do wywiezienia upakowana, oraz abym im ułatwił kupno koni. Dla obudzenia we mnie większego zaufania, zaprowadzili mnie do kilku domów, gdzie odlewano kule i robiono ładunki, co trwało już widać od znacznego czasu, bo osoby tem się trudniące miały do tego pewną wprawę i zachowywały z prochem wszelką ostrożność.

Z najprzyjemniejszym zdziwieniem, zastałem w jednym domu nawet damy tą niebezpieczną robotą zajęte. Przywitały nas jak swoich krewnych, jak najlepszych przyjaciół, chociaż po raz pierwszy je widziałem.

Tego samego dnia najęliśmy małą kamienicę z dziedzińcem, w której nikt nie mieszkał, udając przed właścicielem, że ją przeznaczamy nie na mieszkanie, ale na zabawy akademików. Gospodarz dał nam natychmiast do niej klucze.

Na Końskim Targu i w stajni żyda, u którego mój towarzysz kupił konie, wszystko powiodło się pomyślnie, lubo na targu przechadzający się dwaj palestranci, nieroztropnem przemawianiem, towarzyszewi mojemu bardzo młodemu pokazać chcieli, że wiedzą, w jakim celu konie kupujemy.

Żyd musiał się także domyslać, ale nie dawał tego poznać, przyrzekł owszem, że nam dostarczy tyle koni, ile zechcemy. Ale konie te trzeba jeszcze było zaprowadzić na policję tam złożyć deklarację dla kogo są kupione i zapłacić mały podatek.

Skłoniłem mojego towarzysza, żeby się nie pokazywał na policji i wziąłem na siebie przebyć tę trudną przeprawę.

Podyktowałem nazwisko nie polskie i załatwiłem tę formalność. Ale parobcy żydzi, którzy konie odprowadzili, nie wątpili, żeśmy oszukali policję i chcieli nas pociągnąć; jeden

z nich, powiedział nam wyraźnie, że wie, na jaki cel kupiliśmy konie, i lubo w niespokojności, żeby nas donieśli, udaliśmy że nie uważamy na ich przymówki, zapłaciliśmy im ogonowe i okoliczność ta nie pociągnęła za sobą dalszych skutków. Oddali konie naszym ludziom i wnet umieściliśmy je w stajni domu najętego.

Dom ten stał się wnet naszym arsenałem. Koledzy wysłanych do mnie związkowych, otrzymawszy umówione hasło, zaczęli po jednym znosić do domu tego broń, na którą każdemu dawano numer.

To znoszenie broni trwało przez 4 dni od 8 z rana do 8 wieczór. Wieczorem zamykaliśmy dom, zostawialiśmy wszystko na łaskę Bożą i otwieraliśmy go nazajutrz.

Tym sposobem zniesiono znaczną ilość prochu i rozmaitej broni dla 400 przeszło osób, które ją za miastem miały rozebrać.

Pomiędzy przyniesioną bronią były pałasze z czasów Zygmunta, Batorego, Sobieskiego, broń palna z czasów Karola XII i miecz szacha perskiego, który miał być wielkiej wartości i który bezimienna panna przeznaczała dla generała nadwiślańskiego, który się najpierw na ziemi litewskiej odznaczył.

W miarę jak broń znoszono, robiono z niej paki dobrze szpagatem obwiązane, te kładziono w worki, obsypywano do koła owsem, a przy końcu dla braku czasu już i tej ostrożności nie zachowywano.

Amunicję pakowaliśmy w walizy skórzane. Wilią przed dniem wyznaczonym do wywiezienia broni za miasto, naładowaliśmy nią ogromny wóz i przykryliśmy wszystko sianem.

Było to, jeśli się nie mylę, dnia 10. maja, kiedy pozostali jeszcze akademicy z wielu innymi ludźmi, w rozmaitych kierunkach z miasta wyszli.

Tegoż samego dnia, broń nasza miała być wywieziona.

Jedno i drugie udało się pomyślnie, i że nas wszystkich nie pochwymano, to tylko jakiemuś szczęśliwemu losowi przypisać trzeba.

Wychodzenie, lubo pod pozorem spaceru było widoczne, ludzie nawet jak np. czeladnicy rozmaitych rzemiosł, nie nale-

żący do spisku, widząc przechodzących to grupami, to pojedynczo akademików, porzucali swoje warsztaty i pochwyciwszy choćby siekiere, wychodzili za miasto.

Sama policya, czy o tem nie wiedziała?

Zdaje się, że kazano jej przymrużyć oczy.

Dla czego?

W tem tylko zdania się różniły.

Jedni myśleli, że generał gubernator bojąc się powstania w mieście, rad był, że młodzież najskorsza do niepokojenia załogi z Wilna wychodzi; inni sądzą, i to jest może podobniejsze do prawdy, że generał gubernator, trzymany w przestachu pogłoskami, o zbliżaniu się generała Paca przez lasy do Wilna, nie śmiał rozdzielać wojska i gotował się do stoczenia z nim boju pod murami miasta.

O godzinie 7 z rana przybiegł do mnie w domu najętym energiczny młodzieniec . . . który się podjął broń wywieść.

Miał przy sobie parę dubeltowych pistoletów i w razie, gdyby był przytrzymany, przeznaczał jedne wystrzaly dla służącego, który mu towarzyszył, drugie dla siebie.

Ale w chwili, kiedy już potrzeba było wyjeżdżać, przypomniał sobie, że niema paszportu, o który wszędzie za rogatkami się pytano.

Na szczęście miałem duplikatę paszportu akademickiego, który lnbo na furze z bronią, nie bardzo był właściwy, jednak w braku innego musiał być użyty.

Inna jeszcze była do przebycia trudność:

Powiedziano naszemu pocziwemu woźnicy, żeby o godzinie 8 przejechał roгатki, ale miano go dopiero uwiadomić przez które roгатki ma przejechać i gdzie za miastem ma się zatrzymać.

Uwiadomienie to nie przybywało, a godzina 8 już się zbliżała. Zniecierpliwiony otwiera bramę, wsiada na wóz, jedzie na rynek targowy przy bramie zamkowej i zatrzymuje się wśród mnóstwa targowego ludu i fur przybyłych z rozmaitemi produktami.

Ja tymczasem pobiegłem do mieszkania p. Pietkiewicza, aby się od niego dowiedzieć, którądy i gdzie broń ma być

wywiezioną: ale że go nie zastałem. Wracam do fury a tu i fury niema! Tysiące niespokojnych myśli przesunęło mi się przez głowę; myślałem że policya wóz zabrała i przedsięwzięcie nasze zniweczyła.

Biegnę ku rogatom Ilzenowskim i z Pohulankowej płaszczyzny spostrzegam nareszcie nasz wóz, który poznaję po koniach.

Lubo już daleko był od miasta, puszczam się za nim w pogoń, myśląc że się w chróstach zatrzyma. Nie było go tam, biegnę dalej i stoję w miejscu, gdzie się pięć dróg rozchodziło. Nadchodzą liczne furmanki chłopków okolicznych, pytam ich o moją furę ale nikt jej nie widział.

Umyśliłem powrócić do miasta, aby się z p. Pietkiewiczem zobaczyć i przez posłańców o losie fury się dowiedzieć.

Spotkałem około 30 akademików pojedynczo, lub po dwóch w strony Ponar zmierzających; zakląłem ich, aby starali się ocalić broń i sam pospieszyłem ku miastu.

W mieście był niezwykajny ruch ludu, ale ze strony władz rosyjskich, nie spostrzegłem żadnych przysposobień do działania.

Nieznajomi nawet z ludności miejskiej zabiegali mi drogę zapytywali po cichu:

— A co, czy pójdziemy?

Zalecałem gotowość i ostrożność, bo cóż nieznajomym odpowiadać miałem?

Pobiegłem do najętego domu, w którym reszta naszej broni jeszcze się znajdowała.

Zastałem dzięki Bogu wszystko w całości.

Udałem się do . . . który jeszcze wczoraj o miejscu złożenia broni za miastem miał mnie uwiadomić; zastałem go uczącego się z innymi bić się na pałasze i na bagnety.

Zapewne było to zatrudnienie bardzo użyteczne, ale dla niego nie należało narażać broni naszej na niebezpieczeństwo.

Pozostałą w domu najętą broń, trzeba było także zostawić jakiej straży.

Wziąłem więc kilku silnych czeladników, którzy z największą chęcią podjęli się tej usługi.

Podług instrukcyi powinni byli, jakby tylko policyanci w domu się pokazali, okazać im przychylność i uwiadomić ich, że broń znajduje się w podziemnych sklepach; tam zaprowadziwszy ich, powinni byli ich zamknąć i zagrozić śmiercią, jeśliby opór stawiać lub hałas robić chcieli.

Na szczęście nie przyszło do tej ostateczności i o godzinie 1 z południa ujrzelśmy furę naszą po resztę broni powracającą.

Broń, którą wywiozła, znajdowała się już w ręku świętego hufcu.

Uściskałem zacnego woźnicę i dałem co miałem przy sobie równie pocziwemu służącemu jego.

Kiedym furę na rynku zamkowym był zostawił, zaczęli do niej przychodzić rozmaici kupcy ze zwyczajnemi pytaniami, co jest na niej do sprzedania.

Te pytania tak naszego woźnicę zniecierpliwiły, że czem prędzej z miejsca ku Pohulance ruszył, domyślając się, że tam musi być miejsce zebrania.

Tym sposobem przybył aż do wsi o dwie mile od Wilna.

Tam zatrzymał się, kazał wyprzeżnąć konia, posłał na nim służącego do Wilna dla dowiedzenia się o miejscu zebrania, a sam został na furze.

Wnet nadjechało kilku Kozaków i zapytało go, kto on jest i co wiezie? Odpowiedział że wiezie owies i dobył drżącą ręką paszport, pokazując im go umyślnie do góry nogami przeciwnie.

Kozak spojrział może o sążęń odległości, a zobaczywszy pieczęć czerwoną i dwugłowy herb, zawołał: *H a r a s z o!* Potem napił się z nimi wódki i już spokojniejszy doczekał się służącego, który mu przywiózł nazwisko miejsca, gdzie się broń zatrzymać miała. Trzeba mu było milę wracać się ku Wilnu.

O zebraniu powtórnie zawczasu powziąłem wiadomość, aby znowu i ludzie i woźnica z bronią próżno się nie błakali. Las Burbiszki był na to przeznaczony.

Wszakże roztropność nie radziła rozgłosić to miejsce zebrania; uwiadomiłem więc drugą partyę akademików i ludzi

pozostałych w mieście, a nawet nieznajomych którzy mnie o to pytali, aby się przed ratuszem przechadzali, a ja o godzinie 4 wskażę im dalszy kierunek, tak jednak, iżby to wyjście było nieznaczne.

Czy to przykład Kudrewicza od szpiegowania odstraszył, czy też w istocie duch był tak powszechnie dobry, to pewna, że wychodzący z miasta do powstania, tak byli pewni, że nikt ich nie zdradzi, iż nawet nie zachowywali potrzebnych ostrożności.

Miedzy innymi spotkał mnie Kozaczek służący dwóch braci studentów, opakowany toaletkami swoich panów i zapytał mnie:

— Gdzie nasi dziś wychodzą?

Chciałem wiedzieć dla czego zadaje mi to pytanie, aż on wydobywa karteczkę mówiąc:

— Bo mi panicze kazali, abym się spytał co tu napisali i tam się udał.

Na tej karteczce były słowa: *Las Burbiszki*. Widziałem z niespokojnością, że moja tajemnica nią nie jest i kazałem Kozaczkowi, aby się już nikogo podobnie jak mnie nie pytał.

Uważałem, że mundur akademicki dawał powód do czynienia mi pytań o godzinę wyjścia i natychmiast się przebrałem.

Nareszcie o godzinie 4 wyszedłem przed ratusz i wśród wielkiego ruchu przechodzących, dostrzegłem wielu, którzy podług danej sobie informacyi, w kierunku, jaki im wskazać miałem w pewnych odstępach za mną postępowali. Było nas w tej chwili około 40 w jedną dążących stronę.

Dopóki przebywaliśmy ciżbę ludu, wychodzenie nasze nie było znaczne, ale jakżeśmy wyszli na ulice mniej ludne, widocznie zwracaliśmy uwagę mieszkańców. W tem przejściu, kilku parobków, którzy przed domami drwa rąbali, albo na dziedzińcach domów byli zatrudnieni, spostrzegli nas i wziawszy pod pachę siekiere, bez żadnego z naszej strony zachęcenia, łączyło się z nami, mówiąc:

— Kiedy panowie idą, to i my pójdziem.

Inni prosili tylko o czas, żeby się pożegnać z matką lub ojcem i to niespodziewane rozstanie odbytej się w okamgnieniu wśród łez i krótkich pożegnań z jednej strony: Bądźcie zdrowi, może was już nie zobaczę! z drugiej! Niech wam Bóg dopomaga!

Przechodząc płaszczyzną ze stron Święto-Stefańskich, widziałem na prawo i na lewo ciągnących ludzi różnego stanu nie ku lasowi Burbiszkiemu, ale ku lasom nadpohulańskim i Zakreńskim.

Domniemywałem się, że to są związkowi, umyślnie w rozmaitych kierunkach do jednego punktu dążący. Zdziwiłem się widząc innych z okolic nadpohulańskich i Zakreńskich do miasta wracających. Później dowiedziałem się, że ludzie ci, nie zastawszy tam nikogo, myśleli, że byli zawiedzeni, powrócili do miasta i zapewniali, że pogłoska o wyjściu akademików była fałszywą.

Nareszcie wpadliśmy do lasu burbiszkiego i tam dopiero cały oddział połączył się w jednym punkcie. Z radością ujrzeliśmy wtedy naszych na zewnętrznych punktach lasu i od nich dowiedzieliśmy się, gdzie z innymi mamy się połączyć. Zwróciłem uwagę tego, który zdawał się być przewodnikiem na ludzi wracających z Zakretu do miasta. Odpowiedział mi, że się dowiedzą o nas później i połączą się.

W kilka minut weszliśmy na wzgórek w lesie burbiszkim, gdzieśmy zastali kilkuset naszych, uszykowanych we dwa szeregi.

Widok ten nappełnił nas największą radością i podniósł zapał nasz do najwyższego stopnia.

Tu także dowiedziałem się, że całym naszym oddziałem dowodzić będzie wojskowy, który był w szkole podchorążych warszawskich; już dawniej wspomniałem jakie mieliśmy wyobrażenie o wojskowych polskich, chociażby tylko podchorążych.

Byliśmy więc spokojni pod względem dowództwa. Ale i

ten podchorąży, jak ów ulan zawiódł nasze nadzieje; był on może zdalny do komenderowania aawet brygadą wojska regularnego, posiadał osobiste męstwo, ale na wojnie partyzanckiej znał się tyle, ile każdy z nas.

Dopiero z długich i krwawych walk partyzanckich, wychodzili prawdziwi ich dowódcy.

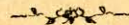
Na tem kończy się rękopis autora.

PAMIĘTNIKI

podpułkownika, byłego dowódcy brygady jazdy

Michała Jackowskiego.

1807—1809.



PAMIĘTNIKI

podpułkownika, byłego dowódcy brygady jazdy

Michała Jackowskiego.

1807—1809.



ROZDZIAŁ I.

.... Kiedy Francuzi weszli do Warszawy, wszedłem do powstania łęczyckiego na żołnierza. Dowodził niem młody Dąbrowski, syn sławnego generała. Francuzi użyli pluton tego powstania do prowadzenia koni marszałka i generałów; byłem i ja w tym plutonie i niezmiernie mi było przykro, że zamiast do boju, do takiej służby byłem użyty.

Po bitwie pułtuskiej, w której pluton powstania ten tylko miał udział, że był w ogniu przy koniach, zachorowałem z przeziębienia i umieszczony byłem w lazarecie płockim.

Tymczasem z powstania naszego zrobiono pułk pierwszy strzelców konnych. Dwa konie własne, które w tem powstaniu miałem, podobnie jak konie wielu innych ochotników w tej nowej organizacyi z rozkazu generała Roźnieckiego zapisane

zostały do kontroli i oznaczono je jako konie skarbowe. Obiecano za nie zapłatę, co nigdy nie nastąpiło.

Oburzony taką niesprawiedliwością i z dorady kapitana Hoffmana, przyjaciela mego ojca, wszedłem zaraz po wyjściu z lazaretu do kompanii jego, pułku drugiego piechoty i w dni kilka zostałem kapralem w kompanii wołyżerów.

Zostawałem w tym pułku rok niespełna. Staliśmy w Modlinie i z kolei chodziliśmy do kopania fos i robienia wałów. Dla przykładu, po całych dniach jak żołnierz pracowałem; rozumiałem, że się do tej roboty, do której nie byłem przyzwyczajony, z czasem będę mógł wprować.

Ale z utrudzenia, wielkich upałów i niewygód dostałem febrę, która w tym roku bardzo panowała; krew rzuciła mi się nosem i ustami i musiałem prosić komendanta, aby mi pozwolił odzyskać zdrowie na przeciwnym brzegu Narwi u Holendra Balcera pod Nowemuniastem mieszkającego. Znałem go był pierwaj z okoliczności następującej:

Załoga w Modlinie robiła mu była wielkie szkody w gospodarstwie, skarżył się o to, i dowódca pułku wysłał mnie był do niego na załogę, ażeby szkodom tym zapobiegł i robiących je żołnierzy poaresztował; jednego razu w nocy cała banda napadła na jego ogród owocowy, natychmiast uzbroidłem się i wybiegłem z gospodarzem; strzelono gdy nas ujrano, a gospodarz zemknął zostawiając mnie samego; jeszcze dwa razy do mnie strzelono, ale mnie chybiono.

Nabiłem broń i poznawszy przywódcę tej bandy, który był zbiegiem z wojska moskiewskiego, krzyknąłem na niego i samą pogroźką powiodło mi się ich rozpędzić; nazajutrz przywódca ten Moskal z pułku naszego deztererował. Holender widząc, że w obronie jego własności życie moje narażałem, przywiązał się do mnie i takie w nim wzbudziłem zaufanie, że mi nawet pokazał swoją szkatułę, w której miało być 100.000 zł. i żądał, abym z niej wziął co mi będzie trzeba.

Nie wziąłem nic od niego i owszem oburzyłem się, że mi płacić chce za to, co robię z mego obowiązku. To powiekszyło jeszcze przyjaźń jego dla mnie.

Kiedy więc zachorowałem przypomniałem sobie tego Bal-

cera i rachując na jego wdzięczność, prosiłem aby mnie powierzone jego staraniu. Augustyn Kordzikowski (dziś kapitan będący z nami na tułactwie) kadet z tej samej kompanii, którego mustry uczyłem, zawiózł mnie do niego.

Nie zawiodłem się na jego przychylności; przyjął mnie z radością i dziękował za zaufanie. Przez dni dziesięć leżałem u niego; miał o mnie staranie ojcowskie, codziennie lekarz z Modlina odwiedzał mnie i przychodziłem już do zdrowia, kiedy nagle, zapewne z powodu własnej niewstrzeźliwości w jadłę dostałem recydywy.

Lekarz zdecydował oddać mnie do lazaretu warszawskiego. Balcer z największym smutkiem zaledwie na to pozwolił. Wyprawił mnie wygodną bryczką i rozstał się ze mną ze łzami.

W lazarecie odwiedzał mnie często i dla zrobienia mi wygod większych zostawił mi pieniędzy, których przyjąć nie chciałem.

Balcer oddał je szpitalowi dzieciątka Jezus na intencję mego wyzdrowienia. Dzięki memu kapitanowi, umieszczony zostałem w sali oficerskiej; nie podobało się to znajdującym się tam oficerom, którzy uważali to za ubliżenie dla siebie mieć obok chorego podoficera.

Było mi to przykro, ale może takie było prawo lazaretowe, może tego wymagała hierarchia wojskowa.

To pewna że kiedy później zachorowałem, zamiast iść do lazaretu, wolałem oddać się staraniom znajomego mi obywatela warszawskiego Madejskiego. Zaledwie wstać mogłem jeszcze słaby, wróciłem do pułku. . . .

W tym właśnie czasie formowała się artyleria konna. Włodzimierz Potocki zaczął ją formować swemi funduszami. Upoważniony do wybierania żołnierzy z całego wojska, wybrał nas trzech z pułku drugiego.

Kiedy mu byłem przedstawiony, ubolewał nademną widząc mnie schorzałego, ale że to było po febrze, nie wątpił, że wkrótce sił nabędę. Spotkał go w tym czasie przypadek: jadąc konno złamał nogę na moście, który się pod nim zalał.

To było przyczyną, że formację artylerii zdać musiał na pułkownika artylerii Redla. Ten zaczął mi zadawać rozmaite pytania, nie względem tego co umiem, ale względem mojego zdrowia i w końcu oświadczył, że nie przyjmie żadnego z nas na podoficera, tylko na prostych kanonierów. Nie namyślałem się i wszedłem do artylerii z podoficera piechoty na kanoniera pierwszej klasy, ufny, że wkrótce zasłużę na awans.

Ruch na koniu i ranne wstawania wkrótce czasie przywróciły mi zdrowie. Co tydzień prawie awansowany byłem na ogniomistrza, na kaprała i na wachmistrza.

Ale nim zostałem ogniomistrzem, ucierpiałem wiele, bo gdy jeszcze nie wszyscy żołnierze z pułków byli nadeszli, było nas kanonierów nie wielu, a koni wiele i to jeszcze nieujężdżonych i dzikich tak, iż każdy kanonier miał sześć koni do chędożenia i ujeżdżania. Pomiedzy innemi dostały mi się dwa konie bułane, których dochędożenie było trudne. Ale nietylko konie opatrywać, jeszcze i furaz z furgonów do stajni nosić musiałem, a gdy do prac podobnych nie byłem przyzwyczajony, często z płaczem odbywałem tę służbę, ale zawsze chętnie, bo wiedziałem, że ją pełnię z własnej woli i w wojsku narodem.

Na domiar nieprzyjemności, mieliśmy z pruskiej służby wachmistrza Jeśkiego, który dla tego, że mu nie nadskakiwałem, coś do mnie cierpiał i często mnie, nawet nie z kolei na nadzwyczajne sznurwachy wysyłał, a o moje konie bułane zawsze mnie prześladował.

Razu jednego odwołując się i do kresek zgrzeblem wyciągniętych, i do świadectwa wachmistrza plutonowego, powiedziałem mu, że niesprawiedliwie mnie łaje, za co ów Niemiec wsadził mnie do aresztu w komórkę, gdzie był skład sieczki, mówiąc:

— Ty hardy, w pruskim wojsku żołnierze tak nie odpowiadają, tydzień siedzieć będziesz.

Nie mówiąc ani słowa poszedłem do komórki.

Na szczęście nadszedł Włodzimierz Potocki kapitan formującej się kompanii artylerii konnej, który widąc rozmowę

naszą musiał słyszeć i rzekł do wachmistrza, który był nieco pijany:

— Co ty masz do tego żołnierza, takimi jak on, chciałbym widzieć wszystkich; konie są dobrze wychędożone, nadużywasz swojej władzy i nie uważasz na to, że ten człowiek wszedł dobrowolnie z podoficera na żołnierza i służy z patryotyzmu.

Jest wolny z aresztu, bo już awansował na ogniomistrza.

Słyszałem w komórcie tę reprymandę i niezmiernie się ucieszyłem.

Wachmistrz wypuścił mnie natychmiast i stawiał przed kapitanem Potockiego, który do mnie te rzekł słowa:

— Awansowałeś na ogniomistrza i spodziewaj się dalszego awansu; to, co cię spotkało, nie bierz za karę, ale za lekcję cierpliwości i subordynacji.

Od tego czasu wachmistrz Jeśkie był dla mnie z nadzwyczajną aż do podłości grzecznością.

W tym właśnie czasie przybył z Paryża ze szkoły politechnicznej Roman Sołtyk i ofiarowawszy formować swoim kosztem kompanią drugą artylerii konnej, został jej kapitanem; nasz kapitan kompanii pierwszej Włodzimierz Potocki, awansował na szefa szwadronu tych kompanij, a my wszyscy z pierwszej kompanii postąpiliśmy na wachmistrzów; ja postąpiłem na wachmistrza do kompanii drugiej.

Mundury nasze były piękne; podoficerowie mieli szlify ponsowe złotem przerabiane i także akselbanty.

Uczucia honorowe w naszej artylerii konnej przez Włodzimierza Potockiego starannie były utrzymywane. Nie wolno było, nie mówię już bić żołnierzy, ale nawet używać przeciw nim wyrazów obelżywych; urazy osobiste rozstrzygane były pojedynekami, a areszt, wypędzenie z wojska, oddanie pod sąd i kula, były jedynymi karami służbowymi.

W miesiącu kwietniu 1809 po raz pierwszy odbywaliśmy ćwiczenia z ogniem na Pradze; wszystko szło ochoczo, gorliwie i bardzo dobrze; strzelaliśmy do tarczy, a później całą baterię do kominów spalonego domu.

Dawaliśmy ognia sekcjami i ci, co najlepiej trafiali, do-

stawali w podarunku zegarki. I mnie spotkał ten honor, ale za podarunek podziękowałem.

Wróciwszy do koszar, które mieliśmy przy ulicy Orlej w pałacu Wielkopolskich, po opatrzeniu koni, zaledwieśmy około godziny drugiej po południu obiad jeść zaczęli, nagle alarm trąbić zaczęło i tak w naszych, jak w Mirowskich koszarach ze wszystkim w marsz zabierać się kazano.

Włodzimierz Potocki poprowadził nasz szwadron za koszary artylerii, tam wzięliśmy działą z kieszonkami i upakowanymi do bojów ładunkami i wyruszyliśmy drogą ku Raszynowi.

Warszawianie błogosławili nas i żegnali z płaczem.

O pół mili od Raszyna, gdzieśmy dzień i noc nieczynni stali, wykomenderowano trzy pułki jazdy i pułk piechoty Gołdebskiego, któremu dodano cztery nasze działą dla wzmocnienia przedniej straży, poprzednio wysłanej pod Mszczonów.

Kanonada pod Raszynem zaczęła się około godziny jedenastej, reszta dział naszej artylerii konnej stała w odwodzie i nie należała z razu do boju.

O czwartej z południa dostaliśmy rozkaz maszerowania na pozycję dla złuzowania artylerii saskiej, która nieco była ucierpiała, zadawszy Austryakom nie małe straty. Z wojska saskiego były w bitwie raszynskiej pułk piechoty, bardzo słaby, bateria artylerii pieszej i pułk huzarów.

Przybywszy na miejsce nam wskazane, rozwinęliśmy naszą linię od grobli nad łąką naprzeciw olszowego gaju.

Tyraljerzy kolumny austriackiej, która gaj była zajęła, z brzegu gaju rzuściła do nas strzelać zaczęła; tamto ranny był lekko szef sztabu księcia Józefa, generał Fiszer.

Daliśmy ognia po kilkanaście razy z każdego działą, poczem owa kolumna austriacka z gaju ustąpiła, my zaś otrzymaliśmy rozkaz cofnięcia się ku Warszawie.

W tej rozprawie ranni byli z naszej artylerii konnej sierżant Konarski Tomasz (dzisiejszy generał), Frankowski i kilku kanonierów.

Straciłem tam także przyjaciela w oczach moich godnego młodzieńca, sierżanta z pułku drugiego piechoty Franciszka

Wilczka, który przed bitwą przybiegł do mnie na pożegnanie, mówiąc:

— Przeczuwam, że dziś niezawodnie zginę.

Odwrot ku Warszawie odbył się w porządku.

Ale władza krajowa zaniedbała ponaprawiać groble i drogi i dwa działą naszej artylerii konnej zagrzeźły w błocie po same panwie, pół mili od placu boju na grobelce błotnistej doliny.

W odwrocie musiano je zostawić, a porucznik Mikoszewski odkomenderował mnie i kaprala Bąkowskiego do ich wydobywania.

Wzięliśmy się do tego i w obec nieprzyjaciela, nie łatwego dzieła:

Odprowadziliśmy nasze dwa wierzchowe konie w chrusty niedaleko doliny, przekopaliśmy rów, spuściliśmy wodę, podkopywaliśmy koła i przykryliśmy działą chrustem, aby nieprzyjaciel ich nie spostrzegł.

Częste patrole austriackie dochodziły do samej prawie doliny, ale że noc była ciemna, nie spostrzegły nas, ani dział, pomimo że kule i wieńce przez nieprzyjaciela w górę puszczane, i pobojuwisko i okolice kiedy niekiedy oświecały.

Z kolei jeden z nas kopał, a drugi stał na straży za błotem i uwiadomiał o nadchodzącym patrolu. Trzy razy patrol austriacki przychodził nad same błoto, ale na szczęście zawsze wracał nie zapuszczając się dalej. Na godzinę przededniem, posłałem kaprala Bąkowskiego z poleceniem, aby galopem do Warszawy ruszył i konie pociągowe z asekuracją przyprowadził.

W ciągu dnia przybył adjutant-major Szubert z końmi pociagowymi i szwadronem jazdy pułku trzeciego ułanów pułkownika Łączyńskiego i pod zakryciem jazdy uwieźliśmy nasze działą z pod boku nieprzyjacielskiego.

Kiedy z temi działami do Warszawy przybyłem, tak kapitan mój Sołtyk, jak dowódca baterii, podpułkownik Potocki zapewnili mnie i kaprala Bąkowskiego, że będziemy przedstawieni do krzyżów, lecz po kampanii austriackiej postąpiłem na adjutanta podoficera, ale krzyża zapewne dla tego nie do-

stałem, że w czasie tym, kiedy krzyże rozdawano, oddaliłem się za urlopem nad granicę litewską dla widzenia się z ojcem.

Wiadomo, że po bitwie raszyńskiej, Austriacy zajęli Warszawę przez kapitulację. Sasi oddzielili się od nas zaraz po bitwie i wrócili do swego kraju, my przez Pragę wyruszyliśmy na prawy brzeg Wisły. Bolesny to był dla mieszkańców widok!

— Opuszczacie nas, to pewnie znowu zdrada! — wołali na nas pełni smutku.

To lekkomyślne obwinianie o zdradę było nawet w zwyczaju osób, które z większą rozważą oceniać mogły wypadki. Przed mostem na Pradze Włodzimierz Potocki żądał, aby nasza artyleria konna najpierwej przez most przeszła i wydał stosowne rozporządzenie. Nie podobało się to prefektowi N. . . . który w uniesieniu zawołał:

— Kto tu rozkazuje?

Potocki odezwał się:

— Ja.

— Jakiem prawem zastępujesz mnie pułkowniku — zawołał prefekt, — czy chcesz naśladować ojca i tak, jak on zdradzać?

Sołtan, Mikoszewski i ja, porwaliśmy się do szabel i chcieliśmy ukarać prefekta za taką obrazę naszego pułkownika, który wszystko dla ojczyzny poświęcił; ale prefekt zniknął i podobno później przeprosił Potockiego.

Po dwudniowym zawieszeniu broni, w czasie którego Modlinie, w Serocku i innych okolicach, uzupełniano szkody w czasie bitwy raszyńskiej wyrządzone, pułk dwunasty piechoty drugi ułanów i dwa działa naszej artylerii konnej, pod dowództwem generała Sokolnickiego uderzyły o świcie tak gwałtownie na sześć tysięcy Austriaków pod Grochowem, że im się sformować nie dały; tam wzięliśmy oficera austriackiego Rzewuskiego, który asekurując działa do ostatka się bronił, usiłował pierwszy zwieść naszych żołnierzy mówiąc do nich po polsku.

Niepewni żołnierze, czy to polski czy austriacki oficer, wstrzymali atak i tym sposobem działa austriackie zemknęły.

Tego samego dnia Dąbrowski pobił Austriaków pod Radzyminem.

Przez Okuniew, gdzieśmy się z pułkami Małachowskiego, Sierawskiego i innemi połączyli, przybyliśmy nazajutrz z rana pod Karczew. gdzieśmy niejaki czas statki austriackie zatapiałi. Austriacy wzniesli byli naprzeciw góry Kalwarii szaniec przedmostowy i chcieli w tem miejscu most wystawić.

Książę Józef kazał uderzyć na ten szaniec i wnet zdobył go bagnetem w rękę pułk Sierawskiego; zabraliśmy tam cały pułk Austriaków i działa, jakie się w szańcu znajdowały; most zaś, który Austriacy zaczęli stawiać, rozbiła nasza artyleria.

Po tej rozprawie zaprosił książę Józef wielu naszych oficerów na śniadanie do Karczewa, na które także wezwani byli zebrani w szańcu oficerowie austriaccy, których było kilkudziesięć.

Książę Józef obszedł się z nimi bardzo wspaniałomyślnie, uraczył ich śniadaniem i potem na słowo honoru, że z Polakami bić się nie będą, do Warszawy wolnych puścił. Oficerowie ci nie mogli się wydziwić tak wspaniałemu i szlachetnemu postępowaniu, które ich uderzało także ze strony naszych żołnierzy bo kiedy ich wzięto, żadnemu nie odebrano ani pieniędzy, ani zegarków.

W czasie śniadania widziałem kilku tych oficerów co mieli srebrne sztuce i słyszałem jak im się wspaniałomyślność polska podobała, kiedy nawet te sztuce, które jeńcom odbierają, bezpiecznie mogli zatrzymywać i przy śniadaniu ich używać.

Z pod Karczewa wojsko nasze wyruszyło trzema kolumnami. Cztery nasze działa, bateria artylerii piechoty, szósty i dwunasty, wszystko pod dowództwem generała Sokolnickiego, formowały kolumnę, w której się znajdowałem.

Przyszliśmy do Maciejowic dnia 3. Maja. Generał Sokolnicki kazał nam sformować czworobok na tej samej płaszczynie, na której Kościuszko był wzięty; przypominając i to zdarzenie i dzień 3. Maja wymownie zagrzewał nas do wytrwałego męstwa i do skłonnej miłości ojczyzny.

Z Maciejowic ruszyliśmy pod Sandomierz, gdzieśmy przybyli wieczorem: po spędzeniu forpoczty nieprzyjacielskich rozpoczęliśmy natychmiast kanonadę, na którą Austriacy prawie do godziny dziesiątej odpowiadali; w szturmie pułku dwunastego zginął w ówczas podpułkownik Marceł książę Lubomirski. Straciliśmy tam także kapitana artylerii pieszej Rosłakowskiego. Z drugiej strony Włodzimierz Potocki z innej kolumny w tym czasie drugą stroną Wisły ku Sandomierzowi wysłany z działami swemi i kompaniami wyborczemi pułku ósmego wziął szaniec przedmostowy i działa.

Jenerał Sokolnicki dowiedziawszy się o wzięciu tego szanca posłał nazajutrz do twierdzy, proponując nieprzyjacielowi kapitulację, na co też się zgodził.

W kapitulacji tej zawarowano, że żołnierze Polacy z pułków załogi austriackiej, będą mogli zostać dla wniknięcia do wojska polskiego.

Nieprzyjaciel nie chciał widać szczerze wypełnić tego ostatniego warunku kapitulacji, bo kiedy między dwa rzędy naszej jazdy z twierdzy wychodził, mnóstwo żołnierzy zaczęło uciekać, kryjąc się poza nasze szeregi. Byli to wszyscy Polacy; przyłączono ich do szóstego pułku Sierawskiego, gdzie formowali w swoich białych mundurach cały prawie batalion.

Jenerał Sokolnicki został w Sandomierzu z piechotą i pieszą kompanią wyborczą i baterią artylerii konnej pod dowództwem Włodzimierza Potockiego, wyruszyły ku Lwowu, dokąd pierwaj z jazdy był wysłany jenerał Roźniecki.

Już byliśmy w Janowie, o trzy mile ode Lwowa, kiedy otrzymaliśmy rozkaz cofnięcia się pod Sandomierz. Zamiast do Sandomierza przybyliśmy do wsi Trześni, gdzie się znajdował korpus księcia Poniatowskiego.

Ztamąd cztery pułki jazdy i owa komenda Włodzimierza Potockiego, wszystko pod dowództwem jenerała Roźnieckiego, wysłane były jako przednia straż korpusu pod Baranów, gdzie przez Wisłę przeprowadzał się arcyksiążę Ferdynand.

Przybyliśmy tam wieczorem; nazajutrz wielu obywateli, z bronią strzelecką do nas przybyłych uwiadomiło nas, że się arcyksiążę już przeprowadził z całym swoim licznym wojskiem;

jakoż około drugiej z południa zaczęły nas atakować forpoczty austriackie, a wnet cała masa jazdy na nas uderzyła. Cztery pułki nasze mężnie się opierały, szczególnie cudów mężstwa dokazywał piąty pułk strzelców z lancami pod dowództwem pułkownika Turny.

Straciliśmy w tej rozprawie do 30 ludzi; gromażor Kurnatowski, pod którym koń się rozparł dostał się do niewoli. Musieliśmy się cofać, ale najpierwszym z tych, którzy się cofali, był jenerał Roźniecki, który jak gdyby niedowierzając nogom konia, zawczasu umykał; widać go było z daleka od wojska w płaszczu kolistym, który w ucieczce tej powiewał jak chorągiew. Dla wojska mniej swój honor i swój kraj kochającego, taki przykład dowódcy byłby hasłem zgubnym; na szczęście nie naśladowano go, cofaliśmy się w porządku; komenda Włodzimierza Potockiego wróciła pod wieś Trześnią do korpusu bez żadnej straty.

Nazajutrz stoczyliśmy bój nierównie ważniejszy i byłaby to może stanowcza bitwa, byłby w niej może cały korpus Ferdynanda zniszczony, gdyby nasi pobratymcy Moskale z dobrą wiarą byli działali.

Trześnia czyli Wrzawa wieś nad Sanem w Galicyi, była widownią tego boju. Z naszej strony był korpus księcia Józefa nieliczny, ale najpiękniejszym w świecie do wszelkich poświęceń ożywiony duchem, i korpus księcia Suworowa; a z drugiej strony korpus arcyksięcia Ferdynanda zrażony wiadomościami z placu bitew wielkiej austriackiej armii.

Ta była nominalna pozycja dwóch stron; ale rzeczywista była, iż tylko korpus księcia Poniatowskiego stoczył bój ten z arcyksięciem Ferdynandem i że Moskale byli w nim tylko widzami.

Wiedzano o tem z naszej strony i przekonano się nawet, że Moskale nie mieli w tym dniu ponabijanych broni i tylko dla pozorów nabijali je z błota ugniecionemi kulami.

Jednemu może w dobrej wierze bijącemu się huzarowi wydarzyło się zapuścić przed szeregi moskiewskie, do których prawdziwą kulą dał ognia; Moskale, którzy o znowie wiedzieli

złapali go, dali mu w skórę i wypuścili go z napomnieniem, aby nie wojował ze swoimi sprzymierzeńcami.

Moskale byli w tym boju jak fałszywi sekundanci przy pojedynku, nam pozornie sprzyjając, a życzliwością i sercem Austrii oddani.

Pozostali oni za Sanem, nie wiem dokąd pomaszerowali; to tylko wiadomo, że nigdzie z Austrykami nie bili się i dopiero w Krakowie zetknęli się z nami i to w austriackim interesie, albo dla korzystania z magazynów pozostałych tam rozmaitych efektów.

Korpus księcia Poniatowskiego mając do czynienia z prze-możniejszą siłą, oparty o San, mając zdraдлиwego sprzymierzeńca, był narażony na zgubę; na szczęście ratowały go przewyborne duch wojska i pozycja szczęśliwa, którą oddzielał od nieprzyjaciela wał, usypany nie w celu wejennym ale dla zabezpieczenia okolic od wylewów.

Było to nasze przedmurze.

Ogień działowy i karabinowy trwał dzień cały i Austriacy poniosłszy znaczne straty, musieli nam zostawić plac boju.

Odnaczył się w nim szczególnie pułk pierwszy liniowy pułkownika Kazimierza Małachowskiego.

Nie mogąc już liczyć na pomoc naszych fałszywych sprzymierzeńców, przeprawiliśmy się w nocy o godzinie 11-tej przez most na Sanie, poprzednio przygotowany i w tej okolicy wyłożony słomą.

Jest wielkie podobieństwo i później było to wykryte, że gdyby Moskale o pobiciu Napoleona w Węgrzech byli odebrali wiadomość, cały swój korpus przeciw nam byliby obrócili.

Na szczęście bitwa pod Wagram inny wypadkom dała obrót.

Zniszczywszy most, strzelaliśmy wzajemnie do siebie przez rzekę.

W Pniewie za Sanem zatrzymaliśmy się czas niejaki, a potem ruszyliśmy ku Puławom, gdzie przeprawiliśmy się przez Wisłę bez żadnej przeszkody i ruszyliśmy ku Krakowu.

W kilku miejscach a mianowicie pod miasteczkiem Książ

Austriacy chcieli nam stawiać opór, ale wszędzie przepędziliśmy ich z łatwością.

W pochodzie tym wszędzie byliśmy przyjmowani z największym zapalem; z lada miasteczka wychodzili naprzeciw nas mieszkańcy i żydzi z dziesięciorgiem przykazania.

Z Galicyi dawnej biegło do nas mnóstwo młodzieży, a ze znakomitszych, którzy na swoich koniach przybyli i sami w bogate mundury się ubrali, uformowano tak zwanych gidów (guides) których potem na oficerów do pułków porozsyłano.

Kampania austriacka była dla nas najpomyślniejszą.

Gdziekolwiek nasze oddziały z nieprzyjacielem się spotkały, zawsze więcej, niż same miały ludzi, przyprowadzały niewolnika

Razu jednego sierżant z pułku dwunastego piechoty, którego nazwiska nie pamiętam, na patrol z 14 ludzi wysłany, naszedł kilkudziesięciu Austryaków, którzy weszli do karczmy a broń przed karczmą z jednym szyldwachem zostawili; późnym zmrokiem zbliżył on się do karczmy, uchwycił nagle szyldwach, nie dawszy mu czasu wystrzelić, zabrał broń, zastąpił drzwi i okna i zmusił oficera austriackiego z całym oddziałem do poddania się.

Zwołani włościanie powiązali niewolników i w tym stanie przyprowadzono ich do korpusu.

Ja także podobne miałem zdarzenie.

W Jarosławiu wzięto do niewoli stu żołnierzy z podoficerami i pięciu oficerów; zwykle wtenczas zabranego niewolnika transportowali włościanie, bo nie wiele mieliśmy wojska: jakoż i tych niewolników transportowali włościanie.

W drodze jeńcy ci odbili broń i patrontasze z ładunkami, które wieziono za oddziałem i tak uzbrojeni, na nowo przedzielali się do swoich, którzy stali dwie mile ztamtąd.

Komenda Włodzimierza Potockiego, w której ja się znajdowałem, właśnie wtenczas z pode Lwowa do Sandomierza wracając, nocowała nad Sanem w Ulanowie, kiedy włościanin dał nam znać, że owi jeńcy, którzy się na wolność wybili, weszli do miasteczka Rudnika.

Podpułkownik Potocki nie mając jazdy wysłał mnie w 10

koni na rekonesans, a sam nie będąc pewny siły nieprzyjaciela, z komendą swoją ruszył ku Sandomierzowi.

Dowiedziawszy się od włościanina, że pod Rudnikiem jest wieś ludna, wziąłem po drodze drugiego przewodnika, tamtemu znanego i kazałem mu pójść do tej wsi, widzieć się potajemnie z jej wójtem i powiedzieć mu, aby całą wieś czembądz, chociażby i kosami uzbrojoną pod Rudnik tak podprowadził, iżby nie został spostrzeżony; przewodnikowi zaś poleciłem, aby dawszy ten rozkaz wójtowi, sam przez ogrody przekradł się przez pikiety austriackie, a przy pomocy pierwszego lepszego włościanina wpadł do dzwonicy i na gwałt z jednej strony uderzył.

Na to hasło wójt miał rozkaz wpaść z całą swoją gromadą do Rudnika, gdy tymczasem ja z drugiej strony tamże miałem wpaść niby z dwoma szwadronami.

W końcu zapowiedziałem wysłanemu przewodnikowi, że jeśli albo on, albo wójt danego rozkazu ściśle nie wypełnią, uważać ich będę za stronników nieprzyjaciół ojczyzny, spale wieś i śmiercią ich ukarzę."

Pozostały przewodnik, którego przy moim oddziale związanego jako zakładnika zatrzymałem, odchodzącemu, który był jego krewnym, te powiedział słowa:

— Kumie, na Boga was zaklinam, zróbcie dobrze, bo najpierwsza śmierć będzie moja.

Nie obawiałem się zdrady, ale taką surowość nakazywała ostrożność.

Już dzień zaczynało, kiedy podstąpiłem pod Rudnik; natychmiast wykomenderowałem szpicę z trzech ludzi, a gdy usłyszałem dzwony, atak trąbić kazałem i sam z siedmiu ludźmi wpadłem do miasteczka.

Dano do nas raz ognia, ale nie wyrządzono nam żadnej szkody, bośmy obces na oddział austriacki wpadli. Raniliśmy jednego wystrzałem z pistoletu i jak tylko spostrzeżliśmy, żeśmy z wojska regularnego, natychmiast uciekło przez ogrody pięciu oficerów, a feldwebel zakomenderował złożyć broń.

W tej samej chwili ludzie z Rudnika i z owej wsi przy-

ległej rzucili się na Austriaków i powiązali ich po dziesięciu. Feldwebel węgierski aż gryzł sobie ręce, spostrzegłszy później jak małą miałem siłę.

Ruszyłem z moimi jeńcami drogą ku Sandomierzowi i o półtóry mili dopędziłem komendę podpułkownika Potockiego, którego wypadek ten wielce ucieszył.

Obiecał on dać oddziałowi nagrody wojskowe, co jednak nie nastąpiło, bo sam odjechał do Warszawy, a zastępca jego major Hauszyld rozdawał je, jak mu się podobało.

Słowem cała ta kampania pozwalała nam z łatwością odnosić uad Austriakami tryumfy i pomimo strat w rozmaitych utarczkach, siły nasze się pomnażały, tak iż kiedy po wojnie przyszlismy pod Kraków, byliśmy silniejsi niż wtenczas, kiedyśmy kampanię rozpoczęli.

Moskale dowiedziawszy się o pobiciu głównej armii austriackiej pod Wagram i posunięciu się Francuzów pod Wiedeń, zmówili się o zajęcie Krakowa z Austriakami. którzy widzieli że go już nie będą mogli obronić.

Jakoż z jednej strony Austriacy stawili nam opór, a z drugiej strony od Kaźmierza wpuszcili Moskale.

Do Austriaków daliśmy kilka razy ognia z dział, poczem natychmiast ustąpili.

Ale Moskale już byli w mieście; trzeba było uprzedzić ich w zajęciu głównego odwachu tem bardziej, iż od zajęcia Krakowa zależała osnowa traktatu.

Zastaliśmy Moskale po obu stronach zajmujących ulice Krakowa i mających minę zagrządzania nam drogi.

Książę Józef wydał rozkaz do awansowania, nie zważając na żadne przeszkody.

Nasi ułani najeżyli lance, nasza artylerya konna w galopie puściła się między szeregi moskiewskie.

Moskale, którzy nas tylko odstraszyć chcieli, ale do opierania się bronią w rękę nie mieli rozkazu, rozstępowali się widząc naszą gotowość do boju i bojąc się, żeby nie byli roztratowani.

Włodzimierz Potocki, dowódzca artylerii konnej na czele asekuracyjnego szwadronu pułku drugiego ułanów, szedł jak do szarży z nadstawionemi lancami.

Jazda nasza poszła za most za Kaźmierz do Wieliczki, a artyleria konna powróciła na Czerwony promyk i tam z naszym głównym korpusem stanęliśmy obozem.

ROZDZIAŁ II.



Na Kazimierzu w Krakowie mieli Austriacy wielki magazyn efektów wojskowych, kiesionów, amunicji. Moskale, jako przyjaciele nie chcieli go zabierać, ale widząc, że nasze wojsko brało się do tego zabierania, hurmem się do niego rzucili. Był to prawdziwy owego magazynu rabunek. Podług umowy miał nastąpić równy między obadwa wojska podział.

Ja wysłany brać co można było dla naszej artylerii konnej, cztery furgony białemi huzarskimi płaszcami, rajtusami i bótami naładowałem; oprócz tego napełniłem furgon ładunkami pistoletowemi i to wszystko przywiozłem do naszego obozu.

Z kolei chodziły nasze pułki na wielki odwach krakowski wspólnie z Moskalami, podobnie i patrole były wysyłane. W całej tej styczności naszej, Moskale na nas sardonicznie i ze złością, my na nich z pogardą i zemstą spoglądali.

Nie dowierzano sobie wzajemnie. Moskale mieli z razu zatoczone działa na rynku i patrole ich miały ostrożność przeciw nam na celu. Ale później cofnęli oni swoje działa za porozumieniem się księcia Józefa z Suworowem; nienawiść zobopólna dawała codziennie powód do licznych pojedynków i wszystkie tak szczęśliwe były dla naszych oficerów, że kiedy

moskiewskich zginęło w nich kilkunastu, naszych zaledwie kilku było rannych.

Uważano, że wszyscy oficerowie Polacy w korpusie Surowa nie okazywali żadnego zaufania w sprawie polskiej pod kierunkiem Napoleona; było to pewnie skutkiem chytrej polityki Aleksandra, który w nich, jak podobnie w wielu znakomitych Polakach, aż do kongresu wiedeńskiego neutralizował nienawiść do rządu rosyjskiego, to obietnicami, to rozmaitemi szczególniejszemi względami.

Trudno opisać jak nas przyjmowali mieszkańcy Krakowa, kilka dni iluminacyi, bale, otwarte obywateli dla naszych wojskowych domy, płacze radośne, były ciągłemi oznakami tej radości.

Kiedyśmy wchodzili, nie tylko mężczyźni ale nawet damy cisnęły się pomiędzy szeregi i jak relikwie całowano w uniesieniu nie tylko nasze nogi, ale nawet konie.

Podobne sceny rzadko się wydarzają w historii narodów; taką eksaltację szczęścia, tylko tak wielkie, jak był rozbiór Polski, nieszczęście poprzedzać musi.

Poświęcenie obywateli dla wojska polskiego były bez granic; wspomnę tu tylko Dębowskiego z Cęcygniewa, który swoim kosztem uformował tymczasową administrację rządową miasta, na co prawie cały swój majątek zrujnował.

Mówiłem o podzielonych uczuciach Polaków, którzy byli wówczas przywiązani do Aleksandra. Wspomnę tu dla większego odbicia smutnej sprzeczności jednego kapitana kozackiego, z którym przypadkowo się zszedłem, który mnie polubił i który także mi się podobał.

Razu jednego zaczął ze mną rozmawiać i widząc jaka jest niechęć między naszym a rosyjskiem wojskiem, rzekł do mnie:

— Ah Rosya, Rosya!

Nie wiedząc, co tym wykrzyknikiem chciał wyrazić, zaprosiłem go do apteki a potem do siebie na fajkę; tam rozgadawszy się ów kozak, rzecze do mnie:

— Czy myślicie, że wam Rosya pomaga? Jeszcze wy się

z nią bić będziecie, bo tak jak nas oszukała, tak i was chce oszukać.

W całej tej wojnie austriackiej, jak powszechnie mówiono, wielką oddał nam przysługę szef sztabu księcia Józefa generał Fiszer, ale ksiązę miał tę zasługę, że rady jego umiał wykonywać umiejętnie.

Generał Fiszer, lubo niemieckie nosił nazwisko, był duszą najlepszy Polak. Wyszedł on z pierwszych zawiązków legionów polskich, był pracowity, wielkich zdolności i nadzwyczaj surowy, ale przestrzegający porządku i subordynacyi, jako duszy wojska. Nieprzyjaciel wszelkiego nieładu w wojsku był lubiony od obywateli, ponieważ zapobiegł zniszczeniom, jakie z sobą roznosi wojsko nie trzymane w karności.

W krótko potem stanęło zawieszenie broni, a później zawarty był pokój. Korpus nasz rozszedł się w rozmaite miejsca na kwatery, a kompania druga artyleryi, w której zostawałem, stanęła we wsi Kostomłoty o milę od Kielc.

W przyłączonej do księstwa warszawskiego, tak zwanej nowej Galicyi, nakazany był pobór rekruta, który się odbył z największą wieśniaków radością.

Zamiast jak pod rządem austriackim prowadzić ich związanych, jak jakich zbrodniarzy, ciągnęli oni sposobem francuzkim losy i zwykle ze skrzypkami na czele, udawali się do pułków narodowych.

... Kiedy z urlopu powróciłem, kapitan Mikoszewski zatrzymał mnie w Warszawie; (załoga naszej artyleryi była w Łęczycy) formowała się wtenczas w stolicy trzecia kompania artyleryi konnej, do której przysłano z dwóch starych kompanij przeszło czterdzieste podoficerów i żołnierzy.

W tymto czasie rozmaite pułki, które miały udział w kampanii austriackiej zgromadziły się pod Warszawą. Postanowiono wnieść tryumfalnie do stolicy. Były tam i naszej artyleryi dwie sekeye.

Poszliśmy w aleje za trzy złote krzyże i na czele wojska, jako najstarsza broń wchodziliśmy do miasta; przy trzech złotych krzyżach wystawiona była brama tryumfalna; a na niej wypisane były wszystkie miejsca, które kampania 1809 r. pa-

miętnemi uczyniła, wraz z nazwiskami oficerów, którzy się w niej najwięcej odznaczyli. Przez tę bramę wchodziliśmy do Warszawy.

Nieliczone mnóstwo ludu przyjmowało nas wśród najradosniejszych okrzyków... Ja wówczas naczelną sekcję artylerii konnej prowadziłem.

W nieobecności księcia Józefa wojsko i nowe pułki w Galicyi formowane, którym dano orły francuskie i kokardy trójkolorowe, przeciągały w paradzie na Saskim placu przed jenerałem Henrykiem Dąbrowskim. Wieczorem dało miasto w sali przy teatrze bal i widowisko teatralne dla oficerów. Grane były sztuki: Krakowiaki i Górale i Okopy na Pradze. Między aktami przed balem wszyscy wojskowi wyszli przed teatr, czekając na jenerała Dąbrowskiego.

Przywitawszy go z nim razem weszliśmy do sali, gdzie muzyka zagrała jego marsz: Jeszcze Polska nie zginęła.

Zaczawszy od niego damy wszystkich nas wieńczyły laurami z kwiatów i girlandami; zasypało cały teatr kwiatami z łóż i galeryi, a po skończonym akcie w laurach poszliśmy do sali balowej, ubranej w trofea wojenne i godła narodowe.

Za wejściem naszym zagrano poloneza Kościuszki. Tkliwa ta oznaka wdzięczności narodowej wszystkim prawie łączyła radości wycisnęła.

Bawiliśmy na balu do godziny czwartej po północy.

Przez następne dni nieustanne bale w domach prywatnych, przedłużały tę narodową uroczystość.

Po uformowaniu trzeciej kompanii artylerii konnej, Włodzimierz Potocki postąpił na pułkownika i te trzy kompanie nazwano pułkiem.

W tym czasie dostałem transport trzech furgonów z nowymi dla kompanii, stojących w Łęczycy, mundurami, a przy tej komendzie dano mi także trzech kadetów z korpusu warszawskiego: Bińcza, Twardowskiego i Jerzmanowskiego, przeznaczonych do naszej artylerii.

Tam u załozdy stojąc, podany na porucznika i z tego powodu po małym przemówieniu się wyzwany byłem na poje-

dynek przez wachmistrza Charzewskiego; chciałem się strzelać, ale sekundanci postanowili, abyśmy się bili na szlifowane pałasze.

Sekundował mi porucznik Adam Sołtan i z jego nieprzeorności, bo nie miał nawet wydobytego pałasza, w głowę cięty. zostałem.

Opatrzył mię chirurg pułkowy i pomimo bólu włożyłem hermicę i poszedłem na obluzwartę. Czapki niedźwiedzie dano nam po kampanii austriackiej.

W piętnaście dni wykurowany, posłany byłem za kwatarami do Łowicza, gdzie naówczas 1810 stał batalion pułku 14 piechoty.

W tem mieście panowała zaraza epidemiczna, na którą przeszło 300 mieszkańców i wojskowych umarło.

Kazano mi wybierać tylko takie kwatery, w których nie było chorych; chodząc więc od domu do domu zapisywałem kwatery, pałac ciągle fajkę i pijąc wódkę z dziegciem.

Za przybyciem pułku artylerii konnej do Łowicza, zaraza epidemiczna zupełnie w tem mieście ustała, i żaden z nas nie umarł.

Uważałem, że w czasie zarazy wielką przeciw niej jest prezerwatywą, kiedy się człowiek jej nie obawia.

Przytoczę tu na dowód tego wypadek, który mi się wydarzył w marszu za Płockiem jeszcze w roku 1808.

Przybyliśmy po całodziennym marszu do kolonii, gdzie dostałem kwaterę u Niemca.

Zmęczony i przemokły od deszczu, rzuciłem się natychmiast na łóżko i lubo mi Niemka coś mówiła, nie rozumiejąc jej przespałem noc jak najlepiej.

Nazajutrz z rana przyszedł do mnie podoficer Jodłowski, a mówiąc po niemiecku dowiedział się od Niemki, że w tym domu pięć osób umarło i że z tego łóżka, na którym spałem wczoraj z rana pochowano jej synową.

Dodał, że kiedym się spać kładł Niemka o tem mię przestrzegała. Kiedy mi Jodłowski to opowiedział, zmieszałem się nieco, wstałem natychmiast i wymylem się wódką z octem. Wy-

ruszyłem w dalszy marsz do Dobrzynia i nie myśląc o zarazie zdrów ciągle byłem.

W kwietniu 1810, stojąc w Łowiczu postąpiłem na porucznika. Właśnie w tym czasie Włodzimierz Potocki chcąc ocalić ogromne dobra w kraju zabranym, wziął dymisyę pod słowem, danem naczelnemu wodzowi stawienia się w razie potrzeby, a z drugiej strony z zaręczeniem nie stracenia starszeństwa.

Dymisyę takie dawano w miejscu nieograniczonych urlopów. Pułkownik radził mi także wziąć taką dymisyę, poczem pojechałem do rodziców w gubernię wileńską. Przepędziłem tam pięć miesięcy, ale im bardziej porównywałem rząd despotyczny, obcy i upodlający człowieka, z rządem narodowym zabezpieczającym wolność i honor człowieka, tym niecierpliwiej tęskniłem powrócić do pułku.

Nie tałem mojego sposobu widzenia, a nadewszystko żyłem i znośłem się z wielu oficerami rosyjskimi, rodem Polakami, mianowicie z oficerami czwartego pułku strzeleckiego. Wielu podzielało moje zdanie i zaczęło brać dymisyę; był pomiędzy ostatnimi naówczas adjutant-major kapitan Ołendzki, późniejszy dowódzca szkoły podchorążych.

Za mój sposób myślenia i za znoszenie się z oficerami, postanowiono aresztować mnie w domu rodziców, badać i sądzić.

Czekała mnie najmniej Syberya, gdyby mnie nie był ostrzegł o grożącym mi niebezpieczeństwie rodowity Moskal oficer C. . . . który mi radził, abym natychmiast z domu uciekał, gdyż pułkownik 4. strzeleckiego pułku Fiedorów zażądał i otrzymał pozwolenie aresztowania mnie dla dostawienia mnie gubernatorowi wojennemu. Nazajutrz najraniej już mnie nie było w domu, a we trzy dni przebyłem granicę.

Przekonałem się później, że ostrzeżenie było szczere, bo we dwa dni po moim wyjeździe pułkownik moskiewski Fiedorów wpadł do domu rodziców moich z asesorem i żołnierzami w celu aresztowania mnie.

Przejeżdżając przez Wilno wziąłem z sobą znajomego i z jednych okolic, co ja rodem, jednakowe ze mną uczucia

mającego, godnego młodzieńca, akademika Stanisława Bagińskiego, teraz majora artylerji; z nim przebrany za lokaja uchodziliśmy szczęśliwie wózkiem małym w parę koni, mając powoziciela włościanina, którego wziąć miano na rekruta do wojska moskiewskiego; tego także uwoziliśmy z niewoli.

O godzinie drugiej z południa stanęliśmy w Łosonie nad granicą, której straż graniczna mocno pilnowała.

Musieliśmy odłożyć przejazd przez granicę do nocy, a tymczasem zajechaliśmy do karczmy. Udałem ehorego na zęby, obwiązałem się i noc całą z niespokojności bez snu przepędziłem, usługując się często naumyślnie mniemanym lokajem.

Z rana jak dzień zaczynało, uważaliśmy, że patrole kozackie ciągle się kręciły i że żyd gospodarz karczmy miał nas w podejrzeniu, bo nas wypytywać i śledzić zaczął.

Udałem więc, że dla wyrwania zęba do Grodna na powrót wracam, dokąd też żyd zapewne dla doniesienia o nas, przed nami wyjechał, a my tymczasem ruszyliśmy z karczmy, jakeśmy tylko sposprzegli, że patrol kozacki w las wjechał.

Zjechaliśmy zaraz z drogi i rzuciliśmy się w lewo z góry na zamarznąłą rzekę Łososnę; powoziciel nasz stracił przytomność, upuścił lejce, które Bagiński zaledwie schwycił.

Ja przygotowany byłem z bronią do odporu w razie potrzeby.

Tak pędząc szczęśliwie przebyliśmy granicę księstwa warszawskiego i stanęliśmy u znajomego mi oficera polskiego z pułku 8 ułanów Dziekowskiego, który tam był na posterunku granicznym.

Za przybyciem do Warszawy, kolega mój Bagiński zaciągnął się do artylerji konnej; jakim był żołnierzem i oficerem, jakiego męstwa, jakiej zdatności złożył dowody, to wielu jest wiadomo.

Ja zaś, pomimo że mi Hauszyld, naówczas dowódzca artylerji konnej dawne starszeństwo w tym pułku ofiarował, odmówiłem z powodu zaszłego pojedynku jego z kapitanem Solta-nem.

Chciałem zwiedzić świat i zasługiwać się w czasie wojny; dla tych więc powodów i z dorady szanownego prezesa senatu

Gutakowskiego, wszedłem na porucznika pierwszej klasy do pułku siódmego piechoty, którego oddział miałem poprowadzić do Hiszpanii.

Tymczasem posłano mię do Łęczycy, gdzie się formowały zakłady pułków czwartego, siódmego i dziewiątego. Ale rok przeszło minął, a my zamiast iść do naszych pułków, ciągle tylko musztrowaliśmy rekrutów, a jakeśmy tylko wymusztrowali kompanię 200 do 300 ludzi mającą, natychmiast zabrano nam żołnierzy do Gdańska do pułku piątego, dziesiątego i jedenastego, a na ich miejsce przysyłano nam rekrutów z departamentów poznańskiego, bydgoskiego i kaliskiego.

Komendantem zakładów tych w Łęczycy był pułkownik Swiderski, dawny legionista, a dodani mu byli do pomocy godni oficerowie podporucznik Karol Bortkiewicz, porucznicy Prędowski, Bogusławski i Swiczyński, oraz inni, których nazwisk nie pamiętam; kompania weteranów pod kapitanem Krękowskim pomagała nam także do wyrabiania młodych żołnierzy.

W maju 1811 wszyscy oficerowie zakładów łęczyckich otrzymali rozkaz udania się do swoich pułków; ja wysłany byłem do Poznania, zkąd poprowadzić miałem kilkaset ludzi do Bordeaux dla dokompletowania pułków w Hiszpanii użytych, czwartego, siódmego i dziewiątego. Lecz w chwili kiedy miałem odmaszerować przyszedł rozkaz abym pozostał.

Francuzi i ich sprzymierzeńcy, zaczęli już byli wtenczas przechodzić przez Poznań; gotowała się wojna z Rosyą. Z kadrow pułku czwartego, siódmego i dziewiątego przybyłych do Poznania zaczęto formować trzy bataliony, po jednym do każdego z tych pułków i w tym celu otrzymaliśmy z departamentów wielkopolskich trzy tysiące rekrutów.

Ogólną komendę nad tą formacją miał gromażor Grotoński, a z nim przybyli kapitanowie: Krzyżanowski, późniejszy podpułkownik gwardyi strzelców, męczennik Konstantego, Zboński, Maruszewski, Zdzitowiecki, Nieszkowski, Malczewski, Hejnisz porucznicy: Węcki, Górski; podporucznicy: Koszucki i Niewiowski. oraz inni, których nazwiska przepominałem.

Przez dni kilkanaście musztrowaliśmy te trzy bataliony, a kiedy już ubrane i zupełnie uzbrojone były, otrzymaliśmy

rozkaz do marszu za pułkami, do których te bataliony należały, a które były już w pochodzie z Hiszpanii do Rosyi. Postępowaliśmy za nimi przez Elbląg i Królewiec. W Królewcu dano nam amunicyę po sześćdziesiąt ładunków na żołnierza.

Uważałem, że w Królewcu mieszkańcy, nie nas, ale Francuzów nienawidząc, wielu ludzi nam odmawiali; mnie samego jeden obywatel z pod Królewca, po polsku z niemiecka mówiący, namawiał ażebym w Prusiech został, zapewniając, że Napoleon wkrótce upadnie.

Niecierpliwy powstałem na niego, wykrzyczałem go i chciałem aresztować, ale Niemiec zemknął.

Z Królewca maszerowaliśmy z wielkim pośpiechem na Kowno, Wilno, Mińsk do Smoleńska, gdzie mieliśmy wzmocnić korpus marszałka Wiktora.

Widziałem na Białej Rusi wielkie spustoszenie; Francuzi zabierali wszędzie nie tylko żywność, ale obchodzili się z własnościami tamtejszych mieszkańców Polaków, jak z własnościami nieprzyjacielskimi; nie dziw więc, że Polacy tamtejsi nienawidzili i że także my jako ich sprzymierzeńcy nie byli bardzo lubiani.

W miasteczku Sienny na Białejrusi szlachcianka jedna wyraziła tę nienawiść, do kilku naszych oficerów mówiąc:

— Moskale daleko od panów grzeczniejsi.

W ciągu tego forsownego do Smoleńska pochodu, straciliśmy z powodu upałów i niewprawy młodego żołnierza do trudów, wielu ludzi, których po lazaretach musieliśmy zostawiać.

W mojej kompanii ubyło siedmnastu, w innych nawet połowa żołnierzy, nimeśmy się połączyli z naszymi pułkami w Smoleńsku.

O półtóry mili od Smoleńska, mnóstwo napotykał się nie pogrzebanych po bitwie trupów, a w samem mieście nawet zaniedbano tego uczynić; żuliśmy tytuł aby się od zarazy ochronić.

Za przybyciem naszym do Smoleńska oddzielono artylerye pułkowe pułków czwartego, siódmego i dziewiątego i przyłączono je do artylerji pozycyjnej kapitana Grabowskiego, ja

zaś jako najstarszy w służbie, objąłem pod nim komendę artylerii z trzech pułków.

Z pod tej mojej komendy wysłany był raz jednego podporucznik Obalski z pociągiem o dwie mile drogi od Smoleńska dla furazowania, mając polecenie czekania tam dalszego rozkazu.

Wiesz, w której się zatrzymał, furazując, nazywała się Klementów.

Dla uporządkowania zaprzęgów i dla lustracyi udałem się w to miejsce małym wózkiem, w parę dobrych koni; żołnierz powoził i oprócz pary pistoletów i pałasza, mieliśmy z sobą karabin żołnierza, bo wtenczas i artylerzyści mieli karabinki. Było widać dwie wsi tego samego nazwiska i nie mogłem trafić do komendy podporucznika Obalskiego.

Tak błądząc, spostrzegłem pod lasem wieś do 30 domów piętrowych i bardzo porządną mającą, a przede wsią może na 200 kroków, stał przy drodze stary człowiek, oparty na kijku. Dojechawszy do niego, przemówiłem po rusku:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, zdrow staryk.

Na co mi z wypogodzonym licem — odpowiedział:

— Na weki.

Zapytałem o Klementów, dobyłem manierki z arakiem napiliśmy się wszyscy trzej i starca zobowiązałem po przyjacielsku aby haust powtórzył, co też uczynił.

W tej chwili otoczyło nasz wózek kilkudziesięc chłopów, a mój żołnierz przełknięty rzecze:

— Źle z nami.

Starzec krzyknął natychmiast donośnym głosem:

— Rabiata nazad! W swoje miasta! Eto nasz Chreścianin!

Na głos jego wszyscy odstąpili, a starzec pocałował mnie, powiedział:

— Budcie zdrowy pojeżdżaj gdzie cię ugodno i nie gawory o nas, odnak dam cię załohu, aby moja rabiata ciebie nie zabiła, aż do Klementowa on odwiedzi cię.

To mówiąc, zawołał chłopca, któremu z nami na

wózek wsiąść i na drogę do Klementowa doprowadzić nas kazał.

Pożegnaliśmy starego i ruszyliśmy.

Ujechaliśmy może milę, kiedy chłopiec nam dany, spostrzegłszy w lesie czterech ludzi, z wózka zeskokczył i rzekł:

— Pojeżdżajcie zdrowi přímo, a za lesom Klementow siejczas.

W rzeczy samej, wkrótce potem dojechałem do Klementowa, gdzie zastałem podporucznika Obalskiego.

Przychyłość tę starca winienem być nie tyle poczęstowaniu go arakiem, ile przyjacielskiemu obejściu się z nim, a nadewszystko przywitaniu religijnemu w jego języku.

Moskale nie cierpieli Francuzów, raz za niesłychane rabunki, jakich w przechodzie ogromnej armii nie można było i nie chciało być uniknąć, powtórę, ponieważ uważali ich za pogan, za ludzi bez religii; za takich przynajmniej głosił ich przed ludem rząd z duchowieństwem. Nas, jako ich sprzymierzeńców brano na jedno z nimi.

Ile razy więc wydarzyło się, że Polak przemawiał po ludzku, religijnie i zrozumiale, zadziwienie Moskala było tem więcej niespodziewane i przyjemne.

Obalski opowiedział mi podobny przykład zaufania, jakiego sam i dla tej samej przyczyny doświadczył w Klementowie:

Pop tamtejszy nie chciał dawać chłopom ślubów, odkładając je do końca wojny: chłopci udali się z prośbą do Obalskiego, aby popowi dał rozkaz do ich dawania. Obalski użył swego wpływu i skutecznie, za co chłopci bardzo go lubili i wszystkiego chętnie mu dostarczali.

Pomimo tej przychyłości uważałem za rzecz roztropną cofnąć komendę, wystawioną na niebezpieczeństwo i tego samego wieczora przemaszerowałem do Smoleńska, raportując całe zdarzenie pułkownikowi naszemu Tremon. Jenerał Gerard pochwalił mój postęp.

Dano mi natychmiast kompanią piechoty i wysłano za Dniepr dla szukania żywności i furazowania.

Przybywszy do jednej wsi kazałem schwytać jednego wło-

ścianina i pamiętny skuteczności obejścia się dobrego z owym starcem, przemówiłem do niego także po rosyjsku:

— Mój bracie, nie my winni, bo to robić musimy, co nam starsi rozkażą; i oni także muszą żywić wojsko. Kazano mi zabrać, co tylko w waszej wsi zastanę żywności i furazu. Ja tego nie uczynię, bo i wy z waszemi rodzinami żyć musicie; ale jest tu sześćdziesiąt domów: proszę was po chrześcijańsku, dajcie z każdego po jednej sztuce bydła, po dwie owiec, po jednym koniu, a owsa i siana, co możecie.

Żądanie moje nie było przesadzone, bo wieś była zamożna i wiedziałem, że każdy gospodarz ma liczny inwentarz, ale uprowadzony do lasu, włościanin ukląkł przedemną i zaczynał od słowa: Karmilec, tak mi odpowiedział:

— Pierwszego Bóg nam zesłał dobrego człowieka; rozumiem, że musicie wypełnić dany rozkaz, wszystko zrobię z moimi sąsiadami, damy co żądacie. Wojsko nasze inaczej z nami postąpiło; wy przychodzicie, jak przyjaciel, nie rabujecie, nie zabieracie, tu we wsi nic nie mamy, ale za dwie godziny przywieziemy co będzie można i przypędzimy bydła i koni nad przewóz do Dniepra. Ufajcie mi jak ja wam ufam, a jeżelibym nie dotrzymał słowa, przyjdziecie i spalicie naszą wieś; lecz proszę was, nie wydawajcie nas, że mamy bydło i konie w lesie i starajcie się zrobić u swoich starszych, aby więcej od nas nie żądali, bo by to było dla nas uciążliwie, a są i inne wsie.

Poszedłem nad Dniepr i tam z komendą czekałem więcej jak dwie godziny; zaczynałem już wątpić o szczerości tego włościanina, gdy w tem spostrzegam trzydzieści fur parokonnych, sześćdziesiąt sztuk bydła, sto owiec, dziesięć świń. Na wozach było sto dwadzieścia worów owsa.

Ten sam włościanin przyszedł z tym transportem i prosił o kwit.

Stał tam przy przewozie szef batalionu Truskowski ze swoim batalionem i właśnie nadszedł, kiedy włościaninowi kwit dać chciałem. Zażądał on odemnie trzy konie, czego mu odmówiłem, bo konie kazano mi przyprowadzić dla umontowania pociągów artylerii z trzech pułków do artylerii pozycyjnej

przyłączonych. Rozgniewany moją odpowiedzią, Truskowski odezwał się:

— Dla tego pan więcej wszystkiego nie przyprowadziłeś, bo musiałeś wziąć za to pieniądze.

Z oburzeniem odpowiedziałem mu:

— Panie szefie, w Hiszpanii nie byłem, gdzie wielu rabało, a podłym być nie umiem; zresztą na zarzut ten później panu odpowiem.

Włościanin stojąc przy nas, zrozumiał, co mówiliśmy i rzekł:

— Jenerał, tot czesny oficer, ne żelał od nas dzieńiok, tolki to, czto tu est.

Truskowski zawołał:

— Wziąć chłopą, a wszystkiego więcej mieć będziemy.

To usłyszawszy Moskal, nie czekając kwitu, drapnął do bliskiego lasu, a za nim odbiegli fur i bydła inni włościanie.

Zabrałem wszystko z moją komendą i powróciłem do Smoleńska, gdzie natychmiast zameldowałem pułkownikowi zajście moje z Truskowskim, prosząc o wyznaczenie sądu wojennego i aby mnie na podobne komendy nigdy nie wysyłał. Pułkownik Tremon widząc mnie mocno wzruszonego, radził zostawić to czasowi i być spokojnym, przyrzekając satysfakcją.

Nazajutrz cały korpus marszałka Wiktora otrzymał rozkaz do pochodu i ruszyliśmy ku miasteczku Czaśniki na Białejrusi.

Pod tem miasteczkiem zaszła bitwa między naszym korpusem, a wojskiem moskiewskiem pod dowództwem Witgensteina. Ogień samej artylerii szedł z obu stron od 7 z rana do 4 godziny po południu.

Było w tej bitwie czternaście naszych dział polskich; z razu przez pół godziny staliśmy nieczynni, ale po nadejściu rozkazu jenerała artylerii, przez cały dzień należeliśmy do boju. Dochodziły nas granaty moskiewskie, jeden padł w tę sekcję, przy której byłem.

Kapral w tej chwili podawał mi suchara; w tem pęka granat i z ręki jeszcze wyciągniętej urywa mu pięść i palce,

tak, iż pozostały z nich tylko strzepy białe, które zwisały jak kutas.

Kapral omdlał a przyszedłszy do przytomności, rzekł:

— Bóg mnie ukarał, tą właśnie ręką, będąc w Hiszpanii, porwałem z kościoła patynę.

Mieliśmy w asekuracji naszych dział kompanię pułku siódmego piechoty polskiej pod komendą męznego porucznika Koszutkiego, poległego pod Ostrołęką 1831 dowódcą batalionu dzieci warszawskich. Odmienił on zaraz front, aby nie tworzyć głębokiej kolumny i stanął bokiem do nieprzyjaciela.

W miejsce chleba, o który już przed tą bitwą było bardzo trudno, dostaliśmy mąkę, którą żołnierze mieli wtroczoną na tornistrach.

W czasie tej bitwy pod Czasznikami kula działowa dwóm żołnierzom rozrywa tornistry i mąka rozwiana wiatrem obsypuje cały pluton; wyglądaliśmy jak szczury z mąki.

Po południu kazano nam podsunąć się bliżej pod nieprzyjaciela i rozpoczęliśmy mocną kanonadę; zabito nam wtenczas kilku kanonierów i wiele koni.

Kapitanowi drugiej klasy Koryźnie kula rozerwała na piersiach surdut, który miał na drugim surducie i pulares, którego papiery rozleciały się po całej baterii.

W tem zbliżeniu się do nieprzyjaciela nie cofnęliśmy się na krok do samego wieczora i wstrzymywaliśmy go ciągle zadając mu znaczne straty.

W nocy z całym korpusem cofnęliśmy się o mil pięć wielkim traktem z Smoleńska do Mińska prowadzącym. Nieprzyjaciel we cztery godziny przyszedł za nami i znowu rozpoczął się bój, wskutku którego poparliśmy go z wielką stratą z obudwu stron aż pod Czaszniki. Tam przez cały dzień powtórnie trwała kanonada, w czasie której artyleria polska ciągle utrzymywała się na swojej pozycji i nieprzyjacielowi dwa działa zdemontowała, za co wszystkich dowódców jej, obiecano podać do krzyżów polskich i legii honorowej, co jednak z powodu nieszczęśliwych wypadków tej kampanii skutku nie wzięło.

Znowu w nocy zrejterowaliśmy się i zaledwie stanęliśmy

o godzinie 5 z rana na spoczynek, kiedy o ćwierć mili od naszej linii Moskale wytoczyli na górę dwunastę dział i z nich ognia dawać zaczęli; wnet potem pokazał się ich parlamentarz z doniesieniem marszałkowi Wiktorowi o zupełnem pobiciu wielkiej armii Napoleona i z uwiadomieniem, że strzały te obchodzą tylko odniesione zwycięstwo.

Lubo doniesieniu temu nie dawaliśmy zupełnej wiary, jednak wiadomość ta zrobiła w naszym korpusie smutne wrażenie, bo taki wypadek był podobny do prawdy.

Cofaliśmy się przez Sienną i pod Orszą połączyliśmy się z główną armią Napoleona. Zastaliśmy tam nie wojsko, ale maskaradę. Oficerowie i żołnierze byli poubierani jak najrozmaiciej, w sutannach popów, w futrach kobiecych, w sukmanach wieśniaczych.

Nasz korpus wyglądał jeszcze jak wojsko, ale od Orszy i my zaczęliśmy należeć do tej maskarady i już wspólnie znosiliśmy głód, mróz przeszło 24 stopni i kłeski.

Spostrzegłem tam wielu naszych rannych, a między innymi przyjaciela mojego, więcej jak brata Karola Bortkiewicza, porucznika pułku drugiego piechoty, rannego w nogę.

Miałem wóz przez jednego obywatela o trzy mile od Orszy żywnością naładowany; zbiegło się do niego i pożywiło wielu zgłodzonych kolegów, a z Bortkiewiczem jużem się od-tąd nie rozłączył.

Cała armia wypocząwszy kilka godzin, ruszyła dalej, nasza artyleria miała rozkaz poprzedzać ją, ale zaledwie uszliśmy ćwierć mili, kiedy nam kazano oddać nasze działa artylerii konnej gwardii francuskiej z całym pociągiem, końmi i ludźmi pociągowymi.

Wyelniliśmy rozkaz, a zabrawszy stu trzydziestu kanonierów z karabinami, uformowaliśmy cztery sekcye i pod komendą kapitana drugiej klasy Koryzny, bo Grabowski, dowódca nasz był ranny, ruszyliśmy w dalszy pochód.

Nie uszliśmy milę drogi, kiedy dowiedzieliśmy się od naszego podoficera, który został był przy działach, że całą naszą Francuzom zostawioną artylerję bez wystrzału na tem

samem miejscu Moskale zabrali, gdzieśmy ją oddali. Podoficer ten, będąc na koniu z kilku Francuzami ratował się ucieczką.

Cała armia minęła nas w największym nieporządku. Gwardye francuskie utrzymywały arjergardę; nagle między nią a armią bez ładu postępującą dał się słyszeć okrzyk kozaków, którzy gonili oficera z lasu w białym płaszczu bez kaszkieta uciekającego; wpuściliśmy go do środka, a do kozaków daliśmy kilka razy ognia, poczem, widząc nasz oddział w porządku maszerujący, do lasu się schronili.

Do nieznośnych mrozów przyłączył się i głód i już tylko końskie mięso i wątroby mieliśmy do jedzenia.

W takim stanie przybyliśmy do Borysowa nad Berezyną. Miałem jeszcze wóz pociągowy i dwa konie wierzchowe, na których jechaliśmy z Bortkiewiczem.

Napoleon stał przy moście, a żandarmy dla porządku, o ile ten mógł być utrzymany, zajmowali wnijście do mostu po obu stronach.

Kazano nam maszerować za artylerią francuską i w tym niesłychanym tłumie udało nam się przebyć most z wierzchowemi końmi, ale mój wóz pociągowy zepchnięto z mostu do rzeki, jak podobnie i wielu ludzi w tym tłoku podobny los spotykał.

Ze zgrozą, przeciskając się usłyszeliśmy tych nieszczęśliwych chwytających się, to kawałków drzewa, to brył lodu i po chwili bezskutecznych usiłowań, ginących na zawsze. Jeden drugiego spychał, aby sobie zrobić miejsce i zaledwie kilka kroków dalej postąpił, sam przez mocniejszego był zepchnięty.

Artyleria moskiewska tuż nacierała na tę nieszczęśliwą przeprawę; aby ją uciszyć, artyleria francuska uformowała się na drugim brzegu rzeki i nam dano dwa działa, z których razem dawaliśmy ognia.

Granaty i kule nieprzyjacielskie z razu nie dosięgały nas, ale gdy 24 dział moskiewskich bliżej się podsunęło, zaczęliśmy być okropnie rażeni; byłem wtenczas ranny skorupą granata. Tymczasem cofaliśmy się dalej; nie wiem jakim sposobem złączyłem się znowu z przyjacielem moim Bortkiewiczem, którego w tym natłoku zgubiłem.

Jenerał Izydor Krasinski dał rozkaz, aby ranni naprzód maszerowali; wzięliśmy z sobą rannego podporucznika Malczewskiego i we trzech cofaliśmy się dalej.

Strudzeni, zatrzymaliśmy się nad rzeczką pod miasteczkiem Mołodeczno dla zgotowania sobie ćwiartki kozłiny, którą nam dał i z nami rosół jeść miał saper z pułku siódmego piechoty. Tymczasem mój kolega Bortkiewicz poszedł do plebani o 200 kroków od naszego ogniska, a w tem nieprzyjacieli natarł na naszą arjergardę, która nagle zaczęła się cofać.

Zmuszeni byliśmy zostawić nasz rosół, a wsadziwszy na konia rannego Malczewskiego, pochwyciłem konia Bortkiewicza i cofaliśmy się w nadziei, że go znajdziemy na przodzie. Ale Bortkiewicz został za nami; posłyszawszy on strzały, przyłączył się do oddziału strzelców konnych francuskich, którzy się uciekali z kozakami, a gdy się Francuzi cofnęli, on jako ranny i kulawy, pozostał między kozakami; na szczęście dostał towarzysza ze starej gwardyi francuskiej, grenadyera z karabinem wiedząc z doświadczenia, że skutecznie jest mierzyć tylko a nie strzelać do nacierającego kozaka, dał stosowną instrukcję grenadyerowi i tym sposobem uchodzili, jeden do drugiego tyłem obrócony, atakowani przez niejaki czas przez kilku kozaków, jeden z karabinem mierząc, drugi szpadą się broniąc.

Nareszcie zmęczeni i zaledwie oddychać mogąc, wpadli do lasu, gdzie zastali swoich tyralierów.

Grenadyer tak był strudzony, że się natychmiast na ziemię rzucił, dziękując Bortkiewiczowi, że go nauczył bronić się przeciw kozakom.

Przez trzy dni szukałem nadaremnie Bortkiewicza; pod miasteczkiem Smorgoniami, stanąłem przy moście, ażali go nie ujrzę w tych tłumach cofającej się armii.

Spostrzegłem go w istocie i z największą radością połączyliśmy się znowu.

Po raz pierwszy po kilku tygodniach przepędziliśmy noc pod dachem we wsi Swietlanach.

Tam przyłączył się do nas kapitan Swieczynski, nasz znajomy z pułku 6. piechoty; był on także ranny, miał sanki i

konia. Doprzęgnięliśmy nasze dwa i we czterech jechaliśmy dalej.

W tem miejscu trakt rozłaczał się na Oszmianę i Szumsko-Sobótkę, armia maszerowała także w tych dwóch kierunkach i my wybraliśmy Szumsko-Sobótkę dla tego, że przy tym trakcie znajdowała się wieś Łosza, własność mojego kolegi szkolnego Rajmunda Chodźki, gdzie umyśliłem wstąpić, aby dostać nieco odzienia i bielizny.

O trzy mile przed tą wsią wstąpiliśmy do karczmy, aby się zagrzać, ale wnet dochodzi nas odgłos strzałów, zabieramy się do odjazdu i na nieszczęście znowu nie znajduję Bortkiewicza.

Kapitan Swiczyński zaręczył, że poszedł naprzód, uwierzyłem mu i puściliśmy się w drogę.

Przybywszy do Łoszy, nie zastałem tam mego przyjaciela, wyrzuciłem Swiczyńskiemu, że mię zwiódł, byłem na niego zagniewany i najsmutniejszy.

Już i w Łoszy żadnej nie mogliśmy mieć wygody; dwór napełniony był naszymi i Francuzami, gospodarza w domu nie było, zastępowała go podeszła matka, która się uskarżała na rabunek Francuzów, Włochów, Niemców, a nawet na jednego nikczemnika Polaka.

Ofiarowałem jej naszą pomoc, poodbierałem wiele zrabowanych rzeczy i oddałem je właścicielce, a owego niegodziwego Polaka złajawszy, wypędziliśmy z domu.

Położyłem się na słomie i usnąłem.

Niespokojny o Bortkiewicza, śpiąc nawet nim byłem zajęty i śniło mi się jakoby powrócił.

Nadedniem przebudzam się i znajduję go obok siebie śpiącego, budzę go, bo już w marsz trzeba było ruszać, nie posiadałem się z radości i wyrzucam mu, że nie pilnując się nas tyle mi sprawił niespokojności.

Dopiero mi opowiedział, co się z nim działo.

W owej karczmie tak był snem i trudami znużony, że natychmiast wlażł za piec i mocno usnął; w czasie jego snu weszli do karczmy Bawarczykowie, którzy należeli do ajergardy

a rozumiejąc, że już nie żyje, zaczęli go obdzierać, chociaż nie było z czego; lecz on spał i przebudzić się nie mógł.

Ulitował się nad nim parobek karczmy, zaczął go ruszać i z wielką trudnością przebudził.

Oficer bawarski kazał mu pozwracać łachmany.

Ubrawszy się, puścił się na całą noc przez lasy, chcąc nas znaleźć, sam jeden i oprócz szpady, innej przy sobie nie mając broni.

Spostrzegł światło i zaszedł za błyskiem onego do wsi, gdzie się dowiedział, że już był w Łoszy. Pomimo że był ranny, w dwóch godzinach ubiegł mil trzy. Z radością przybiegł do dworu i nie przerywając mi snu, obok mnie się położył.

Odtąd aż do Warszawy nie rozłączyliśmy się z sobą.

Rozszerzam się nad temi wspomnieniami przyjaźni, ale są one drogie mojemu sercu i nie mogę pominąć jednej okoliczności, w której Bortkiewicz robił z siebie dla mnie poświęcenie. Było to w marszu od Mołodeczny.

Zgłodzeni i strudzeni, o mało nie zginęliśmy od mrozu, który nam tem więcej dokuczał, im bardziej byliśmy osłabieni, zsiadliśmy z koni i dla rozgrzania się zaczęliśmy iść piechotą.

Trzeba było iść do góry, zaledwieśmy na nią wniść mogli, tak byliśmy bezsilni; w tem nadjeżdża oddział żandarmów francuzkich, eskortując furę z żywnością dla któregoś marszałka z pistoletami odwiedzionymi.

Przy furze szedł jakiś człowiek, który nas zapytał po polsku.

— Czy panowie Polacy? Widzę że słabi jesteście.

Nie odpowiedziałem mu, ale za całą odpowiedź łyzy mi się puściły; Bortkiewicz zaczął z nim rozmawiać, a gdy mu opowiedział, że od niejakiego czasu żyjemy tylko końskim mięsem, człowiek ten rzekł:

— Mam ja tu parę kieliszków wódki i kromkę chleba, przysuńcie się do mnie i weźcie tak, iżby żandarmi nie widzieli, boby mnie zabili, strzelają do ludzi jak do psów, zabili dwóch ludzi, którzy zgłodnieli przybliżyli się do wozu.

Pochwyciliśmy nieznacznie drogi nam podówczas podarunek i spytaliśmy się o nazwisko tego litościwego ziomka.

Nazywał się Święcicki; nazwiska tego nigdy nie zapomnę. Napiwszy się wódki zjadłem chciwie przypadłą na mnie porcję chleba, Bortkiewicz zaś swoją część, lubo także był zgłodzony, schował i dopiero wtenczas ją wydobyl i dał mi do zjedzenia, kiedy po wypiciu wódki jeszcze bardziej osłabłem.

W podróży z owego noclegu w Łoszy tak przeziębłem, że ledwie żywy przyjechałem do Wilna.

Stanęliśmy tam wieczorem i zajechaliśmy do jakiegoś oparkanionego domu przed Ostrobramą.

Towarzysze moi schwytali na ulicy samopas biegającego wołu; wprowadzono go na podwórze i natychmiast zabiliśmy go przy pomocy gospodarza domu.

Była to prawdziwa dla nas biesiada, bo od dawna nie jedliśmy wołowego mięsa.

Żołnierz nasz wyszedł pod Ostrobramę i przybiegł z doniesieniem, że rozbijają na ulicy furgony i że mnóstwo jest rzeczy od wszystkich odstąpionych.

Wyszedłem z nim natychmiast i zastałem opuszczony kocz, z którego wzięłem dwie pary butów i trzy sztuki broni w futerałach, uchodziłem z temi wtenczas tak potrzebnymi dla nas rzeczami, bo o sto kroków od nas Kozacy rabowali furgony i inne powozy.

Jedną parę butów dałem Bortkiewiczowi, drugą sam zatrzymałem, również podzieliliśmy się bronią. Żołnierz nasz nie poprzestał na tem, wybiegał raz wraz i znosił do domu rozmaite rzeczy i jak się później okazało, miał cały tornister nalaadowany pieniędzmi.

Mnie ofiarował cały wór rozmaitego srebra stołowego, kubków, imbryków, ale co najwięcej ceniliśmy, to kilka garcy ryżu, paczki buljonu, cukru i kawy, które nam także przynosił.

Na parę godzin przededniem postanowiliśmy zajechać do znajomego mi mieszkańca tamtejszego Jana Kwinty a od niego ruszyć dalej pod zasłoną dywizyi niemieckiej, która jeszcze była w Wilnie.

Mród był trzaskający a ulica Ostrejbamy tak była zawałona wozami, żeśmy zaledwie przecisnąć się mogli.

Spostrzegliśmy na ziemi mnóstwo pieniędzy rozsypanych z rozbitych kiesionów.

Nie mieliśmy nic pieniędzy, miałem ochotę napełnić niemi kieszenie, ale Bortkiewicz odradził mi — mówiąc:

— Będziemy spokojniejsi i dopełnimy naszej powinności żołnierskiej.

Podzieliłem jego zdanie i przejechawszy po pieniądzach, przybyliśmy do Kwinty, u którego umieściłem dane mi przez żołnierza srebro stołowe, dubeltówkę i pistolety...

Pobiegłem jeszcze na chwilę do znajomego szkolnego Lewikowskiego, aby dostać od niego parę koszul dla naszego rannego Malczewskiego, którego rany były bardzo niebezpieczne.

Pewni, że w tym stanie nie moglibyśmy go dowieść do Warszawy żywego, umieściliśmy go u znajomego, imiennika rannego.

Dowiedziałem się po wojnie, że zacny ten obywatel żadnych starań dla naszego kolegi nie szczędził i w domu swoim zdrowie odzyskać mu dozwolił.

Ale rozstanie się nasze nie było łatwe, bo Malczewski w żaden sposób w Wilnie zostać nie chciał. Zaledwie mogąc trzymać się na nogach wołał z płaczem:

— Nie zostawiajcie mnie Moskalom, umrę przynajmniej pomiędzy rodakami.

Wystawiliśmy mu pewność, że skończy życie w drodze albo jeszcze łatwiej, niż w Wilnie dostanie się w ręce Moskalów i pożegnaliśmy go z prawdziwą boleścią.

Idąc do Lewikowskiego spotkałem Bagińskiego, tego samego, który ze mną w roku 1810 z Wiednia do Warszawy przyjechał i obadwa weszliśmy do Lewikowskiego.

Zastaliśmy u niego mnóstwo Holendrów i innych włóczęgów z armii francuskiej, zajętych rabunkiem.

Wydobyliśmy pałasze i Bagiński najprzód rabujących rąbać zaczął; we dwóch udało nam się wypędzić kilku uzbrojonych i ocalić dom obywatela.

W tej samej chwili spostrzegamy przez okno Kozaków,

zabierających wielu do niewoli i odgłos strzałów daje się słyszeć.

Nie było czego czekać, wybiegamy i pomiędzy kozakami przeciskamy się do Trockiej bramy. Ale tu tłumy ludzi i wozy tak się nacisnęły, że kroku jednegn naprzód nie można było uczynić.

Wzięliśmy się na sposób, skoczyliśmy z Bagińskim na wóz, a z tego po tornistrach tłumnego żołnierstwa, przebiegliśmy na drugą stronę bramy.

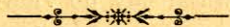
Przybiegamy do Kwinty, gdzie koledzy zniecierpliwieni czekaniem na mnie, wyrzucają mi, że z mojej przyczyny dostaną się do niewoli, bo w tem oczekiwaniu konie nam skradziono, a jako ranni na piechotę puszczać się nie mogą.

Natychmiast wybiegłem z Bagińskim na ulicę i niebawnie schwytaliśmy dwa opuszczone konie, które zaprząglszy do naszych sanek, ruszyliśmy za armią ku górcom ponarskim.

Tylko cośmy z Wilna wyjechali, spostrzegamy na tak zwanej Pohulance uszykowane do boju czworoboki dywizyi niemieckiej i nieprzyjaciela, w kolumnach z lasu wychodzącego.

Kiedy prawie w tej samej chwili rześisty ogień karta-czowy z dział nieprzyjacielskich iść zaczął, kolega nasz kapitan Swiczyński radził i nastawał, abyśmy koniecznie do Wilna powrócili i oddali się w niewolę, o czem Bortkiewicz, Bagiński i ja ani chcieli słyszeć.

Rozgniewało to Swiczyńskiego, ale sam jeden nas trzech nie chciał odstępować.



ROZDZIAŁ III.



Znałem nieco okolice Wilna i na los szczęścia zostałem przewodnikiem. Zjechaliśmy na bok i puściliśmy się naszymi sankami na prawo ku werkom.

Za naszym przewodnictwem ruszyła tą samą drogą ogromna kolumna wojska tłumnego, generałów i sztabów licząca kilkanaście tysięcy ludzi.

Przejeżdżając przez Wilę musieliśmy tłuc lód nastorczony, potem brzegiem Wilii prowadziłem całe te tłumy i znowu przebywszy rzekę z wielką trudnością dostaliśmy się na bystrą górę, z której spostrzegliśmy traktem kowieńskim maszerujące głównej armii Napoleona rozbitki.

Generałowie dziękowali nam za to pokazanie drogi, zanotowali nasze nazwiska i obiecywali nagrody.

Już wspólnie z rozbitkami wielkiej armii cofając się, ujechawszy parę mil drogi, zanocowaliśmy pod Rykontami, lichem miasteczkiem w szopie pustej, obdartej ze słomy. Tam dopiero przyjaciel mój Bortkiewicz dostrzegł, dlaczego kapitan Swiczyński chciał powrócić do Wilna i oddać się w niewolę: miał on zdobyte w kampanii pieniądze, które w trzosie przy sobie nosił.

Uwagi Bortkiewicza z tego powodu czynione, że żołnierz walczący w sprawie ojczystej, szukając w wojnie łupów i bogactw, staje się słabym i nie potrafi wykonać swojej powin-

ności ściągały się nie tylko do Swiężyńskiego, ale i do mnie, bo sobie przypominałem owe pieniądze rozsypane na ulicy w Wilnie, po które się schylać chciałem. Uwagi te nie tylko mnie nie obraziły, ale jeszcze powiększyły mój szacunek dla Bortkiewicza.

Z noclegu z pod Rykont ruszyliśmy ku Warszawie z większymi wygodami jak pierwszej, nocowaliśmy po kwaterach i korzystaliśmy z zapasów, które nas żołnierz zaopatrzył w Wilnie.

Ale do tej zmiany potrzeba było się przyzwyczaić, a my nagle do niej przeszli; po ciągłej bytności na mrozach, powietrze ciepłe w domach dusiło nas i było prawie nieznośnem. Ztąd zachorowałem i przyjechawszy do Warszawy, byłem przyjęty do lazaretu francuskiego w pałacu Sapieżyńskim, dla tego że nasz pułk należał do armii francuskiej i był na żołdzie francuskim.

Tam odwiedził mnie Bortkiewicz i pożegnał jako nieboszczyka, bo pułk drugi piechoty, w którym on służył, otrzymał rozkaz formowania się w Kaliszu; odwiedzali mnie i inni koledzy i każdy zostawiał pod głowami mnóstwo pieniędzy, aby mi na niczem nie brakowało; między innymi domyślałem się, że Grabałowski, męzny oficer, który w kampanii 1809 r. bardzo się odznaczał i później znany był z nieszczęśliwej awantury z W..., przybyły z kampanii 1812 r. z wielkimi pieniędzmi, zostawił mi przeszło 100 dukatów.

To wszystko i mnóstwo rondynów hiszpańskich, których powracający z Hiszpanii mieli podostatkiem, znalazłem pod głowami, ale z braterskich tych ofiar nie korzystałem.

Nie mogłem mówić, ale jeszcze miałem przytomność i widziałem, jak trzech umarłych w tej sali obdzierano, a jednemu obok mnie leżącemu, po amputowaniu nogi jeszcze żyjącemu trzos na brzuchu rozerznięto i jak chirurzy zabijali się między sobą o podział złota.

Nie wiem, co się potem ze mną działo, bo wpadłem w sen letargiczny.

Ogólny nadzór nad tym lazaretem miał pocziwy doktor Janasz, rodem z Warszawy; w jego nieobecności, bo sam za-

chorował, robili te rabunki na pół umarłych, chirurzy rozmaitych narodów.

Kiedy Janasz cokolwiek przyszedł do zdrowia, odwiedził lazaret i spotkał właśnie przy drzwiach posługaczy, którzy mnie jako umarłego wynosili, a że tylko ja z Polaków byłem w lazarecie, zatrzymał się nademną, wnosząc z mojej cery, że może być omyłka, kazał mnie na powrót odnieść i wizykatoryami obłożyć, a odchodząc zostawił mnie staraniu najlepszego chirurga.

Odtąd codziennie mnie odwiedzał i trzeciego dnia odzyskałem przytomność i mowę.

Gdyby Janasz chwilę był się spóźnił, byliby mnie posługacze jak innych zanieśli do komórki na drugim piętrze, z którego trupów na dół rzucano i w nocy do zagrzebienia lub spalenia wapnem, wywożono.

O tem wszystkiem, dowiedziałem się od pocziwego Janasza.

Przyszedłszy do zmysłów, spostrzegłem na sobie grubą koszulę lazaretową, w miejsce cienkiej, którą miałem przed letargiem, a oprócz regulaminu wojskowego, nie znalazłem pod głowami ani mantelzaka, ani pieniędzy.

Opowiedziałem Janaszowi, jak towarzysza mego, obok mnie leżącego, za życia jeszcze po amputacji nogi obdzierano, a z kolei i mnie to spotkało, że wszystkiego wyzuty zostałem; natychmiast wszystkich posługaczy poaresztował, lecz odebrać rzeczy i pieniędzy niepodobieństwo było; spędzano wszystko na posługacza, który przed dwoma dniami upiwszy się, miał zmarznąć przy bramie lazaretowej.

Wkrótce dowiedziałem się, że Moskale są w Pułtusku i do Warszawy lada dzień wkroczyć mogą. Prosiłem doktora, abym jak najprędzej mógł wyjść z lazaretu; odpowiedział mi, że po operacji guza na gardle, który mi się zrobił z przeziębienia, najmnij trzy miesiące będę się musiał kurować, ale obiecał mi go rozpedzić, nie ręcząc wszakże za skutki.

Zgodziłem się chętnie na to, wszelkie złe skutki przekładając na niewolę moskiewską.

W rzeczy samej pozbyłem się guza, ale byłem bardzo osłabiony i straciłem prawie wszystkie włosy.

Jednego dnia dowiaduję się, że Moskale mają wchodzić do Warszawy i że nasze wojsko z księciem Józefem już ze stolicy wyruszyło. Natychmiast posłałem do Madejskiego po ubiór wojskowy z moich rzeczy u niego zostawionych, wypisałem się z lazaretu i wyszedłem w stronę ku Raszynowi.

Nie byłbym mógł dalej sam iść, ale na szczęście spotkałem żołnierza z mojej komendy Malickiego, który z największą ochotą ofiarował się prowadzić mnie i nie odstępować gdzie bądź się obrócić.

Przeszło dwie godziny szedłem przez Warszawę, często odpoczywać zmuszony.

Z boleścią serca słyszałem, wychodząc, bębny wojska moskiewskiego i pomyślałem, że cię już nie zobaczę stolico mojej ojczyzny.

O ćwierć mili od Warszawy spotkałem szwadron huzarów węgierskich, maszerujących w arjergardzie.

Rotmistrz tego szwadronu, poczciwy Węgier, z koleżeńską litością zaczął mnie rozpytywać się, dla czego tak idę sam z żołnierzem, a kiedym mu odpowiedział, że ze szpitala uchodzę przed Moskalami, dał mi konia, abym jechał razem i wziął mnie na noc do swojej kwatery.

Nazajutrz pożegnałem rotmistrza i wyruszyłem z kompanią piechoty polskiej, zostawioną w Raszynie także dla trzymania arjergardy, a gdy iść nie mogłem, w saniach sztaboficera Winiańskiego do Radomia zajechałem.

W Radomiu dostałem marszrutę do Piotrkowa, gdzie była taka trudność w dostaniu koni, że do etapu o trzy mile odległego, wołmi przez dzień cały wlec się musiałem.

Otrzymałem rozkaz udać się przez Kalisz do Trzemeszna, gdzie się znajdował pułk siódmy, do którego należałem.

W Kaliszu zastałem mnóstwo naszego wojska i pułk drugi piechoty, a w nim mojego przyjaciela Bortkiewicza, który nie spodziewał się zobaczyć mnie kiedy, zostawiwszy mnie w lazarecie prawie umierającego.

Nazajutrz po moim przybyciu do Kalisza, Moskale ude-

rzyli na naszych, i wtedy o włos co nie dostałem się do ich niewoli; na szczęście spotkałem jadącego adjutanta placu Pragi Francena, który mnie z żołnierzem zabrał.

Za Kaliszem dowiedziałem się, że pułk mój wyruszył już do Głogowy i wskazano nam drogę do Rawicza, gdyż w innych stronach wszędzie już byli Moskale.

Ale zaledwie przybyliśmy do Rawicza, rozległ się na ulicach okrzyk Kozaków i musieliśmy uchodzić; straciłem wtedy resztę moich rzeczy i płaszcz.

Przez ogród dostaliśmy się na drogę wrocławską, gdzieśmy spotkali pułkownika komendanta Łęczycy Zajdlicza, jadącego powozem i mającego furgon lazaretowy.

Jako znajomego wziął mnie do powozu. Francen i żołnierzy zajęli miejsce na furgonie. Zajdlicz dał mi płaszcz żołnierski, ale miałem mundur oficerski, szlify i pałasz.

Przybyliśmy do Wrocławia, gdzie się wtenczas znajdował król pruski

Przy rogatce stała warta z gwardyi pruskiej.

Oficer tej warty, nikezemny Polak, rozbrajał i aresztował wszystkich naszych żołnierzy, którzy do miasta wchodzili, co też i z naszym żołnierzem uczynił, a potem przybliżył się do naszego powozu i po polsku zawołał na mnie, widząc mnie w płaszczu żołnierskim, w te słowa:

— A no i ty, pójdź tu razem gałganie! Dosyć tej różności!

Pułkownik Zajdlicz chciał mu grzeecznie powiedzieć, że ja oficer, ale przerwałem mu, wyskoczyłem z powozu i w największym oburzeniu zrzucając płaszcz i pokazując mu szlify, rzekłem do niego:

— Ty, widzę jesteś pruski oficer, a zatem jakikolwiek honor mieć musisz; poważyłeś się skrzywdzić mnie, nie tem, żeś mnie miał za żołnierza, ale słowem gałganie, czego i żołnierzowi nie powinien być powiedzieć. Będę cię miał za szelmę i tych, co z tobą służyć będą, jeśli mi nie dasz z siebie satysfakcyi natychmiast po złuzowaniu warty. Z mojej marszruty przekonasz się, że jestem kapitan polski.

Byłem w takiej złości, że chciałem go pchnąć pałaszem

i już się do niego zbliżałem, ale on odskoczył i stanął przed wartą dobywszy szpady, mówiąc:

— Dobrze, dobrze. Za dwie godziny zlużuję się i tu zjeździemy się pod słowem honoru o godzinie pierwszej z południa.

Na to opuściłem go, wjechaliśmy do miasta i stanęliśmy w oberży, gdzie zastałem oficera z pułku 8 naszych ułanów, Boczkowskiego, którego wszystko mu opowiedziawszy, na sekundanta wezwałem.

Wzięliśmy natychmiast pistolety i o godzinie pierwszej pośliśmy przed odwach.

Officera tego już nie było na warcie, chodząc więc przed odwachem, czekaliśmy na niego nadaremnie do godziny drugiej.

Mój sekundant umiał po niemiecku, pytaliśmy więc będącego na warcie oficera o nazwisko i mieszkanie jego poprzednika; niczego od niego nie mogliśmy się dowiedzieć, a gdy wnet potem dwóch innych oficerów pruskich nadeszło, jeden z nich rzekł, że było na warcie dwóch oficerów z gwardyi, z których jeden z nazwiska im niewiadomy, posłany został kurьерem do Berlina; że zaś nazwiska jego nie wiedzą, tem się tłumaczyli, że w tym czasie wojennym, wielu oficerów przybywa i odjeżdża.

Mój sekundant napisał więc list po niemiecku do oficerów gwardyi pruskiej, w którym opisał cały wypadek, podłość postępku, niedopełnienie praw honoru z oświadczeniem, że człowiek taki niegodzien w żadnym wojsku służyć z oficerami honoru.

W końcu żądaliśmy, aby doniósł nam przez pisma publiczne o swoim mieszkaniu i że w każdym miejscu się stawimy.

List ten podpisaaliśmy obadwa.

Chcieliśmy plac ostrzelać, lecz oficerowie przestrzegli nas, że to mogłoby ściągnąć na nas nieprzyjemne skutki, ponieważ król ich znajduje się w mieście.

Dwaj oficerowie zdawali się być mocno oburzeni na swego kolegę i obiecywali nam jeszcze większą niż pojedynek satysfakcją, zapewniając że jako niegodnego wypędzą z wojska.

Więcej otrzymać niepodobna było w owym czasie, kiedy

wszystko burzyło się w Prusiech przeciw Francuzom, a zatem i przeciw Polakom.

Byłem wtenczas bez grosza, bez bielizny; udałem się więc z książeczką i tłumaczem do rezydenta francuzkiego w Wrocławiu i na rachunek moich zaległości otrzymałem 100 franków.

Ponieważ już pułku mego w Głogowie nie było, postanowiliśmy z pułkownikiem Zajdlichem jechać do Krakowa, gdzie był korpus księcia Józefa Poniatowskiego.

Ruszyliśmy tego samego wieczora, kiedy pieniądze otrzymałem, przez miasteczko Czeladź i wkrótce stanęliśmy w Krzeszowicach, gdzie była główna kwatera księcia Józefa.

Księżę Józef, kiedy mu się zameldowałem, odesłał mnie do swego szefa sztabu generała Roźnieckiego z poleceniem, aby mi wypłacono żołd trzymiesięczny i dano kwaterę w Krzeszowicach dla poratowania zdrowia przez kąpiele.

Trzy dni tylko bawiłem w Krzeszowicach i nie chcąc zostawać w nieczynności, udałem się do szefa sztabu i otrzymałem rozkaz przykomenderujący mnie do pułku 16 piechoty.

Za przybyciem do tego pułku, powiedziano mi, że nim dowodzi gromażor Bolesta; temu więc zameldowałem się.

Kiedy pułk wychodził na mustrę, natychmiast dał mi komendę kompanii grenadyerów; na tej mustrze dawaliśmy najprzód ognia kompaniami.

W tem przyjeżdża przed moją kompanię książę Konstanty Czartoryski, pułkownik tego pułku, i zapytuje mnie:

— Kto pan jesteś?

Znając go pułkownikiem tego pułku, lubo wiedziałem już że się podał do dymissyi, odpowiedziałem jak się nazywam, i że przykomenderowany jestem tymczasowo do pułku, a że jeszcze nie mogłem się zameldować pułkownikowi, to dla tego że w tej chwili, kiedy się zameldowałem dowodzącemu pułkiem, otrzymałem rozkaz do pełnienia służby, przy której mnie zsztaje.

Na to rzecze książę Czartoryski:

— Ja nie chcę oficerów z innych pułków.

Natychmiast schowałem szpadę do pochwy, powiedziałem porucznikowi, żeby mnie zastąpił i odszedłem.

Spostrzegł to dowodzący pułkiem Bolesta, wziął na stronę ks. Czartoryskiego, coś z nim pomówił i dojechawszy do mnie, kazał mi wrócić na swoje miejsce, mówiąc, że on dziś dowodzi pułkiem.

Nazajutrz dowiedzieliśmy się przez rozkaz dzienny, że ks. Konstanty Czartoryski, pułkownik 16 pułku liniowego, wziął dymisyę.

Branie dymisyi w czasie wojny, sprawiło wówczas przykre i demoralizujące wojsko wrażenie.

Były one skutkiem Aleksandra polityki i obietnic dla Polski.

Przybył z koncesyami dla księstwa warszawskiego od Aleksandra do księcia Józefa książę Antoni Radziwiłł, ale naczelny wódz odrzucił wszystkie jego propozycje i księcia Antoniego Radziwiłła za forpocztę nasze pod strażą odprowadzić kazał. Cześć jego pamięci!

Znał on rząd moskiewski i nie zapomniał na chwilę tak licznych zdrad jego w kapitulacjach i układach.

Oprócz księcia Konstantego Czartoryskiego, oddalił się z wojskiem książę Eustachy Sanguszek, którego dymisyą tem boleśniejszą dla wojska była, że znany był jako prawdziwy patriota z czasów Kościuszki.

Z cywilnych dali się wówczas złudzić polityce moskiewskiej Ordynat Zamojski, prezes konfederacji; za nim opuścili Kraków i wrócili do Warszawy liczni urzędnicy.

Boleśnie także było patrzeć naówczas w Krakowie na jenerałów, sztaby i prawie całe starszeństwo naszego wojska. W tym czasie niepowodzeń i smutku odznaczała ich największa lekkomyślność i tylko zabaw, balów, tańców i gier zdawali się być nieśmieszczeni.

Szulerskie pokoje ciągle były otwarte u sztabsoficera Nosarzewskiego i wielu innych.

Dopóki szczęście Napoleonowi i orłom polskim służyło, jak n. p. w wojnie z Prusakami i Austryakami, był zapal, było wielkie uczucie honoru, wielkie poświęcenie, wielka cnota. Jak

się tylko odwróciło, wszystkie te uczucia nagle zmaląły i jednych pamięć poniesionych w odwrocie z Moskwy cierpień, rzuciła jakby dla ich wynagrodzenia, w odmet zabaw i gier; drugich widok niepewnej przyszłości, odrywał od sprawy ogólnej. Ale właśnie w nieszczęściu, jak kruszec w ogniu, doświadcza się hart człowieka i prawdziwa narodowa cnota.

W pułku 16 pełniłem służbę tylko dni kilka.

Organizowano bowiem na nowo pułki i mnie do pułku trzynastego przeznaczono.

Pułk 13 był naówczas pod dowództwem Żymirskiego i znajdował się w Zamościu; w Krakowie był tylko onego batalion zakładowy, liczący 800 żołnierzy i dowodził nim groźny Obertyński.

W tym to batalionie dostałem kompanię grenadyerską. Później, kiedyśmy przez kraj austriacki dla połączenia się z Napoleonem z Krakowa wyruszyć mieli, zrobiono z tego batalionu dwa bataliony, z których pierwszy dostał się pod moje dowództwo.

Maszerując przez Austryę wieźliśmy za batalionami broń w pakach, zostawiono tylko w rękę żołnierzy po 30 karabinów na kompanię dla straży chorągwi i pełnienia służby.

Ostrożność ta była widać zawarowaną tylko dla Galicyi i Szlązka, przez które przechodziliśmy idąc z Krakowa, bo już w Czechach w miasteczku Frydku oddano nam broń, z której zaraz uczyniliśmy wprawdzie nie bojowy użytek, dając ognia na pogrzebie zmarłego tam oficera austriackiego, co się Austryakom bardzo podobało.

Kolumną tą, w której byłem, dowodził jenerał książę Sulkowski; w tym pochodzie Austriacy odmawiali nam ciągle żołnierzy i ztąd wielką mieliśmy w niektórych pułkach dezercyę; dopiero po schwytaniu i rozstrzelaniu jednego żołnierza, dezercya ta ustała.

Miałem do mojego batalionu przykomenderowanych, z lazaretu wyszłych lub z niewoli moskiewskiej uszłych, blisko dwudziestu Sasów, którzy rozczulający przedstawiali widok, jakżeśmy tylko pod Zittau granicę saską przekroczyli: wszyscy

ci Sasi wszedłszy na swoją ziemię, upadli na kolana i całowali ją.

Mieszkańcy na granicy saskiej przyjmowali nas z największą radością, uważali nas za braci, zastawiali dla nas przy drodze stoły z żywnością i trunkami.

W Zittau nastąpiła nowa organizacja, w skutku której otrzymałem rozkaz udania się do mojego pułku siódmego, który stał w Wittenbergu.

Nie dojechałem tam, bo w drodze pod Dreznem była już bitwa i marszałek Berthier przykomenderował mnie do artylerii konnej francuskiej, do baterii, w której na godzinę przed moim przyjazdem dwóch oficerów zginęło.

Bateria nasza stała nad Elbą, gdzie w czasie bitwy tej byłem od 10 rano do 7 wieczorem.

Widziałem jak piechota francuska od strony fortecy Kenigstein nie maszerowała, ale biegła na wały drezdeńskie, kiedy kolumny trzech sprzymierzonych nieprzyjaciół już wstępowały na wały; odparta ogromnym ogniem karabinowym, bez porządku na powrót uciekała.

W tej chwili bateria nasza, stojąc nad Elbą przy altanie, zadała nieprzyjacielowi znaczne straty, strzelając najprzód kartaczami, a potem kulami i puszczając granaty.

Wieczorem przybyło do tej baterii kilku oficerów przysłanych z Francji ze szkoły artylerii, a ja otrzymawszy podziękowanie od francuskiego generała artylerii, dostałem rozkaz udania się do mego pułku.

Gdy za przybyciem moim do Wittenberga z trzech pułków polskich, czwartego, siódmego i dziewiątego, uformowano pułk nadwiślański, pozostało bez umieszczenia wielu oficerów z których, jak podobnie z oficerów bez miejsca z całego wojska polskiego uformowano w Torgau kompanie gwardii honorowej, pod dowództwem generałów z powstania Niemojowskiego, Niesiołowskiego i Jerzewskiego, a pod komendą ogólną generała dywizji Wojczyńskiego.

W tych kompaniach było wielu pułkowników, podpułkowników i majorów.

Mnie przyłączono do kompanii pierwszej.

Po kilkodniowym pobycie w Torgau, ruszyliśmy do Lipska, a w sześć dni potem do Dysseldorfu nad Renem, gdzieśmy blisko miesiąc stali.

W tem mieście otoczeni byliśmy ludnością nieprzyjazną, podburzaną przeciw Napoleonowi przez towarzystwa niemieckie, wówczas wszędzie w Niemczech utworzone.

Podpalono nam z czterech rogów stajnię i w tym pożarze straciliśmy 80 koni oficerskich i żołnierskich.

Nie było czasu dochodzić podpalaczy, bo po bitwie lipskiej otrzymaliśmy nagły rozkaz cofania się do Francji i przebywszy Ren, zatrzymaliśmy się dopiero pod Sedau w Charleville i Mezières, gdzieśmy pięć tygodni stali.

Tu znowu z niedobitków polskich nastąpiła nowa organizacja; uformowano w Sedan pułk piechoty, pułk Krakusów, pułk ułanów, dokompletowany gwardią szwoleżerów Wincen-tego Krasińskiego i elektorów gwardii.

Ale i po tej organizacji w Sedan, pozostało wielu oficerów, przybyłych ze wszystkich dawnych pułków piechoty i jazdy; poformowano zatem na nowe kompanie gwardii honorowej, z tymi samymi, co dawniej generałami i stabsoficierami.

I ja należałem do tej gwardii.

W Liancourt, gdzieśmy załogą stali, otrzymał generał Wojczyński rozkaz wezwania oficerów, chcących iść do boju i mających konie, do uformowania oddziału pod nazwiskiem gwardii cesarskiej.

Dla braku koni, zaledwie mogliśmy uformować oddział z 60 oficerów złożony.

Wszedłem i ja do tego oddziału, którego część z 40 koni złożona, pomaszerowała z pułkownikiem, którego nazwiska nie pamiętam, drugą częścią z 20 koni złożoną, w której lubo kapitan, byłem podoficerem, poprowadził szef szwadronu pułku 6 ułanów Kisielnicki z Liancourt do St. Just.

Pierwszej zaraz nocy zrobił w tym oddziale alarm, pułku 20 litewskiego kapitan Micuta, który uszedł był poprzednio ze służby moskiewskiej.

Wysłany w nocy w 6 koni na patrol, spostrzegł o pół mili francuskiej za miastem kupy gnoju rzędem ułożone, i w rozu.

micniu, że to nieprzyjaciół, wpadł do miasta na powrót z doświadczeniem, że jazda nieprzyjacielska ku miastu postępuje.

Wystąpiliśmy natychmiast i wyszliśmy przeciw nieprzyjacielowi, całe miasto się zaalarmowało, gwardya narodowa stanęła pod bronią, a gdy po dwugodzinnem oczekiwaniu, nie widzieliśmy żadnego oddziału nieprzyjacielskiego, wysłany byłem w 6 koni na patrol do rozpoznania niebezpieczeństwa.

Dotarłem do najbliższej wsi o milę francuską i posłałem z niej raport ze świadectwem mera, że ani Moskale, ani żadnego żołnierza nieprzyjacielskiego w tej wsi nie widziano.

Z trzech innych odleglejszych wsi posłałem podobne raporty. a sam z pozostałym tylko przy mnie porucznikiem Frankenbergiem, dojechałem o 9 mil od St. Just do wsi Grandville, gdzie zastałem drugi nasz oddział oficerski z 40 koni złożony.

Wkrótce potem zbliżali się Moskale w istocie i oddział nas opuściwszy St Just, zatrzymał się w Creil o 14 mil francuskich od Paryża.

Tamtejszy mer dowiedziawszy się, że byłem oficerem artylerji, prosił mnie, abym most ufortyfikował, co też uskuteczniłem.

Nadeszły dwa szwadrony huzarów francuskich i dwa działa, a nam dano rozkaz udania się do Compiègne.

Tam zastaliśmy nasz oddział oficerski, zbieraninę ze wszystkich pułków gwardyi francuskiej i kilka tysięcy gwardyi narodowej.

Całej jazdy było zaledwie 400 koni.

Z taką siłą stoczyliśmy nazajutrz bój szczęśliwy z 4 pułkiem jeźdźców moskiewskich, czarnymi huzarami pruskimi i czerwonymi Kozakami z gwardyi moskiewskiej; oddział polski szczególnie się odznaczył w tem spotkaniu; nieprzyjaciół został odparty.

Był pomiędzy nami Żyd polski, oficer kirasyerów westfalskich; nazywał się Francuz, rodem był z Lubrańca z Kujaw, a jako Polak walczył wspólnie z naszym oddziałem.

W owej utarczce zetknął się z czarnym huzarem pruskim, tak blisko i w miejscu tak ciasnem, że ani jeden, ani drugi pałasza użyć nie mógł; w takim położeniu ów Polak Francuz,

gefesem pałasza tak silnie Prusaka w skroń uderzył, że go na miejscu zabił.

Mnie się zdarzyło wtenczas nacierać na oficera od jeźdźców moskiewskich, uciekającego na skalistą górę; wystrzeliłem za nim obadwa pistolety, ale na skały gonić go nie mogłem.

Dowiedziałem się od pojmanego w niewolę jeźdźcy moskiewskiego, że to był z jego kompanii oficer, Polak Ignacy Jakowski.

Przypominałem sobie, że miałem w wojsku moskiewskim brata i kiedy go później widziałem, ze smutkiem wznawialiśmy pamięć tego spotkania.

Ale często fatalny zbieg okoliczności, niszczy najlepsze chęci.

Tak też i z moim bratem się stało.

Skończywszy on akademię w Wilnie, wiedząc iż brata swego ma w wojsku polskim, chciał się także dostać do księstwa warszawskiego i w tym celu ze służącym uchodził z Wilna, w Kownie służący jego chciał sprzedać kożuch, spostrzegła to policyant i chwytając jako nieznanego w mieście.

Wzięty pod areszt i moskiewską indagację, przyznaje się że ucieka przed swoim panem do Warszawy, tak więc i jego brata aresztowano.

Tamtejszy urzędnik Kowalski doniósł o tym wypadku naszemu ojcu i radził robić starania w Wilnie, aby zapobiedz, iżby aresztowanego syna na wieczne czasy na żołnierza do pułku nie posłano.

Przez marszałka guberskiego, pocziwy starzec tyle wyjednać potrafił, że pozwolono bratu mojemu wejść do korpusu kadetów w Petersburgu.

W rok potem mianowano go oficerem w wojsku, które się z nami biło. Tak więc wypadek ten pomimo najlepszych uczuć nadal życiu brata mojego kierunek zupełnie przeciwny temu, do jakiego zmierzał.

Po rozprawie pod Compiègne, dowodzący tam generał francuski, złożył nam szczególniejsze dla tego podziękowanie, że natarcie nasze rozstrzygnęło bój, bo przełamało linię nieprzyjacielską.

Oświadczył nam zatem, że nas wielu podał do krzyżów, dotacyj i awansów.

Drugiego dnia dał mi rozkaz, abym się udał na szefa szwadronu do 9 pułku huzarów francuskich, który stał w Wersalu, zapewniając że to czyni z polecenia ministra wojny i że tam dojdzie mnie krzyż z dotacyą.

Wypełniając ten rozkaz wyruszyłem z Compiègne; w Chantilly zastałem zakład szwoleżerów polskich gwardyi Napoleona pod komendą szefa szwadronu Roztworowskiego, oddział oficerów polskich i inne oddziały wojska francuskiego, już gotowe do marszu.

Przechodziliśmy różnemi stronami, bo Marmont już był Paryż nieprzyjacielowi odsłonił. W Pontoisse powiedział mi generał Niemojowski, że nie mam po cò do Wersalu jechać, bo już Paryż wzięty; radził mi zatem maszerować z sobą i współnego oczekując losu.

Nie będę opisywał żalu i rozpaczyny nas wszystkich, podzielały te uczucia wszystkie szczątki wojska polskiego.

Pomaszerowaliśmy do Normandyi i zatrzymaliśmy się w mieście Le Mans, gdzie mieszkańcy stronnicy dynastyi Burbonów do tego stopnia nam nie sprzyjali, że się odgrażali nas wyrznąć. Dla ostrożności staliśmy po kilku na kwaterach, z bronią zawsze nabitą.

Tam dowiedzieliśmy się o abdykacyi Napoleona w Fontainebleau i o zmianie stanu rzeczy.

Wkrótce potem przywiózł nam pułkownik Józef Szymanowski odezwę cara moskiewskiego, zapewniając Polsce byt, nam za wytrwałość w nieszczęściu względy i opiekę. Byli, których obietnice te cieszyły, większej części nie mogły one pocieszyć; przewidywaliśmy nieszczęście ojczyzny.

Przez wzgląd na kraj, współziomków i osierocone rodziny przyjęliśmy te zdradzieckie obietnice i z Le Mans pomaszerowaliśmy do Nantes o 14 mil francuskich od Paryża. Ztamtąd posłano nas do St. Denis, gdzie po wypłaceniu żołdu, kolumnami ruszyliśmy w marsz do Polski.

Bolesnym i serce rozdzierającym był widok włóczących

się hord azyatyckich, Kałmuków, Baszkierów, kiedyśmy na ojczystą wstąpili ziemię.

Pod miasteczkiem Błoniem, przyjaciel mój Bortkiewicz, z którym ciągle tę podróż do krajn odbywałem, spostrzegł Kałmuków, którzy biednego naszego wieśniaka z butów obdzierali.

Nie mógł znieść tego widoku, przyskoczył do nich i jednego szpadą ugodził; przybiegliśmy mu w pomoc, ale już byli oddali buty i uciekli.

Za przybyciem do Warszawy otrzymałem na trzy miesiące urlop dla udania się do familii, a gdy powróciłem, dostałem przeznaczenie do Wrocławka, gdzie były kadry naszego pułku. Tam objąłem po szefie batalionu Oranowskim komendę powiatu brzesko-kujawskiego do utrzymania kontrol wojskowych, którzy się w tym powiecie znajdowali.

W kilka tygodni potem otrzymałem przeznaczenie do 1. pułku strzelców, w którym postanowiłem czas krótki posłużyć celem uzyskania nagrody za pięć kampanii i odniesione rany. Wkrótce zatem podałem do naczelnego wodza Konstantego notę z załączeniem rozkazu od generała francuskiego w Compiègne, dopominając się o dany mi w tym rozkazie stopień i o przyobiecaną w nim dotacyę, na co komitet wojskowy w imieniu Konstantego przez generała Rautenstraucha odpowiedział, że lubo do pensyi wysłużonej mam prawo, gdy jednak w tym czasie rzecz ta nie jest jeszcze urządzona należy mi czekać, dopóki w tej mierze nie zajdzie stanowcze postanowienie.

Zwrócono mi tylko stan służby, a co do owego rozkazu generała francuskiego, generał Rautenstrauch uwiadomił mnie ustnie, że W. książę Konstanty sam go zatrzymał, mówiąc, że jest nic nie znaczący, bo data jego jest po abdykacyi Napoleona, a tak ani stopnia, ani nagrody nie otrzymałem.

Było w takim położeniu kilkunastu innych oficerów i postąpiono z nimi podobnie.

Co do mnie byłoby tym większa niesprawiedliwość, że i stopień i nagroda otrzymane były więcej jak na dni trzy przed wzięciem Paryża.

Musiałem poprzestać na tej sprawiedliwości carskiej, zawsze mając nadzieję, że otrzymam przynajmniej pensję wysłużoną.

Wszedłem do pierwszego pułku strzelców pieszych w stopniu kapitana.

Zastąpiłem w nim dowódcą pułku Zdzitowieckiego i ostatniego lotra szulera podpułkownika Suchodolskiego, którego publicznie w jednej oberży warszawskiej przy kartach w twarz uderzono.

Nie mogłem się odważyć służyć pod komendą tak podłego człowieka; oficerowie batalionu drugiego również go nienawidzili.

Staliśmy w Więzowni pod Warszawą; tam w czasie mustry mając on do mnie szczególniejszą złość za to, że wspólnie z innymi nim pogardzałem, rzekł do mnie na głos:

— Pan kapitan jesteś z kawalerii, zawsze robisz pomyłki — a równając batalion i mnie dotykając piersi równać zamyślał.

Omyłki żadnej nie było i nagana tak niesłuszna w taką mnie złość wprawiła, że byłbym go przebił, gdyby nie podporucznik z mojej kompanii Żeromski za rękę nie był schwytał właśnie w chwili, kiedy się do pałasza porwałem i gdyby mi nie był wystawił, że W. księżę zrobi ze mnie przykład dla subordynacji wojska, a dla takiego człowieka poświęcać się nie warto.

Wszakże obejście się ze mną Suchodolskiego oburzyło oficerów całego batalionu, co widząc Suchodolski, prosił widać Zdzitowieckiego pułkownika o pośrednictwo.

Jakoż jeszcze na tej samej mustrze przybliżył się do mnie pułkownik i rzekł:

— Panie kapitanie, idziemy do Warszawy, pułk nas za awanturniczy będzie uważany, pogódźcie się, zrób to dla mnie, dla honoru korpusu oficerów i pułku.

Gdy mu na to odpowiedziałem, że z takim człowiekiem,

który był publicznie shańbiony, ani pułkownik, ani oficerowie służyć nie mogą, Zdzitowiecki rzekł:

— Pozwólcie mi nieco czasu, a pozbędziemy się go bez żadnych awantur.

Tymczasem Suchodolski zaprosił do swojej kwatery majora Łuszczewskiego, człowieka pocziwego, mojego dawnego kolegi i przyjaciela, oraz dwóch kapitanów i ci wezwali mnie do siebie. Niespodzianie zastałem tam Suchodolskiego, który kładąc na stół pistolety pałasze i szpady, rzekł:

— Obraziłem pana pomimowolnie na mustrze; przepraszam i jakiegokolwiek i na jaką bądź broń żądasz satysfakcji, dać ją winienem.

Na co odpowiedziałem:

— Satysfakcji od człowieka, który został publicznie shańbiony, przyjąć nie mogę, chyba który z żołnierzy, który jest człowiekiem honoru, w imieniu jego zechce stanąć.

Zaproszeni oficerowie uznali moją odpowiedź za sprawiedliwą, a ja wyszedłem.

Nazajutrz cały nasz pułk ruszył do Warszawy, poczem rozłożony był w okolicach.

Przez cały ten czas mało oglądaliśmy Suchodolskiego, bo ciągle prawie siedział w Warszawie u szwagra swojego naczelnika policyjnego Swieczyna.

Ostrzeżono nas, że Suchodolski jest szpiegiem, strzeżliśmy się go wszyscy.

On też nienawidził nas i wnet nastroczyła mu się sposobność wywarcia na mnie zemsty.

Żołnierz Wojciechowski pocziwy Polak, trzy razy z pułku uciekał i zawsze jedno mówił, że nigdy Moskalowi służyć nie będzie.

Kazano go sądzić podług artykułów francuskich, jakie mieliśmy za księstwa warszawskiego, a z dorady Suchodolskiego i mnie wyznaczono do sądu.

Poznawszy ja pocziwość tego żołnierza, oparłem się za stosowaniu do wypadku praw francuskich, które już za drugą

dezercya, śmiercią karzą i dowodziłem, że żołnierze nie przysięgli jeszcze, że nie wiedzą, kto w kraju panuje, bo to było jeszcze przed ogłoszeniem królestwa, że zatem żołnierza tego tak surowo karać nie można.

Za mojem zdaniem poszli porucznik Trzetrzewiński i podoficer, członkowie sądu.

Wojciechowski nie czekał na ten wyrok, a nie chcąc jak ciągle mówił, służyć Moskalom, dotrzymał słowa i utopił się.



ROZDZIAŁ IV.



Wielki książę Konstanty dowiedziawszy się za staraniem Suchodolskiego o zdaniu mojem i sądu w sprawie tego dezercera, wziął mnie za Napoleonistę, czyli co na jedno wychodziło, za buntownika i kazał mi stawić się przed sobą na pokojach. Wizyta u tego dzika w początkach zwłaszcza panowania jego w Warszawie, stanowiła często względem życia człowieka; przyjaciele więc moi żegnali mnie, jak gdybym szedł na śmierć.

Mało nawet mi znani, spoglądali na mnie okiem litości.

Co do mnie, byłem zdeterminowany utopić w nim szpadę, gdyby mnie od niego jaka hańba spotkać miała.

Zastałem go w jego gabinecie tylko z generałem Hauke; jak mnie tylko zobaczył, zawołał w największej złości tak, że mu aż ślina z gęby przyskała:

— Dla czego nie podpisałeś dekretu?

Odpowiedziałem, cofnąwszy się o krok, że takie było moje przekonanie, bo jeszcze nie mamy panującego, a zatem i praw.

— Ty Napoleonista! — zawołał; — ja wnet to z głowy wybiję! Paszoł won!

Usłyszawszy te grzeczne słowa, wyszedłem.

Było w sali przedpokojowej wielu generałów i ówczesnych

favorytów; wszyscy tylko z miny mojej wyczytać chcieli humor Wielkiego księcia, żaden nie śmiał się pytać; ja też rad, że mnie nie badają, wyszedłem z pałacu, wziąłem dorożkę i pojechałem.

Podalem się najprzód za chorego, a wnet potem i do dymisyi, gdyż znajomy kolega ze sztabu Wielkiego księcia uwiadomił mnie, że nie tylko Suchodolski, ale i pułkownik jest przeciw mnie, że Suchodolski podał raport, w którym mnie wystawia jako buntującego wszystkich oficerów pułku i że nim się podam do dymisyi, raport ten wstrzyma. Było to właśnie w październiku, kiedy wolno było brać dymisyę.

W pięć dni po podaniu się mojem wyszedł rozkaz dzienny; prawie jak wypędzony, bez żadnej nagrody ze służby uwolniony zostałem.

Lecz i to było dla mnie szczęście, bo gdybym się był spóźnił, byłbym tak, jak inni moi koledzy pułkowi okuty w kajdany i osadzony w fortecy.

Pułk ten wyszedł wkrótce na załogę do Płocka. Tam oficerowie przedstawili pułkownikowi Zdzitowieckiemu, że pod Suchodolskim służyć nie chcą, jako pod człowiekiem shańbionym i nikezem, tem bardziej, że z jego powodu wielu oficerów honorowych wzięło dymisyę.

Zdzitowiecki dał im słowo honoru, że go więcej komenderującym widzieć nie będą.

Ale nazajutrz, kiedy pułk wystąpił, ten sam Zdzitowiecki przyprowadził go przed batalion i Suchodolski zaczął komenderować.

Widząc oficerowie taką zdradę i wspólność działania Zdzitowieckiego z Suchodolskim, schowali szpady i wystąpili z frontu. Zdano o tem raport naczelnemu wodzowi Konstantemu i przeszło dwadzieścia famillii zostało w smutku pogrążonych, bo wszystkich tych oficerów zdegradowano, kapitanów do kajdan do Zamościa, a poruczników na prostych żołnierzy do pułków posłano.

Byłbym z własnego przekonania to samo uczynił co tamci oficerowie, ale wzięwszy dymisyę, losem szczęśliwym uszedłem kajdan.

Konstanty dowiadywał się, czy ja byłem pomiędzy tymi oficerami i żałował, że mnie już w pułku nie było.

Tak więc z jednej strony niegodziwość spółziomków, z drugiej despotyzm Konstantego, w jednej chwili zniszczyły chlubny zawód tylu ludzi honorowych; za to tylko, że przestrzegali praw honoru, bez względu na ich rany, na ich kampanię, na ich służbę wojskową i stopnie krwawo zapracowane, osadzono ich w więzieniach jako zbrodniarzy, zniszczono całą ich przeszłość, zatruto ostatnie dni życia.

Ale i tyrani mają chwile refleksyi; jakoż i Wielki książę Konstanty przekonawszy się o nikezemności Zdzitowieckiego i Suchodolskiego, pierwszego, który już z wojska był wyszedł i był prezesem komisji wojewódzkiej, z urzędu tego oddalił, drugiego z wojska wypędził.

(Autor pomija epokę kilkonastoletnią panowania wielkiego księcia Konstantego, zachowując sobie zapełnić tę przerwę w swoich pamiętnikach w pomyślniejszych czasach, bo dziś opowiadanie jego nie mogłoby być zupełne z powodu ostrożności, o jakiej nie mógłby zapominać dla nieskompromitowania wielu jeszcze żyjących osób, z którymi w czasie działań potajemnych, zostawał w stosunkach.

Dalsze więc jego opowiadania ściągają się już do epoki od 29. listopada 1830.)

Dopiero dzień 29. listopada dozwolił wykryć, to co przez lat piętnaście tkwiło w tajniach serc cnotliwych. Nie posiadałem się z radości, dożywwszy tej szczęśliwej chwili.

Widziałem w każdym mieszkańcu na ziemi polskiej, powinność wzięcia się do oręża w obronie zdeptanych praw ojczyzny i ludzkości i wróciwszy z Warszawy do domu (Dęby Wielkie), natychmiast zebrałem całą gminę, która z wsiami zamieszkałego w Polsce cudzoziemca..... miała przeszło 2.000 głów mężczyzn.

Przemówiłem do nich, wystawiając konieczną potrzebę poświęceń i przeszło 1.600 ludzi z różnem uzbrojeniem, stanęło w przeciągu 24 godzin.

W samej wsi Dęby Wielkie zaprowadziłem najsurowszą

policyę i kazałem każdego z przejeżdżających i idących tamtędy mieć na oku i podejrzanych aresztować.

Jakoż zaraz aresztowano dwóch młodych ludzi, którzy zdawali się być podejrzani; jeden z nich miał być z Sokolowa, drugi z Węgrowa.

Kazałem ich zrewidować i znalazłem przy nich tysiąc kilkaset złotych w rublowej moskiewskiej monecie.

Zastraszeni wyznali, że to były pieniądze zrabowane na nowym Świecie w Warszawie u prowiantskiego generała moskiewskiego Skrybickiego.

Spisawszy z nimi protokół przy świadkach, oddałem ich pod straż włościan.

Otrzymawszy na to rozkaz od wyruszyłem z Dębego Wielkiego na czele przeszło 1600 włościan tej gminy i przemaszerowałem z nimi do Warszawy dla pokazania stolicy, jaki duch ożywia ludność włościańską.

Owych dwóch aresztowanych pod strażą do rządu narodowego odprowadziłem, donosząc zarazem, że jeden z nich zeznał, że jeśli będzie wypuszczony na wolność, wskaże większą sumę między szczytami drzewa na Szólcu.

Kiedy odebrane od nich tysiąc kilkaset złotych w obecności prezesa banku składałem, minister ks. Lubecki powiedział, że z zebranych w kasie rosyjskiej pieniędzy, już do 140.000 zł. ściągnięto od innych i otrzymałem za aresztowanie tych dwóch ludzi i odebranie im pieniędzy na piśmie podziękowanie.

Warszawa przyjęła nasze powstanie z największą radością; pomaszzerowałem przed dom, gdzie mieszkał naówczas dyktator Chłopicki; rozumieliśmy że nas przyjmie z podobnem uczuciem, jakie nas ożywiało, jakiego dowody widzieliśmy w mieszkańcach Warszawy, ale Chłopicki nie raczył nam nawet okazać swojego oblicza.

Przysłał on tylko adjutanta swego Władysława Zamojskiego, niby z podziękowaniem, ale właściwie z rozkazem, abyśmy wrócili do domów, do uprawy roli, do gospodarstw i nie byli w mieście przeszkodą i powodem do zamieszania.

Nieprzyjemny po takim rozkazie nastąpić miał dla dyktatora okrzyk, ale z dorady Mochnackiego zapobiegłem temu.

Jeden tylko ksiązę Adam Czartoryski przybył do nas, największe okazując uczucie radości, rozdzielając hojnie pieniądze pomiędzy powstańców włościan.

Wielu dawnych dymisyowanych żołnierzy i młodych zdolniejszych do broni przeznaczono do pułków, a resztę pocziwych powstańców wyprowadziłem za Pragę i kiedy się nieco posilili, zdałem komendę mojemu zastępcy wójta gminy Sawickiemu i odesłałem ich do domów, co w największym porządku uskuteczniiono.

Nazajutrz uwiadomił mnie z rozkazu dyktatora, regimentarz Sołtyk, że tymczasowo przy nim jestem umieszczony do dalszej organizacyi jako major.

W kilka dni wyjechaliśmy do Lublina. Przybywszy tam z regimentarzem Romanem Sołtykiem dla zlustrowania gwardyi i nowo formującego się pułku, pierwsi obywatele w obecności mojej zapytali regimentarza, na jaką sposobie się mają wojnę.

— Jeśli wojna ta — mówili oni jak to ogłoszono — ma być narodową, zdaniem ich należy wysłać w głąb kraju żony i dzieci, powywozić jak najrychlej do fortec ruchome mienie, przechować, zakopać i na potrzebny użytek obrócić zboża i rozpocząć inwentarzem tak, iżby nieprzyjacieli nie mógł z niego korzystać, bronić się po wsiach, lasach, barykadować się, utrudzać przeprawy, psuć mosty, rujnować drogi i wszędzie napadać na nieprzyjaciela, szkodzić, czynić mu opór, pokonywać go całym narodem, uważać za zdrajców ojczyzny nie działających podług tego, nie spuszczać z oka nieczynnych w sprawie narodu, ustanowić sąd i karać najprzykładniej występnych i niechętnych.

Regimentarz Sołtyk nie mógł dać na to pytanie i oświadczenie obywateli lubelskich, zadowolniającej odpowiedzi odsyłając ich z tem zapytaniem do dyktatora Chłopickiego. Żałuję, iż tu nie mogę wymienić zacnego obywatela, który w imieniu innych zdanie swoje o wojnie narodowej przed regimentarzem Sołtykiem wynurzył,

Po skutkach później wynikłych, sądzić można, że nie podług pojęcia narodu i jego opinii działano.

Nie jedno województwo lubelskie tak pojmowało wojnę narodową i inne województwa takie o niej miały wyobrażenie i tak działać chciały.

Miałem częstą sposobność przekonania się o tem, wysyłany w interesach służby do rozmaitych województw. Pozakładano magazyny przed linią bojową, zamiast zakładać je za linią działań wojennych; zostawiono je jak gdyby naumyślnie nieprzyjacielowi i zamiast podnoszenia wszędzie dobrego ducha mieszkańców, osłabiano, zrażano, zniechęcano go.

Powróciwszy z Lublina otrzymałem rozkaz udania się do Łomży, gdzie z pułkownikiem, Zambrzyckim w skutku otrzymanego rozkazu, podzieliliśmy się powiatami.

Ja w dwóch, Augustowskim i Kalwaryjskim zająłem się organizacją siły zbrojnej; z gwardyi ruchomych uformowałem spiesźnie dwa pułki, jeden obywatelski liczący 600 koni z samych dworskich służących i oficyalistów złożony, któremu obywatele dostarczyli najlepsze konie, mundury i uzbrojenie, pułk ten otrzymał numer siódmy; drugi pułk uformowałem z gwardyi pieszej ruchomej, złożonej z włościan, którzy z największą ochotą pod broń stawali.

Można było z łatwością jeszcze więcej pułków konnych uformować, bo województwo augustowskie ze wszystkich innych najwięcej posiadało koni.

Obywatele tego województwa dali mi na piśmie oświadczenie, że chcą dostawić do Łomży za cenę w województwie będącą, kilkanaście tysięcy korey rozmaitego zboża, nie żądając zapłaty za tę dostawę aż po wojnie i to przez potrącanie w podatkach.

Z oświadczeniem tem i z raportem o skuteczniejszej organizacji, powróciłem do Warszawy.

Rozumiałem, że dyktator przyjmie tę formacją pułków i tę gotowość obywateli z radością; przeciwnie, tonem groźnym nazwał je masakrowaniem jego urządzeń i w takie wpadł uniesienie, że myślałem, iż mnie rozstrzelać każe. Regimentarz Sołtyk zniósł resztę jego pocisków.

Czas pokazał, że owe pułki jazdy bardzo się przydały i były dobre. Tak o przeciwnych interesowi narodu Chłopickiego planach przekonany, z czem i on się nie taił, nie wahałem się, wtedy, kiedy Lelewela aresztowano, przed batalionem gwardyi narodowej przy pałacu namiestnikowskim, głośno zdanie moje o dyktatorze wynurzyć, które wielu z gwardyi narodowej ze mną podzieliło.

Ostateczne oświadczenie Chłopickiego przed deputacją i złożenie dyktatury smutną było dla sprawy ojczyznej wróżbą i smutkiem przejęło wszystkie serca.

Znajdowałem się w sali senatorskiej, kiedy izby połączone wodza wybierały.

Jenerałowie Krukowiecki i Gielgud kręcili się pomiędzy posłami i zdawało się, że intrygowali. Zaczęto szemrać na galeryi i któryś z arbitrów zawołał z góry:

— Dosyć tej moskiewszczyzny i intryg; nie tu są miejsca i komendy jenerałów.

Natychmiast obadwa ci jenerałowie poszli ku drzwom i przybrawszy pokorną, ale ironiczną postawę, spoglądali na galeryę i widocznie chcieli się dowiedzieć, kto ich tym okrzykiem napominał.

Po wyborze księcia Michała Radziwiłła na naczelnego wodza, zniesiono regimentarzy i wcielono ich czynności do komisji wojny, co zaraz z początku uczynić należało; nie byłoby tyle natworzonych stopni, niesprawiono by w starych pułkach tyle nieukontentowania z powodu nasyłania do nich cywilnych i często ludzi bez konduity na oficerów.

Formacja w batalionach i szwadronach powinna się była skutecznie, do czego każdy regularny pułk miał na komorze podostatkiem mundurów i rekwizytów.

Po tem nowem urządzeniu zostałem przeznaczony do sztabu jenerała jazdy Wajsenhofs i wnet potem doszła wiadomość o wkroczeniu nieprzyjaciela w granice Królestwa.

Dnia 8. lutego 1831 naczelnny wódz książę Radziwiłł, wysłał mnie do dywizyi ułanów pod komendą jenerała Suchozrzeskiego.

Nie wiedziano, czy jenerał ten był w Siedleach, dano mi

depesze i ustny rozkaz, aby w razie gdyby się tam nie znajdował, zapytać go, dlaczego to miasto opuścił nie mając przeciw sobie przemagającej siły artylerii i piechoty, kazano mi zarazem być obecnym, gdy Siedlce na powrót zajmować będą.

Ztamtąd dojechać miałem do Liwa do korpusu generała Żymirskiego, zawieść mu hasło i przywieść od niego raport. Uskuteczniając ten rozkaz wyjechałem z Warszawy dnia 8. lutego i o pierwszej godzinie po północy stanąłem w Boimie o 3 mile od Siedlec.

Zdaleka wśród nocy ciemnej spostrzegłem ogniska obozu, ale oprócz małych posterunków piechoty po drodze, żadnych czat od strony Warszawy nie zastałem.

Dojechałem do samego obozu i spostrzegłem przy ognisku znajomego mi oficera z pułku 1. ułanów; ten był mi przewodnikiem do kwatery generała Suchorzewskiego we dworze zupełnie zniszczonym — przez wojsko nasze.

Zapytałem generała stósownie do dawnej mi instrukcji i doręczyłem mu rozkaz.

Generał pokazał mi inny rozkaz poprzednio mu dany i dosyć ciemno napisany, w którym mu kazano cofać się w jednej linii z generałem Żymirskim, a linia ta była właśnie we wsi Boimie, gdzie generała zastałem.

Generał Suchorzewski rozkazał natychmiast dywizji swojej maszerować do Siedlec.

Pochód ten był dosyć trudny dla jazdy, bo po odwilży chwycił był mróz i droga szosa była bardzo ślizga. Zapewne nagła zmiana rewolucyjna po zbyt ostrej surowości Wielkiego księcia Konstantego, musiała żołnierzy okurzyć, bo uważałem wielki brak subordynacji.

Oficerowie nie mogli sobie dać rady z żołnierzami, którzy zatrzymywali się i pili co karczmach, gubili rekwizyta i obroki tak, że jadąc za dywizją, całą bryczkę pocztową rzeczami wojskowymi napakowałem; nie mając w niej miejsca do siedzenia i bardziej jeszcze dla należnego uczestnictwa we wzięciu Siedlec, wzięłem konia wierzchowego od znajomego mi oficera i ruszyłem konno z dywizją.

W Siedlcach było najwięcej sto Kozaków.

Pluton z pierwszego pułku ułanów na szpicie idący wpadł do miasta, ubił dwóch Kozaków i dziewięciu wziął do niewoli.

Z naszej strony mieliśmy podoficera Moszyńskiego ciężko rannego i dwóch żołnierzy lekko rannych.

Goniąc Kozaków oparliśmy się blisko wsi Ojrzanów, pod którą stało pod bronią kilka kolumn nieprzyjacielskich.

Zasialiśmy w Siedlcach ogromny magazyn żywności i furazu, jeszcze przez rząd nasz zaopatrzony i można go było wywieźć albo do Warszawy, albo w inne za Wisłę miejsce, bo wojsko nasze przez cały tydzień zajmowało jeszcze miasto; nie uczyniono tego i magazyny te zostawiono nieprzyjacielowi.

Wziąwszy od generała Suchorzewskiego raport na piśmie, ruszyłem do Litwy do korpusu generała Żymirskiego na parokonnym najętym wózku, bo poczty w Siedlcach nie było.

O półtóry mili od Siedlec zatrzymałem się pod wsią Grębkiem przy karczemce chcąc dać się napić wódki memu powozicielowi; gdy ją karczmarz wyniósł, spostrzegłszy mnie oficera polskiego — rzekł:

— Kilka minut temu było tu ośmiu Kozaków.

Spojrząc naprzód, aż tu widzę tych samych Kozaków ku mnie dążących; byli jeszcze odemnie o kilkaset kroków, czem prędzej więc wyskoczyłem z wózka, a że las był blisko, gęstwinami na piechotę do niego się dostałem.

Ubiegłem w lesie więcej jak ćwierć mili długo słysząc głosy Kozaków, nareszcie spostrzegłem las rzadszy i idącego w nim włościanina.

Zbliżyłem się do niego, opowiedziałem mu cały przypadek i prosiłem go, aby mi dostał konia i przewodnika do Liwa.

— Chodź pan — odpowie pocziwy chłopiec — zaczekaj tu pod tem dużym drzewem, nie pokazuj się bo może są we wsi Kozacy; ja sam pójdę do domu.

Nie wyszła godzina, spostrzegłem jadącego go na koniu; drugiego dla mnie prowadził.

— Jest — rzecze — do Liwa dwie mili drogi, ale będziemy mieli półtrzeciej mili bo ścieżkami i lasami musimy się przedzierać.

Tak więc dróżynami wyjechaliśmy pod sam Kałuszyn na drogę idącą do Liwa.

Dojechaliśmy do Kałuszyna, gdzie wziąłem konie pocztowe, zapewniwszy się o bezpieczeństwie drogi, na której były nasze posterunki.

Rozstając się z owym poczeiwym włościaninem, ofiarowałem mu 30 zł. za tę tak ważną usługę, lecz ten pieniędzy przyjąć nie chciał, mówiąc, że to nie nadzieja dostania datku pieniężnego, ale chęć usłużenia ojczyźnie spowodowała go do wskazania i ułatwienia mi drogi.

Zaledwie go zniewoliłem do przyjęcia tej nagrody — mówiąc mu:

— Bądź każdemu i w każdej okoliczności w sprawie ojczyzny użytecznym i pomocnym, ale może nie każdy będzie mógł ofiarować ci jaką nagrodę; ja zaś jestem w możności, a zatem odemnie przyjąć powinienes.

Z Kałuszyna przybyłem do Liwa do korpusu generała Żymirskiego, a doręczwszy mu ekspedycje i hasła i wziąwszy od niego raport do naczelnego wodza, stanąłem w głównej kwaterze, która była w Okuniewie, w nocy o godzinie drugiej dnia 9 lutego.

Zdawszy sprawę i oddawszy raporta szefowi sztabu generałowi Mrozińskiemu, dostałem ustny rozkaz udania się do generała jazdy Wajsenhofs.

Za przybyciem do Warszawy już tam generała Wajsenhofs nie zastałem; pojechałem więc do Kaleni pod Okuniewem gdzie była jego kwatera.

Nazajutrz wyruszyliśmy do Jabłonny, tam staliśmy do 15. lutego. Tego dnia ruszyliśmy pod Warszawę i dnia 17. lutego stanęliśmy w Grochowie.

Wysłany tego dnia w nocy z ekspedycjami do korpusu generała Jankowskiego pod Pułtusk, dowiedziałem się w Serocku, że generał ten był już w marszu do Zegrza, w Zegrzu uwiadomiono mnie, że z większą częścią swego korpusu pomaszerował przez lasy małą drogą do Radzymina. Tam dopiero zastałem go, oddałem mu rozkaz naczelnego wodza i z rapor-

tem powróciłem dnia 18. lutego do generała Wajsenhofs do Grochowa.

Zastałem go już na koniu z całym sztabem i wnet pomaszerowaliśmy za Miłosnę.

Bój już się był rozpoczął i korpus generała Żymirskiego już się cofał, zasłonięty jazdą po obu stronach drogi szosę. W tym dniu ranni byli generał brygady Czyżewski i podpułkownik szef sztabu Chrzanowski.

Ze zmrokiem wróciliśmy do Grochowa, dokąd także przybyli w nocy pułkownik Skrzynecki z pod Dobrego i generał Szembek, a nadedniem nadciągnął korpus generała Żymirskiego.

Nie były pod Grochowem uczynione poprzednio żadne przygotowania administracyjno-wojskowe, tak iż wojsko na mrozie, po kolana w śniegu, który w nocy upadł, głodne, przeziębłe, zmuszone było dopuszczać się rabunku.

Grochów i okoliczne wsie zostały zniszczone; domy i zabudowania drewniane rozebrano i spalono.

Łatwo sobie wyobrazić, jaki ztąd wszczął się w wojsku nieporządek i nie było to winą wojska, ale władz, które nieprzezornością, niedbałością swoją, własny kraj na zniszczenie wystawiły i niesforności wojska były przyczyną. Było przecie dosyć czasu do przygotowania wszystkich potrzeb wojska pod Grochowem, gdzie stanowczego boju można się było spodziewać. Była w tem także wina władzy wojskowej, że w tak ważnym punkcie nie usypiano połowych baterij, bo te jeśli nie byłyby ułatwiły zwycięstwo pod Grochowem, to przynajmniej byłyby ocaliły znaczną część tych walecznych, którzy wyginęli na otwartem polu, bez baterij.

Dopiero w maju, w części przynajmniej pomyślano o sypaniu baterij połowych za Pragę.

Nazajutrz z rana dnia 19. lutego zaczęła się bitwa, która trwała przez dzień cały aż późno w wieczór.

Z rozkazu generała jazdy zaprowadziłem w tym dniu pułk Mazurów dowództwa Walewskiego na obserwacyą drogi do Jabłonny, co gdy skuteczniłem, generał kazał mi cofnąć dywi-

zyony karabinierów i drugiego pułku ułanów, które były w asekuracyi naszej artylerji na prawem skrzydle.

Dywizyony te niezmiernie były wystawione i wiele w tym dniu ucierpiały; i nie dziw, bo w tym dniu do stu dział nieprzyjacielskich roznosiło zniszczenie na naszym prawem skrzydle. Całą tę linię przebyłem szczęśliwie, chociaż na cały ten ogień działowy byłem wystawiony; w chwili nawet dojechania do dywizyonów asekuracyjnych, padł granat przedemną i zabił na lewem skrzydle ułana z drugiego pułku.

Dnia 20. lutego bitwa trwała przez dzień cały i wiadomo, z jakim męstwem biło się nasze wojsko.

W tym dniu żołnierz z eskorty generała tuż za mną od kuli działowej został zabity.

W dniach 21, 22. i 23. lutego, generał jazdy Wajsenhof stał z całym sztabem w folwarku Kamionce pod okopami, a główna kwatera naczelnego wodza była na Pradze.

Obywatele i damy korzystając z zawieszenia broni przybywały w tych dniach z Warszawy z żywnością i trunkami dla wojska; karety, powozy, koczobryki zabierały rannych z placu boju, i z obu stron zagrzebywano poległych na pobojowisku.

Dnia 24. lutego o godzinie 7 z rana zaczął się znowu bój, najprzód na naszym lewem skrzydle, a później na całej linii.

Nie do mnie, jako do pamiętnikarza należy opisywać działania całego wojska w dniu tym i dnia 25. lutego.

Bój w Olszynie, odparcie i porażenie korpusu Szachowskiego przez generała Krukowieckiego, cuda waleczności brygady generała Rybińskiego i artylerji pod dowództwem Masłowskiego, błędy Krukowieckiego, bój na całej linii dnia 25. a szczególnie w lasku olszowym, są to pamiętne wypadki i przedmioty ważnych rozdziałów naszej historyi.

O godzinie 3 po południu dnia 25. generał Żymirski został śmiertelnie ranny, a wnet potem i generał Chłopicki z powodu rany opuścić musiał plac boju, na którym lubo po cywilnemu ubrany, w imieniu naczelnego wodza ks. Radziwiłła,

rozkazy wydawał i rzeczywiście wojskiem dowodził. W tym to czasie nieprzyjaciół natarł na środek naszej linii masą swojej jazdy, której czoło, sławny pułk Kirasyerów zwany księcia Alberta, aż na drugą linią naszą drogą bitą się zapędził, ale ledwie w kilkadziesiąt koni powrócił, bo resztę wykłuto lub do niewoli zabrano.

Zasługuje na opisanie z najmniejszymi szczegółami, jaką zasługę w tej chwili położyli, o ile do odparcia tej masy jazdy się przyczynili, raketnicy pod dowództwem męznego Skalskiego, pułk czwarty, batalion pierwszy pułku ósmego pod dowództwem Karskiego i brygada jazdy pod dowództwem Kickiego.

Naczelnym wódz, poczciwym Polak, ale nie wojownik, spostrzegłszy zdaleka ów ogromny ruch jazdy nieprzyjacielskiej do szarży idącej, z całym sztabem, do którego wielu przyczepiło się było paniczów, czem prędzej ku Pradze zmykać zaczął.

Taki przykład musiał koniecznie sprawić popłoch w niektórych częściach wojska.

Do tego ruchu wstecznego i niewczesnego najwidoczniej należał rezerwowy park artylerji pod dowództwem generała artylerji Redla, który na czele jego zmykał.

Nie mogę dosyć wychwalić zimnej krwi i męstwa w tej chwili generała Czyżewskiego.

Wstrzymywał on, ile mógł uciekających a gdy zachęcenia jego nieskutkowały — wołał:

— Palcie we łby tchórzom uciekającym!

Puściłem się wtenczas za generałem Redlem i chciałem na nim spełnić słowa Czyżewskiego, ale miał lepszego konia, niż ducha i dogonić go nie mogłem.

Wszakże artylerją jego zatrzymałem zabiciem konia przy kiesonie, co drogę zatarasowało, a wspólnie z oficerem jednym od ułanów zagroziłem również pistoletem lubo znajomemu mi dobrze oficerowi artylerji, który siedząc na lawecie, naśladował przykład swego generała.

Generał Czyżewski, jeszcze pod Miłosną ranny i mocno cierpiący, nie miał w tym dniu żadnej komendy i mógł,

Jak to wielu innych byłoby uczyniło, pozostać w Warszawie nikt nawet nie byłby za to rannemu czynił wyrzutów.

Pomimo tego przez wszystkie cztery dni bitwy znajdował się generał Czyżewski zawsze tam, gdzie było największe niebezpieczeństwo, zachęcając ciągle wojsko i przykład poświęcenia z siebie dając.

Mogę zapewnić, bo byłem tego świadkiem, że dnia 25. lutego jemu najwięcej przypisać należy wstrzymanie owego popłochu, a później przyczynienie się do porządnego cofania się wojska.

Rzecz szczególna!

Oficer ten najlepszy Polak, najprzyjemniejszy w pożyciu, mężny i zdolny, jak tego i pierwiej i w ostatniej wojnie dał dowody, był nadzwyczaj srogi i z tego powodu nie był w wojsku lubiany.

Nazywano go profesorem armii polskiej. Kiedy Wielki książę Konstanty kogo srogo ukarać chciał, do Czyżewskiego go posyłał.

Czyżewski przysyłanych w obecności swojej karał i obojętnie patrzył na największe srogości.

Wielu oficerów zasłużonych, ranami okrytych, opuściło wojsko z powodu jego surowości, albo wypędzono za jego staraniem, bo u Czyżewskiego najmniejsze uchybienia w służbie równały się największym zbrodniom.

Jakoż sam dawał z siebie najskrupulatniejszej służbiści przykład, a tę nieczułość, tę trwałość serca okupywał przytomnością, zimną krwią, nieustraszenością w boju. Srogość bywa skutkiem zmienności humoru i własnością ludzi, lubiących trunki.

Srogość Czyżewskiego była częścią wrodzoną jego charakteru, albo może skutkiem mocnego przekonania o jej potrzebie, bo Czyżewski był może najtrzeźwiejszym oficerem w całym wojsku; woda była jego jedynym napojem.

Generał Wajsenhof wysłał mnie w tem zamieszaniu do brygady generała Kickiego, dla dowiedzenia się, jakie ma rozkazy jazda Łubieńskiego.

Generał Kicki uwiadomił mnie o znanem nieposłuszeń-

stwie generała Łubieńskiego z żalem i uniesieniem — mówiąc:

— Generał Łubieński dostał rozkaz do szarży przez adjutanta wysłanego od generała Chłopickiego, ale go nie usłuchał, a więc i mnie go nieda; ale dla tego ja szarżę z brygadą moją uczynię.

Potem uśmiechając się dodał:

— Bądź tu przy mnie — na ciebie złożę — żeś mi przywiózł rozkaz do szarży od swego generała jazdy.

To powiedziawszy natychmiast zakomenderował i uderzył na owych Kirasyerów moskiewskich.

Mnie generał już miał ciąć, kiedy się złożyłem i wystrzałem z pistoletu, powaliłem go z konia.

Kiedy po niejakej chwili, wojsko nasze ku Pradze zaczęło się cofać, dostałem kontuzji w kark od kuli działowej.

Już o własnych siłach nie mogłem siedzieć na koniu i trzymany; przez dwóch ułanów od eskorty generała jazdy przybyłem na Pragę, a do Warszawy dostałem się dopiero o godzinie 9 wieczorem.

W kilka dni potem powróciłem do służby, ale skutki kontuzji były dla mnie bolesne, gdyż przypawiła mnie o kalectwo głuchoty.

Kiedy do generała mego w Warszawie zaszedłem, zastałem go aresztowanym, i dowiedziałem się, że przestał być czynnym, chociaż i poprzednio mało czem ważnem się zajmował.

Generał Wajsenhof miał swoje zasługi, był mężnym, dobrym Polakiem, posiadał wiele cnót prywatnych; nie do mnie należy mówić tu o przyczynie, dla której w ostatniej wojnie nie odpowiedział zaufaniu.

Dnia 7. marca otrzymałem przeznaczenie udania się do korpusu generała Dwernickiego przez Górę.

Z Mniszew przyjechałem do Kozienic, gdzie zastałem generała Sierowskiego z jego korpusem.

Ponieważ komunikacja z korpusem generała Dwernickiego była przecięta, generał Sierawski spodziewając się sam wkrótce

połączyć się z tym generałem dał mi tymczasowo komendę posterunku nad Wisłą od Mniszewa do Kozienic; posterunek ten strzegł przeprawy.

Zlecenie to wypełniłem z zadowoleniem generała Sierawskiego zabrałem nieprzyjacielowi z prawego brzegu Wisły wiele statków przewozowych i drzewa splawnego, które umieściłem wraz z drzewem zabranym kupcowi żydowi, pod mocną strażą na rzece Radomce pod Rzeczywołem, a o obrotach nieprzyjaciela na prawym brzegu Wisły, miewałem przez moich emisariuszów dokładne wiadomości.

Przysłany do zlustrowania posterunków, na ówczas szef sztabu generał Łubińskiego, kapitan Władysław Zamojski zastał służbę w porządku i wszelkie przygotowania do przeprawy na drugą strony Wisły, jeśli tego naczelnemu wodzowi wypadła potrzeba.

Kiedy generał Sierawski udał się do Janowca i zajmując brzegi Wisły aż do Zawichosta, miał zamiar przeprowadzić się na prawy brzeg tej rzeki, dał mi rozkaz, abym za nim zdążył z moją komendą, to jest z batalionem piechoty i szwadronem jazdy.

Dywizya generała Paca miała mnie zluzować. Wykonałem rozkaz ten dopiero we 24 godzin, kiedy batalion grenadierów byłej gwardyi z brygady generała Bielińskiego pod dowództwem majora Serkowskiego przyszedł mnie zluzować.

Zdawszy posterunek ruszyłem do Solca, gdzie dostałem rozkaz wzięcia tymczasowo w komendę szwadronu wieluńskiego po majorze Madalińskim.

Zostałem ten szwadron w największym nieporządku, żołnierze w drugim szeregu pod terlicami ani dek, ani podkładów nie mieli, dostałem je natychmiast w Kozienicach z komory pułku czwartego ułanów.

Major Madaliński zawiódł położone w nim zaufanie, nie tylko taką niedbałością, ale samowolnem opuszczeniem korpusu za co generał Sierawski pod sąd go oddał.

Generał Sierawski chcąc się połączyć z generałem Dwerńskim przeszedł Wisłę ze swoim korpusem naprzeciw Solca. Awangarda tego korpusu, złożona z pułku sandomierskiego

jazdy i batalionu piechoty, zwanego partyzanckim pod dowództwem męznego majora Pawła Malczewskiego, zostawała pod rozkazami pułkownika Łagowskiego, dowódcy pułku Sandomierskiego i posunęła się już była do wsi Babie. *)

Przedarłszy się przez wojska nieprzyjacielskie, przybył do Babie z wieczora, obywatel, którego nazwiska nie pamiętam, ostrzegając generała Sierawskiego, że od Lublina ciągnie przeciw jego korpusowi 20.000 Rosyan i że o dwa marsze za tą siłą postępuje ich 8000.

Obywatel ten wymienił dziesięciu generałów dowodzących tym wysłanym przeciw nam korpusie i doniesienie jego zgadzało się z wiadomościami, jakie generał Sierawski z kąd inąd otrzymał.

Korpus generała Sierawskiego liczył najwięcej 6000 żołnierzy, wprawdzie najlepszych, po bitwach zwycięskich Wawra, Dębego wielkiego, Igań, ożywionych duchem, ale po większej części boju nieznających i nowozaciągnionych.

Przezorność nie radziła generałowi przyjmować bitwy z siłą nieprzyjaciela tak przemagającą, a przynajmniej sam za przyjęcie z nim bitwy nie chciał brać odpowiedzialności. Złożył zatem radę wojenną z dowódców pułków i postanowiono cofać się.

Było to w kwietniu.

Natychmiast cofnęliśmy się w nocy o parę mil drogi aż do wsi Wronowa i zajęliśmy mocne stanowisko, dla parogo

*) W pułku sandomierskim znajdowało się trzech braci, o których pułkownik Łagowski, opowiadał mi następujący szczegół:

Kiedy pułkownik ten z sandomierskiego na linię bojową wychodził, zastąpiła mu drogę obywatelka wdowa i w wieku podeszłym i przedstawiająca mu trzech swoich synów na koniach, umundurowanych i uzbrojonych — rzekła:

— Oddaję ci pułkowniku mój skarb na usługi Ojczyzny; strzeż ich nie życia, ale honoru, aby święcie wypełnili każdego Polaka powinność,

— Mile przyjmuję pani ofiarę — odpowiedział Łagowski — i pewny jestem, że takiej matki dzieci, w takich zasadach wychowani synowie sami potrafią być stróżami swego honoru i najświęciej wypełnią powinności swoje względem Ojczyzny.

dziennego odpoczynku, którego nowy żołnierz całodziennym marszem do Babic znużony, wielce potrzebował.

Może też, oprócz spoczynku, zamiarem było generała trzymać się w dobrze wybranej pozycji, w nadziei, że będzie wsparty przez korpus generała Paca w Potycz, gdzie znajdował się na Wiśle most oszańcowany.

Jakkolwiek bądź, jeszcze byliśmy w Wronowie kiedy o godzinie siódmej zrana nieprzyjaciół na nasze przednie straże uderzył.

Wnet potem ujrzelśmy całe wojsko nieprzyjacielskie na pozycji Wronowa do boju uszykowane.

Rozpoczął się ogień tyralierski, który czterdziestu naszych wolnych strzelców pod dowództwem Niemierzyca z wzorowem męstwem wytrzymało. Oficer Niemierzyca mały, garbaty, dał w tym boju dowody wielkiej nieustraszonosci.

Bronił on przystępu do wioski z kilku chałup złożonej przeciw całemu batalionowi strzelców moskiewskich, którzy wzięcie każdej z kolei chałupy wielkimi stratami okupywali.

Niemierzyca zmuszony był bronić się przy ostatnim z kolei zabudowaniu, a widząc, że z coraz mniejszą garstką rozrzuconych strzelców swoich, nie będzie się mógł przy tem domostwie utrzymać, ściga ich spieszenie i pomimo, że strzelby ich były bez bagnetów, rzuca się z nimi jak lew na nieprzyjaciela z garstką tą, wyparowyywa ze wsi i ściga uciekający przed nim batalion, bagnetami, uzbrojonych Moskali.

Mogę zaręczyć ten piękny czyn Niemierzyca, bo byłem jego naocznym świadkiem.

Ale w pogoni tej żadna mu nie przybywała pomoc, bo korpus nasz odpieraniem naciskających na niego z innych stron mas nieprzyjacielskich cały był zajęty.

Ciągle goniąc strzelców moskiewskich, Niemierzyca zapędził się daleko za wieś, a tymczasem inny batalion moskiewski ukryty i w kolumnach stojący, odciął go od naszego korpusu: na próżno torował sobie drogę chcąc się przebić na powrót. Ranny z kilkoma tylko pozostałymi strzelcami dostał się do niewoli.

Moskale oprowadzali go pomiędzy swoje szeregi, żartowali z jego wzrostu i ułomności; ale światlejsi oficerowie oddawali męztwu jego całą sprawiedliwość.

Sam nawet generał Kreutz, zaprosił go do siebie i był dla niego, jako dla oficera, wzorowo walecznego z wielkiem szacunkiem.

Na dwanaście dział nieprzyjacielskich pozycyjnych, nasza z dział sześciofuntowych złożona artylerya, słabo tylko mogła odpowiadać.

Tę więc najstraszniejszą przeciw męztwu naszych świeżych żołnierzy siłę, postanowił generał Sierawski przełamać, tem bardziej, iż asekuracya dział nieprzyjacielskich nie była mocną.

Wziął więc pułk jazdy kaliskiej dziesięciodymową, dla tego zwaną, że z każdych dziesięciu dymów jeden jeździec był dawany, i po za górką chróstem zarosłą poprowadził dywizyonami tę jazdę dla wzięcia lub uciszenia dział moskiewskich. Znajdowałem się wtenczas przy boku generała i widziałem całą odwagę i pewność, z jaką ten obrót wojenny pomyślnie spodziewał się wykonać.

Ale zaledwie asekuracya nieprzyjacielska naprzód przeciw nam się posunęła, dywizyon owej dymowej jazdy, który postępował za nami, najhaniebniej pierzchnął i ucieczką swoją następne dywizyony do największego przyprowadził nieładu.

Gdyby nie męstwo, patryotyczne poświęcenie się i przytomność oficerów, który pułk ten posiadać miał zaszczyt, gdyby mówię, nie oficerowie znani zaszczytnie jeszcze z czasów służby pod Napoleonem, ucieczka ta byłaby sprawiła zamieszanie w całym naszym korpusie i byłaby odsłoniła nieprzyjacielowi całą naszą lewą flankę.

Ich gorliwości przypisać trzeba, że ile mogli rozpierzchnionych wstrzymali i zebrali, ale z owego dywizyonu, co pierwszy drapnął, wielu zginęło, lub wziętych było w niewolę.

Opuszczeni musieliśmy tylko przedeflować przed baterya nieprzyjacielską, która kartaczami na nas miotła, a która za chwilę mogła być w naszym ręku, bo już tylko może o 300

kroków byliśmy się do niej zbliżyli, a w tej samej chwili pułk 11 pod dowództwem Młokosiewicza już także do dział nieprzyjacielskich się zbliżał.

Po wzięciu tych dział prawe skrzydło nieprzyjacielskie byłoby zostało przełamane, bo nie było o nic oparte i jest wielkie podobieństwo, że bylibyśmy odnieśli zwycięstwo nad owym sławnym Tollem, który tak przeważającą miał siłę.

Ośmielona ucieczką Kaliszanów, asekuracja dział i paraset Kozaków czarnomorskich puściły się za nimi w pogoń i widząc nas opuszczonych, wnet nas otoczono.

Już Kozak jeden dzidą sięgał generała, ale omyliła go ręka i tylko konia ranił w łopatkę pod jenerałem; koń ukłóty dał szczupaka, rozbił otaczające nas rotę, zrobił w niej lukę, którą wydobywszy się, dopadliśmy do szwadronu, uformowanego z rekonwalescentów korpusu jenerała Dwernickiego, a którym dowodził kapitan Smoliński z 2 pułku strzelców konnych.

Pchnięty dzidą, ale nieszkoliwie, pozbyłem się przeciwnika wystrzałem; uszedłem za jenerałem Sierawskim i ze szwadronem zatrzymaliśmy się przy pułku 10 piechoty, gdzie dopiero Moskale przestali nas ścigać.

Bój z ogniem tyralierskim i działowym trwał do godziny drugiej z południa, poczem jenerał Sierawski, dał rozkaz do cofania się, co skuteczniliśmy w największym porządku, nie nieprzyjacielowi po drodze nie zostawiając.

W bitwie wronowskiej straciliśmy w zabitych, rannych i wziętych w niewolę dwieście kilkadziesiąt ludzi; z wyższych oficerów, pułkownik 10 pułku piechoty Jordan z ran w tym boju odniesionych później życie zakończył.

Największą stratę ponieśliśmy w wolnych strzelcach.

Moskale mieli stracić w tej bitwie do 1000 ludzi.

Jeśli na to zważymy, że 6000 nowego żołnierza przez 7 godzin stawiało opór dwudziestu tysiącom starego żołnierza, i że zamiast być rozproszeni, stosunkowo tylko małą ponieśliśmy stratę, przyznać musimy, że tylko dobrym rozporządzeniem jenerała Sierawskiego, winniśmy byli taki wypadek tej bitwy.

Pulkownicy Młokosiewicz, Łagowski, Jordan oddali mu tę sprawiedliwość.

Cóż dopiero gdyby Kaliszanie nie byli pierzchnęli!

Ale nie dziwię się ich ucieczce.

Prawie cały ten pułk składał się z kolonistów i Kaszubów, którzy mało co po polsku umieli i kraj swój dla zysku opuścili.

Jakże za obcych szczerze bić się mieli?



ROZDZIAŁ V.



Po bitwie wronowskiej cofaliśmy się prze Opole do Kazimierza, wszędzie za sobą mosty zrzucając.

W Kazimierzu zastaliśmy generała Szembeka incognito tylko z adjutantem tam bawiącego.

Niezwłocznie zwołana była rada wojenna, po której generał Sierawski dał mi rozkaz przeprowiania na drugą stronę Wisły szwadronów jazdy i bagażów.

Nazajutrz po bitwie wronowskiej w południe rozpoczęła się pod Kazimierzem kanonada i ostatnie statki przeprowiałem przez Wisłę już wśród kul i granatów tak jednak szczęśliwie, że żaden statek nie był uszkodzony, bo wszystkie granaty tylko w rzekę wpadały i w niej pękały.

Już byłem za Wisłą, kiedy nas na drugim brzegu przeraził widok, którego pamięć powinna być na przyszłość dla nas nauką.

Byliśmy świadkami prawie dobrowolnej zguby niemal całego szwadronu jazdy sandomierskiej z 200 ludzi dworskich i oficyalistów złożonego i mającego dzielne konie.

Był jego dowódcą hrabia Wielhorski od razu majorem mianowany.

Postawiony na grangardzie przed Kazimierzem, dał się nieprzyjacielowi odciąć od głównego gościńca i manowcami przedzierał się w czasie boju nad Wisłę pod Kazimierz.

Był już na drożynie prowadzącej do tego miasta, kiedy najwięcej szwadron dragonów moskiewskich, sformował się i zasłonił mu drogę do Kazimierza.

Wielhorski zamiast szarżować na dragonów i lancami utorować sobie drogę do swoich, co łatwo mógł uczynić, zwraca się ku Wiśle i z wysokiego brzegu z całym szwadronem w ścisniętym szyku rzuca się w rzekę.

Dowódca szwadronu przynajmniej tyle powinien był wiedzieć, że kiedy przepływa się rzekę, zwłaszcza tak szeroką i jak wówczas rozlaną i bystro płynącą, nigdy tego z impetem i w masie skutecznie nie można; jakoż cały szwadron zanurzył się w głębiach i znalazł w nich zgubę z winy swego dowódcy.

Niewielu tylko i to przypadkiem wypłynęło, ale na drugi brzeg także wysoki dostać nie mogło, i z tych niewielu, zaledwie kilku przepłynęło na powrót do brzegu, na którym Moskale z szyderstwem na nich czekali.

Wzięto ich do niewoli i pomiędzy tym sposobem ocalonymi znajdował się także dowódca szwadronu.

Tam, zamiast chlubnych ran, które byłby wyniósł w szarży, otrzymał baty.

Z bolesnym wstydem patrzyliśmy na tę okropną scenę, skutek niebaczności naszej władzy wojskowej, która los tych ludzi, honor wojska, los sprawy oddawała w ręce dowódców niezdatnych i nie obeznanych z wojskowością, dla tego tylko, że byli paniczami.

Wypadek boju pod Kazimierzem był nieszczęśliwy; stracono wielu mężnych oficerów, a pomiędzy nimi nieodżałowanego i wielkich nadziei podpułkownika Małachowskiego.

Dostali się do niewoli mężny major Krzesimowski i Sakowski i liczni oficerowie niżsi, podoficerowie i żołnierze, których o brak męztwa nie można obwiniać...

W zabitych, rannych i w niewolę wziętych, straciliśmy tysiąc kilkaset ludzi.

Wszakże z zabranych w niewolę, wielu ocaliło się później ucieczką szczególnie z tych pułków, które niezupełnie były umundurowane; ubrani w sukmaniki chłopskie żołnierze, łatwiej

niż inni wydobywali się z niewoli i ustannie statki i czółna przewoziły ich przez Wisłę do Janowca, tak iż w ogóle kilkaset wróciło z niewoli

Moskale mieli stracić pod Kazimierzem przeszło 1.000 ludzi podług opowiadania księdza, przybyłego z drugiej strony Wisły, który był użyty do chowania poległych.

Jenerał Sierawski przeprawiwszy się z resztą korpusu za puławami pod Gołębiem, drugiego dnia dopiero przybył do Janowca.

W ocenieniu bitwy pod Kazimierzem i o tem nie należy zapominać, że wojsku zabrakło ładunków, o które jenerał Sierawski nadaremnie się upominał.

Z tem wszystkiem naczelny wódz winę tego dnia jemu przypisał oddając korpus jego pod dowództwem jenerała Dziekońskiego.

Za przybyciem tego jenerała, wielu usunęło się z korpusu, bo żadnej nie miano ufności ani w nim, ani w jego usposobieniu,

Co do mnie zameldowałem się jenerałowi Dziekońskiemu, wystawiłem mu niepodobieństwo dostania się do korpusu jenerała Dawernickiego, na co miałem rozkaz i prosiłem o odpowiednią służbę mojemu stopniowi, a gdy tej dla siebie nie widziałem, ponieważ wszystkie stopnie zajęte były przez nowych i protegowanych oficerów, nalegałem, aby mnie jenerał Dziekoński ze swego korpusu uwolnił.

Nie odmówił mi tego jenerał, ale jeszcze przed wyjazdem moim chciał się mną usłużyć i wysłał mnie do objechania i slustrowania posterunków nad Wisłą i spisania statków przewożonych od Janowca do Zawichosta, co dopełniwszy otrzymałem rozkaz udania się do głównej kwatery naczelnego wodza.

Przybyłem do Warszawy dnia 6. maja 1831. Chwilę tylko poświęciłem widzeniu się z żoną, dziećmi, rodziną, chwilę pożegnania z przeczuciem złowrózdem, że ich żegnam po raz ostatni.

Pełna najgorętszych dla Polski uczuć żona moja, rozstała się ze mną mówiąc:

— Jedź pełnić świętą powinność!

Nie pierwsza to już dla niej była ofiara: w czasie rzezi Pragi straciła dziadka i babkę, którzy bezbronni zginęli pod żelazem moskiewskim.

Pomimo męztwa, którem się nad pieć swoją wywyższyc chciała, pomimo uczucia obowiązku, jakim przejęty byłem, żegnając się, traciliśmy prawie przytomność, nie mogliśmy nie mówić i tylko polecaliśmy się Opatrzności.

Jadąc do Jędrzejowa, gdzie na ówczas była główna kwatera naczelnego Wodza Skrzyneckiego mijając pod wrażeniem tych uczuć Pragę, Grochów i sławne, a świeże pobojowiska, niewymowne uczucie żalu i zemsty opanowało moje serce; wszystkie klęski naszego narodu stanęły mi w żywym obrazie przed oczyma i pragnąc jak najrychlej walczyć z wrogami naszej ojczyzny, zdawało mi się że mi wróciła do tego siła pierwszej młodości wieku.

Minąwszy Grochów i Wawer spostrzegłem maszerującą naszą artylerję konną pod dowództwem majora Bema i jadącego powozem Romana Sołtyka, byłego regimentarza, później jenerała artylerji.

Ten mi powiedział pod sekretem, że cała nasza główna armia maszeruje na gwardye moskiewskie.

Była to wyprawa potajemnie wykonywana i ani Roman Sołtyk, ani ja o celu jej nie powinniśmy byli wiedzieć.

Stosownie do tego zawiadomienia zwróciłem się ku Jabłonnie, gdzie już była główna kwatera naczelnego wodza. Naczelny wódz, kiedy mu się zameldowałem, kazał mi czekać na dalszy rozkaz przy głównej kwaterze.

Po południu tego samego dnia wymaszerowaliśmy do Se-rocka.

Tam przywiedziono do skutku projekt wysłania pomocy na Litwę w celu formowania pułków z powstań i naborów z konskrypcji.

Korpus ten na Litwę przeznaczony składał się z kadrów oficerów, podoficerów i z żołnierzy z każdego pułku, z pierwszego pułku ułanów, ze stu ludzi, czyli kompanii piechoty

z pułku pierwszego strzelców pieszych pod dowództwem kapitana Macewicza i z sekcji artylerii konnej, czyli dwóch dział pod dowództwem męznego porucznika Janusza Czetwyńskiego.

Kompanię i kadry piechoty dla spiesznego pochodu wsadzono na konie po zwiniętym pułku podlaszkiej jazdy Antonego Kuszla.

Dyzyderyusz Chłapowski, świeżo na jenerała awansowany otrzymał dowództwo tego korpusu, do którego i mnie naczelny wódz przeznaczył.

Nimeśmy wyruszyli, naczelny wódz przemówił do nas, że z zaufaniem zrobił wybór i zapewniając, że kto na Litwie czem dowodzić będzie, pułkiem, brygadą, dywizją, ten taki stopień otrzyma.

Stanęliśmy na noc we wsi, której nazwiska niepamiętam niedaleko Długosiodła, gdzie był z awangardą jenerał Jankowski.

Wieczorem przybył naczelny wódz ze sztabem, a w nocy nadciągnęły dywizje i cały główny zebrał się korpus.

To znowu zacząłem wątpić o pomyślnych skutkach wojny; boleścią ścisnęło się moje serce widząc żołnierza bez posłuszeństwa, rabującego, niszczącego kraj własny.

Wieś tę zupełnie spustoszone, budowle nawet na ogniska pozbierano, a to się działo w okolicy, w której las był blisko na około i w sążniach leżało drzewo do opału na brzegu lasu.

Wiedziano że tu wojsko obozować będzie, a nie zarządzono dowieść kilkadziesiąt fur drzewa opałowego.

Naczelny wódz tak widać planem swoim wojennym był zajęty, że lubo zniszczenia tego był świadkiem, bo główną kwaterę miał we dworze tej wsi, zapobiedz mu nie myślał, albo z powodu niesubordynacyi nie mógł.

Tylko jenerał Kazimierz Małachowski, adjutant jego podpułkownik Adam Kozłowski i jenerał Pac, o ile mogli, zapobiegali zniszczeniu z narażeniem się na niebezpieczeństwo ze strony rozkiełzanego wojska; ale rozprzeżenie było tak ogólne, że usiłowania ich ocalić nie mogły wsi od spustoszenia.

Nazajutrz rano wymaszerowaliśmy z główną naszą armią pod wieś Długosiodło.

Bitwa krótko trwała.

Bataliony gwardii moskiewskiej złożone z finlandzkich strzelców, z gwintowanych stuców z bagnietami do strzelania wprawnych, uporeczywie się bronili; ale wnet zostały zepchnięte i kilkaset tych strzelców dostało się do niewoli.

Z obu stron strata w zabitych była znaczna.

Moskale cofali się z pod Długosiodła tak nagle, że postępując za nimi, znajdowaliśmy ich w barakach wiele rzeczy.

Baraki opuszczone przez uciekającą gwardię moskiewską były nie tylko wygodne, ale nawet wytworne; niektóre miały po dwa, trzy a nawet cztery pokoje.

Nieprzyjaciół zatrzymał się w tej rejteradzie za wsią Janopolem w korzystnej dla siebie pozycji za wielkimi błotami, długą groblą i mostami.

Nad tą groblą i w miejscach wynioślejszych ustawivszy swoją artylerję, rozpoczął ogień działowy od godziny 7 wieczorem do pół do dziewiątej; nasza artylerja odpowiadała mu nieco, ale były to strzały bez żadnego z obu stron skutku, bo nie sięgały po za ową groblę i błota.

Tegoż dnia główna kwatera naczelnego wodza była we wsi Janopolu, i nasz korpus idący na Litwę, tamże biwakował.

Narzajutrz naczelny wódz z głównym korpusem poszedł ku Ostrołęce, gdyż Moskale zrejterowali się.

Już z boju i forpoczt przybył do naszego korpusu pierwszy pułk ułanów i natychmiast rozłączyliśmy się z główną armią i ruszyliśmy na Litwę.

Czekając na raporta wysłanych rekonesansów i szpiegów, zanocowaliśmy wcześniej o dwie tylko mile od Janopola, nazajutrz stanęliśmy nad granicą litewską o półczwartej mili od miasta Bilska, a w dniu pierwszym Zielonych Świątek o godzinie trzeciej z rana przeszliśmy granicę królestwa.

Opis dalszych wypadków na litwie, których byłem świadkiem, znajduje się następującym raporcie, który przysłałem

w swoim czasie naczelnemu wodzowi Skrzneckiemu, a który teraz uzupełniam przypiskami:

Jako stary żołnierz winien byłem posłuszeństwo starszym i okazałem takowe; lecz jako wolny Polak i naoczny świadek postępów generałów Giełguda i Chłapowskiego, mam sobie za najświętszą powinność zdać o nich naczelnemu wodzowi szczegółowy raport:

Gdy z woli naczelnego wodza przeznaczony zostałem do kolumny generała Chłapowskiego, cieszyłem się w myśli, że zostawać będę pod rozkazami żołnierza Napoleona *)

Weszliśmy do Litwy (22 maja) od miasta Bielska, które zajęliśmy bez oporu.

Nieprzyjaciel daleko od nas liczniejszy, ale z tej strony wcale napadu niespodziewający się, uchodził z przerażeniem i trwogą.

*) Przed wkroczeniem jeszcze w granice Litwy na 6 mil od miasta Bielska, stanęliśmy na noc z oddziałem naszym:

Generał Chłapowski wydał tu rozmaite urzędnika. Ustanowił radę gospodarczą, w której, byłem prezydującym; członkami tej rady byli: ksiądz kanonik Loga z jazdy poznańskiej w stopniu porucznika, kapitan z artylerii Kwaśniewski, porucznik Grabowski — innych nie pamiętam.

Mianował płatnika i kwatermistrza i przeznaczył na szefa sztabu podporucznika wprost z obywatela w jeździe poznańskiej doktora M pocziwego wprowadzie człowieka i dobrego Polaka, ale który żadnego o wojskowości nie miał wyobrażenia.

Ztąd nastąpiło wielkie szemranie, gdy się znajdowali w naszym oddziale oficerowie, którzy mogli byli właściwie zajmować to miejsce, a mianowicie adjutant generała Suchorzewskiego, major Kotkowski, stary żołnierz, obczany ze służbą sztabową i na którego wszyscy zwrócone mieli oczy:

Po przeznaczeniu M na szefa sztabu, major Kotkowski prosił generała Chłapowskiego, aby go wrócił głównej armii, co i uzyskał.

Ktokolwiek zna wojskowość i wie, jak wielkie są obowiązki szefa sztabu, łatwo pojmie, że przez brak stosownych zdolności Pana M wielki w korpusie wkradł się nieporządek, gdy częstokroć żadnych nie było wydanych rozkazów, w pochodzie i w czasie wojny zwłaszcza niezbędnie potrzebnych.

Właściwiej było mianować pana M doktorem korpusu, do czego był zdolnym.

Dostało nam się w zdobyczy przeszło tysiąc sztuk broni i wiele innych wojskowych zapasów.

Niewolników rozbrojonych z powodu okazującej się pomiędzy nimi cholery, nie brano; zatrzymano tylko pułkownika adjutanta W. księcia Michała.

Od Bielska wzięliśmy się w prawo ku puszczy Białowieckiej.

Przy samej puszczy, przy wsi Hajnowszczyźnie, pieprzyjaciel w sile jednego pułku piechoty z dwoma działami i trzema szwadronami jazdy, siedł na uspokojenie tamtejszych mieszkańców. (23 maja) generał Chłapowski, korzystając z sekretu, w jakim swe marsze odbywał, z trzema szwadronami pierwszego pułku ułanów, ze stoma ludźmi pierwszego pułku strzelców pieszych i dwoma działami lekkimi pod dowództwem mężnego oficera Janusza Czetwertyńskiego, wpadł niespodzianie na nieprzyjaciela, złamał jednym szwadronem jazdy, czworobok piechoty, zabrał w niewolę majora, kilku oficerów, kilkuset żołnierzy i jedno działo z jaszczykiem.

Z naszej strony straciliśmy podporucznika Jakuba Grotkowskiego z 20 pułku piechoty liniowej, podoficera Józefa Jabłonowskiego z 1 pułku ułanów i pięciu żołnierzy; ranni zaś byli: Szanowny ksiądz kanonik Loga i z jazdy poznańskiej, porucznik Potworski.

Po tem rozbięciu nieprzyjaciela, weszliśmy bez opory do puszczy Białowieckiej i tam po raz pierwszy ujrzelśmy powstańców litewskich, z których generał Chłapowski pułk 11 ułanów i 25 piechoty formować zaczął.

Z dotychczasowego powodzenia korpusu generała Chłapowskiego wróżyliśmy wiele korzyści dla prowincyi, której szliśmy w pomoc, a tem samem i dla ogólnej sprawy naszej.

Generał był od nas kochany i z największą skwapliwością staraliśmy się wypełniać jego rozkazy.

Od białowieckiej puszczy zmierzając ku miastu Wilnu, podeszliśmy pod miasto powiatowe Lidę, gdzie nasz generał, jak go powszechnie nazywano, wzięwszy drugi szwadron pierwszego pułku ułanów pod dowództwem kapitana Krajewskiego i pluton z 11 pułku ułanów sformowanego z powstań-

ców białowieskich z trzema działami artylerii konnej porucznika Czetwertyńskiego, uderzył (31 maja) na nieprzyjaciela mającego kilkaset piechoty i dwa działa, które po krótkim bardzo oporze zabraliśmy, równie jak i całą piechotę.

Straciliśmy pod Lidą podoficera i trzech żołnierzy z 1 pułku ułanów.

Potyczka ta powiększyła nasze zaufanie w jenerale Chłapowskim; miał on naszą miłość bez granic, my zaś chlubną i najpiękniejszą widzieliśmy przed sobą przyszłość.

W dalszym marszu we wsi Użo gościu, zastaliśmy załogę z oficera i 24 Kozaków, z którymi silną mieliśmy utarczkę (5. czerwca.)

Biorąc nas za powstańców, najuporczywiej się bronili, jednak ani jeden z nich nie uszedł, zabiliśmy ich ośmiu a resztę wzięliśmy w niewolę.

Ranili oni nam porucznika z 1 pułku ułanów Zabiellę i podoficera Jacholkowskiego.

Nie dochodząc do Użo gościu złowiono porucznika z wojska moskiewskiego, wyprawionego kurjerem do armii Dybieza. Jenerał Chłapowski zatrzymał ekspedycję znalezione przy nim i zaraz potem napisał list do księżny Łowickiej, siostry swej żony, który komuś pierwemu miał odczytać, lecz czyli istotnie ten lub inny posłał, nikt zapewnić tego nie może.

Od tej chwili spostrzegliśmy różnicę w postępowaniu jenerała: jakaś oziębłość w działaniu i pewne ociąganie się zdawały się przebiegać we wszystkich jego wojennych poruszeniach.

Pierwszy znaczny oddział powstańców litewskich spotkaliśmy we wsi Gabryelowie pod dowództwem księcia Ogińskiego, byłego pułkownika i w powstaniu jenerała i Wincentego Matuszewicza partyzanta, którzy mieli przeszło dwa tysiące jazdy i piechoty.

W tym to oddziale znajdowały się panny Emilia Plater i Maryanna Raszanowicz, lecz bez żadnej komendy. *)

*) Kiedy we wsi Gabryelowie powstanie litewskie złączyło się z oddziałem jenerała Chłapowskiego, Gerard Gronostajski profesor w imieniu

W miasteczku Janowie dowiedzieliśmy się o wniknięciu do Litwy jenerała Giełguda z dywizją.

Wiadomość ta podnosząc ducha we wszystkich, zdawała się być przeciwną jenerałowi Chłapowskiemu. Niedaleko Janowa w miasteczku Zejmach, przybyło do nas przeszło 3000 powstańców, tak jazdy, jak piechoty pod dowództwem naczelników powstań Bilewicza Franciszka, Izenszmida vel Milbica Alexandra, starych wojskowych, oraz Platera Cezarego, Kołyski Adama, Grotkowskiego Ferdynanda, Koszowskiego Fortunnata i innych, których nazwisk nie pomnę, poczem nastąpiła organizacja pułku 6 strzelców konnych Wilkomierskich, 10 i 12 ułanów i dwóch pułków 25 i 26 piechoty.

Oprócz tego znaczne oddziały wcielone były później do pułków pod dowództwem jenerała Giełguda przybyłych.

Z Zejmu jenerał Chłapowski z jenerałem Tyszkiewiczem udali się do miasta Kiejdan, gdzie był jenerał Giełgud, aby z nim o dalszych działaniach pomówić, a zarazem złożyć w ręce jego naczelne dowództwo.

Zmiana naczelników szczególnie w całym wojsku wrażenie zrobiła.

akademików wileńskich, przemówił do jenerała Chłapowskiego w ten sposób:

— Oto widzisz młodzież kwiata narodu, z tych niektórzy małoletni, zaledwie broń dźwignąć zdołają. Z ogólną ufnością poddajemy się twemu dowództwu, prowadź nas do chwały, a tę w oswoobodzenia ojczyzny i dobru ogólnemu mieć pragniemy.

Jenerał Chłapowski odpowiedział:

— Jeden mamy cel, dobro ojczyzny, a tem samem ogólne. Przy waszej pomocy i poświęceniu się, wszystkich moich do tego użyję zdolności; nieodstępny mię będziecie mieli towarzyszem i jedna tylko śmierć odłączyć mię potrafi od tak świętej i zaszczytnej sprawy naszej. Łączmy się szczerze i róbmy naszą powinność!

Osądzimy z późniejszych czynów jenerała Chłapowskiego, czy dopełnił powinności i zobowiązania się, kiedy skompromitowanych Litwinów, wszedłszy do Prus opuścił, mówiąc:

— Podam Litwinów oddzielnie, jako niewojskowych, nie należących do pułków, jak tylko mi rząd każe ale za nie nie ręczę, co się stać może. Było to zgodne z charakterem i godnością człowieka — jenerała polskiego?

Bronikowski, Pamięt. polskie.

Nieukontentowani byli oficerowie którzy pod jenerałem Chłapowskim wyszedłszy z królestwa, widzieli dawne dowody waleczności i zdolności swego naczelnika; nieukontentowani Litwini, a szczególnie młodzież akademicka którą tak silnie jenerał Chłapowski z początku pociągnął; nieukontentowani nawet może i podkomendni Gielguda, zrażeni nieznośną opieszałością w ściganiu nieprzyjaciela po bitwie Rajgrodzkiej, nieukontentowany nareszcie był sam jenerał Chłapowski którego miłość własna i duma tak nieprzyjemną zmianę ponieść musiała.

Tutaj to, podobno najpierwszą widzieć potrzeba pobudkę zniewalającą Chłapowskiego zewieść polskie nadzieje, poświęcić własnej dumie świętą sprawę, do której wspierania, honor gardzący osobistemi widokami i miłość ojczyzny wzywać go były powinna.

Nikt jeszcze nie wiedział a raczej mała liczba oficerów wiedziała o zmianie dobrych chęci jenerała Chłapowskiego po przyjęciu wzmiankowanego kuryera rosyjskiego; nikt zaprzeczyłby nie mógł, że podobne nieporozumienie, między dwoma naczelnikami, wielki a niepomyślny wpływ na dobro ojczyzny mieć może.

Oko dalej niż terazniejszość sięgające, z trwogą przewidywało co jenerał Chłapowski mógłby był przedsięwziąć, gdyż jenerał Gielgud w nikim dla siebie zaufania nie znajdował; tkwiły tylko w pamięci chlubne wypadki przy wejściu jenerała Chłapowskiego na Litwę, a chociaż pomyślność bitwy Rajgrodzkiej, aczkolwiek z niej korzystać nie umiano, zajmowała jeszcze uwagę ciekawego powstańca i okrytego chwałą polskiego żołnierza, zdania jednak o przyszłości w zawieszeniu zostawały i nadzieje nie upadły, wszyscy przynajmniej oczekiwali chwili, w którejby można było obaczyć co też skojarzone z trzech źródeł siły i nowy ich naczelnik pokażą.

Miasto Wilno jest punktem w którym się koncentrują wszystkie działania Litwy, pod wszelkiemi uważane względami.

Zajęcie tego miasta stanowiło główny warunek rozszerzenia powstania nie tylko w wileńskiej ale i w innych guberniach.

Stolica Litwy, wsparłaby nieskończenie nasze działania.

Drećzeni długiem oczekiwaniem, palający świętym patryzmem jego mieszkańcy, gotowi byli ile ich możność pozwalała przynieść najszczerze ofiary.

Młodzież będąca w uniwersytecie, gimnazyach i wszelkich subseljach, z niecierpliwością oczekiwała przybycia nadwiślańskich wybawców, aby za oręż uchwycić.

Zakłady i rękodzielnie, tysiące rąk by podały, druki upowszechniłyby łatwiej potrzebne w rewolucyi wyobrażenia.

Nakoniec wzięcie Wilna obiecywało korzyści, jakieby mógł odnieść nasz korpus przez zabranie prochu, amunicji, broni i innych zapasów, których nieprzyjacieli uprowadzić nie byłby był w stanie.

Śmiało powiedzieć można, że zajęcie Wilna przyspieszyłoby o trzy części działania naszej rewolucji.

Mogłoby w prawdzie to zajęcie niepomyślnie dla miasta pociągnąć skutki, gdyby wojska nasze w tym punkcie utrzymać się nie zdołało, ale należało jenerałom jedno i drugie roztrząsać, złe następstwa przewidzieć, a jedno z tego dwójga wybrawszy, zbawczemi utrzymać sposoby.

Cóżkolwiek bądź, przedsięwzięto iść na zajęcie Wilna.

Ruszyły wszystkie siły w Żejmach i Gabrjelowie uorganizowane, i kiedy każdy był najpewniejszy że miasto prawie bez wystrzału weźmiemy, kiedy każdy żołnierz a szczególnie powstaniec, drżał z radości, że w krótkce posiędziemy Giedymina stolicę; w tej chwili zatrzymał się o trzy mile od Wilna jenerał Chłapowski z przyczyn wcale nam niewiadomych.

Zamiast atakować słabego i przerażonego nieprzyjaciela, dał mu czas połączenia się z nadciągającymi w małych korpusach posilkami i gdy jenerałowie moskiewscy Kuruta i Saken w kilka tysięcy każdy osobno ku Wilnu zdążali i łatwo pobici być mogli, zatrzymał nas we wsi Kykatch przez dni pięć, które nam się pięć wiekami zdawały, bo tak w tem położeniu czas nam wydawał się długim, zwłaszcza że przez agentów naszych z Wilna, dochodziły nas wiadomości, że gubernator wojenny Chrapowicki przerażony jest tak dalece, i

tak mało ufa w siły jakie posiada, że za naszym pokazaniem się pod murami miasta, zamyślał je opuścić.

W tych pięciu dniach nadszedł generał Kurutu na czele pięciu tysięcy, generał Saken na czele czterech tysięcy z licznym artylerji parkiem.

W tych pięciu dniach Moskale ufortyfikowali góry Ponarskie przed Wilnem i artylerją je osadzili.

Tak dawszy im czas do zupełnego przygotowania się, ruszyliśmy ich atakować.

Całą przyczyną ociągania się generała Chłapowskiego zdawało się być oczekiwanie piechoty i dział, które generał Giełgud prowadził, ten zaś stanawszy nad Wilją w Janowie, stracił dni trzy na niczem, dalej przyszedł do Czabiszek gdzie znowu czas niejaki w nieczynności przepędził.

Zajęty bardziej zabawami, niż urządzeniem wewnętrznem kraju, zamiast przejść wilją w Janowie, gdzie most był gotowy, poszedł aż do wsi Ojran odległej o mil 4 od Wilna, czekał tam dni dwa na postawienie mostu, a przeszedłszy Wilją, miał kołując jeszcze dalej, bo mil ośm do Wilna.

Posłał był przed tem generała Dembińskiego na atakowanie miasta z innej strony, naznaczył godzinę do szturm, i kiedy tak obszerne miasto wypadało brać jednocześnie, kiedy generał Dembiński podług danego rozkazu z szczególnym zapalem uderza od strony Zielonego Mostu, generał Giełgud nie wiedzieć czem zajęty, we dwa dni później pod góry Ponarskie przychodzi.

Wyraźnie więc widać było, że mu chodziło o zmitręzenie czasu, cośmy później tak drogo opłacili pod Wilnem.

Wszyscy oficerowie obudwóch korpusów niezmiernie szemrali i prawie o zdradę Giełguda obwiniać zaczęli.

Zdawało nam się że generał Chłapowski w fałszywej zostawał pozycji przez nieudolność generała Giełguda, że mając sobie przez naczelnego wodza udzieloną władzę uorganizowania powstania na Litwie, widzi się przez Giełguda jako starszego generała zupełnie kontrolowanym, co naturalnie musi go boleć jako dobrego patriotę i zdolnego żołnierza.

Te pobudki skłoniły nas do podpisania adresu do jenerała Giełguda, w którym oficerowie prawie wszyscy obu korpusów przedstawiali mu wprost, mając zaufanie w zdolnościach

generała Chłapowskiego a nie mając go w działaniach generała Giełguda, proszą go imieniem Litwy i wszystkich oficerów obu korpusów o zdanie komendy generałowi Chłapowskiemu.

Wstrzymaliśmy się z podaniem tego adresu widząc na koniec generała Giełguda idącego atakować Wilno i uwiedzeni jakąś głuchą pogłoską, że sam uprzedzając podanie naszego adresu, o którym jakby ubocznie się dowiedział, dobrowolnie oddał dowództwo generałowi Chłapowskiemu.

Rzeško i ochoczo szedł każdy pod Wilno; Litwini ufni w mężstwo swych braci nadwiślańskich, biegli z zapalem niecierpliwi oglądać swych przodków stolicę.

Wojsko z Warszawy szło z pewnością znalezienia odpoczynku po długiej i niszczącej kompanii.

Baterie nieprzyjacielskie w pozycji nadzwyczajnie z natury mocnej rozłożone, a na które mimo łatwości ich ominięcia konieczne nam wejść kazano, siały śmierć w nasze waleczne szeregi.

Wysłano batalionów piechoty w miejsca samemi zasiekami na ludzi i konie najeżone; — ginęli marnie waleczni żołnierze a nasi dowódcy nie wydając żadnych rozkazów, zdawali się temu wszystkiemu uragać 19. czerwca.

W końcu mając parę dział zdemontowanych, trzech oficerów od artylerji ciężko rannych, kilkunastu kanonierów zabitych, masę piechoty marnie zniszczoną, wiele koni pokaleczonych, dostaliśmy rozkaz jeneralnego odwrotu *)

Rozkaz ten cofania się, w takim zdawał się być dawany przerażeniu, że zapomniano o obu skrzydłach prawem, którem dowodził od miasta, Trok podpułkownik Zaliwski i lewem do-

*) Pułk 1 nianów sławną odbył szarżę na 16 szwadronów jazdy moskiewskiej, tę odparł zatrzymując dalsze działanie i ocalając swoich cofających się; wszyscy oddają pułkowi pierwszemu sprawiedliwość, gdyż i sami Moskale w raporcie swoim przyznali, że, ta szarża ocaliła, korpus Giełguda.

wodzonem przez generała Dembińskiego. W skutek tego niedarowanego zapomnienia, prawe skrzydło zostało zupełnie rozbite, a lewe będąc silniejsze ocalało.

Cofanie się z pod Wilna odbyło się w największym nieładzie, nikt albowiem nie przypuszczał aby Moskale oprzeć się zdołali.

W miejscu gdzie był mały spoczynek dla opatrzenia rannych, udałem się do generała Chłapowskiego z porucznikiem Konarskim Szymonem z pułku 1. strzelców pieszych.

Zastałem generała w towarzystwie kapitana Koszarskiego z 1. pułku ułanów i M. K. . . adjutanta, oraz kilku innych oficerów.

— Jenerale — rzekłem — przed atakiem Wilna odbierając od ciebie rozkazy, rozumieliśmy że całem wojskiem dowozić będziesz, lecz widzimy że generał Giełgud jest naczelnikiem, a dzisiejszy smutny dzień, daje nam aż nadto oczywisty dowód, jego niezdolności;

Przychodzę tu w imieniu całego korpusu oficerów, prosić cię jenerale o przyjęcie naczelnego dowództwa na Litwie.

Powstanie i wojsko nie żąda Giełguda, lecz ciebie jenerale!

To mówiąc podałem mu adres, na którym kilkuset oficerów i obywateli było podpisanych.

W pierwszym uniesieniu cisnął ten adres o ziemię, lecz w chwili postrzegł się i podniósł, przebiegł go wzrokiem i oddając mi go, łagodniej już mówić począł.

Zaręczał nas słowem honoru, że inny stan rzeczy nastąpić nie mógł, że możeby Wilno zostało wzięte, gdyby generał Giełgód chciał być iść za jego planem obejścia gór ponarskich, lecz że to jest może naszym szczęściem, żeśmy nie zdobyli Wilna, gdyż to miasto mogłoby się stać grobem naszym; zaręczał że Giełgud ma najczystsza duszę, chociaż nie wiele posiada zdolności — w końcu rzekł:

— Bądźcie spokojni, wszystko pójdzie dobrze od dnia dzisiejszego.

Cierpię na tem bardzo, że nie mogę naczelnemu wódczowi złożyć autentycznego adresu, któryśmy chcieli podać jenerałowi Giełgudowi, gdyż ten z mojemi bagażami i końmi został przez Moskali zabrany.

Zapewnienie to z ust generała, który nam jeszcze był drogim, zaspokoilo nas na czas niejaki.

Szliśmy tak nagle, tak prędko do Kowna, jakoby nas tam zbawienie oczekiwać miało.

Po dwudniowym pobycie w Kownie, zostawiwszy w tym tak ważnym punkcie pułki z samych powstańców złożone bez dział i amunicji, jakby umyślnie na stratę i opuściwszy ogromne magazyny żywności i efektów przez Moskali nagromadzone, których żołnierzom oddać nie pozwolono,*) ruszamy do Kiejdan, później do Rosień, gdzie dowiadujemy się o kompletnem pobiciu załogi naszej w Kownie.

Na tę wiadomość spieszymy z Rosień do Kiejdan, niby na domszczenie się za braci naszych pobitych.

W Kiejdanach zatrzymuje się cały korpus i po małych szarmydlach cofa się swym zwyczajem ku Rosieniom na pozycję pod Plemborg.

Tu najwidoczniej zaczyna się objawiać jeżeli nie zdrada, to największa niezdolność naszych dowódców.

Wojsko nasze zajmowało następne pozycje: większa część piechoty regularnej z działami pozycyjnemi, artylerją konną Czertwertyńskiego i pierwszym pułkiem ułanów, była pod dowództwem generała Giełguda, przy którym szef sztabu generał Chłapowski niby słaby, składając się niemożnością jeżdżenia konno w najważniejszej chwili do niczego wtrącić się nie chciał.

*) W mieście Kownie poszedłem do generała Chłapowskiego, szefa sztabu korpusu, prosząc aby dla brygady jazdy pod moją komendą będącej, wydać rozkazał z magazynu po Moskalach pozostałych efektów, gwałtownie potrzebnego ubrania i uzbrojenia. Na to odpowiedział mi, że nie dać nie może bez rozkazu generała Giełguda. Magazyny te nietknięte wkrótce dostały się na powrót w ręce Moskałom. Co z tego wnosić należy?

Jenerał Roland ze swoją brygadą piechoty, jazdą kaliską i dwoma pułkami ułanów litewskich, był pod Beysagolą (5. lipca.)

Jenerał Szymanowski miał mniejszą daleko komendę około miasta Szawel.

Jenerał Dembiński z Wilkomierza cofał się ku Żmudzi, a pułkownik Koss, formował skrzydło prawe i miał pod swym dowództwem pięć szwadronów jazdy z mojej brygady i jeden batalion piechoty z 300 ludzi i dwa lekkie działa, na co przeszło 4000 nieprzyjaciela z sześciu działami miało uderzyć. *) Pozycja Plemborga jest sama przez się mocna i powinna była być grobem, a nie zwycięstwem dla nieprzyjaciela; tem bardziej że tenże odważył się toczyć bój od frontu tej pozycji.

Lecz złe prowadzenie bitwy plemborskiej przez naczelników, to jest przez jenerała Giełguda i jego szefa sztabu jenerała Chłapowskiego, dozwoliło Moskałom nowy odnieść tryumf i Plemborg zająć.

Ta parodia bitwy kosztowała nas kilkadziesiąt wystrzałów działowych pozycyjnych wtenczas, kiedy każdy strzał był nieocenionem, z powodu ich małej liczby.

Kosztowała nas więcej, bo zupełnie osłabiła ducha żołnierzy i powstańców, którzy ani jednej wygranej na Litwie bitwy nie widzieli, tylko codzienną rejteradą, codziennie nużące marsze i porażki.

Ustąpienie z Plemborga mimowolnie nasuwało myśl, że chciano zgubić powstanie i wniknąć do Prus dla spokojniejszego używania owoców zbrodni.

Przeczenie sprawdziło się, a zbrodnia w części ukarana została.

Pułkownik Koss, zostawiony ponad brzegiem Niemna bez rozkazów, bez najmniejszej wiadomości o obrotach innych korpusów naszego wojska, Bogu i przezorności winien ocalenie

*) Ja z brygadą byłem oddalony o mil 5 i musiałem przerzynać się przez nieprzyjaciela dla połączenia się z pułkownikiem Kossem, co dopiero pod Wielonią nad Niemnem skutecznie zdołałem.

oddziału, gdyż wszyscy nas później, jak z grobu powstałych witali.

Przez dni siedm, szliśmy dniem i nocą przedzierając się przez najgęstsze lasy, przez bagna i wody, prawie bez śladów żadnych, biorąc różne dyrekcyje jedne drugim przeciwne dla uwiedzenia śledzącego i w tropy nasze idącego nieprzyjaciela; znużeni, zgłodniali, osłabieni bezsennością, dopędziliśmy pod miasteczkiem Użwentami korpus, którym jenerałowie Roland i Józef Szymanowski dowodzili i tam ze zgrozą dowiedzieliśmy się o nieszczęśliwych skutkach bitwy pod Szawłami.

Całe wojsko nasze połączone, nierównie przewyższające załogę Szawelską, nie mogło opanować tego miasta w chwili tak krwawego spotkania; kiedy najwaleczniejsi z żołnierzy polskich biegli na bagnety, kiedy każdy dobry Polak tłumiąc westchnienia zachęcał do wytrwałości, zapewniając skutek, jenerał Chłapowski niby słaby i jak nie naczelnym dowódcą odsyłał po rozkazy do jenerała Giełguda, który o kilka wiorst od miejsca bitwy najspokojniej w pojeździe oczekiwał wiadomego mu dobrze skutku bitwy.

Cztery razy pojedyncze oddziały piechoty w tyraliery rozpuszczone szły na okopy (8. lipca), cztery razy były w mieście raz nawet opanowały były wóz ładunkowy nieprzyjacielski i własnymi Rosyan ładunkami do nich strzelały; lecz zawsze były ze stratą odparte, gdyż żadna siła nie szła im w pomoc i smutno jest powiedzieć, że jenerałowie polscy tyralierami miasto zdobywali.

Zapomnieli, czy nie znali, że w takim razie kolumnami się działa.

Przy tym ataku zginęło oprócz walecznego majora Jaroma kilku oficerów z 7 pułku piechoty liniowej.

Napróżno nieutrudzony jenerał Dembiński stojący na lewym skrzydle posyłał do jenerała Giełguda prosząc o dwa działa, aby oddziałem kawalerji posłać je do miasta i niemi wyprzeć Moskali.

Napróżno dowódca pułku kaliskiego major Słotwiński posyłał swego adjutanta prosząc o jeden batalion piechoty z obietnicą niezawodnego zajęcia Szawel.

Jenerał Giełgud trzymając się swoich niegodziwych rozporządzeń, zawsze ich z niczem odprawiał.

Nareszcie zamiast oczekiwanej pomocy przybywa adjutant Giełguda do pułku kaliskiego i w głos oświadcza, że nic nam nie pozostało, jak tylko poddać się na łaskę moskiewską lub w Prusach szukać schronienia.

Obrażony taką hańbiącą propozycją stary ten żołnierz (major Słotwiński) jedzie sam do jenerała Giełguda i domaga się ukarania adjutanta, który się z tą myślą odezwąć ośmielił, lecz nie odbierając żadnej od jenerała odpowiedzi — zawołał:

— Dziś gdy widzę honor wojska polskiego splamiony, Litwę zgubioną i taki cios sprawie naszej zadany — śmiem zapytać jenerała, jakiś los dla nas przygotował?

I raz jeszcze upraszam, abyś pułk mój dodawszy mu batalion piechoty posłał do ataku Szawel, za których niezawodnie wzięcie zaręczam.

Całą odpowiedzią Giełguda był areszt majora Słotwińskiego.

Walka zaś szła swoim porządkiem, to jest: bez żadnych rozporządzeń od dowódców i z wielką stratą wojska naszego.

Połączone siły nasze były więcej jak dostatecznie do zdobycia miasta Szawel i zabrania nieprzyjacielskiej załogi ale za nadto wiele zależało na tem jenerałom Giełgudowi i Chłopowskiemu, ażeby zawsze siły swego wojska osłabiać.

Urządzili więc z najzimniejszą rozważą plan morderstwa wojsk swoich pod Szawłami.*)

Niecierpliwiła ich już odwaga i wytrwałość nieszczęśliwych żołnierzy, których im los powierzył; potrzeba im było

*) Dla zupełnego zdemoralizowania wojska i wykonania swego planu na dwa tygodnie jeszcze przed wejściem do Prus powiedział mi jenerał Chłopowski, że wie z pewnością, że wkrótce w całym państwie rosyjskiem będzie niezawodnie rewolucją, trzeba nam zatem oszczędzać wojska dla zadania później stanowczego ciosu.

mocne zadawać ciosy ażeby prędzej dojść do swego celu. Po bitwie Szawelskiej wieziono mnóstwo rannych na wozach włościan; dla odstudzenia więc zupełnie ducha w wojsku, wyszedł rozkaz dzienny, ażeby wszelkie bez różnicy wozy były palone i niszczone.

Byłto widok rozdzierający serce każdego człowieka, widok niestety ostatnią iskrę nadziei odbierający, gdyśmy jakem pierwszej powiedział spiesząc dniem i nocą dla dośnięcia wojska naszego trafili na jeden z takich obozów.

Bezładni ranni jęczeli w wozach których konie powyprżagane silniejsi, wlekli się zwyżeniem ostatnich sił wstronę gdzie widzieli że uchodził ich barbarzyński dowódzca apteki, ambulanse dla chorych, kiesony amunicyjne podruzgotane i popalone tu i owdzie leżały,

Mnóstwo sucharów, mąki zalegało obie strony drogi. Las rozlegał się jękami walecznych żołnierzy naszych, a jenerałowie w koczach jechali.

Od miasta Użwent przyłączywszy się do korpusów jenerałów Rolanda i Szymanowskiego, przemaszerowaliśmy pod miasteczko Powendenie vel Koruzna i tamęśmy się rozlokowali na nocleg.

Tego samego dnia na godzin kilka przed wieczorem w majątku księcia Lubeckiego zaczęły się ukazywać nieprzyjacielskie forpocztzy i do napadu gotować się zdawały; lecz kiedyśmy w porządku marsz nasz odbywali, posunęły się wojska rossyjskie za nami i pod Powendeniami na drugi dzień przed czwartą z rana siedm szwadronów jazdy rossyjskiej, składającej się z huzarów, ułanów i czerkiesów niespodzianie otoczyło powstanie Żmudzkie pod dowództwem majora Grzymały będące; pomimo dzielnego oporu, powstanie to utraciwszy dowódcę, rozbite i do niewoli zabrane zostało.

Wziąłem to za sekret i nie nikomu o tem nie mówiłem; lecz gdy we trzy dni po rozłączeniu się z jenerałem Chłopowskim, wysłany byłem do Czajkiszek miasta, na prawe skrzydło korpusu i toż samo od wielu wojskowych i cywilnych się, że od jenerała Chłopowskiego wychodzi, nasunęło mi się mimowolnie, downiemani które później się ziściło że tym sposobem durząc, wprowadził wojsko i wielu cywilnych w granice pruskie.

W skutek tego, z polecenia generała Rolanda pułk 10 i 11 ułanów uderzył na jazdę rosyjską i nieprzyjaciel znaczną poniósł stratę, jednak wzmocniony na nowo do ataku postępował.

Wówczas z brygady mojej komenderowałem jeden dywizyon pułku 6 strzelców konnych pod dowództwem majora Izenszmida, który uderzył na jazdę nieprzyjacielską i atak jej wstrzymał.

Wojsko rosyjskie wkrótce cofać się zaczęło i chciało pędzących się za nim naszych żołnierzy wprowadzić w zasadzkę, a następnie całą naszą siłę sprowadzić z pozycyi.

Lecz przewidujący zamiar nieprzyjaciela dowódzca, a szczególnie pułkownik Koss, generał Józef Szymanowski, kazali wszystkim się cofać, co było w największym wykonanie porządku.

Widząc cofające się wojsko nasze, Moskałe podprowadzili działa i kartaczami w nasze kolumny strzelać zaczęli.

Ogień ten chociaż mocno szkodził oddziałom naszym, jednak pułki 6 strzelców konnych i 12 ułanów brygadę moją składającą, tyle się odznaczały stałością i mężstwem, że ręką słowem honoru śmiało wyrzec mogę, iż z najstarszym i najregularniejszym żołnierzem porównane być mogą.

Winienem oddać sprawiedliwość mężnemu majorowi pułku 6 strzelców konnych Izenszmidowi, którego wysłałem przeciwko kawalerii nieprzyjacielskiej.

Ten z jednym dywizyonem odparł masę Cerkiesów i Kozaków wolne robiąc przejście kolumnie, dużo tychże ubiwszy, że strata kilku tylko swoich w zabitych i rannych.

Zwiedziony naszym odwrotem nieprzyjaciel, ciągle za nami się posuwał.

Wówczas artyleria pułkownika Piętki na górze stojąca dopełniła swej powinności.

Nieprzyjaciel przerażony cofać się zaczął ze znaczną stratą i mając zdemontowane działa, na przeciwną nam górę pozycją zajął.

Pozycja którą dowódcy nasi zajęli była dobrą, góra na 30 stóp wysokości miała z lewej strony las mały, błoto i je-

zioro, a z prawej nad nieprzyjacielską pozycją dominującą wzgórze.

Na górze stały pozycyjne działa, lewe skrzydło zająłem moją kawalerią, prawe osadzone było piechotą, lasy tylaryami; u spodu góry ukryta była piechota i pułki 10 i 11 ułanów.

Z góry artyleria tak szkodziła nieprzyjacielowi, że się ani rozwinąć ani awanzować w żaden sposób nie mógł.

Od godziny 4 z rana do godziny 6 wieczorem trzymaliśmy się w pozycji z klęską naszych wrogów, rozumiejąc że generałowie Giełduk i Chłapowski z tyłu zajądą nieprzyjacielowi, byli bowiem o milę i pół drogi od miejsca bitwy.

Wysłany z korpusu kapitan artylerii pieszej Kwaśniewski aby prosił o pomoc generała Chłapowskiego, ponieważ pokazanie się z tyłu wojska zrobiłoby wielką dywersją w bitwie i niezawodną wygraną, powrócił z zapewnieniem generała Chłapowskiego że natychmiast tenże pospieszy nas wesprzeć, co jednak nie nastąpiło, gdyż generał Chłapowski w tymże czasie wydał rozkazy udania się w przeciwną stronę.

Co czyn taki kazał wnioskować o generale Chłapowskim, łatwo każdy osądzić może,

Pozbawieni nadziei otrzymania pomocy ze strony Janopola, gdzie się Chłapowski znajdował, widząc że nieprzyjacielowi z Telsz miasta, i żołnierz i amunicja przybywa, ile mogą doczekać się pomocy, przedsięwzięliśmy dalej marsz odbywać, widząc że siły nieprzyjacielskie daleko są liczniejsze.

Co gdy spostrzegł dowódzca Moskiewski Delingshasen, wysłał dwa szwadrony huzarów z rozkazem aby naszą tylną straż napadli.

Artyleria nasza szybkim cotaniem się wprowadziła huzarów w zasadzkę i uformowawszy się pod samym laskiem w czworobok pod dowództwem odważnego majora Faustmana z 4 pułku strzelców pieszych, tak silnym ich powitał ogniem, że straciwszy do 30 ludzi cofnąć się musieli.

Doczekawszy się później pomocy na nowo atakować nas poczęli, lecz przez artylerią i 7 pułk piechoty liniowej tak przyjęci byli, że do dwóch prawie dowózców jazdy stracili.

Nareszcie pod miasteczkiem Wormiami, dościgła nas wię-

ksza siła moskiewska, lecz dla zbliżającej się nocy, silniej pozycyi którąśmy zajęli i nawalnego deszczu pod lasem się rozłożył, i tylko placówki i widety nasze przez całą noc niepokoiła.

Z Worm skutecznieśmy marsz do Rotowa, o cztery i pół mili odległego.

Nieprzyjacieli nie mógł się domiarkować, w którą się stronę korpus nasz udać postanowił.

Kilka dróg z tego miasta wychodzących w różne go wprowadzały mniemania.

Wielką mu przytem stawał się zawadą oddział kawalerii z kilkudziesięciu koni złożony, pod dowództwem oficera powstańców Klausa, który przyszedłszy z boku po naszym wymaszerowaniu z Worm przez cały dzień, przejścia rzeki bronił, a zrejterowawszy się w nocy połączył się z nami.

Z Rotowa (d. 13 lipca) poszliśmy do Gorzd, gdzieśmy się dowiedzieli że generałowie Gielgud i Chłapowski przeszli do kraju Pruskiego i broń złożyli.

Chcąc się o tem przekonać, wysłałem księdza N będącego emisjaryusem przy naszych korpusach.

Udał on się do generała Chłapowskiego, stojącego od nas o pół mili, a powróciwszy doniósł, że wojsko pod jego rozkazem będące jeszcze broni nie złożyło, czekając niby na amunicję, którą jakoby z Prus nadwieść miano.

Z resztą oficerowie chcieli z nami pomówić coby w przypadku ostateczności począć wypadało?

Raport taki na chwilę wprowadził mnie w osłupienie; sądziłem, że musi być między generałami jakieś nieporozumienie, zawsze ku szkodzie ojczyzny naszej dążące.

Aczkolwiek znajdowałem się pod komendą pułkownika Kossaj i jego rozkazów czekać byłem powinien, pragnąc jednak przekonać się osobiście o zamiarach generałów Gielguda i Chłapowskiego, kazałem mojej brygadzie sięść na koń i ku granicy pomaszerować.

Zaledwie do niej przybliżyłem, obaczyłem w części już rozbrojone wojsko.

Kazawszy więc mojej komendzie stanąć o podał granicy, zbliżam się sam do generała Chłapowskiego i pytam:

— Generale co robicie? trzeba było nas o tem uwiadomić.

— Oto widzisz co robimy — była jego odpowiedź — którą mi dał w pomieszanu.

A bracia nasi Litwini, którym przewodzimy, pytałem dalej czy mają równą z nami doznawać opieki?

Wszak poniszczyliście już amunicję zdemoralizowaliście żołnierzy, pozamęczaliście marszami, czemuż biec się mamy?

— Za nic nie ręczę — rzekł — i chcąc się mnie czem prędzej pozbyć, w tłum uchodzić zaczął.

Dwie takie odpowiedzi kazały mi wnosić o niezawodnej zdradzie.

Przewidując koniec sprawy naszej i hańbę narodu, chcąc od takowych uratować choć część wojowników, zwołałem w uniesieniu:

— Bracia postępujcie z nami; zginęmy przynajmniej z honorem, i niechaj nikczemnik tylko haniebnej się poddaje niewoli.

Nie pewna przyszłość, broń z rąk wytrącona, opuszczona ojczyzna, stają na myśli kapitulującym żołnierzom, przejmując ich serca i łzy rozpaczyci wyciskają.

Smutny to był zaiste widok 1 pułku ułanów, któremu iza w boju znaną nie była, żalących się z płaczem przed szeregami wojska pruskiego, opowiadających czyny, jakimi pułk ten się wślawił, narzekających na smutne położenie, w jakim ich zdrada obu generałów postawiła,

Kiedy się to na ziemi pruskiej odbywa, kolumna pod komendą generałów Rolanda i Szymanowskiego, zagrzana stałością oficerów z tryumfem wzdłuż granicy pruskiej przechodzi i chociaż w przyszłości nie błędnego nie przewiduje, to przynajmniej za chlubę dla siebie uważa, że nie mając z bliska nacierającego nieprzyjaciela, uledek tak smutnej kolei jak wojsko generałów Gielguda i Chłapowskiego jeszcze nie widzi potrzeby.

Czuja to dobrze wojownicy na ziemi pruskiej wprowadzeni wyjawiając niektóre osoby, widokom Gielguda i Chłapowskiego sprzyjające, wszyscy się zdają; zazdrościć okazanej stałości.

Zdradne działania obu generałów w całej litewskiej wyprawie, coraz widoczniejszymi się okazują, widok Giełguda coraz niezniośniejszym a obojętność generała Chłapowskiego coraz dotkliwszą nam się stawały.

Zapalają się rozpaczą i zemstą umysły, twarz każdego maluje bolesne uczucia i jednakowość chęci, wielu oficerów w jedno miejsce zgromadza; powstaje zmowa, wszyscy wołają mściciela.

Bierze na siebie spełnienie kary Stefan Skulski, kapitan 7 pułku piechoty liniowej i ten jako tłumacz uczuć i honoru Polaków, przypadłszy na koniu do Giełguda, strzałem pistoletowym koniec zgubnemu niedoświadczeniu, lub zdračnym zamiarom i haniebnej jego niestałości naznacza.

Widok rozciągniętego na ziemi trupa pobudza do żalu kilku spółników niecnych spraw Giełguda i Chłapowskiego, a wzdargą przejmuje tych wszystkich, co patryotyzmem palali.

Wiadomość o zgonie Giełguda jak elektryczna iskra przebiega kolumnę postępującą, przebiega szeregi wprowadzonego do Prus wojska, budzi odwagę, wzywa do broni, przypomina niesławę i do przestąpienia na powrót granicy pruskiej staje się powodem.

Występuje nie mało ułanów z pułku 1, występuje konna artyleria lekka pod dowództwem Czetwertyńskiego, który poprzednio widząc złe działania, jako prawy Polak przygotował naprzód oddział do wystąpienia i przekładać zaczął generałowi Chłapowskiemu, aby przeszedł na powrót granicę pruską.

Po długich nareszcie naleganiach odebrawszy od niego odpowiedź.

— *Faites ce que vous voulez !*

Ruszył ze swoją półbaterią i z nami się połączył.

Przed tem, nim się ten ważny w historii naszej wypadek dokonał, zabrawszy moją brygadę, trzy wozy broni palnej, z narażeniem się największem (dwóch bowiem żołnierzy broni składających strzeliło do mnie) pułkom wchodzącym do Prus wyrwałem.

Dołączam się do kolumny generałów Rolanda i Szymano-

uskutecznić przy patryotyzmie Litwy, która wszelkie ofiary czynić była gotowa i najmniej 60.000 wojska wystawić była mogła.

Czyniąc spostrzeżenia nad tymi dwoma generałami, nie wyrokuję czy Giełgud miał talenta wodzowi potrzebne; niechaj wszystkie jego czynności w samem źródle śledzone, rząd, naród i potomność osądzi.

My byliśmy świadkami jego nieczynności i zbytków, cierpieliśmy głód, tam gdzie można było najbezpieczniej posilać się, upadaliśmy na siłach od ciągłych marszów, odmawiano nam spoczynku, gdzie najspokojniej odpocząć można było, a w nieczynności byliśmy tam, gdzie do działania wszystko pobudzało.

Na potyczkach widzieliśmy ludzi ginących marnie, a okrutną oziębłość z rannymi i dla tego dziś odżałować nie możemy, żeśmy po rewolucyjnemu z takimi generałami działać nie umieli.

Zarozumiałość nie pozwalała Giełgudowi uchylić się od dowództwa i oddać godniejszemu od siebie naczelnictwo na Litwie.

Generał Chłapowski może istotnie, może udanym sposobem, zdawał się jego stronę trzymać, jednakże wieść może płonna, pomiędzy żołnierstwem krążąca, niesie, że oficer zlał panny, coś więcej jak papiery do armii przewoził.

Oto są źródła nieszczęść, które ojczyzna z przyczyny Giełguda poniosła.

Generałowi Chłapowskiemu nikt nie zaprzeczy znajomości sztuki wojkowej.

Kiedy, Giełgud pomimo usiłowań w nikim ufności wzbudzić nie potrafił, generał Chłapowski chlubnemi przy wejściu na Litwę wypadkami upiększając swe imię, pociągał zaufanie i serca Litwinów.

Na zniszczenie tak pięknie wzrastającego lauru swej sławy, potrzeba mu było pisać sekretnie do księżny Łowickiej, potrzeba mu było złożyć dowództwo w Giełgodowskie ręce, potrzeba mu było przypomnieć sobie że jest szwagrem carewiczki, potrzeba było pozostać w rzędzie takich panów, a przestać być człowiekiem.

Kto wie, może męskie jego serce, dało przystęp nalega-
niom kobiety. Dumie poświęcił najświętszą sprawę narodu.

Nie chciał przyjąć naczelnego dowództwa ofiarowanego mu
przez oficerów i obywateli po bitwie wileńskiej, lękając się
opinii, że sięgnął ręką po władzę mu nie należącą i dla tego
przyjawszy z trudnością obowiązek szefa sztabu pełnił go tak,
aby ostateczny wypadek nie na niego, ale na Giełguda spłynął.

W jednym i w drugim postępowaniu Chłapowskiego prze-
bija się przekonanie o wyższości jego nad Giełgudem i że
sprawa nasza źle się zakończyć musi, jeżeli on sam bez Gieł-
guda przy jej sterze nie będzie.

Jest więc zawsze winien, że lękał się nieprzychylniej opinii,
jaka by mogła była nastąpić, gdyby był przyjął dowództwo,
lecz nie chciał wiedzieć, że ta w następstwie musiałaby była
być najlepszą, skoroby działania jego pomyślnym były uwień-
czone skutkiem. A gdyby nawet i niepomyślnego doczekał się
był końca i w takim razie nie byłby ściągnął na siebie na-
rzekañ przyszłych pokoleń.

Lecz generał Chłapowski więcej jeszcze winien jako szef
sztabu, bo mając wielką i nikomu nie tajną nad umysłem Gieł-
guda przewagę, snadno by się mógł był oprzeć postanowieniom
bezkorzystnym, ku dobru powszechnemu nie dążącym, a zdanie
swoje utrzymać. *)

*) Że zdanie swoje generał Chłapowski we wszystkim mógł utrzy-
mać, wiadomo to było całemu kerpusowi, gdyż surowość jego despotyczna
w służbie przechodziła uawet czasem granice potrzeby.

Jeden co do mnie zacytuj przykład:

Po bitwie pod Hajnowszczyzną przy puszczy Białowieskiej, wszedł
korpus w wybrzeża tej puszczy.

Mając w korpusie służbę, byłem ze szwadronem pułku 1 ułanów
w aryergardzie.

W tem pozostały we wsi oficer z piechoty za pożywieniem (którego
nazwiska nie pamiętam) przywidział sobie niebezpieczeństwo i przełknięty
uciekać zaczął, mówiąc że Moskale masą jazdy idą za nami i zaalarmował
wojsko. Nie wierząc jego słowom dla przekonania się naocznego wziąłem sa-
mych karabiniarów ze szwadronu aryergardowego i poszedłem pół mili
drogi w tył, dawszy rozkaz kapitanowi Macewiczowi z pułku 1 strzelców
pieszych, aby drogi boczne po kilku ludzi osadził.

Są jeszcze zarzuty obu generałów dotyczące się, o których
wspomnieć należy.

Nie spotkawszy, nie widząc nieprzyjaciela, wróciłem na powrót do
aryergardy posyłając do generała Chłapowskiego podoficera z raportem, że
nie ma jeszcze za nami nieprzyjaciela i że oficer fałszywym raportem za-
alarmował wojsko.

Generał Chłapowski, nim go podoficer dojechał, najrychlej ruch ca-
łemu oddziałowi nakazał, aby głębiej wejść w puszcę i znaleźć jaką po-
zytywą militarną.

W parę godzin nadechodzę z aryergardą, znajduję wypoczywające po
mocnem znużeniu szybkim marszem wojsko i rozdąsanego generała Chł-
powskiego, który zamierza pochwały za akuratne dopełnienie służby, pyta
mi się jakie to było wychodzi z lasu?

— Nie wiem, odpowiedziałem.

— Jakto? aryergarda wszystko wiedzieć powinna.

Widząc że z boku drogi którąśmy przyszl, gonią owe bydlę dwa
żołnierze z artylerii, dobiegam do nich i dowiaduję się, że oficer artylerii
Kozłowski kazał pędzić 5 sztuk bydła, jako własność pojmanego i z roz-
kazu generała Chłapowskiego powieszonego urzędnika rosyjskiego, który
istotnie był największym tyranem włościan i strzelał wraz z Moskalami do
naszego wojska.

Pomimo że mi przed zapytaniem wspominał oficer Kozłowski o tym
swoim rozkazie, o czym przy ważniejszych zatrudnieniach na służbie w a-
ryergardzie i zajęty wiadomością o zbliżaniu się nieprzyjaciela, którą spraw-
dzić moim było obowiązkiem, przepomniałem, meldując generałowi Chłapo-
wskiemu, który nie wchodząc w to, że inne miałem ważniejsze zajęcie, nie
mogłem wiedzieć co się dzieje w odległości w lesie, aresztował mnie.

Po przybyciu na stanowisko odesłał mi pałasz i przechodząc rzekł:

— Jako stary żołnierz, wiesz że to wszystko zdarzać się musi i
pomyłka czasem, ale to dla przykładu młodszych jestem ostrym. Powiedz
za kogo aresztowany byłeś?

Znałem oficera Kozłowskiego z dobrej strony, i wiedziałem że nie wy-
kroczył, bo chciał dobrze zrobić korpusowi i powstańcom w puszczy Biał-
owieskiej zasilając ich w żywność i odpowiedziałem generałowi:

— Pierwszy mnie to raz w mojej tyloleńskiej służbie napotkało i na tem
cierpię; ale stało się, wprzód zapytany miałem obowiązek wydania, ale
kiedy się już na mnie skończyło, przy sobie to zostawiam.

Z zupełnem zaufaniem rozszedł się ze mną i odtąd był najgrzeczniej-
szy. Ztąd uważać trzeba tego człowieka porywczość i dumę.

Chciał on naśladować szwagra swojego Wielkiego księcia Konstan-
tego w zaprowadzeniu subordynacy i postawienia na swoim.

Dla czego wyszedłszy z całą siłą prócz generała Szyma-
nowskiego pod Wilno, w tyle będących miast żmudzkich od
nieprzyjaciela wolnych, nie kazali o ile można było fortyfiko-
wać i nie oddali pod dozór oficerów, których umyślnie na to
można było zostawić.

Tak zaopatrzone miasteczka, mogłyby na przypadek od-
wrotu, tyle być tarczą dla naszego wojska, ile były Szawle
dla moskiewskiego małego korpusu tylko pod dowództwem
pułkownika.

Fortyfikacye takie bardzo łatwo można było skutecznie,
mając tyle ludzi po wsiach dla nas gotowych.

Rosyane nigdy nam czoła stawiać nie śmieli, skorośmy
w obronem zostawali miejscu.

Plan całej fortyfikacyi pod Wilnem, był dowódcem przy-
slany, czemuż więc stósownych rozporządzeń nie uczyniono?
Czemu miasta z innych stron nie brano? Wszak nie ledwie
nie każdy rekrut objaśniłby generałów, że wypadało zdobywać
miasto od Trok położonej, a nie od ufortyfikowanych gór Po-
narskich.

Czy koniecznie potrzeba się było tak daleko oddalać od
Wilna? Dla czego przed bitwą szawelską, kasa i amunicya
tak liczna, bagaże i juki oficerów odesłane były na bok z taką
eskortą? Miałyżby one utrudzać posuwanie ich kolumny?

Choć czas był krótki, czemu wojsko, a szczególnie kawale-
rya w nie zaopatrzoną nie była?

Dla czego nie wskazana komunikacya między pułkowymi
dowódcami?

W skutek tej nieostrożności często bywała utarczka w je-
dnym miejscu, a nie wiedziano jaka kolumna stoi w drugim,
swoja czy nieprzyjacielska.

To było powodem, że często unikano spotkania, uważając
swe siły za małe, gdy tymczasem o pół mili stała nam niewia-
doma a użyćby się mogąca pomoc.

W skutek tego nakoniec zdarzyło się parę razy, że swoi
na swoich atak przypuszczali.

Gdzie się podziały znaczne pieniądze?

Czy można było samym przechodzić za granicę, instruk-

wskiego, za oddalenie się bez rozkazu przepraszam, o widocznej
zdradzie generałów Gielguda i Chłapowskiego uwiadamiam i
do utrzymania rejterady całego korpusu naszego polecenie od-
bieram.

Z nowym zapalem, z nową odwagą postępowało nasze
wojsko.

Trzeba mu tylko było amunicyi, aby się oparło nieprzy-
jacielowi, który nam nigdy na placu czoła stawiać nie śmiał.
Lecz amunicyi naszej już część wielka, nie wiem dla czego
przed bitwą szawelską przy najmniejszej eskorcie uboczną ode-
ślana drogą przez Moskale zabraną została, część takowej
Gielgud z Chłapowskim przed wejściem do Prus zatopili lub
zakopali, a część przy nas pozostała, na jedną dobrą bitwę
dostateczną nie była.

Do tego dodajmy w najwyższym stopniu demoralizacya
naszego żołnierza, który nieznośnym marszem i głodem wy-
cieniony, największych bezprawioń się dopuszczał, wie i mia-
steczka rabował, a łatwo pojmiemy, dla czego sarkając bez
końca i wychwalając czyny w królestwie działających generałów,
częściami w oczach naszych na pruską wstępował granicę.

Jaka część wojska przy generałach Rolandzie i Szyma-
nowskim pozostała, wskażą to raporta naczelnemu wodzowi
podane.

Nie widząc jeszcze ataku nieprzyjaciela, a chcąc wytrwać
jak najdłużej, ciągnęliśmy dalej ponad granicą ku Jurburgo-
wi; na pół drogi dościgają nas nieprzyjacielskie forpocztę, za-
bierają saperów, most na boku drogi przez któryśmasz zero-
wali palących, i na arjergardę naszą silny robią napad.

Mężnie oparła się aryergarda złożona z dwóch szwadro-
nów 12 pułku ulanów pod dowództwem walecznego księcia
Jana Giedroicia i jednego szwadronu strzelców konnych pod
przewodnictwem Ferdynanda Grotkowskiego.

Oporu tego był naoczny świadkiem generał Szymanowski,
który wówczas artylerją i całą aryergardą dowodził, i wsparł
działania aryergardy kilku działowemi strzałami.

W tym napadzie zginął oficer od kwatermistrzostwa po-
rucznik Morycz i trzykroć był ranny nieodżałowany od całego

naszego kórpusu Jan Giedrojc dowódzca 12 pułku ułanów; dla sił osłabionych na własne żądanie zostawiony w Nowem mieście, gdzie pomimo starań lekarzy dodanych przez jakiegoś generała moskiewskiego, umarł w kilkanaście dni później jak nam już o tem w Prusach doniesiono.

W kontynuacji marszu naszego mieliśmy drogę około samej granicy pruskiej.

Stanawszy na odpoczynku przy wsi Deguciach, otrzymaliśmy wiadomość, że już na przodzie nieprzyjaciela znajdziemy.

Tak otoczeni ze trzech stron wojskiem nieprzyjacielskiem, z prawej tylko strony mieliśmy wolną granicę pruską i na krzyżowy ogień nieprzyjacielski byliśmy wystawieni.

Mogliśmy jeszcze wprowadzić naprzód jakichś mil parę się posunąć, lecz tym marszem stracilibyśmy z ramienia prawego granicę pruską odległą od nas o milę, której to przestrzeni Moskal zostawszy panem, łatwo pokonać by nas zdołał.

Pozycja tak trudna, zdaje się nakazywała odrazu przejść granicę pruską i zachować jeszcze tysiąc rąk, mogących się kiedyś ojczyźnie przydać, niżeli iść w haniebną moskiewską niewolę.

Cóżkolwiek bądź, generałowie nasi nie z chęci pokonania nieprzyjaciela cztery razy mocniejszego, wojskiem znękanem i zdemoralizowanym, ale z chęci zakończenia smutnej sprawy przynajmniej z honorem, postanowili trzymać się planu, dopóki by nagłaca do odstąpienia nie zjawiała się przyczyna.

Stało więc wojsko pod bronią noc całą, staczane były z torpocztami małe utarczki, cały plac był zajęty uszykowaniem do boju wojskiem aż do południa na dzień drugi.

Lecz gdy się nieprzyjaciel w masie zbliżył i rozpoczął z dział ogień, wtedy poleciwszy sprawę naszą w ręce Boga, musieliśmy tak smutnej uledek kolei i we wsi Kalugen broń naszą oddać Prusakom.

Dodać tu jeszcze należy, że generał pruski oświadczył, że jeżeli natychmiast korpus nie wejdzie, to nie ręczy czy wstrzyma Moskale, mało mając wojska, kiedy ci w granice pruskie zapędzą się i tył nam zabiorą.

Tak się dopełniła miara nieszczęść, na jakie się ojczyzna nasza zawsze w rewolucjach wystawia, miara, przygotowana nie opieszałością Polaków, ale niegodziwością i niedoświadczeniem dowódcy, w którego ręce nadzieje nasze i przyszłych naszych pokoleń były złożone.

Nie tyle powstajemy na obu generałów za to, że nie znaleźli sposobów wydobyć się z niebezpieczeństw nad granicą pruską, że niebaczni na sparaliżowanie całej sprawy wkroczyli do Prus, ile obwiniamy ich o to, że będąc w środku swojego kraju, nie działali tak, jak na generałów, na patriotów, na ludzi z charakterem przystało.

Trzeba było z początku postępować inaczej, a bylibyśmy uniknęli skutków jakie nastąpiły.

Aby lepiej wykazać że generałowie Gielgud i Chłapowski nie dopełnili swych obowiązków, muszę wspomnieć o instrukcyi, jaką generał Chłapowski otrzymał od rządu wówczas, gdy był wyprawiany na Litwę.

Rząd tymczasowy królestwa polskiego, chcąc aby się nie bez planu nie działo, dnia 20. Maja 1831 roku udzielił mu niektóre punkta na piśmie z podpisem prezesa rządu księcia Adama Czartoryskiego, zalecając troskliwe ich wypełnienie.

Punkta te, to jest ich oryginał dostał się od Chłapowskiego w ręce Michała Pietkiewicza, a trafem przeszedł do rąk moich.

W tych punktach polecane było generałowi Chłapowskiemu nie naruszać wewnętrznych urządzeń i miejscowych zwyczajów Litwy, wskazać rolnikom materyalne korzyści wynikające z ich wolności, nadać im wolność uroczystym sposobem przez pośrednictwo ich panów, ukazać tolerancją dla księży grecko-rosyjskiego wyznania, wesprzeć unitów, zjednać starozakonnych, zbierać ofiary od obywateli, urządzić administracyą, ustanowić wybory urzędników, utworzyć komunikacyą między powiatami, upowszechnić drukiem wyobrażenia rewolucyjne, przedstawić Rosyanom, że nie przeciw narodowi jednego szczepu, lecz przeciw despotyzmowi walczymy, nie narażać wojska na bitwy otwarte, starać się jak najprostsze i najprędze jego umundurowanie.

Aczkolwiek wyznać należy, że niektóre z tych punktów nie mogły być zaraz wykonane, jednakże świadkiem jest Litwa, jak z nich żaden skutku nie miał.

Nienaruszone może były urzędy i zwyczaje, których świętość zastrzegł §. 1, lecz dotknięta była ludność, dotknięty był biedny stan rolników i mieszkańców miast, przez niesłychane rabunki, jakich się swawolne żoldactwo dopuszczało.

Surowe jenerałów rozkazy, przy regularnem zaopatrzeniu żołnierza w żywność, byłyby tym nadużyciom położyły tamę; materyalne korzyści nie jenerałowie, ale sami rolnicy sobie wskazali i jeżeli masa wielka onych szła przez dobrowolną chęć służenia krajowi, lub przez rozkaz naczelników powstań, znaleźli się i tacy, co lżejszy sposób wyżycia i uwolnienia się od uciążliwej pańszczyzny w przyłączeniu się do rewolucji widzieli.

Nadania uroczystego wolności rolnikom, co mogło być mieć tak wielki wpływ na umysły proste, nikt wcale nie widział; starozakonni najniegodziwiej traktowani byli; ofiary i podatki od obywateli składane z kasą z Polski przywiezioną, otchłań nieznajoma pochłoneła.

Wojska nie umundurowano, żołdu nie wypłacono, a nawet gwałtownych jego potrzeb nie zaspokojono.

Zaprowadzenie administracji było wprawdzie trudne, należało jednak powołać więcej obywateli do urzędów, a nie ograniczać się na jednej osobie.

Druki upowszechniały przejście Niemna, pod Gielgudyskami, mieściły w sobie wiersze salonowe i pochwały kobiet.

Robiono fajerwerki dla zabawy z prochu, którego tak skąpo do ważniejszego użycia mieliśmy.

Powstańcy nie uorganizowani, bez pomocy wojska regularnego, bez amunicji karabinowej, bez armat zostawieni w Kownie, w Beczach, Janowie, Czabiskach i Wielonie; powstanie było nie tylko jednostajnego ale jakiegokolwiek odzienia, a przecież dwa ostatnie punkta instrukcji Chłapowskiemu danej wyraźnie umundurowanie zalecały, a następnie i Gielguda gdy objął dowództwo obowiązywały i takowego za wszystko, co instrukcja zawierała, odpowiedzialnym czyniły, co łatwo było

torów do porzucenia swojej komendy namawiać i tych do siebie ciągnąć, a Litwinów na pastwę Moskalom zostawiać?

Doczekaliby się byli Litwini tego końca, gdyby rezygnacya jenerałów Rolanda i Szymanowskiego ich nie uchroniła. Dla czego zamysł przejścia za granicę nie był wcześniej, nie mówię całemu wojsku, ale komendantom odkryty?

Każdy o przybyciu broni i prochu do Połagi, a rzadko kto i to z wielką niepewnością o Prusiech wspomniał.

Możeby nie jeden nie pomny na posłuszeństwo wodzowi uszedł z oddziałem do Polski. Czemu rada wojenna ustanowiona nie była? Nakoniec czemu się nie starano w przechodzie wiosek i miasteczek ujmować mieszkańców, opatrzyć się w szpiegów, którzyby o poruszeniach i sile nieprzyjaciela donosić nam mogli?

Moskale tej ostrożności nie zaniedbali i wszędzie szpiegów mieli; najmniejsze nasze poruszenia wiadome im były, a my dowiadawaliśmy się o ich ruchach, albo przez szlachtę i chłopów z poblizszych wiosek, albo przez młodzież akademicką i obywatelską i to w ten czas, kiedy nieprzyjaciel był już blisko, a co się działo o mil kilka bynajmniej wiedzieć nie mogliśmy.

Takowy najrzetelniejszy raport pod słowem honoru naczelnemu wodzowi przesyłam, i na dowód prawdy do świadectw sztabsoficerów i obywateli Litwy się odwołuję.

W kwarantannie pruskiej pod Tylżą w Pakomenen dnia 22. lipca 1831 roku.

Michał Jackowski podpułk. dowod. bryg. jazdy. *)

*) Autor tego Pamiętnika pozwoli uczynić sobie tutaj uwagę, którą zapewne uczynili już czytelnicy, a która się ściąga do dwóch szefów sztabu wojska działającego na Litwie.

Jenerał Chłapowski mianując szefem sztabu swego małego korpusu, pana Marcinkowskiego, który poprzednio nie był nawet wojskowym, chciał zapewne mieć przy boku swoim nie tyle doświadczonego oficera, ile czło wieka, na którego pewności charakteru, znanej bezinteresowności i wyso kiem uczuciu sprawy, mógł spokojnie polegać.

Z małym oddziałem nie spodziewał się staczać wielkich bitew,

ale siedł pomiędzy powstania, urządzać je, organizować nowe władze, wydobywać nowe dla wojny zasoby, działać nie tyle jako wojownik, ale raczej jako organizator.

Do tego wszystkiego potrzebował więcej jak żołnierza, potrzebował człowieka z wyższym charakteru, rozumu, serca, usposobieniem.

Lepszego wyboru uczynić nie mógł.

Część wojskowa szefa sztabu małego oddziału, dla człowieka zdolnego, nie przedstawiała wielkich trudności.

Są ludzie, co w kilku dniach więcej nauczyć się mogą, niż inni w kilku latach, albo nawet przez całe życie. Zresztą pomyślnie utarczki, i niejako tryumfy oddziału jenerała Chłapowskiego, w czasie kiedy p. Marcinkowski był w oddziale szefem sztabu, najlepszym są dowodem, że ten niewojskowy szef sztabu powodzeniu wojennemu bynajmniej nie był na przeszkodzie.

Z obowiązku wydawcy dosłownego położyliśmy wyraz zdrada przy nazwisku jenerała Chłapowskiego.

Wyznajemy, żeśmy to uczynili najniechętniej.

Możnaż choćby przypuścić takie spodlenie, jakie do wyrazu tego przywiązujemy w jenerale, którego całe poprzednie życie odznaczało się wysokim uczuciem honoru; w obywatelu niepodległym, który na głos ojczyzny powstającej, pospieszył na jej usługi?

Po co szukać źródła nieczynności szefa sztabu jenerała Giełguda w domysłach zdrady, w której nawet rachuby żadnej dla jenerała Chłapowskiego być nie mogło, kiedy przyczyny jego zniechęcenia tak są widoczne? Szef sztabu jest zapewne prawą ręką wodza, ale nie może mieć jego woli, a cóż dopiero woli wyższej nad jego rozkazy albo nad jego nieczynność.

Najlepszy szef sztabu przy wodzu nieudolnym musi być nie na swoim miejscu, nie nada mu rozumu, usposobienia i energii. I na to w tej okoliczności uważać trzeba, że im skąpiej natura daje zdolności, tem hojniej obdarza próżnością i nieumnym uporem.

Przypisek wydawcy.



174364